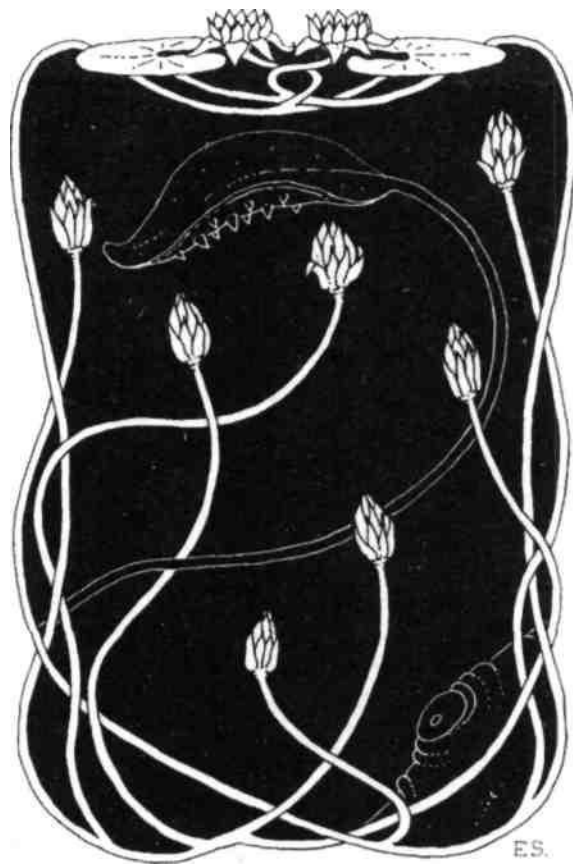


# MIASTO SZALEŃCÓW I ŚWIĘTYCH



**JEFF VANDERMEER**

# MIASTO SZALEŃCÓW I ŚWIĘTYCH

**JEFF VANDERMEER**



Wstęp  
Michael Moorcock

Przełożyli  
Konrad Kozłowski  
Jolanta Pers

**SOLARIS**  
Stawiguda 2008



Miasto szaleńców i świętych

Tyt. oryg. *City of Saints and Madmen*

Copyright © 2002 by Jeff VanderMeer

All Rights Reserved

Illustrations:

John Coulthart, Scott Eagle, Eric Schaller, Jeff VanderMeer,

Mark Roberts, Dave Larsen, Hawk Alfredson

Adaptacja oryginalnych ilustracji do polskiego wydania:

*Michał Lisowski, Tadeusz Meszko*

ISBN 978-83-89951-88-5

Jolanta Pers przełożyła teksty:

„Zakochany Dradin”, „Przemiana Martina Lake’a”

Konrad Kozłowski przełożył wszystkie pozostałe teksty

Projekt i opracowanie graficzne okładki

*Tomasz Maroński*

Redakcja *Iwona Michałowska*

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Meszko*

## **Wydanie I**

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

Tel./fax 089 5413117

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

sprzedaż wysyłkowa:

**[www.solarisnet.pl](http://www.solarisnet.pl)**



*Cóż jeszcze można powiedzieć o Ambergris, czego nie powiedziano już wcześniej? Każdy najmniejszy fragment tego miasta, nieważne jak pozornie czy wyraźnie zbyteczny, posiada złożoną, a przy tym przebiegłą i krętą rolę do odegrania w jego społecznym życiu. I nie jest ważne, jak często przechadzam się bulwarem Albumuth: nigdy nie tracę poczucia niedającego się z niczym porównać splendoru tego miasta - jego uwielbienia dla rytuału, pasji do muzyki i nieskończonej możliwości cudownego okrucieństwa.*

**- Voss Bender, Wspomnienia kompozytora, tom 1, strona 558, Ministerstwo Kaprysu**



Dla Ann,

która znaczy dla mnie więcej niż słowa

# SPIS TREŚCI

## KSIĘGA AMBERGRIS

**Istota VanderMeera.**

**Wstęp Michaela Moorcocka** 9

*The Real VanderMeer. Introduction*

by Michael Moorcock tł. Konrad Kozłowski

**Zakochany Dradin** 13

*Dradin, In Love* tł. Jolanta Pers

**Hoegbottoński przewodnik**

**po wczesnej historii miasta Ambergris** 75

*The Hoegbotton Guide to the Early History*

*of Ambergris* tł. Konrad Kozłowski

**Przemiana Martina Lake'a** 135

*The Transformation of Martin Lake*

tł. Jolanta Pers

**Niezwykły przypadek Iksa** 191

*The Strange Case of X* tł. Konrad Kozłowski

**APPEND-IKS** tł. Konrad Kozłowski 234

**List od dr. V do dr. Simpkina** 235

*A Letter from Dr. V to Dr. Simpkin*

**Notatki Iksa** 241

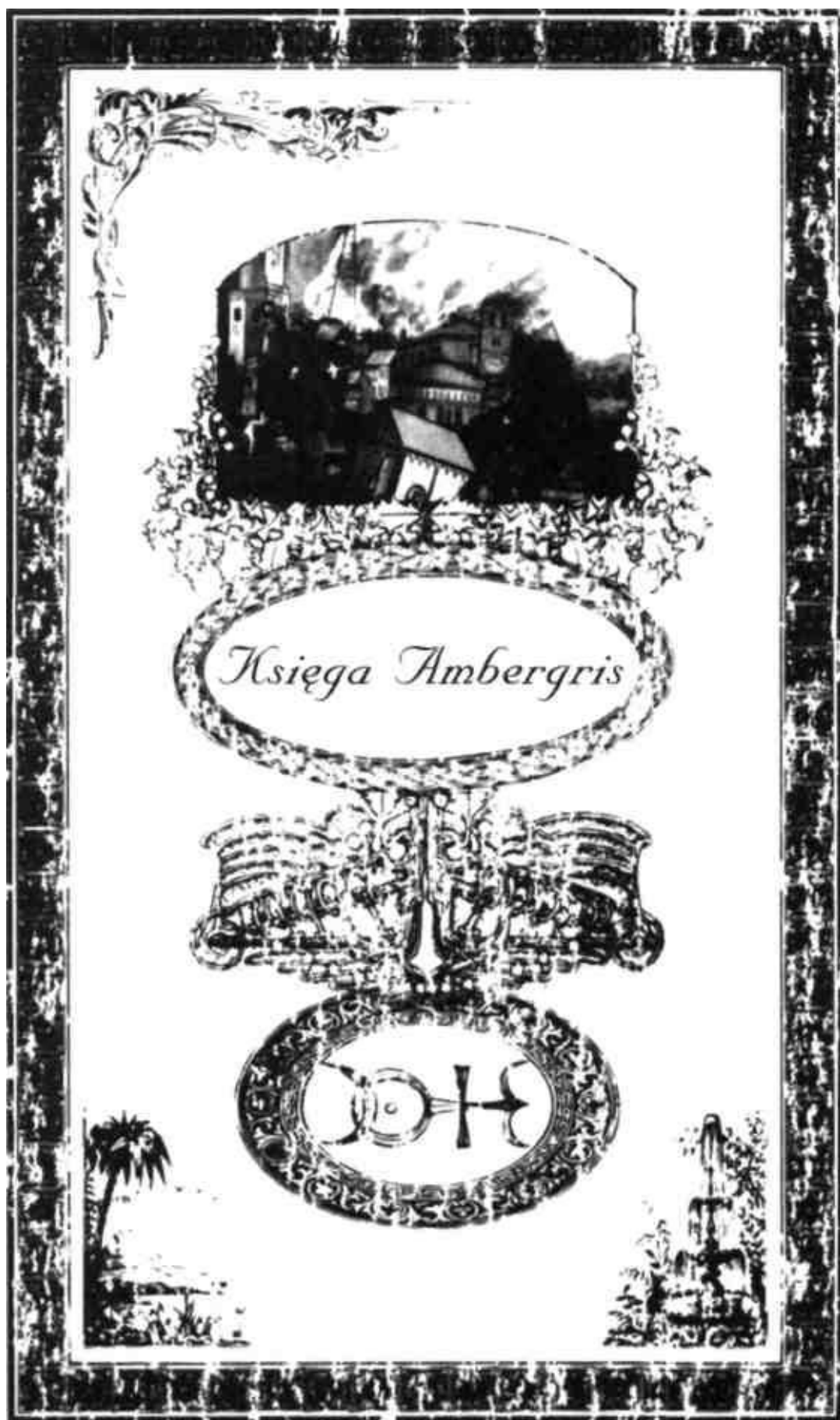
*X's Note*

**Uwolnienie Belacquy** 244

*The Release of Belacqua*

**Król Kalamarnic** 253

<i>King Squid</i>	
<b>Historia rodziny Hoegbottonów</b>	<b>326</b>
<i>The Hoegbotton Family History</i>	
<b>Klatka</b>	<b>338</b>
<i>The Cage</i>	
<b>W pierwszych godzinach po śmierci</b>	<b>391</b>
<i>In the Hours After Death</i>	
<b>Notka od dr. V dla dr. Simpkina</b>	<b>402</b>
<i>A Note from Dr. V to Dr. Simpkin</i>	
<b>Człowiek bez oczu</b>	<b>404</b>
<i>The Man Who Had No Eyes</i>	
<b>Wymiana</b>	<b>410</b>
<i>The Exchange</i>	
<b>Ucząc się, jak opuścić swe ciało</b>	<b>440</b>
<i>Learning to Leave the Flesh</i>	
<b>Glosariusz Ambergriański</b>	<b>458</b>
<i>The Ambergris Glossary</i>	





# ISTOTA VANDERMEERA

## Wstęp

- Znasz oczywiście VanderMeera. - Tłuste, czerwone paluchy Schomberga pieściły przeliczone przed chwilą banknoty. Dopiero po chwili umieścił je w kasetce i spoglądając na mnie z ukosa, udał, że chowa ją po stołem. - Kapitana VanderMeera? Pierwszego oficera na „Shrieku”, póki ten nie wpadł na rafy. Pana na „Żabie”, gdy po raz kolejny zawitał na Wyspy.

- Jak rozumiem, była w to wmieszana kobieta? - Upiłem łyk skłębionej zawartości swojej szklanki, napoju miejscowej produkcji, który wydawał mi się podejrzanie pikantny.

- Znał samego Shrieka i odwał za niego całą brudną robotę. - Schomberg wykrzywił twarz w grymasie tak charakterystycznego dla niego niesmaku względem wszelkiego rodzaju łajdactw i moralnej słabości innych niż jego własne. Grzechoczące nad naszymi głowami wielkie wiatraki kręciły się, poruszając gęstym, wilgotnym powietrzem. - To Dradin mu to zrobił. Tak przynajmniej wszyscy tu uważamy. Jasno widać, co się stało. To wszystko jest w ostatniej opowieści, o ile tylko nie boisz się poświęcić jej swej pełnej uwagi.

- Więc, mimo wszystko, Iks był jednak jego muzą, jego miłością?

Schomberg wzruszył ramionami. Wyraźnie było widać, że chce się mnie pozbyć. Kiedy usuwałem się z jego opowieści, usłyszałem, jak ciężko oddycha z ulgą. Będzie mi brakowało jego przyziemnych wyjaśnień, lecz moja obecność wyraźnie wzbudzała jego niepokój. Wolnym spacerkiem wróciłem do siebie, by po raz kolejny zagłębić się w VanderMeerze...

- Josef Conrad, *Ocaleni*, 1900

W tych zamierzchłych czasach, do których wszyscy wciąż tęsknie wracamy, nie było kapitana darzonego większym szacunkiem niżli VanderMeer, żeglujący po Wyspach Mirażu i Półwyspie Ambergriańskim. Koneserzy ze wszystkich portów, od Jannquork począwszy, na San Francisco skończywszy, wyczekiwali jego wspomnień z wielką niecierpliwością; lecz gdy te wreszcie ujrzały światło dzienne, nie wszystkim przypadły do gustu. Bo mimo iż relacja zawarta na ich kartach był autentyczna, to jednak wybrane metody w wielu przypadkach okazały się groteskowe, barokowe i fantastyczne, jakby autor usilnie starał się i dążył, by jego styl odzwierciedlał wizje, których osobiście doświadczył. To pewne, że podobna gęstość narracji była odrobinę zbyt wymagająca dla czytelników przywykłych do podążania jednotorową, sentymentalną fabułą, która w większości wydawanych obecnie książek uchodzi za całą opowieść, jakby istniała jedna zaledwie prawda, i tylko jeden jedyny sposób, by ją wyrazić, zaledwie jedna postać będąca centralnym źródłem zainteresowania, jeden jedyny punkt widzenia, z którym czytelnik powinien sympatyzować.

Nie powinno jednak budzić niczyjego zaskoczenia, że instynktowna reakcja autora na własne przeżycia okazała się tak postmodernistyczna. Jako jeden z członków współczesnej grupy niepospolitych i nadzwyczajnych kapitanów podążających za własnymi kreślonymi w głowie mapami, kapitan VanderMeer jest mistrzem kilu i żagla, a stojąc za sterem potrafi zabrać swój okręt, dokądkolwiek tylko przyjdzie mu ochota, czy po to, by szybować nim po kamienistych płycznach, czy też, by agresywnie zanurzać jego dziób w zatłoczonych wodach Głębi. Napędza go bowiem owo zamiłowanie do osobliwości, dzika ciekawość i uwielbienie dla egzotycznych skarbów, jak również zafascynowanie złożoną architekturą i smak dla obcości odnajdywanej w czymś pozornie normalnym, niosąc z dziwacznym i osobliwym zestawem sprzętów w każdy możliwy zakątek wszechświata, który do tej pory nie został jeszcze odkryty. Powraca stamtąd z godnymi uwagi niezwykłościami, tak wartościowymi, że dopiero muszą odnaleźć swą prawdziwą cenę, czy też, w rzeczy samej, swych koneserów.

Gdy nieodmiennie przychodzą nam na myśl takie książki jak *Mercury* kapitana Smitha, *Zothique* Ashtona Smitha, *Dying Earth* Jacka Vance'a, *Viriconium* śpiochadmirala Harrisona czy *Old Mars* lady Brackett, a nawet granice eksplorowane przez słynną ekspedycję Hope Hodgsona, równocześnie snujemy pełne szacunku porównania do samego Dunsany'ego, a nawet Lovecrafta, najprawdopodobniej jednak odnajdujemy więcej poręcznych podobieństw u tych niedawnych reporterów z krawędzi wyobraźni.

Przywołajmy tu *Beerlight* kapitana Ayletta oraz *Endland* pilota Etchellsa, w których opisane zwyczaje i obyczaje są nam od razu bardzo bliskie, będąc równocześnie tak obce i dziwne. Od czasów wielkiej ekspansji kapitanów DiFilippo, Constantine'a, Mieville'a i

Newmana oraz kapitan Gentle, wszyscy powracali z tych nowych światów z obcą walutą. A coraz to nowi odkrywcy ze smakiem do egzotycznych geografii wciąż nie ustają w poszukiwaniach Umykającego Horyzontu i Najdalszego Równoleżnika. I wszyscy oni pozostawiają nam relacje ze swych wypraw.

Jednakże zaledwie garstka posiada wzniosłe dostojeństwo, tak charakterystyczne dla Ambergris, które bardziej przypomina wspaniałe i niemal skończone *Tytus Sam Peake*'a. Oto złożony surrealizm świeżo odkrytej historii, zaledwie o cień, o drobinę dalej w głąb lądu od najbardziej znanych i poznanych wybrzeży. Ma to coś wspólnego z monumentalną ziemią jałową przedstawioną nam przez sir Davida Brittona w mrocznych wspomnieniach *Lord Horror* i *The Auschwitz of Oz*. Przypomina także złożone i powikłane *Sinai Tapestry* Whittemore'a oraz krainy odkrywane przez walijskich kapitanów, od Cowper Powysa począwszy, na Rhysie Hughesie i przedziwnie nazywającej się kapitan Tafty Sinclair skończywszy. Kolejnym kapitanem rysującym własne mapy, by następnie nimi podążać, jest Robert Irvin w swej *Arabiste*. Podobnie jak VanderMeer, wszyscy oni są dowódcami własnych literackich celów, tworząc tak odważną kompanię umysłowych nawigatorów, o jakiej odkryciu ty, drogi czytelniku, mógłbyś tylko marzyć.

Przyglądając się uważnie VanderMeerowi, przypominamy sobie wspaniałości Angkor i Anudhapury połączone ze zgiełkiem i gwarem Indonezji pióra kapitana Conrada, awanturycznymi i ryzykownymi intrygami Bizancjum czy Wenecji oraz brutalnymi wojnami Holendrów o przyprawy, toczonymi w Indiach. Lecz czasem, jakby instruując i przypominając o sobie, wtrąca się sam Proust. VanderMeer opisuje świat tak bogaty i przesadzony, tak pełen tajemnego życia, że aż odciągający czytelnika od jakichkolwiek zamierzonych moralnych czy prześmiewczych głębi i porywający w samo bogactwo swego łona. Istnieje, rzecz jasna, podejrzenie, że autor nadużył nieco tych materiałów w celu zakpienia sobie z tego i owego, a może nawet przedstawienia własnej wizji. Czy jednak zdołał wywołać realne zmiany w swoim świecie? Czy Ambergris, które odwiedzimy następnym razem, będzie w ogóle przypominało romantyczną wersję VanderMeera? A co z plotką, że na kartach tej powieści istnieje tak cudowny odcień mrocznej herezji?

Wierzę, że nie jestem jednym, który skalował odnośniki do gigantycznej kałamarnicy i odczuwał emocjonalne zaangażowanie bardziej właściwe, czy też, by być tu zupełnie szczerym, charakterystyczne dla związku matki i dziecka niżli człowieka i głowonoga. Lecz nie czas tu ani miejsce, jak również nie taka nasza intencja, by analizować teraz postać kapitana VanderMeera, czy też jego upodobania, którymi dzieli się z nami na kartach tej książki. Powinniśmy raczej docenić tę rzadko spotykaną fakturę, jaką prezentuje jego proza,

zachęcającą jaskrawość dokonanych przez niego opisów i wszelkie dziwactwa jego idiosynkratycznego umysłu, które dyrygują, z pompatycznym wręcz rozmachem, całą siecią tamtejszej rzeczywistości.

Czerp, drogi czytelniku, ile tylko możesz i potrafisz z gobelinu opowieści i wizji, jaki autor rozkłada przed tobą. To bardzo rzadki skarb i należy go smakować z równoczesną rozkoszą i szacunkiem. To dzieło oryginała. Właśnie na coś takiego tak długo czekałeś.

**Michael Moorcock**

**Ranczo Circle Squared**

**Lost Pines, Texas**

**październik 2000**

Zakochany  
Draďin



## I



**RADIN, ZAKOCHANY, TKWI POD** oknem swojej ukochanej i gapi się w górę, a tłum przelewa się dookoła niego i otacza go; ludzie wpadają na niego i potracają go, a on stoi tam, nieświadom obecności tysięcznego tłumu w poszarpanych ubraniach i o zaróżowionych policzkach. Dradin patrzy na nią: spisuje tekst dyktowany przez maszynę, nieprzenikniony blok szarości, z którego wyrasta para słuchawek na jej delikatnej głowie o kształcie jajka. Dradin stoi tam ogłupiały i coraz głębszy, zatopiony w anielskim błękitcie jej oczu i kaskadach długich, błyszczących włosów spadających jej na ramiona, jej bladej twarzy, która przez szybę wygląda smutno, ledwo widoczna z powodu odbijającego się w oknie szarego nieba. Znajduje się trzy piętra powyżej niego, zamknięta w cegle i zaprawie, nieomal jak pomnik; jej miejsce jest tuż nad sztyldem „Hoegbotton i Synowie, Dystrybutorzy”. Hoegbotton i Synowie: największy importer i eksporter w Ambergris, miście bezprawia, jednym z najstarszych miast na świecie, którego nazwę utworzono od ambry, najcenniejszej i najbardziej tajemniczej wydzieliny wieloryba. Hoegbotton i Synowie: niezliczone skrzynie narzędzi deprawacji, przesyłanych dla rozrywki dekadentów z daleka, z odległej Surfazji i piekielnego Okcydentu, miejsc, gdzie wszystko nasiąka wodą, dojrzewa i rozpada się w mgnieniu oka. A jednak, rozmyśla Dradin, ona wygląda, jakby była pogodną osobą, bynajmniej nie typem wołącym pozostawać w domu, ale czującym się za granicą niepewnie, chyba że opierając się na ramieniu ukochanego. Czy ma kochanka? Męża? Czy jej rodzice jeszcze żyją? Czy lubi operę, czy może sprośne przedstawienia teatralne wystawiane w pobliżu doków, gdzie słychać trzeszczenie spracowanych stawów robotników, ładujących skrzynie firmy Hoegbotton i Synowie na barki, które potem ruszają z biegiem rzeki Moth, toczącej sennie pełne szlamu wody, by wpaść w zburzone morskie fale? Jeśli lubi teatr, to mnie na nią stać, myśli Dradin, gapiąc się na kobietę. Długie włosy opadają mu na twarz, ale jest tak oszołomiony, że nawet tego nie zauważa. Do rzeki jest daleko i Dradin prawie wędnie w upale, ale nie czuje potu spływającego mu po karku.

Dradin, odziany w czarny strój z zakurzonym białym kołnierzykiem i zakurzone czarne buty, tworząc wokół siebie aurę bezrobotnego misjonarza (którym rzeczywiście był), wcale nie zamierzał patrzeć na kobietę. Nawet nie zamierzał spoglądać w górę. Spoglądał w dół, by pozbierać monety, które wypadły mu przez dziurę w powycieranych spodniach; siedzenie podarł, jadąc podskakującą dorożką z doków Ambergris, ciągniętą przez konia,

który już dawno powinien trafić do fabryki kleju, być może zabranego do rzeźni tego samego dnia - dnia poprzedzającego Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic, jak poinformował Dradina gorliwie woźnica w nadziei, że ten będzie chciał jeszcze skorzystać z jego usług. Dradin był jednak w stanie utrzymać się na siedzeniu tylko podczas jazdy do pensjonatu; potem rzucił bagaż w pokoju, wrócił do dzielnicy handlowej - by złapać trochę lokalnego kolorytu, coś przekąsić - i tam rozstał się z woźnicą. Przesiąkł smrodem sparszywiającej kobyły, ale cóż, trudno, to tylko zwierzę, nie mógł sobie pozwolić na konie mechaniczne, dymiący i ociekający olejem pojazd silnikowy. Nie teraz, gdy kończyły mu się pieniądze i rozpaczliwie szukał pracy: po to przecież przyjechał do Ambergris. Jego były nauczyciel w Akademii Religijnej w Morrow - niejaki Cadimon Signal - nauczał w Dzielnicy Religijnej Ambergris, a przy tylu świętach pewnie znajdzie się jakaś praca?

Kiedy jednak zbierał monety, poderwał się na równe nogi zbyt gwałtownie, a przebiegająca obok banda rozwydrzonych łobuziaków zakreśliła nim i potrząsnęła. Spojrzał na szare, ciężkie od deszczu niebo i odwrócił się w stronę okna, w które teraz patrzył z takim zaangażowaniem.

Kobieta miała długie, delikatne palce, którymi wystukiwała coś zgodnie z własnym, dziwnym rytmem; równie dobrze mogła grać piątą symfonię Vossa Bendera, nurkując w smutnych niskich tonach i wznosząc się na imponujące wyżyny, którymi zawładnął Bender. Gdy przez sekundę Dradinowi ukazało się poprzez szkło jej oblicze - chyba pochyliła się trochę do przodu, by przesunąć taśmę - dostrzegł, że jej rysy, podobnie jak dłonie, są powściągliwe, o pięknych liniach, wyrafinowane. Nie było w niej nic, co przypominałoby mu o okrutnym świecie, jaki go otaczał, ani o wielkich, niepoznanych dżunglach południa, z których właśnie wrócił, gdzie czarna pantera i jeszcze czarniejsza mamba czały się w mroku, gdzie trawiła go gorączka i gdzie doświadczył takich wątpliwości z powodu braku chętnych do przejścia na jego religię, że wrócił do cywilizacji, w której panowały prawa i rządy i w której - o, słodka radości! - Istniały takie kobiety jak to stworzenie w oknie. Patrząc na nią, czując, jak burzy mu się krew, Dradin zastanawiał się, czy ona przypadkiem mu się nie śni, niczym otoczona aureolą rozpalona wizja zbawienia, która zaraz rozwieje się jak ułuda, a jego znów ogarnie gorączka, w dżungli i w ciemności.

To jednak nie był sen i nagle Dradin ocknął się z zadumy, uświadamiając sobie, że ona może go zobaczyć, bo jest tak wrażliwa, albo że jakiś przechodzień odgadnie jego zamiary i ostrzeże ją. Otaczał go prawdziwy świat, od smrodu rozkładających się w rynsztokach warzyw po słodki odór częściowo obgryzionych świńskich golonek w śmietnikach; stuk-puk-stuk końskich kopyt i terkot klaksonów pojazdów silnikowych; szmerzący szept grzybian,

obudzonych z dziennego snu i nagle, z ukrycia, odgłosy barokowej, melodyjnej muzyki, odtwarzanej z trzaskami, jakby z fonografu. Ludzie wpadali na niego, nie zostawiając mu miejsca na zrobienie kroku: kupcy, zonglerzy, sprzedawcy noży, uliczne golibrody, turyści, prostytutki i marynarze, którzy zeszli ze statków, a nawet bladolicy młody siłacz, posyłający mu gangrenowaty uśmiech.

Dradin pojął, że musi coś zrobić, a przecież był zbyt nieśmiały, żeby do niej podejść, żeby otworzyć na oścież drzwi firmy Hoegbotton i Synowie, pobiec trzy piętra w górę i niezapowiedziany (a pewnie i niepożądany) stanąć przed nią, zakurzony i brudny, z wczorajszym zarostem na twarzy. Od razu było widać, że przybywa z Wielkiego Krańca Świata, bo nadal cuchnął zgnilizną i wydzielinami dżungli. Nie, nie, nie. Nie może jej się pokazać w tym stanie.

Co miał jednak zrobić? Myśli Dradina padały jedna za drugą jak wybici z rytmu klauni, a on był bliski paniki, bliski załamania rąk, którego nie znosiła jego matka, bo sugerowało, że bycie misjonarzem nie jest niczym szczególnym: nadeszła ta myśl i sprawiła, że zaniemówił, zachwycony własnym geniuszem.

Oczywiście, świecidełko. Prezent. Drobiazg, za który zapłaci, by okazać swą miłość. Dradin uniósł wzrok i rozejrzał się po ulicy, zastanawiając się, gdzie mógłby kupić skarb, który by ją wzruszył, zaintrygował, a wreszcie - zatrzymał. Szydełkowe Cuda Madame Lowery? Centrum Handlowe dla Dam? Biżuteria Jessible'a? Nie, nie, nie. Jeśli była kobietą nowoczesną, której nie dało się zatrzymać i która nie była ciągle w ciąży, ale obracała się w kręgach artystów i pisarzy, aktorów i śpiewaków, taki prezent byłby dla niej obelgą. Za jakiegoż niewrażliwego człowieka by go uważała - jakimże niewrażliwym człowiekiem by się okazał. Czy te wszystkie miesiące spędzone w dżungli pozbawiły go zdrowego rozsądku, warstwa po warstwie, aż stał się nagi jak orangutan? Nie, to nie wystarczy. Nie mógł kupić ubrań, czekoladek, czy nawet kwiatów, bo te prezenty były tak proste, tak mało subtelne, tak prostackie, tak zdradzające u niego brak wyobraźni. Poza tym, te prezenty...

...Jego spojrzenie powędrowało dalej, zatrzymując się na zrujnowanym akwedukcie, który dzielił ulicę na dwie części jak gigantyczny, skamieniały kręgosłup długiego, smukłego rekina, który utkwiał na dalekim przeciwległym brzegu, i nowoczesnym szyldzie z podwójnymi zakrętami i odważnym liternictwem, które reklamowało Księgarnię Borges, i tutaj, na bulwarze Albumuth, najbrudniejszym, a zarazem najbardziej wyrafinowanym i najbogatszym ciągu komunikacyjnym Ambergris, Dradin uświadomił sobie, że oto znalazł dar doskonały. Nie ma nic lepszego, bardziej tajemniczego od książki, i nie ma niczego, co mogłoby lepiej przywiązać ją do niego.



Brudny od kurzu i samotny w miejskim wirze podglądacz, zagubiony pod spódnicą miasta, ruszył na drugą stronę, przedzierając się wśród ulicznych grajków i stręczycieli, szulerów i sprzedawców słodczy w stronę akweduktu, by stawić czoła grymasowi dwóch kamiennych lwów na zwieńczeniu, wkraczając do Księgarni Borges. Miała piękne zabytkowe okna ze złożonymi literami, które głośiły:

## **PREZENTY NA KAŻDĄ OKAZJĘ:**

**\*HISTORIA RZEKI MOTH\***

**\*SZULERSKIE PRAKTYKI NA KRAŃCU ŚWIATA\***

**\*DZIELNICA RELIGIJNA - ZA 15 SA DZIENNIE\***

**\*NIELEGALNY POŁÓW KAŁAMARNIC\***

**\*ZEPSUCIE W DZIELNICY HANDLOWEJ\***

**\*ARCHITEKTURA BULWARU ALBUMUTH\***

**A TAKŻE** *Seria przewodników i map firmy Hoegbotton,  
mapy festiwalowe, azyle, zagrożenia i przepaski na oczy.*

Za szybą piętrzyły się, jedna na drugiej, książki wymienione w srebrzystej reklamie, a za nimi przemieszczali się wolno bibliofile, napawając się autentycznym towarem. Dradin zapomniał o oddychaniu, nie tylko dlatego, że w tym miejscu mógł nabyć prezent dla najcudowniejszej, najukochańszej kobiety w oknie, ale dlatego, że przebywał z dala od cywilizacji przez ponad rok, a teraz, gdy wrócił, jej zdobycze działały na niego kojąco. Jego ojciec, udręczona dusza, nadal dużo czytał pomiędzy jednym pijackim ciągiem a drugim mimo piętna, jakie pozostawiały na nim mijające lata, i Dradin pamiętał, jak staruszek wielokrotnie wydmuchiwał swój wyjątkowo czerwony nos - nos wręcz monstualny - niemający odpowiednika w historii rodziny - czytał i szlochał nad dokonywanymi z zimną krwią wyczynami dwóch debiutantek o imionach Juliette i Justine, których droga życiowa wiła się od biedy do prostytucji, przez dżungle i z powrotem, płacząc z radości, gdy znów zdobyły bogactwo i udały się w fascynującą podróż rzeką Moth, tam i z powrotem, wzdłuż i

wszerz, aż w końcu nieskazitelna Justine zeszła z tego świata z powodu nadmiaru tragicznych przyjemności, które ją wyczerpał.

Dradin aż spuchł z dumy na myśl, że kobieta w oknie jest piękniejsza od Juliette czy Justine, o wiele piękniejsza, a poza tym o wiele bardziej niezłomna. (A mimo to, przyznał, w jej delikatnych rysach, w bladeści ust można dopatrzeć się niezłomnych cech charakteru).

Tak rozmyślając, Dradin pchnął szklane drzwi. Lakierowana rama z dębu zaskrzypiała, a dzwonek zadzwonił: raz, drugi, trzeci. Po trzecim dzwonku pojawił się sprzedawca, odziany cały w ciemną zieleń, z mankietami zdobionymi złotym szamerunkiem, przemieszczając się bezszelestnie po grubym dywanie, skłonił się i zapytał:

- Czym mogę służyć?

Dradin wyjaśnił, że szuka prezentu dla kobiety.

- Nie znam jej - rzekł - ale chciałbym poznać.

Sprzedawca, smukły chłopiec o włosach barwy brudnego brązu i twarzy o rysach subtelnym jak zapiekanka z baraniny, zamrugął z namysłem, uśmiechnął się i oznajmił:

- Rozumiem. Chyba wiem, czego pan szuka. Dostaliśmy tę książkę dopiero dwa tygodnie temu z Ministerstwa Kaprysu - okcydentalnego wydawcy. Proszę za mną.

Poprowadził Dradina między potężnymi półkami tekstów historycznych, które studiowali przypominający suszone śliwki mężczyźni odziani w pomarańczowe pantalone - na pewno bufony z uniwersytetu, ćwiczące przed jakimś wydarzeniem związanym z barokową muzyką Vossa Bendera - i wielkimi półkami wypełnionymi fikcją i sielankami, którymi nie zajmował się nikt poza wdową w czerni i dwunastolatkiem w grubych okularach, potem wzdłuż nużących kolumn książek filozoficznych, na których osiadał jeszcze grubszy kurz, aż dotarli do kącika ukrytego obok *Pogrzebów*, oznaczonego jako *Obiekty pożądania*.

Sprzedawca wyciągnął elegancką książeczkę, o wymiarach mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, oprawioną w miękką aksamit ze złoceniami.

- Jej tytuł brzmi *Odbicie światła w więzieniu*, a zawiera ona zbiorową mądrość ostatniego z truffidiańskich mnichów, więzionych w mrocznych wieżach Kalifa. Z takiej wieży uwolnił go śmiały awanturnik, który...

- Który nie był synem Hoegbottona, a przynajmniej taką mam nadzieję - rzekł Dradin, gdyż wszyscy wiedzieli, że specjalnością firmy Hoegbotton i Synowie są wszelkie rodzaje tanich chwytów i parodii, a nie podobało mu się, że może podarować swojej ukochanej coś, co sama mogła rozpakowywać i katalogować.

- Hoegbotton i Synowie? Skąd, proszę pana. Żaden tam syn Hoegbottona. Nie prowadzimy interesów z firmą Hoegbotton i Synowie, mamy tylko umowę na sprzedaż ich

przewodników, gdyż ich praktyki są... Jak to ująć?... Wątpliwe. Nie, nie handlujemy z Hoegbottonem ani jego synami. Ale o czym ja to mówiłem? O truffidianach.

- Są ekspertami w sztuce katalogowania, prawdziwymi pasjonatami, z istotnym rozróżnieniem: kiedy mówię, że to namiętność, to mam na myśli najbardziej ogólne znaczenie, znaczenie, które nie dopuszcza intymności z gatunku takich, jakie mogłyby damie, którą pragnie pan poznać lepiej, wydać się zbyt wulgarne. Przemawia ona do aspektów niematerialnych i jest nacechowana wysokiej klasy dowcipem, którego nie byłbym w stanie wyrazić. Nie jest obraźliwa: raczej przyda ofiarodawcy aury tajemniczości, która może okazać się nieustannie kusząca.

Sprzedawca podsunął książkę, by Dradin mógł się jej bliżej przyjrzeć, ale on tylko lekko dotknął zgrabnej okładki dłonią i rzekł, że przyszło mu do głowy coś wspaniałego: mógłby spoglądać na te stronicie w tym samym czasie co jego ukochana. Ta myśl sprawiła, że dłonie zadrżały mu tak, jak to się nigdy nie zdarzyło od chwili, gdy jego ciało opanowała gorączka, a on bał się, że umrze. Wyobraził sobie, jak kładzie dłoń na jej dłoni i razem przewracają kartki, jej oczy pieszczą ten sam rozdział i akapit, ten sam wiersz i słowo; mogliby poznawać namiętność razem, lecz osobno.

- Doskonale, doskonale - rzekł. Zawahał się przez sekundę, gdyż był raczej bez pieniędzy niż w ich posiadaniu, po czym dodał: - Ale potrzebowałbym dwóch egzemplarzy. - Brwi sprzedawcy powędrowały w górę jak zdumione sylwetki mew, które nagle odkryły, że ryba, na którą już miały zapolować, okazała się sidłami, a Dradin wyjąkał: - I... I... Mapy. Mapy miasta. Na Festiwal.

- Oczywiście - odparł sprzedawca, jakby już miał powiedzieć: *I wszędzie neofici, nie?*

Dradin z kwaśną miną odparł:

- Proszę zapakować tę, a drugą wezmę niezapakowaną, razem z mapą - po czym stał sztywno, napawając się własną ważnością, a sprzedawca guzdrał się i rzucał dygresjami. Dradin wiedział, co tamten sobie myśli: *kapłan łajdak, bezbożny, niezwiązany przymierzem zawartym z Bogiem*. Być może sprzedawca miał rację, ale czyż prawo kanoniczne obejmowało wszystkie nieprzewidziane sytuacje, jakie czyhały na pozostawionych samym sobie, sytuacje będące mieszaniną piękna i niesamowitości, jakich nie brakowało w dżungli? Jakże można było pojąć i objaśnić niezwykle wdzięk Ludu Łupiny, który żył w jaskiniach wyrzeźbionych przez wodospad, a wywłaszczony przez Dradina i wysłany do fortu misjonarzy narzekał na ciszę, milczenie Boga; narzekał, że Bóg przestał do niego mówić, bo czymże był odgłos wody rozbijającej się o skałę, jak nie głosem Boga? Odesłał ich z powrotem nad wodospad, bo nie mógł znieść widoku ich przerażonych twarzy, dezorientacji

wykwitającej na ich obliczach jak śmiertelny i umierający kwiat.

Po raz pierwszy znalazł sobie kochankę w dżungli: spoconą kapłankę, której pocaunki dusiły go i tłamsiły, choć sprowadziły go z powrotem do świata żywych. Czy to ona skaziła jego misję? Nie, bo bardzo starał się znaleźć nowych wyznawców, choć nie było wielu chętnych do nawracania. Walczył dalej, nawet w obliczu dzikich bestii, dzikich roślin i samych dzikusów. Być może próbował za długo, w obliczu zbyt wielu przeszkód, tak uporczywie, że można to było odczytać w widoku jego włosów: mocną czerń upstrzyły pasma bieli, czy raczej przy pewnym rodzaju oświetlenia mocna biel przebijała się przez czerń, a każde pasmo można było przypisać tropikalnej gorączce (było mu tak zimno, że aż parzyło, a skórę miał lodowatą), każde pasmo czerni było zaś świadectwem, że przeżył.

Sprzedawca wreszcie zawiązał jasnozieloną wstążkę wokół czerwonej paczuszki: trochę jarmarcznej, ale do wytrzymania. Dradin położył odpowiednią monetę na marmurowej ladzie, wepchnął mapę i drugi, nieopakowany egzemplarz do kieszeni, posłał sprzedawcy krzywe spojrzenie i ruszył w stronę drzwi.

W szarej poświacie ulicy Dradina otoczył upał i szum. Już myślał, że się zgubił, jak w dżungli, z której właśnie uciekł; zgubił tak, że już nigdy nie znajdzie swojej damy. Zaczął oddychać nieregularnie i przyłożył dłoń do skroni, czując się słabo, lecz beztrוסko.

Zbierając wszystkie siły, zanurzył się w morzu spoconych ciał, spoconych ubrań, spoconych kamieni bruku. Minął bliźniacze lwy, które wystawiały w jego stronę tyłki, jakby wiedziały doskonale, co zamierza zrobić, i ruszył w stronę arkad, przechodząc obok awangardy sprzedawców mango, przy których maszerowała armia podstarzałych wdów o pełnych brzuchach, odzianych w fartuchy z głębokimi kieszeniami, zdeterminowanych, by wykupić każdy owoc i każdą jarzynę do ostatniej sztuki; małych szczeniąt bawiących się u jego stóp, aż, Boże dopomóż, popchnięto go bezładnie na stertę czegoś, a następnie, potykając się i zarabiając siniaka, przedostał się na chodnik po przeciwnej stronie, gdzie mógł znów spojrzeć na swoją ukochaną. Czy jakakolwiek podróż mogła być bardziej niebezpieczna niż pokonanie bulwaru Albumuth w środku dnia - może pokonanie rzeki Moth podczas powodzi?

Niezrażony Dradin poderwał się na równe nogi, chroniąc książki, po jednej pod każdą pachą, i uśmiechnął się do siebie.

Kobieta nadal tkwiła na swoim miejscu na trzecim piętrze; Dradin widział ją, gdyż stał dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio, nad tym samym pęknięciem chodnika, i była tam, jak i przedtem, widoczna jako gra cieni na szybie. Jej sztywne postawa sprawiała, że wiele pytań cisnęło mu się na usta. Czy nie miała przerwy na lunch? Czy uczynili z jej przywary cnotę i praktycznie ją uwięzili, przykuwając zgodnie z jakimś nieludzkim

harmonogramem? Co powiedział ten sprzedawca? Że praktyki Hoegbottona są wątpliwe? Dradin chciał wkroczyć do budynku i porozmawiać z jej przełożonym, być jej rycerzem, ale miał bardziej praktyczny dylemat: nie chciał się ujawniać, więc musiał znaleźć posłańca, który dostarczy prezent.

Rozejrzał się po otaczającym go tłumie i przestał widzieć wyraźnie: świat sprowadził się do pola maszerujących ubrań. Spinki do mankietów i wystrzępione spodnie, bluzy tańczące wraz ze spodniami, wysokie bawełniane czapki i buty z luźnymi sznurowadłami. Jak ich odróżnić? Do kogo podejść?

Ktoś postukał go w ramię i powiedział:

- Chce pan ją kupić?

Kupić? Dradin opuścił wzrok i zobaczył, że stoi przy nim dziwaczny mężczyzna. Osobliwy ten egzemplarz wyglądał - trzeba to powiedzieć - jakby składał się z jednego mięśnia; przysadzisty człowieczek o nisko osadzonym środku ciężkości, a mimo to wyglądający na beztroskiego: krótko mówiąc, karzełek. Jak można było go nie dostrzec? Miał na sobie marynarkę i kamizelkę tak czerwoną, jakby zrobiono ją z tuszy świeżo ubitego zwierzęcia, oraz plisowane spodnie, ciemne jak skrzepła krew, i buty ze stalowymi noskami. Brzegi jego ust wykrzywiały uśmiech tak trwałe i sztywne, że przyglądając się po raz drugi Dradin zastanawiał się, czy to nie grymas. Karzełek był łysy jak melon i wytatuowany od stóp do głów.

Tatuaż - który na pierwszy rzut oka wyglądał jak znamię albo grzybicza narośl - sprawił, że Dradin zaniemówił i karzełek musiał po drugi zwrócić się do niego:

- Dobrze się pan czuje, proszę pana?

Dradin po prostu gapił się z otwartymi ustami, jak młoda kawka, która ma jeszcze puch zamiast piór. Tatuaż na karzełku, rozpoczynający się na czubku głowy i rozciągający w dół, był bowiem dokładną i szczegółową mapą rzeki Moth, z czarnymi nazwami miast wykłutymi na czerwonych kropkach, które oznaczały miejsca. Sama rzeka była niebieskozielona, w niektórych miejscach węższa, a w niektórych szersza; opadała nad lewą powiekę karzełka, okrążała czarne jak noc oko, a potem wiała się wśród napiętych linii nosa i ust, zakrzywiając się nad obfitym podbródkiem, by zniknąć pod kamizelką karzełka, w gęstwinie włosów na jego piersi, jak egzotyczny wąż. Od rzeki Moth ciągnęły się leżące za nią krainy. Miasta północy, gdzie Dradin spędził młodość: Belezar, Stockton i Morrow (tam ostatnio mieszkał jego ojciec) - tłoczyły się nad brwiami, a na karku, prawie na plecach, gdybyśmy mieli wyrażać się dokładnie, znajdowały się dżungle, miejsce pobytu Dradina w ciągu ostatniego roku: potężna ściana zieleni naszkicowana z jubilerską precyzją, gdzie

jedynym śladem cywilizacji było kilka smug czerwieni, oznaczających kościelne enklawy. Dradin potrafił wyznaczyć linię będącą trasą jego własnych posępnych wędrówek. Uśmiechnął się i powstrzymał przed dotknięciem głowy karzełka, gdyż przyszło mu na myśl, że ciało tamtego stanowi oś czasu. Czyż nie ukazywało miejsca urodzenia Dradina i wczesnych lat spędzonych na północy, jak również powolnej wędrówki na południe, dżungli i wreszcie, jeszcze bardziej na południe, Ambergris? Czyż nie mógłby - gdyby tylko zdołał zobaczyć cały tatuaż - prześledzić swej dalszej podróży na południe, nad morza, do których wpadała Moth? Czyż nie mógłby w pewien sposób poznać swej przyszłości? Zaśmiały się, ale z jakiegoś powodu wydało mu się to niestosowne.

- Niewiarygodne - rzekł.

- Niewiarygodne - powtórzył karzełek i uśmiechnął się, ukazując wielkie, pożółkłe zęby rozrzucone pośród pustych miejsc po siekaczach i trzonowcach. - Mój ojciec, Alberich, zrobił to, kiedy przestałem rosnąć. Miałem występować w przedstawieniu - był sternikiem na statku dla turystów - więc chciał pokazywać na mnie jak na mapie pokonywaną trasę. Bolało, jakby tysiąc diabłów wbijało mi haki w skórę, lecz istotnie, teraz wygląda to niewiarygodnie. Chce pan ją kupić? Nazywam się Dvorak Nibelung. - Przekazawszy tę solidną dawkę informacji, karzełek wyciągnął krótką, poskręcaną dłoń, która w dotyku była zimna i bardzo szorstka.

- Nazywam się Dradin.

- Dradin - rzekł Dvorak - Dradin. A więc ponawiam pytanie, chce pan ją kupić?

- Kogo kupić?

- Tę kobietę w oknie. Dradin zmarszczył czoło.

- Nie, oczywiście, że nie chcę jej kupić.

Dvorak uniósł wzrok i spojrzał w czarne, wodniste oczy. Dradin poczuł od karzełka silny piżmowy zapach rzecznej wody i szlamu, pomieszany z ostrym odorem uzależniającego orzecha ghiti.

- Czy muszę panu mówić - odezwał się Dvorak - że ona jest jedynie obrazem w oknie? Nie jest dla pana niczym bardziej realnym. Widząc ją, zakochuje się pan w niej. Jeśli jednak pan zechce, mogę znaleźć kobietę, która wygląda tak samo jak ona. I zrobi wszystko za pieniądze. Chce pan taką kobietę?

- Nie - odparł Dradin i obróciłby się, gdyby tylko w tłumie było dość miejsca, by nie wyglądało to nieuprzejmie. Poczul na ramieniu dłoń Dvoraka.

- Jeśli nie chce pan jej kupić, to co chce pan z nią zrobić? - Brak zrozumienia nadawał głosowi Dvoraka nieokreśloną barwę.

- Chciałbym... Chciałbym zabiegać o jej względy. Chcę dać jej tę książkę. - A potem, tylko po to, żeby się go pozbyć, Drabin rzekł: - Czy mógłby pan zanieść jej tę książkę i powiedzieć, że to od wielbiciela, który pragnie, żeby ją przeczytała?

Ku zdziwieniu Dradina Dvorak zaczął posapywać, cicho, a potem coraz głośniejsze, aż rzeka Moth zmieniła bieg wśród zakrętasów jego twarzy, a coś przymocowanego pod marynarką zaczęło postukiwać w rytm setek śmiertelnych dreszczy.

Dradin poczuł, że twarz mu płonie.

- Chyba poszukam kogoś innego.

Wyjął z kieszeni dwie błyszczące złote monety z twarzą Trilliana Wielkiego Bankiera i już chciał obrócić się ostro na pięcie. Dvorak otrzeźwiał i szarpnął go za ramię po raz trzeci.

- Nie, nie, proszę pana. Proszę mi wybaczyć, jeśli pana obraziłem albo zdenerwowałem. - Sięgnął i wyszarpnął zapakowaną jak prezent książkę, tkwiącą pod pachą Dradina. - Zaniosę książkę tej kobiecie w oknie. To żaden problem, widzi pan, sam robię interesy z firmą Hoegbotton i Synowie - po czym odsunął połę marynarki, ukazując pięć rzędów sztuców: ząbkowane, dwusieczne, wykonane z kości wieloryba i stali, okładane rzeźbionym drewnem i grubą skórą. - Widzi pan - powtórzył - handluję nożami przy wejściu do ich biura. Znam ten budynek - wskazał na solidną budowlę z cegły. - Mogę?

Dradin, boleśnie świadom klaustrofobicznej bliskości karzelka, jego smrodu, chciał odmówić, odwrócić się i powiedzieć nie tylko „nie”, ale też: „Jak śmiesz dotykać człowieka Boga?”, tylko co wtedy? Musiał zawierać jakieś znajomości z tymi ludźmi, ściągnąć z zakurzonego chodnika jakiegoś zbira, przecież nie mógł tego zrobić sam. Uświadomił to sobie, zbliżając się do budynku firmy Hoegbotton i Synowie i czując, jak drżą mu kolana, jak słowa grzechoczą mu w ustach, wychodząc z nich jako niewyraźne, oddzielone od siebie sylaby. Strząsnął z książki rękę Dvoraka.

- Tak, tak, może pan jej to dać. - Włożył mu książkę do ręki. - Ale proszę się pośpieszyć. - Poczul ulgę, jakby ktoś zdjął mu ciężar z ramion. Wsunął monety do kieszeni Dvoraka. - No, dalej - machnął ręką.

- Dziękuję panu - odparł Dvorak - ale czy nie powinien pan spotkać się ze mną jeszcze raz, jutro o tej samej porze, żebym przekazał panu jej opinię? Może będzie pan chciał podarować jej kolejny prezent, jak pan sądzi?

- Może powinienem poczekać i zobaczyć się z nią teraz?

Dvorak potrząsnął głową.

- Nie. Nie byłoby w tym romantyzmu ani tajemnicy. Proszę mi zaufać: lepiej będzie, jak rozplynie się pan w tłumie. Naprawdę tak będzie lepiej. Wtedy ona będzie się

zastanawiać, jak pan wygląda, jak się pan nosi, a jedyną wskazówką będzie ten prezent zagadka. Rozumie pan?

- Nie, nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Muszę być pewien. Muszę jej pozwolić...

- Ma pan rację - nic pan nie rozumie. Pan w końcu jest kapłanem czy nie?

- Tak, ale...

- Nie sądzi pan, że lepiej powiedzieć jej o tym dopiero w stosownym momencie? Nie sądzi pan, że może być zdumiona, iż jej zalotnikiem jest kapłan? Nosi pan strój misjonarza, ale ona nie jest zwykłą wyznawczynią.

I teraz Dradin zrozumiał. I zastanawiał się, czemu wcześniej tego nie dostrzegął. Musi ją ostrożnie wprowadzić w zawilości swego zawodu. Nie może jej już na wstępie odstraszyć.

- Ma pan rację - odparł. - Oczywiście, ma pan rację. Dvorak poklepał go po ramieniu.

- Proszę mi zaufać.

- A zatem do jutra.

- Do jutra, i proszę przynieść jakieś pieniądze, nie potrafię żyć tylko dobrą wolą.

- Oczywiście - przytaknął Dradin.

Dvorak skłonił się, odwrócił i podszedł do drzwi biura firmy Hoegbotton i Synowie, po czym - szybko, sprawnie i wdzięcznie - zniknął w środku.

Dradin spojrzał na swoją ukochaną, zastanawiając się, czy jednak nie popełnił błędu. Jej usta wzywały go i miał wrażenie, że całe niebo zebrało się w jej oczach, ale postąpił zgodnie z radą karzełka i z lekkim sercem wkroczył w tłum.

## II

**DRADIN, KTÓRY NIE BYŁ TAK SZCZĘŚLIWY OD** chwili, gdy w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia został uleczony z gorączki, jakieś osiemset kilometrów stąd i trzy miesiące temu, przechadzał się niespiesznie bulwarem Albumuth, wdychając zapach sumów smażonych na otwartych patelniach, pikantnej zupy dziadunia, słodki żal przejrziałych melonów, granatów i oferowanych do sprzedaży owoców liczi. Czując burczenie w żołądku, zatrzymał się, by kupić szaszłyk z wołowiny i cebuli, po czym pożarł go hałaśliwie i wytarł ręce w tył spodni. Oparł się o latarnię tuż obok ulicznego golibrody, świadom obecności słodkich wyziewów o zapachu szamponu, trzymając się z dala od pełznającej rynsztokiem wody, i wyciągnął mapę kupioną w Księgarni Borges. Była wydrukowana na tanim papierze, a wiele nazw ulic



wpisano ręcznie. Bezbarwna, wyglądała nieciekawie przy tatuażu Dvoraka, ale była dokładna i z łatwością znalazł skrzyżowanie ulic, przy którym znajdował się jego pensjonat. Za pensjonatem, w dolinie, leżało właściwe miasto; na północ od niego ciągnęła się dzielnica religijna: tam mieszkał jego dawny nauczyciel, Cadimon Signal. Dradin mógł dojść do pensjonatu na dwa sposoby. Pierwsza trasa prowadziła przez starą dzielnicę fabryczną, bez wątpienia zaścieloną zwłokami pordzewiałych pojazdów silnikowych i szynowych, a przecięte szyny sterczały w powietrze, nadając krajobrazowi nastrój beznadziejności. W dzieciństwie, spędzonym w Morrow, Dradin wraz ze swoim dawno utraconym przyjacielem Anthonym Toliverem (zwanym Tolivką-Oliwką z powodu swego uwielbienia dla oliwek i oliwy z nich) bawił się w takiej dzielnicy i jakoś nie odpowiadała ona jego temperamentowi. Pamiętał, jak na ich zabawy kładł się cieniem ponury widok przewróconych pociągów, z ich wielkimi głowami patrzącymi w niebo szklanym spojrzeniem, gdy inne wyglądały, jakby spijały coś z zimnej, ciemnej gleby pod nimi. Nie był w nastroju na oglądanie śmierci metalu, nie teraz, gdy na przemian serce zwalniało mu lub przyspieszało, raz był spokojny, by po chwili wpaść w nadpobudliwość.

Nie, powinien wybrać drugą trasę - przez najstarszą część miasta, liczącą ponad tysiąc lat, tak starą, że nie pamiętała już samej siebie, a lata wygładziły kamienie i pozbawiły je pamięci. Może taki spacer go uspokoi, pozwalając zarazem cieszyć się płonąca w sercu radością i jednocześnie wyciszyć się, tak by nie szumiało mu w głowie.

Pospieszył dalej - ignorując defekującego na chodniku mężczyznę (ze spodniami opuszczonymi do kostek) i delikatnie obszedł kobietę z Okcydentu, która, uzbrojona w tłuczek, waliła po głowie żywe karpie, aż ich żółtawe mózgi lądowały na bruku.

Po kilku minutach marszu wszechobecne budynki odpłynęły w dal, zabierając ze sobą dym, kurz i szmer głosów. Świat stał się cichy, jeśli nie liczyć szurania, jakie wydawały na bruku buty Dradina, i od czasu do czasu terkotu przemykającego pojazdu silnikowego, który toczył się, połatany, prawdopodobnie spalając więcej oleju niż paliwa. Dradin zignorował smród spalin i rozzłoszczone riposty rur wydechowych. Dostrzegł tylko twarz kobiety w oknie - jak wzór z porostów na poplamionej na szaro ścianie, w wirze liści zbieranych w rynsztoku.

Najstarsze aleje, ciągi przelotowe biegnące z pradziadowym dostojeństwem od czasów, gdy Dwór Żałobnego Psa był nowy, a Dni Płonącego Słońca ciągle jeszcze nie wyprażyły ziemi, pławiły się w gęstej zupie kapryfolium, passiflory i bugenwilli, którymi gardziły pszczoły i szerszenie. Ruch na takich ulicach nie był duży: starsi panowie na zdrowotnej przechadzce po lunchu, gubernier prowadzący dwójkę dzieci w niedzielnych

ubraniach, wszyscy w wyglansowanych butach i z twarzami umyтыми metodą naplucia na chusteczkę.

Budynki, które Dradin mijał, były wzniesione z twardego, niewzruszonego szarego kamienia, oddzielone dziedzińcami z fontannami. Chwasty i bluszcz dusiły boczne ściany tych przyciężkawych, barokowych budowli z wybitymi szybami, jakby wpychające się do środka pnącza rozbiły szkło. Powoje, dziwaczki i całe zwały bluszczu dławily rozpadające się kamienne drogowskazy, zwiślały z zardzewiałych balustrad, strzelały w górę z rozpadlin w chodniku i wplątywały się w ogrodzenia i bramy, na których widać było osmalenia. Kto kiedyś mieszkał w takich budynkach i jakie interesy tu prowadzono - tego Dradin mógł się jedynie domyślać. Pod względem wysokości i solidności stwarzały wrażenie, że to jakieś budowle rządowe, tchnące biurokracją z powodu ozdobników i popiersi, gargulców i krępych kolumn. Biurokracja przegrała jednak z czasem: dzierżące miecze posągi konne pokryły się porostami, rysy twarzy wygładziła głęboko osadzona w kamieniu pleśń, a fontanna rozpadła się w środku pod naciskiem muskularnych korzeni dębu. Odczuwało się jakąś oszalamiającą atmosferę bezprawia w tej ciszy wśród pnączy.

Dżungla oczywiście nigdy nie przykryła rogu obfitości składającego się z rozmaitych grzybów, gdyż między kawałkami wypalonego czarnego kamienia Dradin wypatrzył spore ich kępy, barwne jak żebracy na bulwarze Albumuth: szmaragdowe, purpurowe, rubinowe, szafirowe, brązowe, bordowe, cieliście białe. Rozmiarami także się różniły: od naparstka po średnicę opasłego brzuszyska eunucha.

Taka radosna i losowa dekoracja ucieszyła Dradina tak bardzo, że zaczął podążać za wzorem barwnego dywanu grzybów.

Szlak powiódł go do wąskiej alejki, na końcu której stała trzymetrowa ściana z szarego kamienia, i Dradin odniósł nagle wrażenie, że przemierzył przetyk węża. Grzyby rozrastały się bujnie, wyrastając nie tylko ze szczelin w bruku, lecz także ze ścian; tworząc barwne cętki nóżek i kapeluszy na szarości.

Słońce schowało się za chmurami. Wzmógł się wiatr, wiejąc Dradinowi prosto w twarz. Drzewa pochyliły się nisko, zasłaniając niebo. Ulica nadal zwężała się, aż wreszcie mogły nią iść tylko dwie osoby, potem jedna, aż wreszcie stała się tak wąska jak najwęższy narteks, jaki Dradin znał; musiał iść bokiem, jak krab, a i tak oddał jeden guzik.

W końcu ulica zaczęła się znów rozszerzać. Przedarł się na otwartą przestrzeń, która powitała go trzaśnięciem głośnym jak odgłos łamanego kręgosłupa, dźwiękiem, który przeszył go na wylot. Krzyknął i wzdrygnął się, unosząc ramię, by zasłonić się przed ciosem, a morze skrzydeł zaczęło unosić się ku niebu.

Powoli opuścił ramię. Gołębie. Stado gołębi. To tylko gołębie.

Ruszył dalej, a kiedy stado odleciało, odsłaniając widok na drzewa, Dradin dostrzegł po prawej stronie rozpadający się gołębnik, z którego uciekły ptaki. Otwory wylotowe patrzyły bezkresnym spojrzeniem ślepeca. Odór gołębiego łajna przyprawił go o mdłości. Za gołębnikiem, oddzielone ścieżką, stało kolumbarium, także opuszczone i rozlatujące się, aż urny z popiołami stały na samych brzegach półek, a poniżej roztrzaskanego okna leżały na bruku dwie z nich z wysypanym popiołem.

Gołębnik i kolumbarium! Jedno obok drugiego, co za zbieg okoliczności, jak starzy przyjaciele, połączeni rozkładem.

Widok zaintrygował Dradina, ale bardziej zafascynowała go ścieżka między gołębnikiem a kolumbarium, gdyż tam grzyby, które tłoczyły się w pęknięciach bruku i upstrzyły ściany jak ospa, teraz rozrosły się wręcz niewyobrażalnie, a na bruku było aż grubo od grzybów różnych barw i odcieni. Po prawej stronie ścieżki wycięto dziesięć nisz, zasłoniętych żelaznymi kratami: setki hartowanych cherubinów i diabłów utrwalonych w metalowym dziele. Krata najbliższej niszy stanęła otworem i wysypały się z niej porosty, pnącza i grzybianie z opuszczonymi czerwonymi flagami. Otoczeni dzikim winem przypominali ludzkie kamienie nagrobne albo sennych pływaków tonących w zielonym morzu.

Za Dradinem - który odskoczył, gdy tylko zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki - leżał grzybianin, którego Dradin wziął za grzyb rozmiarów dziecka. Miauczał i wił się w półśnie, a Dradin patrzył na niego z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Choć w Ambergris był przybyszem, wiedział o istnieniu grzybian, gdyż jak nauczał Cadimon Signal w Morrow, „wyznają najbardziej cudaczny ze wszystkich kultów”, choć z suchych i poskręcanych warg Cadimona nie wydostało się już zbyt wiele słów.

Grzybianie cuchnęli starą, rozpadającą się stajnią, zepsutym mlekiem i jarzynami, pomieszanymi z wilgocią mrocznych szczelin i suchością jednodniowych żuków gnojaków. Niektórzy ludzie mawiali, że spiskują oni i szepczą w tajemnym języku, tak starym, że nikt już nim nie mówi nawet na dalekim Okcydencie. Inni mówili, że grzybianie przybyli z podziemnych jaskiń i tuneli pod Ambergris, że są zbiegłymi skazańcami, którzy zbierają się w ciemności, stworzyli własną, niezwykłą religię i mają własne cele, i unikają światła, bo po wielu latach spędzonych pod ziemią są ślepi. A inni, biedni i niewykształceni, mówili, że traszki, szmaciane lalki, ślimaki i salamandry podążają ich śladem po ziemi, zaś w powietrzu nietoperze, lelki i nocne marki lecą za nimi, karmiąc się owadami, które pełzają w równym stopniu wokół grzybów i grzybian.

Grzybianie sypiali w dzień na ulicach, ale nocą wychodzili, by zbierać grzyby, które rosły w szczelinach i na zaciemionych cmentarzach podczas słonecznych godzin. Kiedy spali, wbijali obok siebie czerwone ostrzegawcze flagi i wyrażali swą żalność wobec tych, którzy - jak Dradin - zakłócili im przepelniony wilgocią smętny sen. Żeglarze w dokach opowiadali Dradinowi, że grzybianie podobno okradają groby, by uzyskać w ten sposób kompost, a nawet mordują turystów i używają ich ciał jako nawozu przy uprawie swoich nocnych plonów. Nikt ich nie ścigał ani nie przesłuchiwał, bo nocą zbierali śmieci i padlinę z zaśmieconych ulic Ambergris. O świcie ulice były wysprzątane do czysta i lśniły niewinnie w świetle słońca.

Z niszy wysypało się już pięćdziesięciu grzybian; w ich spokoju i rytmicznym oddechu było coś makabrycznego: wyglądali, jakby przestali nagle rosnąć, byli odziani w szaty o barwie szarej zieleni, jak podbrzusze żaby, a głowy ukrywali pod filcowymi kapeluszami z szerokim rondem, przypominającymi kapelusze organizmów, od których wzięli swe miano - zakrywały ich aż po kark. Jedyne nieosłoniętą częścią ich ciała były szyje, niewiarygodnie długie i blade. Naprawdę przypominali grzyby.

A mimo to, przynajmniej dla Dradina, byli raczej niepokojąco ludzcy niż nieludzcy - oddzielna rasa, rozwijająca się równolegle, milcząca, niewidzialna, przywiązana do rytuałów - a ich widok tego samego dnia, kiedy Dradinowi zdarzyło się nieodwołalnie zakochać, wytrącił go z równowagi. Czuł już kiedyś oddech śmierci w dżunglach i nie zaznał strachu, jedynie ból, ale tu poczuł, jak strach przeszywa go do kości. Strach przed śmiercią. Strach przed nieznanym. Strach przed poznaniem smaku śmierci, zanim zdoła zakosztować miłości. Chorobliwość i posępna ciekawość, pomieszana z marzeniami o izolacji i samotności. Wszystkie obsesje, z których podobno wyleczył go Instytut Religijności.

Stojąc w tym miejscu, u wylotu alejki, Dradin poczuł się, jakby podglądał tajemny, zakazany świat. Czy oni śnili o potężnych grzybach z szarymi kapeluszami lśnącymi w przyćmionym świetle północnego słońca? Czy śnili o świecie rozświetlonym wyłącznie fosforescencyjną wspaniałością ich ładunków?

Dradin patrzył na nich przez długą chwilę, a potem ruszył szybciej i minął wylot alejki.

Wreszcie, pod zasłoniętym chmurami okiem słońca, labirynt ścieżek ustąpił miejsca szerokim, otwartym ulicom, po których chodzili stolarze, urzędnicy, kowale i gazeciarze, i wkrótce Dradin przybył do ponurego, lecz taniego pensjonatu Holander-Barth. (W dawnych, bogatszych czasach w ogóle nie przyszłoby mu do głowy, żeby się tu zatrzymać). Widział w

dżungli zbyt wiele takich przybytków: wielkie dwory rozpadające się do fundamentów, zajęte przez ostatnich ludzkich mieszkańców, krzyżujących się między sobą, przekonanych, że dżunglę można podbić maczetą i ogniem, aż przekonają się, że to dżungla podbiła ich; gdzie jeszcze wczoraj ścięli tysiąc pnączy, już dziś tysiąc wiło się i zaplatało w bujności życia. Dradin nie był nawet pewien, czy Szpital Sióstr Miłosierdzia nadal stał na swoim miejscu, nietknięty przez siły przyrody.

Pensjonat Holander-Barth, kiedyś biały, dziś w kolorze zgaszonej szarości, był hołdem złożonym pretensjonalności: żalozne, inkrustowane marmurowe kolumny rozpadały się od środka, a na balkonach zdobionych misternymi balustradami, poczerniałymi od rdzy, suszyło się pranie. Być może kiedyś jego właścicielami byli zblazowani arystokraci, teraz jednak po korytarzach przechadzali się gruźlicy, wykasłując płuca i gmerając w podartych kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Przeważnie byli to weterani dawno zapomnianych kampanii, którzy mogli sobie pozwolić na dach nad głową dzięki emeryturze, ignorując spękaną armaturę, odłazącą od ściany tapetę, wspólne prysznice i toalety, albo żyjąc w błogiej nieświadomości ich istnienia. Jak zauważył jednak woźnica jednokonki, „To miejsce jest najtańsze”, i dodał: „Ale daleko od Festiwalu”. Na szczęście właściciele czuli szacunek wobec duchownego, nawet w podniszczonych szatach, i zaoferowali Dradinowi jeden z pokoi na drugim piętrze z własną łazienką.

Czując, jak serce wali mu młotem, nie ze strachu, lecz z pożądania, przebiegł przez krzywą werandę, mijając emerytów, który kiwali głowami lub wykonywali bezładnie znak krzyża, i popędził spiralnymi schodami w górę, podszedł do drzwi, chwilę zmagął się z kluczem, a po wejściu do środka upadł na łóżko z łupnięciem, od którego sprężyny aż jęknęły, rzucając obok siebie książkę. Okładka pod jego palcami była gładka i jedwabista. Przypomina na pewno dotyk jej skóry, pomyślał i natychmiast zasnął z uśmiechem na ustach; było południe i upał pozbawił go sił.

### III

**DRADIN OBUDZIŁ SIĘ Z SUCHOŚCIĄ W USTACH**, zmierzwionymi włosami i podbródkiem szorstkim od szczeciny, czując jakiś ucisk na nerw na plecach, przez co aż jęknął i obrócił się na łóżku, widząc wszystko w nieco zwichrowanej perspektywie, choć tym razem nie z powodu kobiety. Nawet w tej pozycji był jednak w stanie określić, że słońce opadło już za horyzont, a tam, gdzie niebo było przedtem szare od chmur, teraz przechodziło

od czerni do sinego fioletu; księżyc był cętkowany, a światło sączyło się małymi porcyjkami. Dradin ziewnął i ścisnął ramiona, by zwalczyć ból, po czym wstał i podszedł do wysokiego, ale wąskiego okna. Przekręcił klamkę i otworzył oba skrzydła na oścież, by wpuścić po pokoju zapach nadciągającego deszczu pomieszany ze słodkim odorem śmieci i kapryfolium.

Okno wychodziło na miasto właściwe, które leżało w zwiniętych dłoniach doliny zasilanej dopływami rzeki Moth. Tu zwykli ludzie spali i śnili nie o dżunglach, wilgoci i żądzy, która karmiła i głodziła ludzkie serca, ale o cichych spacerach w świetle gwiazd, karmionych mlekiem kocięta i cichym świście wiatru na drewnianych werandach. Zakładali rodziny, a wśród nich niewątpliwie trudno byłoby wypatrzeć misjonarza - przecież byli już nawróceni, więc wystarczyli im autentyczni kapłani. Tutejsi obywatele, podobnie jak mieszkańcy innych miast, płacili jednak dziesięcinę, za którą wysyłano do dalekich dżungli emisariuszy mających szerzyć tam słowo, emisariuszy, którzy byli wszak ucieleśnieniem ich własnych nadziei, życzeń, strachów i pragnień, które stały się ciałem. Dradin uznał, że to smutna myśl, która stała się jeszcze smutniejsza, gdy doszedł do wniosku, że gdyby nie jego powołanie, on też mógłby żyć takim życiem: osiąść i pograć się w codziennym rytmie, w którym nie było pulsowania dżungli, splecionego z rytmem jego serca. Anthony Toliver wybrał takie życie, porzucając stan duchowny zaraz po ukończeniu studiów teologicznych.

Dookoła doliny rozciągały się peryferie przypominające okrągłą plamę z wina i wulgarnej szminki. Pensjonat Holander-Barth wytyczał linię oddzielającą dolinę od nich, podobnie jak bulwar Albumuth wyznaczał koniec doków i początek peryferii. To właśnie tu, w miejscu, które wcale nie leżało w centrum miasta, Dradin zawsze czuł się najlepiej, nawet w dawnych czasach, gdy studiował w Instytucie Religijności i był dla siebie bardziej okrutny niż najbardziej pobożni z mnichów, którzy go uczyli.

Na peryferiach błazni podskakiwali i brykali, żonglerzy demonstrowali swe umiejętności, używając w tym celu dzieci i noży (i mieszając je tak łatwo, jak inni mieszają jabłka z pomarańczami). Tętno życia biło w upojnym tempie; tempie, które przyspieszało za peryferiami, gdzie nieustraszeni żeglarze rzeki Moth pływali na barkach, dawach, fregatach i nielicznych żaglowcach: wszystkim, co było w stanie unosić się na wodzie i utrzymać człowieka, nie tonąc w mule.

Za rzeką leżała dżungla, gdzie życie nabierało istic szaleńczego tempa. W dżunglach kryły się stworzenia, których istnienie trwało zaledwie jeden dzień, zagęszczone w zupełnie niezrozumiały sposób, więc Dradin, obserwując własną błyskawiczną śmiertelność, czuł, jak jego ciało umiera, godzina po godzinie, minuta po minucie, i uczucie to nie opuściło go nawet wtedy, gdy spoczywał w objęciach spoconej kapłanki.

Poczuł, jak przez okno wpada bryza i owiewa go, chłodząc, po czym wrócił do łóżka, okrążył je, by podejść do stojącej obok lampy, i oto pokój zalało miedziane światło, przy którym można było czytać. Padł na łóżko ze zgiętymi nogami i otworzył książkę na pierwszej stronie. Pogрузzył się w fantazjach: gdzieś, w jakimś innym pokoju, w jakimś innym domu, może nawet w dolinie poniżej, kobieta z okna leżała na własnym łóżku, w przyćmionym świetle, i przewracała te same strony, czytała te same słowa. W dotyku jego palców było coś erotycznego; miał wrażenie, że stronice są wilgotne, i przeżył krótki, ostry wstrząs, jakby wypił kielich ceremonialnego likieru. Poczuł twardość, ale oparł się pokusie, by się dotknąć. Ach, słodka agonio! Nigdy w życiu nie było mu ani w połowie tak dobrze, ani tak dziwnie. Z tym uczuciem nie mogło się równać nic, co poznał w odważnym i dzielnym świecie za rzeką Moth: płynne, węzowe tańce Kobiet Srok z Veldtu Frangipani, ani pojedynczy bolesny krzyk dziewczyny z plemienia Zinfendel, która rzuciła się głową w dół do grzmiącego wodospadu. Ani spocona kapłanka, której jękliwe dyszenie podczas ich nieporadnej gry miłosnej należało raczej przypisać wilgotności i wszechobecnym komarom, a nie jego umiejętnościom.

Dradin rozejrzał się po pokoju. Jakże był pusty w porównaniu ze wszystkimi miejscami, w których przyszło mu żyć przez ostatnie trzydzieści lat. Była tam jego maczeta z czerwoną rękojeścią, oparta o krawędź komody, i sakwa, w której trzymał proszki i płyny zdolne uleczyć setki występujących w dżungli chorób; buty z pomarańczowymi rysami, monety na stole - w tym świetle złoto wyglądało prawie na purpurowe - ale co jeszcze? Tylko walizka z dwoma zmianami ubrań, poźółkły, naddarty dyplom Instytutu Religijności w Morrow i dagerotypy przedstawiające jego matkę i ojca w tym krótkim okresie młodości, kiedy ojciec był gamoniem akademikiem z poczerwieniałą, pełną popękanych naczyń twarzą, a oczy matki nie stały się jeszcze wąskie z powodu otaczających je żyłek, spojrzenie zaś miały wyraziste jak odłamek zakrwawionego szkła.

Jak wyglądał pokój tej kobiety? Na pewno lśnił czystością, ale bynajmniej nie był pusty, och, nie. Pewnie było tam łóżko z białą moskitierą i miejsce, gdzie można postawić szklankę z wodą, i rząd ulubionych książek przy łóżku, dalej srebrno-biała toaletka z lustrem i komoda wypełniona po brzegi zdobioną falbankami odzieżą na noc, zdobioną falbankami odzieżą na dzień i nieprzyzwoicie zdobioną falbankami odzieżą na wieczór. Pudry i kremy do twarzy, by zawsze była blada. Przybory do szydełkowania i wełna lub przyrządy do jakiegoś mniej kobiecego hobby. Może hodowała waniliowego kota, który bawił się kłębkami wełny. Jeśli mieszkała w domu rodzinnym, jej świat na tym by się kończył, ale jeśli samotnie, Dradin miał do dyspozycji jeszcze trzy, cztery albo większą liczbę pokoi, które musiał wypełnić jej

miłością i nienawiścią. Czy lubiła plotki i pogawędki? Czy umiała tańczyć? Czy bywała na przyjęciach? O czym myślała, czytając tę książkę, na której pierwszej stronie napisano:

## **ODBICIE ŚWIATŁA W WIĘZIENIU**

*(Opowieść o tym, jak truffidiańscy mnisi,  
przetrzymywani w podziemiach Kalifa, nie wyrzekli się  
zdrowego rozsądku ani nadziei)*

AUTORZY:

Brat Peek

Brat Prowcosh

Brat Witamoor

Brat Sirin

Brat Grae

(przetrzymywani w osobnych celach,  
porozumiewający się z nami wyłącznie dzięki sile  
woli Siostry Stalker)

A na następnej stronie:

## **OTO ROZDZIAŁ PIERWSZY:**

### **MISTYCZNE PASJE**

Najbardziej mistyczne z pasji praktykują wodni ludzie żyjący w dolnym biegu rzeki Moth, gdyż zachowują celibat, spędzając większość życia w wodzie; osiągają jedność ze swymi partnerami w sposób, który dręczy pomniejszych z nas, utożsamiających miłość ze stosunkiem. Niewątpliwie ich kobiety nigdy nie staną się obiektami ich pożądania, gdyż utraciłyby nieodłączny miłosny czar.

Dradin czytał zachłannie, czując, jak pocą mu się dłonie; ale nie, nie wstanie, by napić się wody z umywalki, nie, nie uwolni się od napięcia, musi czuć ten ogień, podobnie jak jego ukochana musi płonąć, czytając te same słowa. Teraz był prawdziwym misjonarzem, nawracając się na przyczynę swej miłości, i nie był w stanie się powstrzymać.

Na zewnątrz, u wylotu doliny, światła zaczęły mrugać i migotać fosforescencyjną czerwienią, zielenią, błękitem i żółcią, i Dradin uświadomił sobie, że oto muszą trwać przygotowania do Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic. Jutrzejszego wieczora bulwar



Albumuth opustoszeje w oczekiwaniu na paradę, która rozleje się po sąsiednich ulicach, a potem po całym mieście. Na ulicach pojawią się świece osłonięte pudełkami z marszczonego papieru, a światło pełzające o północy po słonych wodach w miejscu, gdzie stykają się one z ujściem rzeki Moth, będzie wyglądać jak taniec kałamarnic, dużej i małej. Święto pory godowej: gdy samce walczą zaciekle o samice swego gatunku, rybacki lud wyrusza na miesięczną eskapadę po obszarach rozpusty w nadziei, że przywiezie dość mięsa, by przetrwać do następnej zimy.

Gdyby tylko jutrzejszą noc mógł spędzić z nią. Pośród rzeczy godnych zobaczenia na drodze do Ambergris woźnica jednokonki wskazał tawernę „Pijana Łódź”, gdzie można było podziwiać najlepsze sztuce i najlepszą klientelę, a podczas Festiwalu przygrywała zawodząca kapela o nazwie „Kruki”. Tańczyć z nią, dłonie splecione z jej dłońmi, zapach jej ciała na jego ciele - to wynagrodziłoby mu wszystko, co przeżył w dżungli, i wszystkie upokorzenia, jakich zaznał od tego czasu: poszukiwanie jeszcze bardziej podłej pracy, coraz mniejszy ciężar monet w kieszeniach.

Zegar wybił godzinę cierpiących na bezsenność, północ, i w dole pod oknem Dradin usłyszał wilgotny szmer grzybian, którzy zbierali padlinę i śmieci. Po uderzeniach zegara wkroczył szum deszczu, który padał cicho, delikatny jak dotyk dłoni Dradina na stronie *Odbicia światła w więzieniu*. Od okna rozchodził się deszczowy zapach, świeży i ostry.

Zwabiony nim Dradin odłożył książkę, podszedł do okna i patrzył na deszcz, który widać było w słabym świetle: krople przypominały ławicę srebrnołuskich rybek, które przypłynęły i odpłynęły, by wrócić po chwili. Welon błyskawicy, grzmot pioruna, i deszcz zaczął padać szybciej i mocniej.

Dradin tyle już razy patrzył na smagane deszczem okna starego, szarego domu na wzgórzu, gdy jeszcze był dzieckiem w Morrow (dom z zamykanymi okiennicami wyglądał, jakby przedtem miał oczy, które zaszyto), gdy krewni nadjeżdżali szarą, wijącą się drogą: światła kosztownych pojazdów silnikowych przebijały się przez zasłone deszczu. Pełzając pod górę, wyglądały jak mała armia garbatych żuków, czarnych, białych i czerwonych, przypominających te na ilustracji w ojcowskiej książce o owadach. Poniżej, jeśli tylko nie było mgły, widać było całe Morrow: tętniące życiem, zbudowane z kamienia i drewna, karmione przez rzekę Moth.

Z jednego z okien gabinetu Dradin miał podwójny widok: wewnątrz, na końcu amfilady trzech pomieszczeń, biblioteki, salonu i jadalni, widać było wtłoczoną do kuchni matkę, wielką śpiewaczkę operową (była wysoka i grubokoścista). Nie miała żadnej służącej do pomocy, żyli na wzgórzu we trójkę, więc delikatnie układała na talerzach klopsy,

rozkładała ciasteczka na tacach, nalewała do szklanek poncz i lemoniadę, próbując za wszelką cenę nie pobrudzić rąk i nie poplamzić czerwonej sukienki, zdobionej falbankami i koronkami. Śpiewała sobie przy pracy pełnym i chropowatym głosem (Dradinowi czasem wydawało się, że nie mówi, tylko śpiewa), więc słyszał przenoszone przez różne rury, kanały wentylacyjne i przejścia słowa największej opery Vossa Bendera:

*Przyjdź do mnie wiosną  
W strugach deszczu  
Słodka jak kwiatowy pyłek,  
Słodka jak świeży plaster miodu.  
Gdy twarde, brązowe gałęzie dębu  
Wypuszczą młode, zielone liście,  
W godzinie miłości, przyjdź do mnie.*

W piekarniku znajdował się doroczny bażant, a na zewnątrz Dradin widział ojca, chudego i skrupulatnego, we fraku, przeskakującego kałuże na podjeździe, z wielkim, czarnym parasolem. Tato kroczył precyzyjnie, jakby stając najpierw tu, a potem tam mógł przemknąć między kroplami deszczu, prześliznąć się między nimi, bo wiedział, że parasol na nic się nie przyda: był podarty i z mnóstwem dziur wygryzionych przez mole. Ale jakaż to pantomima dla gości, śmiał się Dradin, a jego matka śpiewała. Przepraszamy za deszcz, kałuże, zniszczony parasol. W miarę upływu lat ojcowskie powitanie stawało się coraz bardziej nieuprzejme i bełkotliwe z powodu picia i wieku, aż przestało być widowiskowe. Dawniej jednak miał zwyczaj rozkładać ramiona jak łagodna modliszka i szybkimi ruchami przekładać parasol z jednej ręki do drugiej, wykonując przeproszające gesty. Goście tymczasem - ciocia Sophie i wujek Ken - byli już częściowo w samochodach, częściowo poza nimi; bardzo się starali zachowywać uprzejmie, ale byli przemoczeni do nitki. Matka w domu miała czas, by się przygotować; stała przy frontowych drzwiach z powitalnym uśmiechem i zerkając jednym nieubłaganym okiem na bażanta, który zaraz miał się przypalić, wołała Dradina.

W bardziej rozszalałym deszczu Dradin po raz pierwszy doznał przeżycia zbliżonego do duchowego. Miało ono miejsce w ponury dzień wizyty krewnych. Liczył zaledwie dziewięć lat i czuł się jak w pułapce: uwięziony wśród suchych cmoknięć w policzek; uwięziony w odorze wilgotnych, spoconych ciał, znajdujących się blisko siebie; uwięziony w suchym zapachu cygar i zaniepokojonych spojrzeniach starszych mężczyzn o brwiach

przypominających nieruchome białe ślimaki, wijących się wąsach i wielkich oczach, które przez okulary lub monokle wyglądały na wodniste. Uwięziony także przez damy, które w zaawansowanym wieku były jeszcze gorsze: ich zachłanne usta przypominały paszcze granika, którymi mogły go połknąć i trawić w całości.

Dradin ubłagał matkę, by zaprosić Anthony'ego Tolivera, a ona, wbrew życzeniu ojca, wyraziła zgodę. Anthony, wierny naśladowca, był krępyim chłopcem o żółtawej skórze i ciemnych oczach. Poznali się w szkole publicznej, dziwaczni kumple, złączeni prostym faktem: obu sprął kiedyś szkolny prześladowca, Roger Gimmell.

Gdy tylko Tony się pojawił, Dradin namówił go, by uciekli z przyjęcia. Wymknęli się przez drzwi salonu i wybiegli na podwórko, które wyglądało, jakby ograniczały je dopiero splątane drzewa puszczy na horyzoncie. Lało jak z cebra, deszcz rozpryskiwał się na ich koszulach i uderzał w ciała, aż Dradinowi dzwoniło w uszach od tego łomotu, a następnego ranka obudził go tępy ból. Deszcz zmył trawę i rozpuścił kurz w błoto.

Tony upadł prawie natychmiast i próbując schwycić Dradina, przewrócił go na mokrą glebę; Dradin usiłował złapać jakiś chwast. Tony zaśmiał się na widok zaskoczenia na twarzy Dradina. Dradin roześmiał się, widząc, jak błoto zatkało Tony'emu lewe ucho. Chlup! Chlap! Błoto w butach, błoto w spodniach, krople błota na włosach, błoto pokrywające twarz.

Siłowali się i chichotali. Deszcz padał tak mocno, że aż kłuło. Wgryzał się w ich ubrania, wcinał w czubki głów, rzucał się do oczu, aż z trudem je otwierali. Pośrodku walki w błocie przestali walczyć ze sobą, a zaczęli z deszczem. Gramolili się na równe nogi, przestając się bawić, nie dotykali się już, dłoń Tony'ego wysunęła się z ręki Dradina, więc Tony powiedział tylko „Chodźmy!” I popędził w stronę domu, nie oglądając się na towarzysza, który stał jak wystraszony królik, zupełnie sam w całym kosmosie.

Stojąc samotnie na ulicy w strugach deszczu, patrząc w niebo, które otworzyło się, zsyłając deszcz, Dradin zaczyna się trząść. Deszcz jak ręka na ramieniu przygina go do ziemi; elektryczne odczucie wody na skórze, zmywającej błoto i kawałki trawy, sprawia, że jest mu zimno i mokro. Drży konwulsyjnie, czując ukłucie bezkresu czającego się tam, w niebiosach, i patrzącego na niego. Pęd i szaleństwo krwi, mocniejsze bicie serca, mówią mu, że nic tak żywego, nic tak niekontrolowanego nie może być przypadkowe.

Dradin zamyka oczy i w jego umyśle eksploduje tysiąc barw, tysiąc obrazów, po jednym na każdą kroplę deszczu. Deszcz spadających gwiazd otwiera się przed nim, sprowadzając pożogę na cały wszechświat. Przez sekundę Dradin czuje pulsowanie każdej tętnicy i każdego dręczonego arytmia serca w rozciągającym się poniżej mieście - każdą błyskawiczną ręciovą myśl nadziei, bólu, nienawiści, miłości. Setki tysięcy trosk i setki

tysięcy radości przystąpiło do niego.

Gwar uczuć ogarnia go tak, że Dradin ledwo oddycha, odczuwając własne ciało wyłącznie jako pusty pojemnik. Potem wrażenie cichnie, aż - bardzo blisko - chłopiec czuje małe istnienia myszy na pobliskich polanach, jeleni przemykających jak wdzięczne cienie, sprytnych lisów w jamach, biedronek ukrytych na spodniej stronie liścia, a potem nic, a kiedy już następuje koniec, pyta z opadłymi ramionami: „Czy to jest Bóg?”.

Gdy Dradin - teraz pusta łupina, ogłuszony przez deszcz, z obmytymi kośćmi - odwraca się w stronę domu; gdy wreszcie zwraca się w stronę domu z zamkniętymi okiennicami, jak mu nakazuje zdrowy rozsądek, światło ze środka nieomal eksploduje i można je wypuścić na zewnątrz. I widzi (stojąc przy oknie pensjonatu) nie Tony'ego, który już bezpiecznie skrył się w środku, lecz matkę. Swoją matkę. Późniejsza pamięć połączyła się z wcześniejszą bez śladu, jakby to zdarzyło się razem, w jednej chwili. Jakby odwrócił się i ona tam była, posyłając mu puste spojrzenie; jakby w sposób prosty jak oddychanie deszcz przyniósł zbawienie i szaleństwo, które upadły na głowę, a czas nie stawiał żadnych przeszkód, pozbawiony znaczenia.

...Odwrócił się i była tam jego matka, na kolanach w błocie, z pochłapaną na brązowo sukienką. Nabrała błota w dłonie, przyjrzała mu się i zaczęła je jeść, tak zapalczywie, że ugryzła się w mały palec. Jej oczy w twarzy jak z kamienia - puste jak deszcz - spojrzały na niego z najdziwniejszym wyrazem, jakby uwięzione, tak jak Dradin czuł się uwięziony wewnątrz domu; uwięzione i proszące Dradina... Żeby coś zrobił. A on, choć miał już czternaście lat, nie wiedział, co robić, wzywać ojca, wzywać lekarza; błoto spływało jej z kącików ust, a ona, obojętna, jadła dalej i patrzyła na niego po każdym kęsie, aż zaczął krzyczeć, podszedł do niej, objął ją i próbował powstrzymać, choć na całym świecie nie było nic, co mogłoby ją powstrzymać, albo powstrzymać jego, by przestał próbować. A najbardziej, bardziej niż błoto na jej ustach, z równowagi wytrąciła go zupełna cisza, jaka ją otaczała, gdyż przyzwyczał się do tego, że matkę definiuje głos, i oto nie użyła go nawet by poprosić o pomoc.

Znów usłyszał grzybian i zamknął okno gwałtownym ruchem. Usiadł na łóżku. Chciał jeszcze trochę poczytać, ale jego myśli gdzieś błądziły, wznosiły się i opadały, a zanim zdał sobie z tego sprawę, zanim zdołał to powstrzymać, był już niecałkiem martwy, po prostu pogrążony we śnie.



Rankiem obudził się żwawy i wypoczęty; jego ciało prawie już odzyskało siły po tropikalnej gorączce. Całymi miesiącami wstawał, czując opór obolałych mięśni i poranionych organów wewnętrznych; teraz cierpiał tylko z powodu zupełnie odmiennej gorączki. Ilekroć spojrzął na *Odbicie światła w więzieniu* - gdy mył twarz w barwionej na zielono umywalce, gdy wkładał ubranie, nie patrząc na nogawki, więc udało mu się włożyć je dopiero po kilku próbach - myślał o niej. Jakaż to błyskotka mogła przyciągnąć jej wzrok i skierować go w jego stronę? Teraz, gdy przeczytała książkę, bez wątpienia nadszedł czas, by dać jej do zrozumienia, że wiele dla niego znaczy, że ma wobec niej poważne zamiary. Właśnie tak jego ojciec zalecał się do matki; jego ojciec, chudy jak szczapa, ale z brzuchem sterczącym z dumy: absolwent Uniwersytetu Sztuk i Faktów w Morrow (to niewątpliwie pasowało do ojca). Ona, znana pod panięmskim nazwiskiem Barsombly śpiewaczka z głosem jak pitbull - Dradin przyznawał, że był to nieomal baryton, choć nieco chropawy, ukrywający zmysłową seksualność. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek nie czuł warcząco-dudniących wibracji głosu matki, nie słyszał jej śpiewu. Albo nie patrzył, jak nakłada na siebie tandetne perfumy czy pudry po włożeniu kostiumu ze złotej satyny z obfitym gorsetem, który podkreślał jej obfite kształty, nadając jej wygląd nieprzeniknionego muru. Pamiętał, jak zabierała go do teatrów i sal koncertowych, wprowadzając tylnym wyjściem, schlapanego i zabloconego; jakiś usłużny pacholek prowadził go, przemokniętego, na miejsce, ona zaś odchodziła w stronę sceny.

Dradin siedział, a kurtyna szła w górę przy wtórze aplauzu publiczności - owacji przypominających odgłos fal rozbijających się o skałę.

Potem zaczynała śpiewać, a on wyobrażał sobie to warczące dudnienie uderzające w niego i zachwycał się potęgą jej głosu, jego głębią i przestrzenią, tym, jak dotrzymywał rytmu i podążał za melodią graną przez orkiestrę, by potem odejść od niej, wijąc się jak tajemniczy i niebezpieczny prąd; wibracje rosły coraz bardziej, aż nie było już muzyki, tylko głos, który ją pożerał.

Ojciec nie chodził na jej przedstawienia i Dradin czasem myślał, że matka specjalnie śpiewa tak głośno, z taką pasją, by ojciec słyszał ją choć z daleka, czytając do późna w gabinecie starego domu na wzgórzu, z okiennicami zamkniętymi jak zeszyte powieki.

Jego matka byłaby dumna z tych zalotów. Niestety, zakneblowana i związana dla jej własnego dobra podróżowała teraz z Pływającymi Psychiatrami, trupą poślednich psychiatrów, pływających po rzece Moth słynną barką mieszkalną opatrzoną napisem „Rejsy z Pływającymi Psychiatrami: czynimy cuda z umysłem” - którym w końcu ojciec oddał swoją ukochaną, najdroższą damę swego serca - oczywiście nie za darmo, a w każdym razie - wściekał się i złościł - czyż nie sprowadzało się to do tego samego? Dom spokojnej starości

czy dom dla obłąkanych, stacjonarny czy wędrowny. Nie było tak źle, mawiał, opadając na wilgotny, zielony fotel, wymachując bursztynową butelką Najlepszego Trunku Fantastycznego Teda, w końcu przecież tyle ciekawych rzeczy zobaczy, tyle przeżyje, a to wszystko pod mądrą i dobroczynną opieką wykształconych psychiatrów, którzy płacili, by podjąć się tej opieki. To jasne, kończył jego ojciec beknięciem lub pierdnięciem, to najlepszy układ.

Jeszcze młody Dradin, nadal czując ból od upiornego rzemienia sprzed półgodziny, nie ośmielił się kłócić, lecz często myślał: tak, ale wszystkie takie zawilości myślowe są wiarygodne wyłącznie w przypadku prawdziwości jednego prostego założenia: a mianowicie, że jest szalona. A jeśli nie szalona, lecz przy zdrowych zmysłach „z południa na południowy zachód”, jak powiedziałby wielki Voss Bender? A jeśli w posiwiałej, lecz nadal przypominającej głowę lamparcicy, rozkwitającej kształtem czaszce znajdowały się pokłady zdrowych zmysłów, a tylko jej zewnętrzna skorupa była podatna na halucynacje, zaklęcia i niewłaściwe metafory? Co wtedy? Tak się szarpać, jak zwierzę na łańcuchu, czy ktoś przy zdrowych zmysłach byłby w stanie to wytrzymać? Może takie afiszowanie i poniżenie prowadziły właśnie do szaleństwa, którego dotychczas można było uniknąć?

Albo, co gorsza, jeśli to ojciec ją do tego doprowadził okrutną, starannie zaplanowaną obojętnością.

Dradin jednak, pamiętając straszliwą ciszę w deszczowy dzień, gdy matka wypchała sobie usta błotem, nie chciał tego rozpamiętywać. Musiał znaleźć jakiś prezent dla swojej ukochanej: dokonał tego, grzebiąc w swoich bagażach i znajdując naszyjnik, którego główny element stanowił nieoszlifowany szmaragd. Dradin dostał go kiedyś od wodza pewnego plemienia jako łapówkę: w zamian miał zostawić plemię w spokoju. (Jest tylko jeden Bóg”, tłumaczył Dradin. „A jak się nazywa?”, spytał wódz. „Bóg”, odparł Dradin. „Co za banal”, odparł wódz. „Odejdź stąd”). Początkowo Dradin traktował naszyjnik jako dar dla kościoła, ale potem powziął zamiar podarowania go słodkiej fidze swego serca, spoconej kapłance. Gorączka jednak dopadła go pierwsza. Trzymając naszyjnik w dłoni, dostrzegł znakomite wykonanie niebieskich i zielonych paciorków. Gdyby udało się go sprzedać, starczyłoby mu na czynsz w pensjonacie na kolejny tydzień. Bardziej atrakcyjne jednak wydało mu się podarowanie go ukochanej, gdyż dzięki temu musiała ona zrozumieć powagę uczuć, jakie płonęły w jego sercu.

Z niespotykanym wdziękiem i nutą zainspirowanego szaleństwa Dradin wydarł pierwszą kartkę z *Odbicia światła w więzieniu* i pod imieniem ostatniego mnicha napisał własne imię i nazwisko w taki sposób:

*Brat Dradin Kashmir -  
Niebędący prawdziwym bratem,  
ale gorąco zakochany tylko w Tobie*

Spojrzał z zadowoleniem na swoje dzieło. Doskonale. Dokonał tego. Nie dało się już tego zmienić.

#### IV

**PRZY ŚNIADANIU, KIEDY TO O JEGO SKROMNE** potrzeby zatroszczył się wychudzony kelner, który wyglądał jak ofiara malarii, Dradin przyjrzał się swojej nieciekawej, szarej mapie. Tost bez dżemu, nic bardziej treściwego niż kielbaski smażone we własnym tłuszczu czy bekon z białymi paskami słoniny. Klimat w dżungli już na początku sprawił, że jego jelita i pęcherz działały bardziej sprawnie, a woreczek zraszał zawartość przewodu pokarmowego równie obficie, jak deszcz zraszał ziemię w najgorszej porze monsunowej. Dradin unikał więc tłustego pożywienia, odmawiając przyjęcia takich smakowitości jak smażona cykada, gotowane mięso pekari czy lokalny przysmak: wielkie, czarne ślimaki pieczone w skorupkach.

Przy brudnych, szarych, zakrytych obrusami stołach weterani wojenni kaszleli i charczeli, zerkając spod przekrwionych oczu, półświadomie, na mapę Dradina. Skarb? Wojna na dwóch frontach? Szaleńcze, pijane strzały oddawane prosto między oczy wroga? Nie było wątpliwości. Dradin znał ten typ. Jego ojciec był taki sam - co z tego, że miał naukowe skłonności. Dla jego ojca mapa byłaby tajemnicą umysłu.

Nie zwracając uwagi na ich spojrzenia, znalazł na mapie dzielnicę religijną i zaczął wodzić po niej palcem wskazującym. Przypominała widok z góry na koło ze szprychami, które przecinały się, tworząc ćwiartki. Misja Cadimona Signala znajdowała się blisko osi, wciśnięta między Kościół Rybaka a świątynię Kultu Siedmiobocznej Gwiazdy. Już samo patrzenie na mapę sprawiało, że Dradin zaczął się denerwować. Spotkać swojego przewodnika religijnego po tak długim czasie? Czy Cadimon bardzo się postarzał przez te siedem lat? W przeciwieństwie do Dradina, który się oddalał, Cadimon Signal zbliżał się do środka swego rodzinnego miasta - wszak urodził się w Ambergris. W Instytucie Religijności Cadimon często wychwalał cnoty miasta oraz - oddajmy mu sprawiedliwość - także i jego przywary, po wykładach, we wspólnej sali. Jego głos, pusty i odbijający się echem od

sklepionych przejść z czarnego marmuru, wydawał się wydobywać chrypliwie z ust delikatnego jak babie lato cherubina, wyrzeźbionego wśród zawilóści sufitów, wykonanych na odmianę z białego marmuru. Wraz z Anthonym Toliverem Dradin spędził wiele wieczorów, wsłuchując się w ten głos, otoczony tysiącami tekstów religijnych na półkach zdobionych złoceniami.

Pytanie, które najbardziej zajmowało Dradina, wypełniając jego myśli i nie dając mu spać w nocy, brzmiało: czy Cadimon Signal zlituje się nad byłym uczniem i znajdzie mu jakąś pracę? Miał oczywiście nadzieję na stanowisko misjonarza, ale gdyby nie było takiej możliwości, wolałby pracę, która nie przetrąci mu kręgosłupa ani nie spęta go biurokratycznymi więzami. Na ojca nie można było w tej kwestii liczyć, gdyż to on polecił Dradina Cadimonowi i zareklamował Cadimona Dradinowi.

W mglistych początkach pamięci Dradina ojciec, jeszcze młody, szczupły i swawolny, zapraszał Cadimona na herbatę i konwersację w otoczeniu książek, książek i jeszcze raz książek, które wypełniały ojcowski gabinet. Książki o kulturze i cywilizacji, religii i filozofii. Ojciec opowiadał później Dradinowi, że dyskutowali na wszelkie tematy jakie można, albo i jakich nie można było sobie wymyślić, a niektóre były nawet dość niesmaczne lub zbyt realistyczne, aż wybiła północ, pierwsza albo druga w nocy, a latarnie przyciemniały, wydzielając ironiczne światło o słonej barwie, zupełnie niepasujące do dyskusji. Czy taka znajomość wystarczy? Czy Cadimon dostrzeże w Dradinie syna swego ojca?

Po śniadaniu, dzierżąc w dłoni naszyjnik i mapę, powędrował do Dzielnicy Religijnej, znanej także jako Durnota Midana Pejory, głównego architekta z dawnych lat, któremu należy przypisać architektoniczne zasługi lub hańbę stworzenia pochyłych ścian, mieszaniny stylu okcydentalnego i przypadkowego, południowego i północnego, barokowego i tropikalnego. Budynki walczyły o powietrze i przestrzeń jak żołnierze, którzy od stuleci walczą tak cegła w cegłę. Dradin pomyślał, że równie niemiłych wrażeń można doznać, upijając się solidnie i zaglądając do obracającego się kalejdoskopu.

Nocny deszcz przybrał formę podświetlonych słońcem kropelek na liściach, szybach okiennych i kamieniach bruku, zmywając szarą i zapyloną okleinę miasta. Koty czyściły futerka, a malutkie ropuchy podskakiwały wokół martwych wróbli leżących w wypełnionych wodą rozpadlinach, pokonanych przez potęgę burzy. Dradin czuł się świeżo i czysto, oddychał głęboko wietrzny, wilgotnym powietrzem.

Prychnął z niedowierzaniem, przyglądając się wyznawcom łagodnego Świętego Solona od Rozkładu, którzy wkładali trupy ofiar deszczu, na przykład wróbli, do malutkich drewnianych trumienek, żeby je pogrzebać. W dżungli śmierć była czymś tak powszechnym,



że można było przez milę maszerować po rozkładających się zwłokach, wybielonych do czysta kościach zdechłych zwierząt, a po jakimś czasie nawet wyjątkowo delikatny misjonarz nie zwracał uwagi na chrzęst pod nogami.

Zbliżając się do budynku misji, Dradin próbował się uspokoić, wdychając drażniący zapach świec wotywnych płonących w niszach, w zagłębieniach i na balkonach. Próbował wyobrazić sobie bogactwo tych konwersacji ojca z Cadimonem - obfitość omawianych tematów, szlachetne i pobożne zaprzeczenia i argumenty. Gdy ojciec wspominał te rozmowy, strząsał z siebie ciężar lat, jego głos stawał się lekki, a oczy wilgotne od nostalgii. Oby tylko Cadimon wspominał te spotkania z takim samym entuzjazmem.

Postukiwanie stóp pokutującego pielgrzyma o uliczny bruk wyrwało go z zadumy; zatrzymał się na skraju ulicy, patrząc, jak mija go grupa dwudziestu albo trzydziestu żebraków, którzy szukali odpuszczenia grzechów, dorabiając się odcisków w drodze do jednej z tysiąca kaplic. W ich spokojnym, lecz pustym spojrzeniu i otwartych ustach Dradin dostrzegł cień twarzy matki i zastanawiał się, co ona robiła, gdy ojciec i Cadimon rozmawiali. Szła spać? Kończyła myć naczynia? Siedziała na łóżku i podsłuchiwała ich przez ścianę?

W końcu odnalazł misję Cadimona Signala. Budynek był nieco oddalony od ulicy i nieomal niewidoczny na tle otaczających go strzelistych katedr - dawał się zauważyć tylko dzięki pustce, ciszy i wirowi jaskółek uganiających się w powietrzu jak pozbawieni masy akrobaci na trapezie. Budynek, w którym mieściła się misja, był dawnym magazynem krytym blachą, wzmocnionym cegłą i zaprawą, z postrzępionymi dziurami zamiast świetlików, co skłoniło Dradina do refleksji: co takiego robią, kiedy pada? Pewnie siedzą i mokną, pomyślał.

Wielkie drzwi, ochrzczone fragmentami mozaiki, która przedstawiała świętych, mnichów i męczenników, otworzyły się przed nim. Wszędzie dookoła krzątali się akolici, łapiąc za worki z piaskiem i długie kłody z zamiarem zabarykadowania wejścia, ale nikt nie próbował go zatrzymać, gdy maszerował po schodach, a potem wzdłuż przejścia; w istocie nikt nie obdarzył go drugim spojrzeniem, tak byli skoncentrowani na swych wysiłkach.

We wnętrzu Dradin wkroczył ze słońca w cień, a jego kroki rozbrzmiewały echem w ciszy. Labirynt ścieżek prowadził przez wypielęgowany, zielony ogród w stylu okcydentalnym. Centralnym punktem ogrodu były otoczone skałkami stawy, których powierzchnię rozcinały zakrzywione płetwy opasłych karp. Obok stawów rozciągały się zwietrzałe ruiny starożytnych pogańskich świątyń, które pokryto papierem w wesołych kolorach i chlapnięciami czerwonej, zielonej, niebieskiej i białej farby. Pośród ogrodów, świątyń i stawów uwijali się akolici w szarych habitach, nierzucający się w oczy jak słupy latarniane, zmiatając kurz, sadząc zioła i podlewając kwiaty. Powietrze miało metaliczny

kolor i smak; Dradin usłyszał brzęczenie pszczoł wokół maków, cichy poszmer, gdy akolici przykładali sierpy do pniących się chwastów.

Nierówna, otoczona błękitną trawą ścieżka zaprowadziła go do usypanego z piasku kopca, na którym stał katafalk udekorowany złotymi liśćmi i nadrukowanym z boku napisem „Święty Filip Bałamuta”. W cieniu katafalku, pośród błękitnej trawy, ogrodnik w ciemnozielonej szacie sadił lilie, które położył na pobliskiej ławce. Na katafalku - który to widok sprawił, że Dradin zatrzymał się w pół kroku - stał Signal. Zmienił się od czasów, kiedy Dradin widział go po raz ostatni, był łysy i wychudły, a z uszu wyrastały mu kępki posiwiałych włosów. Na chudej szyi miał nabijaną ćwiekami psią obrozę. Najbardziej niepokojący - jeśli nie liczyć trzymanej w lewej ręce baryłki wina, niewątpliwie dostarczonej przez solidnych, choć ze znakiem zapytania, dostawców trunków, firmę Hoegbotton i Synowie, co oznaczało, że może nawet dotykała jej i pieściła ją jego ukochana - był jednak fakt, iż ten człowiek był całkowicie, ale to całkowicie nagi! Obiekt niczyjego pożądania podskakiwał jak zwiotczała, siniejąca kiełbaska, podtrzymywana prawą ręką mężczyzny tak, by wyglądała, jakby znajdowała się w stanie erekcji; jego prawa ręka była całkowicie zajęta ruchem w górę i w dół; ruchem, który sprawiał właścicielowi aż taką przyjemność.

- Ccc-Cadimon Ssss-sigggnal?

- Tak, a kto pyta? - Odezwał się ogrodnik.

- Słucham?

- Powiedziałem - powtórzył ogrodnik z bezgraniczną cierpliwością, jakby nie miał nic przeciwko powtarzaniu tego samego po raz trzeci, czwarty i piąty: - „Tak, a kto pyta?”.

- Nazywam się Dradin. Dradin Kashmir. Kim pan jest?

- Dradin nie spuszczał z oczu nagiego mężczyzny na katafalku.

- Jestem Cadimon Signal, to chyba jasne - odparł ogrodnik, wrywając chwasty i sadząc lilie. *Wyrwać, wsadzić, wyrwać*. - Witaj w siedzibie mojej misji, Dradin. Kopę lat! - Niski człowiek w zielonych szatach, stojący przed Dradinem, miał ruchy i rysy jak każdy pokryty zmarszczkami żebrak na bulwarze Albumuth, ale przyjrząwszy się dokładniej Dradin dostrzegł pewne podobieństwo do człowieka, którego kiedyś poznał w Morrow. Być może.

- W takim razie kim on jest? - Dradin wskazał na nagiego mężczyznę, który właśnie spuszczał się prosto w krzak róży.

- To Żywy Święty. Zawodowy święty człowiek. Powinieneś to pamiętać z lekcji teologii. Przecież musiałem ci opowiadać o Żywych Świętych. Chyba że zamieniłem tematy i opowiedziałem akurat o Martwych Męczennikach. Nie, naprawdę tylko o nich. To żart, Dradynie. Mógłbyś mieć przynajmniej dość przyzwoitości, żeby się roześmiać.

Żywy Święty, który nie był już pobudzony, a raczej zmęczony, ułożył się na gładkim, chłodnym kamieniu, z którego wykonano katafalk, i zaczął chrapać.

- Ale co tu robi Żywy Święty? I to nagi?

- Trzymam go tu, żeby odstraszać pojawiających się wierzycieli. Utrzymanie tego miejsca jest strasznie kosztowne. Ależ ty się zmieniłeś, nieprawdaż?

- Co?

- A myślałem, że to ja głuchnę. Powiedziałem, że się zmieniłeś. Proszę, nie zwracaj uwagi na mojego Żywego Świętego. On jest tylko dla wierzycieli. Wywlekam go, on się spuszcza, a oni już nie wracają.

- Zmieniłem się?

- Tak, przecież już to powiedziałem. - Cadimon przestał sadzić lilie i wyprostował się, po czym zlustrował Dradina od stóp do głów. - Pojechałeś do dżungli. Co za szkoda. Byłeś takim dobrym uczniem.

- Wróciłem z dżungli, jeśli to chciał pan powiedzieć. Złapałem gorączkę.

- Nic dziwnego, że się tak zmieniłeś. Potrzymaj mi tę cebulkę. - Cadimon znów przykucnął. *Wyrwać, wsadzić, wyrwać.*

- Wydaje się pan... Jakoś mniej imponujący. Ale zdrowszy.

- Nie, nie. Urosłeś, to wszystko. Skoro nie jesteś już misjonarzem, to co zamierzasz dalej robić?

- Nie jestem już misjonarzem? - Rzekł Dradin i doznał wrażenia, jakby tonął, a przecież dopiero zaczęli rozmawiać.

- Tak. Albo nie. Poproszę o lilię. Dziękuję. Błogosławione rzeczy potrzebują tyle brudu. Ale wysiłek jest dobry dla płuc. Dobry dla duszy. Jak tam miewa się ojciec? Co za przykra historia z twoją matką. Ale co u niego?

- Nie widziałem go od trzech lat. Pisał do mnie, kiedy jeszcze byłem w dżungli, i miał się nieźle.

- Hm. To dobrze. Z twoim ojcem prowadziłem kiedyś wspaniałe rozmowy, wiele lat temu. Bardzo dawno temu. Pamiętam, jak siedzieliśmy w waszym domu, a ty byłeś jeszcze w kołyszce, i debatowaliśmy o wartościach estetycznych Złotych Sfer...

- Przyszedłem tu w poszukiwaniu pracy.

Milczenie. Po chwili Cadimon odezwał się:

- Nie pracujesz już dla...

- Zrezygnowałem. - Dradin powiedział to z naciskiem, jakby przygniatał jajko, by pękło.

- Teraz? Przecież mówiłem, że nie jesteś już misjonarzem. Nie zmieniłem się ani trochę od lat spędzonych w akademii, Dradinie. Nie rozpoznałeś mnie, bo ty się zmieniłeś, nie ja. Jestem taki sam. Nie zmieniam się. Przez co jestem lepszy niż tutejsza pogoda.

Dradin uznał, że nadszedł właściwy moment, by przejąć kontrolę nad rozmową. Prowadzenie dialogu w ten sposób, by reagować na meandrujące uwagi Cadimona, przestało mu wystarczać. Przykucnął i delikatnie położył pozostałe lilie na kolanach Cadimona.

- Szukam pracy, proszę pana - rzekł. - Przez trzy miesiące odchodziłem od zmysłów z powodu gorączki, dopiero teraz doszedłem do siebie. I tęsknię za tym, żeby wrócić do misjonarskiego życia.

- Lubisz trzymać się tematu, prawda? - Spytał Cadimon. - Jesteś z tych, co trzymają się tematu. I trzymają się zasad. Pamiętam cię. Jesteś z tych, których Żywy Świety raczej zaszkuje niż ubawi. Wolisz wszystko wypróbować, niż działać spontanicznie. No cóż.

- Cadimonie...

- Umiesz gotować?

- Gotować? Umiem ugotować kapustę. I wodę.

Cadimon poklepał Dradina po brzuchu.

- Jeż też to potrafię, mój drogi. Jeż też, jeśli będę musiał. Nie, ja raczej mam na myśli gotowanie takie jak w wydaniu Kucharzy z Kalay, którzy biorą kocioł wody z zęzy i kawał wołowiny leżącej od trzech dni, twardej jak odciski na piętach, i tworzą z tego danie tak soczyste, że przez kilka kolejnych dni zjedzenie czegokolwiek poza marchewką obrażałoby kubki smakowe. Więc nie umiesz gotować?

- A co gotowanie ma wspólnego z pracą misjonarza?

- Ho-ho. Sądziłem, że taki weteran dżungli będzie wiedział! Nigdy nie słyszałeś o kanibalach? Co? Nie, to był żart. Nie ma nic wspólnego z pracą misjonarza. No i gotowe.

Przyklepał ostatnią cebulkę lilii i usiadł na ławce, machnięciem dłoni dając Dradinowi znak, żeby się dosiadł. Dradin usiadł na ławce obok Cadimona.

- Przecież potrzeba wam doświadczonych misjonarzy?

Cadimon potrząsnął głową.

- Nie mam dla ciebie pracy. Przykro mi. Zmieniłeś się, Dradinie.

- Ale pan i mój ojciec... - Dradin poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Mógł się zalecać aż do śmierci, ale jakże miał bez pracy zapewnić swojej ukochanej takie przygody jak w książce, czego z pewnością będzie się domagała?

- Twój ojciec to dobry człowiek, Dradinie. Ale nasza misja nie śpi na pieniądzech. Nadchodzą ciężkie czasy.

Na twarz Dradina wyplęła, jak szczególnie brzydki krokodyl, duma.

- Drogi panie, jestem dobrym misjonarzem. Bardzo dobrym misjonarzem. Wie pan, że pracowałem jako misjonarz przez ponad pięć lat. I jak już mówiłem, opuściłem dżunglę, o mało nie umierając tam z gorączki. Kilku moich kolegów już nie wróciło do zdrowia. Ta kobieta... Ta kobieta...

Umilkł, czując, jak gęsia skórka wypęła na jego ciało od nagłego uczucia chłodu. Layeville, Flay, Stern, Thaw i Krug - wszyscy zwariowali albo pomarli pod naporem zieloności, z deszczu i dyzenterii, albo od zatrutych strzał dzikusów. Tylko jemu udało się odpełznąć w bezpieczne miejsce, a papka poszycia dżungli poniżej jego piersi aż mruzczała od pijawek, żuków gnojników i stonóg „Molly o dwunastu krokach”. Podróż do piekła i z powrotem, której teraz nie pamiętał i nie chciał pamiętać.

- Pff! Umieranie na gorączkę jest łatwe. Dżungla jest łatwa, Dradynie. Ja tam przeżyłem, choć jestem wątpy. To miasto jest trudne. Gdybyś tylko zadał sobie trud obserwacji, zauważyłbyś, że powietrze jest aż gęste od misjonarzy. Nie można się wysikać przez okno tak, żeby ich nie ochlapać. Miasto wręcz od nich kipi. Wszyscy myślą, że podczas Festiwalu przytrafi się jakaś okazja, tymczasem okazje są, ale nie dla nich! Nie, potrzebujemy kucharza, a ty nie umiesz gotować.

Dradin czuł, jak dłonie lepią mu się od potu: drżały, gdy im się przyglądał. Co teraz? Co robić? Jego myśli krążyły maniakalnie wokół tego samego pytania bez odpowiedzi: jak przeżyć z tym, co miał przy sobie, a równocześnie zalecać się do kobiety w oknie? A przecież musiał się do niej zalecać, czuł, że jego serce nie wytrzyma ciosu, jakim byłoby zaprzestanie pogoni za nią.

- Jestem dobrym misjonarzem - powtórzył, patrząc w ziemię. - To, co się stało w dżungli, nie stało się z mojej winy. Wyruszyliśmy w poszukiwaniu neofitów, a kiedy wróciłem, obóz był już zajęty.

Oddech Dradina stał się szybki i płytki. Czuł, że jego głowa jest coraz lżejsza. Dusił się, właśnie tak, dusił się pod masą liści dżungli, zatykających jego nos i usta.

Cadimon westchnął i potrząsnął głową, po czym rzekł cicho:

- Nie ma we mnie ani krzty współczucia - po czym wyciągnął dłonie w kierunku Dradina. - Jak mam ci to wytłumaczyć? Chyba nie potrafię, ale mimo to spróbuję. Może tak: czy nawracałeś Ludzi - Latające Wiewiórki z zachodnich hydr? Czy przemierzyłeś zamrażnięte pustkowia Lascii, by nawracać zimny niczym sople lodu lud Skamoo?

- Nie.

- Co powiedziałeś?

- Nie!

- Więc nic tu po tobie. Przynajmniej na razie.

Dradin czuł, że boli go gardło i szczeka mu sztywnieje. Czy przyjdzie mu błagać? Czy będzie musiał sam zostać żebrakiem? Żywy Świąty na katafalku zaczął się poruszać, mrużąc coś w półśnie.

Cadimon wstał i położył dłoń na ramieniu Dradina.

- Jeśli to cię pocieszy, to nigdy nie byłeś prawdziwym misjonarzem, nawet w akademii religijnej. I stanowczo teraz też nie jesteś misjonarzem. Jesteś... Czymś innym. Czymś naprawdę niezwykłym, czego nie umiem uchwycić.

- Obraża mnie pan - rzekł Dradin takim tonem, jakby był galionem na jakimś kosztownym jachcie, płynącym ospale po rzece Moth.

- Nie miałem takiego zamiaru, mój drogi. W żadnym wypadku.

- Może dałby mi pan jakieś pieniądze. Zwrócę.

- Teraz ty mnie obrażasz, Dradynie. Nie mam pieniędzy. Nie mamy ich. Wszystkie pieniądze, jakie uda nam się zebrać, przekazujemy wierzycielom oraz domom i przytułkom dla biedoty. Nie mamy pieniędzy i nie pożądamy ich.

- Cadimonia - rzekł Dradin. - Cadimonia. Jestem w trudnym położeniu. Potrzebuję pieniędzy.

- Jeśli jesteś w trudnym położeniu, dam ci radę: wyjedź z Ambergris. I to przed Festiwalem. Podczas Festiwalu kapłani nie powinni włóczyć się nocą po ulicach, to niebezpieczne. Od tylu lat był spokój i mówię ci, długo się już nie utrzyma.

- Nie potrzebuję dużo. Tylko tyle, żeby... Cadimon wskazał mu gestem wyjście.

- Żebz u ojca, nie u mnie. Odejdź. Natychmiast odejdź.

Dradin, z napiętymi mięśniami i zaciśniętymi pięściami, może i spełniłby życzenie Cadimona z szacunku do autorytetu, ale nagle w jego umyśle pojawiła się wizja - jak księżyc, który wzeszedł nad doliną poprzedniej nocy. Wizja dżungli, zielonych liści z żyłkami jak kręgosłupy, jak długie, delikatne liście. Dżungla, kobieta i wszyscy umarli...

- Nie odejdę.

Cadimon zmarszczył czoło.

- Przykro mi, że muszę wysłuchiwać takich rzeczy. Proszę cię jeszcze raz, odejdź.

*Bujna zieleń, dławienie, smak kurzu w ustach, zapach spalenizny, dym kłębiący się na kształt pytańnika.*

- Cadimonia, byłem twym uczniem. Jesteś mi to winien...

- Żywy Świąty! - Wrzasnął Cadimon. - Zbudź się!

Żywy Święty wyprostował się, zmieniając pozycję na szczycie katafalku.

- Żywy Święty - rzekł Cadimon - pozbądź się go. Nie musisz być zbyt łagodny - po czym zwrócił się do Dradina: - Żegnaj, Dradynie. Bardzo mi przykro.

Żywy Święty, wyrzaskując obelgi, zeskoczył z katafalku. Jego członek był siny, sflaczały jak ukwiał, i złowieszczo dyndał. Święty popędził w stronę Dradina, który wziął nogi za pas, roztrzając szeregi gromadzących się akolitów. Biegąc po błękitnej trawie, słyszał tuż za sobą wrzaski Żywego Świętego:

- Spieprzaj! Spieprzaj, tłusty pawianie!

Dały się też słyszeć okrzyki Cadimona:

- Będę się za ciebie modlił, Dradynie! Będę się za ciebie modlił!

A potem, tak blisko, zbyt blisko, rozległ się niedający się z niczym pomylić, gorący i wilgotny odgłos, jaki wydaje człowiek, który sobie ulżył; następnie Dradin poczuł na ramionach ręce Żywego Świętego i opuścił teren misji o wiele szybciej, niż miał na to nadzieję w chwili wkroczenia nań, ze zranioną dumą, godnością, i poczuciem, że pogwałcono elementarne zasady.

- I trzymaj się z daleka!

Gdy Dradin przestał biec, odkrył, że znajduje się na skraju Dzielnicy Religijnej, tuż przy wychudzonym sprzedawcy orzechów macadamia, który rzucał na prawo i lewo dowcipami jak szalony. Dysząc ciężko, Dradin położył dłonie na udach. Jego płuca z wysiłkiem pompowały powietrze. Krew w piersi tętniła dziko. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że wszystkie te objawy są skutkiem wysiłku, a nie wstrząsu, jakiego doznał z powodu złości i rozpacz. Czynów, które nie przystoją misjonarzowi. Czynów, które nie przystoją dżentelmenowi. Do czegoż jeszcze doprowadzi go ta miłość?

Walcząc o odzyskanie spokoju, poprawił koszulę i kołnierz, po czym ruszył, mając nadzieję, że jego ruchy imitują sposób poruszania się duchownego średniego szczebla, dla którego wszystkie rzeczy ziemskie są czymś niegodnym uwagi. Niestety, wypiętrzenie bardzo czerwonych żyłek na karku, palce zeszywniałe tak, że wyglądały jak szpony - te wszystkie sygnały zdradzały, że nadal jest wściekły. Jak Cadimon śmiał go tak potraktować, jakby był kimś zupełnie obcym! Jak śmiał tak zbezcześcić więzi, jakie istniały między jego ojcem a kościołem!

A co gorsza, gdzie byli stróże porządku, kiedy ich potrzebował? Miasto bez wątpienia miało jakieś przepisy dotyczące oddawania moczu w miejscu publicznym. To jednak zakładało istnienie jakiejś władzy świeckiej, a do tej mitycznej bestii Dradin nie był do końca

przekonany. Nie dostrzegł ani jednego błękitnego, czarnego czy brązowego munduru, a już na pewno takiego z człowiekiem w środku, co razem miało symbolizować prawo i porządek oraz sprawiać, że słowo stało się ciałem. Cóż robili mieszkańcy Ambergris, gdy złodzieje, zboczeńcy i mordercy przemykali się głównymi ulicami i zaułkami, przejściami podziemnymi i mostami? Ta myśl przypominała mu jednak o grzybianach i ich schronieniach we wnękach, więc przestał o tym dumać, a dreszcz przebiegł mu od podbródka po czubki palców u nóg. Być może dżungla jeszcze nie wypuściła go ze swych objęć.

Wreszcie, z pochylonymi ramionami i oczami wbitymi w ziemię, poniósłszy nikczemną porażkę, musiał przyznać przed sobą, że jego metody były groteskowe. Zrobił z siebie głupca przed Cadimonem. Cadimon nie miał wobec niego żadnego długu wdzięczności. Cadimon zachował się jedynie jak ktoś, kto musi się tak zachować w obliczu bezbożnika.

Z naszyjnikiem nadal zawiniętym w stronicę *Odbicia światła w więzieniu* Dradin udał się znów pod siedzibę firmy Hoegbotton i Synowie, by odkryć, że jego ukochanej nie ma już w oknie. Poczul dreszcz wędrujący wzdłuż kręgosłupa, wstrząs tak silny, że o mało nie przyprawił go o stan kwalifikujący się do rozmów z psychiatrą na pokładzie barki u boku matki, na szczęście jednak był człowiekiem rozumnym i rozumującym. Rozmyślał o tym, jak jego serce tonie w morzu strachów, a on próbuje wymyślać dla niej tysiące usprawiedliwień: poszła na obiad, rozchorowała się, przeniosła się do innego pokoju. Nie dopuszczał do siebie myśli, że odeszła na dobre, znikła, a on już nigdy, przenigdy nie zobaczy jej twarzy. Teraz Dradin pojął uzależnienie ojca od słodko syconego miodu, piwa, wina i szampana: ta kobieta była jego uzależnieniem i wiedział, że gdyby tylko zobaczył jej bladą jak porcelana twarz, gdy dręczyła go gorączka w dżungli, przeżyłby wyłącznie dla niej.

To miasto może i było dzikie; bezpańskie psy włóczyły się po ulicach z usmolonymi ulicznikami, w których obojętnych oczach widać było świadomość, że wkrótce mogą je zamknąć na zawsze, oślepieni na wieki przez te same dwie drobne monety, które właśnie wyżebrali od jakiegoś dżentelmena, i nikt w tym rozdygotanym, tętniącym życiem mieście, gdzie na bulwarach kwitł handel, nie wiedział, kto naprawdę rządzi Ambergris - jeśli w ogóle ktoś nim rządził, ono jednak, jak zbuntowany zegar, żyło własnym życiem, nie oglądając się na nic, zasilane szaloną masą własnej inercji, masą swych własnych obywateli, raz, łup, dwa, tup, trzy, łup, trzysta tysięcy, tup; Nie zważając na dzikość pośrodku rzekomej cywilizacji - a jednak kobieta w oknie wydawała się Dradinowi bardziej uporządkowana, bardziej zdyscyplinowana i opanowana, a zatem, w jakiś przekorny sposób, bardziej podatna na jego



żądze niż ktokolwiek inny, kogo Dradin spotkał w Ambergris: mieście ambry, tej bezcennej wydzielinie wieloryba, wrzącym kotle tego, co podrzędne i nadrzędne.

I wtedy pojawił się jego zbawca: Dvorak. Wyskoczył spiralnym ruchem o metr od rzeźnika czekającego na kabriolet i kuśnierza o kwadratowej szczęce, owiniętego w futra barwy bursztynu, szarości i bieli. Odziany był cały na czarno i na tle tej czerni odcinały się czerwone kropki tatuażu i biała jak gołąb chusteczka w kieszeni marynarki, barwiona na czerwono na brzegach. Jego zdeformowaną twarz zdobił tajemniczy, kobiecy uśmiech.

- Nie ma jej w oknie - rzekł Dradin.

Dvorak zaśmiał się, otwierając usta szeroko, jeszcze szerzej, aż ukazały się mięsożerne, czerwone głębie.

- Istotnie. Nie ma jej w oknie. Ale z całą pewnością jest w środku. Jest bardzo oddanym pracownikiem.

- Dał jej pan książkę?

- Oczywiście, proszę pana. - Śmiech skurczył się w wąski uśmiech. - Wzięła ją ode mnie jak dama, z wahaniem, a kiedy jej powiedziałem, że to od tajemniczego wielbiciela, spłonęła się.

- Spłonęła się? - Dradin poczuł się lżej, krew mu wrzała, a głowa była jak obłoczek dymu, chmurka, kłębek waty cukrowej.

- Spłonęła się. To dobry znak, proszę pana.

Dradin wyjął paczuszkę z kieszeni i drążącą dłońią podał ją karzelkowi.

- Proszę iść i ją odszukać, a kiedy ją pan znajdzie, proszę jej to dać. I powiedziec, żeby spotkała się ze mną o zmierzchu przy tawernie „Pijana Łódź”. Zna pan to miejsce?

Dvorak skinął głową, zaciskając dłonie na paczusce, jakby chciał ją ochronić.

- Dobrze. Zarezerwuję stolik tuż przy trasie parady festiwalowej. Jeśli to będzie konieczne, proszę ją ubłagać. Zaintrygować i usilnie prosić.

- Tak zrobię.

- Ch-ch-chyba że pana zdaniem powinienem zanieść jej ten prezent sam.

Dvorak posłał mu krzywy uśmieszek. Potrząsnął głową, tak że zielone dżungle rozmazały się Dradinowi w oczach.

- Proszę pana, niech pan się zastanowi. Niech pan pomyśli. Czy pan chciałby, żeby zobaczyła pana zdyszanego, rozczochranego oraz - proszę wybaczyć mi śmiałość - wydającego lekki zapach uryny? Nie, proszę pana. Spotkajcie się po raz pierwszy w tawernie, gdzie będzie pan jawił się jej jako mężczyzna dysponujący pewnymi środkami, będzie pan odprężony i gotów do roztoczenia przed nią dalszych tajemnic.

Dradin odwrócił wzrok. Jego brak doświadczenia musiał aż bić po oczach. Jakże głupie były jego sugestie. Mimo to czuł ulgę, że Dvorak położył kres jego arogancji.

- Proszę pana? - Odezwał się Dvorak. - Proszę pana?

Dradin zmusił się, by spojrzeć na Dvoraka.

- Ma pan oczywiście rację. Zobaczę się z nią w tawernie.

- Monety, proszę pana.

- Monety?

- Z uprzejmości nie wyżyję.

- Tak. Oczywiście. Oczywiście. - Przekląty Dvorak. Ani krzty współczucia! Wetknął dłoń do kieszeni spodni i wyjął złotą monetę, po czym podał ją Dvorakowi. - Kolejna po pańskim powrocie.

- Jak sobie pan życzy. Proszę tu poczekać.

Dvorak rzucił Dradinowi ostatnie, długie spojrzenie i popędził po schodach, po czym zniknął w ciemnościach bramy.

Dradin odkrył, że czekanie wychodzi mu kiepsko. Przysiadł na krawężniku, wstał, przykucnął, oparł się o latarnię, podrapał w kolano, w miejsce, gdzie ukąsiła go pchła. Przez cały czas wpatrywał się w puste okno i rozmyślał: och, gdybym tylko przyjechał do miasta dziś, spojrziałbym w to okno i nie zobaczył nic, i nie doświadczyłbym całej tej frustracji, niecierpliwości i tej ż a r l i w o ś c i , które wylewają się ze mnie teraz.

Dvorak wreszcie pojawił się na schodach, pomykając; poły marynarki powiewały za nim, a jego uśmiech był jeszcze szerszy - o ile to w ogóle możliwe. Rzucił chytre spojrzenie.

- Co powiedziała? - Dopytywał się Dradin. - Czy coś powiedziała? Cokolwiek? Tak? Nie?

- Pełen sukces, proszę pana. Sukces. Jest zajęta, jest zapracowana, więc mówiła niewiele, ale powiedziała, że spotka się z panem w „Pijanej Łodzi”, choć może dopiero po zapadnięciu zmroku. Spojrzała przychylnym okiem na szmaragd i wiadomość. Nazwała pana dżentelmenem.

*Dżentelmenem.* Dradin wyprostował się.

- Dziękuję panu - rzekł. - Bardzo mi pan pomógł. Proszę. Podał Dvorakowi drugą monetę; ten wyrwał mu ją z ręki ze zwinnością węża.

Dvorak wymruczał coś na pożegnanie; Dradin ledwo go słyszał, przebywając w świetle, gdzie słońce zawsze świeci jasno, odsłaniając wszystkie ukryte zakamarki, niszcząc wszelki cień czy ciemną lub migoczącą prawdę.

## V

**POPEŁDZIŁ Z POWROTEM DO PENSJONATU.** Prawie nie dostrzegał otaczających go czerwonych, zielonych i niebieskich błysków, nie wyczuwał w powietrzu atmosfery oczekiwania, nie słyszał stłoczonych grupek ludzi rozmawiających ożywionym tonem. Wieczorem miał się rozpocząć Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic i ulice miały rozbrzmieć gwarem święta. Już teraz czuć było czysty zapach świeżo wypiekanego chleba, pomieszany z lepką nutą słodczy, który drażnił nos i zmieniał grymas w uśmiech. Chłopcy, wypuszczeni wcześniej ze szkół, bawili się obręczami, szklanymi kulkami i kawałkami cegły. Bardziej odważni odgrywali sceny zatapiania statków przez wielkiego, starego krakena, który jednym machnięciem macki posyłał na dno pływające po bajorze stateczki zabawki i rozgniatał je w ryszotoku. Inni obserwowali wznoszenie rusztowań na ulicach prowadzących do bulwaru Albumuth. Szczudlarze o pomalowanych na fioletowo twarzach rozwieszali równe ilości cukierków i główek z masy papierowej, nie schodząc ze szczudeł.

Dradin wkroczył wreszcie do pokoju, otworzył drzwi na oścież i gwałtownie zatrzasnął je za sobą. Obywatele Ambergris przygotowywali się do Festiwalu, a on przygotowywał się na spotkanie swojej miłości, nie myśląc o takich rzeczach jak brak pracy i topniejące zasoby finansowe. Rozebrał się i wziął prysznic w wodzie tak gorącej, że igły wrzątku wytatuowały mu skórę na czerwono, ale czuł się czysty, a nawet bardziej niż czysty: oczyszczony i spokojny, gdy pół godziny później wyszedł spod prysznica i wytarł się dużym, zielonym ręcznikiem. Stojąc nago przed lustrem w łazience, Dradin zauważył, że choć nabrał trochę ciała od chwili, gdy opuściła go gorączka, wcale nie przytył. Nie miał śladu brzuszka, a na nogach zarysowały mu się mięśnie. Nie była to wcale cecha rodzinna: jego swawolny ojciec, odkąd matka zaczęła swoją przygodę z rzeką, utył i przypominał surowe chlebowe ciasto. Ojciec nie miał już nic do roboty poza nauczaniem etyki na uniwersytecie i żywieniem nadziei, że gibkie, młode istoty, które uczęszczają na jego zajęcia, będą miały dla niego litość. Ale jego syna czekał inny los; Dradin był tego pewien.

Zaczął się golić; zaciął się i krew popłynęła mu po brodzie i szyi; zadrżał, ale odzyskał samokontrolę i chwycił brzytwę mocno; a mimo to, gdy skończył, ręka mu się trzęsła. Dobrze. Teraz różne olejki wcierane w skórę głowy, by jego włosy przybrały jednolicie czarny kolor, nietknięty bielą, chyba że po bokach, w miejscach, gdzie muskały uszy, nie spadając na twarz. Potem plamka czerwieni, by wydobyć błotnistą zieleń jego oczu - może to skandaliczny nawyk, przejęty oczywiście od matki, ale Dradin wiedział, że postępowało tak

wielu bladych kapłanów.

Przystępując do ubierania się, zaczął od włożenia czystej bielizny, a następnie znalazł eleganckie skarpety ozdobione motywem węży barwy zgaszonego fioletu i złota. Potem szare spodnie - szare jak szparki oczu jego ojca w szponach duchów, szare jak bezbarwne nastroje jego matki po przedstawieniach w teatrach muzycznych. Tak, elegancka szarość, głęboka szarość, nie do końca konserwatywna; następnie koszula: wyglądająca na nim na obszerną, lecz nie za dużą, biała z fioletowymi i złotymi guzikami, pasująca do skarpetek, a na to marynarka z szaro-fioletowej tkaniny, więc od stóp do głów wyglądał wytwornie, jak debiutant na jakiejś politycznej gali. Sprawilo mu to przyjemność - wyglądał na umundurowanego, jak misjonarz, a zarazem jego celem było stworzenie bardziej prywatnego wizerunku. Tak, poradzi sobie znakomicie.

Tak odziany, z ostatnimi monetami podzwaniającymi w kieszeniach, z żołądkiem zbitym w jedną kulkę nerwów (i przypominającym atak choroby morskiej uczuciem *mamzamałopienędzy*, *mamzamałopienędzy* pulsującym w trzewiach), Dradin wyszedł na ulicę.

Mgielka o zmierzchu przytłumiła Ambergris, tłumiąc dźwięki i ograniczając widoczność, lecz także przygasila wszędzie światła. Światła z balkonów i sypialni, światła ulicznych latarni i konnych dorożek, latarnie niesione w dłoniach i światełka kołyszące się na ramionach kościstych dozorców, którzy śpiewali z głębi gardeł:

- Światło umiera! Światło umiera! Niech zacznie się Festiwal!

Obok przemykały zjawy na metalowych prętach: ludzie na rowerach. Dzwoneczki dzwoniły, a dzieci w eleganckich ubrankach, które powierzono całym legionom cierpiących od dawna niań, toczyły się niepewnie na grubych nóżkach. Dziecięcy mimowicie z pomalowanymi na biało twarzami zbliżyli się do Dradina, podskakując i wycinając piruety, a Dradin klasnął z aprobatą i pogłaskał ich po główkach. Przypominali mu nagie dzieci ze szczepu Nimblytodów, huśtające się na drzewach i żywiące ptakami, które zgubiły się w lesie i nie mogły odnaleźć drogi do światła.

Przecięły mu drogę kobiety w czerwono-czarnych mundurach myśliwych. Do pasów miały przypięte puste w środku drewniane figury koni; sztuczne drewniane nogi dyndały im po bokach, gdy ich własne udawały kłus, galop czy podskoki, ale robiły to w sposób tak kontrolowany, tak zwarty i sztywny, że nigdy nie gubiły szyku mimo przypadkowego charakteru ich ruchów. Każdego z koni pomalowano inaczej, w dziwaczne odcienie zieleni, czerwieni i bieli: miały przekrwione oczy, a czarne zęby sterczały jak wykrzywione kły. Wargi kobiet były pokryte czerwoną szminką, ściągając się, gdy udawały rżenie. Dookoła

nich zbierał się tłum, wybuchając co chwila śmiechem, a kobiety były tak pogrążone w transie, że widać było tylko białka ich oczu, odcinające się przerażająco na tle ciemności.

Dradin minął gigantyczne rożna, na których pieczono całe krowy, całe prosięta i parę mniejszych bestii; obracali je stękający muskularni mężczyźni o rumianych twarzach. Zewsząd wypełzali obudzeni ze snu grzybianie, ziewali, zabierali swoje czerwone flagi i kuśtykali dalej, by oddać się swym tajemnicom i zawiłym rytuałom. Uzbrojeni mężczyźni toczyli walki na niby na szable i noże, zaś półnaczy młodzieńcy uprawiali zapasy w rynsztokach. Ciało mieli pokryte potem, ale nie spuszczały wzroku z młodych kobiet, które przyglądały się ich zmaganiom. Inni widzowie puszczały się w zaimprovizowane tany bez figur i formy, aż Dradin musiał przeciskać się przez pajęczynę obrotów, odporny na śmiechy i paplaninę, stukanie i łomot stóp na szorstkim bruku. To była najbardziej magiczna noc w Ambergris, Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic, kiedy całe miasto pogrąża się w transie, zaczarowane, niełatwe, i wszędzie, jak w ciszy przed burzą, ludzie krzyżują spojrzenia, po czym uciekają wzrokiem, jakby chcieli zapytać: „Co dalej?”, „Co się potem stanie?”.

W końcu, precyzyjnie się przez przejście, z którego zwisały stryczki, Dradin wyszedł na główny bulwar. „Pijana Łódź” była tuż przed nim. Jak mógł jej nie zauważyć? Była tak rozświetlona i udekorowana, że wszystkie trzy pochyłe pokłady z ciemnego dębu lśniły i błyszczały uciechą.

Tłum gromadził się pod tawerną, czekając, aż będzie mógł wejść, ale Dradin przedarł się przez ciżbę, dał odźwiernemu złotą monetę i zanurkował do środka. Wspiął się na drugi pokład, skąd bulwar był dobrze widoczny, a zarazem znajdował się wystarczająco nisko, żeby wszystko dokładnie widzieć. Napiwek wręczony kelnerowi zapewnił Dradinowi doskonały stolik tuż obok balustrady. Stół nakryty haftowanym obrusem z koronkami, z grawerowanymi sztucami i migoczącą świecą w szkle, wydawał się równie odległy od parady, jak i od muzycznego chaosu „Kruków”, czterech niechlujnych muzyków, którzy grali na mandolinie, gitarze z dwunastoma strunami, flecie i bębnach:

*W mieście zakłamania*

*Mówiłem tyko*

*Językiem szpiegowania*

*W mieście, gdzie upadł*

*Mój duch, mówiłem tyko*

*Językiem much*

Ich muzyka przypominała Dradinowi odgłos przypływu roztrzaskującego się o klify, a potem, gdy zwolniła tempo, uderzające i cofające się potężne fale, marszczące gładką powierzchnię wody. Ukołysa go, ale zarazem przyprawiła o mdłości, i siedząc przy stole miał wrażenie, że drewno pod nim się kołysze, choć wiedział, że to tylko deski podłogi oddają echo jego własnego pulsu.

Przyjrzał się trasie parady, otoczonej błyszczącymi latarniami przybranych bibułką; wydawały szeleszczący odgłos, gdy zawiął wiatr. Tysiące światełek jarzyło się błękitem i zielenią, a tłum zbierał się po obu stronach trasy, aż ulica stała się opalizującą repliką rzeki Moth, może nie aż tak szeroką, ale niewątpliwie równie głęboką i magiczną.

Dookoła niego rozbrzmiewał śmiech i uprzejme rozmowy, a każdy stolik był wyspą uroku i oczekiwania: damy w białych i czerwonych sukniach upstrzonych cekinami, lśniącoymi, gdy padło na nie światło, dżentelmeni w ciemnobłękitnych marynarkach lub smokingach, wyglądający równie absurdalnie jak kiedyś ojciec, którego złapał deszcz.

Dradin zamówił łagodnego alkoholowego drinka o nazwie „Czerwona Orchidea” i sączył go, ukradkiem przyglądając się parze, która siedziała najbliżej niego po prawej stronie: wysoki, chudy mężczyzna o orlich rysach, oczach wąskich jak papierowe wycinanki i obfitych, posiwiałych bokobrodach; jego towarzyszka była blondynką w szmaragdowej sukni, która zakrywała ją całkowicie, a mimo to uwidaczniała jej kształty z powodu obcistości. Skąpana w świetle świecy kobieta śmiała się za głośno, uśmiechała za szybko, i Dradin z zażenowaniem patrzył, jak robi z siebie idiotkę, a mężczyzna z siebie jeszcze większego głupca, nie przywołując jej do porządku. Tylko na nią spoglądał z niewyraźnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Gdyby to jego ukochana, kobieta z okna, podeszła do stolika, ta nieporadność, ta brzydota skryta pod pozorami wdzięku byłaby wszak zaledwie śladowa?

Jego ukochana? Ze szklanką przy ustach Dradin uświadomił sobie, że nie zna jej imienia. Mogła to być Angeline, Melanctha czy Galendrace, czy nawet - tu wyraz jego twarzy stał się bardziej ponury i Dradin poczuł dziwne pulsowanie w skroniach, gdy wreszcie udało mu się wyrzucić z siebie to imię - „Nepenthe”, jak spocona kapłanka w dżungli. Odstawił szklankę. Te wszystkie przygotowania, te nerwy jak postronki, a on nawet nie zna imienia kobiety w oknie. Poczul dreszcz: czy nie wydawało mu się, że zna ją równie dobrze jak samego siebie?

Parada wkrótce przeszła swoją trasą: potężne, onieśmielające latawce z materiału z układającą się w kształt potężnej ośmiornicy konstrukcją z drutu, a pod nimi papierowe wstążki udające macki, wyglądające, jakby oświetliło je jakieś własne światło, wpadały na siebie i zderzały się na tle ciemniejszego nieba. Potem jechały statki: konstrukcje

zamocowane na kadłubach porzucianych pojazdów mechanicznych. Miały brać udział w takich samych scenach jak te odgrywane przez chłopców z miniaturowymi stateczkami: polowaniu na potężnego krakena, słodkowodną kałamarnicę, która żyła w najgłębszych otchłaniach Moth, w miejscu, gdzie rzeka była szeroka jak morze i kipiąca szlamem.

Dradin zaklaskał.

- Pięknie, pięknie - rzekł i z elegancką desperacją zamówił kolejnego drinka, bo skoro i tak miał niedługo być głodny i bez grosza przy duszy, cóż znaczył kolejny wydatek?

Na trasie parady popisywali się wilczarze, potem zonglerzy, mimowie, połykacze ognia, ludzie gumy i tancerki brzucha. Gangrenowaty księżyc ruszył w podróż po niebie, które nabrało zielonego odcienia. Szum rozmów wzmógł się, a krzyki ludzi znajdujących się na ulicy poniżej, ogłupionych jadłem, napitkiem i hulanką, stały się zniekształconym, fragmentarycznym wyciem rozpadających się żądź.

Gdzie była jego ukochana? Czyżby jednak miała nie przyjść? Dradin odniósł wrażenie, że jego głowa jest pusta i lekka, a mimo to ciężka, jakby na samą myśl ziemia zaczęła wirować, by go powitać. Nie, taka myśl nie przyjdzie mu do głowy. Dradin zamówił kolejną „Czerwoną Orchideę”.

Przyjdzie. Przyjdzie odziana w biel i czerwień, włożywszy naszyjnik z dziwnych, niebieskich i zielonych paciorków, z nierównym szmaragdem zwisającym pośrodku. On wstanie, by ją powitać, a ona poda mu rękę i on skłoni się, by ją pocałować. Jej skóra będzie ciepła pod dotykiem jego warg, równie ciepłych i elektryzujących. On zwróci się do niej: „Proszę usiąść” i odsunie dla niej krzesło. Ona podziękuje mu za tę szarmanckość lekkim skinieniem głowy w lewo. On poczeka, aż ona usiądzie, a potem przywoła kelnera, zamówi kieliszek wina i zaczną rozmawiać. Nawiązując do chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, zapyta, jak jej się podobały książka i naszyjnik. Może oboje będą się śmiać z rubaszości Dvoraka i jej własnej nieśmiałości, bo przecież ona szybko dostrzeże, że on wcale nie jest nieśmiały. Będą mijały godziny, a z każdą minutą będzie się nawiązywać między nimi więź; ona będzie patrzeć mu coraz głębiej w oczy, a on jej. Ich ręce będą pełznąć do siebie po stole, nieporadnie, aż ona potrąci kieliszek z winem, a on będzie próbował go schwytać, lecz zamiast tego znajdzie jej dłoń.

Od tej chwili, gdy będą trzymać się za ręce, ze spojrzeniami na długość stołu, tak intymnymi, wszystko stanie się łatwe. Wiele rzeczy pozostanie niewypowiedzianych, bo wcale nie będzie takiej potrzeby. Być może wstaną od stołu, wyjdą z tawerny i zaczną przemierzać ulice, którymi przeszła festiwalowa parada. Bez względu jednak na to, co zrobią, między nimi powstanie więź: napiją się do syta namiętności w swych oczach.

Dradin startł pot z czoła, pociągnął łyk drinka, spojrział na tłum, który zaczynał mieszać się z uczestnikami parady, rozpychając się i przedzierając w stronę świateł i artystów.

Maszerowali weterani wojenni: dziwaczna zbieranina nieistniejących kończyn, wspomnień odjętych od ciała - żaden z nich nie miał dwóch rąk i dwóch nóg. Postukiwali i szli, powłócząc nogami, w dziwnym towarzystwie, opierając się na kulach, wózkach inwalidzkich i towarzyszach. Mieli na sobie mundury z setek wojen i byli w bardzo różnym wieku: od siedemnastu do siedemdziesięciu lat. Dradin rozpoznał kilku współmieszkańców z pensjonatu. Ci, którzy nieśli szable, machali nimi i wywijali, podburzając tłum, który napierał, cofał się i rozdzielał jak rozmnażająca się przez podział bestia, piszcząc i coraz bardziej zbliżając się do pochodu.

Potem, z jakąś ponurą precyzją, nadeszło czterech mężczyzn niosących trumnę, tak małą, że wyglądała na dziecinną. Każdy niósł ją jedną ręką. Od czasu do czasu prowadzący podnosił wieko, by pokazać puste wnętrze, a tłum zawodził i deptał się po nogach.

Za trumną wieziono zamkniętego w klatce kota z dżungli, który pluł, warczał i walił potężną łapą w bambusowe pręty. Spoglądając w otępieale, lecz nadal butne oczy kota, Dradin przełknął swoją „Czerwoną Orchideę” i pomyślał o dżungli. *Wilgotne ciepło, paprocie zwijające się w cuchnącej zieloności, kwiaty spływające czerwienią, gęsty zapach bogatej, czarnej ziemi na łopacie, blada szarość dłoni kobiety, nagłość przybycia do wioski tubylców, która wkrótce stanie się miejscem duchów, dzicy uciekający lub powaleni zarazą, ciemne oczy i pytające spojrzenia tych, którym zakłócił spokój, przynosząc swe słowo misjonarza, las w jakiś sposób zbyt zielony, tak najeżony zapachami, smakami i dźwiękami, że aż człowiek czuł się nimi odurzony, aż dostawał od tego gorączki, topiąc się w czarnej wodzie i przeklinając brak konwertytów.*

Dradin znów zadrżał od zimnego drinka i odniósł wrażenie, jakby pokład kołysał się pod nim i zanurzał w czasie w rytm muzyki „Kruków”. Czy to możliwe, że nie wyleczył się z gorączki? Czy zwyczajnie oszalał, czy po prostu upił się „Czerwoną Orchideą”? Czy może, w chwili ostatecznego cierpienia, był odurzony miłością? Niewiele więcej mu już zostało i gdy to sobie uświadomił, poczuł niemiły dreszcz strachu. Nie miał pracy i miał niewiele pieniędzy, więc jedyną stałą rzeczą w jego życiu była siła miłości do kobiety z okna.

Uśmiechnął się do pary przy sąsiednim stoliku, choć bez wątpienia był to pijacki odruch, jak u jego ojca. Teraz musiał przyznać sam przed sobą, że jego dawne związki były dość nieszczęsnej natury: zbyt platoniczne, zbyt dziwne i zawsze zbyt krótkie. Dżungla nie sprzyjała długim związkom. Dżungla pożerała długie związki, miażdżyła je w zębach i wypluwała. Jak jego związek z Nepenthe. Nepenthe. Czy kobieta z okna mogła mieć na imię



Nepenthe? Czy chciała, żeby tak ją nazywać? Teraz pokład pod nim rzeczywiście przechylał się i kołysał jak statek na morzu, aż Dradin przytrzymał się krzesła i odsunął od siebie „Czerwoną Orchideę”, by mieć się gdzie oprzeć.

Przyglądając się paradzie, dostrzegł Cadimona Signala i musiał się roześmiać. Cadimon. Kochany, stary Cadimon. Czy parada miała stać się tym, czym był cudownie brzydki tatuaz Dvoraka? Podróżą z przeszłości w teraźniejszość? To rzeczywiście był Cadimon, machający do tłumu z platformy udekorowanej złotą i białą satyną, z Żywym Świętym u boku, na tę okazję dyplomatycznie ubranym w mesjańskie białe szaty.

- Ha! - Krzyknął Dradin. - Ha!

Paradę zamykał starszy mężczyzna prowadzący na smyczy żywego homara, który to widok tak rozbawił Dradina, że ten aż popłakał się ze śmiechu. Światła na bulwarze zaczęły przygasać, na początku jedno po drugim, a gdy tłum się rozchodził, rozdzielając się jak pokosy w czasie żniw, całe obszary w jednej chwili tonęły w ciemnościach. Za nim widać było wielkie rożny, porzucone: nikt już nimi nie kręcił, a nadziane na nie mięso poczerniało, nabierając barwy popiołu, za nimi zaś zapalały się ogniska, płonąc coraz jaśniej, jakby chciały zrekompensować zgaśnięcie innych świateł. Teraz nie dało się już rozróżnić uczestników parady od widzów, byli tak pomieszani i rozkołysani, rozradowani pod zielonym światłem księżyca.

Dookoła Dradina uwijali się pomocnicy kelnerów, szybko sprzątając ze stołów; pomagali im barmani, a Dradin usłyszał, jak jeden mówi do drugiego: „W tym roku będzie kiepsko. Bardzo kiepsko. Czuję to”. Kelner przyniósł Dradinowi rachunek i przytupywał, gdy ten grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu odpowiedniej monety, a kiedy wreszcie taką znalazł, kelner wyrwał mu ją z ręki i popędził, świszcząc połamami fraka i błyskając wypolerowanymi butami.

Dradin, znużony, zmęczony i smutny, spojrzął na czarno-zielone niebo. Jego ukochana nie przyszła i nie przyjdzie, może nigdy nie zamierzała - wiedział tylko tyle, ile usłyszał od Dvoraka. Nie wiedział, co powinien czuć, bo nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości: że jej nie spotka. Rozejrzał się dookoła: po nakryciach na stołach, po pustoszejącej restauracji, po nagłej pustce. Cóż mógł zrobić? Przyjąć jakąś niewdzięczną posadę i żyć z resztek, aż będzie mógł wysłać wiadomość do Morrow, do ojca - który może się nad nim zlituje, albo i nie. Ale nie miał nadziei na zbawienie. Ani odkupienie.

Fajerwerki wkręciły się w niebo i rozbłysły parasolem iskier, a tłumy krzyczały coraz głośniejsze, zagłuszając wybuchy. Ktoś popchnął go z tyłu. Poczł wilgoć na lewej ręce i usłyszał przekleństwo: jeden z kelnerów oddał się z częściowo rozlanym drinkiem.

Dym z fajerwerków opadł, mieszając się z mgłą unoszącą się znad rzeki Moth. Rozprzestrzeniała się tak szybko, że Dradin nie przypuszczał, iż może to być możliwe; noc zamazana dymem, gęsta i ciemna. I ktoś wyszedł z tej mgły, prosto w smutek Dradina: Dvorak, odziany w zieleń, tak że w rozproszonym świetle księżyca prawie nie było go widać. Głowę miał przekrzywioną w zadumie, jak u małpy, i zbliżał się do Dradina z boku, obrzucając go taksującym spojrzeniem. Czy on jest trujący jak wąż, myślał Dradin, czy jadalny jak owad? Czy po prostu jest kawałkiem kory, który należy zignorować? W taki bowiem sposób taksował go spojrzeniem Dvorak. Dradin poczuł, jak załęga się w nim iskra gniewu; w końcu to Dvorak wszystko załatwiał, a kobieta nie przyszła.

- Ty... - Rzekł Dradin, podnosząc głos, by dało się usłyszeć w hałasie. - Ty. Co ty tu robisz? Spóźniłeś się... To znaczy, ona się spóźnia. Nie przyszła. Gdzie ona jest? Okłamałeś mnie, Dvorak?

Dvorak podszedł do Dradina z boku, włożył mu pod pachy swoje muskularne dłonie i szarpnął tak mocno, przyginając go do ziemi, że ten przewróciłby się, gdyby się czegoś nie chwycił.

Dradin obrócił się, zamierzając zganić Dvoraka, ale spojrzawszy w oczy karzełka i oniemiał: były ciemne, tak nieprzeniknione, cała twarz jak odcisnięta w glinie - i zdołał tylko powiedzieć słabym głosem:

- Miała tu przyjść.

- Zamknij się - rzekł Dvorak, a sztywna, ukryta groźba w głosie przydybała Dradina gdzieś między złością a posłuszeństwem. Dvorak wypełnił tę chwilę słowami:

- Jest tutaj. Blisko. To noc Festiwalu. Wszędzie jest niebezpiecznie. Być może gdyby przyszła wcześniej... Ale teraz musi pan się z nią spotkać gdzie indziej, w bezpiecznym miejscu. Dla jej bezpieczeństwa.

Dvorak położył lepłą rękę na ramieniu Dradina, ale ten strząsnął ją.

- Nie dotykaj mnie. Gdzie niby jest bezpieczniej niż tu?

- Mówię, w pobliżu. Tłumy, Festiwal. Noc zapadła. Ona nie będzie czekać.

Na ulicy w dole zaczęła się walka na pięści. Przez mgłę Dradin słyszał uderzenia ciała o ciało, trzaśnięcie kości, jęk ofiary. Ludzie biegali tam i z powrotem, cienie mrugały w zielonej ciemności.

- Proszę za mną, proszę pana. I to już. - Dvorak szarpnął Dradina za ramię, przyciągnął go do siebie i zaczął szeptać mu do ucha jak echo z innego miejsca, innego czasu, a mapa na jego twarzy rozmazała się tak, że Dradin nie był w stanie nic z niej odczytać. - Musi pan iść. Teraz albo wcale. A jeśli wcale, to nigdy jej pan nie zobaczy. Ona może się z panem

zobaczyć tylko teraz. Teraz! Jest pan na tyle głupi, żeby odpuścić?

Dradin zawahał się, szacując ryzyko. Dokąd może go zaprowadzić karzełek? Dvorak zaklął.

- No to proszę nie iść. Nie, to nie. I szukać okazji na Festiwalu.

Odwrócił się i ruszył, ale Dradin wyciągnął rękę i złapał go.

- Chwileczkę - rzekł. - Pójdę - po czym wykonał kilka kroków, by stwierdzić z ulgą, że się nie zatacza.

- Pańska ukochana czeka - rzekł Dvorak bez uśmiechu. - Proszę się trzymać blisko mnie. Nie chciałbym, żeby pan się zgubił. To byłoby niebezpieczne.

- Jak daleko...?

- Żadnych pytań. Żadnego gadania. Za mną.

## VI

**DVORAK POPROWADZIŁ DRADINA NA TYŁY** „Pijanej Łodzi” i jakąś uliczką, której kamienie były śliskie od rzygowin i zasłane ostrymi kawałkami szkła z rozbitych butelek po piwie i winie; strzegł jej kloszard mruczący starą pieśń o równonocy. Szczury pędziły na tłustych nogach, żywiąc się niedojezdzonymi nogami kurczaka i rozmokłymi bułeczkami.

Na widok szczurów Dradinowi przypomniała się dzielnica religijna i Cadimon, a potem ostrzeżenie Cadimona: *Podczas Festiwalu kapłani nie powinni włączyć się nocą po ulicach, to niebezpieczne*. Przystał iść za Dvorakiem, zaczęło mu się rozjaśniać w głowie.

- Rozmyśliłem się. Zobaczę się z nią jutro w biurze Hoegbottona i Synów.

Dvorak zachmurzył się, jakby z dna morza powstał sztorm: odwrócił się i podszedł do Dradina.

- Nie ma pan wyboru. Proszę za mną.

- Nie.

- Już nigdy jej pan nie zobaczy.

- Grozi mi pan?

Dvorak westchnął, a jego marynarka zadzwoniła setkami noży.

- Pójdzie pan za mną.

- Już pan to powiedział.

- Więc nie idzie pan?

- Nie.

Dvorak przywalił mu w żołądek. Dradin miał wrażenie, jakby oberwał żelazną kulą. Uszło z niego całe powietrze. Złożył się w pół. Potworny, ostry ból rozdarł mu skroń: Dvorak kopnął go boczną krawędzią buta. Dradin upadł ciężko na lepki i ostry od szkła bruk. Odłamki wbiły mu się w dłonie, w nogi; wił się i jęczał. Półprzytomny, próbował stanąć na nogach. Tym razem but Dvoraka wylądował na jego żebrach. Dradin krzyknął i upadł na bok, po czym leżał nieruchomo, ciężko dysząc. Lepkie dłonie owinęły mu wokół szyi kawałek konopnego sznurka, po czym szarpnęły, odrywając jego głowę od ziemi.

Dvorak przyłożył długie, wąskie ostrze do szyi Dradina i ciągnął za sznurek, aż Dradin ukląkł i spojrział mu w cętkowaną twarz. Zachłysnął się powietrzem mimo bólu - gdyż była to inna twarz niż przed chwilą.

Rysy Dvoraka przypominały ocean sprzecznych emocji: jego usta wiły się, wyrażając strach, zazdrość, smutek, radość, nienawiść, jakby nakładając sobie na twarz mapę świata nałożył też całe światowe doświadczenie i to przyprawiło go o szaleństwo. W oczach karzelka Dradin dostrzegł prawdziwe oderwanie się od świata, a na jego obliczu błogi uśmiech prawdziwie potępionych; twarz i ciało nadał przechowywały pamięć emocji, nawet jeśli umysł ukryty pod ciałem już o tym zapomniał.

- Na miłość boską, Dvorak - rzekł Dradin.

Dvorak otworzył usta. Wysunął się z nich język i rozległ się jego głos, daleki i słaby jak wspomnienie:

- Idzie pan ze mną, proszę pana. Proszę wstać.

Dradin jęknął i obrócił się.

- Nie mogę.

Ostrze noża wbiło mu się w kark.

- Cicho! Idziemy albo pana zabiję.

Dradin zmusił się, by wstać, choć kręciło mu się w głowie i odnosił wrażenie, że w żołądku ma dziurę, której nie da się załatać. Nie patrzył Dvorakowi w oczy. Już jedno spojrzenie wystarczyło, żeby się przekonać, że ma do czynienia z potworem.

- Jestem kapłanem.

- Wiem, że pan jest kapłanem - odparł Dvorak.

- Będziesz się smażyć w piekle.

Wybuch śmiechu.

- Urodziłem się w piekle, proszę pana. Moja twarz to odbicie piekielnych płomieni. A teraz maszeruje pan przede mną. Nie biegnie pan. Jeśli pan spróbuje, uduszę pana, a potem wypruję flaki na miejscu.

- Mam pieniądze - rzekł ciężko Dradin, próbując wtłoczyć do płuc trochę powietrza. - Mam złoto.

- To je zabierzemy. A teraz marsz! Nie mamy za dużo czasu.

- Dokąd idziemy?

- Przekona się pan, jak dojdziemy.

Zielone światło księżycy plamiło wszystko z wyjątkiem poblasku ognisk na kolor ropuchy i zwiędłej trawy. Ogniska przyzywały swym syrenim śpiewem płomieni, aż tłumy otoczyły je, by tańczyć, krzyczeć i bić się. Dradin wkrótce zrozumiał, że Dvorak prowadzi go tak, by unikać ognisk - jedną mroczną uliczką za drugą, za barykadami. W mieście przestał już wiać chłodny wiatr: za każdym rogiem, który minęli, witało ich zgrzytliwe potrzaskiwanie płomieni. Ze wszystkich stron budynki wynurzały się z mgły: mrocznej, cichej, złowieszczej.

Gdy przechodzili przez most nad mętną wodą, na której unosiła się gruba warstwa ścieków i śmieci, pozostałości po Festiwalu, przykuśtykał do nich jakiś człowiek. Lewe ucho miał prawie oderwane od głowy. W ramionach kołysał kawałek czyjejś nogi. Jęczał, a gdy zobaczył Dradina - Dvorak krył się w cieniu - krzyknął: „Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie ich!”, by odbiec w ciemność i zostawić bezbronno kapłana. Wkrótce potem, podążając za śladem z krwi, pojawiła się banda dziesięciu czy dwunastu wyjących nastolatków o płowej skórze, w łowieckim nastroju, żądnych krwi. Gwizdali i szydzili z Dradina, kiedy jednak zobaczyli, że jest więźniem, zajęli się znów własnymi ofiarami.

Budynki stały się czarnymi cieniami barwionymi na zielono, ulica pod stopami nierówna, z grubo ciosanych kamieni. Po obu stronach ciągnął się mur.

Głęboka drzazga strachu sprawiła, że nerwy Dradina stały się jak postronki.

- Ile jeszcze? - Spytał.

- Niedaleko. Całkiem niedaleko.

Mgła dookoła zgęstniała tak bardzo, że Dradinowi było wszystko jedno, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte. Wyczuwał szuranie stopami po chodniku przed sobą i za sobą, a ciemność dookoła stała się klaustrofobiczna, gęsta od zapachu zgnilizny i rozpadu.

- Ktoś nas śledzi - rzekł.

- Wydaje ci się.

- Słyszę ich!

- Zamknij się! Już niedaleko. Zaufaj mi.

*Zaufaj mi?* Czy Dvorak zdawał sobie sprawę z tego, jak ironicznie brzmią te słowa? Jakim głupstwem było w ogóle prowadzenie rozmowy z nożem przy szyi, przy wtórze stłumionych oddechów dobiegających z przodu i z tyłu. Strach sprawiał, że Dradinowi jeżyły

się włosy na ramionach, i wyostrzał zmysły, zniekształcając i wylbrzymiając każdy dźwięk.

Ich wędrówka zakończyła się w miejscu, gdzie drzewa były mniej gęste, a mgła jeszcze się nie wcisnęła. Otaczały ich mury, szare ściany urywające się nagle trzy metry przed nimi w gęstwinie cieni, które trzepotały i szemrały jak suche liście na wietrze - tylko że nie było żadnego wiatru.

Dradin czuł walenie w skroniach; oddech uwiązał mu w gardle. Na sąsiedniej ulicy, równoległej, lecz niewidocznej, zegar wybijał godziny, od pierwszego uderzenia po jedenaste, a bawiący się dęli w rogi, wyrzaskiwali imiona lub wyli do księżyca szlochającym, odległym, zamierającym tonem.

Dvorak popchnął Dradina do przodu. Podeszli do otwartej bramy zdobionej filigranem, a za bramą, za sztachetami, widać było złowieszcze kamienie nagrobne sporego cmentarza. Mauzolea i pomniki, pojedyncze groby i grupy, całe rodziny martwe pod grubą warstwą darni, młodzi i starzy w równym stopniu byli pokarmem dla robaków, pokarmem dla ziemi.

Cmentarz porastała trawa i chwasty tak wysokie, że kamienie nagrobne sterczały z morza zieloności. Za tymi wyblakłymi świadectwami życia po śmierci, zapisanymi na spękanych kamieniach, rozdartymi i tajemniczymi w świetle księżyca, leżały puste łupiny pociągów, chaotyczne, porzrucane po całej okolicy. Poskręcany metal lokomotyw, wagonów towarowych i mieszkalnych błyszczał mrocznie zielenią, a patyna potrzaskanych szyb w oknach, utrzymywanych w całości tylko przez mech, który je porastał, lśniła szczególnie jasno, jak wielkie, lustrzane oczy. Oczy, w których nadal pojawiał się błysk przeszłości z czasów, kiedy węgiel krążył w lokomotywach jak krew i siarka, a ich przedziały rozbrzmiewały krokami ludzi, którzy teraz leżeli głęboko pod ziemią.

Dzielnica przemysłowa. Dradin pojął, że znajduje się w dzielnicy przemysłowej, a jego pensjonat jest gdzieś na południu. Siedziba Hoegbottona i Synów leżała na południowym zachodzie, a za nią rzeka Moth.

- Nie widzę jej - rzekł Dradin, starając się nie patrzeć na wijące się cienie.

Dvorak odwrócił się w jego stronę. Jego twarz miała barwę chorej zieleni, usta były okrutną szczeliną ciemności.

- A wydaje ci się, że miałbyś ją zobaczyć? Misjonarzu, zmierzasz prosto do grobu. Módl się, jeśli chcesz.

Słyszając te słowa, Dradin chciał uciekać, pędzić prosto we mgłę, nie dbając o to, że Dvorak może go dogonić i wypruć mu flaki, tak bardzo był przerażony. Pelzający orszak istot najwyraźniej podjął jednak jakąś decyzję. Dźwięki stały się głośniejsze, zaczęły dochodzić

zarówno z przodu, jak i z tyłu. Gdy patrzył, cienie stały się kształtami, a te - postaciami, aż w końcu zobaczył błyszczące oczy i ostrza legionu milczących w oczekiwaniu grzybian. Za nimi, podskakując i trzepocząc, roiły się ropuchy i szczury, a ich oczy lśniły w ciemności. Niebo pociemniało od nurkujących nietoperzy.

- Chyba zaszła jakaś pomyłka - rzekł Dradin.

Dvorak odparł smutnym głosem, a jego twarz miała dziwnie żałobny wygląd i przypominała księżyc:

- Tak, wiele pomyłek, ale wszystkie twoje. Zdejmuj ubranie.

Dradin cofnął się prosto w ramiona skórzastego, wyprężonego, cuchnącego stęchlizną tłumu. Wzdrygając się pod ich dotykiem, odskoczył do przodu.

- Mam pieniądze - zwrócił się do Dvoraka. - Dam ci pieniądze. Mój ojciec ma pieniądze.

Uśmiech Dvoraka stał się smutno słodszy i słodziej smutny.

- Ależ marnujesz słowa, kiedy zostało ci ich tak niewiele.

Rozbieraj się, bo jak nie, to oni to zrobią. - Wskazał gestem grzybian. Napierając coraz bliżej jeszcze bliżej, wydawali z siebie złowieszczy syk, zwierając szeregi, aż zrozumiał, że nie ucieknie od ich suchego, przesywającego odoru ani szurania nogami.

Zdjął buty, skarpety, spodnie, koszulę, bieliznę, składając starannie każdą sztukę odzieży, aż jego blade ciało załśniło, i w wyobraźni ujrzał, jak zamienia się miejscami z Żywym Świętym. Ile by dał za to, by szpakowaty wytryskiwacz przybył mu na odsiecz, ale wiedział, że nie ma na to szans. Mimo chłodu osłonił dłońmi genitalia, a nie pierś. Skromność zapewne nie miała już żadnego znaczenia, a mimo to wołał tak zrobić.

Dvorak przykucnął, trzymając koniec wyprężonego sznurka w dłoni, i przysunął do siebie ubrania za pomocą noża. Przeszukał kieszenie, zabrał pozostałe monety, po czym przewiesił sobie odzież przez ramię.

- Puść mnie - rzekł Dradin. - Błagam.

Głos mu drżał, ale zdumiało go, że było to zaledwie lekkie drzenie, zaledwie ślad strachu.

Kto by pomyślał, że człowiek stojący w obliczu śmierci może być tak spokojny?

- Nie puszcze cię. Już nie jesteś mój. Jesteś kapłanem, prawda? Za krew kapłanów dobrze płacą.

- Moi przyjaciele przyjdą po mnie.

- Nie masz w tym mieście przyjaciół.

- Gdzie jest kobieta z okna?

Dvorak uśmiechnął się z samozadowoleniem, które sprawiło, że Dradinowi żołądek wywrócił się na drugą stronę. Iskra gniewu przeskoczyła mu w dół kręgosłupa; zazgrzytał zębami. Brama cmentarza stała otworem. Biegał kiedyś po cmentarzach ze swoim przyjacielem Anthonym - po cmentarzach cuchnących starym metalem i starożytną techniką - lecz czyżby chcieli go tam posłać na dobre?

- W imię Boga, co z nią zrobiliście?!

- Nie jesteś za sprytny, co? - Rzekł Dvorak. - Jest dalej w biurze firmy Hoegbotton i Synowie.

- O tej porze?

- Tak.

- Cz-czemu ona tam jest?

Strach o nią, głębszy od jego własnego gniewu, sprawił, że głos zaczął mu drżeć.

Maska Dvoraka pękła. Zaczął chichotać, rechotać i tupać.

- Ponieważ, ponieważ, mój drogi panie, posiekałem ją na kawałki. Poćwiartowałem ją! Z tyłu i z przodu, zewsząd dookoła, dobiegał potworny, narastający, wibrujący rechot grzybian.

*Poćwiartowałem ją.*

Śmiech, szyderczy i okrutny, wytrącił go z bezwładu. Był teraz czysty i zimny jak figura z lodu, nieprzerwanie piastujący w wyobraźni obraz swej ukochanej. Nie mógł zginąć, dopóki nie zobaczy jej ciała.

Szarpnął się na sznurze, aż Dvorak upadł, a szarpnięcie wyrwało mu sznur z ręki. Dradin kopnął karzełka w głowę i usłyszał zadowalający ryk bólu, ale nie czekał, nie patrzył - pędził przez bramę cmentarza, zanim grzybianie ruszyli, by go zatrzymać. Miał wrażenie, że jego nogi zmieniły się w zimny metal, jak poruszające się tłoki starych, przeżuujących węgiel pociągów. Biegł jak nigdy dotąd, by ocalić swe życie; nie biegał tak nawet z Tonym. Biegł jak nawiedzony, brawurowo omijając nagrobki i wysokie trawy, słysząc za sobą wściekłe wrzaski Dvoraka i oślizgłe, zwinne ruchy grzybian. Mimo to Dradin śmiał się, gdy tak biegł - rycząc, gdy wskoczył na dach jakiegoś mauzoleum, skacząc między pomnikami, na sekundę zatrzymany przez przylegające do siebie nagrobki, po czym znów pędząc po powierzchni kolejnego szerokiego nagrobka. Udało mu się odzyskać głos i zaczął wrzeszczeć do swoich prześladowców:

- Złapcie mnie! Złapcie mnie!

Rechotał własnym głosem, gdyż był nagi jak w dniu, kiedy przyszedł na świat, a jego ukochana nie żyła, więc na tym świecie nie było już niczego, co mógłby utracić. Zgubił się,



najprawdopodobniej się zgubił, a mimo to poczucie wolności oszałamiało go. Poczucie własnej mocy przyprawiało go o zawroty głowy, czuł się, jakby był pijany. Dogadywał swym prześladowcom, kpił z nich, by wyskoczyć gdzie indziej, napawając się twardością własnych mięśni, siłą nabytą w dżungli, gdzie stracił wszystko inne.

Wreszcie zbliżył się do rzędu starych pociągów, skomplikowanych, zawitych i mrocznych, otoczonych zapachem wilgotnego, rdzewiejącego metalu. Jedno spojrzenie za siebie przed zagłębieniem się w labirynt pozwoliło ustalić, że grzybianie pod wodzą Dvoraka dotarli do ostatniego rzędu nagrobków, znajdującego się o piętnaście metrów od niego.

...Było to jednak tylko jedno spojrzenie - zaraz wskoczył w boczne drzwi lokomotywy, ruszył na palcach w chłodną ciemność. Uciszył się. Tego właśnie teraz mu trzeba. Musi być cicho, przemykając ukradkiem, by dotrzeć stosunkowo bezpiecznie do ulicy za pociągami. Wyostrzyły mu się zmysły, słyszał, jak nadchodzą, słyszał, jak szepczą i rozdzielają się, żeby przeszukać przedziały.

Poruszając się na pajęczą modłę, dublując ich ruchy, gdy słyszał, jak się poruszają, ale nie pokazując się, prawie wpadając w ich szpony i wymykając się z finezją, o jaką by się nigdy nie podejrzewał, przedzierał się przez metalową dżunglę. Szyny kolejowe. Wagony restauracyjne. Lokomotywy, które czas rozdarł na dwie części, więc Dradin mógł ukrywać się w ich najtajniejszych zakamarkach i wychodzić, gdy przeszli; blada postać pokryta cętkami rdzy.

Przed sobą, gdy tylko odważył się spojrzeć, ukrywając się przed prześladowcami, Dradin widział jednolitą ciemność muru, a dalej - czerwone przebłyski ognisk. Między nim a murem znajdowały się dwa rzędy wagonów. Wpełzł przez ziejące drzwi wagonu restauracyjnego...

...A dokładnie w tej samej chwili wszedł tam Dvorak pod osłoną cienia. Dradin już miał się wycofać z wagonu, ale zrezygnował: Dvorak by go usłyszał. Kucnął więc, ukryty za przewróconym stolikiem z przybitym wciąż stojakiem na pieprzniczkę i solniczkę.

Kroki Dvoraka słychać było coraz bliżej, wraz z chrypiącym oddechem i drżącą groźbą noży ukrytych pod marynarką. Jeden jego krzyk i grzybianie znajdą Dradina.

Zatrzymał się tuż przy przewróconym stoliku. Dradin czuł jego zapach, stęchły odór grzybianina, cierpki zapach szlamu z rzeki Moth. Oddech.

Wyskoczył i zakrył lewą ręką usta Dvoraka, obrócił go, a gdy ten stęknął, złapał go za rękę trzymającą nóż. Dvorak otworzył usta, żeby ugryźć Dradina. Dradin wcisnął mu pięść do ust, tłumiąc krzyk. Zęby zacisnęły się na jego dłoni. Teraz Dvorak nie mógł wydać z siebie żadnego odgłosu i zaczął miotać się rozpaczliwie, próbując pozbyć się pięści Dradina z ust.

Nóż wędrował tam i z powrotem, od boku Dvoraka do obojczyka Dradina i znów. Dvorak wił się, próbując wyswobodzić się z uchwytu Dradina i spojrzeć swemu wrogowi w twarz. Dradin, naprężając mięśnie, zdołał opleść nogi Dradina swoimi i utrzymać go na środku przedziału. Gdyby zaczęli obijać się o ściany, hałas byłby równie głośny jak krzyk Dvoraka. Nóż zbliżał się niebezpiecznie do szyi Dradina, który uderzył ręką Dvoraka o poręcz; trzask odbił się takim echem, że Dradin pomyślał, iż grzybianie na pewno musieli to usłyszeć. Nikt jednak nie przyszedł, gdy nóż wypadł z ręki Dvoraka. Ten próbował wygrzebać spod marynarki następny. Zanim jednak zdołał wyjąć kolejną broń, Dradin już zatopił ostrze głęboko w jego gardle.

Poczuł, jak ciało karzełka sztywnieje, a następnie staje się całkiem wiotkie, usta przestają gryźć jego pięść, a po rękojeści noża spływa gęsta, lepka ciecz.

Odwrócił się, by złapać upadające ciało, przytrzymał je i opuścił na ziemię. Czuł rwanie w zakrwawionej dłoni i widział, jak życie uchodzi z oczu Dvoraka. Tatuaż w tym świetle wyglądał, jakby się rozpadał; czerwone kropki miast były jak rany, rozjeżdżały się, stając się zwykłą siatką kresek. Przód koszuli Dvoraka pokryła krew.

Dradin wymamrotał pod nosem modlitwę, z czystego odruchu, gdyż jakaś część niego - ta część, która nakazywała mu śmiać się z wyznawców Świętego Solona, wkładających wróble do trumien - upierała się, że śmierć jest czymś niegodnym uwagi, niewyróżniającym się, więc ostatecznie - nieważnym, gdyż zdarza się codziennie, wszędzie. Zupełnie inaczej niż w dżungli, inaczej niż w przypadku okaleczonej ręki Nepenthe, tu nie było żadnej amnezji, żadnej fugi. Było tylko ciało pod nim i echo pobrzmiewające w uszach, pamięć głosu matki, która wywarkiwała z głębin gardła marsz śmierci, welon pogrzebowy utkany ze słów i muzyki. Czy był zdolny do odczuwania nienawiści? Nie był. Czuł tylko pustkę.

Słyszał, swymi nowymi, nadnaturalnymi zmysłami, ruch grzybian w pobliżu. Złożył głowę Dvoraka na zimnej metalowej podłodze i wyszedł z przedziału - cień na jeszcze głębszym cieniu pogiętych i zardzewiałych kół.

Teraz przemykanie między torami i krycie się w wagonach restauracyjnych przychodziło Dradinowi bez problemu, bo grzybianie pozostali całkowicie obojętni na to, co robił. Z dwóch rzędów wagonów między nim a murem zrobił się jeden. A potem była już tylko ściana. Wspiął się na nią, wijąc się; szorstki kamień ranił mu dłonie i stopy. Gdy dotarł do szczytu, przeszedł na drugą stronę.

Ach, a oto i bulwar poniżej. Dradin zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wrócić na cmentarz i ukryć się tam. Na całym bulwarze porostawiano szubienice, z których zwisali

mężczyźni i kobiety, bezwładni jak szmaciane lalki. Szmaciane lalki w strzępach: ciało odpadało im z pośladków, lędźwi, piersi, czerwień spotykała zieleń księżycy i zamieniała się w czerń. Oczy patrzyły ślepo. Ostry wiatr przynosił zapach padliny. Psy podgryzały stopy, nogi, ciała tak grube, że gdy Dradin kroczył, nasłuchując odgłosu koczujących za nim grzybian, musiał odpychać je na boki i nurkować między nimi. Ramiona miał schlapane krwią, sapał i trzymał się za bok, jakby coś go zabolalo, choć jedyną rzeczą, jaka sprawiała mu ból, był widok zmarłych. Kiedy uświadomił sobie, że nadal ma na szyi pętlę, zerwał ją tak energicznie, że wpiła mu się w ciało i zostawiła ślad.

Mijał wiszące ciała, płonące budynki i wypalone pojazdy silnikowe, aż zobaczył... Szczudlarzy niosących poranione głowy i rzucających je w oczekujący tłum, który kopał je i ciskał nimi... Wypatroszonego mężczyznę, którego wnętrzności spływały do rynsztoka, a napastnicy zadawali mu kolejne ciosy, on zaś chwycił się ich nóg... Kobietę przyciśniętą do ceglanej ściany przez dziesięciu mężczyzn, którzy przytrzymywali ją, ranili ją i gwałcili... Fontanny pełne unoszących się na wodzie napęczniałych ciał, z wodą, która przybrała czerwono-czarną barwę od krwi... Mignęły mu ogniska i ciała ułożone tuzinami w stopy pogrzebowe... Kobieta i mężczyzna, pozbawieni głów, nadal w objęciach, na kolanach, w mroku unoszącej się mgły... Upiorne krzyki, smak krwi w powietrzu, zapach ognia i płonącego ciała... I amazonki na drewnianych koniach, pędzące nad ciałami zmarłych, rozpryskując krew, z wywróconymi oczami, jakby nie chciały widzieć grozy tej nocy.

Och, gdyby tylko potrafił wyrwać sobie oczy z oczodołów! Nie chciał tego widzieć, a przecież nie mógł nic na to poradzić: jeśli zamierzał pozostać przy życiu, musiał patrzeć. W obliczu tej jatki zabicie Dvoraka było najłagodniejszym z aktów miłosierdzia. Czuł, jak żółć wzbiera mu w gardle i robi mu się mdło z żalu i przerażenia; wymiotował obok porzuconej bryczki. Kiedy mdłości minęły, odzyskał panowanie nad sobą, znalazł jakiś charakterystyczny punkt w terenie, który rozpoznawał, a potem, maszerując pomniejszymi uliczkami i wędrując po dachach niskich domków, przyklejonych do siebie, dotarł w końcu do pensjonatu.

Pensjonat był pusty i cichy. Utykając z powodu pokaleczonych szkłem stóp i bólu mięśni, Dradin powlókł się na drugie piętro, do swego pokoju. Gdy znalazł się w środku, nawet nie próbował zmywać z siebie krwi, kurzu i brudu, nie włożył ubrania, tylko pozbierał swoje rzeczy i włożył do sakwy dagerotypy, *Odbicie światła w więzieniu* i świadectwo ukończenia studiów religijnych. Stał na środku pokoju z sakwą przewieszoną przez lewe ramię i maczetą w prawej ręce, oddychając ciężko i usiłując sobie przypomnieć, kim jest, co tu robi i co powinien teraz zrobić. Powlócząc nogami, podszedł do okna i spojrzął w dół na

dolinę. To, co zobaczył, sprawiło, że zaczął się śmiać piskliwym tonem, który wydał mu się tak odrażający, że natychmiast zamknął usta.

Dolina była skąpana w ciemności, czasem przesywaną ciepłym, miękkim światłem. Nie było tu żadnych ognisk. Żadne ciała nie zwisały z szubienic z wywalonymi niebieskimi i fioletowymi językami. Nikt nie kąpał się we krwi trupów.

Widząc, jaki spokój panuje w dolinie, Dradin przypomniał sobie, jak się zastanawiał, czy przypadkiem jego ukochana tu nie mieszka, w miłej atmosferze, w miejscu, gdzie nie było misjonarzy. Gdzie nie było Żywych Świętych. Żadnych Cadimonów. Żadnych Dvoraków. Spojrzał w stronę drzwi. Były to niebezpieczne, oszukańcze drzwi: za nimi leżał świat z całą swą brutalnością. Stał tam przez kilka uderzeń serca, rozmyślając o tym, jak pięknie wyglądała ta kobieta w oknie trzeciego piętra, o jakie dreszcze przyprawiał go ten widok. Jakim pięknym miejscem był świat dawno, dawno temu.

Z maczetą w dłoni Dradin podszedł do drzwi i wyruszył w ciemność.

## VII

**GDY W KOŃCU PRZEDARŁ SIĘ DO SIEDZIBY** Hoegbottona i Synów, bulwar Albumuth był opustoszały, jeśli nie liczyć dziewczynki w wystrzępionej sukience w kwiatki. Słuchała zdezelowanego fonografu, który odtwarzał płytę z utworami Vossa Bendera.

*W głębi zimy*

*Strzępy pieśni*

*Przez gałęzie*

*Krucze jak kość.*

*Nie zobaczysz twarzy mej*

*Ale tam będę*

*Ze szronem we włosach*

*A za mną mój głód.*

Chmury znikły i w czerń nocy i zieleń księżycowego światła wbiły się zimne, białe kolce gwiazd. Czerń, w której wisiał księżyc i gwiazdy, była teraz absolutna; pożerała światło miasta, tłumiała wszystko poza cieniami, które mnożyły się i falowały. Za Dradinem odgłosy zagłady narastały, ale tu sklepy nie były zniszczone, choć opuszczone. A mimo to i tutaj z

latarni zwisali mężczyźni, kobiety i dzieci, śląc w dół zagubione, puste i zdumione spojrzenia.

Dziewczynka przysiadła na kolanach obok fonografu. Kładł się na niej cień wielkiego, pełgającego oka, wielkiego jak półmisek, błyszczącego i ślepego, jednego z oczu kolorowej kałamarnicy z tkaniny z powiewającymi na wietrze mackami. Ciała znieruchomiały w nienaturalnych pozycjach, rozciągnięte lub siedzące prosto w paszczy i żołądku bestii, jakby utonęły między mackami, wyrzucone na brzeg, nadal splątane i sztywniejące.

Dradin podszedł do dziewczynki. Miała brązowe włosy i ciemne, nieprzeniknione oczy o długich rzęsach. Płakała, choć dawno z jej twarzy znikły i smutek, i radość. Patrzyła na fonograf, jakby była to ostatnia rzecz na świecie, która ma dla niej sens.

Trącił ją.

- Idź stąd. Idź! Zejdź z ulicy. Tu jest niebezpiecznie.

Nie poruszyła się. Patrzył na nią z mieszaniną smutku i irytacji. Nie był w stanie nic zrobić. Wydarzenia odpływały od niego, schwyte w prąd rzeki silniejszej niż Moth. Mógł jedynie chronić własne życie, z zakrwawioną maczetą jako dowodem na istnienie niebezpieczeństw, jakie czaiły się w urzędniczej dzielnicy, którą musiał przejść, by dotrzeć znów do Albumuth. Te same uliczki, za dnia ospałe i nostalgiczne, stały się świadkami mordu: tysiące morderców o oczach ze stali czaiło się w gęstwinie wyki i kapryfolium. Tam ponownie odkrył mimów o białych twarzach, zaplątanych w bluszcz, ze stężałymi rysami.

Przeszedł koło dziewczynki. Rozpostarł się przed nim budynek firmy Hoegbotton i Synowie. Monotonna czerwona cegła w ciemności wyglądała na jaśniejszą, jakby odbijała płonące w całym mieście ognie.

Więc tu się to skończy, tu gdzie się zaczęło, pomyślał Dradin. Przed tym samym budynkiem firmy Hoegbotton i Synowie. Gdybym nie był takim tchórzem, skończyłoby się tu o wiele wcześniej.

Podkraść się po schodach pod drzwi. Rozbił szybę już poranioną pięścią, stękając z bólu. Ból pulsował gdzieś daleko, oddzielając go od jego wspaniałej nagości. *Uklucia dla dusz dalekich grzeszników*. Dradin otworzył drzwi na oścież i zatrzasnął je z takim brzękiem, że był pewien: ktoś to usłyszał i zaraz się pojawi, pędząc wielkimi susami po bulwarze. Nikt się jednak nie zjawił, a jego stopy, bosa, brudne i poranione, plaskały wewnątrz tak głośno, że nie miał wątpliwości, iż ona ucieknie, jeśli jeszcze żyje, biorąc go za intruza. Dokąd miałyby jednak uciekać? Słyszał własny ciężki oddech, jakby nawigował według gwiazd: dźwięk wypełniał podest schodów, wypełniał przestrzenie między schodami, wypełniał go determinacją, gdyż był najważniejszą oznaką życia, dowodem, że jeszcze żyje mimo wszystkich tych nieszczęść.

Zaśmiał się, ale wyszło mu to jakoś nieporadnie. Jego umysł zapadł się pod ciężarem masakry: krzyki rabowanych, błagania, dźwięki wydawane przez ludzi wieszanych za szyje, genitalia czy stopy, kołyszących się w całym mieście ludzi, którzy nagle w obliczu śmierci stali się mądrzy i cisi.

Ale to było tam. Tu, przyrzekł sobie Dradin, nigdy nie podda się takim obrazom. Zachowa wszystkie klepki.

Dotarł do trzeciego piętra; mimo zaciekawienia zatrzymał się i nie chwycił żelaznej gałki. Za tymi drzwiami było pomieszczenie z oknem. Wyrzeźbił jej obraz tak precyzyjnie w szczelinach pamięci, że wiedział dokładnie, gdzie powinna być. Jeszcze chwila wahania i wkroczył do jej pokoju.

Pomieszczenie. Zaciemnione. Zapach trocinowych wypełnień i skrzyń. To nie ten pokój. To nie jej pokój. To tylko poczekalnia, pewnie dla klientów, na ścianach dekadentkie dzieła sztuki, a dalej otwarte drzwi prowadzące do...

W następnym pomieszczeniu ściany były obwieszane okcydentalnymi marionetkami, które wyglądały jak czarne blizny, zasuszone i ułożone w kształt ludzkich sylwetek: ciała splecione w namiętności i zatopione w modlitwie, ciała popełniające morderstwa i załatwiające interesy. Arlekin i pierrot o nieśmiałych, czerwonych oczach i ostrych zębach leżały na plecach ze stopami w powietrzu. Tropikalne rośliny uwolnione z terrariów wspinały się po ścianach i otulały wnętrze, sterty jakichś przedmiotów ukryte w cieniu przyzywały go dziwnymi, kanciastymi kształtami. Odór wilgotnej zgnilizny mieszał się ze smrodem grzybian i gorzko-słodką wonią potu, jakby same ściany podjęły wysiłek stworzenia takich cudownych potworności.

Nadal siedziała twarzą do okna, ale odsunięta od niego, na drewnianym krześle, więc wijące się ciekawskie płomienie szalejące w całym mieście nie oświetlały jej twarzy. Światło pożarów tworzyło strefę ciemności i Dradin widział tylko jej czarne włosy opadające na oparcie krzesła.

Patrząc na kobietę na krześle, odniósł wrażenie, że nie widział jej od setek, albo i tysięcy lat; że widział ją po drugiej stronie oceanu, nad którym zapanowała flauta, lub pustyni, sam kształt, jak kształt lalki w teatrze cieni. Podszedł bliżej.

Jego kobieta, kobieta z jego snów, patrzyła w wypełnione sadzą czerwono-czarne powietrze, na drugą stronę ulicy, może nawet w stronę ukrytej rzeki Moth. Zbliżając się, odniósł wrażenie, że dostrzega cień ruchu - lekkie uniesienie jednego z ramion - ale przestał ją już postrzegać z bliska, stała się elementem szerszego widoku w perspektywie, w której w tej chwili nic już nie miało znaczenia i nie mogło go mieć. Była to perspektywa Dvoraka,

związana z mapą, która pokrywała całe jego ciało. Była to perspektywa Cadimona, która uniemożliwiła kapłanowi ulitowanie się nad byłym studentem.

- Moja kochana - rzekł Dradin. - I powtórzył: - Moja kochana.

Podszedł bliżej i dostrzegł jej profil. Ciało było zakryte białym prześcieradłem, ale jej twarz, och, jej twarz... Jej brwi były grube i ciemne, jej oczy jak dwa bliźniacze błękitne płomienie; miała mały, nierzucający się w oczy nos, a skórę białą, białą, białą, lecz z delikatnym poblaskiem koloru, który przyciągnął jego wzrok do wspaniałej linii jej ust; nad górną wargą widniały kropelki potu; piękne włosy miały kusić i uwodzić, a ubranie układało się na jej ciele tak, że wyglądało na pięknie wygięte; ręce złożyła na podłokietnikach, tak naturalnie, że w jej pozycji nie było cienia sztuczności. Czy to możliwe... Żeby... Ona... Ciągle... Jeszcze... Żyła?

Dradin ściągnął z niej białe prześcieradło - i krzyknął, gdyż pod spodem leżały tors i nogi w kawałkach, lecz ułożone tak sprytnie, że dawały złudzenie życia: głowę złożono na tułowiu, ale nie ociekała ona krwią ani innymi płynami ustrojowymi: była sucha, gładka i doskonała, jakby nigdy nie stanowiła części ciała. Bo istotnie nie stanowiła. Ukochana Dradina, od stóp do głów, była manekinem: przedmiotem, oszustwem. *Hoegbotton i Synowie, specjalizujący się we wszelkich rodzajach bluźnierstw i okcydentalnych technologii...*

Dradin otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Teraz dostrzegł szklisty połysk jej rysów, wrodzoną kruchość postaci wykonanej z masy papierowej, metalu, porcelany i gliny, zmieszanych, ubitych, wytłoczonych, oszlifowanych i wyrzeźbionych, by przybrać kształt kobiety. Świadectwo kunsztu zegarmistrza: zawiasy i połączenia zwisały, połamane, ukazując zerwane cięgna i skomplikowane, tandetne mechanizmy. Głupiec. Po trzykroć głupiec.

Dradin okrążył kobietę, czując, jak drży; wyciągnął ręce, by popieścić krzywiznę jej policzka, ale cofnął dłoń, zanim dotknął skóry. Poczul znów uderzenie tropikalnej gorączki; po chwili opadła w *decrecendo*, by znów uderzyć w *crescendo*. Jeszcze dwa okrążenia i dłoń, wbrew jego woli, wystrzeliła i dotknęła jej policzka. Zimny. Tak zimny. Tak potwornie zimny w porównaniu z ciepłem jego ciała. Zimna i martwa w swym pięknie mimo szalejącego na zewnątrz gorąca i ognisk. Martwa. Nieżywa. Nigdy żywa.

Gdy jej dotknął, gdy zobaczył razem wszystkie jej oddzielone części i to, jak do siebie pasują, pękło w nim coś małego i bardzo ważnego; coś, czego nie będzie mógł nigdy naprawić. Teraz w wyobraźni zobaczył Nepenthe w całym jej mroku i wdzięku. Teraz postrzegał ją jako osobę, nie jako ideę. Teraz dostrzegał jej nagość, pamiętał, co czuł, kiedy była pod nim - gładka, wilgotna, ciepła - nieruchoma, kiedy się z nią kochał. Brał ją, choć nie

chciała być wzięta. Jeśli kiedykolwiek utracił wiarę, stało się to właśnie wtedy, gdy zatracił się w ramionach kobiety obojętnej wobec niego, obojętnej wobec świata. Dostrzegł znów błysk małej ręki, odciętej i szarej, i dostrzegł własną dłoń, trzymającą ostrze. Jej odcięta dłoń. Jego dłoń trzymająca ostrze. Powrót do płonącej misji. Odcięty od pamięci. Odcięty od wiary. Odcięty od zmysłów przez gorączkę. Jej odcięta szara dłoń w jego dłoni, a w drugiej maczeta.

Upuścił maczetę. Upadła ze stukotem obok stóp manekina.

Ogarnięty gorączką, pełzł, wracając z wyprawy do dżungli, jedyny ocalony, tylko po to, by odkryć, że ludzie, do których tu przybył, by ich nawracać, napadli na misję i spalili ją do gołej ziemi... Upadł nieprzytomny, a gdy się ocknął, trzymał w ręce jej dłoń. Nepenthe, naga i martwa, leżała obok niego. Zdrada.

Strzaskane kawałki poluzowały się przy wydechu. Nie był już w stanie panować nad sobą i zaczął szlochać u stóp manekina, a kiedy go przytulił, delikatna równowaga została zachwiana i fragmenty ciała kobiety rozsypały się wokół: głowa patrzyła na niego z podłogi.

- Zabiłem ją zabiłem zabiłem ją nie zabiłem jej nie chciałem nie chciałem zmusiła mnie pozwoliłem jej pragnąłem jej nie mogłem jej mieć nigdy jej nie chciałem chciałem ją, ale nie tak jak chciałem nie mogłem chciałem nie mogłem chcieć, ale zrobiłem to nie wiem czy ja to zrobiłem - nie pamiętam!

Dradin osunął się na podłogę. Leżał tam przez dłuższą chwilę, wyczerpany, walcząc o oddech, z zaciśniętymi ustami, jakby jego szczeka stała się nagle obca. Z radością przywitał ból, o jaki go przyprawiły drzazgi z podłogi, wbijające mu się w ciało. Czuł się pusty w środku, obojętny, tak zmęczony, tak zrozpaczony, że odnosił wrażenie, jakby już nigdy nie miał stanąć na nogach.

Po pewnym czasie spojrzał jej w oczy i na jego twarz wypełzł ponury uśmieszek. Wydawało mu się, że słyszy głos matki przebijający się przez szum deszczu walącego o dach. Wydawało mu się, że słyszy głos ojca czytający mu o przygodach Juliette i Justine. Ukłękł przy jej głowie i pogłaskał ją w policzek. Położył się przy niej i podziwiał jej rysy.

Usłyszał własny głos.

- Kocham cię.

Nadal ją kochał. Nie mógł zaprzeczyć. Nie potrafił. To była miłość, która mogła trwać minutę lub dzień, godzinę lub miesiąc, ale teraz potrzebował jej tak, że wydawała się wieczna jak księżyc i gwiazdy i równie zimna.

Nie miało znaczenia, że jest w kawałkach, że jest sztuczna: teraz widział, że jest jego zbawieniem. Czyż nie zakochał się w tym, co zobaczył w oknie trzeciego piętra, i czyż nie to zmieniło zasadniczo jego charakter? Czyż taka, sztuczna, nie była dla niego lepsza niż



prawdziwa, z całą chciwością, pragnieniami, potrzebami i nieporadnością, które są przyczyną rozczarowania? Wymyślił dla tej kobiety całą historię, a teraz jego oczekiwania nigdy się nie zmieniają, a ona się nie zestarzeje, nigdy go nie skrytykuje, nigdy mu nie powie, że jest za gruby, zbyt niechlujny lub zbyt wymuskany, a on nigdy nie będzie musiał podnieść na nią głosu.

Dradin pojął to, pławiąc się w żarze tych uczuć i patrząc na porcelanowe zarysy głowy, a na zewnątrz krzyki stawały się coraz głośniejsze, szubienice skrzypiały i kołysały się radośnie w całym mieście. Pojął, że nie może zdradzić tej kobiety. Nie będzie żadnej rozkładającej się, odciętej dłoni. Żadnych kwiatów spryskanych czerwienią krwi. Żadnych poważnych nieporozumień. Myśl ta rozkwitła w jego głowie tak jasno, że nieomal go oślepiła. Nie może jej zdradzić. Nawet jeśli postawi jej głowę na kominku, a potem zaprosi tam kochankę, jak jego ojciec kiedyś postąpił z matką, robiąc to tuż przy niej, te oczy nie zobaczą grzechu. W tej chwili wydało mu się, że to mądrość większa od mądrości Cadimona, mądrość podobna do wizji, jaka nawiedziła go, gdy stał na podwórzu starego domu w Morrow.

Objął kawałki swej ukochanej, napawając się gładkością i połyskiem jej skóry, precyzją, z jaką ją wykonano. Ukląkł, tuląc ukochaną głowę w drżących ramionach. Czy jęczał? Czy krzyczał? Kto wie?

Delikatnie, z namysłem, Dradin ujął głowę swej ukochanej i wyszedł do poczekalni, a następnie przeszedł przez drzwi. Na podeście trzeciego piętra było cicho i ciemno. Ruszył w dół po schodach, najpierw powoli, boleśnie plaskając stopami po stopniach. Gdy dotarł do drugiego piętra, zaczął się śpieszyć, jakby chciał uciec od tego, co było za nim, aż zbiegł na parter i wypadł przez rozwalone drzwi frontowe; pędził, a sakwa waliła go po plecach.

Bulwarem, widzianym przez załamania kałamarnicy, nadciągał tłum, dzierżąc świece, pochodnie i latarnie. Za nim wybuchały i płonęły sklepy.

Dradin nie spojrzał ani razu, tylko biegł dalej - obok dziewczynki z fonografem, który nadal grał Vossa Bendera, obok Księgarni Borges, w cieniu której skradała się czarna pantera z parady, i dalej, w nieznane, unikając grzybian, którzy właśnie zbierali mroczne żniwo, krocząc z rękami pełnymi grzybów, z których sypały się zarodniki jak puch mniszka, i ostatnich uczestników Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic, którzy kiwali się jak wahadła, z językami niebieskimi albo czarnymi, z rękami luźno zwisającymi wzdłuż ciała. Biegł poprzez wnętrzości i schludne stosiki z dziecięcych rąk i nóg. Wśród ryku osłów i atletów, mijając martwych pijaków i sennych biczowników z ciemnymi biczami. Szlochał, a łzy płynęły mu bez końca. Mamrotał i szeptał miłosne zaklęcia do swej ukochanej, biegnąc

szybko pod szalonym, całkiem szalonym światłem księżycyca - pędził nieprzerwanie, cały czas w kierunku potężnych wód rzeki Moth, która miała zabrać jego i jego ukochaną tak daleko, jak tylko by zapragnął, choć być może nie dość daleko.

Boegbottoński Przewodnik

PO

WCZESNEJ HISTORII MIASTA

Ambergis

DUNCAN SHRIEK



# I



**LA POTRZEB NINIEJSZEGO** opracowania rozpoczniemy historię miasta Ambergris od legendarnych wyczynów łowcy wielorybów, a później pirata, kappana Johna Manzikerta<sup>1 2 3</sup>, który to w Roku Ognia - nazywanym tak z powodu katastroficznej wręcz podówczas aktywności wulkanicznej na Południowej Półkuli - wprowadził swą składającą się z trzydziestu statków flotę wielorybniczą do delty rzeki Moth, by następnie ruszyć nią dalej w górę rzeki. Mimo iż nie jest to pierwsze doniesienie o wtargnięciu aańskich klanów wielorybniczych na te obszary, najazd ów był pierwszym o jakimkolwiek znaczeniu.

Celem Manzikerta była bowiem ucieczka przed gniewem innego członka swego klanu, Michaela Brueghela, który wcześniej, przy brzegach samej Aandalay, zdziesiątkował niegdyś dumną i liczącą sto okrętów flotę Manzikerta. Brueghel zamierzał rozprawić się z Manzikertem raz i na zawsze, tak więc ścigał go jakieś sześćdziesiąt kilometrów w górę rzeki aż do miejsca, gdzie obecnie znajduje się port w Stockton, by dopiero tam zaprzestać pościgu. Powód konfliktu pomiędzy tymi potencjalnymi sojusznikami nie jest obecnie zbyt jasny - wszelkie dostępne historyczne źródła są wyjątkowo nieliczne i zazwyczaj wielce nieścisłe; można wręcz stwierdzić, że jednym z najbardziej doprowadzających do szału aspektów wczesnej historii miasta jest regularność, z jaką prawda historyczna mija się szerokim łukiem z legendą - lecz konsekwencje tych wydarzeń są wyjątkowo jasno sprecyzowane: późnym latem Roku Ognia Manzikert zapędził się niemal sto dziesięć kilometrów w górę rzeki Moth,

---

<sup>1</sup> Do czasów Manzikerta twardy południowy akcent jego ludzi na stałe zmienił brzmienie słowa „kapitan” na „kappan”. Miano „kapitan” odnosiło się nie tylko do zwierzchnictwa Manzikerta nad flotą statków, lecz nawiązywało również do starych imperialnych tytułów nadawanych przez Saphantów przywódcy biskupstwa wysp; co za tym idzie, tytuł posiadał zarówno religijne, jak i wojskowe konotacje. Jego użycie w tak późnym czasie odzwierciedla wszechobecność wpływów Imperium Saphanckiego - w dwieście lat po upadku jego tytuły wciąż były używane przez klany, które poznały Imperium zaledwie z drugiej ręki.

<sup>2</sup> Przypis dotyczący celu niniejszych przypisów: powyższy tekst obfituje w przypisy, by uniknąć zarzucenia Ciebie, Czytelnika, leniwego turysty, tak potężną ilością wiedzy, byś, wręcz nią nadęty, nie mógł dłużej ze zwykłą sobie bezmyślnością i beztronską rozkoszować się przyjemnościami miasta. Tak więc, by ograniczyć Twe przewidywalne próby - kiedy już odkryjesz temat zainteresowania w poniższej opowieści - przeskakiwania o kilka stron do przodu, wyrwałem wszystkie odsyłacze do pozostałych hoegbottońskich publikacji, które niczym grzybna plaga zaśmiecają broszury tej serii.

<sup>3</sup> Powiniennem dodać w przypisie 2, że większość najciekawszych informacji ujęta będzie wyłącznie w formie przypisów, a oświadczenie dołożę wszelkich starań, by zawrzeć ich tu tyle, ile tylko będzie możliwe. W rzeczywistości informacje, do których będą odnosić się przypisy, zostaną później rozszerzone w tekście głównym, tym samym utrudniając zrozumienie wszystkim, którzy zdecydowali się ich nie poznać. Taka jest cena, jaką muszą zapłacić ludzie, którzy wyrwali starego historyka z drzemki za katedrą, wymuszając na nim pisanie dla serii poślednich przewodników turystycznych.

do miejsca, gdzie jej nurt układa się w odwrócone L, nim wyprostowuje się zarówno w kierunku północnym, jak i południowym. W tym właśnie miejscu po raz pierwszy zauważono, że napływająca z południa słodka woda całkowicie wypiera słoną, sączącą się z północy<sup>4</sup>.

O zmroku, w dniu przybycia, Manzikert rozkazał zarzucić kotwice w przegubie owego L, w miejscu tworzącym naturalną przystań. Brzegi porastała tam gęstwina wybujałych zarośli, wyjątkowo bliskich aańskim sercom, gdyż wyglądały na bardzo podobne do roślinności ich rodzimych Wysp Południowych<sup>5</sup>. Fakt, że nie dostrzegli tam najmniejszego nawet śladu istnienia wrogo nastawionych mieszkańców, był już wystarczającą zachętą, ale i tak nie zdołał w nich wskrzesić koniecznej energii, by wraz ze zbliżającym się zmrokiem wyruszyć z ekspedycją w kierunku brzegu. Jednak jeszcze pierwszej nocy wystawieni na statkach strażnicy ze zdumieniem dostrzegli wyraźnie widoczne pomiędzy drzewami światełka ognisk i jeśli wierzyć doniesieniom kilku spośród obdarzonych wyjątkowo dobrym słuchem wielorybników, dochodzący z dala dźwięk wysokich zaśpiewów. Manzikert bez chwili wahania wydał rozkazy, by zbrojne oddziały wyruszyły pod osłoną nocy w kierunku lądu, lecz mnich truffidiański, Samuel Tonsure, przekonał go do przełożenia wyprawy do nastania świtu.

Tonsure - który, pojmany w Nicei (w pobliżu delty Moth), nakłonił kappana do nawrócenia się na truffidianizm, tym samym zyskując znaczący wpływ na niego - odgrywa w naszym obecnym zrozumieniu wczesnej historii miasta przewodnią rolę, a może nawet jest w nim najistotniejszy<sup>6</sup>. To jemu właśnie zawdzięczamy większość opowieści - zarówno

---

<sup>4</sup> Obecnie rzeka zmienia się w słodkowodną zaledwie czterdzieści kilometrów w górę od delty; powód tej zmiany nie jest do końca znany, lecz można ją połączyć z narastającymi pokładami mułu u jej ujścia, działającymi jako naturalny filtr.

<sup>5</sup> Niemal pięć wieków później petularcha Dray Mikal zarządzi wyrwanie z korzeniami całej miejscowej flory porastającej tereny wokół miasta i zasadzenie w jej miejsce północnych gatunków, tak bliskich mu z czasów młodości. Jest to, spośród wszystkich znanych nam z kart historii, z pewnością jeden z najbardziej szokująco aroganckich przejawów tęsknoty za domem. Ów petularcha będzie od pięćdziesięciu lat na tamtym świecie, nim przesadzanie roślinności zakończy się sukcesem.

<sup>6</sup> Patrząc na to jednak z drugiej strony, jakie jest tak właściwie nasze dokładne zrozumienie wczesnej historii samego mnicha? W najlepszym razie - dość mgliste. Archiwa miejskie w Nicei nie zawierają najmniejszej nawet wzmianki dotyczącej jakiegokolwiek Samuela Tonsure'a i jest bardzo możliwe, że najzwyczajniej w świecie znalazł się on tam zaledwie przejazdem, w drodze gdzieś indziej. A co za tym idzie, nigdy aktywnie tam nie nauczał. „Samuel Tonsure” może być także równie dobrze samodzielnie wymyślonym przez mnicha nazwiskiem, mającym na celu zatajenie jego prawdziwej tożsamości. Garstka uczonych, wśród których prym wiedzie wojownicza Mary Sabon, upiera się, że Tonsure nie był nikim innym jak samym patriarchą Nicei, człowiekiem, który, jak powszechnie wiadomo, zniknął mniej więcej w tym samym czasie, gdy Tonsure pojawił się u boku Manzikerta. Sabon proponuje nam poszlakowy dowód częstokroć powtarzanej historii, według której patriarcha miał od czasu do czasu przechadzać się po swym mieście *incognito* w przebraniu prostego mnicha, by móc w ten sposób wsłuchiwać się w prosty głos swego ludu. Podczas jednej z takich wypraw z łatwością mógł zostać pojmany, a jego porywacze mogli nie być świadomi wysokiej pozycji swego więźnia, która - gdyby tylko wyszła na jaw - dałaby Manzikertowi tak znaczną przewagę nad Niceą, że równie dobrze mógłby on zająć to miasto i osiaść w jego murach obronnych, tym samym przestając obawiać się

pochodzących ze zdyskredytowanej (i niepełnej) *Biografii Johna Manzikerta I Aan i Ambergris*<sup>7</sup>, spisanej, co jasno widać, by zadowolić kappana, jak również z potajemnie prowadzonego dziennika, który mnich przez cały czas nosił przy sobie i którego, jak można się domyślać, Manzikert nigdy nie widział na oczy, bo inaczej z pewnością oddałby Tonsure'a w ręce śmierci.

Wspomniany dziennik zawiera najpełniejszy opis osoby Manzikerta, jego wyczynów, jak i wszelkich następstw, które przyniosły ze sobą. To, że dziennik się pojawił (choć może należałoby raczej napisać: „dane mu było ponownie ujrzeć światło dzienne”) w pewnych dość wątpliwych okolicznościach, w żaden sposób nie powinno umniejszać jego całościowej wiarygodności. I wcale nie wyjaśnia kierowanych pod jego kątem przez pewne kręgi drwin i szyderstw, których źródłem jest najprawdopodobniej samo nazwisko mnicha - Samuel Tonsure, czyli Samuel Tonsura, brzmiące w oczach garstki małostkowych uczonych niczym, nie przymierzając, jakiś żart. Z pewnością jednak nie było to żartem dla samego Samuela Tonsury<sup>8</sup>.

Wraz ze świtaniem Manzikert zarządził spuszczenie łodzi na rzekę i z załogą w sile setki ludzi, w skład której wszedł również i Tonsure, ruszył z ekspedycją na rekonesans w kierunku brzegu. Musiało to stanowić na swój sposób komiczny widok, ponieważ - zgodnie z poczynionymi przez Tonsure'a opisami - Manzikert był wyjątkowo okrutnym człowiekiem o charakterze zmiennym niczym rtęć, który „sam, wyłącznie dla siebie - nie licząc pojedynczego wioślarza - musiał zająć jedną z łodzi, a ta, rozbujana pod jego stopami,

---

Brueghela. Jeśli jednak tak właśnie było, dlaczego patriarcha nie podjął żadnych prób ucieczki, kiedy już zyskał zaufanie Manzikerta? Przytoczona powyżej wersja wypadków, mimo innych zaproponowanych przez Sabon dowodów, już od samego początku zdaje się podążać w niewłaściwym kierunku. Moje własne dociekania, potwierdzone przez autarchę Nunku, wskazują, że do zniknięcia patriarchy doszło w tym samym czasie co do zniknięcia kapłanki Karoliny z Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy. To odwzajemniona miłość była powodem ucieczki kochanków, a ceremonię zaślubin pospiesznie odprawił podróżujący kuglarz, zresztą specjalnie na tę okazję wyświęcony na księdza.

<sup>7</sup> Z powodów, które już wkrótce staną się jasne, Tonsure nie był w stanie dokończyć biografii; dlatego też dziesięć lat później syn Manzikerta sprowadził w tym celu specjalnie z Nicei kolejnego truffidiańskiego mnicha. Na nasze nieszczęście, ów mnich, o imieniu utraconym na przestrzeni wieków, wierzył w sens noszenia włosienicy i codzienne samobiczowanie i nauczał „o wstręcie do słowa pisanego”. W rzeczywistości ukończył jednak biografię, lecz moim skromnym zdaniem równie dobrze mógł sobie oszczędzić wysiłku. Mimo iż zredagowana przez samego Manzikerta II, zawiera ona fragmenty tak kwiecistej prozy, że pozwolę tu sobie jedynie zacytować: „I wtedy właśnie Jego Wysoce Nieposiadający Się z Radości Majestat śmiałym krokiem postawił swą obutą stopę na lądzie niczym zuchwały zdobywca z czasów dawno minionych”. Wyraźnie widać, że wstręt i odraza owego mnicha do słowa pisanego znacznie przewyższały wszelkie zbrodnie, których owe słowa dopuściły się na nim.

<sup>8</sup> Gdy tylko skrupulatny historyk poczuje potrzebę kolejnych dowodów świadczących o pomyłce Sabon, nie musi daleko szukać, wystarczy bowiem spojrzeć na podpis złożony na pierwszej stronie dziennika: „Samuel Tonsure”. Dlaczego mnich miałby zaprzętać sobie głowę podtrzymywaniem pozorów, skoro już sama zawartość dziennika wystarczyła, by skazać go na śmierć? I dlaczego wybrałby sobie, jeśli w rzeczywistości był patriarchą (człowiekiem uczonym i mądrym pod każdym względem) tak nieporadnie nieudolny i oczywisty pseudonim?

przypominała raczej dziecięcą zabawkę<sup>9</sup>. Teraz więc, gdy Manzikert płynie w kierunku miejsca, gdzie w późniejszym czasie założy miasto, nastał, jak się wydaje, odpowiedni moment, by zacytować tu pełen ustęp słynnego opisu kappana pióra Tonsure'a:

Patrząc na tego człowieka, sam nie mogłem wyjść z podziwu i zdumienia; natura bowiem połączyła w nim wszelkie cechy konieczne u wojskowego przywódcy. Miał przeszło dwa metry wzrostu, tak więc, gdy chciało się na niego spojrzeć, należało odchylić głowę do tyłu, jakby spoglądając ku szczytowi jakiegoś wzniesienia czy wręcz wysokiej góry. Pod jego gęstymi brwiami kryły się wywołujące dreszcze, przesywająco niebieskie oczy, a jego oblicze nie należało ani do łagodnych, ani do przyjemnych, przywodziło raczej na myśl chmurę burzową; jego głos rozbrzmiewał dudnieniem niczym grom, a jego dłonie zdawały się stworzone do burzenia murów bądź roztrzaskiwania bram odlanych z brązu. Człowiek ten mógł skoczyć błyskawicznie niczym lew, a jego sroga mina budziła przerażenie. Ci, którzy widzieli go po raz pierwszy w życiu, odkrywali, że każdy usłyszany wcześniej opis był bardzo poważnym niedopowiedzeniem<sup>10</sup>.

Niestety nie towarzyszyła temu wyglądowi ani mądrość, ani konieczna cnota miłosierdzia. Tonsure, co oczywiste, żywił pewne obawy co do zmiennych nastrojów swego pana, mogących dać znać o sobie tuż po wyjściu na ląd, dlatego też starał się go przekonać, by sam pozostał na pokładzie okrętu flagowego, a prowadzenie oddziału desantowego powierzył najbardziej rozsądnemu spośród swych poruczników - a być może nawet własnemu synowi, Johnowi Manzikertowi II<sup>11</sup>, który w swoim czasie miał tak niezwykle błyskotliwie pokierować ludźmi ojca - ale Manzikert, choć był truffidianinem, wcale nie zamierzał słuchać mnicha. Na dodatek przekonał swą małżonkę, Sopię, by i ona towarzyszyła mu podczas tej wyprawy. Niestety Tonsure bardzo sporadycznie opisuje nam samą Sopię Manzikert, zarówno w biografii, jak i w dzienniku (osobnej biografii Sophii nie udało się przetrwać do naszych czasów), ale sądząc wyłącznie z garstki dostępnych nam informacji, portret jej męża,

---

<sup>9</sup> Wszystkie cytaty bez przypisu określającego ich źródło pochodzenia zostały zaczerpnięte z napisanego przez Tonsure'a dziennika, a nie z biografii.

<sup>10</sup> Cytat zaczerpnięty z biografii. Można tu rozważyć następujące pytanie: Skoro sam kappan był aż tak agresywny, to o ile bardziej przerażający musiał być Michael Brueghel, skoro zmusił Manzikerta do ucieczki na południe?

<sup>11</sup> Kappan dodał „II” do imienia swego syna, dając tym samym dość wczesny sygnał świadczący o zamiarach osadnictwa na lądzie i założenia tam własnej dynastii. Aański klan uważałby zapewne sam pomysł dynastii za dziwaczny, gdyż kappani wybierani byli zwykle spośród najzdolniejszych marynarzy, a roszczenia związane z dziedziczeniem funkcji rozpatrywane były w dalszej kolejności.

który wyszedł spod pióra Tonsure'a, równie dobrze można odnieść i do jej osoby - ta para wyjątkowo często wprowadzała się w romantyczny nastrój, czerpiąc przyjemność ze wspólnego plądrowania i grabienia.

Tak więc zarówno Manzikert z Sophią, jak i Tonsure z pozostałymi ludźmi kappana wyszli na ląd w miejscu, które już wkrótce miało stać się Ambergris. W tej jednak chwili zamieszkiwali je osobnicy ochrzczeni przez mnicha mianem „szarych kapeluszy”, znani obecnie jako „grzybianie”.

Tonsure donosi, że ledwie zdążyli zagłębić się na sto kroków w porastające brzeg krzewy, a już natknęli się tam na pierwszego mieszkańca, stojącego przed „okrągłym, zwieńczonym kopułą jednopiętrowym budynkiem, leżącym rozłożysto tuż przy samej ziemi. W budowli nie dało się dostrzec żadnych widocznych łączeń ani spoiw, a wychodziła z niej droga zbudowana z gładkich i lśniących kamieni, zręcznie połączonych ze sobą za pomocą zaprawy”. Budynek ten mógł swego czasu pełnić funkcję posterunku strażniczego, lecz teraz stanowił kwaterę mieszkalną.

Najwyraźniej budynek wydał się mnichowi bardziej imponujący niż sam stojący przed nim tubylec, gdyż na opis najdrobniejszych nawet szczegółów budowli przeznaczając całe trzy strony, równocześnie podając nam przy tym zaledwie poniżej cytowany króciutki akapit, opisujący stojącego przed nim mieszkańca:

Był niski i krępy - sięgał kappanowi zaledwie do ramion. Stał tak przed nami owinięty od stóp do głów swym szarym płaszczem, okrywającym zarówno tunikę, jak i spodnie wykonane z jaśniejszych, pozszywanych ze sobą kawałeczków szarych skór. Na głowie miał kapelusz w kolorze skóry olifanta: wysoki, o szerokim rondzie osłaniającym mu twarz przed słońcem. Jego charakterystycznymi cechami, przynajmniej tymi widocznymi, były krępa postura i ziemisty kolor twarzy, która zresztą nie wyrażała najmniejszego nawet śladu mogącego świadczyć o posiadaniu odrobiny wiedzy. Gdy kappan zadał mu pytanie, mające zapewnić nam chociażby szczątkowe informacje co do natury i nazwy miejsca, w którym się znaleźliśmy, owa nieatrakcyjna i nieciekawa istota nie potrafiła mu na nie odpowiedzieć; wydała jedynie z siebie serię klekotów, pochrząkiwań i gwizdów, które zdawały się naśladować pieśń szarańczy czy świerszczy. Nie można było ich uznać za przejaw mowy czy języka. Były, podobnie jak w przypadku owadów, ostrzeżeniem bądź ewentualnie odgłosem wyrażającym zaciekawienie, zupełnie pozbawionym przy tym wszelkich pozostałych



znaczeń<sup>12</sup>.

Możemy czerpać wręcz groteskową radość z wyobrażenia sobie następującej sceny: oto stojący gigant nachyla się nad karłem, chcąc się z nim porozumieć, a karzeł odpowiada mu językiem tak subtelnym i wyrafinowanym, że wszelkie próby tłumaczenia go nawet dziś zawodzą, gdy tymczasem gigant wyrzuca z siebie serię pozbawionych wdzięku samogłosek i spółgłosek, które szaremu kapeluszuw musiły przypominać nagły atak apopleksji.

W oczach Manzikerta szary kapelusz był odrażający i przypominał, że zacytuję tu jego własne słowa - „i dziecko, i grzyb”<sup>13</sup>, i - gdyby nie strach przed odwetem ze strony domniemanej władzy o bliżej nieokreślonej potędze - kappan z pewnością przeszyłby napotkanego tubylca na wylot swym mieczem. Zamiast tego wyminął go, pozostawiając wciąż trwającego w swym niezrozumiałym czuwaniu, bezustannie mlaskającego i gwizdzącego w kierunku ich oddalających się pleców<sup>14</sup>, gdy podążyli ową srebrzystą drogą, która w końcu doprowadziła ich do miasta.

---

<sup>12</sup> Jak mi się zdaje, konieczne jest tu wtrącenie trzech uwag. Pierwsza: akapit poświęcony szarym kapeluszu, pochodzący z biografii kappana, jest znacznie bardziej bezlitosny, przedstawia bowiem istoty „małe, o świńskich oczkach, postrzępionych fałdach mających pełnić rolę ust i nosie jak u małpy”. W rzeczywistości szare kapelusze wyglądem przypominały znanych nam obecnie grzybian - i, co należy tu zaznaczyć, wyglądały jak mniejsza wersja nas samych - ale kappan podjął już próbę mającą na celu ich odczłowieczenie, a co za tym idzie, stworzenie sobie usprawiedliwienia, racjonalizacji, by móc pozbawić ich zarówno życia, jak i własności. Po drugie: co zadziwiające, wszelkie dowody wskazują, że szare kapelusze tworzyły swe odzienie z wyprawionych skórek polnych myszy. Po trzecie: wydaje się, że Tonsure mimowolnie zdradził nam tu pewien sekret - o ile bowiem rzeczywiście tak było, że napotkany przez nich szary kapelusz „sięgał zaledwie do ramion kappana”, a równocześnie owi osobnicy, których tam spotkano, mieli średnio - co przyznał sam Tonsure - około stu dziesięciu centymetrów wzrostu (podobnie jak znani dziś grzybianie), oznacza to, że kappan mógłby mierzyć zaledwie jakieś sto czterdzieści centymetrów, a w najlepszym przypadku półtora metra, czyli sam byłby praktycznie karłem. (Pewne znaczenie ma tu również fakt, że Brueghel - w jednym z napisanych do Kalifa listów dotyczących przyszłych wzajemnych powiązań handlowych - wspominając Manzikerta używa określenia „mój nieistotny wróg”, a „nieistotny” w języku Kalifa ma podwójne znaczenie, w tym również rzeczownikowe - „karzeł”, Brueghel zaś, znany z własnoręcznego redagowania swych listów w sprawach państwowych, uwielbiał takie gry słowne). Być może opis Manzikerta w biografii Tonsure'a podyktował sam kappan, życząc sobie zatajenia na kartach historii swej mikrej postury. Niestety, wzrost kappana, czy też może, mówiąc ściślej, jego brak, pozostaje niezbyt jasnym zagadnieniem, w związku z czym będę się tu trzymał ortodoksyjnej wersji historii podanej nam przez Tonsure'a. Z drugiej jednak strony, jakże miło snuć takie spekulacje. (Jeśli Manzikert naprawdę był niski, moglibyśmy żywić nadzieję, że spoglądałby jednak na szare kapelusze jako na dawno niewidzianych utraconych kuzynów. Niestety, nie postrzegali ich w ten sposób).

<sup>13</sup> Możemy tu jedynie spekulować, z jakich to powodów Manzikert uważał dzieci i grzyby za odpychające. Z pewnością jadał grzyby, jak również spłodził z Sophią syna. Być może, o ile rzeczywiście był cokolwiek niewielkiego wzrostu, jego przydomek w okresie dorostania brzmiał na przykład „mały grzybek”?

<sup>14</sup> Ponieważ to pierwszy i jedyny przypadek, gdy jakkolwiek szary kapelusz aktywnie starał się porozumieć z Aańczykiem, można się zastanowić, co też chciał on przekazać Manzikertowi. Czy było to przyjazne pozdrowienie? A może ostrzeżenie? Sama gadatliwość napotkanego szarego kapelusza w porównaniu z innymi, których już wkrótce mieli spotkać na swej drodze, doprowadziła niejednego historyka do wniosku, że wysłano go (czy też ją, gdyż wbrew popularnej opinii wśród szarych kapeluszy jest tyle samo kobiet co mężczyzn; to okrywające ich szaty sprawiają, że wszyscy wyglądają jak przedstawiciele tej samej płci), by powitał oddział na brzegu. Jaką też okazję zaprzepaścił Manzikert, nie starając się lepiej zrozumieć intencji szarego kapelusza? Jakież to tragedie mogłyby zostać dzięki temu zażegnane?

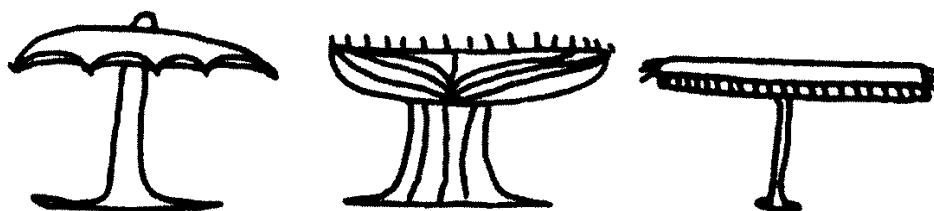
Mimo iż Tonsure występnie to zaniedbał i nie dostarcza nam opisu pierwszej reakcji Manzikerta i Sophii na rozpościerającą się przed nimi panoramę miasta - a sądząc z dokonanego przez mnicha opisu akweduktów, było to niemal z pewnością miejsce przyszłego bulwaru Albumuth - możemy sobie jedynie wyobrażać, że byli oni pod równie wielkim wrażeniem jak sam mnich, który zapisał:

Budynki, widoczne spoza stopniowo rzednącej zasłony drzew, przyozdobiono, gdzie tylko się dało, złotymi gwiazdami przypominającymi znany nam znad głów nieboskłon, z taką tylko różnicą, że gdy na sklepieniu niebieskim gwiazdy pojawiają się w pewnej odległości od siebie, to powierzchnie tych budynków były całkowicie pokryte złotem, które niekończącym się strumieniem wypływało z ich centrum. Główny budynek otaczały inne, mniejsze, całkowicie lub częściowo zabudowane krużgankami. Struktury o zapierającej dech w piersiach złożoności rozciągały się tak daleko, jak tylko sięgał nasz wzrok. Tam zaś pojawiał się kolejny krąg budynków, jeszcze większy od pierwszego, z trawnikami pokrytymi grzybami wszelkiego możliwego rozmiaru i koloru - od gigantycznych narośli, niemal tak wielkich jak olifanty<sup>15</sup>, po delikatne szkliste guzki nie większe od paznokcia małego dziecka. Te grzyby - o czerwonych i niebieskich kapeluszach, po spodniej stronie jakby obsypane smugami srebra, szmaragdu czy obsydianu - wydzielały spory o najróżniejszych i najbardziej niesamowitych zapachach, a szare kapelusze doglądały ich z godną podziwu delikatnością i czułą troską<sup>16</sup>... Znajdowała się tam również ogromna liczba fontann, wytryskujących wodę do przestronnych basenów; pełno było ogrodów, zarówno tych wiszących, wypełnionych egzotycznymi mchami, porostami i paprociami, jak i opadających ukosem po płaskiej ziemi. Był tu też basen wykonany z

---

<sup>15</sup> Tonsure karygodnie wręcz lubował się w olifantach. Nawiązania do nich, zwykle poprzedzone takimi banałami jak „wielki jak”, czy „szary jak”, pojawiają się w jego dzienniku trzydzieści razy. Jako że jestem posiadaczem bezgranicznego wręcz miłosierdzia, oszczędzę wam kolejnych dwudziestu ośmiu z tych porównań.

<sup>16</sup> Zawartemu w biografii opisowi Tonsure a towarzyszy również seria szkiców owych grzybów autorstwa Manzikerta - próba „pokazania swej wrażliwości”, jak szydzi w swym dzienniku Tonsure. Nielicznej garstce czytelników, pragnących poznać ilustratorskie zdolności kappana, zaprezentuję tu kilka pochodzących stamtąd przykładowych ilustracji:



czystego złota, tak piękny, że opierał się wszelkiej możliwości opisu słowem<sup>17</sup>.

Możemy w tym momencie jedynie wyobrazić sobie błysk radości jaki zapłonął w oczach Manzikerta i jego małżonki, gdy zobaczyli rozciągające się przed nimi złoto; niestety, jak mieli się wkrótce przekonać, większość pokrywającego budynku „złota” była w rzeczywistości żywym organizmem, podobnym do porostu, który szare kapelusze specjalnie przystosowały do tworzenia dekoracyjnych wzorów; i nie dość, że to coś nie było złotem, to nie nadawało się również do jedzenia.

Mimo to Manzikert i jego załoga rozpoczęli odkrywanie miasta. Zignorowali najbardziej elementarne szczegóły stojących w nim budynków; miast tego dokonali spostrzeżeń dotyczących oswojonych szczurów, wielkich niczym koty<sup>18</sup>, występujących tu wręcz w nadmiarze, niezliczonej egzotycznych ptaków, i - co oczywiste - rzucających się wszędzie w oczy najprzeróżniejszych rodzajów grzyba, które, jak się zdawało, szare kapelusze zbierały, jadły i gromadziły w formie zapasów na wypadek klęski głodu<sup>19</sup>.

Teraz, gdy Manzikert eksploruje otoczenie, pozwolę sobie zabić tę chwilę, przytaczając kilka faktów dotyczących miasta. Według znikomej liczby zachowanych do dziś sporządzonych przez szare kapelusze zapisów, które nawet jeśli zostały przetłumaczone, to i tak niekoniecznie są dla nas zrozumiałe, nazywali oni swe miasto „Cinsorium”, mimo iż znaczenie tego słowa zostało dla nas stracone albo, by być tu bardziej dokładnym, nigdy nie zdołaliśmy go odkryć. Naukowcy zajmujący się badaniem leżących pod Ambergris<sup>20</sup> ruin oszacowali, że w pewnym okresie swego istnienia Cinsorium mogło być siedzibą dwustu

---

<sup>17</sup> Najwyraźniej tak właśnie było, bowiem Tonsure pomija tu ich opis.

<sup>18</sup> Zajmujący się ssakami naukowiec, Xaver Daffed, utrzymuje, że była to „w rzeczywistości kababari, przypominająca szczura skarłowaciała wersja świni”. (Cytat pochodzi z *Hoegbottońskiego przewodnika po miejscowych gatunkach niewielkich ssaków*). Jeśli taka była prawda, wtedy - jak pokażą to wkrótce kolejne zdarzenia - szczury w Ambergris zdołały jakoś dokonać czegoś przypominającego przewrót w relacjach publicznych; biedne kababari są bowiem dziś zaledwie wymierającym gatunkiem południowej strefy klimatycznej.

<sup>19</sup> James Lacond sugerował, że grzyb ten posiadał właściwości halucynogenne. Tonsure, ze swej strony, spróbował „grzyba, który wyglądem przypominał karczocha” i przekonał się, że w smaku przypomina on chleb upieczony bez drożdży; mnich donosi również, że nie wystąpiły u niego żadne efekty uboczne. Lacond jednak upiera się, że pozostałe relacje Tonsure'a należy traktować właśnie jako halucynacje wywołane narkotykiem. Co więcej, Lacond uważa, że późniejsze zapiski Tonsure'a, opisujące napychających się grzybami („z których niektóre smakowały jak miód, a niektóre jak kurczak”) ludzi Manzikerta, wyjaśniają ich nieoczekiwaną bezlitosność. Z tym że Lacond sam wydaje się przeczyć swym wcześniejszym słowom: jeśli bowiem pozostałe zapiski Tonsure'a są ledwie majaczeniem, w takim razie dotyczy to również scen opisujących ludzi pochłaniających grzyby. Podobnie jak za każdym razem, gdy rozważamy szare kapelusze, debata ma podobną tendencję jak ich architektura - zatacza szerokie kręgi. (Podobna okръżność doprowadziła zresztą w późniejszym czasie Laconda do deklaracji, że znany nam świat jest w rzeczywistości produktem snu Tonsure'a. Skoro cała wiedza o miejscu naszego pochodzenia, jak i o naszej tożsamości jako Ambergrian, tak bardzo bazuje na dzienniku Tonsure'a, stąd już zaledwie mały krok do herezji i szaleństwa).

<sup>20</sup> Trzeba tu przyznać, że okazywało się to wielce groźnym i niezmiernie jałowym przedsięwzięciem; grzybianie zdają się bardzo nieprzyjaźnie zapatrywać na wszelkie próby wtargnięcia na ich terytorium.

pięćdziesięciu tysięcy dusz, co stawia je na czele wszystkich starożytnych miast. Cinsorium mogło również pochwalić się wysoce zaawansowanym systemem wodno-kanalizacyjnym, który z pewnością wzbudziłby zawiść w sercu wielu współczesnych miast<sup>21</sup>.

Jednakże w chwili przypadkowego odkrycia przez Manzikerta, jak usilnie dowodzi Tonsure, wydawało się, że miasto dawno już ma za sobą dni świetności. Mnich oparł swój pogląd na raczej wątej i chybotliwej podstawie: niezaprzeczalnej dekadencji jego mieszkańców. Z pewnością jednak Tonsure jest w tym osądzie krzywdzący ponad wszelką miarę zdrowego rozsądku, gdyż miasto wydawało się w pełni funkcjonalne - stan wysokich kopulastych budynków był olśniewająco dobry, ulice zamiatano tu nieustannie, a amfiteatry wyglądały tak, jakby ledwie za chwilę miały wystawić spektakle i ugościć w swych progach niezmiernie rzesze amatorów rozrywek.

Tonsure zignorował wszelkie przejawy zdrowego stanu miejscowej kultury, być może obawiając się konieczności przyznania przed samym sobą, że te niemal z pewnością heretyckie istoty mogły jednak okazać się bardziej rozwinięte. Zamiast tego dowodzi, szczególnie w biografii, lecz porusza również ten temat na kartach dziennika, że ówczesni mieszkańcy miasta - według jego szacunków w liczbie nie mniejszej niż siedemset - nie mogli rościć sobie żadnych praw do dawnej wielkości swych przodków, gdyż, jak się wydawało, „byli najwyraźniej ostatnim pokoleniem wymierającej rasy”, niezdolnym do pojęcia procesów kierujących miastem, niezdolnym do obsługi całej miejskiej maszynierii, do upraw ziemi; byli pokoleniem „ograniczonym jedynie do łowiectwa i zbieractwa”<sup>22</sup>. Ich ogniska kopały i opalały ściany wielkich sal, a całe klany sprzeczały się między sobą, tocząc konflikty na obszarach ograniczanych zaledwie ścianami poszczególnych budynków. Żaden z nich, przynajmniej według Tonsure’a, nie rozumiał spuścizny pozostawionej przez przodków.

Największy z przytaczanych przez mnicha dowodów, mających świadczyć o degeneracji szarych kapeluszy, może okazać się dowodem najmniej przekonującym. Jeszcze pierwszego dnia Manzikert i Sophia wkroczyli do pomieszczenia określonego przez mnicha mianem „biblioteki”, miejsca „przestronniejszego niżli wszelkie inne, w jakich dane mi było zdobywać wiedzę, nie licząc świątyń i innych miejsc czci różnych kościołów i religii”. Półki tej biblioteki były na wskroś przegniłe, i to jeszcze przed szturmem, jaki przypuściły na nie w oszałamiających ilościach malutkie, purpurowe grzybki o białych nóżkach. Książki,

---

<sup>21</sup> Pytanie, skąd pochodzą szare kapelusze i dlaczego ich obecność koncentrowała się jedynie w Cinsorium, wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Temat ten doprowadził do frustracji wielu historyków i aby uniknąć tu podobnego losu, zupełnie go przemilczę.

<sup>22</sup> Ale z całą pewnością musieli przecież uprawiać grzyby?

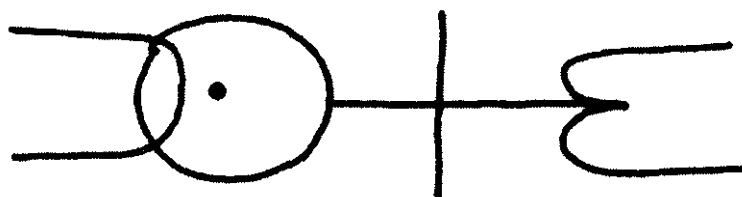
wykonane z pulpy palmowych liści na drodze utraconego dla nas procesu, w nieładzie zaścielały podłogę - tysiące książek, wiele z nich o brzegach i okładkach bogato zdobionych tłoczeniami w przedziwnym piśmie<sup>23</sup>, a wszystkie pokryte znajomym już złotym porostem. A jakież to szare kapelusze znalazły dla nich zastosowanie? Otóż służyły im one jako opał, co mnich zaobserwował z wyjątkowym niedowierzaniem. Tutejsi mieszkańcy raz za razem wchodzili tam bowiem i wychodzili, zabierając je ze sobą, by następnie rzucić na pożarcie płomieniom, na których gotowali swe potrawy.

Pytanie jednak czy Tonsure poprawie zinterpretował to, co zobaczył w owej „bibliotece”... Moim skromnym zdaniem nie, a wątpliwości swe opublikowałem w monografii zatytułowanej *Wywód w obronie szarych kapeluszy, a przeciwko naocznym dowodom Tonsure'a*<sup>24</sup>. Osobiście jestem przekonany, że rzeczona „biblioteka” była w rzeczywistości miejscem kultu religijnego, a „książki”, o których mowa - zwojami modlitewnymi. W niektórych kulturach, szczególnie tych dalekiego Okcydentu, podobne zwoje oddawano językom ognia w czasie świętych rytuałów. „Pólki” były specjalnie wbudowanymi w ściany przegniłymi deskami, mającymi utrzymywać wzrost specyficznych purpurowych grzybów, których nie można było znaleźć nigdzie indziej na terenie miasta, a które równie dobrze mogły mieć jakieś religijne znaczenie<sup>25</sup>. Kolejną wskazówką jest wielki kamień w kształcie grzyba, wzniesiony tuż przy głównych schodach biblioteki, który - jak stwierdzono - był ołtarzem.

Sophia wybrała sobie właśnie ten moment, by głośno skomentować coś, co określiła mianem „prymitywizmu” tubylców, besztając przy tym męża za okazane „tchórzostwo”. W obliczu takiej reprimendy Manzikert stał się agresywniejszy i poczuł się zwolniony od wszelkich moralnych zakazów i ograniczeń. Na szczęście potrzeba było kilku dni, by jego nowa postawa mogła objawić się w pełnej krasie; dni, podczas których prznosił coraz to więcej swych ludzi ze statków na brzeg zatoki, gdzie rozpoczęto budowę doków. Władca

---

<sup>23</sup> Tonsure donosi, że wielokrotnie pojawiał się tam następujący symbol:



<sup>24</sup> „Biuletyn Historii Naturalnej” (rocznik XX, numer 2) wydany przez Towarzystwo Ambergian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta.

<sup>25</sup> W mieście ze wszech miar nieskalanym tak ewidentny „nieporządek” winien wzbudzić podejrzenia Tonsure'a. Czyżby był on obecnie, podobnie jak jego władca, aż tak zdeterminowany, by zdyskredytować i pozbawić szare kapelusze wszelkich ludzkich cech, że nie dostrzegał jakiegoś innego rozwiązania?

przystosował również kilka okrągłych, przysadzistych, niskich struktur leżących na skraju miasta do celów mieszkalnych, wyrzucając stamtąd ich obecnych mieszkańców, którzy, mamrocząc coś pod nosem, posłusznie ruszyli w kierunku centrum.

Nie tylko członkowie klanu. Manzikerta z zadowoleniem przyjęli możliwość rozprostowania kości, lecz również oczekujący ich na brzegu świat okazał się, po dokonaniu pewnych eksploracji, wręcz idealny do życia. Liczne źródelka i naturalnie istniejące formacje wodonośne czerpały swą wodę z Moth, a żyjąca tu zwierzyna, od świń po jelenie czy nawet ptaki nietoty, nazywane „rylcami”, zapewniała obfite źródło pożywienia. Zakręt rzeki wzmacniał siłę zachodniej bryzy, ochładzając okrutny miejscowy klimat, zaś na skrzydłach wiatru przybywały ptaki, głównie jaskółki, które lotem nurkowym spadały o zmroku, by pochłaniać unoszące się nad powierzchnią wody kolosalne chmary owadów.

Tonsure spędził kolejne pięć albo sześć dni włócząc się po ulicach miasta, które wciąż jawiło mu się zadziwiającym cudem. Sam, jak zapisał w dzienniku, „roztrwoniał” większość swych młodzieńczych lat na ziemiach Kalifa, gdzie architektoniczne cuda niemal tłoczyły się w każdym mieście, lecz jego oczy nigdy nie podziwiała czegoś w najmniejszym nawet stopniu przypominającego Cinsorium<sup>26</sup>. Po pierwsze, miasto pozbawiono wszelkich ostrych krawędzi, posiadało jedynie krzywizny. Jego architekci wbudowali okręgi do okręgów, kopuły wewnątrz kopuł, okręgi w kopułach. Efekt, jaki powodowała ta architektura, jak odkrył Tonsure, był niczym balsam dla oka, a co ważniejsze, również dla ducha. „Zupełny brak ostrych krawędzi i przecinających się linii sprawia, że twój umysł staje się równiną spokoju i opanowania” - zapisał mnich. Potencjalną prawdziwość jego obserwacji potwierdzili współcześni architekci, którzy, przeglądając zrekonstruowane plany Cinsorium, określili je mianem strukturalnego odpowiednika kamertonu dla wibracji duszy.

Niemal równie zachwycające były olbrzymie, wesołe mozaiki pokrywające ściany, z których większość przedstawiała sceny bitewne lub sceny grzybobrań, a ledwie garstka z nich obrazowała jakieś abstrakcyjne przejścia czerwieni i czerni; te ostatnie wzbudziły w mnichu poważny niepokój o skali porównywalnej wręcz z komfortem i błogością wywoływaną tutejszym architektonicznym brakiem krawędzi, mimo że w tym przypadku nie potrafił on stwierdzić, dlaczego tak się działo. Mozaiki wykonano ze zrecznie połączonych ze sobą porostów i grzybów, odpowiednio wcześniej przygotowanych, by osiągnąć pożądany efekt. Czasem do uformowania dekoracyjnych wzorów używano również wymienianych

---

<sup>26</sup> Jak się nieszczęśliwie składa, powyższe stwierdzenie umacnia zapewnienia Sabon na temat patriarchy Nicei - patrz przypis 6.

regularnie co tydzień owoców, warzyw, a nawet nasion - na przykład kalafior przedstawiał tu podobną do owcy istotę zwaną „plucakiem”. O ile można wierzyć świadectwu Tonsure’a, jedna z mozaik zawierała jaja miejscowej odmiany drozda, które pełniły w niej rolę oczu szarego kapelusza; gdy wykluwały się z nich pisklęta, wydawało się, że oczy mozaikowej postaci się otwierają.

Biblioteka dostarczyła najwspanialszego z odkryć Tonsure’a: mechanicznego złotego drzewka o gałęziach ozdobionych misternymi inkrustowanymi klejnotami, dzierzbami i papugami, pod którym na okrągłym podium obracały się równie skomplikowane, grzebiące kopytkami w ziemi jelenie, do których podkładały się lwy. Po nakręceniu kluczykiem układu wszystkie ptaki równocześnie wybuchały śpiewem, a znajdujące się pod nimi lwy zaczynały ryczeć. Szare kapelusze utrzymywały drzewko w nienagannym stanie, lecz nie doceniały jego piękna, gdyż „same były częścią podobnego mechanizmu, kolosalnie bardziej złożonej maszynierii, skazanej na powtarzanie raz za razem tych samych ruchów, na podążanie, rok po roku, tym samym torem”.

Wciąż jednak, wraz z rosnącym szacunkiem do miasta, narasta w mnichu odraza dla jego mieszkańców. Cherlaki, tak ich nazywa, kaleki. Ignorując piękno otaczającego ich miasta, jak zapisał (w biografii), „stali się niezdolni, by nim zarządzać, a nawet, by żyć w obrębie jego granic”. Ich „bladość, odrażająca wilgoć skóry i łzawiące wypływy z oczu” - wszystko to wskazywało na „obrzydliwość ich istnienia, będącego tylko kpina z wspomnień o dawnej świetności, którą mieli już za sobą”<sup>27</sup>.

Zapewne nigdy się nie dowiemy, dlaczego zwykle tolerancyjny Tonsure stał się orędownikiem podobnych idei; zdecydowanie nie można w nim odnaleźć najmniejszego nawet śladu współczucia czy litości, tak cechujących spisane przez niego w *Dzienniku* komentarze dotyczące Manzikerta, którego nazywał „kipiącą masą emocji, poduszczką uczuć, człowiekiem, którego z pewnością zamknięto by za kratkami, gdyby nie stał już na czele tłumu”. I choć lekceważące komentarze Tonsure’a w dzienniku wydają się zbyt wymuszone i wypracowane, to podobne komentarze pojawiające się w biografii z łatwością

---

<sup>27</sup> Biedny Tonsure. Tuż przed powyższą diatrybą mnich opisuje nam pewien rodzaj twardego grzyba, mającego około dwudziestu centymetrów wysokości, o nóżce równie szerokiej jak kapelusz. Ściśnięty, nieoczekiwanie rozdymał się do większych rozmiarów. Kiedy pewnego dnia mnich wędrował niewinnie bez celu po mieście, gdzieś między „biblioteką” a amfiteatrem natknął się na grupkę kobiet szarych kapeluszy, używających tego grzyba w celu, który określił jako „lubieżny”. Może więc jednak powinniśmy mu wybaczyć tę hiperbolę. Mimo wszystko, i nieważne jak wielkiego doznał szoku - a był bardziej światowym mnichem niż pozostali - powinien zauważyć, że dla każdej „perwersji” szare kapelusze rozwinęły dziesięć innych, bardziej użytecznych cudeniek. Na przykład inny typ grzyba, mający około pół metra wysokości, posiadający długą cienką nóżkę zakończoną szerokim kapeluszem, wyrwany z ziemi mógł służyć jako parasol; jego kapelusz nawet składał się do nóżki, by łatwiej go było przechowywać.

można przypisać samemu Manzikertowi, bowiem o ile mnich zaledwie poprzestawał na wymyślaniu miejscowym, o tyle sam kappan nienawidził ich z tak wielką intensywnością, że była ona pozbawiona wszelkiego racjonalnego uzasadnienia. Tonsure zauważa, że ilekroć tylko Manzikert znalazł powód do spaceru przez miasto, od niechcenia mordował wszystkie szare kapelusze napotkane na drodze. Być może nawet, co jest znacznie bardziej przerażające, pozostali znajdujący się w pobliżu tubylcy ignorowali te niczym nieuzasadnione morderstwa, a śmiertelnie ranni oddawali ducha, nie podejmując żadnej walki<sup>28</sup>.

Pod koniec pierwszego tygodnia Manzikert i Sophia urządzili uroczystości, nie tyle po to, by świętować zakończenie prac w dokach, ile po to, by uczcić „początek nowego życia jako mieszkańcy lądu”. Biorąc pod uwagę czas owych obchodów, uroczystość tę należy traktować jako prekursora obecnie nam znanego Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic<sup>29</sup>. Podczas uroczystości Manzikert ochrzcił nową osadę „Ambergris” - słowem określającym „najbardziej tajemniczą i najwartościowszą część wieloryba”<sup>30</sup> - wbrew protestom Sophii, która, zresztą dość przewidywalnie, chciała nazwać osadę „Sophia”.

Gdy następnego ranka zataczający się na nogach z powodu wypitego uprzedniej nocy grogu Manzikert wstał, by ulżyć pęcherzowi, i już-już miał to zrobić pod ścianą jednej z okrągłych budowli szarych kapeluszy, zauważył na niej malutki, żółtaworóżowy porost o uderzającym wręcz podobieństwie do trędowatej Świętej Kristiny z Malfour, naczelnej ikony truffidiańskiej religii. Drugi z porostów, zagrażający świętej, wyglądem swym zadziwiająco

---

<sup>28</sup> Tutaj przynajmniej jeden jedyny raz Lacond okazuje się użyteczny. Publikuje bowiem dwie teorie tłumaczące bierność szarych kapeluszy. Pierwsza: Manzikert zawiął do brzegu w samym środku uroczystości religijnych, podczas których szare kapelusze obowiązywał bezwzględny zakaz udziału w jakichkolwiek aktach agresji, nawet tych mających na celu obronę własną. Druga: społeczność szarych kapeluszy przypominała rój pszczoł bądź kopiec mrówek i - co z tego wynika - żadna jej „jednostka” na terenie miasta nie posiadała wolnej woli, będąc jedynie przedłużeniem intelektu „roju”. Ta druga teoria wydaje się niektórym historykom zbyt skrajna, ale pomysłu wyjaśniającego bierność jako wrodzoną cechę niektórych klas społeczeństwa szarych kapeluszy nie można zupełnie wykluczyć. Podtrzymywałoby to również i moją własną teorię, według której Cinsorium było artefaktem religijnym czy - jeśli wolicie taką nazwę - świątynią, w której przemoc była zupełnie zakazana przez jej opiekunów. Powstaje więc pytanie, czy aby czyny Manzikerta nie były równoznaczne z profanacją?

<sup>29</sup> Co wielce dla niej charakterystyczne, Sabon nie potrafi ugryźć się w język i zgodzić się z tym, powołując się na używany przez Aańczyków kalendarz kalabriański, który określa mianem „rozłamowego” - z pewnością nie był on zupełnie zsynchronizowany z obowiązującym nas dziś kalendarzem. Jednak zupełnie zaniedbuje i ignoruje fakt, że Tonsure, sam niebędący Aańczykiem, autor zarówno biografii, jak i dziennika, używałby raczej kalendarza Kalifa, identycznego z naszym.

<sup>30</sup> Tonsure przyznaje cynicznie: „Lepiej bowiem nazwać miasto od nazwy czegoś, co wychodzi ze spodniej części wieloryba, niż w rzeczy samej popłynąć na jego połów. Dla leniwego Manzikerta piractwo okazuje się o wiele łatwiejszym sposobem na życie niż połów wielorybów: gdy przebijasz harpunem poczciwego marynarza, prawdopodobieństwo, że przeciągnie cię przez pięćset kilometrów otwartego oceanu, by następnie, zmieniając swój kierunek, ot tak, od niechcenia cię pochłoniąć, równocześnie zatapiając twych kompanów, jest wyraźnie o wiele mniejsze”. Wśród innych rozważanych przez Manzikerta nazw znalazły się między innymi takie perełki jak Aanville, Aanburg, Aannopolis czy nawet Aannogród. Można być więc niemal stuprocentowo pewnym, że to Tonsure zaproponował nazwę Ambergris mimo jej powyższego wyszydzenia.



przypominał szary kapelusz. Manzikert wpadł w religijny amok, zebrał swych ludzi, po czym opowiedział im o tej wizji. W biografii Tonsure sumiennie donosi o ich uszczęśliwionej reakcji na słowa przywódcy, że oto z powodu złośliwie wyglądającego grzyba<sup>31</sup> mają ruszyć na wojnę, jednak nie wspomina o niej ani słowem na kartach swego dziennika, przypuszczalnie ze wstydu<sup>32</sup>.

Jeszcze tego samego popołudnia kappan Manzikert I Aan i Ambergris - z Sopią i Tonsure'em u boku - wprowadził do miasta zbrojny oddział składający się z dwustu osób. Słońce, jak zapisał Tonsure, połyskiwało krwistą czerwienią, a ulice Cinsorium już wkrótce odbijały podobną barwę niezależnie od koloru słońca na niebie, gdy na rozkaz Manzikerta rozpoczęto rzeź szarych kapeluszy. Było to przerażająco nieme widowisko. Szare kapelusze nie stawiały żadnego oporu, a podczas ścinania jedynie milcząco wpatrywały się w atakujących<sup>33</sup>. Być może gdyby stawili jakiś opór, Manzikert mógłby okazać im odrobinę litości, ale ich milczenie, ich absolutna gotowość, by raczej zginąć niż się bronić, jedynie jeszcze bardziej go rozwścieczyły i masakra trwała bez chwili wytchnienia aż do zmroku. Wtedy to „właśnie ochrzczonego miasta nie dało się odróżnić od rzeźni, tyle bowiem krwi przelano na jego ulicach; odór rzezi zawisł w wilgotnym powietrzu, a sama posoka oklejała nas niczym pot”. Ciała były tak liczne, że musiano je zebrać w stosy, by umożliwić Manzikertowi i jego ludziom poruszanie się po ulicach, gdy chcieli przedostać się z powrotem do doków.

Z takim tylko wyjątkiem, że gdy słońce wreszcie wykrwawiło się na niebie, zamieniając dzień w noc, a jego ludzie zapalali pochodnie, sam władca nigdy tam nie dotarł.

Kiedy bowiem mijali wielką „bibliotekę”, której frontowe stopnie zaścielały bezwładnie porzucane ciała, Manzikert wypatrzył tuż przy zabarwionym na czerwono

---

<sup>31</sup> Czy też, jak ujęła to Sabon - „jakże przebiegłego grzyba”.

<sup>32</sup> Tonsure zapisuje jednak w swym dzienniku, że porost ten „ogładany z bliska przypominał raczej jakąś bliżej nieokreśloną plamkę spółkującą z drugą plamką, lecz któż śmiałyby podważać wizję przedstawianą przez kappana lub wątpić w nią?”. Czy mamy tu więc uwierzyć, że rzeź, do której później doszło, wywiązała się na skutek istnienia dwóch porostów o dość niefortunnych kształtach? Sabon zwraca uwagę, że Święte Nawiedzenie w Stockton (znane również wśród historyków jako Przekręt z Użyciem Dżemu), w którym plama dżemu borówkowego przypominała heretyka Ibonofa Ibonofa, skończyło się siedmioma dniami zamieszek. Lacond zgadza się z Sabon, nawiązuje jednak do historii, gdy to na rozkaz Kalifa zaatakowano menickie miasto Richter tylko dlatego, że pochodząca stamtąd cytryna podczas rozkrajania trysnęła swym sokiem wprost w oko władcy. Jak się niefortunnie składa, Sabon i Lacond połączyli swe siły, by podtrzymać ideę, której brak jakichkolwiek zalet, biorąc pod uwagę cały kontekst. Moim zdaniem, niezależnie od faktu istnienia czy też nieistnienia jakiegoś podejrzanego porostu, Manzikert i tak zaatakowałby szare kapelusze.

<sup>33</sup> Tonsure nigdzie nie opowiada, czym sam zajmował się podczas masakry. Brał w niej czynny udział? A może starał się jej jakoś zapobiec? Późniejsze poszlaki wskazują, że mógł jednak jakoś starać się zapobiegać. Tak czy inaczej, jego opis masakry utrzymany jest w niepokojąco chłodnym, beznamiętnym tonie. Co całkiem przewidywalne, biografia mówi o odwadze Manzikerta, który otoczony „wyjątkowo niebezpiecznymi, uzbrojonymi po zęby szarymi kapelusznymi” (czytaj: „nieuzbrojonymi karłami o wytrzeszczonych oczach”), zdołał przy użyciu miecza jakoś się przez nie przedrzeć i dotrzeć w bezpieczne miejsce.

ołtarzu ubrany w purpurę szary kapelusz, który nie tylko wydawał gwizdy i cykania skierowane ku niemu, lecz po wykonaniu niewątpliwie wulgarnych gestów wbiegł w górę po schodach. Początkowo zszokowany Manzikert ruszył za nim w pogoń razem z wybraną przez siebie grupką ludzi, wykrzykując w kierunku Sophii, by poprowadziła resztę oddziału z powrotem do statków, gdzie sam wkrótce miał podążyć. Następnie wraz z towarzyszącymi mu ludźmi - wśród których również z jakichś bliżej nieokreślonych powodów znalazł się i Tonsure z dziennikiem w kieszeni - zniknął w drzwiach „biblioteki”. Sophia, zawsze posłuszny żołnierz, wypełniła rozkazy męża i powróciła do doków.

Noc minęła bez najmniejszych zakłóceń, z takim tylko wyjątkiem, że władca nie pojawił się w dokach. Wraz z pierwszymi łunami brzasku Sophia wkroczyła do miasta, tym razem na czele trzystuosobowej grupy, czyli grupy o jedną drugą większej od niewielkiej armii, która poprzedniego wieczora dokonała tak poważnego spustoszenia w szeregach szarych kapeluszy.

To, co tam zastali, zarówno dla samej Sophii, jak i dla młodego Manzikerta II<sup>34</sup> musiało być wyjątkowo osobliwym widokiem. Padające z nieba promienie porannego słońca oświetlały bowiem opustoszałe miasto. Ptaki nawoływały się spomiędzy gałęzi drzew, pszczoły bzyczały, latając wokół kwiatów, lecz nigdzie nie było widać choćby jednego martwego ciała szarego kapelusza ani żywego człowieka - nie można było dostrzec najmniejszego nawet śladu krwi, jak gdyby cała masakra nigdy się nie wydarzyła, a sam Manzikert nigdy nie stąpał po powierzchni ziemi. Kiedy tak szli głuchymi ulicami, ogarnęło ich tak wielkie przerażenie, że nim dotarli do biblioteki, leżącej niemal w centrum miasta, przeszło połowa ludzi wyłamała się z szeregów i zbiegła, by ukryć się w dokach. I choć sama Sophia, jak również jej syn - Manzikert II - nie stracili zimnej krwi, to byli od tego o włos, co Manzikert II opisał później następująco:

Nie tylko nigdy wcześniej nie widziałem matki ogarniętej tak wielkim przerażeniem, nigdy nawet nie myślałem, że dane mi będzie kiedykolwiek dożyć podobnej chwili; a jednak nie dało się temu zaprzeczyć: gdy wchodziliśmy po stopniach prowadzących do biblioteki, drżała ze strachu. Jej dłonie świeciły niemożliwą wręcz bledością, jej oczy były niespokojne, rozbiegane na boki, jakby w każdej chwili coś mogło na nas spaść

---

<sup>34</sup> Wszystkie posiadane przez nas informacje o późniejszych wydarzeniach pochodzą od Manzikerta II, którego styl niekoniecznie był równie zabawny jak pióro Tonsure'a; brak mu było nie tyle poczucia humoru mnicha, ile jego lekkości opisu. Manzikert II miał siedemnaście lat i był pełen powagi - co jest zgubną wręcz mieszanką, jeśli parasz się pisarstwem historycznym, co osobiście mogę poświadczyć - dlatego też w większości przypadków powstrzymam się przed bezpośrednim cytowaniem fragmentów pochodzących spod jego pióra.

niczym grom z jasnego nieba, z tego spokojnego, otaczającego nas nieruchomo powietrza, z budynków nierzucających cienia, i zaatakować. Widząc matkę w takim stanie, tak przerażoną, dopuściłem do siebie myśl, że nawet mój własny strach wcale nie czyni ze mnie tchórza.

Wewnątrz ogołoconej z książek, grzybów i półek biblioteki odkryli jedynie samotny fotel<sup>35</sup> z siedzącym w nim Manzikertem<sup>36</sup>, który płacząc zakrywał sobie twarz dłońmi. Za nim, w przeciwległej ścianie pomieszczenia, widniała otwarta wyrwa ukazująca schody prowadzące w dół, ku znajdującej się pod Cinsorium rozległej sieci podziemnych tuneli. To tam właśnie poprzedniej nocy, jak sam to później wyjawiał, Manzikert I wkroczył z Tonsure'em, bersarem<sup>37</sup> i pozostałymi członkami grupy w pogoni za umykającym szarym kapeluszem.

Jednakże teraz płacz i łkanie było wszystkim, co Manzikert I był w stanie z siebie wydobyć, a gdy Sophii udało się wreszcie oderwać mu siłą ręce od twarzy, zobaczyła, że nie ma na niej ani śladu łez, gdyż „jego oczy zostały wyszarpane z oczodołów tak wprawnie i czysto, że spoglądając na niego, na tego godnego pożałowania człowieczka, można było pomyśleć, że taki właśnie przyszedł na ten świat”. Co się zaś tyczy Tonsure'a i pozostałych ludzi kappana, nie pozostał po nich najmniejszy nawet ślad, i żaden - z wyjątkiem dziennika mnicha - miał się już nigdy nie pojawić. Faktycznie na wieczność zniknęli z powierzchni ziemi.

Przez kilka kolejnych dni Manzikert I pozostał w stanie kompletnego rozbicia wewnętrznego, wrzeszczał po nocach, wymiotował i doznawał ataków, które - jak się zdawało - miały epileptyczną naturę. Zatracił również rachubę czasu, gdyż upierał się, że przebywał w podziemiach przez przeszło miesiąc, gdy powszechnie wiadomym faktem było, że zszedł do nich ledwie uprzedniej nocy.

Podczas tych trudnych chwil - z ubezwłasnowolnionym mężem oraz synem, który popadł w stupor wywołany podwójną traumą, związaną zarówno ze stanem ojca, jak i zniknięciem Tonsure'a - smutek i strach Sophii przeistoczyły się w ślełą furię. Trzeciego dnia po odnalezieniu męża w bibliotece podjęła decyzję, która na przestrzeni wielu kolejnych

---

<sup>35</sup> Szare kapelusze musiały również zabrać ze sobą osławione złote drzewko, gdyż od tego czasu nie pojawia się już o nim żadna wzmianka ani w zapiskach Manzikerta II, ani w żadnej z późniejszych kronik. A wszelkie prawa prawdopodobieństwa przeczą czemuś takiemu, by nigdzie nie opisano wynalazku tak godnego uwagi, chyba że zabrały go ze sobą szare kapelusze.

<sup>36</sup> Od tej pory będę go nazywał Manzikertem I, by nie mylić go z synem.

<sup>37</sup> Bersar był honorowym tytułem, charakterystycznym dla Aańczyków, nadawanym jedynie ludziom, którzy wykazali się wyjątkową odwagą na placu boju.

wieków podzieliła historyków: podłożyła pod Cinsorium ogień<sup>38</sup>.

Pożar rozpoczął się w bibliotece i zgodnie z doniesieniami, jakim udało się przetrwać do naszych czasów, Sophia wyraziła głęboki żal, że nie pozostały w niej żadne „książki”, którymi mogłaby nakarmić żarłoczny ogień. Miasto płonęło przez trzy dni i przez cały ten czas, z powodu błędnych obliczeń, Aańczycy byli zmuszeni do nieustannej walki o uratowanie doków, które - na skutek zmian kierunku wiatru - znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie zajęcia się ogniem. W końcu jednak miasto wypaliło się do gołej ziemi, pozostawiając po sobie zaledwie przelotną wzmiankę w dzienniku Tonsure'a, kilka innych porzrzucanych tu i ówdzie opisów pochodzących od członków klanu Manzikerta I oraz garstkę budowli, które jednak okazały się odporne na ogień<sup>39</sup>. Na czele tych budynków znajdowały się ściany samej zbudowanej z ognioodpornego kamienia biblioteki, akwedukty oraz znajdujący się tuż przed biblioteką ołtarz (dwa ostatnie stoją w mieście po dziś dzień). Sophia uświadomiła sobie próżność swych starań, nie wspominając już o ekonomicznych konsekwencjach związanych z ewentualną rozbiórką akweduktu, więc wylądowała swą frustrację na ołtarzu i bibliotece. Ołtarz, jak się okazało, wykonano jednak z tak wytrzymałego kamienia, że nie można go było nawet zarysować używanymi w tym celu wielkimi młotami czy innymi narzędziami. Kiedy starano się go wykopać, okazał się kolumną wkopaną w ziemię na głębokości przynajmniej trzydziestu metrów, o ile nie jeszcze głębiej, a co za tym idzie, był nie do pokonania. Bibliotekę jednak na rozkaz władczyni rozebrano na części, by „nie pozostał po niej nawet kamień na kamieniu”. Co do bram prowadzących do podziemnej części starożytnego metropolis, Sophia kazała zaczopować je wszystkie kilkoma warstwami okopconych kamieni, pochodzących ze zburzonych budynków, a następnie wykończyła to wszystko pospiesznie przygotowaną wylewką z zaprawy, kamyków i ziemi. Warstwy te następnie wzmocniono deskami wyrwanymi ze statków. Jako zwieńczenie swego dzieła Sophia wystawiła przy każdym z tych miejsc dziesięcioosobowe straże i po pięciu latach odnajdujemy w dzienniku Manzikerta II opis owych strażników, wciąż trwających na swych posterunkach.

Do tego czasu mąż Sophii odzyskał już zmysły; czy też raczej - odzyskał je na tyle, na

---

<sup>38</sup> Lacond: „Było to aktem kompletnego barbarzyństwa, zarówno pod względem zniszczenia najwspanialszych artefaktów kultury, nigdy więcej nieodkrytej w żadnym innym zakątku znanego nam świata, jak i wymordowania mieszkańców miasta, nie tylko nastawionych pokojowo, lecz także w zaawansowanym stadium rozwoju kulturowego. Ludobójstwo jest tu zbyt łaskawym słowem”. Sabon: „Bez odwagi Sophii nowo narodzone Ambergris wkrótce rozpadłoby się, zniszczone zdradliwością szarych kapeluszy”.

<sup>39</sup> Sophia na kartach biografii stara się, byśmy uwierzyli, że zniszczyła wszystkie budynki, ale skoro odnajdujemy tam również zapis tego, jak w dziesięć lat później Manzikert II wykorzystuje niektóre z tych obiektów w celach obronnych bądź magazynowych, nie wydaje się to zbyt prawdopodobne.

ile w ogóle miało mu być kiedykolwiek dane...

Manzikert I odmawiał rozmów na temat tego, co wydarzyło się pod ziemią, tak więc nigdy nie dowiemy się, czy przynajmniej zapamiętał wydarzenia, które w efekcie doprowadziły do jego oślepienia. Nie mówił o niczym z wyjątkiem upasionych szczurów o lśniącym futrze, które ukryły się przed rzezią i pożogą, a teraz właśnie wyłoniły na powierzchnię, by włóczyć się po zgliszczach spalonego na popiół miasta, bez wątplenia zaintrygowane zmianami, jakie zastały. Manzikert I ogłosił, że szczury są reinkarnacją duchów świętych i męczenników i jako takie winny być czczone, pielęgnowane, karmione i goszczone w domostwach, z zapewnieniem im takich wygód, jakie były im dane w poprzednim życiu<sup>40</sup>. Te roszczenia doprowadzały Sopię do szaleństwa i w ciągu kilku kolejnych tygodni nader częste stały się wielce krzykliwe awantury, rozchodzące się z pokładu okrętu flagowego. Jednak kiedy władczyni uświadomiła sobie, że jej mąż wcale nie doszedł do siebie, lecz w pewnym sensie zginął w podziemiach, umieściła go w pobliżu doków, dokładnie w tym samym budynku, przy którym napotkał on swój pierwszy szary kapelus. Tam też pozwoliła mu, ile tylko dusza zapagnie, folgować swemu szaleństwu.

Chociaż obecnie Manzikert I w najmniejszym nawet stopniu nie stanowił widoku budzącego grozę - zupełnie nieistotne, czy był wysoki, czy niski - ostatnich lat swego życia dożył w stanie niekończącej się szczęśliwości, a jego uśmiech, odsłaniający braki w uzębieniu, rzucał się teraz w oczy niemal równie mocno jak jeszcze przed kilkoma laty jego sroga mina. Powszechny stał się widok tego, jak posługując się laską, ślepo prowadził swych wielkich podopiecznych - dobrze wykarmionych, o lśniącym futrze i coraz bardziej oswojonych - ulicami miasta, któremu sam kiedyś nadał nazwę. Nocą wszystkie szczury tłoczyły się we wnętrzu jego nowego domu i, ku zażenowaniu syna, spały tam z nim, niektóre nawet na posłaniu Manzikerta. Cześć, jaką oddawał szczurom, niezależnie od tego, czy była wynikiem postradania zmysłów, czy autentycznego religijnego objawienia, wywarła niezatarte wrażenie na wielu Aańczykach, szczególnie na tych, którzy wciąż czcili dawne ikony, i tych, którzy sami wzięli udział w rzezi szarych kapeluszy. Wkrótce miał wielu pomocników<sup>41</sup>. Pewnego ranka, osiem lat po pożarze, pomocnicy ci odnaleźli Manzikerta na posłaniu, obgryzionego na śmierć przez „świętych i męczenników”, z - o ile tylko Manzikert II jest tu wiarygodnym źródłem - „niegasnącym uśmiechem na pozbawionej oczu twarzy”.

I tak oto kończy się przejmująco osobliwe życie pierwszego władcy Ambergris -

---

<sup>40</sup> Zaczynamy się tutaj zastanawiać, czy sam Manzikert I w głębi duszy naprawdę wierzył, że powinien był dokonać masakry szarych kapeluszy z powodu dwóch porostów o dziwacznych kształtach.

<sup>41</sup> W takich ilościach, że Manzikert II zakazał dokarmiania szczurów w czasie klęski głodu.

człowieka, który w pełni zasłużył sobie, by zagryzły go szczury, bowiem nim doszło do jego oślepienia, nie było roku, w którym by własnoręcznie nie zaszlachtował przynajmniej tuzina ludzi. Odważny, lecz okrutny, geniusz taktyki w czasach wojny, nieudacznik w czasach pokoju, wielka niewiadoma pod względem wzrostu, Manzikert I jest dziś pamiętany nie tyle jako założyciel Ambergis, ile jako twórca religii określanej mianem „manzizmu”<sup>42</sup>, wciąż zresztą posiadającej swych zwolenników w Dzielnicy Religijnej.

## II<sup>43</sup>

**TO NA BARKI SYNA MANZIKERTA I, KAPPANA** Manzikerta II, spadło monumentalne zadanie przebudowy piracko-wielorybniczej floty w społeczeństwo zdolne do życia na lądzie, które mogłoby uzupełniać rybołówstwo rozległymi uprawami rolnymi i handlem z pobliskimi społecznościami<sup>44</sup>.

Na szczęście Manzikert II posiadał zalety, których próżno było szukać u jego ojca. Co prawda nigdy nie został przywódcą wojskowym na miarę swego rodziciela, ale nigdy też nie objawiła się u niego impulsywna natura tamtego, pierwotna przyczyna ich wygnania<sup>45</sup>. Miał również do swej dyspozycji ducha Samuela Tonsure’a, bowiem nauki mnicha wziął sobie wyjątkowo głęboko do serca.

Ponad wszystko Manzikert II udowodnił wszem i wobec, że jest budowniczym - czy chodziło o stworzenie trwałego miasta w granicach dawnego Cinsorium, czy o zawieranie

---

<sup>42</sup> Ku wielkiemu oburzeniu truffidian na całym świecie, manziści często twierdzili, że są Braćmi i Siostrami Truffa, a było to roszczenie, które wielokrotnie doprowadzało do zamieszek i pieczenia dziesiątków szczurów na roznach w Dzielnicy Religijnej.

<sup>43</sup> Niecierpliwy i nieporadny czytelnik, który jest pozbawiony najmniejszego chociażby przebłysku intelektualnej czy historycznej ciekawości, winien w tym momencie zrobić przysługę staremu historykowi i pominąć kilka kolejnych stron, przechodząc bezpośrednio do opisu samej Ciszy (Część III). Przyjmuję, że w obecnych okropnych czasach dotyczy to w zasadzie większości z Was. Oczywiście to mało prawdopodobne, by akurat ci czytelnicy, których to dotyczy, zapoznawali się z przypisami, a co za tym idzie, ci najmniej będący w stanie docenić kolejne kilka stron tekstu przeoczą tę notatkę i zatopią się w nudzie historii...

<sup>44</sup> Po powrocie oślepionego i obłąkanego Manzikerta I Sophia już nigdy nie była sobą i pożegnała się z tym światem zaraz po mężu. Jeszcze za życia nie przejawiała najmniejszego zainteresowania rządzeniem, a jeśli nawet, to było ono bardzo małe, mimo iż chwyciła za ster władzy przy co najmniej dwóch okazjach, za każdym razem w związku z naleganiami syna, gdy z wielkim sukcesem poprowadziła karną wyprawę przeciwko południowym plemionom. Sophia szczerze kochała swego męża brutalą, choć nie w ten rzewny i ekliwy sposób, jaki przedstawił nam Voss Bender w swej pierwszej i najmniej udanej operze *Tragedia Johna i Sophii*. Trudno bowiem powstrzymać się od śmiechu, gdy John, pod sam koniec aktu III, tańczy z przebranym za szczura aktorem, którego w swym szaleństwie bierze za żonę.

<sup>45</sup> Wedle wszystkich źródeł był on męczyczną przystojnym, chociaż nie przypadła mu w udziale smagła aparycja ojca; miał szczupłą budowę ciała, a głowę wieńczyła mu gęstwina czarnych włosów, spod których z przebiegłą zaciekłością lśniły zielone oczy.

sojuszy z pobliskimi plemionami<sup>46</sup>. Gdy pokój okazywał się niemożliwy - przykładowo z plemieniem zamieszkującym zachodnie ziemie, znanym jako Dogghe - Manzikert II nie wykazywał najmniejszego nawet śladu wahania w użyciu siły. Podczas pierwszych dziesięciu lat swego panowania dwukrotnie porzucał wszelkie wysiłki związane z odbudową miasta i walczył z Dogghe, aż wreszcie w decydującym starciu na obrzeżach samego Ambergris zdziesiątkował ich wielką plemienną armię, po czym, przy najlepszym z możliwych wykorzystaniu sił wodnych, dobił wszystkich, którzy pozostali przy życiu i chcieli się salwować ucieczką w czólnach. Sam najwyższy herszt plemienia Dogghe zmarł w czasie tych zmagania z powodu skrajnej podagry, a po jego śmierci plemię nie miało już innego wyboru jak tylko dojść do porozumienia z Ambergris.

Co za tym idzie, w jedenastym roku panowania Manzikert II był wreszcie w stanie skupić się tylko i wyłącznie na budowaniu dróg, promowaniu handlu i - co najważniejsze - tworzeniu struktur skutecznej administracji, koniecznej do zarządzania tak olbrzymim terenem. Sam osobiście nigdy nie podbił zbyt rozległych obszarów, lecz stworzył podwaliny systemu, który miał osiągnąć swe apogeum w trzy wieki później, za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera<sup>47</sup>.

Manzikert II położył również fundamenty pod unikalną religijną atmosferę Ambergris, budując szereg kościołów skupionych w jednym miejscu, które później stanie się Dzielnicą Religijną - jak również, co przynosi mu znacznie mniejszą chwałę, niezwykle aktywnie plądrując wiele innych miast. Ogarnięty obsesją kolekcjonowania relikwii nieustannie rozsyłał na zachód i południe swych agentów, by kupowali tam lub też wykradali części świętych ciał, aż pod koniec swego panowania zgromadził w mieście olbrzymią kolekcję około siedemdziesięciu z mumifikowanych nosów, powiek, stóp, rzepek kolanowych, palców, serc, a nawet wątrób<sup>48</sup>. Owe relikwie, umieszczone w różnych kościołach, przyciągały do

---

<sup>46</sup> Przez dość długi czas plemiona te unikały miasta i oddawały nowej osadzie przesadny szacunek - dopóki nie uświadomiły sobie, że szare kapelusze znikły i to - jak się wydawało - najwyraźniej na dobre; wtedy właśnie normą stało się ich energicznie wyrażane lekceważenie i pogarda dla Aańczyków.

<sup>47</sup> Jeśli chodzi o szczegółowy przekrój wczesnych systemów polityczno-gospodarczych, czy też szczegółową informację o uprawach i tym podobnych, kieruję czytelnika do wyśmienitej pracy Richarda Mandible'a *Wczesne ambergriańskie finanse i społeczeństwo*, opublikowanej niedawno w „Kwartalniku Historycznym” (rocznik XXXII, numer 3). Tak szczegółowe informacje bowiem nie mieszczą się już w skrótowym zakresie niniejszego eseju, nie wspominając o cierpliwości czytelnika i wytrzymałości starego historyka, któremu trzeszczy w stawach.

<sup>48</sup> Katalog prowadzony za panowania Manzikerta II wykazuje, że przynajmniej dwie z relikwii odebrano świętym jeszcze za ich życia. Znana jest również historia długich i zawziętych targów agentów kappana z Kalifem o kupno „przyrodzenia i prawego jądra Świętego Jerzego z Assufu”, zakończonych jedynie zdobyciem samego jądra. (Możemy tu sobie tylko wyobrazić osobliwy widok triumfalnego wwiezienia do miasta jądra, niesionego na perfumowanej, wyszywanej złotą nicią poduszce, trzymanej wysoko w powietrzu przez najwyższego rangą truffidiańskiego kapłana, gdy zgromadzony wokół tłum szaleńczo wiwatuje). W szczytowym okresie religijnego szalu Kościół Siedmioramiennej Gwiazdy złożył nawet w całość szereg najróżniejszych

miasta tysiące pielgrzymów (a co za tym idzie, również i ich pieniądze), a niektórzy z przybywających do Ambergris pielgrzymów pozostawiali w nim już na zawsze, pomagając tym samym wskrzesić błyskawiczny wzrost miasta, co sprawiło, że ledwie dwadzieścia lat po założeniu Ambergris stało się rozkwitającą metropolią. Co warte szczególnej uwagi, kompetencje, talent i przenikliwe umiejętności dyplomatyczne Manzikerta II przynajmniej w czterech przypadkach, gdy kradzieże relikwii tak bardzo rozwścieczyły splądrowane miasta, że były one gotowe do najazdu na Ambergris, zażegnały katastrofę.

Na polu architektury przyczynił się on do wzniesienia wielu wybitnych budowli, wszystkich z pomocą naczelnego architekta Midana Pejory, ale nic nie zyskało takiej sławy jak Pałac Kappana, który w nienaruszonym stanie przetrwał trzy i pół wieku, aż do czasów przejściowej okupacji Ambergris, kiedy to Wielki Wezyr Kalifa nakazał rozbiórkę większości budynku<sup>49</sup>. Pałac ten, zgodnie z wszelkimi doniesieniami, był dosyć osobliwym budynkiem. Fasada natchnęła wybitnego podróżnika Alana Buskera do zapisania następujących słów:

Ściany i kolumny wznoszą się ku górze, aż wreszcie, jak gdyby w ekstazie, zwieńczenia łuków przelamują się w marmurową pianę i rzucają wysoko w błękitne niebo, w błyskach i kłębach rzeźbionej mgiełki wodnej, niczym uderzające o brzeg fale przyboju zmrożone na moment przed uderzeniem, inkrustowane diamentami i ametystami przez nimfy wodne.

Jednak samo wnętrze sprowokowało go już do napisania: „Winniśmy stwierdzić, że praca jest przynajmniej czysta w swej bezbarwności i braku smaku, a subtelna w swych wadach; lecz ten zabytek jest godzien uwagi jako przykład odrzucenia jednego stylu krępującego embrion kolejnego, gdzie wszystkie reguły życia splątane są ze sobą czy to w pieluchach, czy w całunie”. Popiersie Manzikerta II przypadło mu do gustu w jeszcze mniejszym stopniu: „Wielka, grubiańska, koścista twarz klauna z osobliwie kipiącą zmysłową przebiegłością, jaką tak często można spotkać na obliczach najgorszych truffidiańskich

---

członków świętych - głowę od jednego, ucho od drugiego i tak dalej - tworząc w ten sposób „Świętego nad świętymi”. Cudo to eksponowano przez dwadzieścia lat, dopóki kilka innych kościołów, które znalazły się na krawędzi bankructwa spowodowanego własnym brakiem relikwii, nie połączyło swych sił i nie uskutečniło frontalnego ataku na miejsce przechowywania owego wczesnego golema, by „rozcłonkować” go między siebie.

<sup>49</sup> Odbudowany Pałac nie wywołał ani głosów krytyki, ani okrzyków zachwytu; w rzeczy samej jego najbardziej interesującą cechą była mnogość znajdujących się w środku fresków i portretów, z których kilka upamiętniało kompletnie wyssane z palca przez ambergriańskich historyków zwycięstwa nad armią Kalifa. Co gorsza, pierwsze dwa portrety w sali głównej przedstawiały w ogóle nieistniejących kappanów, których obecność miała za zadanie zatuzsować okres Okupacji - czasu, gdy miasto znalazło się pod całkowitą kontrolą Kalifa. Po dziś dzień dzieci w ambergriańskich szkołach uczą się o wyczynach kappana Skindera i kappana Bartine'a. Odważniejszych, choć niezbyt rzeczywistych, przywódców ze świecą by szukać...



kapłanów; twarz częściowo odlana z żelaza, częściowo wykonana z gliny. Winię za to rzeźbiarza, a nie jego model”.

Manzikert II rządził przez czterdzieści trzy lata i będąc już siwobrodym, w wieku czterdziestu pięciu lat, spłodził ze swą chorowitą żoną Isobel syna. Podczas panowania udało mu się dokonać niemożliwego - zarówno wzmocnił własną pozycję, jak i przygotował miasto do mającego nastąpić w przyszłości rozwoju i wzrostu. O ile jego religijna żarliwość doprowadziła do podjęcia niewłaściwych decyzji, o tyle posiadany przez niego dar dyplomacji ocalił miasto przed ich późniejszymi ewentualnymi konsekwencjami.

Po śmierci Manzikerta II<sup>50</sup> Manzikert III zgodnie z prawem sukcesji zajął jego miejsce jako władca kraju, rozciągającego się wówczas około sześćdziesiąt kilometrów na południe i osiemdziesiąt na północ<sup>51</sup>. Manzikert III cierpiał na łagodną odmianę olifantitusa<sup>52</sup>, która to choroba, jak się wydaje, zaatakowała jego organy wewnętrzne. Zmarł jednak w wyjątkowo dziwnych okolicznościach, po sześciu burzliwych latach tropikalnej choroby powodującej gnicie ciała<sup>53</sup>, której rzekomo nabawił się podczas wyprawy na południe, przedsięwziętej, by zdobyć powieki i nerki lemura, będące niezbędnymi składnikami do przygotowania egzotycznego dania zapiekanego w cieście. Stanu kappana nie zdiagnozowano w porę, być może powodem był jego olifantitus, a nim lekarzom udało się odkryć naturę jego dolegliwości, było już za późno. Manifestując więc swe wyjątkowe lekceważenie dla miłosierdzia, Manzikert III ostatnim wydanym przed śmiercią rozkazem skazał wszystkich

---

<sup>50</sup> Są dowody, które sugerują, że mógł on zostać otruty przez swego trawionego ambicjami syna, którego zawsze zabierał ze sobą na wszelkie kampanie, by chłopiec nieustannie znajdował się pod jego czujnym okiem. Manzikert II zmarł zupełnie nieoczekiwanie, bez żadnych widocznych symptomów, a jego ciało na rozkaz syna zostało niezwłocznie poddane kremacji. Wątpliwe jest pojawienie się jakichkolwiek głosów sprzeciwu, gdyż nigdy nie był on szczególnie popularnym przywódcą, wbrew wyśmienitym zapisom na kartach historii. Brakowało mu niezbędnej charyzmy, koniecznej do porwania za sobą ludzi.

<sup>51</sup> Na północy Kappaństwo Ambergris, jak brzmiała wówczas jego oficjalna nazwa, napotkało zacięty opór ze strony Menitów, wyznawców religii uważającej truffidianizm za herezję. Menici mieli w późniejszym czasie zbudować rozległe imperium ekonomiczne na północy, rozpościerające się wokół miasta Morrow, oddalonego od Ambergris o około sto czterdzieści kilometrów w górę rzeki.

<sup>52</sup> Sabon upiera się, że był to trąd, natomiast inni historycy są przekonani, że mieliśmy do czynienia z epilepsją. Tak czy inaczej, wybór sprowadza się do trzech wielce widowiskowych chorób o bardzo odmiennych symptomach.

<sup>53</sup> Choroba ta mogła się objawiać na różne sposoby, lecz - według anonimowego obserwatora - w przypadku Manzikerta III mieliśmy do czynienia ze skrajnie odrażającymi, nigdy dotychczas niewidzianymi symptomami: „Nieoczekiwanie na jego przyrodzeniu wykwitł ropień, a następnie głęboko umiejscowiony wrzód przetokowy; nie dało się ich wyleczyć, a one wyżerały sobie drogę do samego środka jego wnętrza. Stamtąd też wytrysnęły nieprzebrane ilości robactwa i wydzieliał się morderczy smród, bowiem ogrom jego członków, zmienionych na skutek obżarstwa w przesadne ilości miękkiego tłuszczu jeszcze przed chorobą, poddał się procesom gnilnym, stanowiąc zarazem niemilosierny, jak i odrażający widok dla wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Co się zaś tyczy lekarzy, niektórzy zupełnie nie byli w stanie zdzierżyć przekraczającego wszelkie wyobrażenia nieziemskiego fetoru, ci natomiast, którzy wciąż trwali u jego boku, nie mogli mu nijak pomóc, ponieważ cała olbrzymia masa jego ciała napuchła, osiągając stan wykluczający choćby cień nadziei na ewentualny powrót do zdrowia”.

członków Instytutu Medycyny na ugotowanie żywcem w bulionie z węgorza. Wszystko wskazuje, że specjalnie na tę okazję wymyślił zupełnie nowy przepis<sup>54</sup>.

Manzikert III nie należał do dobrych kappanów<sup>55</sup>. W okresie swego panowania angażował się w liczne bezowocne ataki na Menitów i mimo iż nikt nigdy nie wątpił w jego osobistą odwagę, posiadał wszelką niecierpliwość i impulsywność tak charakterystyczną dla swego dziadka, przy równoczesnym braku choćby krztyny charyzmy czy sprytu tamtego. Był groteskowym gastronomem, urządzającym dekadencje bankiety, nawet gdy w trzecim roku jego panowania mieszkańcom miasta zajrzała w oczy klęska głodu<sup>56</sup>. Właściwie wszystko, co można stwierdzić w jego obronie, to fakt, że pokrył koszty badań, które doprowadziły do udoskonalenia kompasu morskiego i wynalezienia statków o podwójnych sterach (tak użytecznych podczas manewrów w wąskich dopływach). Jednakże najlepiej zapamiętano go z powodu niewłaściwego potraktowania poety Maksymiliana Sharpa, który przybył do Ambergris w roli emisariusza Menitów. Gdy nadeszła pora jego wyjazdu, Manzikert III odmówił mu bezpiecznego powrotu najbardziej dogodną trasą, w rezultacie czego słynny poeta musiał wyruszyć w drogę przez ogarnięte malarią bagna. Tam właśnie największy ze starożytnych mistrzów słowa złapał febrę, w wyniku której zmarł<sup>57</sup>. Manzikert III, gdy doszła

---

<sup>54</sup> Mimo iż rozkaz Manzikerta (unieważniony po śmierci władcy) był wyjątkowo ekstremalny, jego zarzut, że miejscy lekarze niezbyt znali się na swym fachu, był, co niestety muszę tu przyznać, prawdziwy. Instytut w próbie podniesienia umiejętności wysłał swych przedstawicieli na dwór Kalifa oraz do znachorów z pobliskich plemion. Lekarze Kalifa odmówili ujawnienia swych metod, lecz znachorzy okazali się wyjątkowo pomocni. Instytut przejął takie lokalne praktyki jak wykorzystywanie słodkowodnej elektrycznej flądry przy miejscowym znieczuleniu podczas zabiegów chirurgicznych. Inną z przejętych procedur, być może nawet bardziej pomysłową, było rozwiązanie problemu infekcji przy zaszywaniu wnętrzości. Olbrzymie mrówki senegrosa, rozmieszczane wzdłuż rozcięcia, ściśle zakleszczały ranę szczękami; następnie odcinano im odwłoki, pozostawiając jedynie głowy. Po ponownym właściwym ułożeniu wnętrzości zaszywano jamę brzuszną, a w trakcie gojenia głowy mrówek same stopniowo rozpuszczały się wewnątrz.

<sup>55</sup> Jestem przekonany, że jego osobie poświęciłem już wystarczającą liczbę przypisów.

<sup>56</sup> Przykładowe menu takiego bankietu zawierało krem z cielecego mózdzku, pieczonego jeża oraz danie znane pod dość srogą nazwą - *Rozkosz Olifanta*, którego niepełny przepis odtajniło nie dalej jak w ubiegłym roku Stowarzyszenie Gastronomiczne Miasta Ambergris:

*1 wydrążona czaszka olifanta*  
*1 zmielony mózdzek olifanta*  
*4 litry brandy*  
*6 ostryg*  
*2 bardzo czyste świńskie pęcherze*  
*24 jajka*  
*sól, pieprz i natka pietruszki*

Ze smutkiem donoszę jednak, że poszukiwania pozostałych brakujących składników wciąż trwają.

<sup>57</sup> Trzeba tu jednak oddać sprawiedliwość Manzikertowi III, gdyż Sharp obdarzony był nieprzyzwoicie przerośniętym ego, które było wręcz nie do zniesienia. Jego autobiografia, opublikowana bez żadnych poprawek na podstawie manuskryptu odnalezionego przy jego ciele, zawierała takie oto perełki: „Ze wschodu i zachodu, zewsząd, a miejsce nie miało tu najmniejszego znaczenia, moja reputacja i sława pielgrzymkami ścigała ludzi do Morrow. Moth może i nawadnia ziemie Kalifa, ale to me złote słowa poją spragnione dusze. Zapytajcie Brueghelitów, zapytajcie zwolenników Stetchera Jonesa, a ci z pewnością odrzekną wam, że mnie znają, podziwiają, jak również, że nieustannie poszukują, nie szczędząc ku temu wysiłków. Zaledwie kilka dni temu nawiedził mnie pewien Ambergrianin, nagłony i przymuszany niemożliwym do zaspokojenia pragnieniem, by spijać słowa z fontanny mej elokwencji”.

do niego wieść o śmierci Sharpa, rzekomo zażartował sobie: „Przyjmijcie to jako mój wkład w sztukę”<sup>58</sup>. Gdyby tylko jego rządy miały trwać chociażby rok dłużej, władca mógłby wyczerpać do cna zarówno skarbiec, jak i cierpliwość swych poddanych. Jak się jednak szczęśliwie okazało, nie zdołał dokonać żadnych większych trwałych zniszczeń, a wszystkie, jakich dokonał, zostały wyprowadzone na prostą przez jego następcę - syna Manzikerta II z nieprawego łoża, owoc związku kappana z bardzo daleką kuzynką, przystojnego i inteligentnego Michaela Aquelusa, o którym z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że był największym z kappanów rodu Manzikertów<sup>59</sup>. Gdyby nie twarda ręka Aquelusa, Ambergris, i to zarówno jako Kappaństwo, jak i jako miasto, zapewne rozpadłoby się w pył na przestrzeni jednego zaledwie pokolenia.

Znaleźliśmy się w ten oto sposób na progu wydarzenia znanego jako Cisza. Minęło już niemal siedemdziesiąt lat od słynnej masakry szarych kapeluszy i zniszczenia starożytnego miasta Cinsorium, na którego ruinach rozpoczęło swą erę prosperity Kappaństwo Ambergris. Od dnia owej masakry nikt nigdy nie widział na oczy szarego kapelusza. Pierwotna populacja miejska, która mogła się wzdrygać w oczekiwaniu jakiegoś straszliwego odwetu za dokonane na tak wielką skalę ludobójstwo, została wyparta przez ludzi, którzy nigdy w życiu nie ujrzeli szarych kapeluszy, a wielu z nich okazało się członkami innych aańskich klanów z południa, gotowych do stałego osiedlenia się na lądzie. Już Manzikert II podczas swego nadzwyczajnie długiego panowania dopilnował bolesnego przejścia cywilizacyjnego na stałe osadnictwo, co rychło zrodziło zamożną klasę średnią kupców, sklepikarzy i bankierów, uzupełniającą

---

<sup>58</sup> Scathadyjski pisarz George Leopran, powstrzymany przez Manzikerta III przed pożeglowaniem do domu, doświadczył niemal równie złej, usłanej trudami i utrapieniami, drogi powrotnej do Scathy: „Wszedłem na pokład swego statku i wypłynąłem z miasta, które w myśl moich wyobrażeń miało być bogate i doskonale prosperować, lecz w rzeczywistości okazało się mizerne, zatrute jadem kłamstw, oszustw, krzywoprzysięstwa i zachłanności. Było to miasto chciwości, zapatrzenia w siebie i próżności. Mój przewodnik mnie nie opuścił i po czterdziestu dziewięciu dniach jazdy na osiołku i końskim grzbiecie, dniach pieszych wędrówek, bez jedzenia i picia, wzdychając, płacząc i jęcząc, dotarłem wreszcie na dwór Kalifa. Nawet wtedy nie okazało się to jeszcze końcem moich cierpień, gdyż kiedy wyprawiałem się w ostatni odcinek podróży, wszystko opóźniło się przez przeciwnie wiatry wiejące w Paust, następnie opuściła mnie załoga statku w Latras, wrogo przyjął mnie biskup eunuch, który nieomal zagłodził mnie na śmierć na Lukas, a wreszcie musiałem przeżyć trzy, niemal jedno po drugim, trzęsienia ziemi na Dominon, co sprawiło, że wylądowałem w szeregach złodziei. Dopiero po kolejnych sześćdziesięciu dniach podróży wróciłem wreszcie do domu, by już nigdy więcej nie wyściubić stamtąd nosa”. Świadomość, że pewnego dnia artretyczny ambergriański historyk, czytając jego wynurzenia, odbierze je jako zabawne, pewnie mogłaby go choć chwilowo rozweselić. A może i nie. W każdym razie z pewnością możemy teraz zrozumieć tendencję owego autora powieści historycznych do obwiniania Manzikerta III ponad miarę.

<sup>59</sup> Nigdy się nie dowiemy, dlaczego z taką gotowością zaakceptowano Aquelusa, być może Manzikert III ogłosił go swym następcą na łożu śmierci albo sam Manzikert II, zdając sobie sprawę z chorowitej natury swego syna, już wcześniej wydał dekret ustanawiający Aquelusa monarchą w razie śmierci Manzikerta III. Cała opowieść, jakoby to w dzieciństwie okno sypialni Aquelusa nawiedził złoty orzeł, który przekazał mu wiadomość, że pewnego dnia zostanie kappanem, jest niemal z pewnością apokryficzna.

rolników, którzy osiedlili się zarówno w samym Ambergris jak i w leżących nieopodal pomniejszych miasteczkach<sup>60</sup>. Rozkwita również handel rzeczny, a samo miasto bogaci się w wyjątkowo krótkim czasie. Obowiązkowa dwuletnia służba wojskowa okazuje się wielkim sukcesem - armia jest silna, lecz nastawiona raczej na działania o charakterze miejskim, jako że zagrażający miastu zewnętrzni wrogowie wydają się nieliczni i pozbawieni większego znaczenia. Wprowadza się jednostkę wymiany barterowej w oparciu o standard złota; monety te stają się podstawową formą waluty, za którą szybko podąża południowy aański sel, stopniowo jednak wyparty w późniejszych latach. Wszyscy ambergriańscy władcy - w tym i Manzikert III - dzięki rozparcelowaniu większości ziem w ręce drobnych rolników skutecznie udaremniaли ataki klas wyższych (w większości potomków poruczników z okrętów Manzikerta I), aspirujących do stworzenia rządzącej arystokracji. A co za tym idzie, nie pojawiły się żadne poważniejsze wewnętrzne zagrożenia dla sukcesji. Wreszcie, co ważne, jest to również szczytowy okres natchnionych budowli i wynalazków, nazwany później Wiekiem Aquelusa.

Wszędzie wokół przyjmują się nowe pomysły. Odnowiona flota wielorybnicza skupia swe wysiłki na gigantycznej słodkowodnej kałamarnicy, zresztą, jak się okazuje - z wyjątkowo dobrym rezultatem. Aquelus z produktów przetwarzania kałamarnic czyni nie tylko przemysł narodowy, ale i element narodowej tożsamości, mimowolnie wprowadzając do kalendarza Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic, wydarzenie mające charakter jak najbardziej pokojowy przez całe panowanie rodu Manzikertów<sup>61</sup>. Ponownie uruchomiono stary akwedukt, a w dolinie tuż za miastem pojawia się i rozkwita rozległe osadnictwo w postaci miasteczka rzemieślników. Każdego dnia powstaje nowy dom lub przynajmniej nadaje się nazwę jakiejś nowej ulicy, a w czasach Aquelusa populacja miasta liczy już

---

<sup>60</sup> Trzy wieki później burmistrzowie miast położonych wzdłuż Moth odrzucili jarzmo kappanów i królów, tworząc ligę państw-miast związanych sojuszami handlowymi - w efekcie pogrzyżyło to Ambergris w znanym nam obecnie stanie „funkcjonalnej anarchii”.

<sup>61</sup> Pierwszy Festiwal, zorganizowany przez Manzikerta I, był wydarzeniem wyjątkowo banalnym: zaledwie dwudaniową ucztą, uświetnioną występem wiekowego polykacza mieczy, który zdołał podczas swego występu nadzieć się na własny oręż. Bardziej złożone rozrywki cechowały w szczególności rządy Aquelusa. Wśród ówczesnych uroczystości było wielkie otwarcie odpowiednika Ogrodów Nicejskich (o niemal trzystu metrach szerokości, odtworzonych na tratwach rozciągających się między brzegami Moth łącznie z kwiatami, drzewami skrzącymi się różnymi kolorami kryształów i sztucznym jeziorem, zarybionym okazami, spośród których goście bankietu, nim jeszcze wycofali się do salonów pałacu, mieli wybrać swój posiłek). Natomiast w rok po Cisy z inicjatywy kappanessy nad publicznymi dziedzińcami przeleciała przeogromnych rozmiarów sztuczna sowa, zapalając w czasie swego lotu setki pochodni, by wreszcie osiąść na niemal dwudziestopięciometrowej kopii Łuku Tarbuta z dominium Kalifa. Ale zapewne najbardziej śmiałe widowisko miało miejsce za krótkiego panowania Manzikerta VIII, który odtworzył dawne Koloseum szarych kapeluszy, uszczelniał je, a następnie zalał arenę wodą i odegrał tam najsłynniejsze bitwy morskie z użyciem statków w skali 2:3. Cała ta pompa i przepych służyły autentycznemu świętowaniu, lecz w późniejszych latach miały również na celu ukrycie postępującego ubóstwa i militarnej słabości miasta.

przeszło trzydzieści tysięcy stałych mieszkańców - w przybliżeniu trzynaście tysięcy mężczyzn i siedemnaście tysięcy kobiet i dzieci<sup>62</sup>.

Mimo to jednak, gdy Aquelus wkracza w szósty rok swego panowania, daje się wyczuć, że coś jest w tym mieście przerażająco nie tak, chociaż nikt nie potrafi sprecyzować źródła takiego przekonania, a ledwie nieliczni być może coś niecoś podejrzewają. Po pierwsze, ów złowieszczy sposób, w jaki szare kapelusze wkroczyły do zbiorowej świadomości miasta: rodzice przed snem opowiadają swym dzieciom historie o dawnych mieszkańcach Cinsorium, o tym, jak to szary kapelusz wyjdzie cichutko spod ziemi, opierając się na swych wilgotnych białych dłoniach i stopach, by wczołgać się przez otwarte okno i porwać cię, jeśli natychmiast nie pójdziesz spać.

Również wyrażenie „grzybianie” coraz powszechniej zaczyna zastępować określenie „szare kapelusze”, i to z raczej tak niepokojącego powodu, że jedyną poważną porażką zarówno rządu państwa, jak i jego szeregowych obywateli, stała się wojna wypowiedziana pladze wszelkiego rodzaju grzybów, które poczęły porastać coraz to większe obszary Ambergris - kaskady ciemnych i jasnych grzybków, radośnie przyozdobionych czerwienią lub zielenią bądź też tkwiących posępnie w osłonie szarości czy brązu, czasem tak gęsto jak trawa. Skargi napływające ze strony ludności zaczynają się mnożyć, ponieważ niektóre z gatunków wydzielają śliską truciznę, która w zetknięciu z nogami, stopami, ramionami czy dłońmi sprawia ofierze niewypowiedziany ból, na dodatek pokrywając jej ciało oszpecającymi, utrzymującymi się niemal przez tydzień, fioletowymi plamami. Co bardziej alarmujące, na samym środku niektórych ulic pojawia się nowy rodzaj grzyba - o trzonku grubym niczym pień dębu, wysokości około stu dwudziestu, stu pięćdziesięciu centymetrów - wyszarpujący się na wolność pomiędzy kamieni bruku. Te zabarwione na niebieskawo „białe wieloryby”<sup>63</sup>, jak nazwał je pewien kawalarz, musieli ścinać pracownicy straży pożarnej lub oddziałów policji, wywołując tym samym wielogodzinne utrudnienia i trwoniąc cenny czas pracy. Wokół tych grzybów unosił się również tak przenikliwy odór zgniłych jaj, że

---

<sup>62</sup> Zgodnie z *Czwartym Spisem Ludności*, znajdującym się w archiwach dawnej dzielnicy biurokratów.

<sup>63</sup> Według większości historyków jest to najbardziej osobliwa „teoria” Laconda (warto więc ją chyba tutaj przytoczyć). Zakłada ona bowiem, że niektórzy grzybianie w rzeczywistości rodzili się z wnętrza tych grzybów. Wyjaśniać ma to zarówno skowyt, jaki wydawały one pod uderzeniami toporów, jak również i fakt, że w większości przypadków trzewia takich grzybów tworzyła ciemna wodnista masa przypominająca łożysko z błonami płodowymi, a nawet same wody płodowe. Osobiście jestem przekonany, że „wrzask” był typowym dźwiękiem, jakiego należało się spodziewać od gumowatej konsystencji ciała grzyba przy rozlupywaniu go na pół toporem, a co do „łożyska”, to wiele grzybów zawiera w swym wnętrzu pęcherzyki wypełnione substancjami odżywczymi. Moglibyśmy sobie więc życzyć, by Lacond przeprowadził bardziej wnikliwe badania przed podzieleniem się z nami swoją opinią, ale wtedy nie mielibyśmy możliwości poznania jego fenomenalnej wręcz głupoty.

niejednokrotnie należało ewakuować całe ulice, czasem nawet na kilka dni.

Z pewnością w miarę zbliżania się Ciszey obszary doświadczane w ten sposób stawały się coraz liczniejsze, jakby to sam grzyb formował rozległą, nieświadomą awangardę... Pytanie tylko - w jakim celu? Przynajmniej jeden z ówczesnych wybitnych i prominentnych obywateli, wynalazca Stephen Bacilus<sup>64</sup> - praprapradziadek wpływowego statystyka Gorta - wydawał się świadom potencjalnego niebezpieczeństwa. Rozpoznał je i przedstawił na posiedzeniu Rady Miasta, organu powołanego, by zajmować się problemami związanymi z bezpieczeństwem w skali miejskiej, a uczynił to takimi słowami:

Powinien zaalarmować nas już sam fakt, że nie jesteśmy w stanie zapobiec ich rozprzestrzenianiu się, jak i to, że wszelkie wymyślone przez nas trucizny wręcz stymulują ich lepszy i szybszy wzrost. Wskazuje to bowiem na istnienie innej, znacznie nas przewyższającej siły, zdeterminowanej, by wymazać nasze istnienie z powierzchni ziemi. Szersze przyjrzenie się sprawie, dokonane również przez wielu spośród zgromadzonych tu dziś na tej sali, wykazało, że niektóre rodzaje tych grzybów, po wyrwaniu z korzeniami i złożeniu na wcześniej wyznaczonych stosach przeznaczonych do spalania, w wielce tajemniczych okolicznościach odnajdywały drogę powrotną do miejsc, z których zostały usunięte - już sam ten fakt powinien zmusić nas do działania... I wreszcie, nie muszę chyba przypominać wszystkim tu zgromadzonym, być może z wyjątkiem tych spośród was, których cechuje wyjątkowo krótka pamięć, że niektóre z tych grzybów są purpurowe. Jeszcze kilka lat temu grzybów o tej barwie nie uświadczono się nigdzie na terenie całego miasta. I ten właśnie fakt wydaje mi się najbardziej złowrogi ze wszystkich...

Jak się jednak niefortunnie złożyło, Rada Miasta oddaliła jego oświadczenie jako oparte na plotkach rozpuszczanych przez staruszki, a następnie obwieściła uchwałę zabraniającą mu wystąpień publicznych na wszelkie tematy związane z „grzybami, porostami, mchami i wszelkimi innymi pokrewnymi im roślinami, by nie wzniecać w ten sposób, nieświadomie i zupełnie niepotrzebnie, ognisk zbiorowej paniki w populacji miejskiej”<sup>65</sup>.

---

<sup>64</sup> Zbliżający się wtedy niemal do siedemdziesiątki, białobrody i rozpalony w oracji staruszek Bacilus musiał stanowić wyjątkowo spektakularny widok.

<sup>65</sup> W obronie Rady należy tu stwierdzić, że wynalazca miał w Ambergris reputację raczej „burzliwą”. Dziś możemy pozwolić sobie na luksus dystansu do owych wydarzeń, ale Rada nie miała zbyt wiele czasu, by wymazać z pamięci takie proponowane przez niego innowacje jak sztuczne nogi dla węży, rękawiczki dla ryb czy też słynną latającą kamizelkę. Bacilus wysnuł bowiem wniosek, że skoro powietrze uwięzione w przedmiocie sprawia, że taki obiekt unosi się na wodzie, to uwięzione powietrze winno również pozwolić rzeczy, w tym przypadkiem człowiekowi, unosić się w powietrzu. Co za tym idzie, stworzył specjalny kostium, który nazwał latającą kamizelką. Urządzenie zostało wykonane z pustych świńskich i cielęcych żołądków, a

Koniec końców Rada była przecież organem odpowiedzialnym za miejskie bezpieczeństwo.

Ale czy Bacilus miał jakiegokolwiek powody, by bić na alarm? Być może i tak. Według policyjnych raportów trzy lata przed Ciszą miasto doświadczyło siedemdziesięciu sześciu niewyjaśnionych, czy też nierozwikłanych włamań, co w porównaniu z rokiem wcześniejszym stanowiło znaczny skok z zaledwie trzydziestu. Dwa lata przed Ciszą liczba ta wzrosła już do dziewięćdziesięciu dziewięciu, by w roku bezpośrednio ją poprzedzającym skoczyć do niemal stu pięćdziesięciu niewyjaśnionych włamań w granicach miasta. Bez wątplenia niektóre z nich można było złożyć na karb strumienia nieustannie napływającej do miasta ludności, wśród której znajdowała się spora grupa niemogących się przystosować do miejskiego życia imigrantów awanturników, lecz bez wątplenia brak przesadnego zaniepokojenia przedstawicieli władzy faktem niewyjaśnionych włamań znaczy ni mniej, ni więcej, tylko że i oni doszli do podobnych wniosków. Ofiary jednak w zadziwiająco wysokiej liczbie przypadków stwierdzały, że jeśli w ogóle kogoś widziały na miejscu zdarzenia, to intruz ów był „raczej niewielkiego wzrostu”, zwykle ukrywał się w cieniu i niemal w każdym wypadku miał na głowie „wielki filcowy kapelusz”. Ci tajemniczy włamywacze przeważnie rozplýwali się w powietrzu razem ze sztucami, bizuterią czy jedzeniem<sup>66</sup>.

---

składało się z trzech tuzinów pozszywanych ze sobą torebek powietrznych. Bez przeprowadzenia jakichkolwiek wcześniejszych prób Bacilus przekonał swojego kuzyna, Brandona Mapa, do nałożenia na siebie owego wynalazku i skoczenia na oczach zgromadzonej publiki, składającej się z najważniejszych ministrów Aquelusa, z dachu świeżo ukończonej truffidiańskiej katedry. Kiedy biedak niczym kamień runął na spotkanie własnej śmierci, powszechnie uznano, tak by doszło to do uszu Bacilusa i by strata życia nie okazała się jednak zupełnie bezsensowna i daremna, że być może tuż przed samym lądowaniem jego kuzyn jednak frunął przez krótką chwilę. Jeden z mniej uprzejmych ministrów zauważył, że być może, gdyby to sam Bacilus, będący z pewnością urodzonym zbiornikiem powietrza, o ile tylko dane mu było kiedykolwiek widzieć takowy na oczy, włożył kamizelkę, wynik mógłby się okazać wprost przeciwny, gdyż było wyraźnie widać, że Brandon nie miał już w sobie ani powietrza, ani krwi, ani nawet kości... Truffidian zaś, co oczywiste, przeraził fakt, że ich dopiero co ukończona katedra została w ten sposób ochrzczona bryzgami krwi, a przerazili się jeszcze bardziej, gdy odkryli, że Brandon był ateistą. (Powinienem jednak pozwolić sobie tu zauważyć, że truffidianie przez ostatnie siedem wieków nieustannie byli przerażeni takim czy innym wydarzeniem).

<sup>66</sup> Treść protokołu policyjnego z zeznania złożonego przez Richarda Krokusa dostarcza nam dość typowy przykład: „W samym środku nocy obudził mnie jakiś brzęczący szum, dochodzący z kuchni. Musiało być gdzieś koło drugiej rano. Moja żoncia smacznie sobie spała u mego boku, a skoro nie mamy dzieci, nie miałem też pojęcia, któż to taki mógłby sobie właśnie w środku nocy przygotowywać na dole przekąskę. Tak więc ruszyłem cichutko do kuchni, ale tak naprawdę cichutko, chwytając po drodze za deskę jako broń, a miałem zamiar wzmocnić tymi deskami obramowania kominka, ale jakoś nie mogłem się za to zabrać, bo bolało mnie w krzyżu... Jak każdy służyłem przecież w armii, gdzie spaskudziłem sobie kręgosłup podczas niefortunnego upadku w trakcie ćwiczeń i nawet przez czas jakiś dostawałem rentę, dopóki nie wyszło na jaw, że tak naprawdę to poślizgnąłem się na pomidorze... A moja żonka ciągle suszyła mi głowę, bym naprawił ten kominek, tak więc przywlokłem te deski, ze sklepu, to oczywiste, znaczy, a później tej nocy schwyciłem za jedną z nich, ale nie po to oczywiście, by naprawiać kominek, wiadomo, tylko w celach obronnych. Gdzie to byłem? Ach, tak. Tak więc wchodzę do naszej kuchni i już się zastanawiam, czy nie zrobić sobie małej kanapeczki, o ile tylko został jakiś chleb w domu, tak więc być może i nie zwracam tyle uwagi, ile powinienem, na całą zaistniałą sytuację, i niech mnie szlag trafi, jeśli nie spostrzegam tam wtedy tej malutkiej osóбки, tej ciputkiej malutkiej osóбки w cholernie wielkim filcowym kapeluszu, która ot siedzi sobie na blacie lady i napycha się ciastem czekoladowym, które upiekła moja żoneczka. Spojrzałem na nią, a i ona nie pozostała mi dłużna i też zmierzyła mnie wzrokiem. Nawet nie drgnąłem, ona też nie. Miała wielkie oczy, mały nos i krzywy uśmiech na twarzy, taki od ucha do ucha, tyle tylko, że z zębami, prawdziwie wielkimi zębiskami, tak

W rzeczywistości jednak takie wszędobylskie rozpowszechnienie się legend miejskich, dotyczących grzybian, było wielce niefortunne, gdyż zdeprecjonowanie ich do opowiadań dla niegrzecznych dzieci sprawiło, że nikt nie traktował ich poważnie. Policja odbierała podobne doniesienia jako objawy hysterii, a nawet jako kłamstwa opowiadane z kamienną twarzą, a całą sytuację komplikowali jeszcze dodatkowo kryminaliści, którzy podczas włamań przebierali się w „strój” szarych kapeluszy<sup>67</sup>.

Co gorsza, skuteczny i sprawny rząd oraz sieć powiązań stworzona dzięki pokojowym traktatom Manzikerta II i Aquelusa okazały się trwać na wyjątkowo chybotliwych posadach.

Tuż przed Ciszą panowało powszechne przekonanie, że Ambergris nie tylko jest bezpieczniejsze, ale i bogatsze niż kiedykolwiek wcześniej. I rzeczywiście, Aquelus dopiero co zawarł kolejny, jeszcze ściślejszy sojusz z Menitami<sup>68</sup>, jak również wykonał pierwszy krok ku kontynuacji swej linii rodowej, poślubiając Irene<sup>69</sup>, córkę wiekowego już menickiego króla, która - przynajmniej według doniesień - była nie tylko piękna, lecz również inteligentna, można więc było oczekiwać, że para ta będzie wspólnie rządzić, podobnie jak

---

więc trochę psuło to całą bijącą od niej radość. Oczywiście, że zdążyła spaskudzić cały tort mojej żonci, tak więc już miałem ją walnąć trzymaną w rękach deską, tyle że wtedy to ona cisnęła we mnie grzybem. I kolejne, co pamiętam, to mieliśmy już ranek i nie tylko całe ciasto rozpląnęło się w powietrzu, ale i moja żonka biła mnie po twarzy, marudząc i joczając, jak to powinienem już wstawać, bo pewnie znów chlałem po nocy i czy nie zdaję sobie sprawy, że już spóźniłem się do pracy. A później, jeszcze tego samego dnia, gdy rozstawiałem talerze do obiadu, jakoś nie mogłem znaleźć żadnych noży ani widelców. Wszystkie zniknęły. Och, tak, niemal zapomniałem - nie byłem też w stanie znaleźć tego grzyba, którym dostałem, ale zaręczam ci, cholera, że był o wiele cięższy, niż się wydawało, bo mam po nim tego cholernie wielkiego guza na czubku głowy. O tu, popatrz”.

<sup>67</sup> Kilka lokalnych sklepów z pamiątkami, wędząc w tym szybki zysk na pielgrzymach, zaczęło sprzedawać małe figurki i laleczki w kształcie grzybian, jak również zrobione z grzybków *potpourri*; pojawiła się wtedy nawet tawerna o nazwie „Spora Szarego Kapelusza” (istniejąca po dziś dzień, a można tam dostać jedno z najlepiej schłodzonych piw w całym mieście).

<sup>68</sup> W błyskotliwie skonstruowanej intrydze wysłał on do Morrow wraz z sugerującym małżeństwo ambasadorem grupę truffidiańskich mnichów, których celem było wynegocjowanie religijnego kompromisu, pozwalającego pogodzić różnice między Królestwem Menickim a Kappaństwem Ambergris. Wiele z prowadzonych rozmów i kłótni było skrajnie niezrozumiałych. Menici wierzyli na przykład, że Boga można odnaleźć w każdej istocie, podczas gdy truffidianie, usiłując odseparować się od manizmu, byli przekonani, że szczury pochodzą raczej „od diabła”; po tygodniach niedorzecznych świadectw, dotyczących zarówno zalet szczurów („ich futro jest miłe w dotyku”), jak i ich wad („roznoszą choroby”), osiągnięto wreszcie kompromis - wyrażenie „od diabła” powinno zostać usunięte z wszelkich truffidiańskich tekstów i zastąpione określeniem „nieboskie” (pierwotnie zmienionym na „stworzone przez Boga, które najprawdopodobniej zbłądziły z jego dróg”, ale truffidianie nie zaakceptowali tej wersji). Po roku niezmiernie bolesnych negocjacji i prawdopodobnie bardziej z powodu wyczerpania i znudzenia niż dlatego, że ktokolwiek rzeczywiście w to wierzył, ugoda została osiągnięta ku wielkiej uldze obu władców (którzy, mimo iż byli religijni, posiadali też przy okazji wyjątkowo silny i zdrowy pierwiastek pragmatyzmu). Porozumienie to miało przetrwać siedemdziesiąt lat, do czasów unieważnienia go z powodu Wielkiej Schizmy, a nawet wtedy rozpad kontraktu ogłoszono przez główne biura Kościoła Truffidiańskiego na ziemiach Kalifa.

<sup>69</sup> Kronikarze tego okresu nazywają to małżeństwo „małżeństwem z wyrachowania”, bowiem wszelkie dowody świadczą, że Aquelus był homoseksualistą. Ale nawet jeśli zawarto je z takich powodów, to wkrótce i tak uczucie pogłębiło się, zmieniając w odwzajemnianą miłość. Z pewnością nie wyklucza możliwości, że Aquelus był biseksualny, podobnie jak nie da się zanegować opinii wyrażonej w dwa wieki później przez homoseksualnego uczonego kappana Ambergris Meriada, który utrzymuje, iż Aquelus był niemal równie wypaczony jak stare drzwi.



swego czasu czynili to na swój sposób Sophia i Manzikert I<sup>70</sup>.

Jeszcze w tym samym roku Aaelus zabezpieczył swe zachodnie granice przed możliwym atakiem ze strony Kalifa<sup>71</sup>, podpisując traktat, na mocy którego ambergriańskim kupcom nadawano przywileje (szczególnie wspomnieć należy tu klauzulę dotyczącą podatków eksportowych) w zamian za obietnicę wasalstwa Ambergris względem Kalifa<sup>72</sup>.

Ogrom przebiegłości Aaelusa najlepiej ilustruje udzielona przez niego odpowiedź na prośbę Kalifa, w której w zamian za kolejne ustępstwa handlowe tamten prosił go o pomoc w stłumieniu rebelii na południu, na czele której stanął Stretcher Jones. Kalif, wielce podstępny i przebiegły władca, dodał również, że dwaj przyrodni bracia Aaelusa, pierwsi w kolejce do kappaańskiego tronu, otrzymali zaszczyt nauki na jego dworze pod kuratelą najbardziej uzdolnionych nauczycieli „spośród wszystkich najlepiej wykształconych ludzi na całym cywilizowanym świecie”. Aaelus, który zachował w czasie wspomnianego wyżej konfliktu neutralność, odpisał, że brueghelicka armada w sile stu żagli już zagroziła Ambergris - flota w rzeczywistości znajdowała się mniej więcej trzysta kilometrów od miasta, gdzie ze spokojem plądrowała położone na południu wyspy - i że nie może sobie pozwolić na poświęcenie chociażby jednego okrętu, by atakować przyjaźnie nastawione truffidiańskie mocarstwo na zachodzie; tak czy inaczej z wdzięcznością przyjmuje tak hojnie i szczerze oferowane mu przez Kalifa przywileje. Jeśli jednak chodziło o zaproszenie dla swych przyrodnych braci, przekazał „szczerze i bezgraniczne podziękowania”, lecz młodzieńcy nigdy nie wyruszyli na dwór Kalifa. Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że gdyby tak zrobili, Kalif zatrzymałby ich u siebie jako zakładników<sup>73</sup>.

---

<sup>70</sup> Biorąc pod uwagę przykład Sophii i Manzikerta I nie w tym dziwnego, że kobiety służyły w armii aż do upadku Trilliana Wielkiego Bankiera i jego Bankierów-Weteranów, wiele z nich nawet wśród najwyższych szczebli. Sama Irene celowała jako łowca, potrafiła prześcignąć i pokonać w walce najszybszego ze swych pięciu braci, a tajniki strategii zgłębiała pod kuratelą samego Masoufa, najwspanialszego z generałów Kalifa.

<sup>71</sup> Proszę zauważyć, że mówiąc „kalif” we wszystkich dotychczasowych odwołaniach do Kalifa na przestrzeni sześćdziesięciu lat, odnosiłem się do więcej niż jednego władcy. Kalifa wybierano w tajnym głosowaniu, a jego tożsamości nigdy nie ujawniano publicznie, by chronić go przed próbami „kalifobójstwa”. Każdego Kalifa nazywano po prostu „kalifem”. Nie należy się zbytnio dziwić, że pozycja Nadwornego Genealoga niosła ze sobą tak niewiele splendoru, a tak wiele frustracji.

<sup>72</sup> Choć takie kroki wydają się cokolwiek ekstremalne, powinniśmy stwierdzić, że w efekcie owo wasalstwo nie miało znaczenia - Kalif był zbyt zajęty konsolidacją niedawno zdobytych terenów wschodnich (rebelie na tamtych terenach były potajemnie finansowane przez Aaelusa, który niczego nie pozostawiał dziełu przypadku), by domagać się danin, czy też chociażby wysłać administratorów, którzy w jego imieniu doglądaliby Kappaństwa. Jednakże Kalif mógł w pewien sposób przechytrzyć tu Aaelusa, gdyż w późniejszych wiekach jego następcy domagali się należnego im zgodnie z prawem Kappaństwa Ambergris i rozpoczęli działania wojenne mające na celu „wyzwolenie” tego obszaru.

<sup>73</sup> Kiedy Stretcher Jones został wreszcie pokonany w krwawej potyczce, która na następne trzy wieki skonsolidowała supremację Kalifa na zachodnich terenach, Aaelus odpowiedział na to następującymi słowy: „Będąc jednocześnie przyjacielem obu monarchów i mając Boga przy swym boku, mogę jedynie stwierdzić tyle - cieszę się z tymi, którzy mają powód do radości, a płaczę z tymi, którzy mają powody do smutku”.

Mimo iż Aquelus mógł nie kryć zadowolenia ze zręcznych uników przed potencjalnymi zagrożeniami, w miarę nieubłaganie zbliżającego się terminu wyprawy na połów słodkowodnych kałamarnic zdarzyły się dwie niebezpieczne sytuacje, wymagające natychmiastowych rozwiązań. Po pierwsze, pojawił się wyraźnie zauważalny niedobór w wiosennych płodach rolnych, który w połączeniu z nieustannym napływem nowych osadników (Aquelus nie zamierzał w najmniejszym nawet stopniu go ograniczać) przekładał się na ryzyko klęski głodu. Po drugie, Haragck, wojowniczy klan nomadów, dosiadający do boju wytrzymałych górskich kuców, jął nękać ciągłymi najezdami zachodnie granice państwa<sup>74</sup>. Aquelus nie posiadał kawalerii, za to Haragck nie posiadali floty, a jeśli doszłoby do starcia zbrojnego, Aquelus musiał mieć stuprocentową pewność - teraz, gdy jego sojusznikiem było Morrow, mające pełną kontrolę nad północną częścią rzeki Moth - że byłby w stanie powstrzymać barbarzyńców przed przekroczeniem rzeki w znacznej sile.

Gdyby Haragck byli jedynymi nieprzyjaciółmi Aquelusa, ten wciąż miałby powody, by dziękować szczęśliwemu losowi. Lecz dokładnie ten sam moment wybrał sobie na przypomnienie o swym istnieniu inny, przyczajony na południu, oponent Ambergris - aańscy potomkowie Brueghela, tego samego, który swego czasu pogonił Manzikerta I w górę rzeki. Brueghelici, rozdrażnieni aańskim exodusem do bogatych przedmieść miasta, rozpoczęli nękanie południowych granic Ambergris. Mieli, co zrozumiałe, pretensje z powodu straty tak znaczącej liczby potencjalnej siły roboczej, ale wtedy spadły na nich Szare Plemiona, zajmujące tereny jeszcze bardziej wysunięte na południe. Tym, co okazało się najbardziej szkodliwe w świetle nadciągającej nad Ambergris klęski głodu, był fakt, że Brueghelici zamiast zwykłych działań wojennych, które przynajmniej można było w miarę szybko rozstrzygnąć, rozpoczęli wojnę handlową. Sięgnęli po szereg broni, w tym między innymi opłaty tranzytowe na ambergriańskie towary, wysokie cło na produkcję zmierzającą ku leżącym na południu wyspom oraz domy celne (zabezpieczane wielkimi, dobrze uzbrojonymi garnizonami), porozstawiane na brzegach Moth<sup>75</sup>.

Aquelus zdołałby zapewne w końcu wymyślić jakiś sposób na podburzenie Haragck

---

<sup>74</sup> Nawet przed upadkiem powstania Stretchera Jonesa ci okrutni wojownicy zostali przepędzeni na wschód przez powoli nadciągającą armię Kalifa, który z pewnością oczekiwał i życzył sobie, by osłabiła ona Ambergris. Od tamtej pory znikli z kart historii w sposób zarówno szokujący, jak i absurdalny, lecz marginalny, jeśli chodzi o główny punkt zainteresowania niniejszego opracowania; wystarczy tu tylko nadmienić, że eksplodujące kuce wcale nie stanowią miłego widoku, a nikt nie ma najmniejszego pojęcia, kogo należy obarczyć winą za robactwo.

<sup>75</sup> Przy zablokowanym od tej strony dostępie do morza trudno się dziwić, że Ambergris nie stało się dominującą w regionie potęgą morską aż do czasów Manzikerta V, który założył tak zwaną Fabrykę - słynne na całym świecie centrum budowy statków, zdolne zbudować galerę w dwanaście godzin, a w pełni wyposażony okręt wojenny - w dwa dni.

przeciwko Brueghelitom, eliminując obie siły jako zagrożenia dla Ambergris<sup>76</sup>, ale zbliżał się sezon połowu słodkowodnych kałamarnic. Władca nie mógł wiedzieć, czy jego przekupstwa i polityczne manewry przyniosą jakiś efekt. A co za tym idzie, wydał brzemenny w skutkach dekret, na mocy którego trzy razy więcej statków niż zwykle miało wyruszyć z portu, by wziąć udział w połowie. Jego celem było zrównoważenie mięsem i półproduktami kałamarnic niedoborów w zbiorach rolnych i zapewnienie koniecznej ilości dodatkowej żywności, mającej umożliwić przetrzymanie ewentualnego oblężenia miasta, zarówno ze strony Brueghelitów, jak i Haragck<sup>77</sup>. Gdyby jednak nie doszło do wspomnianego oblężenia, zapasy miały posłużyć zaspokojeniu potrzeb napływających nieprzerwanie imigrantów. Jak się również przypadkowo składało, manewry związane z połowem kałamarnic wymagały o wiele większej sprawności i lepszych umiejętności niż te potrzebne podczas prawdziwych działań wojennych, tak więc Aquelus zamierzał równocześnie przy okazji zahartować swą flotę.

W wyznaczonym wcześniej dniu sam władca stanął na czele niemal pięciu tysięcy mężczyzn i kobiet, mających wypłynąć na rzekę flotą w sile stu żagli<sup>78</sup>. Mieli wyruszyć na dwa tygodnie, co w mniemaniu Aquelusa było najdłuższym możliwym do przyjęcia okresem, przez który przebywanie poza miastem wydawało się jeszcze bezpieczne. Jego świeżo poślubiona żona została w domu. Żadne dwa inne zrządenia losu - wybór dokonany przez Irene, by nie wyruszyć wraz z mężem, jak i ogrom floty wypływającej ku południowym terenom połowu - nie miały bardziej ważkiego wpływu na Ambergris w jego wczesnej historii.

### III

**KAŻDY HISTORYK ZE SKRAJNĄ WRĘCZ OSTROŻNOŚCIĄ MUSI** podchodzić do rozważań dotyczących Cisy, bowiem ogrom i potworność tego wydarzenia domagają się od

---

<sup>76</sup> Jak się przypadkowo złożyło, dając tym samym Aquelusowi doskonały przykład na to, co się dzieje, gdy armia oparta na silnej kawalerii walczy z siłami głównie morskimi - otóż nie dzieje się nic.

<sup>77</sup> Aquelus do końca swych dni budował naziemne mury mające chronić miasto przed atakami z północy, południa i wschodu. Od strony rzeki wznosił również fortyfikacje obronne, w skład których wchodziły magazyny zapasów koniecznych do szybkiego przekształcenia statków w pływające barykady. Do dnia dzisiejszego przetrwała zaledwie garstka tych struktur, gdyż wykonawca, któremu udało się wygrać przetarg, rzekomo były Brueghelita, użył materiałów pośledniego sortu; obecnie do ostatniej z przetrwałych ścian murów naziemnych przylega najbardziej wysunięta na wschód część Dzielnicy Religijnej.

<sup>78</sup> Nawet gdyby nie zaistniało widmo głodu, Aquelus i tak musiałyby zabrać ze sobą równie wielką flotę, bowiem statki, by dotrzeć na tereny połowu kałamarnic, musiały przeciąć zewnętrzne granice wód terytorialnych Brueghelitów.

nas najwyższego szacunku. Ale kiedy wspomniany wcześniej historyk, czyli w tym wypadku piszący te słowa, zmuszony jest wyjaśnić zagadnienie Cisy w ramach nędznej serii broszur, musi wykazać się przy tym zadaniu powagą i podniosłością w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do błędnego charakteru otaczających go informacji. Jak dla mnie, wręcz nie do przyjęcia jest fakt, że ty, Czytelniku, mógłbyś przeskoczyć - bardzo nieprzyjemnie płytkie słowo - z kart niniejszej broszurki na strony innej, leżącej tuż obok, która równie dobrze może dotyczyć najlepszych maskowych festiwali bądź tego, gdzie też najlepiej stręczyć prostytutkę. A mógłbyś to zrobić, nim jeszcze pojmiesz straszliwe następstwa tego pisanego z wielkiej litery wydarzenia. Nie wymaga to jednak żadnego melodramatycznego wysiłku z mojej strony, gdyż powinny tu wystarczyć same suche fakty: powracający do miasta Aquelus zastał je ziejące pustką. Na żadnym bulwarze, w żadnej bocznej uliczce, alei, ani w żadnym domu, na żadnym dziedzińcu czy w budynku użyteczności publicznej nie dało się dostrzec żywej duszy.

Statki Aquelusa wpłynęły do portu, gdzie jedynym witającym je dźwiękiem był odgłos fal uderzających o drewno przystani. Powracający przybyli wczesnym rankiem, gnając w kierunku domu wręcz na złamanie karku, by zdążyć przed narzuconym sobie przez Aquelusa nieprzekraczalnym dwutygodniowym terminem powrotu. Kappan zastał miasto oświetlone słabym blaskiem poranka i otulone kłębamii nadciągającej z rzeki mgły. Niewątpliwie był to eteryczny widok. Widok ten był równocześnie najprawdopodobniej przerażający.

Początkowo nikt nawet nie zauważył srogości panującej wokół Cisy, ale gdy statki zarzucały kotwice, a ich załogi schodziły na brzeg, wielu uznało za osobliwy fakt, że nikt nie wyszedł im na spotkanie, że nikt ich nie witał. Wkrótce zauważono również, że rzeczne budowle obronne stały pozbawione załóg, a wszystkie zacumowane przy nabrzeżu łodzie, kiedy już wyłoniły się z oparów mgły, okazały się dryfować, zupełnie niekontrolowane przez ludzi.

Kiedy Aquelus dostrzegł te nieprawidłowości, zaczął obawiać się najgorszego - inwazji Brueghelitów, do jakiej mogło dojść podczas jego nieobecności - rozkazał więc natychmiastowy powrót na pokłady statków. Wszystkie pozostałe okręty, prócz tego, którym sam podróżował, wypłynęły na środek rzeki, gdzie przyczaiły się w pełnej gotowości bojowej, z ładowniami pełnymi kałamarnic.

Następnie, pełen trwogi, nękany pragnieniem odnalezienia swej świeżo poślubionej małżonki, osobiście poprowadził do miasta wyprawę składającą się z pięćdziesięciu ludzi<sup>79</sup>.

---

<sup>79</sup> Jedyną słabością Aquelusa było zamiłowanie do osobistego dowództwa podczas wypraw wojskowych. Taka odwaga często pomagała mu przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, lecz stała się także

Jego obawy dotyczące inwazji zdawały się zupełnie bezpodstawne, gdyż wszędzie, gdzie tylko się ruszył, nie dostrzegł nawet najmniejszego śladu ani wrogów, ani przyjaciół.

W rzeczywistości możemy mówić o wielkim szczęściu, gdyż w szeregach tej ekspedycji znalazł się niejaki Simon Jersak, szeregowy żołnierz, który pewnego dnia miał zostać naczelnym poborcą podatkowym zachodnich prowincji. Jersak pozostawił nam wyczerpujący opis tamtej wyprawy do wnętrza miasta, pozwolę więc sobie hojnie zacytować tu fragment z tego właśnie źródła:

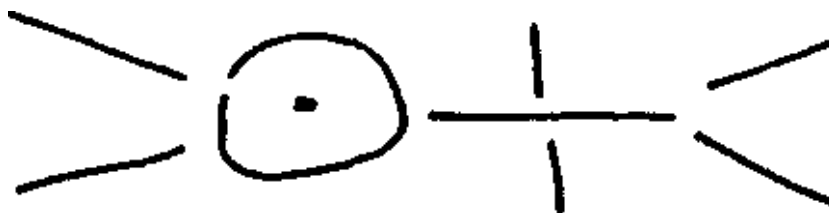
Gdy mgła okrywająca prawdziwy rozmiar panującej wokół pustki rozproszyła się, a każda ulica, budynek i narożny sklep okazały się trwać porzucone, sam kappan zadrżał i jeszcze szczelniej otulił się płaszczem. Rozesłaliśmy ludzi do różnych, losowo wybranych miejsc rozrzuconych po całym Ambergris - jak się okazało, tylko po to, by wrócili z wiadomością, że wszędzie wokół znajdują się jedynie kolejne miejsca całkowicie oddane w posiadanie pustki. Miejsca, gdzie gotowe do spożycia posiłki czekają na stołach, gdzie zaprzężone w konie wozy stoją spokojnie po obu stronach alei, które normalnie, nawet o tak wczesnej porze, kipiały zgiełkiem, gwarem i wrzawą. Lecz nigdzie nie dostrzegliśmy najmniejszego nawet śladu żywej duszy. Wszystkie banki były otwarte i opustoszałe, w Dzielnicy Religijnej wciąż słabo łopotały na wietrze wywieszane tam flagi, a gigantyczne szczury włóczyły się po dziedzińcach miasta. Nigdzie jednak nie byliśmy w stanie wypatrzeć najmniejszego choćby śladu żywej duszy. Nawet wszelki grzyb, będący naszym dopustem bożym, zupełnie rozpułnął się w powietrzu. Bez zwłoki przeszukaliśmy publiczne łaźnie, spichlerze, portyki, szkoły - nie odnajdując tam nikogo. Gdy dotarliśmy do Pałacu Kappana, ten również świecił pustkami - nie zastaliśmy tam ani kappanessy, ani choćby najmniejszego śladu po kimś ze świty dworskiej. Kappan otwarcie zapłakał wtedy na oczach swych towarzyszy, lecz mimo wszystko wylewane przez niego łzy spływały po twarzy znieruchomiałej w wyrazie oznaczającym tylko jedno - wojnę. Nie był jedynym mężczyzną, któremu nie pozostało nic poza łzami, gdyż wkrótce stało się jasne, że poznikały również nasze żony i dzieci, całe rodziny, pozostawiając po sobie multum śladów dowodzących ich istnienia, przynajmniej mieliśmy więc pewność, że

---

przyczyną jego śmierci niemal w przededniu sześćdziesiątych siódmych urodzin, kiedy to, mimo iż ubezwłasnowolniony i niezdolny do działań (czego powody już wkrótce staną się dla nas jasne), uparł się, by na specjalnie wytresowanym koniu wyruszyć w ferwor walki z Skamoo, którzy nadciągnęli z terenów ogarniętych wieczną zmarzliną i zaatakowali Morrow. Aquelus nawet nie zauważył giganta z północy, który powalił go swym toporem bojowym.

nie wyśniliśmy sobie naszego przeszłego życia, że tamci żyli naprawdę, a tylko nie było ich już w tym mieście... Tak więc zrozpaczony, ograbiony z wszelkiej siły, by móc zrobić cokolwiek, jakoś wystąpić przeciwko wrogowi, którego tożsamość wciąż nie była mu znana, kappan usiadł na stopniach pałacu, skąd przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w otaczające go miasto... Wreszcie jeden z rozesłanych wcześniej ludzi wrócił z wiadomością dotyczącą pewnych znalezisk na dawnym ołtarzu szarych kapeluszy. Słyszac taką wiadomość, kappan poprawił swój płaszcz, stał łyzy z twarzy, by następnie dobyć miecza i pospieszyć we wskazanym kierunku. Kiedy tak podążaliśmy za nim ulicami miasta, niegdyś tak tętniącego życiem, a teraz opustoszałego niczym grobowiec, nie było w naszych szeregach nikogo, kto w głębi duszy nie obawiałby się tego, co rychło mieliśmy odkryć na prastarym ołtarzu...

I cóż takiego odnaleźli na ołtarzu? Stary, wyblakły dziennik i dwie ludzkie gałki oczne, zachowane na drodze nieznanego nam obecnie procesu w bryle sześcianu z bliżej nieokreślonego przezroczystego metalu. Pomiędzy dziennikiem a sześcianami z gałkami ocznymi ktoś wyrysował krwią następujący symbol<sup>80</sup>:



Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że owo legendarne zejście, swego czasu zaślepione i zabite deskami, stało teraz otworem, i dokładnie te same schody, które kiedyś skusiły Manzikerta I, wzywały teraz Aquelusa.

Dziennik, co oczywiste, był tym, który sześćdziesiąt lat temu zniknął wraz z Samuelem Tonsure'em. Oczy zaś, nieznośnie intensywnie niebieskie, mogły należeć tylko i wyłącznie do jednej osoby - Manzikerta I. Pochodzenia krwi nikt nawet nie starał się odgadnąć, lecz Aquelus, stojący wreszcie w obliczu wroga - któż bowiem mógłby teraz wątpić w powrót szarych kapeluszy i ich związek ze zniknięciem obywateli miasta?<sup>81</sup> -

---

<sup>80</sup> Należy tu zwrócić uwagę na różnicę między powyższym symbolem a symbolem towarzyszącym przypisowi 23. Nikt do tej pory nie rozszyfrował oryginalnego symbolu, ani też znaczenia widocznego tu „rozcłonkowania”.

<sup>81</sup> Któżby inny oczywiście, jak nie Sabon. Twierdzi ona, że Menici spędzili wszystkich mieszkańców miasta w jedno miejsce (jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Ambergris), a następnie dokonali tam masakry ludności, pozostawiając dowody świadczące o zaangażowaniu w występki szarych kapeluszy. Swą niedorzeczną teorię podpira, wskazując na dalsze losy kappanessy (które już wkrótce zostaną przed wami odsłonięte).

zadziałał zdecydowanie.

Zlekceważył decyzję swych wojskowych dowódców, domagających się ataku na podziemia siłami zbrojnymi i - w obliczu niemal druzgoczącego sprzeciwu - zarządził ich całkowity odwrót na pokłady statków, gdzie mieli dopilnować i przyspieszyć rozładunek kałamarnic, by wraz z zajmowaniem pozycji obronnych na terenie miasta można było rozpocząć przetwarzanie ich mięsa, które w przeciwnym razie zgniłoby w ładowniach. Aquelus zdawał sobie sprawę, że Haragck, gdy tylko dowiedzą się o rozwoju wypadków w mieście, mogą zaatakować, a tuż za nimi mogły pojawić się również siły brueghelickie. Co gorsza, jeśli kappanessa nie zostanie odnaleziona, polityczne konsekwencje, niezależnie od siły uczucia, jakie kappan żywił do swej żony, byłyby z pewnością katastrofalne. Czy bowiem król Menitów nie winiłby Aquelusa za śmierć córki?

Kiedy już przywódcy opuścili Aquelusa i ruszyli, by wykonać jego rozkazy, ten przekazał całą swą władzę w ręce ministra finansów, niejakiego Thomasa Nadała<sup>82</sup>, po czym ogłosił, że zamierza samotnie zejść do podziemi<sup>83</sup>. Decyzja kappana przeraziła jego ministrów<sup>84</sup>. Zważywszy ich osobiste przywiązanie do władcy, obawiali się teraz - po

---

<sup>82</sup> Będącego przez wiele lat kochankiem Aquelusa. Nie wiadomo, co też o takim układzie sądziła sama Irene, wiadomo jednak, że traktowała Nadała ze znacznie większą życzliwością i szacunkiem niżli on ją. Nadal straci później z tego właśnie powodu swoją pozycję.

<sup>83</sup> Decyzja ta zdaje się mieć zarówno polityczne, jak i osobiste podstawy. Mimo iż Aquelus nigdy jej nie skomentował, ani publicznie, ani na osobności. Nadal zapisał już po śmierci kappana, że (ku jego wielkiemu utrapieniu) władca naprawdę kochał jedynie swą żonę, a ogarnięty szałem rozpaczony był przekonany, że ona wciąż żyje gdzieś pod powierzchnią ziemi. Wczytując się jednak głębiej w zapiski Nadała, dochodzimy do wniosku, że był on obłudnie nieszczerzy - gdyby bowiem Aquelus wierzył, że jego żona żyje, z pewnością pozwoliby wyruszyć na jej poszukiwania wojsku w wielkiej sile, prawda? Nie, jego poświęcenie służyło kilku innym celom: gdyby nie wyruszył, wtedy, biorąc pod uwagę panującą wśród jego ludzi złość i udrękę, ci z pewnością podjęliby własne działania, prawdopodobnie doprowadzając tym samym - o ile tylko spróbowałby im w tym po raz kolejny przeszkodzić - do obalenia jego rządów. (Co więcej, gdyby jego zejście do podziemi odebrano jako działanie podjęte w imieniu Irene być może król menicki spojrzalby na kappana o wiele życzliwszym okiem). Co najważniejsze, Aquelus gorliwie zgłębiał historię, musiał więc znać wszystkie najdrobniejsze szczegóły dotyczące zarówno masakry szarych kapeluszy, jak i podpalenia Cinsorium, które nastąpiło zaraz po niej. Bez wątplenia zinterpretował działania szarych kapeluszy jako zemstę i zrozumiał, że za wszelką cenę należy uniknąć odwetu na nich, gdyż mogłoby to doprowadzić tylko do dalszej eskalacji działań po obu stronach, trwale destabilizując miasto i uniemożliwiając rządzenie. Jeśli bowiem szare kapelusze były w stanie sprawić, że dwadzieścia pięć tysięcy ludzi rozplynęło się w powietrzu, i to bez najmniejszego śladu, to w takim razie Aquelus miał ledwie dwa wyjścia z zaistniałej sytuacji: na zawsze porzucić miasto albo jakoś się do tej sytuacji dostosować. Być może uświadomił sobie, że skoro szare kapelusze dokonały już swej zemsty, to można ich będzie teraz przekonać do negocjacji. Musiał równocześnie zdawać sobie sprawę, że koniecznie należało podjąć jakieś działania, a nawet wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, mając nadzieję na ocalenie żony, musiał czuć, że nie pozostawiono mu żadnego wyboru. Jeśli tylko Aquelus dostrzegał sytuację w tym właśnie świetle, znalazł się tedy w gronie najbardziej bezinteresownych przywódców, jakich Ambergris kiedykolwiek posiadało; taka bezinteresowność obarczona była jednak wysoką ceną.

<sup>84</sup> Gdyby jednak czytelnik, w jakimś niezbyt prawdopodobnym przypadku, zastanawiał się, jak udało się przetrwać Ciszę tak wielu ministrom, pozwolę tu sobie, Czytelniku, rozproszyć zasłonę twojej ignorancji: ministrowie wcale nie byli zwolnieni z okresowej służby wojskowej - rzeczywistości zobowiązywało ich do tego piastowane przez nich stanowisko, skoro Aquelus z determinacją dążył do tego, by jego armia była „obywatelska” w możliwie maksymalnym stopniu. Wynika więc, że przynajmniej siedmiu głównych ministrów, lub ich wysłanników, pożegłowało na połów kałamarnic.

wszystkim, co do tej pory im odebrano - również możliwości utraty swego kochanego kappana. Wielu, w tym również i Nadal, dodatkowo obawiało się ataku ze strony Brueghelitów i Haragck, lecz Aquelus odparł ich obawy, argumentując - zgodnie zresztą z prawdą - że wojskowi dowódcy z łatwością mogli poprowadzić każdą konieczną operację związaną z obroną miasta, gdyż plany na taką okoliczność sporządzono już przed wieloma miesiącami. Gdy jednak Nadal zapytał go wówczas: „Tak, to prawda, ale kto, jeśli nie Ty, będzie w stanie nas poprowadzić, stanąć na czele działań mających na celu odbudowę morale tak potężnie zdruzgotanego miasta?”, Aquelus zupełnie zignorował tę kwestię. Było bowiem oczywiste, że tylko on lub jego zaginiona małżonka mogą poprowadzić Ambergris ku odbudowie, rozwojowi i przywróceniu mu statusu żywej metropolii. Nie przeszkodziło mu to jednak w wyruszeniu w kierunku podziemi, zniknięciu w czeluści i pozostaniu w jej otchłani przez kolejne trzy dni<sup>85</sup>.

Tymczasem, gdyby nie powrót Irene zaledwie w dwanaście godzin po zejściu Aquelusa do królestwa grzybian, pozostali na powierzchni przywódcy wojskowi mogli równie dobrze jeszcze pierwszej nocy dokonać zamachu stanu. Jakimś osobliwym zrządzeniem losu, zarazem okrutnym i łaskawym, wyjechała ona z miasta na dwudniową wyprawę łowiecką po okolicznych terenach<sup>86</sup>.

W obliczu podwójnego horroru - zarówno samej Ciszy, jak i podziemnej wyprawy męża - kappanessa nie zawahała się ani przez chwilę i podjęła natychmiastowe, zdecydowane działania. Zbuntowani przywódcy - Seymour, Nialson i Rayne - zostali wtrąceni do lochów. Równocześnie wysłała szybką łódź w kierunku Morrow z wiadomością dla swego ojca, w której prosiła go o niezwłoczne wojskowe wsparcie<sup>87</sup>. Prawdopodobnie sądziła, że pomoże to położyć kres jej bieżącym problemom, ale zdecydowanie nie doceniła nastrojów panujących wśród tych, którzy powrócili do miasta. Żołnierze, strzegący przywódców buntu, uwolnili swych więźniów<sup>88</sup>, a ci poprowadzili pijany tłum, składający się głównie z kadetów

---

<sup>85</sup> Peter Copper w biografii *Aquelus* przejmująco relacjonuje nam odejście Kappana w kierunku podziemi. Opisuje to następująco: „I tak oto zszedł do podziemi, w głąb ciemności i mroku, nie jako Manzikert, którego znałem, nie dla zabawy powodującej przyspieszone bicie serca, lecz po dogłębnym rozważeniu i zastanowieniu, przekonany, że żaden inny krok nie byłby w stanie ocalić miasta przed zagładą, zarówno fizyczną, jak i duchową. Gdy pochłaniała go ciemność, a jego kroki rozbrzmiewały coraz to słabszym echem w panującym tam mroku, jego ministrowie naprawdę uwierzyli, że nigdy więcej nie ujrzą go na oczy”.

<sup>86</sup> Udała się w pobliże Badux, gdzie po dziś dzień stoją ruiny Alfar; w tamtym regionie wciąż jest pełno głuszców i dzikich świń.

<sup>87</sup> Uważała wówczas, że taka pomoc wzmocni jej wewnętrzną pozycję; nie chodziło bynajmniej o obronę miasta przed zagrożeniami z zewnątrz.

<sup>88</sup> To, że kappanessa zdołała doprowadzić do wtrącenia ich do cel, jest świadectwem nie tylko siły jej charakteru, lecz również systemu służby obywatelskiej stworzonego na terenie miasta przez Manzikerta II. Większość z tych, którym udało się przeżyć Ciszę, słysząc o decyzji kappana i zaangażowaniu grzybian, która to wiedza przedostała się do świadomości zbiorowej, ruszyła z zamiarem totalnego ataku na podziemia i to wbrew



marynarki, przed frontowe stopnie pałacu.

Znajdujący się wewnątrz ministrowie kappana poddali się panice - palili dokumenty, wypruwali złote nitki z fresków oraz przygotowywali się do porzucenia miasta pod osłoną nocy. Gdy ruszyli do kappanessy z wieściami o powstaniu i ostrzeżeniem, że również i ona jest w niebezpieczeństwie, ta odmówiła ucieczki i - jak opisuje nam to sam Nadal - odpowiedziała im tymi słowy:

Każdy człowiek narodzony do życia w świetle dnia musi wcześniej czy później umrzeć; jakże więc mogłabym pozwolić sobie na luksus takiego tchórzostwa, skoro mój mąż wziął na swe barki ciężar naszych grzechów i samotnie zszedł do podziemi? Obym nigdy ochoczo nie porzuciła kolorów Ambergris ani nie dożyła dnia, w którym nikt nie będzie się do mnie zwracał moim tytułem. Jeżeli wy, moi szlachetni ministrowie, życzyście sobie ocalić własną skórę, nic nie stanie wam na przeszkodzie, by tak uczynić. Splądrowaliście już wszelkie bogactwa tego pałacu, a z odrobiną szczęścia u boku zdolacie dotrzeć na nabrzeże, gdzie już czekają na was zacumowane łodzie. Rozważcie jednak wcześniej, czy przypadkiem, kiedy już dotrzecie w bezpieczne miejsce, nie będziecie tedy żałować, że jednak nie wybraliście śmierci. A tych, którzy przy mnie pozostaną, chcę tylko prosić o jedno - zapanujcie nad własnym strachem, gdyż jeśli tylko mamy przetrwać tę noc, odwaga nie może opuścić naszych twarzy.

Nadal i jego współpracownicy, zawstydzeni tymi słowy, nie mieli innego wyboru, jak tylko podążyć za nią ku frontowym schodom pałacu. To, co dalej nastąpiło, należy uznać za koronne osiągnięcie wczesnego ambergriańskiego nacjonalizmu - owa chwila do dziś „wywołuje dreszcze” u najmniej nawet patriotycznie nastawionych mieszkańców miasta. Ta córka Menitów, kappanessa pozbawiona swego kappana, wygłosiła tam bowiem słynne przemówienie, w którym wezwała tłum do złożenia broni „w służbie większemu dobru, ku większej chwale miasta, tak unikalnego w całej historii znanego nam świata. O ile bowiem

---

wielokrotnie powtarzanemu przez Irene zakazowi Aquelusa. Red Martigan, porucznik okrętu flagowego, poprowadził potajemną operację przeciwko grzybianom, gdy kappan wciąż jeszcze znajdował się pod powierzchnią. Zabrał ze sobą do najdalej wysuniętych na południowy wschód terenów około pół setki ludzi i wkroczył tam z nimi przez otwarty wąż jednego z kanałów. Kilka dni później przyjaciel, który nie dołączył do tej ekspedycji, zszedł na dół, by sprawdzić, co się z nimi stało. Tam, na szczycie wężu, odkrył poustawiane jedna przy drugiej głowy Red Martigana i jego pięćdziesięciu kompanów; wszystkie miały wydłubane oczy, a ich usta wykrzywił ten sam grymas „uśmiechu”, bardziej nawet przerażający niż widok odciętych głów. Na pytanie, czy akcja przeprowadzona przez Martigana zaszkodziła podziemnym wysiłkom Aquelusa, można jedynie zaproponować dosyć już popularny obecnie, a równocześnie wielce irytująco powtarzający się refren: „Niestety, nigdy się tego nie dowiemy”.

zdołamy obecnie rozstrzygnąć spór, który nas dzieli, już nigdy więcej nie będziemy musieli się niczego obawiać. Nigdy więcej”<sup>89</sup>. Następnie ze szczegółami i absolutnie zimną krwią opisała, kogo dokładnie buntownicy będą musieli zgładzić, by zyskać władzę, i roztoczyła przed nimi pełen wachlarz reperkusji, jakie spadną na tak dotkliwie podzielone Ambergris, czyli natychmiastowe unicestwienie z rąk Brueghelitów<sup>90</sup>. Dodatkowo obiecała wzmocnienie pozycji wybieranego w powszechnym głosowaniu burmistrza<sup>91</sup> oraz zapewniła, że nie będzie dążyła do działań odwetowych na całym tłumie, a jedynie na jego przywódcach.

Tak wielka była charyzma i pasja, z jaką dokonała tej magnetyzującej przemowy, że tłum odwrócił się od swych przywódców i sprowadził ich skutych łańcuchami przed jej oblicze. Był to najpoważniejszy kryzys wewnętrzny w krótkiej historii Kappaństwa, zażegnany przez Irene - córę innego państwa, w którym kultywowano heretycką (względem truffidianizmu) religię. Lud miał jeszcze długo o niej pamiętać.

Ale kappanessa i jej ludzie nie mieli nawet chwili, by zaczerpnąć oddech, bowiem już następnego dnia po zniknięciu Aquelusa siedmiotysięczna armia Haragck przekroczyła nurt Moth i zaatakowała miasto<sup>92</sup>. Siły kappanessy, mimo iż wzięte z zaskoczenia, zdołały jakoś

---

<sup>89</sup> O ile co do treści powyższej przemowy możemy zaufać Nadalowi, to nie okazuje się on już tak godnym zaufania reporterem, gdy chodzi o użyte w niej słownictwo: w jego ustach nawet słowo „nudności” staje się zarówno samochwalcze, jak i melodramatycznie nudnie. Jest on jednak naszym jedynym źródłem.

<sup>90</sup> W rzeczywistości to Haragck stanowili o wiele większe zagrożenie dla miasta.

<sup>91</sup> Dało to w rezultacie tyle, że w późniejszych latach (pod rządami słabych kappanów) burmistrz w rzeczywistości miał porównywalny z nimi status.

<sup>92</sup> Jak też udało się Haragck tak licznie przebyć rzekę? Owi żenująco słabi pływacy jakoś zdołali wykonać siedem tysięcy wypełnionych powietrzem skór zwierzęcych - nie uzyskano ich, jak głosi plotka, z ich kuców, darzonych wszak wielką estymą - i tak oto w pełni uzbrojeni, unosząc się na wodzie, pomagając sobie rękoma i nogami, przeprawili się przez nurt Moth. Płaskorzeźby, obrazujące to wydarzenie, są nielicznymi przykładami ich sztuki, jakim udało się przetrwać do naszych czasów:



Bardziej kłopotliwe pytanie brzmi jednak następująco: Skąd Haragck w ogóle wiedzieli, że mają tak szybko zaatakować? Jeszcze do niedawna pozostawało to wielką niewiadomą. Nawet wyśmienity jeździec nie dotarłby do zachodnich granic Ambergris w mniej niż trzy dni, a kolejne trzy zajęłyby mu powrót po otrzymaniu takiej wiadomości, nie wspominając już o przekroczeniu samej Moth. Pięć lat temu stolarz z leżącego na zachodzie miasta Nysimia przypadkowo wykopał z ziemi zestaw kamiennych tablic z wyrytymi legendami Haragck, wśród których znajdowała się jedna pochodząca ze wspomnianego okresu. Opowiadała ona historię nieoczekiwanie wyrosłego spod ziemi grzyba, z którego wyłonił się pewien staruszek z rozkazem ataku na ich „wschodnich wrogów”. Czyżby świadczyło to o tym, że grzybianie zdołali jakoś skoordynować atak Haragck z

powstrzymać atakujące je wojsko Haragck i utrzymać je na obszarze doków, prócz dwutysięcznego oddziału, któremu Irene pozwoliła przedrzeć się na teren miasta, słusznie rozumując, że rozerwanie atakującego je wojska na dwie części da jej własnej armii w labiryncie miejskich ulic znaczącą przewagę<sup>93</sup>.

Oskrzydlona za plecami przez ambergriańską flotę, której z niezrozumiałych przyczyn nie starała się przejąć przed ustaleniem swego lądowego czoła ataku, resztki sił Haragck miotła się w matni, gdyż pozbawieni swych kuców, zmuszeni zostali z jednej strony do bezpośredniej walki na brzegu, gdy z drugiej w tym samym czasie znaleźli się w zasięgu wypuszczanych przez marynarzy strzał i płonących wiązek chrustu. Gdyby tylko wojakom Haragck udało się podpalić okręty, wtedy najprawdopodobniej zdołaliby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, co pozwoliłoby im wygrać właśnie toczoną bitwę; miast tego starali się jednak je zdobyć (słusznie rozumując, że bez marynarki nigdy nie zdołają podbić całego regionu). Broniącym (i tak z wielkim trudem) udało się utrzymać swe pozycje przez noc. Lecz o świcie trzeciego dnia nadciągnęła awangarda kawalerii z Morrow, która przechyliła szalę zwycięstwa na stronę obrońców, którzy, zmęczeni i przygnębieni stratami, wkrótce bez wątplenia ulegliby naporowi sił Haragck.

Nim zapadł zmierzch, ocalali Haragck usiłovali bądź pokonać nurt rzeki Moth, używając w tym celu swych napompowanych skór zwierzęcych, bądź zbiec na północ lub południe. Ci, którzy popłynęli, zostali co do jednego wybici przez ambergriańską marynarkę (napompowane skóry zwierzęce nie były ani szczególnie odporne na ogień, ani nie dało się nimi dobrze manewrować<sup>94</sup>). Ci, którzy zbiegli na południe, skończyli jako niewolnicy w rękach arcyksięcia Malidu<sup>95</sup> (który z kolei sam rychło został niewolnikiem nadciągających Brueghelitów). Natomiast ci, którzy zbiegli na północ, zdołali uniknąć maszerującej na południe menickiej armii, lecz wpadli za to prosto w ręce dzikich i straszliwych Skamoo, uzbrojonych w lodowe włócznie<sup>96</sup>.

---

Ciszą? I sama Cisza była jednak ich dziełem? I czyżby tym staruszką miał się okazać nie kto inny jak sam Tonsure we własnej osobie?

<sup>93</sup> Szukając odkupienia, niektórzy z buntowniczych przywódców poprosili na czas niebezpiecznych walk ulicznych o przydział dowódcy i zasłużyli się w ten sposób wystarczająco, by - mimo iż zostali później zdegradowani i jako cywile po stanie wyjątkowym wrócili do normalnego życia - nie skonfiskowano im należących do nich ziem, a im samym nie odebrano życia.

<sup>94</sup> Co gorsza, skóry zwierząt, z których wykonali te pływaki, miały pory, dzięki czemu, przygotowane w wielkim pośpiechu, powoli przeciekały; większości udało się przetrwać pierwszą przeprawę, wielu jednak utonęło w drodze powrotnej.

<sup>95</sup> Był on owianym złą sławą kanibalem, który zasmakował w zachodnich plemionach; fakt, że Aquelus trzymał go u siebie jako zakładnika, jako bufor przeciwko Brueghelitom, być może i był polityczną koniecznością, ale i tak było to moralnie naganne.

<sup>96</sup> Jedyny powód, dla którego Haragck zdołali przegrupować się tak błyskawicznie, że już w zaledwie trzy lata później znów stanowili zagrożenie dla Ambergris, jest następujący: ich wielki generał Heckira

Tej nocy wrócił wreszcie z podziemnych czeluści Aquelus, czołgając się na dłoniach i kolanach, o włosach w kolorze nieskazitelnej bieli i pustych oczodołach<sup>97</sup>; wyrwane mu oczy nigdy, nawet pośmiertnie, nie miały do niego wrócić<sup>98</sup>. Osłabiony głodem, dręczony delirium, wkrótce miał jednak dojść do siebie pod osobistą kuratelą swej żony, będącej również znakomitym i cenionym chirurgiem. Podobnie jak Manzikert I, nigdy nie chciał rozmawiać o tym, co spotkało go w podziemiach. Lecz w przeciwieństwie do Manzikerta I, miał ponownie zasiąść na tronie i rządzić. W ciągu trzech dni jego nieobecności doszło jednak do radykalnego przesunięcia dynamiki władzy. Kappanessa udowodniła, że umie rządzić, demonstrując równocześnie nadzwyczajną wytrzymałość psychiczną w obliczu katastrofy. Również pomoc udzielona im przez menickiego króla stała się zobowiązującym długiem.

Co więcej, nie tylko Aquelus utracił swój wzrok, lecz wielu spośród jego ministrów doszło do wniosku, że jego podziemna eskapada była aktem lekkomyślności, zakrawającym

---

Błgkkydks wymknął się Skamoo wraz z siedmioma ludźmi, a jego furii nijak nie dało się powściągnąć ni ugasić (była bardziej przerażająca niż słynna furia Manzikerta I). Wreszcie dotarł do fortecy Gelis, gdzie znalazł schronienie haragecki chan Grnnc (który osobiście zarządził ziemno-lądowy atak na Ambergris). Wygłodzony, bez butów, z ubraniem w strzępach, Błgkkydks wpadł na dwór chana, rzekomo rycząc: „Nadmuchiwanie skóry zwierzęce?!”, po czym jednym machnięciem swego miecza odciął głowę władcy i niezwłocznie sam ogłosił się kolejnym chanem. Miał pozostać nim przez kolejne dwadzieścia lat, nim doszło do upadku Harageck jako polityczno-kulturowej siły. Na szczęście kolejne trzy lata spędził, wybijając co do łba i nogi wszystkich napotkanych na drodze Skamoo, gdyż to właśnie z ich rąk wycierpiał potworne katusze, a do czasu, gdy znów skupił swą uwagę na Ambergris, miasto odzyskało już na tyle swe siły, by móc się bronić. (Jedyną z długoterminowych konsekwencji nieudanego ataku Harageck na Ambergris był dotkliwy brak dobrych tłumaczy, gdyż niemal wszyscy oni zostali zabici płonącymi wiązkami chrustu, wystrzelowanymi przez obrońców miasta. Kiedy więc Błgkkydks wystosował, jako pretekst do wypowiedzenia wojny, oficjalne żądanie wzywające miasto do poddania się, towarzysząca mu groźba brzmiała następująco: „Upcham wam pod pachami usmażone jajka”, podczas gdy stare powiedzenie Harageck brzmiało: „Oderwę ci ramię od ramienia, jak gdybyś był kurczakiem”.

<sup>97</sup> Niektórzy ogrodnicy - z żadnym z nich nie konsultowałem się podczas pisania tego przewodnika turystycznego - wskazują, że tkanka gałek ocznych jest wyśmienitą pożywką pod względem składników odżywczych koniecznych dla rozwoju grzybów.

<sup>98</sup> Nie możemy zapomnieć o późnej operze Vossa Bendera, opisującej Ciszę, zatytułowanej *Król w Podziemiach*, która - mimo iż zawiera niewątpliwie idiotycznie życzeniową scenę, w której kappan własnoręcznie morduje dwa tuziny karłów przebranych za grzybian, po czym wszyscy „padają przed nim na kolana” - posiada też głęboki i rzadki urok, szczególnie w scenie, w której kappan wyczołguje się po stopniach na powierzchnię, gdzie dochodzi do niego głos Irene i z dłonią na jej policzku (przyłożoną grzbietem, a nie wnętrzem) śpiewa:

*Me palce nie oślepyły obrazu  
twego wciąż głodne  
wszak są;  
a ty, widoczna, lecz niewidziana,  
czy zniesiesz dziś widok mój?*

A ponieważ owa opera Bendera przebija popularnością każdą książkę historyczną, jego wizja stała się popularnym wyobrażeniem tamtych wydarzeń, w wygodny sposób pozwalając na ignorancję niefortunnej namiętności Nadala do kappana. Na szczęście wiele zagadnień - w tym również użycie przez Harageck pływających skór zwierzęcych - Bender uznał za niestosowne dla opery i w niskim guście, daleko poniżej centrum zainteresowania ogółu, tak więc istotom takim jak ja wciąż wolno pelzać i wić się, mruczając pod nosem swe „eksperckie” opinie.

wręcz na tchórzostwo. I już nigdy więcej nie było mu dane samodzielnie sprawować władzy; od tej pory to jego żona z poparciem własnego ojca podejmowała decyzje w sprawach obronności i dyplomacji zagranicznej. Aquelus zaś w coraz większym stopniu doglądał wszelkich projektów budowlanych, równocześnie służąc swej żonie cenną radą. Było wyjątkowo mało prawdopodobne, by Irene kiedykolwiek miała uzurpować sobie władzę<sup>99</sup>, lecz kiedy ta już wpadła w jej ręce, poddani nie chcieli pozwolić na jej abdykację<sup>100</sup>.

Problem sięgał jednak o wiele głębiej. Mimo iż Aquelus poświęcił dla narodu swój wzrok - w rzeczywistości wielu snuło spekulacje, że zawarł on potajemny pakt z grzybianami, mający na celu ocalenie miasta - ludzie przestali mu ufać i nigdy już nie udało mu się odzyskać dawnej miłości, jaką darzyli go wcześniej. Zszedł pod ziemię i przetrwał, gdy tak wielu stamtąd nie wróciło - to dla przeciętnego kadeta marynarki było wystarczającym dowodem, że kappan potajemnie spiskował z wrogiem. Krążyły opowieści o jego rzekomym potajemnym wymykaniu się z pałacu o północy by radzić z grzybianami. Powiadano, że powstał specjalny tunel łączący jego prywatne komnaty z podziemną kryjówką tamtych. I, co było już skrajnie niedorzeczne, niektórzy upierali się, że Aquelus w rzeczywistości jest stworzonym z grzyba sobowtórem, znajdującym się pod całkowitą kontrolą mieszkańców podziemi; wydał bowiem całkowity zakaz ataków na grzybian<sup>101</sup>.

Schyłek „rządów” Aquelusa naznaczony był coraz to bardziej rozpaczliwymi próbami odzyskania szacunku poddanych. Do samego końca swych dni władca wymykał się do miasta przebrany za ślepego żebraka, by wsłuchiwać się w głos rozmów pospolitych robotników czy kupców, mijających pieszo jego przygarbioną postać. Rozdawał też biednym olbrzymie sumy pieniędzy, do tego stopnia nadwerężając zawartość państwowego skarbcza, że Irene została zmuszona położyć kres jego wydatkom, te bowiem - w połączeniu z obietnicami mającymi na celu zachęcenie ludzi do osiedlenia się w Ambergris - doprowadziły do wyprzedaży praw własnościowych do gruntów oraz tytułów, co w późniejszych latach zrodziło arystokrację ziemską, będącą nieustannym źródłem zdradzieckich ambicji.

Mimo tych potknięć Aquelus zdołał częściowo odkupić swe winy, płodząc z Irene czwórkę dzieci, choć z pewnością zauważał ironię faktu, że to właśnie kappanessa stała się instrumentem jego zbawienia. Te dzieci - Mandrel, Tiphony, Cyril i Samantha - były oczkiem

---

<sup>99</sup> Mimo iż król menicki naciskał na Irene w sprawie aneksji Ambergris przez Morrow; kappanessa, szczerze oddana swemu nowo adoptowanemu narodowi, zbywała go, odwołując się do widma interwencji Kalifa, gdyby tylko Kappaństwo wpadło w menickie ręce.

<sup>100</sup> To, że Aquelus ciągle ją kochał, jest faktem niezaprzeczalnym; sam nigdy się nie żalił, mimo iż wielu jego ministrów, którzy utracili władzę w wyniku tego, co się stało, skarżyło się - i to dosyć głośno.

<sup>101</sup> Nadal, który przez cały ten czas trwał przy boku Aquelusa, donosi o pewnej rozmowie, podczas której kappan zganił go za wybuch w obliczu wielu oszczerstw: „Zostali dotknięci straszliwą stratą. Jeżeli do zagojenia tych ran muszą stworzyć mnie sobie na obraz złoczyńcy, niech tak się stanie”.

w głowie Aquelusa i jego głównym powodem do życia. Gdy Irene rządziła, on nieprzerwanie otaczał je miłością, mimo wszelkich ich potknięć, podobnie jak względem niego czynili to jego podwładni. W miłości Aquelusa do własnych dzieci Ambergrianie dostrzegali cień swej wcześniejszej miłości do władcy, a wielu wybaczyło mu nawet jego związki z grzybianami - zarzut niemal z pewnością i tak wyswany z palca.

Choć pod wieloma względami tragiczne, partnerstwo kappanessy i kappana definiowało i przeddefiniowało Ambergris - zarówno w jego granicach, jak i w szerokim świecie - przez kolejne trzydzieści lat<sup>102</sup>. Miały to być jednak lata udręki, bowiem spuścizna pozostawiona przez Ciszę przenikała miasto przez całe następne pokolenia - nagłym odebraniem Ambergris głosów dzieci, kobiet i mężczyzn pozostałych w mieście podczas pamiętnego połowu. Dla mieszkańców, którzy utracili rodziny i przyjaciół, miasto stało się jedynie gigantyczną kostnicą, i niezależnie od tego, jak próbowali się nawzajem pocieszać, z jaką niemal nadludzką siłą przykładali się do swych zadań, jak bardzo pragnęli wyprzeć i blokować wszystkie wspomnienia, już nigdy nie mieli umknąć Ciszy gdyż „Miasto - Pomnik Pamięci”, jak nazwał je kiedyś pewien poeta, osaczało ich z każdej strony<sup>103</sup>. W tych wczesnych, straszliwych latach widok mężczyzny czy kobiety wybuchających nagle nieoczekiwanym potokiem łez na środku ulicy wciąż doświadczanego głodem - mimo tak poważnego zmniejszenia populacji - miasta był dość powszechny.

Truffidiański kapłan Michael Nysman, który w rok po Ciszy przybył do Ambergris jako przedstawiciel misji humanitarnej, widząc, co zastał na miejscu, doznał wstrząsu. W liście do swej diecezji w Nicei zapisał:

Budynki są szare, a ich okna często przypominają smutne, puste oczy. Odgłos płaczu jest jedynym dźwiękiem, który niesie się po ulicy. Doprawdy, w tym mieście ziele wielka próżnia, jak gdyby jego serce przestało bić. Tutejsi mieszkańcy stali się

---

<sup>102</sup> Opowiadanie o kontynuacji linii Manzikerta, czy też o grzybianach, leży już poza zasięgiem problematyki tego eseju; wystarczy tu tylko stwierdzić, że grzybianie są wciąż z nami, a manzikerci istnieją jedynie jako skrajna grupa religijna i jako raczej wstrętny dla oka czarny pojazd, przypominający żuka wyposażonego w silnik.

<sup>103</sup> Nie należy się tu dziwić, że wielu ludzi wyniosło się i osiedliło w innych miastach, ale ich miejsce zajęli wkrótce nowi osadnicy z południowych aańskich wysp oraz ci nadciągający z leżącego na północy Morrow. Dodatkowi mieszkańcy zostali dokooptowani z szeregów plemion zamieszkujących najbliższe okolice miasta; Irene bowiem w zamian za przesiedlenie zaoferowała im pracę i zmniejszenie podatków. Napływ do miasta przedstawicieli obcych kultur - miasta, co należy zauważyć, początkowo opartego głównie na aańskich klanach - na zawsze zmienił i odmłodził miejscową kulturę... Można pytać dlaczego tak wiele osób zechciało zamieszkać - w miejscu, gdzie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi rozplynęło się w powietrzu bez śladu, ale - w rzeczywistości - rząd celowo rozsiewał dezinformację obwiniającą za straty w ludziach inwazję dokonaną przez Haragck i Brueghelitów. W ówczesnym chaosie wiele osób spoza miasta prawdopodobnie nigdy nie usłyszało nawet prawdziwej wersji wydarzeń. Inni zdecydowali się nie dawać jej wiary, gdyż nie była ona, mimo wszystko, jakąś wyjątkowo wiarygodną opowieścią. A co za tym idzie, przez kilka wieków historycy, którzy powinni wiedzieć najlepiej, publikowali fałszywe historie opisujące zarazę i wojnę domową.

posępnym i podejrzliwym typem ludzi. Ledwie uchylą ci drzwi na szparę, odrzwia wyposażone zresztą w tyle zamków, ile tylko można sobie wyobrazić... Ledwie garstka z nich przesypia więcej niż dwie, trzy godziny naraz, a i to tylko wtedy, gdy ktoś inny znajduje się w pobliżu, gotów przypilnować ich w czasie snu. Czują wstręt do piwnic i kamieniami blokują wszelki dostęp do tutejszych podziemi. Ponad ich siły jest również świadomość, że choćby najmniejszy fragment ściany może stać się ostoją dla jakiegokolwiek gatunku grzyba, natychmiast go stamtąd zdrapują, a nawet jeszcze chętniej oddają płomieniom. Mieszkańcy niektórych ulic zorganizowali nocne stráže, które uzbrojone w pochodnie przechadzają się po zmroku od domu do domu, upewniając się, że wszyscy zamknięci wewnątrz ludzie są bezpieczni. Co najbardziej upiorne i niepokojące, obywatele tego posępnego miasta zostawiają na noc zapalone latarnie, i to w tak ogromnej liczbie, że zalewają one miasto potężnym potokiem ostrego, ujawniającego każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia, światła o tak wielkiej sile, że aż trudno oprzeć się wrażeniu, iż Ambergris pochłonęły już płomienie ogni piekielnych i teraz miasto jedynie oczekuje przybycia władcy piekieł, by ten objął tu swój tron, chwycił za berło, a następnie wyszedł na spacer jego ulicami. Nie dalej jak wczoraj pewien chcący okraść zegarmistrza pechowiec został rozdarty na strzępy, nim odkryto, że nie jest szarym kapeluszem... A najgorszy ze wszystkiego jest zupełny brak dzieci; opustoszałe szkoły stoją zamknięte; promienne, niewinne głosiki dzieci nie rozbrzmiewają już w kościelnych chórach. Miasto jest bezdzietne, jałowe - zostały mu jedynie wyobrażenia o szczęśliwej przeszłości, a jakież to rodzic zdecyduje się na dziecko w mieście, które stało się schronieniem dusz tak wielu dzieci? Niektórzy rodzice - mimo iż zazwyczaj udało się przeżyć zaledwie jednemu z nich - wierzą, że ich dzieci kiedyś powrócą; są i tacy, którzy nawet starali się odblokować wyrwę przy starym ołtarzu, nim jeszcze kappanessa uczyniła z tego przestępstwo karane śmiercią. Jeszcze inni wciąż czekają w porze obiadowej przy drzwiach domów, pewni, że znajomy malutki kształt pojawi się na horyzoncie i zacznie do nich zbliżać. Na widok tego wszystkiego pęka serce. Czy takie miasto zdoła kiedykolwiek pozbyć się tego nieokreślonego dotyku okrucieństwa, melancholii, cienia pozostałego po makabrze, która wciąż unosi się tu w powietrzu? Czyżby przybrał tu namacalną formę smutek szarych kapeluszy sprzed siedmiu dekad? Obawiam się, że niewiele mogę dziś pomóc, bowiem i mnie przejął smutek tych ludzi, a co za tym idzie, nie jestem w stanie nikogo pocieszyć, mimo iż pozbawieni skrupułów księża sprzedają „dyspensy”, mające - przynajmniej według ich zapewnień - chronić właściciela przez grzybianami, dając

równocześnie odpuszczenie grzechów zaginionym.

Jakież to wnioski możemy wyciągnąć, w naszych czasach, ze stwierdzenia, że dwadzieścia pięć tysięcy ludzi najzwyczajniej w świecie rozplynęło się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie najmniejszego nawet śladu walki? Czy można w to uwierzyć? Czy gdyby dotyczyło to zaledwie tysiąca, stałoby się bardziej wiarygodne? Odpowiedź, ku jakiej niechętnie skłania się uczciwy historyk, brzmi następująco: W powyższą historię należy uwierzyć, ponieważ miała miejsce. Grzybianom nie wymknęła się ani jedna osoba. I co jeszcze bardziej bolesne, Cisza pozostawiła za sobą pokolenie znane po prostu jako Wydziedziczeni<sup>104</sup>. Miasto podźwignęło się na nogi, jak to zwykle z miastami bywa, lecz mimo wszystko co najmniej przez kolejne sto lat<sup>105</sup> owa pustka, poczucie braku i nieobecności oraz panująca cisza dawały się odczuć w najszcześniejszych historycznych chwilach i uroczystościach: podczas koronacji i ślubów kolejnych kappanów, mimo zadziwiająco wysokiego przyrostu naturalnego (i niskiej śmiertelności), a także zwycięstw zarówno nad Haragck jak i Brueghelitami. Ocaleni z pewną obawą wracali i zasiedlali swe domy, o ile w ogóle do tego dochodziło, gdziekolwiek bowiem stały one porzucone przez następne pokolenia i nikt nigdy do nich nie zaglądał, a podane jeszcze przed Ciszą obiady gniły tam na talerzach, pokrywając się pleśnią, by wreszcie zamienić w kamień<sup>106</sup>. Wśród tych, którym udało się przeżyć, panowało okrutne i mrozące krew w żyłach przekonanie, że sami sprowadzili to na swoje głowy, że wszystko, co ich spotkało, zawdzięczają masakrze szarych kapeluszy dokonanej przez Manzikerta I i podpaleniu Cinsorium przez Sophię. Trudno było nie myśleć, gdy tak obserwowało się niszczone dusza po duszy Ambergris, że mamy do czynienia z Sądem Bożym<sup>107</sup>.

Najgorszy ze wszystkiego był fakt, że nigdy nie pojawiła się najmniejsza nawet wskazówka dotycząca losu Odeszłych, a wobec braku jakiegokolwiek informacji wyobraźnia - jak zwykle w podobnych przypadkach - podsuwała ludziom najczarniejsze scenariusze.

---

<sup>104</sup> Wreszcie, biorąc pod uwagę ogrom strat, wyjątkowo niska liczba spośród tych, którym udało się ocaleć, zginęła z własnej ręki. Musimy docenić pracowitość Irene i Aquelusa - przykład, który dali, i wykonaną przez nich pracę.

<sup>105</sup> Sto lat po tych wydarzeniach grzybianie po raz pierwszy zaczęli się integrować z miejską społecznością, aczkolwiek jedynie jako zbieracze śmieci.

<sup>106</sup> Nie dalej jak pięćdziesiąt lat temu odkryto kilka domostw dokładnie w tym stanie; zabitych deskami i zabudowanych. Odkryła je zupełnie przypadkiem ekspedycja badawcza, mająca na celu instalację lamp ulicznych. Mierniczowie stwierdzili, że panująca wewnątrz atmosfera (wszechobecny kurz, skorodowane talerze i inne przybory kuchenne, suchy jak śmierć zapach, zasuszone kwiaty wystawione niczym pomnik) jest tak przygnębiająca i depresyjna, iż po krótkim rekonesansie nie tylko ponownie zabili deskami wejścia, ale też zalali je cementem mimo energicznych protestów zarówno z mojej strony, jak i ze strony różnych innych starych pierników z Ambergrzańskie Towarzystwa Historycznego.

<sup>107</sup> Jeśli tak było, to kilkakrotnie wybawicielem miasta był sam diabeł



Wkrótce w popularnych opowieściach tamtych czasów Odeszli nie tylko zostali zabici, ale i poddani okrutnym torturom, po czym jeszcze zbezczeszczone ich zwłoki.

I choć niektórzy wciąż upierali się, że to Brueghelici są odpowiedzialni za uprowadzenie dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, większość i tak była absolutnie przekonana, że winić należy grzybian. Teorie wyjaśniające, jak udało im się tego dokonać, pojawiały się o wiele częściej niż teorie starające się tłumaczyć ich motyw, ponieważ, poza zemstą, nikt nie był w stanie zgłębić problemu „dlaczego?”. Powiadano, że wszędobylski grzyb uwolnił spory, które wdychane z powietrzem uśpiły wszystkich mieszkańców miasta, po czym grzybianie wyłonili się z ukrycia i zawlekli wszystkie ciała do swych podziemi. Inni twierdzą, że spory nie tyle uśpiły Odeszłych, ile wskutek jakiejś reakcji chemicznej uformowały mgiełkę rozkładającą ludzkie ciała i mieszkańcy Ambergris powoli rozpuścili się w niebyt. Faktem jest jednak, że jeśli sami grzybianie nie zechcą się z nami podzielić prawdą, wtedy nigdy jej nie poznamy.

#### IV<sup>108</sup>

**A CO Z DZIENNIKIEM SAMUELA TONSURE’A? CO** też on zawierał po wszystkich latach, które upłynęły w międzyczasie? Aquelus roztropnie powierzył go opiece Biblioteki Pamięci Manzikerta<sup>109</sup>, wskutek czego książka znikła z pola widzenia po raz kolejny i - ukryta i znana jedynie nielicznym - nie stała się przedmiotem publicznej debaty<sup>110</sup>. Aquelus pod groźbą śmierci wymusił na bibliotekarzach przysięgę nieujawnienia zawartości dziennika, a nawet to, by w ogóle nie wspominali najmniejszym choćby słowem o jego istnieniu. Dziennik trzymano w pancernej kasetce zamkniętej na klucz, którą z kolei umieszczono w innej,

---

<sup>108</sup> W tym miejscu naszej opowieści zaczęły powoli oficjalne pożegnania z tymi z was, którzy w ogóle zauważyli moją marginalną obecność w przypisach. Tutaj bowiem ślepy mechanizm historii prześcignął mnie, powinienem więc odskoczyć mu z drogi i pozwolić toczyć się dalej do przodu, nie powstrzymując go szaleńczymi gestami mającymi na celu zwrócenie jego uwagi. Ograniczona zasięgiem naszego zainteresowania historia dobiegła już kresu, pozostała teraz jedynie kwestia pozamiatania podłóg, wyniesienia śmieci i wyłączenia światła. Tymczasem po raz kolejny zaszyję się w anonimowości mojego małego mieszkańca z widokiem na plac imienia Vossa Bendera. Taki już los historyków: blakną jeszcze szybciej niż tkanina, z której utkano ich historię, aż wreszcie przestają istnieć poza nią samą. Zapamiętaj to sobie, Czytelniku, gdy będziesz krążyć w popołudniowym tłumie Dzielnicy Religijnej z przewodnikiem trzymanym w zwiotczalej, pulchnej lewej dłoni, starając się prawą utrzymać równowagę kufla z ciemnym piwem.

<sup>109</sup> W bibliotece już wcześniej znalazło schronienie wiele unikalnych i rzadkich manuskryptów, w tym między innymi anonimowy *Słownik gry wstępnej*, *Wspomnienia Stretchera Jonesa*, kilka stron z pulpy palmowej, na których znajdowały się bazgroły grzybian, oraz sześćdziesiąt dziewięć tekstów o konserwowaniu mięsa, wykradzionych z rąk Kalifa, wielce pomocnych, gdy Manzikert II w gorączkowym szale skupował członki świętych.

<sup>110</sup> Gdy pięćdziesiąt lat później jego kopie stały się powszechnie dostępne, zmusiło to kappana Manzikerta VI do abdykacji i wstąpienia do klasztoru.

większej kasetce. Z pewnością łatwo zrozumieć, dlaczego Aquelus utrzymywał go w tajemnicy, gdyż dziennik opowiada nam historię zarówno makabryczną, jak i przerażającą. I gdyby tylko ówczesna opinia publiczna miała poznać jego zawartość, ta z pewnością nie pozostawiłaby jej żadnych powodów, by dłużej bać się samą tylko siłą wyobrażeń, a jedynie potwierdziłaby najgorsze z koszmarów. Brzemię Aquelusa i Irene dotyczące decyzji, by nie upubliczniać zawartych w dzienniku informacji, było potworne - Nadal, dopuszczony do większości tajemnic państwowych, donosi, że rządząca Ambergris para często dyskutowała zawzięcie, czy dziennik powinien zostać upubliczniony, czy nie, zazwyczaj zmieniając zdanie w połowie takich dysput.

To na naczelnego bibliotekarza, Michaela Abrasisa, spadło zadanie przestudiowania dziennika, i na nasze szczęście sporządził on notatki. Opisuje w nich dziennik jako:

...Oprawiony w skórę, wielkości piętnastu na dwadzieścia trzy centymetry, zawierający przynajmniej trzysta kartek, z których niemal wszystkie zostały zapisane. Skórę okładki zanieczyścił pewien gatunek zielonego grzyba, który jak na ironię, pomógł w zachowaniu książki; w rzeczywistości, gdybyśmy tylko spróbowali go usunąć, okładki rozpadłyby się w proch, gdyż owe zielone „gonty” były tak bardzo jednolite i tak w nich zakorzenione. Co do atramentu, przez pierwsze siedemdziesiąt pięć kartek zdaje się on czarny, łatwy do zidentyfikowania jako destylat tranu. Jednak wszystkie późniejsze fragmenty zapisano już atramentem fioletowym, który po dokładniejszym zbadaniu wydaje się produktem jakiegoś bliżej nieokreślonego gatunku grzyba. Te późniejsze sekcje wydzielają silny słodki zapach<sup>111</sup>.

Abrasis kazał wykonać kopie dziennika, które następnie potajemnie wyniósł z gmachu biblioteki - co wyjaśnia istnienie tekstu Tonsure’a poza jej murami aż po dziś dzień - lecz, niestety, oryginał został zastawiony u Kalifa podczas ostatnich tragicznych dni panowania Trilliana.

Rozważaliśmy już wczesne dni Ambergris według opisu zawartego w dzienniku Tonsure’a, ale co też przekazuje nam mnich w końcowej jego części? Pierwszy z dokonanych przez niego wpisów, zaraz po zejściu do podziemi<sup>112</sup>, brzmi następująco:

Już trzeci dzień z rzędu otacza nas coraz bardziej pogłębiająca się ciemność.

---

<sup>111</sup> Niestety Abrasis nigdy w żaden sposób nie skomentował podobieństwa charakteru odręcznego pisma w obu częściach!

<sup>112</sup> Oprócz wpisu opisującego samą masakrę i decyzję Manzikerta I o wyruszeniu pod ziemię.

Zgubiliśmy się i nie jesteśmy w stanie odnaleźć drogi powrotnej ku światłu. Kappan wciąż ściga szare kapelusze, lecz są one jedynie niezmiennie cieniami śmigającymi na tle bladej, martwej poświaty grzybów, grzybów wydzielających przenikliwy smród, wijących się, a nawet takich, które wydają się coś do nas mówić. Jedzenie już dawno nam się skończyło, teraz pozostało tylko spożywanie grzybów wyrastających w mijanych jaskiniach na takich wysokościach, że zmuszeni jesteśmy szukać pożywienia jedynie na samych ich nóżkach - wściekle świadomi istnienia soczystych skórzastych płatów hen, wysoko w górze, daleko poza naszym zasięgiem. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy obserwowani, a to wyprowadza nas jeszcze bardziej z równowagi, jedynie najsilniejsi pozostaliby obojętni. Nie możemy już dłużej pozwalać sobie na sen, chyba że na zmianę, bowiem zbyt często budzimy się i odkrywamy, że kolejni członkowie naszej wyprawy po prostu rozplynęli się w powietrzu. Wczoraj, gdy coś przebudziło mnie wcześniej niż zwykle, dostrzegłem, jak jeden z szarych kapeluszy zakradł się do nas po cichu; był już o krok od zamordowania kappana, kiedy jednak wszczałem alarm, istota uśmiechnęła się jedynie w wyjątkowo mrozący krew w żyłach sposób, a następnie wydała cykający odgłos i umknęła korytarzem. Ruszyliśmy w pogoń, ja, kappan i jeszcze dwudziestu innych ludzi. Szary kapelusz wymknął nam się jednak, a gdy wróciliśmy do obozowiska, okazało się, że znikły nie tylko wszystkie nasze zapasy, ale i kolejnych piętnaście osób, które tam zostawiliśmy. Zachowanie szarych kapeluszy pod ziemią różni się od znanego nam z powierzchni, podobnie jak noc różni się od dnia - tu na dole są szybcy i przebiegli, ledwie jesteśmy w stanie ich dostrzec, gdy przemykają tuż obok nas przed zadaniem kolejnego ciosu. Nie żywię nawet najmniejszej nadziei, że uda nam się żywcem wydostać na powierzchnię.

Opanowanie Tonsure'a jest z pewnością godne podziwu, mimo iż jego poczucie upływu czasu, co nie ulega najmniejszej wątpliwości, szwankuje - mówi bowiem, że minęły trzy dni, a wciąż przecież musi jeszcze trwać pierwsza noc, gdyż Manzikerta I odnaleziono w bibliotece zaraz kolejnego ranka<sup>113</sup>. Kolejny wpis, datowany zaledwie kilka dni później, jest bardziej chaotyczny i - jak można odnieść wrażenie - przesiąknięty wręcz namacalnym przerażeniem:

Straciliśmy kolejne trzy osoby. Zabrano je. Nocą. Teraz jest już rano. I co widzimy?

---

<sup>113</sup> Sceptyk nie mniejszy niż Sabon bez większego entuzjazmu przytacza ludowe podanie, że Manzikert I, ten, który pojawił się w bibliotece, był w rzeczywistości wytworem grzybian - jego sobowtórem stworzonym z grzyba. Teoria ta wydaje się niedorzeczna, kiedy się jej słucha, musimy jednak pamiętać, że wyjątkowo często podobne historie o sobowtórach pojawiają się jako motyw w historiach związanych z grzybianami.

Porozstawiane wokół nas niczym jakieś kukielki? Świt odślonił przed nami głowy wcześniej uprowadzonych towarzyszy. Ramkina, Starkina, Weatherby'ego i pozostałych. Wpatrujące się w nas, lecz niemogące nic widzieć. Pozbawiono je bowiem oczu. Też wiele bym dał, by nie mieć oczu. Kappan dawno już porzucił nadzieję na wszystko inne, wierzy tylko w to, że jednak uda nam się stąd uciec. Ale i to za wiele. Szansę możemy wręcz poczuć na naszych językach - powietrze czasem staje się świeższe, tak więc zdaje się nam, że znaleźliśmy się tuż-tuż przy powierzchni, lecz wciąż możemy być setki kilometrów pod ziemią! Musimy uciec tym gapiącym się na nas ślepym głowom. Jemy grzyby, ale mam wrażenie, że to one nas pochłaniają. Kappan znalazł się prawie na skraju rozpacz. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zostało nas siedmiu. W pułapce. Kappan spogląda jedynie na otaczające nas głowy. Mówi do nich, nazywa po imieniu. Nie, nie jest szalony. Nie oszalał. I tak łatwiej przychodzi mu przemierzanie otaczających nas tuneli niż mnie<sup>114</sup>. I wciąż nieustannie mamy świadomość, że jesteśmy obserwowani...

Następnie Tonsure przechodzi do opisu śmierci pozostałych towarzyszy - dwóch zatrutych grzybem, dwóch uśmierconych dmuchanymi strzałkami; kolejny traci swe życie we wkopanej w ziemię pułapce, która odcina mu nogi i więzi, by wykrwawił się na śmierć. Pozostali już tylko sam kappan i Tonsure, i w jakiś niepojęty sposób mnich zebrał się w sobie i zapisał:

Zastanawiamy się teraz, czy kiedykolwiek istniał taki sen jak życie na powierzchni ziemi, czy może to miejsce, w którym teraz przebywamy, zawsze było naszą jedyną rzeczywistością i tylko sami się mamiliśmy. Wleczeni się, powłócząc nogami, przez ciemność dławiącą cuchnącymi oparami wyziewów grzyba, niczym dwie zagubione dusze blakające się po piekle... Dzisiaj zaklinaliśmy ich na wszystko, by skończyli z nami, lecz usłyszeliśmy jedynie dochodzący z każdej strony śmiech i kątem oka dostrzeegliśmy cienie wywoływane ich przemykaniem wokół nas. Przekroczyliśmy już próg strachu. Skończcie z nami, nie zabawiajcie się dłużej. Jasno i wyraźnie widać, że tutaj, teraz, na swoim terenie, to oni są naszymi Panami i Władcami. Zeszłej nocy przeglądałem moje wcześniejsze notatki i chichotałem, czytając dowody świadczące o mojej olbrzymiej naiwności. „Zdegenerowane pozostałości niegdyś potężnej cywilizacji”. Zaprawdę, w rzeczy samej. Przebyliśmy już tyle dziwacznych i

---

<sup>114</sup> Kolejna wskazówka świadcząca o tym, że Manzikert nie był wysokim człowiekiem.

złowrogich komnat, wypełnionych nieziemskimi wręcz budynkami i widokami - jakież to cuda tam widziałem! Grzyby pulsujące w ciemności purpurową jasnością. Istoty, które można było dostrzec jedynie gdy się uśmiechały, gdyż ich skóra odbijała otoczenie. Bezokie, pulsujące ślepe salamandry, powoli chłone pozostałymi zmysłami otaczającą je martwą ciemność. Mówiące, skrzydlate zwierzęta. Bezgłowe istoty, szeptem wypowiadające nasze imiona. I wszędzie, za każdym razem, szare kapelusze. Mogliśmy je nawet oglądać podczas zabaw, tylko dlatego, że nas lekcewały i ignorowały. Tak, i widzieliśmy też pomniki wykute w litej skale, przyćmiewające budynki stawiane nad ziemią. Czego nie oddałbym za choćby jeden haust świeżego powietrza... Manzikert opiera się nawet takim fantazjom; stał się posępny, na me słowa odpowiada jedynie pochrząkiwaniami, gwizdami i mlaśnięciami... A co jeszcze bardziej niepokojące, musimy po raz wtóry iść po własnych śladach; wnioskuję więc, że ta podziemna kraina jest kilkakrotnie większa niż znajdujące się nad powierzchnią miasto, podobnie jak zanurzona część lodowca jest większa od czubka widocznego nad wodą dla marynarza.

Jasno widać, że Tonsure nigdy nie odzyskał poczucia upływu czasu, bo w tym dniu, który oznaczył jako szósty, pozbawiony oczu, lecz żywy Manzikert od pięciu dni znajdował się już na powierzchni. Być może mnich okłamywał samego siebie, że kappan wciąż trwa u jego boku, by w ten sposób umocnić własne postanowienia, lub też, czego wcale nie można wykluczyć, ortodoksyjnie skrajni historycy przynajmniej w tym jednym przypadku okazali się nazbyt konserwatywni: to nie golema kappana podrzucono na powierzchnię, to podziemny Manzikert został podmieniony. Tonsure mniej więcej po dziewiątym dniu milknie na zawsze na temat swego władcy; jego dalsze wpisy nie zawierają ani słowa o Manzikercie. Dwunastego dnia notatki stają się odrobinę pozbawione ładu i składu, a ostatni spójny wpis, nim dziennik rozpada się na niepowiązane ze sobą fragmenty, jest takim oto wzruszającym akapitem:

Idą po mnie. Są coraz bliżej. Zabawili się już wystarczająco - teraz więc mnie wykończą. Do mojej matki: Zawsze starałem się być posłusznym synem. Do mojego syna z nieprawego łoża i jego matki: Zawsze was kochałem, mimo iż nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Do świata, który kiedyś być może przeczyta me słowa: Wiedźcie, że byłem przyzwoitym człowiekiem, że nigdy nikomu nie chciałem zrobić krzywdy, że być może i żyłem mniej pobożnie, niż powinienem, jednak i tak o wiele

lepiej niż wielu innych. Boże, miej litość nad moją duszą<sup>115</sup>.

Jak się jednak wydaje, nie „wykończyli go”<sup>116</sup>, ponieważ po powyższym fragmencie następuje w dzienniku jeszcze sto pięćdziesiąt kartek kolejnych wpisów, z których pierwsze dwie wypełnione są osobliwymi bazgrołami rozdzielonymi niezbyt licznymi zrozumiałymi dygresjami<sup>117</sup>, wszystkie zaś zapisane tym dziwnym purpurowym atramentem, który Abrasis opisuje jako uzyskiwany w procesie destylacji jakiegoś gatunku grzyba. Strony, o których mowa, dostarczają obciążających dowodów, świadczących o nagłym postradaniu zmysłów przez Tonsure’a, jednakże następuje po nich sto czterdzieści osiem zupełnie zrozumiałych kartek, wypełnionych klarownymi esejami omawiającymi truffidiańskie rytuały religijne, niezbyt często przerywanych krótkim zagłębieniem w opis niewoli mnicha. Eseje okazały się wręcz bezcenne dla współczesnych truffidian, szczególnie tych pragnących zapoznać się z pochodzącą z początków ich kościoła relacją „naocznego świadka”, lecz zbiją z tropu wszystkich, którzy instynktownie chcą otrzymać odpowiedzi na wszelkie tajemnice nieodłącznie powiązane z Ciszą i samym dziennikiem. Najbardziej oczywiste pytanie, jakie pierwsze przychodzi na myśl, brzmi następująco: Dlaczego grzybianie wciąż pozwalali Tonsure’owi żyć? Na ten temat już sam mnich podsuwa nam tu pewną teorię, wyjaśnienie umieszczone w samym środku akapitu o truffidiańskim poglądzie na temat obrzezania<sup>118</sup>:

Z czasem, stopniowo, kiedy tak przychodzili do mnie raz za razem i pocierali moją łysinę, uderzyło mnie, dlaczego akurat ja zostałem oszczędzony. Otóż odpowiedź na to pytanie jest tak prosta, tak banalna, że niemal samo jej rozważanie budzi mój śmiech.

---

<sup>115</sup> Podobnie jak dziś, również wtedy dzieci z nieprawego łoża nie były wśród duchowieństwa czymś wielce wyjątkowym; o ile bardziej interesujące byłoby odkryć, gdzie też mieszkali ów syn z matką - być może w Nicei?

<sup>116</sup> Sabon lakonicznie stwierdza: „Tonsure, na przestrzeni całej historii świata, był człowiekiem kompletnym w sposób idealny. Jakże więc można ulepszać doskonałość?”

<sup>117</sup> Większość z tych bazgrołów ma naturę erotyczną i wydaje się zupełnie zbyteczna. Spośród nich następujące wersy, którym towarzyszą dopiski „d.” (mające oznaczać „dyktowane”), nie pojawiają się w żadnych znanych tekstach religijnych. Uczeń są przekonani, że są one przykładem poezji grzybian w przekładzie Tonsure’a.

*Jesteśmy starzy.  
Nie mamy zębów.  
Przełykamy, co przeżywamy.  
Przeżywamy jaskółki.  
Później wydalamy, co przeżywamy.  
Jaskółki wydalamy.  
Biedne jaskółki, już nie latają  
gdy z nas się wydostają.*

Jeśli to w rzeczywistości jest poezja grzybian, to musimy przyjąć, że albo sam tłumacz - znajdujący się w stanie wielkiego napięcia i pozbawiony niezbędnego światła - wykonał niezbyt dobrą pracę, albo sami grzybianie charakteryzowali się kolosalnym brakiem talentów poetyckich.

<sup>118</sup> Nawiasem mówiąc, są za.

Wyglądem przypominam grzyb. Szybko! Powiadomcie władze! Muszę jakoś przesłać tę wiadomość na powierzchnię - kazać im wszystkim zgolić sobie głowy! Nawet teraz z trudem powstrzymuję śmiech, co zdumiewa moich ciemżycieli i sprawia, że trudno mi czytelnie zapisywać kolejne słowa.

Dalej, upchnięte gdzieś między rozważaniami dotyczącymi boskich właściwości żab a diatrybą przeciwko małżeństwom międzygatunkowym, Tonsure dostarcza nam kolejnej obserwacji świata grzybian, który przyciąga i nęci czytelnika niczym błysk szczerego złota:

Wprowadzono mnie do przepastnej komnaty, w niczym nieprzypominającej żadnej z widzianych przeze mnie czy to na ziemi, czy pod nią. Stałem tam oto przed pałacem ze lśniącego srebra, stworzonym wyłącznie ze szczepionych ze sobą grzybów, przyozdobionych zielonobłękitnymi porostami i mchami. W powietrzu unosił się słodki, drażniący nozdrza zapach. Kolumny, podpierające budynek, były chyba zrobione z żywej tkanki, ponieważ uginały się pod dotykiem dłoni... Zza drzwi wyszła władczyni tej krainy, będąca zaledwie pospolitym piechurem w porównaniu z najpotężniejszymi szeregami, jakie można tu spotkać. Wszystko lśni nieziemskim wręcz splendorem, a suplikanci jeden po drugim podchodzą i klękają przed nią, prosząc o błogosławieństwo. Dają mi do zrozumienia, że i ja muszę podejść i pozwolić, by w geście błogosławieństwa potarła moją głowę. Muszę już ruszać. Podchodzę więc.

Inne zapiski sugerują, że Tonsure podjął przynajmniej dwie próby ucieczki, a każdą z nich zakończyła surowa kara, przy czym druga być może nawet doprowadziła do częściowego oślepienia mnicha<sup>119</sup>, a przynajmniej jedno ze zdań sugeruje, że po wszystkim potajemnie poprowadzono go ku powierzchni: „Och, cóż za torturą jest słyszeć plusk rzeki tuż pod stopami, czuć powiew nocnego wiatru na twarzy, a w nozdrzach słony zapach rzeczno-mułny, lecz niczego nie widzieć”. Jednakże równie dobrze ciemżyciele mnicha mogli mu przewiązać oczy jakąś opaską lub sam Tonsure mógł być tak stary i tak długo przebywać w ciemności, że jego oczy nie były w stanie przystosować się już do panującego na powierzchni dnia czy nocy. Skoro i tak podejrzliwie spoglądamy na dokonywaną przez niego rachubę czasu, możemy się jedynie domyślać jego wieku w momencie dokonywania

---

<sup>119</sup> Ulubiona teoria Laconda, szyderczo wyśmiewana przez Sabon. Swoją drogą, oboje winni walczyć ze sobą nieustannie na arenie historii, dłońmi pieszcząc nawzajem swe szyje, ze splątanymi na wieczność nogami, i wciąż żadne z nich nie powinno nigdy wygrać w tak subiektywnej materii jak historia teoretyczna. (Moja ulubiona teoria mówi, że Lacond i Sabon są dwoma przeciwnymi i sprzecznymi *alter ego* jednego wiecznie rozdartego wewnątrz historyka. Och, gdyby tylko mogli jakoś dojść do porozumienia).

powyższego wpisu.

Wreszcie pod sam koniec dziennika Tonsure opowiada o serii wydarzeń będących z pewnością snem na jawie, wywołanym długotrwałą dietą opartą tylko i wyłącznie na grzybach i towarzyszącymi im wyziewami:

Wwieziono mnie do stalowej komnaty i nieoczekiwanie na jednej ze ścian pojawiło się okno, w którym dostrzegłem tuż przed sobą wizję miasta, co przeraziło mnie bardziej niż cokolwiek, co dane mi było wcześniej zobaczyć. Kiedy się przyglądałem, miasto rozrosło się z samych tylko doków, zbudowanych jeszcze przez mojego biednego, utraconego kappana, do tak niebosiężnych struktur, że przysłaniały połowę nieboskłonu. Samo niebo przeszło płynnie z jasności dnia w mrok nocy, by następnie po raz kolejny, równie płynnie, zamienić się w jasność, a w szybko następujących po sobie przemianach chmury gnały po nim rozmazanym tumanem. Przyglądałem się wielkiemu pałacowi wzniesionemu w przeciągu kilku minut. Widziałem wozy poruszające się bez koni. Widziałem bitwy, toczone zarówno na terenie miasta, jak i poza jego granicami. A wreszcie, na końcu, zobaczyłem, jak rzeka wylewa z koryta, zalewając miasto, a szare kapelusze po raz kolejny wychodzą na światło dnia, by odbudować na powierzchni swoje miasto, tak by wszystko było jak poprzednio. Ten, którego nazywam moim Strażnikiem, zapłakał na ten widok, więc z pewnością i on musiał to wszystko dostrzegać, czyż nie?<sup>120</sup>

W tym właśnie miejscu rozpoczyna się ostatnie dziesięć kartek dziennika, wypełnionych tak rzeczowym i zapamiętałym opisem truffidiańskich praktyk religijnych, że jedynym, co możemy przyjąć podczas ich lektury, jest fakt, że mnich spisał te akapity jako bastion mający go chronić przed obłędem i że, w końcu, gdy skończył mu się papier i tym samym opuściła nadzieja, albo zaczął pisać po ścianach<sup>121</sup>, albo poddał się rozpacz, która i tak musiała być wręcz namacalną częścią każdego kolejnego dnia jego życia pod ziemią. W rzeczywistości ostatnie zdanie dziennika brzmi następująco: „Przesadne uwielbienie rytuału

---

<sup>120</sup> Sabon zasugerowała, że grzybianie posiadali coś na kształt *zoetrope* - „latarni magicznej”, zdolnej rzucać obrazy na ścianę. Jeśli zaś chodzi o odwołanie do „Strażnika”, nie pojawia się ono nigdzie więcej w całym tekście i co za tym idzie, jest frustrująco enigmatyczne. Wielu historyków zakończyło karierę, roztrzaskując się na skałach dziennika Tonsure'a; odrzucam więc tu pomysł osobistego podążania za fałszywym światłem podobnej latarni morskiej.

<sup>121</sup> Mam pewną słabość do teorii Laconda, według której dziennik Tonsure'a jest zaledwie wstępem do obszernego dzieła fikcji literackiej, czy też dokumentu, zapisanego na ścianach podziemnych korytarzy, oraz że owo dzieło, gdyby tylko ujrzało światło dzienne, w zupełności zrewolucjonizowałoby nasze rozumienie wszechświata. Osobiście wierzę jednak, że takie dzieło w najlepszym wypadku może zmienić nasz odbiór Laconda - bowiem jeśli by istniało, wtedy historycy działający w głównym nurcie zaakceptowałyby przynajmniej jedną z jego teorii.



może szkodzić duszy, o ile oczywiście nie mamy z nim do czynienia w czasach wielkiego kryzysu, kiedy to rytuał może ocalić ją przed rozdarciem”.

I tak oto rozplywa się w ciszy głos jednej z najbardziej wpływowych i tajemniczych postaci w całej historii Ambergris. To z powodu Tonsure’a truffidianizm i Kappaństwo już na wieki, aż po dziś dzień, stały się nierozłączne. Jego nauki natchnęły administracyjny geniusz Manzikerta II, a jego rady zarówno rozpały, jak i stopowały Manzikerta I. Aquelus z zacięciem studiował bez końca jego dziennik, być może doszukując się w nim wskazówek, w które tylko on, w związku ze swoim pobytom pod ziemią, czuł się wtajemniczony. Zarówno biografia Manzikerta I pióra Tonsure’a (wciąż nieustannie wznawiana), jak i jego dziennik pozostają jedynymi źródłami, po które mogą sięgnąć historycy w poszukiwaniu informacji zarówno o wczesnym Ambergris, jak i truffidianizmie.

Jeśli w ogóle dziennik czegokolwiek dowodzi, to faktu, że pod właściwym, znanym znad ziemi, miastem istnieje inne; że Cinsorium nigdy tak naprawdę nie zostało zniszczone, a Sophia jedynie zmiotła z powierzchni jego nadziemną manifestację. Niestety, wszelkie próby eksploracji podziemi kończyły się wielką porażką<sup>122</sup> - a już szczególnie teraz, gdy nasze miasto nie jest zarządzane centralnie, podjęcie kolejnych prób wydaje się mało prawdopodobne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że obecne władze ze względu na napływ turystów wołałyby, by tego typu tajemnice pozostały niezgłębione<sup>123</sup>. Wygląda na to, że dwie różniące się i tak skrajnie odmienne społeczności wciąż mają rozwijać się tuż obok siebie, rozdzielone jedynie kilkoma metrami cementu. W naszym naziemnym świecie możemy dostrzec czerwone flagi grzybian, jak i fakt dokładnego sprzątnięcia przez nich naszego miasta, lecz nam samym nie jest dozwolony żaden podobny wpływ na ich świat, jeśli nie liczyć odprowadzanych pod powierzchnię nieczystości.

Na przestrzeni mijających lat kilkakrotnie kwestionowano wiarygodność dziennika - po raz ostatni uczynił to wybitny pisarz Sirin, który stwierdził, że dziennik jest w rzeczywistości fałszerstwem stworzonym w oparciu o biografię Manzikerta I. Jako winnego Sirin wskazał pisarza Maxwella Glaringa, zamieszkującego w Ambergris około czterdziestu lat po Ciszy. Ów Glaring, jak upiera się Sirin, dokładnie przestudiował spisana przez Tonsure’a biografię, po czym, wykorzystując jej fragmenty w swym fałszerstwie, wymyślił

---

<sup>122</sup> Ostatnia miała miejsce trzydzieści lat temu i w jej efekcie zaginął cały zespół Ambergriańskiego Towarzystwa Historycznego wraz z dwoma psami maskotkami.

<sup>123</sup> Jeszcze do niedawna można było uczestniczyć w wycieczkach po rzekomych tunelach grzybian, prowadzonych przez niejakiego Guildo Zardoza. Po napejaniu swych turystów napitkami zaprawionymi środkami halucynogennymi Zardoz sprowadzał ich do własnej piwnicy, gdzie kilku karłów w filcowych kapeluszach już tylko czekało na sygnał, by z okrzykiem „Buuu!” wyskoczyć z ukrycia. Radny dzielnicy z ciężkim sercem zmuszony był zamknąć ten przybytek po tym, jak pewna staruszka ze Stockton dostała tam ataku serca.

podziemną część akcji, a pisząc drugą połowę użył dziwnego purpurowego atramentu otrzymanego ze słodkowodnych kałamarnic<sup>124</sup>. Po wszystkim „sprokurował” ów „dziennik” dzięki pomocy mieszkającego w dzielnicy administracyjnej przyjaciela, który rozpuścił pogłoskę, jakoby Aquelus przez pół wieku nie wypuszczał dziennika na światło dzienne. Teoria ta ma swój powab - Glaring mimo wszystko podrobił przecież szereg dokumentów państwowych, mających pomóc wspomnianemu wcześniej przyjacielowi zdefraudować pieniądze z państwowego skarbcza, a jego powieści wyjątkowo często zawierają opisy rozpaczliwie heroicznych czynów, mających sens w połączeniu z rozsądnymi fragmentami narracji, które można odnaleźć w drugiej części dziennika<sup>125</sup>. Morderstwo Glaringa, któremu podcięto gardło, gdy szedł ciemną uliczką na pocztę, niedługo po tym, jak dziennik ujrzał światło dzienne, tylko dołało oliwy do ognia dysputy.

Sabon opowiada się za alternatywną teorią, w której Glaring istotnie sfałszował pewne części dziennika, lecz były to jedynie fragmenty dotyczące mało znanych truffidiańskich praktyk religijnych<sup>126</sup> - te strony według niej wstawiono później, by zastąpić nimi kartki usunięte przez rząd ze względów bezpieczeństwa narodowego. Glaring został następnie zamordowany przez szpiegów kappana, by tajemnica została zachowana. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu ogień strawił tę część pałacu, w której mieścił się rdzeń administracyjny, niszcząc tym samym wszelkie istniejące dokumenty mogące rzucić chociażby odrobinę światła na pytanie, czy Glaring figurował na państwowej liście płac. Sabon spekuluje dalej, że sprzeniewierzenia Glaringa wyszły na jaw, a następnie użyto ich jako haka mającego zmusić pisarza do podrobienia stron dziennika, gdyż w przeciwnym razie, biorąc pod uwagę fakt, że stracił on swych bliskich podczas Ciszy, nie byłby jakoś specjalnie entuzjastycznie nastawiony do zatajenia dowodów świadczących o zaangażowaniu we wszystko grzybian<sup>127</sup>. Sabon interpretuje też kilka rozdziałów związanych z opisem niewoli Tonsure'a jako przejaw geniuszu Glaringa, świadomego faktu, że każde dobre fałszerstwo winno odnosić się do kwestii własnej autentyczności - a co za tym idzie, dziennik musi zawierać dowody

---

<sup>124</sup> Później zaprzestano jego produkcji, gdyż był zbyt rzadki.

<sup>125</sup> We fragmencie powieści *Pólnoc Munfroe'a* można przeczytać: „Działo się to w tak obrzydliwie gęstej ciemności, że światła z domu Krotcha tak dźgały mnie po oczach jakby zza grobu, aż nie byłem w stanie dłużej obstawać przy pomyśle, że wszystko będzie ze mną w porządku. Musiałbym zabić sukinsyna. Musiałbym to zrobić, nim on zabrałby się za mnie. Ponieważ gdyby on zrobił to pierwszy, wtedy nie byłoby nawet mowy, bym sam mógł mu to zrobić”.

<sup>126</sup> Z pewnością jest to możliwe - Glaring przeprowadził rozmowy z wieloma truffidiańskimi mnichami i przeczytał wiele książek na ten temat, z których ledwie garstce udało się przetrwać do naszych czasów.

<sup>127</sup> Sabon zauważa, że Glaring przechowywał kopie swoich fałszerstw. Co więcej, zauważa, że w napisanym do przyjaciela liście wspomina on o „raczej niesamowitym i nadzwyczajnym rodzaju pamiętnika, który zlecono mi podrobić”. Sabon wierzy, że to Glaring wykonał prawdziwą kopię oryginalnych stron. Jeśli tylko tak było, nikt do tej pory ich nie odnalazł.

świadczące o podziemnych doświadczeniach Tonsure'a. Lacond natomiast upiera się, że akurat te akapity są autentyczne i zostały wyrwane z prawdziwego dziennika<sup>128</sup>.

Kolejne twierdzenie, które przybrało status popularnego mitu, sugeruje, że grzybianie z ręcznie przepisali i podmienili szereg kartek, by utrzymać w tajemnicy wiele własnych sekretów, ale ta teoria jest już niedorzeczna przez sam fakt, że dziennik pozostawiono na ich ołtarzu - co potwierdza nam Nadal, ówczesny minister finansów. To doniesienie naoczego świadka obala również pierwszą z teorii Sabon, jakoby cały dziennik był fałszerstwem<sup>129</sup>.

By jeszcze bardziej wszystko skomplikować, pewna mało znana sekta truffidian zamieszkujących w zrujnowanej fortecy Zamilon, leżącej w pobliżu wschodnich granic Imperium Kalifa, upiera się, że ma w swym posiadaniu ostatnią autentyczną kartkę dziennika Tonsure'a. Zgodnie z legendą, gdy ludzie Trilliana zatrzymali się tam na noc w drodze na dwór Kalifa z dziennikiem, który - jak być może uważny czytelnik pamięta - Kappaństwo zastawiło u Kalifa, jeden z tamtejszych mnichów zakradł się nocą do pomieszczenia, w którym trzymano dziennik, skąd wykrał jego ostatnią kartkę, najwyraźniej w akcie zemsty za potajemną kradzież lewej kości udowej ich przywódcy, której jakieś trzysta lat wcześniej dokonali agenci Manzikerta II.

Pierwsza strona tej kartki stanowi kolejny fragment opisów truffidiańskich rytuałów religijnych, ale już druga zawiera następujące słowa:

Przeszliśmy przez szereg pomieszczeń. Pierwsze z nich były tak małe, że musiałem się do nich wczołgiwać, a i nawet wtedy ledwie byłem w stanie się przez nie przecisnąć, uderzając głową o sufit. Te pomieszczenia cechowała subtelność i jakość bogactwa zdobień godnych iluminowanego manuskryptu, czy też jednej z tych malarskich miniatur, tak cenionych przez Kalifa. Złoty porost pokrywał ściany zawiłymi wzorami, poprzecinany tu i ówdzie czerwonym królewskim grzybem, tworzącym gwiazdziste kształty. Co dziwne, czułem się w tych pomieszczeniach, jakby oferowana mi przez nie przestrzeń nijak nie była ograniczona i istniał w niej nadmiar powietrza, którym mogłem oddychać. Każde z dalszych pomieszczeń, do których wchodziliśmy, było większe i bardziej wyszukane od poprzedniego - jednak nigdy nie miałem wrażenia, by ktokolwiek kiedykolwiek je zamieszkiwał, mimo stojących w nich krzesel, stołów i

---

<sup>128</sup> Być może zbyt okrutnie jest myśleć, że tak jak Tonsure pragnął z całych sił wyrazić się i komunikować pod ziemią, tak również stara się być słyszany obecnie nad jej powierzchnią, gdy Glaring i jemu podobni z równie wielkim przekonaniem starają się go uciszyć.

<sup>129</sup> Mimo iż Sabon, co jest do przewidzenia, również zeznania naoczego świadka Nadala uznaje za kolejną mistyfikację Glaringa.

pólek na książki - byłem więc oślepiany zalewającym je światłem, ozdobnikami, rycinami w suficie. Wciąż jednak, co wyjątkowo dziwne, w miarę jak otaczające mnie niezwykle pokoje stawały się coraz większe, wraz z nimi narastało we mnie poczucie klaustrofobii, aż w końcu nie byłem w stanie myśleć o niczym innym... Trwało to całe dni, dopóki nie stałem się znieczulony na ich wspaniałość, a moje zmysły nie uodporniły się na poczucie klaustrofobii. Kiedy byliśmy głodni, ułamywaliśmy sobie do jedzenia kawałki ścian. Kiedy tylko byliśmy spragnieni, wyciskaliśmy oparcia krzeseł i zachłannie spijaliśmy skapujące z nich krople eliksiru. Wreszcie pchnęliśmy tak ogromne drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia, że gdy stanęła przed nami otworem przestrzeń rozciągająca się pomiędzy nimi a przeciwległą ścianą, wydawała się ona wręcz niezmierną... Wtedy, kiedy już mi się wydawało, że moja podróż nigdy nie dobiegnie końca - a z pewnością nie mogła trwać dłużej - przeprowadzono mnie przez kolejne, ostatnie drzwi (równie wielkie jak kilka pomieszczeń, które wcześniej pokonaliśmy). Po drugiej stronie panowała noc, rozświetlana jedynie niewyraźnym światłem gwiazd. Wyszliśmy na wzgórze pełne masywnych kolumn, między którymi daleko w dole dostrzegliśmy rozległe, otoczone lasem miasto, które osobliwie przypominało Cinsorium. Świeży, ożywczy podmuch wiatru napłynął spomiędzy drzew i uniósł trawę porastającą zbocze wzgórza, na którym się znajdowaliśmy. Ponad nami rozciągało się nieograniczone niczym niebo, pomyślałem więc, że oto wreszcie wyprowadzono mnie na powierzchnię, gdyż cały ten świat zdawał się rozciągać przede mną. Lecz nie, uświadomiłem sobie prawdę i zamarło mi serce, gdyż oto wysoko nade mną, zmrużywszy oczy, dostrzegłem na tle ciemności jaśniejący błękit. Były to linie dziwacznych konstelacji, które wytyczono tam za pomocą bliżej nieokreślonych instrumentów, precyzyjniejszych od wszelkich znanych nam na powierzchni. I wszystkie te gwiazdy poruszały się fosforescencyjnymi szlakami błękitu, zieleni, czerwieni, żółci i fioleto, lecz po krótkiej chwili odkryłem, że owe „gwiazdy” są w rzeczywistości olbrzymimi ómami, szybującymi w panującej tam ciemności... Moi ciemężyciele zamierzali mnie tutaj zostawić: dano mi do zrozumienia, że oto dotarłem do kresu swej wędrówki - skończyli już ze mną i jestem wolny. Dano mi kilka minut, bym mógł zapisać to w swym dzienniku, zanim mi go odbiorą. Co teraz mam czynić? Nie podążę za światłem rzucanym przez ómy, bo jest ono złudne i wędruje po nieboskłonie, gdzie tylko przyjdzie mu ochota. Ale na rozciągającej się przede mną równinie wzywa mnie w oddali niewielkie światełko. Czyste, świecące równomiernie, a ponieważ światło wciąż

oznacza dla mnie powierzchnię, zdecydowałem się ruszyć w jego kierunku z nadzieją, że po całym czasie spędzonym pod ziemią odzyskam wreszcie tak dawno utracony świat. Bardzo możliwe, że kiedy już dotrę do źródła tego światła, odnajdę tam jedynie kolejne drzwi, ale równie dobrze może tak nie będzie. Tak czy inaczej, życzę sobie, niech Bóg mnie prowadzi.

Podobne wizje bezsprzecznie wskazują na postępujące delirium Tonsure'a, lub też - co nawet bardziej prawdopodobne - dokonane przez mnichów fałszerstwo, ale można mieć pewność, patrząc na nabożną cześć, z jaką mieszkańcy Zamilonu przechowują tę kartkę, że znaczy dla nich o wiele więcej niż którakolwiek z relikwii będących w ich posiadaniu, i nawet teraz, po niezliczonych lekturach, niejednego mnicha doprowadza do łez<sup>130</sup>.

Usiłując wyciszyć wszystkie narosłe i piętrzące się kontrowersje<sup>131</sup> - sam Tonsure z powodu swej wiary w obliczu przeciwności wszak stał się świętym truffidian - dwadzieścia lat temu do ziem Kalifa, korzystając z gwarancji bezpiecznego przejazdu, ruszyła pod przewodnictwem wybitnego wykładowcy Cadimona Signala<sup>132</sup> delegacja z Religijnego Instytutu z siedzibą w Morrow<sup>133</sup>, której celem było przebadanie dziennika w miejscu jego kultu w Lepo.

Warunki, na jakich delegatom pozwolono przejrzeć dziennik, ustalono już po przyjeździe i nie mogły być surowsze: mogli bowiem badać książkę zaledwie przez godzinę, a ze względu na jej kruchy stan nie wolno im było jej dotykać; musieli pozwolić, by robił to za nich urzędnik sprawujący pieczę nad dziennikiem. Co więcej, miał on początkowo przerzucić wszystkie strony naraz, a następnie delegacja miała mieć możliwość bliższego przyjrzenia się dziesięciu wybranym przez siebie stronom, z zastrzeżeniem, że nie wolno im przekroczyć tej liczby. Już na podstawie pierwszego przekartkowania dziennika musieli podać numery stron, o które im chodziło<sup>134</sup>. Delegacja nie miała więc innego wyjścia, jak tylko zaakceptować te niedorzeczne warunki<sup>135</sup> z postanowieniem, że wykorzystają

---

<sup>130</sup> Osobiście udałem się do Zamilonu, by obejrzeć tam na własne oczy kartkę, o której mowa. Jednak na obecnym etapie mojej osobliwej kariery nie jestem skory do jakichkolwiek wypowiedzi i odmawiam wszelkich komentarzy dotyczących jej autentyczności czy ewentualnego fałszerstwa.

<sup>131</sup> Ograniczone co prawda do łamów mało znanych dzienników historycznych i religijnych broszur.

<sup>132</sup> Cadimon Signal był moim przyjacielem i w związku z tym, by uniknąć konfliktu interesów, nie będą się tu wypowiadał na temat jego niezliczonych zalet - siły charakteru, wyśmienitego poczucia humoru czy też rasowych win ukrytych w jego piwniczce.

<sup>133</sup> Nazywanego wtedy Instytutem Religijności w Morrow.

<sup>134</sup> Kalif dla własnej wygody zarządził dopisanie w dzienniku złotych numerów stron.

<sup>135</sup> Signal donosi, że oddelegowany do ich obsługi urzędnik „przerzucał strony w tak niespotykanym tempie, że z trudem w ogóle mogliśmy je dojrzeć. Gdy nadszedł czas podania numerów wybranych przez nas dziesięciu stron, najzwyczajniej wybraliśmy je na chybił trafił, a wtedy z wielką pompą i majestatem przeprowadzono przekazanie ich osobie dozorującej, która z równie wielką celebrą rozpoczęła wyszukiwanie

przekazany im czas najlepiej, jak tylko to możliwe. Po półgodzinie odkryli, że pokazywane im fragmenty książki zastąpiono zupełnie innymi kartkami, jak również i to, że charakter pisma wydawał się, przynajmniej gdzieś, odmienny niż pismo Tonsure'a (przynajmniej to, jakim została spisana biografia). Co gorsza, gdy mijała właśnie połowa czasu odgórnie przeznaczonego na ich badania, do Kalifa przez gołębia pocztowego dotarły wieści o poważnym znieważeniu go przez burmistrza Ambergris, toteż władca niezwłocznie podjął decyzję o wydaleniu delegacji z czytelnicy i odesłaniu jej w trybie natychmiastowym do granic swego państwa, gdzie bezceremonialnie zrzucano ich wraz z bagażami z końskich grzbietów. Tam też odebrano im sporządzone wcześniej notatki, tak że nie potrafili sobie przypomnieć żadnych użytecznych czy istotnych szczegółów dotyczących oglądanej strony. Do czasu, gdy piszę te słowa, nie wydano żadnej zgody na kolejne zbadanie dziennika.

Mimo iż posiadamy jego kopie, możemy już nigdy się nie dowiedzieć, dlaczego podmieniono strony w tym bezcennym pierwotnym źródle na temat dawnej historii miasta. Postawiono przed nami trudny dylemat, musimy bądź wyprzeć się całego dokumentu, bądź też, do czego sam jestem przekonany, uznać go w całości za prawdziwy. Jeśli jednak wierzycie w prawdziwość dziennika Samuela Tonsure'a, wzrośnie wasza przyjemność zarówno podczas przechadzki obok konnego pomnika Manzikerta I<sup>136</sup>, stojącego na Dziedzińcu Bankierów, jak i podczas zwiedzania ruin akweduktu na bulwarze Albumuth, które to ruiny, obok samych grzybian, są jedynym pozostałym śladem po Cinsorium, mieście poprzedzającym Ambergris<sup>137</sup>.

---

pierwszej ze stron, podczas czego zmuszono nas do wyjścia na korytarz w obawie, że moglibyśmy dostrzec którąś z innych, zakazanych stron. Zanim odnaleziono i przedstawiono nam pierwszą z wybranych przez nas stron, minęło dwadzieścia minut, a ta, poza odnośnikiem „Patrz strona następna”, okazała się pusta”.

<sup>136</sup> Jego postać jest tu należycie wysoka, mimo iż tors i nogi figury na cokole (podobnie jak sam koń - Manzikert nigdy nie widział konia na oczy, nie wspominając już o tym, by miał go kiedykolwiek dosiadać) nie należą do Manzikerta I, lecz są jedynie pozostałością po hippicznym pomniku, datującym się na okres krótkotrwałej okupacji miasta przez Kalifa - do którego ktoś, i to raczej w dosyć niedbały sposób, doczepił głowę Manzikerta. Oryginalny pomnik Manzikerta I był nieznanej nam obecnie wysokości i przedstawiał władcę w otoczeniu swych ukochanych szczurów, całość zaś odlano w brązie. Jakiś przedsiębiorczy, choć niezbyt roztropny, biurokrata sprzedał bezgłowy pomnik na złom arcyksięciu Banfours wiek przed inwazją Kalifa; ten natomiast niezwłocznie przetopił go na kulę armatnią, z czułością ochrzczonej „Staruszką Manzikertem”. Kula ta posłużyła mu następnie do wypatroszenia wnętrza samego Ambergris podczas jednego z bombardowań. Co do szczurów, są one obecnie ozdobą małego ołtarza w pobliżu akweduktu, a wyglądem przypominają bardziej koty. Dzieje się tak dlatego, że modele rzeźbiarza zdechły podczas wykonywania zlecenia i by dokończyć dzieła, artysta zmuszony był posiłkować się osobą własnego kotka pieszczoska.

<sup>137</sup> Mimo wszystko, z pewnością bardziej krzepiąca i dodająca otuchy jest wiara, że źródło, na którym oparto niniejsze dzieło, jest prawdziwe, nie zaś, że jest w całości wyłącznie monstrualnym kłamstwem, prawda? I z tą oto przyjemną myślą żegnam cię, Turysto, tym razem opuszczając już na dobre.



Czysta rzeka na pięknej łące  
Wyobrażona w jego umyśle  
W umyśle dobrego Malarza; kiedyś ją namaluje  
*Comanimi*

Jeśli byłem kimś dziwnym, i czymś dziwnym była moja sztuka,  
Z dziwności tej brała się łaska i moc,  
A jeśli ktoś przydaje dziwności swemu stylowi, tu i tam,  
Daje życie, siłę i duszę swoim obrazom...  
*Napis wyryty na życzenie Lake'a na jego pomniku przy placu Trilliana*





**ALARZE Z RZADKA POJAWIAJĄ SIĘ** znikąd w stopniu aż takim jak Martin Lake, i niewielu z nich identyfikuje się z jednym obrazem i jednym miastem w stopniu aż takim jak on. Tajemnicą pozostaje nadal, nawet dla osób, które go znały, w jakiż to niezwykle sposób Lake przeobraził się z malarza przyjemnych, lecz powierzchownych kolaży i akryli w twórcę olśniewających obrazów olejnych: fantastycznych i mrocznych, nastrojowych i figlarnych - które miały stać się kwintesencją artysty i Ambergris.

Informacje o dzieciństwie Lake'a są szczątkowe; przypominają pustą muszlę, z której ktoś wcześniej wydłubał mięso. W wieku sześciu lat zachorował na rzadkie schorzenie kości, a sytuację pogorszył jeszcze wypadek, jakiemu uległ mając dwanaście lat: został uderzony przez pojazd silnikowy manzikert. Kierowca zbiegł. Od tego czasu Lake musiał używać laski. Nie mamy żadnych informacji o jego dzieciństwie poza tym, co wiemy o rodzicach: Theodorze i Catherine Lake. Ojciec pracował jako łowca owadów niedaleko Stockton, gdzie cała rodzina żyła w niewielkim wynajętym mieszkaniu. Z niektórych uwag wygłoszonych przez Lake'a, zanim jeszcze stał się sławny, i z dyskretnych napomknien w późniejszych wywiadach można wywnioskować, że między nim a ojcem istniał jakiś konflikt, związany z miłością Lake'a do sztuki i pragnieniem ojca, by chłopiec odziedziczył po nim fach łowcy owadów.

Brak danych o matce Lake'a, a on sam nie wspominał o niej w żadnym z nielicznych wywiadów. Nieprofesjonalna historyczka Mary Sabon wystąpiła z teorią, że matka Lake'a była ludową artystką o wybitnym talencie i żarliwą wyznawczynią truffidianizmu - i to ona zaszczerpiła w Lake'u skłonności do mistycyzmu. Sabon uważa, że wspaniałe freski na ścianach truffidiańskiej katedry w Stockton to anonimowe dzieło matki Lake'a. Nikt jak dotąd nie potwierdził tej teorii, jeśli jednak okazałaby się ona prawdą, wyjaśniłaby skłonności do mistycyzmu i makabry, które przewijają się w twórczości Lake'a - oczywiście odarte z aspektu religijnego.

Jest nieomal pewne, że to matka Lake'a dawała mu pierwsze lekcje rysunku i posłała do miejscowej szkoły, oddając go na naukę do pana Shores, który niestety zmarł, zanim ktokolwiek zdołał go zapytać o prace jego najsłynniejszego (a właściwie jedyne słynnego) ucznia. Lake brał w młodości także lekcje anatomii: nawet w jego najbardziej surrealistycznych obrazach postacie są często hiperrealistyczne, jakby były na nich warstwy niewidzialnej farby, pod którą kryją się żyły, arterie, mięśnie, nerwy, ścięgna. Ta hiperrealność klóci się ze stwierdzeniem Lake'a, który głosił, że „wielki artysta połyka

otaczający go świat, aż jego własne ego wchłonie całe otoczenie”.

Lake, przybywający do Ambergris ze Stockton, był zapewne postacią pełną sprzeczności: z jednej strony doskonale zaznajomiony z czysto technicznym światem anatomii, z drugiej - dzięki matce dobrze orientujący się w rzeczach cudownych i nieracjonalnych. Ten konflikt podsycalo poczucie winy, spowodowane rezygnacją z rodzinnej profesji. Te właśnie elementy przywiózł Lake do Ambergris. W zamian otrzymał wolność zostania artystą, któremu otwarły się oczy na możliwości, jakie daje kolor.

Niewiele wiemy o trzyletnim okresie życia Lake'a w Ambergris przed zdumiewającą przemianą w jego twórczości; wiemy tylko, że zaprzyjaźnił się z kilkorgiem artystów, z którymi konkurował z różnym skutkiem, kiedy stał się sławny. Wśród nich wyróżniał się Jonathan Merrimount, który był jego przyjacielem przez całe życie. Poznał także Raffę Constance, która - jak wielu uważa - była towarzyszką życia Martina. Lake, Merrimount i Constance stali się najbardziej dostrzegalnymi i wpływowymi artystami swojej epoki. Niestety, ani Merrimount, ani Constance nie chcieli rzucić odrobiny światła na życie Lake'a - jego inspiracje, rozczarowania, triumfy. Ani też, co ważniejsze, na to, jakim cudem typowy przedstawiciel klasy średniej mógł stworzyć takie przygnębiające, jakby żywcem wyjęte z koszmaru dzieła.

Muszę więc podzielić się szczegółami dotyczącymi moich własnych doświadczeń z Lakiem. Z pewnym wahaniem pozwolę sobie ujawnić, że Lake po raz pierwszy pokazał swe dzieło w mojej Galerii Ukrytych Fascynacji, jeszcze zanim przemienił się w artystę najwyższej klasy. Choć osobiście nie było mi dane być świadkiem tej przemiany, przynajmniej mogę przedstawić czytelnikom portret rzadko pokazującego się publicznie artysty z okresu poprzedzającego jego sławę.

Lake był wysokim mężczyzną, choć wyglądał na człowieka średniego wzrostu, bo garbił się, używając laski - przez to zawsze też robił wrażenie, jakby z wielką uwagą przysłuchiwał się rozmówcy, choć w rzeczywistości był kiepskim słuchaczem i zawsze niegrzecznie przerywał, kiedy mówiło się coś, co uważał za nudne.

Rysy twarzy miał nieciekawe; równoważył je mocno zarysowany podbródek, zgrabny kształt ust i oczy, które wydawały się zmieniać kolor, ale w rzeczywistości miały intensywną, przykuwającą uwagę barwę zieleni. Jego twarz zawsze była jak broń, czy to w złości, czy w przychylnym dobrym humorze: gdy się złościł, wąskie oczy stawały się jeszcze węższe i przeszywały rozmówcę; kiedy się śmiał - cała jego twarz stawała się szersza, a niesamowite oczy zaszczycały cię swoją otwartością. Przeważnie jednak był w nastroju pomiędzy śmiechem a złością; w nastroju, który imitował styl „znękanego artysty”, równocześnie

dystansując się od samego siebie i wszelkich podobnych emocji. Lake był nieśmiały i inteligentny, przebiegły i arogancki - innymi słowy, niczym się nie różnił od innych artystów, z którymi miałam do czynienia w mojej galerii.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake 'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Pewnego wietrznego wiosennego dnia, w legendarnym mieście Ambergris, malarz Martin Lake otrzymał zaproszenie na egzekucję.

Otrzymanie takiego zaproszenia nie zwiastowało niczego przyjemnego i idąc na pocztę Martin Lake bił się z myślami. Przede wszystkim, Czerwoni i Zieloni byli w stanie wojny: niebezpieczne potyczki rozprzestrzeniały się po ulicach jak zaraza, docierając nawet do samego bulwaru Albumuth.

Lake zawsze podchodził do Czerwonych i Zielonych jak do zjawiska: z mieszaniną fascynacji i odrazy. Krótko mówiąc, Zieloni postrzegali niedawną śmierć (wielkiego) kompozytora Vossa Bendera jako tragedię, Czerwoni zaś uważali niedawną śmierć (despotycznego) kompozytora Vossa Bendera za powód do świętowania. Nazwy przyjęli od ulubionego i najbardziej znieawidzonego koloru Bendera: zielony był barwą młodości, spędzonej w lasach otaczających Morrow; czerwony - barwą sztandarów autochtonicznego ludu grzybian, który, zdaniem Bendera, porwał jego kuzyna.

Nie ulega wątpliwości, że te dwa stronnictwa polityczne miały zniknąć równie szybko, jak się pojawiły, wtedy jednak Lake nosił w prawej kieszeni flagę Zielonych, a w lewej - Czerwonych, żeby móc prawidłowo wyrazić swe polityczne sympatie zależnie od okoliczności. (Na poziomie wyłącznie słuchowym Lake sympatyzował z Czerwonymi, tylko dlatego, że Zieloni generowali nieustanny hałas, odtwarzając niezliczone utwory Bendera rankiem, w południe i wieczorem. Lake prawie nie słuchał Bendera, kiedy kompozytor jeszcze żył; nie miał ochoty zmieniać nawyków po jego śmierci).

Postawiony w obliczu takiego dylematu Lake podejrzewał, że jego przyzwyczajenie do cotygodniowego marszu na pocztę sugeruje paskudną cechę charakteru, fatalną ciekawość artystyczną. Wiedział bowiem, że nim minie dzień, na pewno wyciągnie z kieszeni niewłaściwą flagę. A mimo to kuśtykał aleją Truff, choć nawet wyglądające jak skrzepy krwi psie lilie, rosnące w schludnych rzędach wzdłuż chodnika, przypominały mu o konflikcie - jakże inaczej miałby ćwiczyć swoją chorą nogę? Poza tym, żaden wynajęty pojazd nie

dowiózłby go do miejsca przeznaczenia przez ogarniętą walką dzielnicę.

Lake skrzywił się na widok młodzieńca w stroju przybranym czerwonymi guzikami, powiewającego czerwoną flagą. Daleko za sztandarem dostrzegł zarys budynku poczty, oblanego niezwykłym światłem poranka, spływającym falami złota.

Drugi zestaw powodów z rodzaju: „Dlaczego nie powinienem był wychodzić dziś z domu” dotyczył, ku rozdrażnieniu Lake’a, samego budynku poczty. Nie żywił sympatii do jego archaicznej architektury i umiarkowany szacunek dla jego funkcji; jakość zmonopolizowanych prywatnych usług pocztowych była kiepska, a większość zleceń przesyłano kurierem. Brzydziła go także makabryczna historia budynku i stosy skrzynek pocztowych, które zwał „pudełkami na ciała”. Pudła te, ustawione jedno na drugim na całej długości i szerokości budynku, wznosiły się aż do sufitu. Niewątpliwie dzieci, które kiedyś były tam przechowywane, w drodze do nieba zatrzymały się na brzydkim, żółtym suficie i do dziś waliły o niego maleńkimi ektoplazmowymi główkami.

Budynek poczty ukazał się wreszcie w całej okazałości - wyniosły i lśniący jak potężna, wiekowa ciotka - żadna z tych cech nie miała jednak aż takiego znaczenia jak niedawna zmiana jego nazwy na „Poczta imienia Vossa Bendera”. Była to przerażająco pospieszna zmiana, jako że (wielki, despotyczny) kompozytor i polityk zmarł zaledwie trzy dni wcześniej - w plotkach pojawiały się różne przyczyny, od ataku serca do otrucia - a jego ciało zabrano w tajemnicy, by dokonać kremacji i rozsypać prochy na rzece Moth, zgodnie z życzeniem samego Bendera. (Wspomnieć należy o tym, że mała odszczepieńcza frakcja Zielonych zasypała miasto broszurami i wielkoformatowymi odezwami, w których głoszone zmartwychwstanie ich ukochanego Bendera: miał się wcielić w pierwsze dziecko urodzone po północy dokładnie za rok. Lake zastanawiał się, czy dziecko ma się urodzić wyśpiewując arie jak słowik).

Już sama zmiana nazwy przyprawiała Lake’a o zgrzytanie zębami. Dla jego zazdrosnego oka wyglądało to - wiedział, jakie to jest absurdalne, ale nie panował nad swoimi odczuciami - jakby na co trzecim budynku o jakimkolwiek znaczeniu nagle znalazło się nazwisko kompozytora, niedbale narzucone na nazwisko poprzedniego patrona, bez żadnego wyczucia perspektywy ani smaku. Nie dość, że Bender, gdy żył, był tyranem sztuki, tłamszącym całą operę i teatr, jeśli nie odpowiadały jego przestarzałej, melodramatycznej wrażliwości? Nie dość, że stał się faktycznym władcą miasta, które jednocześnie hołdowało kultowi jednostki i wzdrygało się na samą myśl o nim? Czy teraz musiał uzurpować sobie prawo do całego miasta - do każdego kamienia - które już na zawsze i na wieki miało stać się jego mauzoleum? Najwyraźniej tak. Najwyraźniej wszyscy niedługo będą się gubić w

mieście, bo każda aleja, każda ulica, każdy bulwar i zaułek będą nosić imię Bendera. Noworodkom też będzie się nadawać imię „Bender”, albo, dla odmiany, „Voss”. A całe nowe pokolenie Benderów i Vossów będzie błądzić i snuć się po mieście, które będzie szydzić z nich, podtykając im pod oczy ich imiona na każdym rogu ulic.

Cóż, podsycił własną żółć Lake; gdyby inny manzikert rozjechał mnie podczas przechodzenia przez tę oto ulicę, miałbym szczęście, gdyby wyryto moje imię choćby na nagrobku! Nic dziwnego, zżymał się kwaśno, ale nie bez satysfakcji, postukując laską w stopnie schodów przed pocztą: miejsce jego ostatecznego spoczynku miałyby napis „Kamień Nagrobny Pamięci Vossa Bendera”, z małym dopiskiem pod spodem „zajęty przez Martina Lake’a”.

W budynku poczty, przekroczywszy próg wielkiej sali, Lake podreptał w smugach przyćmionego światła rzucanego przez oddalone okna i przedstawił się urzędnikowi, mężczyźnie o twarzy przypominającej nóż. Lake nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zapamiętać jego nazwisko.

Podał mu klucz.

- Poproszę numer 7768.

Urzędnik, z nogami przyciśniętymi do biurka, uniósł wzrok znad gazety, skrzywił się i odparł:

- Jestem zajęty.

Zdumiony Lake zamarł na sekundę, po czym machnął laską i rzucił urzędnikowi klucz na biurko.

Urzędnik spojrzał na klucz, jakby ten był padłym karaluchem.

- Tak, proszę pana, to jest pański klucz. Dokładnie tak. Ależ proszę się nie krępować. Życzę powodzenia.

Zaszeleścił gazetą i uniósł ją tak, żeby nie widzieć Lake’a.

Lake wpatrzył się w palce trzymające gazetę i zastanowił się, czy w jego najnowszym zleceniu znalazłoby się miejsce na ostre rysy tego mężczyzny: mógłby unieśmiertelnić tę niechęć do niesienia pomocy, tępą jak kostki jego dłoni. Po długim, nużącym marszu przez wrogie terytorium to była już przesada.

Lake uniósł laską gazetę i spojrzał na urzędnika.

- To pan jest urzędnikiem, prawda? Czyżbym przez te wszystkie miesiące dawał panu mój klucz nieświadomy, że jest pan po prostu gorliwym wolontariuszem?

Mężczyzna zamrugnął i odłożył gazetę, prezentując krzywy uśmiech.

- Tak, jestem urzędnikiem. To jest pański klucz. A pan jest kaleką.

- W czym więc problem?

Mężczyzna obrzucił Lake'a niechętnym spojrzeniem.

- W pańskim wyglądzie. Jest pan odziany nieco... Niejednoznacznie.

Lake sam już nie wiedział, co zaskoczyło go bardziej: odpowiedź czy wygodne użycie słowa „niejednoznacznie”. Mimo to spojrzął na swoje ubranie. Nosił błękitną kamizelkę na białej koszuli, błękitne spodnie, czarne buty i także skarpetki.

Urzędnik miał na sobie strój barwy przejrzałych pomidorów.

Lake wybuchnął śmiechem. Urzędnik uśmiechnął się krzywo.

- To prawda - stwierdził. - Nie zadeklarowałem się. Muszę sobie przygotować specjalne ubrania na wyjście. Czym jestem? Rośliną czy minerałem?

Z chłodem i pustką w oczach urzędnik oznajmił pełnym rezerwy tonem:

- Chodzi o to, czy należy pan do Czerwonych, czy do Zielonych.

Lake przestał się śmiać. Ten bufon mówił poważnie. Ten sam miły, choć nieco nieobecny człowiek, którego oglądał co tydzień przez ponad dwa lata, uległ mrocznemu szaleństwu związanemu ze śmiercią Vossa Bendera. Lake patrzył na urzędnika i widział w nim kogoś obcego.

- Jestem zielony z zewnątrz - zaczął mówić Lake, powoli i spokojnie - bo jestem równie młodzieńczy jak obrana przeze mnie profesja, a czerwony od środka, gdyż jestem, jak wszyscy, zwykłym śmiertelnikiem. - Wyjął obie flagi. - Mam waszą flagę i flagę drugiej strony. - Pomachał nimi przed urzędnikiem. - Czy nie przepadałem za Vossem Benderem i z niechęcią patrzyłem na zamordyzm, jaki wprowadził w mieście? Tak. Czy życzyłem mu śmierci? Nie. Czy to nie wystarczy? Dlaczego muszę się opowiadać po którejkolwiek stronie, skoro najchętniej wrzuciłbym te wszystkie głupie flagi do rzeki Moth i stanął z boku, patrząc, jak wasze kohorty miotają się na wszystkie strony i wyrzynają? Drogi panie, jestem neutralny. - Lake pomyślał, że doskonale mu wyszło to przemówienie.

- Dlatego, proszę pana - odparł urzędnik, wstając z wysiłkiem i sięgając po klucz Lake'a - że Voss Bender żyje.

Obrzucił Lake'a spojrzeniem, od którego temu zjeżyły się włoski na głowie, po czym ruszył w stronę skrzynek, a Martin miotał się w duchu jak kiepsko rozpalona świeca. Czy całe miasto miało zamiar bawić się w te gierki? Czy następnym razem, gdy uda się do sklepu spożywczego, starsza pani za ladą zacznie się od niego domagać, by zaśpiewał arię Bendera, zanim poda mu bochenek chleba?

Urzędnik wspiał się po jednej z licznych drabinek, które opierały się o kolumny skrytek jak podniszczone drewniane owady. Lake miał nadzieję, że nie przybył tu na próżno;

niech będzie tam chociaż list od jego matki, który odsunie od niego widmo tęsknoty za domem. Jego ojciec był nadal, bez dwóch zdań, zamknięty w pancerzu milczenia, który pokrywał go jak egzozkielet cykadę.

Urzędnik wyciągnął skrzynkę Lake'a, wyjął z niej coś i zszedł na dół z kopertą w dłoni.

- Proszę - rzekł, patrząc na niego z niechęcią, i podał mu kopertę; Lake chwycił ją wraz z kluczem z niezamierzoną delikatnością, czując, jak jego gniew przechodzi w oszołomienie.

Na niezdradzającej miejsca ani czasu kasztanowej kopercie nie było adresu nadawcy ani jego własnego adresu. Jeszcze bardziej tajemniczy był fakt, że nie było tam również śladu znaczka pocztowego, co mogło oznaczać tylko to, że ktoś doręczył ją osobiście. Na odwrocie Lake odkrył dziwną pieczęć, odcisniętą w pomarańczowym wosku, który pachniał miodem. Pieczęć przypominała maskę o kształcie sowej głowy, kiedy jednak ją odwrócił, dostrzegł, że wygląda jak ludzka twarz. Zawity wzór przypominał Lake'owi jeden z podpisów Trilliana Wielkiego Bankiera na monetach.

- Czy pan może wie, jak ten list został doręczony? - Lake już wypowiadał to zdanie, ale kiedy odwrócił się w stronę biurka, okazało się, że urzędnik znikł, pozostawiając po sobie tylko ciszę i cień wielkiej sali, stęchłe powietrze filtrujące kurz sprzed setek lat przez miedziany połysk, otwarte drzwi jak prostokąt złotego światła.



Ograniczeni tak skromnym materiałem biograficznym, musimy teraz przejść do opisu dzieła, które STAŁO SIĘ Martinem Lakiem: *Zaproszenia na egzekucję*. Obraz ten stanowi początek groteski i kontrolowanej dzikości jego obrazów olejnych: pociągnięć szmaragdu rozcinających niebo, zwinnej, intensywnej zieleni przyglądających się okien, mszystej zieleni ścian zewnętrznych; słowem - Lake'a w najlepszym wydaniu.

Tematem obrazu jest oczywiście Poczta imienia Vossa Bendera, słusznie zaliczana do najbardziej imponujących budynków Ambergris. Jeśli wierzyć słowom Broneta Radena, uznanego krytyka sztuki, który pisze:

Cudowność nie jest taka sama dla wszystkich okresów historycznych - w jakiś nieuchwytny sposób żywi się okruciami objawienia ogólnego, z którego docierają do nas jedynie fragmenty: są to romantyczne ruiny, współczesne manekiny i wszelkie inne symbole zdolne oddziaływać na ludzką wrażliwość przez pewien czas.

Jednym z pierwszych osiągnięć Lake'a było rozbicie budynku poczty na fragmenty i odtworzenie go z „romantycznych ruin” w gmach ze snu; gmach, który przez trzydzieści lat przerażał i zachwycał odwiedzających pocztę.

Uważny obserwator na pewno dostrzeże, że ściany budynku poczty na obrazach Lake'a namalowano delikatnymi, starannymi pociągnięciami pędzla, tworzącymi siatkę na tle stłumionej bieli. Po bliższym przyjrzeniu się widać, że ta biel to setki kości: czaszek, kości udowych, żeber - stłoczonych i oddanych ze wzruszającą delikatnością, która cieszy oko.

Ten sposób obrazowania na poziomie powierzchniowym na pewno stanowi symboliczny ukłon w stronę dawnej funkcji budynku. Obszerna budowla, która potem stała się Poczta imienia Vossa Bendera, została zbudowana dla kappana i jego rodziny, a następnie opuszczona po likwidacji Kappaństwa, by wreszcie zostać przekształcona w składowisko kości grzybian i miejscowych dzieci. Po jakimś czasie przestano z niej korzystać - co Lake wspinał ukazując dzięki powierzchniom ukrytym pod innymi powierzchniami: białe kolumny powoli przybierają szarozieloną barwę, wykrzywione w grymasie zaniedbane gargulce są poczerniałe, całą zaś wierzchnią warstwę budynku pokrywa pleśń i porosty.

Lake często odwiedzał budynek i musiał wiedzieć, do jakich celów używano go dawniej. Kiedy stara siedziba poczty spłonęła i jej funkcję przejęła obecna, był on nieomal opuszczoną kostnicą; opowiadano, że gdy pierwsi klienci nowej instytucji otwierali swoje skrytki, znajdowali w nich stare i dziwnie delikatne kości - kości, które Lake wplótł w osnowę budowli.

Najlepiej jednak udało się Lake'owi oddać psychiczny, czy też duchowy, charakter gmachu poczty. Znany malarz i nauczyciel Leonard Venturi ujmuje to tak:

Przyjrzyjmy się dwóm obrazom o tej samej tematyce: jeden może zostać zdegradowany do rangi ilustracji, jeśli jest zdominowany tylko przez tematykę i nie ma poza nią uzasadnienia; drugi można nazwać obrazem, jeśli tematyka zostanie całkowicie pochłonięta przez styl, który jest swoim własnym uzasadnieniem, bez względu na temat, i ma właściwą sobie wartość.

Wizja budynku poczty u Lake'a jest zdecydowanie obrazem w rozumieniu Venturiego, gdyż tematyka jest tam przefiltrowana przez tunele stylu i warstwy znaczeniowe.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.





Lake mieszkał w dzielnicy najbardziej oddalonej od doków i rzeki Moth, na wschodnim krańcu bulwaru Albumuth, gdzie arteria ta łączyła się z plątaniną burżuazyjnych uliczek, które pracowicie, a zdaniem niektórych zdradliwie, opadały do położonej niżej doliny. Okolica, zabudowana ciasnymi domami pełnymi tanich mieszkań i kafejek, roiła się od pisarzy, malarzy, architektów, aktorów i wszelkiej maści artystów. Dwa lata temu pachniała świeżością i była najmodniejsza jeśli chodzi o Nową Sztukę. Uliczne imprezy trwały do szóstej nad ranem, a niesamowite dyskusje o Nowej Sztuce trafiały na strony wpływowych dzienników i wypełniały przesycone kawą i miętą powietrze, otaczające wszystkie jadłodajnie. Teraz jednak pochlebcy i pieczeniarze złapali w żagle wiatr małego cudu i zaczęli krzepnąć w formie bezpiecznej, stabilnej „społeczności”. W końcu odór zgnilizny - gnijących idei, gnijących związków i gnijącej sztuki - wypędził prawdziwych artystów, którzy odeszli wytyczać nowe granice. Lake miał nadzieję, że kiedyś odejdzie za nimi.

Mieszkaniem Lake'a, znajdującym się na trzecim piętrze starej kamienicy przypominającej ul, zarządzała legendarna gospodyni, znana jako „Madame Tuff” albo „Madame Truff” w zależności od przekonań religijnych mówiącego. Lokal był małą kawalerką wypełnioną łososiowymi, szafranowymi i szafirowymi dziełami krzykliwej sztuki: sztalugami z okorowanych gałęzi brzozy; pustymi płótnami, domagającymi się uwagi; stołkami pochłapanymi farbą; krzesłem przyduszonym stertą koszul, które cuchnęły terpentyną - a spośród tego wszystkiego, jak obleşona wyspa, wyłaniała się jego prycza, pokryta pozwijanymi na brzegach akwarelowymi szkicami i pędzlami sztywnymi od niestaranego mycia. Wrażenie szaleńczego bałaganu sprawiało Lake'owi przyjemność; zawsze wszystko wyglądało tak jakby właśnie skończył walkę z jakimś nowym dziełem sztuki. Czasem dodawał coś do tego chaosu tuż przed przybyciem gości, ale nie oszukiwał się do tego stopnia, żeby nie śmiać się radośnie, kiedy to robił.

Wróciwszy do swego mieszkania, Lake zamknął drzwi na klucz, rzucił w kąt łaskę, zrzucił koszule z krzesła i usiadł, by przyjrzeć się listowi. Z całego pokoju patrzyły na niego twarze powycinane z różnych czasopism, czekając, aż przerobi je na kolaże do jeszcze nie zatytułowanej autobiografii napisanej w trzeciej osobie (i wydanej nakładem własnym) przez pana Dradina Kashmira. Kolaże miały wartość miesięcznego czynszu i był już spózniony z ich wykonaniem. Unikał twarzy, we wszystkich dopatrywał się grymasu ojca.

Czy w kopercie było jakieś zamówienie? Wyjął ją z kieszeni i zważył na dłoni. Nie była ciężka. Jedna kartka? W neutralnym świetle mieszkania kasztanowa koperta wyglądała na prawie czarną. Pieczęć lśniła tak pięknie, że w jego artystycznym sercu pojawił się ból na myśl o złamaniu jej. Niechętnie - palce aż omdlewały mu przy tej czynności - złamał pieczęć,

odgiął tył koperty i wyjął kawałek pergaminu przetykanego szkarłatnymi nićmi. Na pergaminie wydrukowano coś pomarańczowymi literami, a pod tekstem znajdował się symbol maski, identyczny jak na pieczęci. Lake przebiegł wzrokiem po tekście, kilkakrotnie, jakby szybkie czytanie mogło ujawnić jakieś tajemne przesłanie, ukrytą wskazówkę. Tymczasem słowa niczego nie wyjaśniły, wręcz przeciwnie:

*Zaproszenie na egzekucję*

Niniejszym zapraszamy Pana na

ul. Archmont 45

o 7: 30 wieczorem

w 25. dzień miesiąca

*Prosimy o przybycie w kostiumie*

Lake wpatrywał się w tekst. Jakaś maskarada, ale po co? Słumił w sobie impuls, by się roześmiać. Podeszedł do balkonu i otworzył drzwi, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Nagły chaos dobiegających z dołu dźwięków, szorstkich odgłosów ruchu ulicznego - pieszych, koni, pojazdów silnikowych - sprawił, że Lake poczuł spokój, doznając uczucia wspólnoty, jakby rozprawiał ze światem o tajemnicy zawartej w liście.

Przez drzwi balkonowe dostrzegł po prawej stronie barwiony na zielono skrawek doliny, na wprost zaś płonęły bielą, złotem i srebrem wieże i kopuły Dzielnicy Religijnej. Po lewej widać było czerwoną cegłę i pomarańczowy marmur kamienic.

Lake uwielbiał ten widok. Przypominał mu o tym, że udało mu się przeżyć trzy lata w mieście cieszącym się złą sławą pożeracza niewiniątek. Nie był sławny, to prawda, ale nadal żył i nie poniósł klęski. W rzeczywistości odczuwał perwersyjną przyjemność z przeciwstawiania się i opierania niezliczonym drobnym okrucieństwom miasta, gdyż wierzył, że to go hartuje. Pewnego dnia może będzie rządzić miastem, skoro na pewno ono nie rządziło nim.

A teraz to - list, który wyglądał, jakby napisało go samo miasto. Było to raczej dzieło kogoś z jego przyjaciół malarzy - Kinsky'ego, Raffe, albo tego zepsutego łajdaka, jak mu było, Sonter? Zwykły żart, może nawet robota Merrimounta? *Zaproszenie na egzekucję*. Co to może oznaczać? Chyba kiedyś czytał książkę o tym tytule, powieść autorstwa Sirina, jakoś tak? Sirin. Jego pseudonimy rozprzestrzeniały się po kartach czasopism literackich jak jakaś szalona, ale dziwnie cudowna zaraza.

Może jednak nie znaczyło to nic, a „ich” zamiarem było, by zmarnował trochę czasu i

nie był w stanie ukończyć na czas zamówionych prac.

Lake podszedł z powrotem do krzesła i usiadł. Złoty atrament był kosztowny, a koperta, gdy przyjrzał jej się bliżej, ujawniła płatki złota; również pergamin był przetykany złotymi nitkami i pachniał wodą kolońską o lekkim aromacie skórki pomarańczowej. Lake zmarszczył brwi, a jego spojrzenie błędziło po połyskliwych dachach Dzielnicy Religijnej. Koszt takiego zaproszenia przekraczał równowartość jego tygodniowych zamówień. Czy jego przyjaciele byliby skłonni wydać tyle dla żartu?

Grymas na jego twarzy pogłębił się. A może, i to byłby najlepszy dowcip ze wszystkich, list został błędnie doręczony, a nadawca użył złego adresu. Tylko że tam nie było adresu. Znów pomyślał o przyjaciółach. A może urzędnik - gdyby tak wrócić na pocztę - przypomniałby sobie, kto wsunął list przez szczelinę jego skrytki? Westchnął. To beznadziejne. Takie domysły tylko drażniły...

Przez otwarte okno balkonowe wleciał kamyk i upadł mu na kolana. Lake wzdrygnął się, po czym wstał z uśmiechem, strącając kamyk na podłogę. Podszedł do balkonu i spojrzał w dół. Stała tam Raffe i patrzyła na niego z ulicy; odważna Raffe w swoim sarkastycznym czerwono-zielonym żakiecie.

- Dobry rzut - zawołał.

Przyjrzał się jej twarzy, szukając oznak spisku; nie znalazł nawet śladu figlarności, ale uświadomił sobie, że to nic nie znaczy.

- Będziemy dziś wieczorem „Pod Cielaczkim”! - Krzyknęła Raffe. - Idziesz z nami?

Lake skinął głową.

- Idźcie. Zaraz dołączę.

Raffe uśmiechnęła się, pomachała mu i ruszyła ulicą.

Lake wycofał się w głąb pokoju, włożył list do koperty, wetknął go do wewnętrznej kieszeni i poszedł do łazienki po drugiej stronie korytarza, by odświeżyć się przed nocną rozrywką. Umył twarz i spojrzał w lustro barwy mchu, zastanawiając się, czy zaprosić też innych, czy też nie puścić pary z gęby. Wychodząc na ulicę, w ostre światło późnego popołudnia, nadal nie mógł podjąć decyzji.

Zbliżając się do kawiarni „Pod Czerwonogardłym Cielaczkim”, Lake odkrył, że jego koledzy artyści, dzięki znacznym ilościom alkoholu, uznali, iż najlepszym podejściem do wojny Czerwonych z Zielonymi jest nonszalancja. Gdy przebiegała obok nich banda Czerwonych, odziana w szkarłatne szaty ze szmatek, jego przyjaciele wstali, wyjęli czerwone flagi i pomachali nimi dumnie, jak na meczu. Lake usiadł, ignorując całe to zamieszanie, a

kiedy po chwili nadciągnęli Zieloni, towarzystwo znów wstało, tym razem z zielonymi flagami w rękach, i zawyło z aprobatą.

Lake uśmiechnął się. Raffe szturchnęła go łokciem pod żebra, zanim wróciła do rozmowy, a on pozwolił, by zapach kawy i czekolady zrobił resztę. Bolała go noga; tak czasem było, gdy był zdenerwowany, bo poza tym nie miał powodów do narzekania. Pogoda była przyjemna, nie było ani za ciepło, ani za zimno, a ciepła bryza szeleściła w gałązkach posadzonych w doniczkach drzew zindelowych o nefrytowych liściach. Drzewka tworzyły miniaturowy las dookoła stolików, tłumiąc szum rozmów, ale nie zasłaniając widoku od ulicy. Artyści siedzieli w swobodnych pozach na zdobionych żelaznych krzesłach lub opierali się o okrągłe stoliki ze szkła ujętego w czarne ramy, racząc się egzotycznymi napojami i różnymi rodzajami kawy. Właśnie zapalono latarnie, które rzucały nastrojowe światło na całą ich grupę, otoczoną listowiem i kojącym pomrukiem rozmów.

Cztery osoby siedzące obok Lake'a zaliczały się do jego najbliższych przyjaciół: byli to Raffe, Sonter, Kinsky i Merrimount. Reszta zmieniała się równie często jak cegły w licznych faktoriach handlowych firmy Hoegbotton i Synowie i uznawał ją za równie jak one interesującą. W tej chwili X, Y i Z, niczym tyrani okupujący małe wyspy, zajmowali zewnętrzne stoliki, bladymi twarzami i błyszczącymi oczyma spoglądając na grupę Lake'a i przysłuchując się jednym uchem wewnętrznej rozmowie, a równocześnie próbując zachować wątpliwą autonomię.

Merrimount, przystojny mężczyzna o długich, ciemnych rzęsach i szerokich błękitnych oczach, łączył w swoich dziełach elementy malarstwa i spektaklu, a *samo jego życie* przypominało spektakl. Od czasu do czasu bywał kochankiem Lake'a, który teraz rzucił mu nonszalanckie spojrzenie, mające sugerować, że może niedługo znów będą razem. Merrimount zignorował go. Gdy się ostatnio widzieli, Lake doprowadził Merriego do płaczu. „Za dużo żądasz”- powiedział mu Merri. „Nikt nie byłby zdolny dać tyle miłości i pozostać istotą ludzką. Ani przy zdrowych zmysłach”. Raffe powiedziała Lake'owi, żeby trzymał się od Merriego z daleka, ale - musiał to przyznać z bólem - chciała przez to powiedzieć, że to on nie dość dobrze traktuje przyjaciela.

Raffe, która siedziała obok Merrimounta - jako bufor między nim a Lakiem - była wysoką kobietą o długich, czarnych włosach i ciemnych, wyrazistych brwiach, które nadawały jej jasnozielonym oczom wyraz dziwnej intensywności. Raffe i Lake zostali przyjaciółmi już w dniu, gdy Lake przybył do Ambergris. Znalazła go na bulwarze Albumuth, jak obserwował tłum z zachwyconym, niemal oniemiałym wyrazem twarzy. Pozwoliła mu mieszkać u siebie przez trzy miesiące, zanim znalazł swoje miejsce w mieście. Malowała

wielkie, skłębione pejzaże miejskie, na których ludzie wyglądali, jakby zostali uchwyceni w pół kroku w jakimś zawitym i niesłychanie wdzięcznym tańcu. Doskonale się sprzedawały, nie tylko wśród turystów.

- Czy sądzisz, że to rozsądne zachowywać się tak... Nieostrożnie? - Zwrócił się Lake do Raffe.

- A co masz na myśli, Martinie? - Raffe miała głęboki, bardzo kobiecy głos; uwielbiał jej słuchać.

Zanim Martin zdołał odpowiedzieć, siedzący po drugiej stronie Merrimounta Michael Kinsky odezwał się mocnym, ponurym i dudniącym tonem:

- On ma na myśli to, że nie boimy się ani osłów znanych jako Czerwoni, ani małp znanych jako Zieloni.

Kinsky miał żylaste ciało i rzadką rudą brodę. Tworzył mozaiki z wyrzuconych przez innych kawałków kamieni, biżuterii i innych błyskotek, znajdujących na ulicach miasta. Cieszył się poważaniem Vossa Bendera i Lake przypuszczał, że śmierć kompozytora była poważnym ciosem dla kariery Michaela, choć - jak zwykle - powściągliwe zachowanie Kinsky'ego sugerowało raczej, że to smutne wydarzenie w ogóle go nie obchodzi.

- My się niczego nie boimy - odezwała się Raffe, unosząc podbródek i biorąc się pod boki w geście udawanej brawury.

Edward Sonter, siedzący po prawej stronie Kinsky'ego, a po lewej Lake'a, zachichotał. Miał paskudną tendencję do wydawania bardzo wysokich dźwięków w momentach rozbawienia, co stanowiło jaskrawy kontrast ze zmysłowością jego sztuki. Sonter tworzył abstrakcyjną ceramikę i rzeźby o lekko obscenicznym charakterze. Jego tyczkowatą sylwetkę i twarz, która wyglądała, jakby swobodnie unosiła się nad nią para oczu, często widywano w Dzielnicy Religijnej, gdzie jego dzieła znakomicie się sprzedawały.

Chichot Sontera posłużył za sygnał: zaczęli rozmawiać o pracy, opisywać fortune i niefortunne wydarzenia dnia. Tym razem mieli nieciekawy temat do rozmowy: nieznanego Lake'owi właściciela galerii, który sprzedawał powierzchnię wystawową w zamian za usługi seksualne. Lake zamówił kawę z czekoladową zakąską i słuchał bez entuzjazmu.

Wyczuwał znajome nuty ukrytego napięcia, każdy z artystów próbował bowiem wywęszyć coś na temat swoich kolegów - cwaniaki, o płonących oczach, gotowe zabić, żeby tylko ich własne cwaniackie ego mogło zapłonąć jak najjaśniej. To napięcie zniszczyło już niejedną rozmowę, zastępując ją nagłą ciszą pełną podszytej zazdrością nienawiści. Takie okrutne i niszczące milczenie pożarło już niejednego artystę. Lake osobiście lubił to napięcie, gdyż rzadko skupiało się ono wokół niego; był zdecydowanie najmniej widowiskowym

członkiem wewnętrznego kręgu, dopuszczonym tam dzięki władzy, jaką zapewniał patronat Raffe. Teraz jednak poczuł zupełnie inny rodzaj napięcia, skupiający się wokół listu, który spoczywał w wewnętrznej kieszeni na piersi jak drugie serce i nie dawał o sobie zapomnieć.

Cienie pociemniały, przechodząc we wczesny zmierzch, a łagodne światło latarni na urokliwie zdobionych słupach z brązu dawało odpór nocy. Podsycona winem rozmowa stała się w uszach Lake'a kusząco anonimowa, jak to często ma miejsce w towarzystwie ludzi, z którymi dobrze się czujemy, więc Lake nigdy nie był w stanie zapamiętać, co kto dokładnie powiedział ani za jakim stanowiskiem się opowiadał. Zastanawiał się później, czy oni w ogóle coś mówili, czy też po prostu siedzieli, milcząc pięknie, a cała rozmowa miała miejsce w jego głowie, między Martinem a Lakiem.

Spędził trochę czasu na rozmyślaniu o przyjemnościach, jakie mogłoby dać pogodzenie się z Merrim - czerpaniu cudowności z jego doskonałych ust i krępego, żyłastego ciała. Lake nie mógł jednak zapomnieć o liście. To uczucie i narastająca nuda sprawiły, że próbował skierować rozmowę na bardziej aktualne tematy.

- Słyszałem, że Zieloni wypruwają niewinnym ludziom flaki niedaleko doków, zaraz koło Albumuth. Jeśli krwawią na czerwono, uznają ich za zwolenników Vossa Bendera, jeśli zaś na zielono, napastnicy przepraszają za kłopot i próbują ich opatrzyć. Oczywiście, jeśli krwawią na zielono, pewnie i tak wylądują w kolumbarium.

- Próbujesz przyprawić nas o obrzydzenie?

- Nie byłbym zaskoczony, gdyby to była prawda - to mi pasuje do samego Bendera, samozwańczego Dyktatora Sztuki, z naciskiem na „Dyktatora”. Wszyscy wiemy, że był geniuszem, ale ludzie cieszą się, że już nie żyje... Chyba że są Zielonymi z nożem w garści.

- Bardzo zabawne.

- Pewnie, to rzadkie zjawisko, żeby jeden artysta zdominował tak całkowicie życie kulturalne miasta...

- Że nie wspomnę o polityce...

(- A tak w ogóle, kto zaczął tę hecę z Czerwonymi i Zielonymi?)

- I żeby tyle się o nim mówiło, w tylu kawiarniach...

(- Zaczęło się od kłótni na temat wartości muzyki Bendera między dwoma profesorami muzykologii na ulicy Trotten. Wojnę o muzykę powinni wszczynać muzycy; jak już wiesz, o co chodzi, słuchaj, na litość boską!)

- Właśnie, że nie wspomnę o polityce. Czy to przypadkiem nie jest ostrzeżenie dla nas wszystkich, że sztuka i polityka są jak olej i woda? Można to skomentować...

- ...Olej i woda? To teraz wiem, czemu zajmujesz się malarstwem.

- Sprytnie.

- ...Mówię, że można to skomentować jeśli jest się zmuszonym, ale chyba nie trzeba brać w tym udziału?

- A jak nie Bender, to jakiś biurokrata biznesmen w rodzaju Trilliana Wielkiego Bankiera. Nazywa się jak reklama, a nie przywódca. Pewnie, Merrimount, w każdym przypadku mamy pecha. A może miasto mogłoby się rządzić samo?

- Och, jak dotąd doskonale sobie radziło...

- Odbiegliśmy od tematu. Znowu, do licha?

- Ach, ale wy dwoje nie dostrzegacie, że w rzeczywistości to namiętny związek odbiorców z jego sztuką - fakt, że ludzie stawiają znak równości między operami a człowiekiem, wywołał ten kryzys!

- To zależy. Chyba jego śmierć spowodowała kryzys?

W tej chwili przebiegła grupa Zielonych. Lake, Merrimount, Kinsky i Sonter z pełną zaciekawienia mieszaniną szyderstwa i pijackiego zapału wyjęli zielone flagi. Raffe wstała i krzyczała za nimi:

- On nie żyje! On nie żyje! On nie żyje!

Twarz jej płonęła, włosy miała szaleńczo splątane.

Ostatni z Zielonych odwrócił się na dźwięk głosu Raffe; w świetle lamp jego twarz wyglądała złowieszczo blado. Lake dostrzegł, że jego dłonie ociekają czerwienią. Zmusił Raffe, by usiadła.

- Bądź cicho, proszę!

Mężczyzna omiółł spojrzeniem stół, po czym pobiegł za swoimi towarzyszami i znikł z pola widzenia.

- Cóż, to nie jest takie oczywiste.

- Szpiedzy są wszędzie.

- Tak, znalazłam jednego dziś rano w swoim nosie, kiedy go dmuchałam.

- Szpiega czy nos?

Zaśmiali się, a jakiś głos spoza wewnętrznego kręgu, stłumiony przez gęsty żywopłot, podsunął:

- To wcale nie jest pewne, że Bender nie żyje. Zieloni twierdzą, że wcale nie umarł.

- Ach, tak.

Wewnętrzny krąg zręcznie przywłaszczył sobie temat, jakby nieuprzejmym gestem zatrzaskał ciężkie drzwi przed zewnętrznym.

- Tak, on żyje.

- ...Albo nie żyje i wraca za dwa tygodnie, tylko trochę nadgniły. Nadpsuty?
- ...Nikt tak naprawdę nie widział ciała.
- ...Wszystko w najgłębszej tajemnicy. Nawet jego przyjaciele nie widzieli...
- ...A to, co obserwujemy, to zamach stanu.
- Kuku!
- Zamknij się, dumny gołębiu.
- Nie jestem gołębiem, tylko kukułką.
- Bender nienawidził gołębi.
- Kukułek też.
- Sam był kukułką.
- Buu! Buu!
- Jakby ktokolwiek rządził tym miastem...
- O wielka płodna matko matrono, Ambergris, skąpana we krwi odmian pod przeżartym gangreną księżycem... - Melodramatycznego zaśpiewu Merrimounta nie dało się z niczym pomylić, aż Lake się ocknął.
- Czy ja dobrze usłyszałem? - Potarł uszy. - Czy to poezja? Wiersz? Ale coś tam zgrzyta: „skąpana w krwi odmian”? Drogi marny męcie, chyba miałeś na myśli krew dziewic? Każdy z nas kiedyś był dziewicą - albo miał dziewicę.
- Z galerii dał się usłyszeć szum aprobaty.
- Nie, nie, mój drogi Martinie - zaproponował Merrimount. - Protestuję. *Odmian*. Skąpana we krwi wielu *odmian* samej siebie.
- Ładnie z tego wybrnąłeś - to znów Sonter - ale i tak myślę, że jesteś zalany.
- W tym momencie Sonter i Merrimount wypadli z orbity konwersacji i utknęli na orbicie „odmiana czy dziewica”, która ze wszelkim prawdopodobieństwem miała trwać do chwili, aż słońce i księżyc spadną z nieba. Lake poczuł ukłucie zazdrości.
- Kinsky zaprezentował uprzejmy uśmiech, wstał, przeciągnął się i rzekł:
- Idę do opery. Ktoś do mnie dołączy?
- Rozległo się chóralne buczenie, a po nim seria „odwal się!”
- Kinsky z poczerwieniałą twarzą rzucił na stół kilka monet na poczet rachunku i pokuśtykał ulicą, pełną pieszych mimo późnej pory.
- Uważaj na Czerwonych, Zielonych i Niebieskich - krzyknęła za nim Raffé.
- Niebieskich? - Spytał Lake, zwracając się do Raffé.
- Tak. Niebieskich. Wiecie, tych smutnych.
- Zabawne. Myślę, że Niebiescy są bardziej niebezpieczni niż Zieloni i Czerwoni



razem wzięci.

- Tylko Brązowi są bardziej śmiercionośni.

Lake zaśmiał się i spojrział za Kinskym.

- On nie mówi poważnie, prawda?

- Nie - odparła Raffe. - W końcu, jeśli już dojdzie do masakry, wydarzy się ona w operze. Sądziłam, że właściciele teatru, czy nawet aktorzy, mają więcej rozsądku i zamkną interes na co najmniej miesiąc.

- Nie powinniśmy wyjechać z miasta? Tylko my dwoje - może jeszcze Merrimount?

Raffe prychnęła.

- Może jeszcze Merrimount? A dokąd mielibyśmy jechać? Do Morrow? Na dwór Kalifa? Wybacz, ale jestem splukana.

Lake uśmiechnął się pogardliwie.

- I dlatego tyle pijesz.

- Serio. Chcesz powiedzieć, że zapłacisz za podróż?

- Nie. Jestem tak samo biedny jak ty. - Lake odstawił drinka. - Ale chętnie zapłacę za jakąś radę.

- Jedz zdrową żywność. Wywiązuź się ze zleceń na czas. Nie pozwól, żeby Merrimount znowu się wpakował w twoje życie.

- Nie, nie za taką radę. Bardziej konkretną.

- Jaką?

Pochylił się i rzekł cicho:

- Dostałaś kiedyś anonimowe zamówienie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W twojej skrytce pocztowej pojawia się list. Nie ma na nim adresu nadawcy. Nie ma na nim twojego adresu. Widać, że wysłał go ktoś bogaty. Zaprasza cię, żebyś poszła w jakieś miejsce o określonej godzinie. Wspomina coś o maskaradzie.

Raffe zmarszczyła brwi, kąciki jej oczu zwężyły się.

- Ty mówisz serio.

- Tak.

- Nigdy nie dostałam takiego zlecenia. A ty coś takiego dostałeś?

- Tak, chyba tak. To znaczy, myślę, że to zamówienie.

- Mogę zobaczyć ten list?

Lake spojrział na nią, swoją najbliższą przyjaciółkę, i poczuł, że nie chce jej

pokazywać tej koperty.

- Nie mam go przy sobie.

- Kłamiesz!

Już miał zaprotestować, ale wzięła go za rękę i rzekła:

- Nie, wszystko w porządku. Rozumiem. Nie chcę cię wykorzystywać. Ale pewnie mam ci doradzić, czy powinieneś tam pójść?

Lake pokiwał głową, zbyt zawstydzony, by unieść wzrok.

- To może być coś przełomowego - jakiś poważny kolekcjoner, który woli pozostać anonimowy, dopóki nie zdominuje rynku oryginałami Lake'a. Albo...

Zamilkła na sekundę i Lake poczuł, jak ogarnia go wielki strach; strach, który zawładnął nim tak szybko, bo w gruncie rzeczy był w nim przez cały czas.

- Albo...?

- To może być... Specjalne zamówienie.

- Co?!

- Nie wiesz, co mam na myśli?

Pociągnął łyk swojego drinka, odstawił go, po czym odparł:

- Tak, muszę się do tego przyznać. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Martinie, jakiś ty naiwny - mruknęła i pochyliła się, by zburzyć mu włosy.

Zaczerwienił się, cofnął.

- Po prostu mi powiedz, Raffe.

Raffe uśmiechnęła się.

- Martinie, czasem ktoś bogaty wpada na bardzo sprośny pomysł w sprośnym kątku swojego mózgu - a tym sprośnym pomysłem jest posiadanie spersonalizowanej pornografii autorstwa jakiegoś artysty.

- Ach, tak.

- Ale pewnie to nic takiego - odparła szybko. - A jeśli nawet tak, to takie rzeczy są bardzo opłacalne. Może nawet pozwoliłoby ci to na jakiś czas przestać zajmować się zamówieniami i zająć się własną pracą.

- Więc powinienem iść?

- Sukces można odnieść tylko ponosząc ryzyko. I to właśnie chciałam ci powiedzieć, Martinie, jako przyjaciółka i koleżanka malarka...

- Co? Co takiego chciałaś mi powiedzieć?

Lake doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Sonter i Merrimount zamilkli.

Objęła jego dłoń swoimi.

- Twoje dzieła są małe.

- Masz na myśli miniatury? - Spytał z niedowierzaniem.

- Nie. Jak mam to powiedzieć? Małe, jeśli chodzi o ambicję. Twoja sztuka stąpa ostrożnie. Musisz robić większe kroki. Musisz malować większy świat.

Lake spojrział na chmury, próbując nie dać po sobie poznać, że zraniło go to tak bardzo, aż poczuł ucisk w gardle:

- Mówisz, że jestem do niczego?

- Mówię, że to ty nie uważasz, abyś nadawał się do czegoś. Bo niby dlaczego miałbyś marnować taki talent na powierzchowne portrety i tysiące mniejszych dyscyplin, które nie wymagają żadnej dyscypliny. Ty, Martinie, mógłbyś zostać Vossem Benderem malarzy.

- I patrz, co się z nim stało. Nie żyje.

- Martinie!

Nagle poczuł się bardzo, bardzo zmęczony, bardzo, bardzo... Mały. Miał wrażenie, że słyszy w głowie głos swojego ojca. Jakie to niemiłe.

- W tym mieście jest coś ze światłem, czego nie mogę uchwycić w obrazach - mruknął.

- Co?

- Jakość światła jest fatalna.

- Nie rozumiem. Złościsz się na mnie?

Zdołał się słabo uśmiechnąć.

- Raffe, jak mógłbym się na ciebie złościć? Muszę tylko mieć trochę czasu, żeby przemyśleć to, co powiedziałaś. To nie jest coś, na co mogę się po prostu zgodzić. Ale tymczasem skorzystam z twojej rady. Pójdę tam.

Twarz Raffe rozpromieniła się.

- Dobrze! A teraz odprowadź mnie do domu. Muszę się przespać.

- Merrimount będzie zazdrosny.

- Nie, nie będę - wtrącił Merrimount z miną, która była w połowie grymasem, a w połowie uśmiechem. - Chciałbyś, żebym bym.

Raffe uścisnęła Lake'owi rękę i powiedziała:

- W końcu zawsze możesz odmówić, bez względu na to, co to będzie.



Teraz, kiedy już zinterpretowaliśmy analizę Lake'a dotyczącą poczty jako budynku i

metafory, czy choć trochę zbliżyliśmy się do prawdy? Niespecjalnie. Jeśli biografia jest zbyt skromna, by mogła nam pomóc, a budynek poczty zbyt powierzchowny, musimy sięgnąć do innych źródeł - zwłaszcza pozostałych znaczących obrazów Lake'a, gdyż różnice i podobieństwa do *Zaproszenia* mogą pozwolić nam poznać prawdę.

Mozemy najpierw, możliwie najogólniej, omówić dzieła Lake'a pod względem architektury, w świetle miłości do jego adoptowanego domu. Jeśli *Zaproszenie na egzekucję* oznaczało wkroczenie Lake'a w wiek dojrzały, inaugurowało także jego fascynację Ambergris. Miasto jest często wyłącznym tematem dzieł Lake'a, a w prawie każdym przypadku owo miasto otacza, dławi lub zamyka w labiryntach ludzi goszczących na płótnach. Co więcej, miasto wykazuje prawie namacalną obecność w dziełach Lake'a, nieomal wcinając się w życie swoich obywateli.

Doskonale znany tryptyk Lake'a *Bulwar Albumuth* składa się z części, które podobno ukazują - o świcie, w południe i o zmierzchu - scenę z okna czwartego piętra, wychodzącego na kilka kamienic, za którymi widać kopuły Dzielnicy Religijnej (błyszczą dzięki transcendentnej jakości światła, które Lake po raz pierwszy udoskonalił w *Zaproszeniu na egzekucję*). Obraz sprawia dość mocne wrażenie; dominują w nim żółć, czerwień i zieleń. Wszystkie trzy części łączy obecność tej samej sylwetki ludzkiej: otoczonego przechodniami mężczyzny, stojącego na bulwarze w dole. Początkowo architektura wygląda na identyczną, gdy się jednak przyjrzeć dokładniej, ulice i budynki wyraźnie zmieniają się lub przekształcają w każdej scenie, w każdej kolejnej części, coraz bardziej osaczając mężczyznę. O zmierzchu budynki mają gargulce tam, gdzie wcześniej przysiadły gołębice. Ludzie otaczający mężczyznę stają się coraz bardziej podobni do zwierząt, mają kanciaste głowy, nosy przypominające ryje, wystające kły. Wyraz ich twarzy jest coraz bardziej smutny, melancholijny i tragiczny, a mężczyzna, obojętny, zwrócony do nas plecami, nie ma twarzy. Same fasady budynków, na odmiannę, przypominają smutne twarze, więc ogólne wrażenie wywierane przez ostatnią część tryptyku jest niesamowite... A mimo to - co dziwne - czujemy smutek nie z powodu ludzi czy budynków, ale tego jednego niezmiennego elementu serii: pozbawionego twarzy mężczyzny, który stoi tyłem do widza.

Tam i wtedy właśnie Lake rozstaje się z takimi symbolistami jak wielki Darcimbaldo - odrzuca pomysł zatracenia się w groteskowych budowlach czy rezygnacji z samego siebie na rzecz wyobraźni bez zwyczajnych ograniczeń. Wszystkie jego dojrzałe obrazy emanują poczuciem porażającego smutku. Ten smutek wynosi jego dzieła ponad dzieła współczesnych mu malarzy i jest źródłem głębi, tajemnicy, która tak przykuwa uwagę publiczności.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*,

autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Lake przespał smacznie całą bezksiężycową część nocy, kiedy jednak się obudził, księżyc rozkwitał bezwstydnie jasny i czerwony przy jego łóżku. Pościel w purpurowym świetle zmieniła się w fioletowe fale pomiętej tkaniny, śliskiej od jego potu. Poczul zapach krwi. Ściany nią cuchnęły. Na tle otwartych drzwi balkonowych stał jakiś mężczyzna, prawie całkowicie przyćmiony światłem księżyca za plecami. Lake nie widział jego twarzy. Usiadł na łóżku.

- Merrimount? Merrimount? W końcu do mnie wróciłeś.

Mężczyzna stał z boku łóżka. Lake stał przy drzwiach balkonowych. Mężczyzna leżał na łóżku. Lake wykonał krok w kierunku balkonu. Teraz mężczyzna i Lake stali w niewielkiej odległości od siebie na środku pokoju, a półmroczny, skąpany we krwi księżyc świecił za Lakiem i dyszał mu w kark szkarłatnym oddechem. Lake nadal nie widział twarzy mężczyzny. Stał dokładnie naprzeciwko niego i nie widział jego twarzy. Mieszkanie, zastygłe w doskonałej jaskrawości krwawiącego światła, krzyczało do niego wyrazistością detalu. Każdy włos na jego wyschniętych pędzlach ujawniał najmniejszą niedoskonałość. Każde płótno demonstrowało swoją porowatość z otępiającą szorstkością gipsu.

- Ty nie jesteś Merrimount - rzekł do mężczyzny.

Oczy tamtego były zamknięte.

Lake stał twarzą do księżyca. Mężczyzna stał twarzą do Lake'a.

Otworzył oczy i wystrzeliło z nich czerwonobrazowe światło księżyca, tworząc dwie rdzawe plamki na szyi Lake'a, jakby te oczy były tylko dziurami przechodzącymi na wylot przez czaszkę mężczyzny.

Księżyc zgasł. Światło nadal sączyło się z oczu mężczyzny, który uśmiechnął się uśmiechem przypominającym półksiężyc, a wtedy spomiędzy zębów także zaczęło się sączyć światło.

Mężczyzna ujął lewą dłoń Lake'a, obracając ją wnętrzem do góry.

Nóż przeszył środek dłoni. Lake poczuł, jak ostrze rozpruwa skórę, wchodzi w powięź i leżący pod nią mięsień, i dalej, w ścięgna, naczynia krwionośne i nerwy. Skóra odchodziła na boki, aż cała dłoń została z niej odarta, obnażona. Dostrzegł, jak nóż rozcina mięsień od dolnego krańca więzadła pierścieniowego, a następnie poczuł, nieomal usłyszał, jak mniejsze mięśnie odpadają od kości, odcinane - sześć dla palca środkowego, trzy dla serdecznego - nóż

krążył teraz w okolicach kości promieniowej, a następnie nadgarstka, rozcinając ścięgna mięśnia prostującego, nerwy, najbardziej skrajne elementy tętnicy promieniowej i łokciowej. Lake widział wszystko: cienkie, żółte warstwy tłuszczu, biel kości przyćmioną matową czerwienią mięśni i szarość ścięgien, jakby chciano pokazać mu tę rękę w każdym detalu. Kapała z niej gęsta, ciężka krew, sącząca się ze wszystkich krańców, aż nieprzyjemne odczucie dotarło do piersi. Ból był niewyobrażalny, tak niewyobrażalny, że Lake nie próbował nawet przed nim uciec; uciekał tylko przed czerwonym spojrzeniem mężczyzny, który masakrował mu rękę, gdy on stał spokojnie, nie broniąc się. Jak żałobne zawodzenie, jak epitaforium, objęła mu się po głowie myśl: *Już nigdy nie będę malował.*

Nie mógł uciec. Nie mógł uciec.

Dłoń Lake'a zaczęła mruczeć, jęczeć...

Mężczyzna odpowiedział jej śpiewem, dziwnym, smutnym, z niezrozumiałymi słowami.

Dłoń zaczęła krzyczeć: wydawała długie, przeciągłe jęki, coraz wyższe, jakby rana zmieniła się w usta, w które mężczyzna nadal zagłębiał nóż.

Lake obudził się z krzykiem. Był cały zlany potem, prawą ręką obejmował lewy nadgarstek. Próbował uspokoić oddech, chwycił łapczywie powietrze, ale wiedział, że to nic nie da. W panice wyjrzał przez okno. Nie było tam księżycy. Nikt tam nie stał. Lake zmusił się, by spojrzeć na swoją lewą dłoń (nie zrobił nic, zupełnie nic, kiedy mężczyzna mu ją masakrował) i odkrył, że jest cała.

Nie przestał krzyczeć.



W *Zaproszeniu na egzekucję* smutek przybiera formę dwóch postaci: łowcy owadów na zewnątrz i mężczyzny widocznego w górnym oknie samego budynku poczty. (Jeśli w tym miejscu czytelnik odniesie wrażenie, że zachowałam te dwie postacie w tajemnicy, aby przedstawić je jako prawdziwe objawienie, jest to wrażenie słuszne, bo dla widza istotnie są one objawieniem: z powodu dużej liczby otaczających je szczegółów dostrzega się je zwykle na samym końcu, aż wreszcie, z racji swej intensywności, stają się *jedynymi* dostrzeganymi elementami.

Łowca owadów, w przyćmionych barwach z wyjątkiem jednej pomarańczowej iskry, biegnie po frontowych schodach z uniesioną ręką, jakby chciał odpędzić mężczyznę w oknie. Czy ta postać jest dosłownie ojcem Lake'a - tym konkretnym Łowcą Owadów? Czy też może

Lake postrzega ojca jako postać mistyczną? Z moich rozmów z Lakiem można wnioskować, że bardziej prawdopodobna jest ta druga interpretacja.

Jak jednak należy interpretować jedno wyraźnie zarysowane okno na górnej kondygnacji budynku, przez które widzimy człowieka doznającego strasznego cierpienia, z głową odrzuconą w tył, ku niebu? W jednej ręce mężczyzna trzyma list, druga jest podtrzymywana przez niewyraźny, przypominający bociana cień, przebijający ją nożem. Scena ta czerpie całą energię z widoku za oknem: zieleń promieniuje na zewnątrz z pulsujących szkarłatnych plam, które znaczą miejsca, gdzie nóż wbił się w ciało. Do uzyskania tego efektu przyczynia się jeszcze warstwowa technika nakładania olejnej farby przez Lake'a, sztuczka sprawiająca, że perspektywa tworzy się dzięki temu, iż postać istnieje równocześnie wewnątrz i na zewnątrz okna.

Choć budynek, będący miejscem tak złożonej sceny, poddaje się fantastycznej interpretacji, a być może pojawia się też opinie, że Lake odtworzył jakąś historyczną scenę w fantasmagorycznym wydaniu, postać z przebitą dłonią to jednoznacznie mężczyzna, nie dziecko ani grzybianin, a list w prawej dłoni mężczyzny sugeruje, że w budynku rzeczywiście mieści się urząd pocztowy, nie zaś kostnica (chyba że na fali czarnego humoru zostaniemy zmuszeni do przyznania, że dokonują w nim żywota nedoręczone listy).

Dalsza analiza twarzy mężczyzny ujawnia dwa niepokojące elementy: (1) jest to twarz uderzająco podobna do twarzy samego Lake'a; (2) jeśli dokładnie się jej przyjrzeć, na przykład przez szkło powiększające, dostrzega się drugi zespół rysów, prawie przezroczysty, nałożony na pierwszą twarz. Ta „maska”, której istnienie kwestionują niektórzy krytycy, naśladuje rysy pierwszej jak odcisk - z dwoma wyjątkami: mężczyzna ma zęby z odłamków szkła i w przeciwieństwie do swego odpowiednika uśmiecha się z drażniącą brutalnością. Czy jest to oblicze pozbawione twarzy mężczyzny z *Bulwaru Albumuth*? Czy jest to oblicze śmierci?

Niezależnie od zamiarów Lake'a, wszystkie te elementy łączą się, wywołując u widza - nawet u widza, który postrzega mniej widoczne elementy jedynie podświadomie - autentyczne uczucie niepokoju i przerażenia, jak również uwolnienie tego przerażenia poprzez pełen bólu, bezgłośny krzyk mężczyzny w oknie. Mężczyzna w oknie to jedyny ruch na obrazie, gdyż odchodzący pospiesznie łowca owadów, podobnie jak kości budynku poczty, należy już do przeszłości. Tylko opuszczona postać w oknie żyje, schwytana na zawsze w teraźniejszości. Ponadto, choć jest opuszczona przez łowcę owadów i przeszyta przez cień, który może być manifestacją własnego strachu, *światło* nigdy jej nie zdradza ani nie opuszcza. Tonacja Lake'a jest, jak notuje Venturi, „raczej wyrazista niż jaskrawa, a zawarte w

obrazie światło jest raczej światłością psychologiczną niż fizyczną”.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Lake spędził cały następny dzień próbując zapomnieć o nocnym koszmarze. Chcąc uciec od nieprzyjemnej atmosfery, wyszedł z mieszkania - dopiero jednak po wysłuchaniu poważnej przemowy Madame Truff o tym, jak to głośne hałasy po północy są wyrazem braku szacunku dla pozostałych najemców. Za Damą stało kilku sąsiadów, którzy bynajmniej nie przyszli mu z pomocą, ale najwyraźniej słyszeli jego krzyki i teraz gapili się na niego z zaciekawieniem.

Kiedy już kara dobiegła końca, Lake wyszedł i zaczął przedzierać się z teczką pod pachą zatłoczonymi ulicami do Galerii Ukrytych Fascynacji. Teczka zawierała dwa nowe obrazy; oba przedstawiały ręce jego ojca, takie, jakimi je zapamiętał, rozpostarte jak skrzydła, jak róg obfitości wypełniony pełzającymi owadami - mrówkami aksamitnymi, cykadami, ćmami, motylami, pajęczakami, modliszkami. Było to studium, nad którym pracował przez lata. Ojciec miał wspaniale zniszczone ręce, pogryzione i pokąsane niezliczoną ilość razy, ale były jak wypolerowane, gładkie jak biały marmur.

Właścicielka galerii, Janice Shriek, przywitała go w drzwiach; była poważną, zgarbioną kobietą o wyrachowanych, chłodnych, niebieskich oczach. Tego ranka miała na sobie fircykowate męskie spodnie i marynarkę, a pod nią białą koszulę, której rękawy kończyły się mankietami, wyglądającymi, jakby zrobiono je z wycinanych papierowych serwetek. Shriek wspięła się na palcach, by ceremonialnie cmoknąć Lake'a w policzek, równocześnie wyjaśniając, że niski, zażywny mężczyzna, który właśnie rzucał swój okrągły cień w odległym kącie galerii, wyraził zainteresowanie jednym z dzieł Lake'a; jak dobrze, że Lake akurat się pojawił, bo właśnie podsycala zainteresowanie klienta - czy ona rzeczywiście użyła słowa „podsycać”? Niech Lake odłoży tę teczkę, odczeka chwilę, podejdzie i przedstawi się, z łaski swojej - po tych słowach podreptała do potencjalnego klienta, zostawiając Lake'a oszołomionego jej zachowaniem. Nie można było powiedzieć, że Janice Shriek brakowało energii.

Odłożył swoją teczkę na pobliski stolik, a dzieła niezliczonych konkurentów patrzyły na niego ze ścian. Jedynym dobrym obrazem (oczywiście poza pracami Lake'a) była miniatura *Bursztyn w mieście* autorstwa malarza będącego wielkim odkryciem Shriek, Rogera Mandible'a, który - o czym Shriek nie wiedziała - stworzył te delikatne bursztynowe cienie z



woskowiny słynnej divy, która miała pecha zasnąć przy kawiarnianym stoliku, przy którym Mandible mieszał swoje farby. Lake rechotał za każdym razem, gdy widział to dzieło.

Po chwili Lake podszedł do Shriek i dżentelmena i wdał się w niezobowiązującą pogawędkę, od której dostawał mdłości.

- Tak, to ja jestem autorem.

- Maxwell Bibble. Miło mi pana poznać.

- Mnie również, panie Bibble. To rzadka przyjemność móc poznać prawdziwego wielbiciela sztuki.

Bibble cuchnął burakami. Lake nie mógł tego znieść. Bibble cuchnął burakami. Lake z trudem powstrzymywał się przed powiedzeniem: *Bibble z bulgotem spija butelkowane buraki...*

- Więc pan sobie tak świetnie radzi z tym, no, kolorem? - Rzeczł Bibble.

- Jakież pan spostrzegawczy. Janice, słyszałaś, co pan powiedział? - Zwrócił się do Shriek Lake.

Shriek pokiwała nerwowo głową i rzekła:

- Pan Bibble jest człowiekiem interesu, ale zawsze chciał być... - „Burakiem?” - Pomyślał Lake, ale okazało się, że nie:

- ...Znawcą sztuki - dokończyła Shriek.

- Tak, wspaniałe kolory - rzeczł Bibble, tym razem z większym przekonaniem.

- To nic wielkiego. Prawdziwy artysta potrafi zmusić nawet najbardziej uparte światło, żeby pracowało na jego korzyść - odparł Lake.

- Tak przypuszczam. Myślałem, że ten obrazek dobrze wyglądałby w kuchni, koło haftu żony.

- W kuchni, koło haftu żony - powtórzył obojętnym tonem Lake i zaprezentował lodowaty uśmiech.

- Tylko zastanawiam się, czy nie jest za duży... - Jest mniejszy, niż wygląda - podsunęła Shriek, zdaniem Lake'a żałośnie.

- Może mógłbym go jakoś przerobić, przyciąć - rzeczł, piorunując ją wzrokiem.

Bibble skinął głową, po czym przyłożył dłoń do podbródka, w milczeniu kontemplując różne możliwości.

- A może po prostu rozetnę go na cztery części, a pan sobie wybierze tę ćwiartkę, która mu się najbardziej spodoba? - zaproponował Lake. - Czy może na osiem bardziej by panu odpowiadało?

Bibble gapił się na niego przez chwilę z tępą miną, aż interweniowała Shriek:

- Ach, artyści! Zawsze muszą żartować! Wie pan, naprawdę nie przypuszczam, żeby okazał się za duży. Zawsze może pan go kupić i oddać, jeśli nie będzie pasował - pieniędzy, co prawda, nie zwracamy, ale może pan wtedy wybrać coś innego.

Dość, pomyślał Lake i wyłączył się z rozmowy. Pozwolił Shriek rozwodzić się przekonująco o podstępnej potędze jego pociągnięć pędzla: był to stek cwanych nonsensów, którym Lake równocześnie pogardzał i który uwielbiał. Nie mógł narzekać na to, że Shriek zaniedbuje jego promocję - była jedyną właścicielką galerii, która przyjmowała jego prace - ale nienawidził tego, że przywłaszcza sobie jego sztukę, mówiąc o niej tak, jakby stworzyła ją sama. Shriek, niespełniona malarka i początkująca historyk sztuki, założyła galerię dzięki szczodrości swojego słynnego brata, historyka Duncana Shrieka, który podsyłał jej także licznych spośród jej pierwszych i najlepszych klientów. Lake miał wrażenie, że jej pęd do przodu był związany z jakimś poczuciem winy, spowodowanym tym, że nie musiała zaczynać od zera jak wszyscy inni.

W końcu, na widok wymuszonego uśmiechu Lake'a, nadal cuchnący burakami Bible ogłosił, że nie może w tej chwili podjąć decyzji, ale wróci później. Ależ oczywiście, że wróci - jakaż to przyjemność poznać samego artystę.

Na co Lake odparł, i pożałował tego już w chwili, gdy otworzył usta:

- Przyjemność to BYĆ artystą.

Shriek roześmiała się nerwowo. Nieprzyjemny rechot wydobył się także z ust niedoszłego nabywcy, którego rękę Lake starał się z całej siły zmiażdżyć w pożegnalnym uścisku.

Gdy Bible odszedł, Shriek zwróciła się w jego stronę i oznajmiła:

- To naprawdę cudowne!

- Co takiego?

Oczy Shriek przybrały chłodniejszy niż zwykle wyraz.

- Ta pełna samozadowolenia, arogancji i wywyższania się postawa. Oni to uwielbiają, wiesz - wtedy mają poczucie, że nabyli dzieło dobrze zapowiadającego się geniusza.

- A nie jest tak? - Spytał Lake. Czy ona powiedziała to z sarkazmem? Wolał udawać, że wcale tak nie było.

Shriek poklepała go po plecach.

- Wszystko jedno, czy tak jest rzeczywiście, czy nie. Rób tak dalej. A teraz przyjrzyjmy się nowym obrazom.

Lake przygryzł wargi, ratując w ten sposób swoją karierę przez ostatecznym ciosem, po czym podszedł do stołu i sięgnął po dwa płótna. Rozłożył je z teatralnym gestem.

Shriek wpatrzyła się w nie z zagadkowym wyrazem twarzy.

- No i jak? - Spytał wreszcie Lake, a w uszach brzęczały mu słowa wypowiedziane poprzedniego wieczora przez Raffe. - Podobają ci się?

- Hmm - mruknęła Shriek, odrywając wzrok od obrazów, jakby jej myśli były daleko stąd.

Lake'owi w tej chwili objawiła się instynktownie prawda, której dotąd doświadczał jedynie intelektualnie: był tylko jednym z potencjalnych dostawców Shriek i pewnie ją nudził.

Mimo to naciskał, oczekując upokorzenia:

- Podobają ci się?

- Ach! Obrazy?

- Nie... - „Woskowina na twojej ścianie? Buraki?” - Pomyślał. - Tak, obrazy.

Shriek zmarszczyła brwi i dotknęła ręką podbródka, mimowolnie naśladowując nieobecnego już Bible'a.

- Są bardzo... Interesujące. Interesujące!

- To ręce mojego ojca - rzekł Lake, świadom, że oto wdaje się w zwierzenia zarówno niestosowne, jak i zbędne, jakby mógł sprawić, że obrazy spodobają jej się bardziej dzięki temu, że on powie: to się wydarzyło naprawdę, to jest osoba, którą znam osobiście, to *jest prawdziwe*, zatem musi być dobre. Nie miał jednak wyboru i brnął dalej: - Mój ojciec to strasznie małomówny człowiek, jak większość łowców owadów, i miał tylko jeden sposób porozumiewania się ze mną, Janice: przychodził do domu ze złożonymi rękami, a kiedy je rozkładał, okazywało się, że ma tam jakiś żywy klejnot, jakiś rzadko spotykany cud ze świata owadów - lśniący czarny, albo czerwony, albo zielony - a jego oczy również lśniły. Mówił mi, jak się nazywa, cichym, stłumionym głosem, i z taką miłością; opowiadał, jak bardzo różnią się między sobą, i podkreślał, że choć się je zabija, a w ciężkich czasach nawet zjada, trzeba to robić z szacunkiem i wiedzą. - Lake wbił wzrok w podłogę. - Chciał, żebym ja też został łowcą owadów, ale ja nie chciałem. Nie mogłem. Musiałem zostać malarzem. - Przypomniał sobie, jak wszelka radość uszła z ojca, gdy uświadomił sobie, że syn nie pójdzie w jego ślady. Obserwowanie, jak samotny jest jego ojciec, schwytywany w sidła swej profesji i własnej powściągliwości, sprawiało Lake'owi przykrość, ale wiedział, że ojcu jest jeszcze bardziej przykro. Tęsknił za nim; odczuwał dziwny ból w piersi.

- To wspaniała historia, Martinie. Naprawdę wspaniała.

- A więc weźmiesz je?

- Nie. Ale historia jest piękna.

- Widzisz, jak wspaniale udały mi się owady? - Rzecz Lake, wskazując na nie.

- Tak, udały się, ale mamy martwy sezon, a ja nie mam miejsca. Może jak sprzedam któreś z twoich dzieł. - Jej ton mówił mu wyraźnie, że nie powinien zanadto nalegać.

- Rozumiem - odparł Lake, angażując w te słowa cały wysiłek woli. - Przyjdę za parę miesięcy.

Zaproszenie na egzekucję zaczynało wyglądać coraz lepiej.

Gdy wrócił do swojego mieszkania, by pracować nad zamówieniem od pana Kashmira, był stanowczo nie w sosie. Nie dość, że wizyta w galerii okazała się wielkim rozczarowaniem, to jeszcze po drodze wydał pieniądze na tłustą kiełbaskę, która zalegała mu w brzuchu jak dodatkowa pętla jelit. Nie mógł się pozbyć obrazu mężczyzny z koszmaru; jego wizerunek wciąż powracał, bez względu na to, jak bardzo Lake starał się o tym zapomnieć.

Mimo to, z obowiązku, sięgnął po ilustracje, które wydarł z przeznaczonych do wyrzucenia książek, kupionych tanio na tyłach Księgarni Borges. Zaczął je ciąć zardzewiałymi, zachlapanymi farbą nożycami. Podczas realizacji zleceń pomysły przychodziły mu do głowy bynajmniej nie w formie przeblysków podsyłanych przez jego muzę, ale jako spokojne odtwarzanie w pamięci dawnych prac. Wiedział, że ostatnio się trochę lenił, produkując w swoich zleceniach dosłowne „przekłady” i tłumiąc wszelkie przeblyski własnej wyobraźni.

To jednak wcale nie wyjaśniało, dlaczego - po chwili pracy - spojrzawszy na spoczywającą na sztalugach kopertę z zaproszeniem, po czym odkrył, że wyciąwszy starannie trzy postacie tańczących dziewcząt, równie starannie odciął im głowy i wyciął na piersiach gwiazdziste motywy.

Z obrzydzeniem cisnął nożyczki do kąta i pozwolił, by resztki tańczących dziewcząt opadły na podłogę jak egzotyczne konfetti. Cóż, zlecenie od pana Kashmira będzie musiało poczekać na chwilę natchnienia. A tymczasem, jako że dzień był jeszcze młody, Lake miał zamiar skorzystać z rady Raffe i popracować nad czymś własnym.

Podszedł do zagraconych sztalug i opróżnił je, kładąc cztery albo pięć płócien na już ogarniętym chaosem łóżku; przysunął sobie taboret, znalazł czyste płótno i przybił je do sztalug. Powoli zaczął nakładać farbę na płótno delikatnymi pociągnięciami pędzla. Choć ostatnie trzy lata minęły mu na realizacji niezliczonych zamówień, znajomy zapach farby podrażnił zmysły, a co ważniejsze, Lake dostrzegł, że światło jest ostre i nie będzie musiał pożyczać latarni od Madame Truff.

Nie mając pojęcia, jaki ma być temat obrazu, ani nawet - jak najlepiej kłaść farby

olejne, nie ustawał w nakładaniu kolejnych warstw farby, świadom dotyku pędzla o płótno. Raffe zmusiła go do malowania olejami wiele miesięcy temu. Wtedy obrzucił ją zdumionym, pełnym wyższości spojrzeniem, gdyż jej ostatnim prezentem były specjalne farby wyprodukowane z mieszaniny naturalnych barwników i atramentu słodkowodnej kałamarnicy. Używał ich przez tydzień, aż zauważył, że jego obrazy zaczęły blaknąć; po paru dniach płótna były znów puste, jak nowe. Raffe, która zawsze próbowała odnaleźć we wszystkim element dobra, powiedziała mu, gdy następnego dnia spotkali się w kawiarni, że może zostać sławny, sprzedając „znikające obrazy”. Rzucił w nią farbami. Na szczęście chybił i uderzył jakiegoś przypadkowego przechodnia - zdumionego i zdumiewająco przystojnego mężczyznę nazwiskiem Merrimount.

Tym razem jednak pomysł Raffe okazał się nie taki zły. Minęło kilka lat, odkąd Lake ostatnio malował olejami; zapomniał już, jak łatwo można ich używać do tworzenia tekstur, jak kolejne warstwy farby układają się na sobie. Szczególnie podobał mu się sposób, w jaki można mieszać kolory, uzyskując gradację cienia. Zakładając, że jego kłopoty były chwilowe - i że do tej pory wystarczała mu płachta malarska - pracował nad budowaniem koloru, nawet teraz nie przestając oglądać się przez ramię: szmaragd, jadeit, mech, limetka, grynszpan. Mieszał wszystkie odcienie, aż uzyskał lśniące, połyskujące tło. Potem, na ciemnej zieleni, zaczął malować twarz...

Dopiero dobiegające z Dzielnicy Religijnej wezwanie na modlitwę - pięć ponurych uderzeń dzwonu ze starej truffidiańskiej katedry - wytrąciło Lake'a z transu. Zamrugnął, odwrócił się w stronę okna, po czym przeniósł wzrok z powrotem na płótno. Ze strachem i przerażeniem wypuścił pędzel z ręki.

Ze zwierzęcych ust postaci wystawały zęby z potrzaskanego szkła, przez które mężczyzna uśmiechał się z okrucieństwem, a nad zmasakrowanym nosem lśniły, niczym bliźniacze płomienie, oczy. Lake patrzył na postać z koszmaru.

Przez długą chwilę przyglądał się swojemu dziełu. W pierwszym odruchu chciał wszystko zamalować i zacząć od nowa; dopiero po chwili przyszedł drugi, głębszy impuls: skończyć je. Będzie o wiele lepiej, pomyślał, jeśli twarz pozostanie na obrazie, niż gdyby - usunięta - miała rozgościć się w jego myślach. Poczuł dreszcz, gdy uświadomił sobie, że jest to niepodobne do czegokolwiek, co dotąd stworzył.

- Schwytalem cię - oznajmił z tryumfem.

Postać gapiała się na niego nieziemskimi oczami i milczała. Na obrazie może się uśmiechać, ale nie może już uśmiechać się tylko do niego. Teraz będzie się uśmiechać do całego świata.

Popracował nad postacią jeszcze przez kilka minut, tworząc zarys powiek i zwężając kości policzkowe, z ulgą, gdyż teraz dotarło do niego, że twarz należy do całego świata, może zawsze istniała gdzieś na świecie; chciał namalować ją z największym bogactwem szczegółu, żeby żaden jej element już go nie ścigał.

Gdy cienie zgęstniały i ściemniały, odłożył paletę, wyczyścił pędzle terpentyną, umył je w zlewie po drugiej stronie korytarza i szybko ubrał się przy muzyce ulicznego grajka. Włożył marynarkę, po czym wetknął do kieszeni na piersi szkicownik i dwa zaostrzone ołówki - a nuż jego tajemniczy gospodarz zacznie się domagać jakiegoś pokazu jego talentu. Przesunął palcami po ozdobnej pieczęci i włożył tam również zaproszenie.

Po chwili grzebania pod łóżkiem wyjął stamtąd składaną maskę: gumowy żabi łeb, który nosił podczas Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic rok temu. Powinna wystarczyć za przebranie. Upchał maskę w bocznej kieszeni; jej niezgrabne oko patrzyło na niego groteskowo. Dalsze grzebanie pozwoliło znaleźć plan. Każdy rozsądny obywatel Ambergris nosił przy sobie plan miasta, gdyż składało się ono z niezliczonych ulic, które sprawiały wrażenie, jakby co chwila z własnej woli zmieniały kierunek.

Poświęcił kilka nerwowych sekund na poprawianie krawata, po czym zamknął za sobą drzwi mieszkania. Wziął głęboki oddech, zszedł po schodach i ruszył bulwarem Albumuth, a niebo płonęło pomarańczem i zielenią, spotykanymi w Ambergris i tylko w Ambergris.

Ten rodzaj iluminacji odnajdujemy w prawie wszystkich obrazach Lake'a, ale w żadnym nie jest tak uderzający jak w prowokacyjnym *Płonącym domu*, gdzie zazębia się z komentarzem na temat jego lęku przed ptakami - jedynym obrazie, gdzie można znaleźć nawiązanie do ptaków, poza *Zaproszeniem na egzekucję* i *Jego oczami*, który wkrótce omówię. *Płonący dom* to mieszanina czerwieni, żółci i pomarańcza - tak jak *Zaproszenie na egzekucję* jest mieszaniną zieleni, ale z całkowicie odmiennym efektem. Na obrazie widać dom, który odarto z dachu i frontowej ściany, odsłaniając sowę, bociana i kruka, które płoną żywcem, a cały płomień przybiera kształt ognistego ptaka, namalowanego w stylu Lagacha. Lake już nigdy nie zbliżył się bardziej do czystej fantazji niż w tym dziele, wyrażającym spełnione życzenie, w którym jego strach przed ptakami zostaje unicestwiony przez ogień. Jak napisał Venturi, „Urok tego obrazu wiąże się z tajemniczą siłą sugestii: westchnieniem fatum, które wieje nad dziwnie poskręcanyimi postaciami”. Być może to jest ów kawałek układanki, który opisuje proces przemiany Martina Lake'a. Jeśli tak, nie wiemy za bardzo, gdzie należałoby go umieścić - ani czy należy go umieścić blisko, czy daleko od kawałka, którym jest *Zaproszenie na egzekucję*.

Mniej niejednoznaczne powiązanie z *Zaproszeniem* można znaleźć w osobie Vossa Bendera, sławnego twórcy oper, z domu polityka, i w zamieszaniu, jakie nastąpiło po jego śmierci: śmierci, która miała miejsce zaledwie trzy dni przed rozpoczęciem przez Lake'a pracy nad *Zaproszeniem*. W udzielanych później wywiadach zwykle małomówny Lake wyznawał, że żywił dla Vossa Bendera najwyższy szacunek, ba, nawet traktował go jako inspirację (choć nie przypominam sobie, by Lake w ogóle wspominał o Benderze w czasach, kiedy go znałam). Wielu historyków sztuki zauważyło powtarzający się motyw Bendera w dziełach Lake'a i zastanawiało się, czy Lake miał obsesję na punkcie zmarłego kompozytora. Być może, jak sugeruje Sabon, *Zaproszenie* jest dziełem upamiętniającym Vossa Bendera. Jeśli tak, jest ono pierwszym dziełem z trylogii; dwa pozostałe to *Jego oczami* i *Aria do lamliwych kości zimy*, które wyraźnie stanowią hołd dla Bendera.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.

Zmierzch pachniał mieszanką krwi i skórki pomarańczy, a zamierające światło zostawiało delikatny złoty osad na mosiężnych gałkach u drzwi wejściowych banków, na miedzianych masztach przy ambasadach zagranicznych dygnitarzy i na fontannie Trilliana, gdzie na szczycie obelisku przysiadł smutny cherubin z różanego marmuru, opierając się jednym łokciem o czarną, podstępnie łypiącą czaszkę. Tłumy zbierały się na oświetlonym latarniami placu przy fontannie, by wysłuchać stojących na drewnianych skrzynkach poetów, deklamujących swoje wiersze. Z pobliskich tawern w równych proporcjach dobiegała muzyka i sączyło się światło; światło załamywało się cienkimi snopami na kocich łbach, a stojący na chodniku sprzedawcy kusili przechodniów wszelkimi rodzajami zakąsek, od niefortunnych kiełbasek - takich jak ta, którą zjadł Lake - po rażąco grzeszne wypieki. Niewiele osób poza Ambergris zdawało sobie sprawę z tego, że malowane przez Darcimbalda twarze z owoców i morskich żyjatek były z życia wzięte: podpatrzone u sprzedawców, którzy układali pomarańcze, jabłka, figi i melony tak, by tworzyły twarze, z czarnymi winogronami udającymi oczy, albo układali dumne oblicze burmistrza z warstw raków, pstrągów, krabów i niewielkich kałamarnic. Sprzedawcy ci cieszyli się nieomal taką samą popularnością jak uliczni poeci i zaczęli wieszać przed swoimi kramami latarnie, rzucające światło pod dużym kątem, by przechodnie mogli podziwiać ich ulotną sztukę. Przez ten ciasno zbity tłum przebijały się pojazdy konne i silnikowe, hamując gwałtownie przed pijanymi i nieostrożnymi, którzy popychali je i kołysali przy każdej okazji.

Tutaj, teraz, twarze pokryte wypiekami, mieszanina ciemności i światła, kłębiące się,

cieniste fasady budynków odgrywały tysiące scen, które były cenne dla oka artysty, ale Lake, skupiony nad mapą, postrzegał je w tej chwili tylko jako niedogodności.

A nawet coś gorszego od niedogodności. Trudność, z jaką przychodziło Lake'owi przedzieranie się przez tłum z laską w dłoni, przekonała go, że powinien zatrzymać jakiś pojazd silnikowy do wynajęcia. Stary, kosztowny model, nieomal wygodniejszy od jego mieszkania i przezornie udekorowany czerwonymi i zielonymi flagami, miał jedynie dwie wady: trząśił się (przyczyną tego stanu była prawdopodobnie woda w benzynie) - i wiozł dużą, bardzo brudną owcę, z którą Lake był zmuszony dzielić tylne siedzenie. Mężczyzna i zwierzę przyjrżeli się sobie z niepokojem, a kierowca uśmiechnął się i przepaszająco wzruszył ramionami (czy ten gest był przeznaczony dla Lake'a, czy dla owcy?) i pojazd popędził wąskimi uliczkami. Lake i tak opuścił go jako pierwszy, wysiadając na skraju żądanej dzielnicy. Nerwowy kierowca ruszył z największą prędkością, gdy tylko Lake mu zapłacił. Nie ulegało wątpliwości, że z powodu okrężnej trasy, jaką musiał pokonać, by zawieźć Lake'a, owca spóźniła się na umówione spotkanie.

Lake rozejrzał się po okolicy - był to południowo-wschodni skraj Dzielnicy Religijnej - i doszedł do wniosku, że rzadko widywał coś tak ponurego. Budynki wznosiły się na wysokość czterech albo pięciu kondygnacji i miały niewiele okien, przez co wyglądały, jakby odwracały się od niego, zwracając się w kierunku płataniny domów i kamienic, gdzie znajdowało się miejsce, do którego zmierzał. Oglądając takie ponure budowle Lake miał wrażenie, że widzi obraz z przyszłości - obraz rozkładu, który czeka kamienicę mieszczącą jego obecne lokum, gdy Nowa Sztuka wyprowadzi się, zostawiając po sobie jedynie niespełnione obietnice. Na ścianach widać było ślady ognia, drzwi na parterze były przegniłe albo wyrwane, a poczerńiałe od rdzy balkony zwieszały się złowieszczo. W niektórych miejscach Lake dostrzegał kości domieszane do zaprawy: kiedyś zmarłych grzebano w ścianach ich własnych domów.

Wyjął zaproszenie, przesunął dłonią po kasztanowozłotyach nitkach. Może to jednak był po prostu dowcip. A może zapraszający chciał być dyskretny. Lake zadrżał, zawahał się, po czym przypomniał sobie o swojej rozmowie z Raffe; wreszcie stanęła mu przed oczami denerwująca twarz Shriek z tym jej: „Interesujące”. Westchnął, zadrżał i ruszył między dwa wysokie budynki, czując się nieswojo w rzucanym przez nie cieniu, blisko pustych lub powybijanych okien, w których pokrytych kurzem szybach czaiło się coś drapieżnego. Jego laska postukiwała po kamieniach; dźwięk brzmiał w tym otoczeniu melancholijnie.

W końcu wynurzył się z wąskiej uliczki i wkroczył na szerszą, zasypaną śmieciami ulicę. Kilka chrząkających guźców z zakrzywionymi kłami walczyło o resztki z anemicznymi



grzybianami. Światło zbladło i było teraz ciemnobłękitne, przez co odnosiło się wrażenie, że jest chłodniej, niż rzeczywiście było. Odległe wezwania na modlitwę, dobiegające z Dzielnicy Religijnej, brzmiały jak krzyki ludzi topiących się piętnaście metrów pod wodą.

W niewyraźnym świetle ulicznej latarni Lake wypatrzył nazwę ulicy: ul. Salamandry, ale nie zdołał znaleźć jej na mapie. Przez dłuższy czas wędrował samotnie, w ciemności rozdzieranej nieregularnie rozmieszczonymi lampami, przyglądając się tabliczkom i nadal nie mogąc odszukać na mapie żadnej z tych ulic. Usiłował nie dopuszczać do siebie myśli, że się zgubił, rozmyślając, jak najlepiej byłoby oddać na płótnie otaczające go cienie.

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że ciemność, którą choć trochę rozjaśniały lampy, nabrała jakiegoś mglistego charakteru, w wyniku którego przestał cokolwiek widzieć. Mgła nadciągała znad rzeki Moth. Przeklął swój pech. Najpierw znikły gwiazdy, zaćmione ciężarem cieni i mętną, pełzającą dzikością mgły. To była jakaś zła mgła, uśmiechająca się złośliwie, wygryzająca sobie drogę po niebie, przez przestrzenie między różnymi rzeczami, zasłaniająca noc. Pachniała rzeką: mułem i słoną wodą, rybami i namorzynami. Przetoczyła się przez Lake'a, jakby w ogóle nie istniał. I z tego powodu uczyniła go istotą bezcielesną, gdyż nie widział już swoich rąk ani nóg, nie czuł nic poza ociężałą wilgocią mgły, która przyłgnęła do niego i oblepiła go. Był wolny. W tym opanowanym przez mgłę świecie nie było niczego rzeczywistego. Gdy w nim przebywał, nie mógł doświadczyć niczego prawdziwego.

Zagubiony, i zagubiony ponownie, obracający się pośród bieli, niewiedzący, czy posuwa się do przodu, czy też idzie po własnych śladach, Lake poczuł, że uczucie wolności zmieniło się w strach - strach przed nieznanym, strach, że może się spóźnić. Kiedy więc dostrzegł przyćmione światło przed sobą, ruszył szybko w jego kierunku, nie zważając na przeszkody, z powodu których mógł skreślić kostkę czy upaść na twarz.

Przecznicę dalej dotarł do źródła światła: wysokiej, odzianej w zieloną szatę z kapturem postaci łowcy owadów; jego wielka, okrągła szklana płyta była przymocowana do wiszącej poniżej latarni o kształcie boi. Jak większość łowców owadów, których głód zmusił do zajęcia się tym fachem, także i ten był chudy, o kościstych, lecz silnych ramionach. Szkło było tak wielkie, że mężczyzna trzymał je obydwoma odzianymi w rękawice dłońmi, a koniki polne, ćmy, żuki i królowe mrówek uderzały o nie, próbując dostać się do światła.

Płyta szklana działała jak lepka soczewka wstawiona w okrągłą, mosiężną ramę; kiedy wypełniała się owadami, soczewkę zdejmowano i umieszczano w worku. Łowca owadów wkładał wówczas nową soczewkę i powtarzał całą operację. Po powrocie do domu cały łup delikatnie odklejało od soczewki, by go następnie ugotować, upiec lub zakonserwować w

soli, a potem nanizać na przypięte do pasa sznurki i sprzedać następnego dnia. Lake spędził wiele wieczorów nawlekając owady na sznurki i zawiązując specjalne węzły, których nauczył go ojciec.

Zanurzonemu we wspomnieniach i we mgle Lake'owi przez sekundę przyszło do głowy, że ten mężczyzna to jego ojciec. Czemu nie miałby to być on? Obaj byłiby duchami, żeglującymi pośród nocy.

Pierwsze słowa, jakie skierował do łowcy owadów, były niepewne, pełne szacunku dla jego własnej przeszłości.

- Przepraszam! Przepraszam pana!

Mężczyzna obrócił się wolno, z gracją, by spojrzeć na najnowsze łupy. Fałdy szaty łowcy owadów zakrywały mu twarz, wystawał tylko sterczący nos w kształcie kosy.

- Tak? - Łowca miał głęboki, dźwięczny głos.

- Czy zna pan drogę do ulicy Archmont? Moja mapa okazała się bezużyteczna.

Łowca owadów uniósł kościsty palec i wskazał coś w górze. Lake podniósł wzrok. W świetle lampy łowcy widniała tam tabliczka: ul. Archmont. Lake stał właśnie na tej ulicy.

- Och - odparł. - Dziękuję panu.

Łowca owadów znikł jednak we mgle, stając się tylko cieniem pod latarnią, której blask już zaczął przygasać...

Teraz znalezienie numeru 45 było łatwe - w przeciwieństwie do drzwi z prawej i z lewej to wejście nie należało do zbyt zaniedbanych, a nad bramą świeciła się lampa. Cyfry „4” i „5” wymalowano błyszczącym złotem, same drzwi były pomalowane na kolor kasztanowy, schody starannie zmieciono, kołatka miała taki sam kształt jak pieczęć na kopercie - a wszystko pachniało mydlinami.

Czując się nieco pewniej na widok schludności tego miejsca, z radą Raffę nadal rozbrzmiewającą w uszach, Lake uniósł kołatkę i opuszczył ją - raz, dwa, trzy.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, światło chlusnęło na ulicę i Lake dostrzegł dzikie, gapiące się na niego oko, otoczone spękaną czerwienią. Było to oko zwierzęcia; w czarnej źrenicy odbijała się jego własna, zniekształcona twarz. Lake szybko się cofnął.

Głos, gdy rozbrzmiał, był nierealny, zniekształcony:

- Czego chcesz?

Lake uniósł zaproszenie.

- Mam to. Mrugnięcie straszego oka.

- Co tam jest napisane?

- Zaproszenie na...

- Szybko! Włóż maskę! - Wysyczał głos.

- Moją maskę?

- Maskę na maskaradę!

- Ach! Tak. Przepraszam. Chwileczkę.

Lake wyjął z kieszeni gumową maskę żaby i włożył ją na głowę. W dotyku przypominała śliską galaretę. Nie miał ochoty zbliżyć jej do skóry. Gdy poprawiał maskę, żeby widzieć przez umieszczone w nozdrzach żaby otwory, drzwi otwały się, ukazując wspaniałą sień i wyciągnięte ramię człowieka o zniekształconym głosie. Mężczyzna stał z boku, a Lake, który widział tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim, musiał włożyć trochę wysiłku w to, by dostrzec kiwającą na niego dłoń w białej rękawiczce; usłyszał wysyczone „Wejź!” I ruszył. Mężczyzna zatrzasnął za nim drzwi i zamknął je na klucz.

Przed sobą, przez oszklone drzwi, Lake dostrzegł klatkę schodową z polerowanego różanego drewna, a u podnóża schodów globus, na stole z błyszczącego mahoni, z nogami w kształcie lwich łap. W kandelabrze płonęły świece, a w ich migoczącym świetle było coś, co kojarzyło się z religią. Po lewej stronie Lake dostrzegł kątem oka wysokie sterty książek na licznych stołach, po prawej zaś widać było salon obwieszony portretami. Na twarze i tabliczki z podpisami narzucono czarne zasłony: poza sienią witał go szereg szyj i ramion. Zapach mydła osłabł, ustępując miejsca niewyraźnej woni zgnilizny albo pleśni.

Lake odwrócił się w stronę drzwi i osoby, która go wpuściła - jak przypuszczał, kamerdynera - by znaleźć się naprzeciwko mężczyzny z głową bociana. Oczy z czerwonymi obwódkami, okrutny dziób i tępa biel pokrytej piórami twarzy łączyły się z dziwnie bladą szyją wieńczącą wychudzone, odziane w czarno-biały garnitur ciało.

- Widzę, że pan już się przebrał - wyjąkał Lake, nieco wystraszony. - Ach, naturalny pogromca żab. Ha, ha. Może pan zdoła mi powiedzieć, w jakim celu mnie tu wezwano, panie...?

Żart nie został dobrze przyjęty, a próba poznania nazwiska mężczyzny nie powiodła się. Bocian patrzył na niego, jakby Lake przybył z jakiegoś dalekiego, barbarzyńskiego kraju. W końcu odezwał się:

- Poproszę pańską marynarkę i laskę.

Lake nie był zachwycony perspektywą rozstania się ze swoją laską, która już niejednokrotnie posłużyła mu do obrony przed potencjalnym napastnikiem, ale oddał ją Bocianowi wraz z marynarką. Po umieszczeniu ich w szafie Bocian rzekł:

- Proszę za mną.

Poprowadził Lake'a obok schodów, przez bibliotekę, do gabinetu z ozdobnym

kominkiem, kilkoma wyściełanymi krzesłami i paroma stolikami z błyszczącego czarnego drewna; na ścianach znajdowało się osiem obrazów autorstwa mistrzów z poprzedniego stulecia: sceny myśliwskie, miejskie widoki, martwe natury - wszystkie autentyczne i straszliwie banalne.

Bocian wskazał Lake'owi gestem kanapę najbardziej oddaloną od drzwi. Odgradzał ją olbrzymi, wręcz groteskowy, prostokątny skrzyniowy stół, rozciągający się na jakieś dwa metry na szerokość pokoju. Miał ozdobne uchwyty, ale żadnych szuflad.

Lake usiadł, uważając, by nie uderzyć chorą nogą o stół.

- Kto jest właścicielem tego domu? - Spytał.

Bocian właśnie wychodził. Na dźwięk głosu Lake'a odwrócił się, przyłożył palec do dzioba i rzekł:

- Milczeć! Milczeć!

Lake wykonał przeproszający gest. Pan domu najwyraźniej cenił sobie prywatność.

Bocian przez chwilę wpatrywał się w Lake'a, jakby obawiając się, że ten powie coś jeszcze, po czym obrócił się na pięcie.

Lake został sam, w swojej masce żaby, w której było mu okropnie gorąco, a do tego skóra zaczęła go swędzieć. Maska pachniała znajomą wodą kolońską, pewnie Merri nosił ją podczas festiwalu i potem jej nie umył.

Klaustrofobia walczyła w nim z przyjemnym poczuciem anonimowości. Ukryty za maską miał wrażenie, jakby był zdolny do czynów obcych aroganckiemu, lecz spokojnemu Martinowi Lake'owi. Doskonale, w takim razie nowy Martin Lake obejrzy sobie pokój, szukając wskazówek dotyczących gustu właściciela - lub jego braku.

Z oddalonego stołu patrzyło na niego popiersie Trilliana, biały marmur poprzetykany żyłkami kamienia o barwie czereśni. Na tym samym stole leżała książka pod tytułem *Architekt ruin*, a na niej - wypchana, ozdobiona drogimi kamieniami skorupa żółwia. Po przekątnej, na podwyższeniu, stał teleskop, w nieco dziwaczny sposób zwrócony w stronę wiszącej na ścianie mapy świata. Na stołach porzrucano atlasy i mapy, ale Lake miał wrażenie, że ta pozorną przypadkowość to wynik chłodnej kalkulacji. W pokoju panowała atmosfera sztuczności, począwszy od ścian koloru burgunda po kuliste oprawy wydzielające przyjemne, jakby różowe światło. Takie światło nie sprzyjało czytaniu ani konwersacji. Mimo to w gabinecie odczuwało się jakieś obfite ciepło, zapewniające relaks i komfort.

Lake rozsiadł się wygodnie, zadowolony. Komu przyszłoby do głowy stworzenie czegoś tak wyrafinowanego na tym pustkowiu? Wyglądało na to, że Raffé miała rację: jakiś bogaty mecenas chciał coś u niego zamówić, może nawet kolekcjonować jego obrazy. Zaczął

się zastanawiać, jaką cenę powinien zaproponować; musiała być na tyle wysoka, by po ostrym targowaniu się nadal go zadowalała. Mógłby kupić nowe sztalugi, wymienić stare, wystrzępione pędzle, może nawet przekonać jakąś ważną galerię, by zaczęła sprzedawać jego prace.

Do tych przyjemnych snów na jawie wdarło się w końcu jakieś postukiwanie - docierało do niego powoli, jakby były to pierwsze nuty muzyki tak delikatnej, że słuchacz na początku nie jest w stanie jej usłyszeć. Przewędrowało cały pokój i zapukało do jego uszu z przepaszającą natarczywością.

Usiadł prosto i spróbował ustalić jego źródło. Nie dochodziło ani ze ścian, ani z podłogi. Zdecydowanie jednak dobiegało z wnętrza pokoju, a choć było nieco stłumione, jakby spod ziemi, powstawało gdzieś blisko niego. Taki delikatny dźwięk - nie dość głośny, żeby go zaniepokoić: ostrożne, subtelne „stuk”, minorowe „puk”.

Przysłuchał się uważnie i na jego twarzy wykwitł uśmiech. Przecież ono dochodziło ze stojącego przed nim stołu! Ktoś albo coś było wewnątrz stołu i delikatnie postukiwało. Co za wspaniałe przebranie na maskaradę. Lake odpowiedział stuknięciem. To, co było wewnątrz, stuknęło dwa razy. Lake stuknął dwukrotnie i otrzymał odpowiedź w postaci trzech stuknięć. Stuknął więc trzy razy.

W stole coś zaczęło się szaleńczo tłuc i walić w jego ścianki. Lake wstrzymał oddech i szybko cofnął rękę. Po kręgosłupie przebiegł mu dreszcz przerażenia. Przyszło mu do głowy, że ta radosna zabawa może się ostatecznie okazać czymś zupełnie odmiennym od wesołej maskarady. Czarny stół, na którym położył zaproszenie, chyba wcale nie był stołem - ale nieozdobioną trumną, z której ktoś rozpaczliwie próbował się wydostać!

Lake krzyknął z przerażenia - i w tej chwili powrócił Bocian w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

Towarzysze Bociana byli słusznej wagi i postury, a z pewnej słabości widocznej w ich przyciężkawych ruchach - które Lake przypomniał sobie z lat, gdy szkicował modeli - uświadomił sobie, że są dość posunięci w latach. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury, takie same, jak w przypadku Bociana, ale na tym kończyło się podobieństwo. Wyższy z dwóch mężczyzn - nie był gruby, ale po prostu szeroki - miał na własnej głowie oszalamiającą głowę kruka, wykonaną z prawdziwych, połyskliwych ptasich piór (tego charakterystycznego kruczego połysku nie dało się z niczym pomylić). Oczy lśniły przenikliwym, srogim spojrzeniem. Wykonany ze srebrzystego metalu dziób odbijał przyćmione światło i błyszczał jak dalekie odbicie w sadzawce z mętną wodą.

Trzeci mężczyzna nosił maskę, która powtarzała motyw z zaproszenia Lake'a i

kołatki: sowa, brązowozłote, niegdyś należące do prawdziwego ptaka pióra, zakrzywiony ciemnoszary dziób, ludzkie oczy wyzierające z cieni pod namalowanymi orbitami. Najdalszy pasek niefortunnie zachodził na szyję mężczyzny, a maska przylegała ciasno, ukrywając podbródek, ale ściskając szyję, przez co tworzyła się stercząca fałda. Ten ostatni szczegół nadawał przebierańcowi szczególnie paskudny wygląd: mężczyzna wyglądał, jakby ktoś oskubał go z piór na szyi, odsłaniając wyskubane ciało pod spodem.

Cała trójka stanęła naprzeciwko Lake'a, po drugiej stronie trumny, której wieko zaczęło podskakiwać, gdy to coś, co było ukryte wewnątrz, zaczęło w nie walić.

- Co... Co tam jest? - Spytał Lake.- Czy to taka dekoracja na maskaradę? Czy to jakiś żart? Czy przysłał was Merrimount?

- Bardzo ładne przebranie - rzekł mężczyzna Sowa, po czym, nadal patrząc na Lake'a, uderzył pięścią w trumnę tak mocno, że czarna farba przykleiła się do białej rękawiczki. Łomot ustal. - Doskonałe przebranie na maskaradę. Żaba, która równie dobrze czuje się na lądzie, jak i w wodzie.

Głos Sowy, podobnie jak głos Bociana, był zniekształcony, jakby mężczyzna wypchał sobie usta bawełną albo kamyczkami.

- Co tam jest? - Powtórzył Lake, celując drżącym palcem w trumnę.

Sowa zaśmiała się. Był to straszny, kaszlący dźwięk.

- Nasz drugi gość zostanie wkrótce uwolniony, ale najpierw porozmawiamy o pańskim zleceniu.

- Zleceniu?

Przez mózg Lake'a znów przebiegła jak błyskawica myśl, która znikła równie szybko, jak się pojawiła: „Raffe miała rację. Będę malował jakieś seksualne igraszki”.

- Jest to dość niezwykle zlecenie i zanim przekażę panu szczegóły, musi się pan mu poddać całym sercem. Nie ma pan wyboru. Ponieważ jest pan tutaj, stanie się pan naszym narzędziem.

Raffe nigdy nie sugerowała konieczności brania udziału w jakiejś pornografii i Lake wzdrygnął się na samą myśl: takiego zlecenia nie przyjąłby za żadne pieniądze.

- Panowie - rzekł, wstając. - Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Jestem malarzem i tylko malarzem...

- Malarzem - powtórzył Sowa, jakby to był nieistotny szczegół.

- ...I zamierzam teraz wyjść. Proszę mi wybaczyć i nie czuć do mnie urazy.

Usiłował wyjść zza trumny, ale zatrzymał się, gdy drogę zastawił mu Kruk z długim nożem do sprawiania ryb w odzianej w rękawiczkę dłoni, błyszczącym jak kopia dzioba

kruka. Na ten widok Lake zamarł, po czym usadowił się powoli na środku kanapy, oddzielony od drapieżników trumną. Ręce mu się trzęsły, a maska żaby spływała potem.

- Czego chcecie? - Spytał, bezskutecznie próbując ukryć drzenie w głosie.

Sowa zatarł ręce i przekrzywił głowę, przyglądając się Lake'owi jednym stalowoszarym okiem.

- Najprościej rzecz ujmując, pańskie zlecenie będzie zarazem wynagrodzeniem. Nie zapłacimy panu, chyba że zgodzi się pan na coś w rodzaju wypłaty w naturze: kiedy opuści pan ten dom, pańskie życie będzie takie jak przedtem, z jednym wyjątkiem - stanie się pan bohaterem, anonimowym obywatelem miasta, który naprawił straszliwe zło.

- Czego chcecie? - Spytał znów Lake, coraz bardziej przerażony.

- Morderstwa - zarechotał Kruk.

- Egzekucji - poprawił Bocian.

- Ścięcia - uściślił Sowa.

- Morderstwa?! - Krzyknął Lake. - Morderstwa?! Oszaleliście?

Sowa nastroszył piórka, po czym rzekł:

- Proszę mi pozwolić opisać, jaka będzie pańska reakcja, wtedy być może szybciej uda nam się osiągnąć cel. Po pierwsze, będzie pan szlochał. Jęczał. Może nawet próbował uciec. Będzie pan odmawiał, nawet wtedy, gdy pana upokorzymy. Będzie pan groził. Słabł. Potem znów odmawiał, ale tym razem z tonu pańskiego głosu będziemy mogli wydedukować, że zbliżył się pan do rzeczywistości, do czynu. I potem ten cykl się powtórzy. Aż wreszcie, na końcu, czy to po godzinie, czy po tygodniu, ze zdumieniem odkryje pan, że chce wykonać to zadanie, bo nawet najmarniejszy pies chce jeszcze w życiu zobaczyć słońce.

- Zaoszczędziłby nam pan mnóstwo czasu, po prostu godząc się z sytuacją i nie robiąc problemów.

- Nie.

- Otwórzcie trumnę.

- Nie!

Czując, jak cięży mu chora noga, Lake przeskoczył przez trumnę-stół. Dotarł aż do popiersia Trilliana, ale tam Bocian i Kruk obalili go na podłogę. Wił się i wierzgał w ich uścisku, ale jego noga była mu równie posłuszna jak drewniany kloc, albo może oni byli za silni. Zawlekli go z powrotem na miejsce przy trumnie. Bocian przytrzymał go na kanapie twarzą w dół, a maska żaby wpiła mu się w usta tak boleśnie, że z trudem zdołał zaczerpnąć tchu. Kruk poderwał mu głowę i przyłożył do gardła nóż. W takiej pozycji, z przesuniętymi otworami na oczy, Lake widział tylko wnętrze maski i kawałek kasztanowo-złotego sufitu.

Gdzieś ponad nim odezwał się Sowa, z całym rozleniwieniem w głosie:

- Przyjmij zlecenie, moja droga żabo, bo inaczej zabijemy cię i wybierzemy innego obywatela.

Siedzący na Lake'u Bocian szturchał go po nerkach, po czym mocno uderzył w jakieś bolesne miejsce. Lake jęknął z bólu. Kruk wyłamał mu rękę do tyłu tak mocno, że Lake miał wrażenie, iż kość zaraz pęknie.

Zawył. Nagle obaj go puścili. Przewrócił się na plecy, poprawił maskę, spojrzął w górę - i dostrzegł całą trójkę patrzącą na niego.

- Jak jest pańska odpowiedź? - Spytał Sowa. - Musimy poznać ją natychmiast.

Lake jęknął i przewrócił się na bok.

- Odpowiedz!

Co znaczy słowo? Czy jedno słowo naprawdę coś... Znaczy? Czy może wysłać na wygnanie całe światy działania, możliwości?

- Tak - powiedział, a słowo zagrzechotało mu w gardle jak charkot umierającego.

- Dobrze - rzekł Sowa. - Otwórz trumnę.

Odsunęli się, żeby miał dość miejsca. Usiadł na kanapie, czując pulsowanie w nodze. Zaczął manipulować przy zamkach z boku trumny, by zrobić to jak najszybciej, by ten koszmar już się zakończył.

Zatrzaski wreszcie puścili. Sapnął i otworzył wieko... By zajrzeć do środka i zobaczyć tak znane, charakterystyczne patrycjuszowskie rysy. Słynna grzywa siwych włosów była zmierzwiona, wystające kości policzkowe pociemniałe od siniaków, z inteligentnych błękitnych oczu wзираł strach, a z pięknych ust, z tych wrażliwych warg, wystawał czerwony szmaciany knebel, który wrzynał się w twarz i pozostawiał krwawą smugę. Krew sączyła się spod włosów w miejscu, w którym uderzył głową o wieko trumny. Na ramionach wycięto mu dziwne symbole, jakby był ofiarą dla jakiegoś okrutnego boga.

Lake zatoczył się do tyłu i upadł na kanapę, zahaczając o jej skraj, niezdolny stanąć twarzą w twarz z tym ostatecznym, obezwładniającym odkryciem - niezdolny pojąć, że to Zieloni mieli rację: Voss Bender żył. W jakąż grę on niechcący się wplątał?

Bender tymczasem usiłował wstać, gdy tylko zobaczył Lake'a, choć był związany całymi zwojami sznura, które musiały utrudniać krążenie, po czym opadł, gdy zrozumiał, że Lake nie zamierza mu pomóc.

Kruk wetknął łeb w pole widzenia i skrzeczał, skrzeczał, jak prawdziwy kruk. Bender zareagował histerycznym spazmem strachu. Kruk posłał mu potężny cios w twarz. Bender skulił się w trumnie. Mrugał; z trumny rozszedł się zapach moczu. Lake nie był w stanie



odwrócić wzroku. To był Voss Bender, twórca i niszczyciel karier, polityków, teatrów. Voss Bender, który od dwóch dni nie żył.

- Czemu? Czemu mu to zrobiliście? - Spytał Lake, choć nie miał zamiaru się odzywać.

Bocian prychnął szyderczo.

- Sam to sobie zrobił. Sam to wszystko na siebie ściągnął.

- On jest beznadziejny - oświadczył Kruk.

- Otóż to - przytaknął Sowa. - Wcielenie zła.

Voss Bender poruszył się lekko. Otworzył szeroko oczy pod władczyimi szarymi brwiami. Bender nie był głuchy ani głupi - Lake nigdy nie uważał go za głupiego - i śledził ich rozmowę w napięciu, choć pewnie i ze znużeniem. Oczy błagały Lake'a, by go ocalił. Lake odwrócił wzrok.

- Pan Kruk da panu ten oto nóż - oznajmił Sowa - ale proszę nie sądzić, że skoro ma pan broń, to ucieczka stała się możliwa.

Na poparcie swoich słów Sowa wyjął pistolet, jeden z tych zgrabnych, groźnie wyglądających modeli, które niedawno skonstruowali naukowcy Kalifa.

Kruk podał mu nóż.

Czując, jak zmysły rozciągają mu się i przedefiniowują, Lake spojrzął na Vossa Bendera, potem na nóż. Cienki promień światła zatańczył na ziarnistej, spiralnej rękojeści. Lake dostrzegł wryte na ostrzu słowa, nazwę producenta: *Hoegbotton i Synowie*. Ten nóż powinien mieć jakąś historię, jakiś rodowód, powinien być czymś więcej niż tylko nożem, a to, że on powinien o tym wiedzieć więcej niż trzej mężczyźni, uderzyło Lake'a jako coś absurdalnego. Gdy patrzył na ostrze, na wryte tam słowa, poczuł, jak spada na niego ciężar tego czynu, potworny, wielki. Odebrać życie. Pozbawić kogoś życia, a wraz z nim potężnej sieci miłości i uwielbienia. Wyrąbać dziurę w świecie. Odebrać komuś życie to nie była mała rzecz, to wcale nie było nic małego. Widział przed sobą uśmiechającego się ojca, rozkładającego ręce, by uwolnić lśniące, zgrabne ciała martwych owadów.

- Na litość boską, nie zmuszajcie mnie, żebym go zabił!

Huragan śmiechu Sowy, Kruka i Bociana zaskoczył go tak bardzo, że zaczął się śmiać razem z nimi. Trząsł się ze śmiechu, trzęsła się jego szczęka i ramiona; odprężył się, mając nadzieję, że to wszystko okaże się tylko żartem... Dopóki nie zrozumiał, że ich śmiech jest gardłowy, potworny, okrutny. Wtedy przestał się śmiać i zaczął szlochać.

Rozbawienie Kruka znikło, zanim jeszcze Sowa i Bocian przestali się śmiać.

- On już nie żyje. Całe miasto wie, że on nie żyje. Nie można zabić kogoś, kto jest już martwy.

Voss Bender zaczął jęczeć i podwoił wysiłki zmierzające do uwolnienia się z więzów. Trzej mężczyźni zignorowali go.

- Nie zrobię tego. Nie zrobię.

Słowa Lake'a brzmiały niepewnie, jakby wypowiadał je pod czyimś wpływem. Wiedział, że w obliczu własnej zagłady zrobi dosłownie wszystko, żeby ocalić życie, nawet jeśli będzie to oznaczało pogwałcenie, podeptanie i zniszczenie wszystkiego, co czyniło go Martinem Lakiem. A mimo to widział przed oczami twarz swego ojca i słyszał słowa, które tamten wypowiadał na temat świętości życia.

Sowa wyjaśnił mu sytuację z bezlitosną precyzją.

- Wtedy poszarpiemy panu twarz, aż zostaną z niej tylko strzępy mięsa zwisające z głowy. Odetniemy palce u rąk i nóg, jak marchewki do zupy. Stanie się pan tylko krwawą zagadką, którą jakiś pies będzie rozwiązywał w małej uliczce. A Bender nadal będzie martwy.

Lake patrzył na Sowę, a Sowa odwzajemnił spojrzenie; maska nie zdradzała ani cienia słabości.

Jego oczy wyglądały jak zimne, pomarszczone kamienie, pełne zaciekłości i odwieczne.

Lake wziął nóż wręczony mu przez Kruka. Pokryta laką drewniana rękojeść miała słuszną wagę i gładkość, która zdawała się świadczyć o łatwości zabijania.

- Szybki cios w gardło i będzie po wszystkim - rzekł Kruk, Bocian wziął długą, białą tkaninę i zakrył nią ciało Bendera, zostawiając odsłoniętą tylko głowę i szyję. Ile to już razy Lake wodził pędzlem po namalowanej szyi, gdy przed nim siedziała zupełnie znudzona modelka? Żałował, że tak pilnie uczył się anatomii. Przyłapał się na tym, że liczy i nazywa mięśnie na szyi Bendera, kataloguje żyły i tętnice, mięśnie i ścięgna.

Kruk i Bocian cofnęli się za trumnę, pozostawiając Lake'owi sporo przestrzeni. Nóż w jego ręce był zimny i ciężki. Lake dostrzegał delikatne płatki rdzy, które skaziły wnętrze każdej z wyrytych liter napisu *Hoegbotton i Synowie*.

Opuścił głowę i spojrzał na Vossa Bendera. Kompozytor miał wytrzeszczone, nabiegłe krwią, wodniste oczy. Żebrał o litość przez knebel słowami, które Lake rozumiał tylko częściowo. *Nie... Nie... Co ja... Pomocy...* Lake czuł szacunek wobec potęgi Bendera, a mimo to, stojąc nad swoją potencjalną ofiarą, odkrył, że władza, jaką ma nad nim, sprawia mu przyjemność. Mieć taką władzę. To był człowiek, którego dopiero co przeklinał, człowiek, który tak odmienił miasto, że jego śmierć je podzieliła.

Voss Bender zaczął się rzucać, a wtedy - jakby ten ruch przełamał jakiś czar - poczucie tryumfu zmieniło się w odrazę podszytą mdłościami. Lake roześmiał się z wysiłkiem.

- Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego.

Próbował wypuścić z ręki nóż, ale dłoń Kruka zacisnęła się na jego ręce i zwinęła ją w pięść, po czym skierowała w stronę trumny, zmuszając Lake'a, by się pochylił w chwili, gdy nóż znalazł się obok gardła Bendera. Bocian trzymał głowę ofiary prosto, pieszcząc zakola nieszczęśnika z jakąś dziwną czułością. Sowa stał na boku, obserwując całą tę grę namiętności jak przycupnięty na gałęzi ptak. Lake chrząknął, walcząc z niezłomnym naciskiem Kruka. Kiedy już się wydawało, że musi się ugiąć, szarpnął w bok. Ostrze opadło pod bezsensownym kątem, a Bender usiłował się uchylić. Nóż odciął tylko płat skóry po lewej stronie szyi. Krew chlusnęła obficie.

Jakby ten cios miał być jakimś sygnałem, Kruk i Bocian cofnęli się, dysząc ciężko. Bender zbulgotał, jakby się zachłystnął własną krwią.

Lake zakółsał się i upadł na kolana.

- Straciliście rozum. Chcecie mieć jego krew na rękach? - Rzekł do swoich towarzyszy Sowa.

Lake spojrzał na nóż, na niefachowo rozcięte gardło Bendera, potem znów na nóż.

Krew zasłoniła prawie cały napis, widać było tylko „Hoeg” w słowie „Hoegbotton”. Splamiła mu całą lewą rękę. Nie wyglądała jak farba: była za jasna. Zaczęło go swędzieć tam, gdzie zasychała.

Zamknął oczy i odniósł wrażenie, że ściany gabinetu pędem oddalają się od niego, a on stoi na brzegu nieskończonej ciemności. Z wielkiej odległości zabrzmiał głos Sowy:

- On teraz umrze. Tylko że powoli. Bardzo powoli. Będzie coraz słabszy, aż - w potwornych mękach - podda się po paru godzinach czy dniach. A my nie kiwniemy piórem ani palcem, żeby mu pomóc. Będziemy tylko patrzeć. Nadal masz wybór: wykończyć go i żyć albo dać mu żyć, a samemu umrzeć. Zabicie go teraz będzie aktem miłosierdzia.

Lake uniósł wzrok na Sowę.

- Dlaczego ja?

- Skąd wiesz, że jesteś pierwszy? Skąd wiesz, że zostałeś wybrany?

- Taka jest wasza odpowiedź?

- Taka jest jedyna odpowiedź. Innej nie będzie.

- Co on wam zrobił, że jesteście tacy bezduszni?

Sowa spojrzał na Kruka, Kruk na Bociana - i nagle coś zadrżało, coś się przetoczyło między nimi, i Lake pomyślał, że chyba zna odpowiedź. Widział taką samą wymianę spojrzeń między artystami obsiadającymi kawiarnie przy bulwarze Albumuth, którzy dokonywali werbalnej wiwisekcji jakiegoś młodego geniusza.

Zaśmiał się gorzko.

- Boicie się go, tak? Zazdrościcie mu i pragniecie jego władzy, ale przede wszystkim boicie się go. Boicie się go tak, że nawet nie zabijecie go sami.

- Wybieraj - odezwał się Sowa.

- A najzabawniejsze jest to - mówił dalej Lake - najzabawniejsze jest to, rozumiecie, że kiedy już będzie martwy, uczynicie go nieśmiertelnym.

Płakał? Miał mokrą twarz pod maską. Patrzył w milczeniu na krew sączącą się z gardła Bendera. Patrzył na dłonie Bendera, które drżały jak dotknięte jakimś porażeniem.

Co ten genialny kompozytor widział w swoich ostatnich chwilach? - Zastanawiał się później Lake. Czy widział nóż, rękę, która go trzymała i opadła, czy samego siebie w Morrow, nad rzeką, spacerującego po zielonym polu i nucącego cicho? Czy widział twarz kochanki w namiętym grymasie? Jakąś chwilę z czasów, zanim zdobył sławę, która go zniszczyła? Może nie widział niczego, skąpany w crescendo swojej najpotężniejszej symfonii, która przetaczała mu się przez mózg falą krwi.

Pochylając się nad Vossem Benderem, Lake dostrzegł w oczach mężczyzny odbicie czarnej maski Kruka, który podszedł bliżej, by obserwować mord.

- Cofnij się! - Zasyczał Lake, wymachując nożem.

Kruk odskoczył.

Lake przypomniał sobie, jak mężczyzna z koszmaru sennego rozcinał mu rękę - tak metodycznie, tak starannie. Przypomniał sobie ręce ojca, rozłożone, by pokazać ukryte w nich świetliste skarby, reakcję Shriek na namalowane przez niego dłonie ojca. Ach, ale Shriek nic nie wiedziała. Nawet Raffie nic nie wie. Nikt z nich nie wiedział tego co on.

Nagle, klnąc i szlochając, z ustami ściągniętymi w strasznym grymasie, chlasnął nożem po gardle Bendera, napierając na ostrze całym ciężarem, i patrzył, jak z najślynniejszego kompozytora na świecie uchodzi życie. Nigdy w życiu nie widział tyle krwi, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Na zawsze miał zapamiętać moment, w którym jego wzrok napotkał wzrok Bendera i nadciągnęła niejako śmierci, gasząc iskrę, która kiedyś była życiem.



*Jego oczami* jest próbą przedstawienia niezwyklej dla dzieł Lake'a perspektywy, gdyż zostało namalowane z punktu widzenia martwego Vossa Bendera, leżącego w otwartej trumnie (to apokryficzne zdarzenie, ciało Bendera poddano bowiem kremacji), patrzącego w górę na

osoby zgromadzone nad trumną, które z kolei patrzą na niego w dół, a perspektywa stopniowo traci na znaczeniu, więc za spoglądającymi w dół ludźmi widzimy rzekę Moth nałożoną na niebo i żałobników stojących na jej brzegach. Jedną z osób patrzących na Bendera jest Lake, inną - zakryty kapturem łowca owadów, a trzy mają na twarzy maski - to powtórzenie motywu sowy, kruka i bociana z *Płonącego domu*. Patrzą na niego jeszcze cztery inne postacie, te jednak nie mają twarzy. Sceny w tle tego monstrualnego płótna istnieją w świecie, który zakrzywił się wokół samego siebie, a szczegóły zjawiają się, by nas przekonać, że widzimy równocześnie niebo, zielone pola, drewniane miasto i brzegi rzeki.

Zacytujmy Venturiego: „Kolory pogłębiają tajemnicę: właśnie zapada zmierzch, rzeka ciemnieje; czerwienie są intensywne lub posępne, żółcie i zielenie głębokie; złowieszcze, zielonkawe niebo jest kosmetycznym odbiciem ziemskiej śmierci”. Cały obraz otacza cienka czerwona linia, która krwawi na jakieś dwa centymetry w głąb. To niezwykle obramowanie sugeruje świeżość, jakże niestosowną w zestawieniu z trumną, zaś sceny w tle mają w zamierzeniu przedstawiać wyobrażoną przez Lake’a idealną młodość Bendera, spędzoną na łonie natury, wśród pól i rzek. Dlaczego Lake zdecydował się na przedstawienie Bendera w trumnie? Dlaczego zastosował taki montaż? Po co ta czerwona linia? Mary Sabon sugeruje, że powinniśmy zignorować trumnę i skupić się na czerwonej linii oraz kłębowisku obrazów, ale nawet ona nie podsuwa spójnego wyjaśnienia.

Jeszcze bardziej zagadkowa i niewątpliwie niezwykła jest *Aria do łamliwych kości zimy*, obrazująca równowagę między dźwiękiem i kolorem: muzyczną skalę opartą na intensywności kolorów, w której, zdaniem Sabon, „kolor ma przemawiać martwym językiem”. „Bohater” jedzie przez rozsypujący się cmentarz w stronę zamrożonego jeziora. Niebo jest ciemne, ale po powierzchni jeziora ślizga się odbicie księżyca, będące zarazem odbiciem twarzy Vossa Bendera. Trzciny otaczające brzegi jeziora składają się z nut, tak sprytnie wplecionych, że fakt, iż są to nuty, nie od razu jest widoczny. Pada śnieg, a jego płatki także są nutami - blednące nuty na tle niebieskoczarnego nieba, nieomal jakby aria Bendera rozpadała się, zanim jeszcze zostanie wykonana.

W tym najbardziej niejednoznacznym ze wszystkich obrazów Lake stosuje subtelne gradacje bieli, szarości i błękitu, by imitować rozwój samej arii: pociągnięcia pędzla, krótkie i długie, szorstkie lub gładkie, w istocie imitują rozwijanie się arii, jakby czytały nuty z pięciolinii.

Cały ten ruch pośrodku pozornie nieruchomego krajobrazu pędzi w kierunku jeźdźca, który - niczym kontrapunkt albo głos protestu - dąży w kierunku przeciwnym do kierunku arii. Światło księżyca oświetla twarz jeźdźca, ale także i w tym przypadku jest ono zaledwie

odbiciem, więc rysy twarzy są oświetlone od spodu, nie z góry. Ten wymizerowany, osuwający się w siodle jeździec to bez wątpienia Lake. (Venturi opisuje jeźdźca jako „rytmiczne tętnienie niewypowiedzianego żalu”). Wyraz twarzy ma abstrakcyjny, płynny, szczególnie w odniesieniu do ponurego realizmu reszty obrazu. Wydaje się zatem niejednoznaczny, niezdecydowany, bez mała niedokończony - i rzeczywiście, w chwili powstawania obrazu, i w odniesieniu do Vossa Bendera, Lake niewątpliwie BYŁ niedokończony.

Fakt, że *Aria do łamliwych kości zimy* nie jest aż tak popularna jak choćby eksperymentalne dzieło *Jego oczami* może być spowodowany tym, że Lake użył ikonografii zbyt osobistej i znaczenie obrazu jest znane wyłącznie jemu. O ile w przypadku *Zaproszenia* czy *Płonącego domu* widz ma wrażenie, że upoważniono go - czy wręcz zaproszono - do podzielenia się swymi osobistymi odczuciami, *Aria* stwarza wrażenie zamkniętego systemu, jakby artysta zwrócił oczy w głąb samego siebie. Nawet odwołanie do nazwiska twórcy, kiepski żart, który zwraca uwagę widza na to, że nazwisko autora oznacza po angielsku jezioro, nie jest pomocny w zrozumieniu podtekstów tego dzieła. Jak napisał Venturi: „Choć płótna Lake’a raczej nie narzucają nam nowego języka, jeśli już tak się stanie, nie otrzymujemy żadnego przewodnika, który pomógłby nam je przetłumaczyć”. Kontrowersyjny krytyk sztuki, Bibble, posunął się aż do tego, że napisał na temat *Arii*: „Obrazy [Lake’a] to nierzadko kamienie nagrobne, nierzadko małe śmierci - na płótnach, które ledwo skrywają tłumioną przemoc, przez co są zbyt wielkie, by nadawać się na ścianę”.

Bez względu jednak na to, jak jest w istocie, w *Zaproszeniu*, *Jego oczami* i *Arii* istnieją pokrewne motywy. Powiązania te są wątle, może nawet tajemnicze, ale nie możemy ich przeoczyć.

Lake pojawia się na wszystkich trzech obrazach - i tylko na tych trzech. Łowca owadów i Bender pojawiają się razem wyłącznie na drugim obrazie, *Jego oczami*. Łowca owadów pojawia się w *Zaproszeniu*, ale nie w *Arii* (gdzie, trzeba to przyznać, stanowiłby dziwaczny i niemile widziany dodatek). Bender pojawia się w *Arii*, i jego obecności można się domyślać w *Jego oczami*, ale nie pojawia się, w sposób domyślny ani żaden inny, w *Zaproszeniu*. Rodzi się pytanie: czy łowca owadów zamieszkuje również *Arię*, niedostrzegalny dla oczu zwykłego obserwatora - może nawet spoczywa na skutym lodem cmentarzu? Oraz, co ważniejsze, czy duch Vossa Bendera w jakiś sposób nawiedza płótno zatytułowane *Zaproszenie na egzekucję*?

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake’a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Już po wszystkim Lake wytoczył się w ciemną noc. Mgła rozproszyła się, a gwiazdy wisały na niebie jak blade rany. Lake zerwał z głowy maskę żaby, zwymiotował do rynsztoka i pokuśtykał w stronę publicznego źródelka ze słonawą wodą, gdzie bezskutecznie szorował dłonie i ramiona: krew nie chciała schodzić. Gdy przerwał te szaleńcze wysiłki, zobaczył, że grzybianie zaprzestali walki ze świniami i patrzą na niego szerokimi, rozumnymi oczami.

- Odejdźcie! - Krzyknął. - Nie patrzcie na mnie!

Potem ruszył, nie wiedząc, dokąd idzie; po jakimś czasie zaświtała mu w głowie niewyraźna myśl, że powinien udać się do swojego mieszkania. Umył ręce w publicznej toalecie. Wyszorował dłonie żwirem. Obgryzał je. Nic nie pomagało: odór krwi robił się coraz bardziej intensywny. Niszczyło go coś większego niż on sam, coś, co nadal tkwiło schwyte gdzieś w nim samym.

Włóczył się po ulicach, alejkach i zaułkach, na tyłach dzielnicy urzędników, a potem zszedł w zieloność doliny, aż jakiś powarkujący chart zagnał go z powrotem do dzielnicy kupców. Sklepy były pozamykane, latarnie i lampy przygaszone. W połyskliwym świetle ulice wyglądały na śliskie i lepkie, ale były suche jak kreda. Nie widział prawie nikogo, tylko raz grupa Czerwonych i Zielonych przebiegła obok niego, rozdając sobie ciosy w biegu z wyrazem słusznego oburzenia na twarzach.

- To nic nie znaczy! - Krzyknął za nimi Lake. - On nie żyje!

Zignorowali go, a po chwili, jak jakaś chaotyczna bestia walcząca sama ze sobą, znikli mu z oczu, pędząc ulicą.

Szlochając i rozpaczając, Lake cały czas widział przez wszystko inne twarz Bendera, z której uchodziło życie; oczy zwrócone ku niebu, jakby szukały odkupienia, pierś w ostatnim pełnym oddechu, ręce nagle zaciśnięte na sznurach, które je pętały, nogi walące o dno trumny, a potem... Bezruch. Ambergris, okrutne, bezwzględne miasto, nie dawało mu zapomnieć o tym czynie; z każdego rogu - z plakatów, ulotek, szyldów - patrzyła na niego twarz Vossa Bendera.

W końcu ułomna noga zaczęła sprawiać dotkliwy ból; Lake upadł na szkarłatnym progu domu uciech i spał tam, pod obojętną na wszystko kopułą nocy, pod okrutną pustką gwiazd, przez godzinę czy dwie - aż *madame* wypędziła go stamtąd przekleństwami i ciosami miotły.

Gdy mizerne światło słońca wypełzło na miasto, ujawniając w takim samym stopniu Czerwonych i Zielonych, Lake odkrył, że jest w miejscu, którego już nie pojmuje, na ulicach

wypełnionych twarzami, których nie chce oglądać, ale które niewątpliwie patrzyły na niego: od ulicznych sprzedawców kanapek w ich szpiczastych pomarańczowych czapkach i fartuchach w pomarańczowe paski po bankierów w rdzawoczerwonych garniturach, z ciemnymi teczkami ozdobionymi skorupą żółwia; od dobrze odkarmionych niań o białych twarzach po przedstawicieli złotej młodzieży ze szkarłatnym makijażem na twarzach, którzy wyglądali, jakby z niego wyrosli.

Wraz ze świadomością innych wróciła świadomość samego siebie. Zauważył szczecinę na policzku, osad na zębach, kwaśny odór brudnych ubrań. Oglądając świeckich obywateli miasta, Lake poczuł nagle ogromne pragnienie znalezienia się w Dzielnicy Religijnej, a wszelkie myśli o powrocie do mieszkania wyparowały mu z głowy.

Szedł coraz szybciej i pewniej, aż tam dotarł: chodził między wyznawcami, pielgrzymami i kapłanami, gapiąc się niemo na niezliczone odmiany świętych grot, wież, kopuł, łuków katedr niezliczonych wyznań, jakby nigdy dotąd ich nie widział. Czerwoni i Zieloni nie pokazywali się tutaj, więc ulice pełne były uciekinierów zbiegłych przed ich szaleństwem.

Kościół Siedmioramiennej Gwiazdy miał prawdziwy konfesjonał dla grzeszników. Lake stał długo przed skromnymi drewnianymi drzwiami świątyni (nad którymi wznosiła się równie skromna kopuła), rozdarty między potrzebą spowiedzi, strachem przed odwetem, jaki może go osiągnąć, a przekonaniem, że nie powinien otrzymać rozgrzeszenia. Wreszcie poszedł dalej, gnany okropnym palącym uczuciem, które miało stać się jego ciężarem na wiele lat. Nikt nie mógł mu udzielić odpowiedzi. Nikt. Dzielnica Religijna wprawiała go teraz w zakłopotanie, gdyż nie oferowała ani odpowiedzi, ani ulgi. Wędrował bez celu, tak jak nocą włóczył się po mieście. Był spragniony, głodny, a noga dygotała mu ze zmęczenia.

Wreszcie, na skraju Dzielnicy Religijnej, w miejscu, gdzie łączyła się ona z Dzielnicą Biurokratów, Lake wkroczył na otoczoną drzewami polanę i stanął twarzą w twarz z olbrzymią marmurową głową Vossa Bendera. Głowę uszkodził trochę ogień i zarosła winoroślą, a jednak nigdy dotąd linie ust i nosa nie jawiły się Lake'owi tak heroiczne, a oczy nie patrzyły tak szczerze. Pod ciężarem tego spojrzenia Lake poczuł, że nie może już dalej iść. Upadł na miękką trawę i leżał nieruchomo w cieniu marmurowej głowy.

Dopiero późnym popołudniem znalazła go tam Raffé i zaprowadziła do jego mieszkania.

Mówiła coś do niego, ale nie rozumiał. Błagała go. Płakała i tuliła. Uznał jej troskliwość za tak zabawną, że nie mógł powstrzymać śmiechu. Nie chciał jej jednak nic powiedzieć, więc wmusiła w niego trochę jedzenia i picia, po czym poszła odszukać



Merrimounta.

Pozostawiony samemu sobie Lake podarł na strzępy swoje nieukończone dzieła na zamówienie. Wydawały mu się pełne głupkowatego samozadowolenia, a to doprowadzało go do szału. Oszczędził tylko obraz z rękami ojca i olejne dzieło, które zaczął malować dzień wcześniej. Odkrył, że nadal jest zauroczony zielonością, z której tak groźnie sterczy głowa mężczyzny z koszmaru. Odnosiło się wrażenie, że Lake uchwycił w obrazie duszę miasta z całym jego przeklętym zepsuciem, gdyż mężczyzną z nożem był, rzecz jasna, on sam, a uśmiech był w istocie grymasem. Nie mógł się pozbyć obrazu, nie mógł też zmusić się do skończenia go.



Czasem to, czego malarz decyduje się nie malować, może być równie ważne jak to, co maluje. Czasem nieobecność pozostawia po sobie donośne echo. Czy Bender krzyczy do nas dzięki swej nieobecności? Wielu krytyków sztuki przypuszczało, że Lake musiał spotkać Bendera w ciągu pierwszych trzech lat pobytu w Ambergris, ale brak dowodów na zaistnienie takiego spotkania; jeśli istotnie spotkał Bendera, nie powiedział o tym żadnemu ze swoich przyjaciół czy znajomych, więc wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. Poszlaki, przedstawione przez Sabon, wskazują na przypominający bociana cień w *Zaproszeniu*, gdyż jest powszechnie wiadome, że Bender chorobliwie bał się ptaków; ponieważ jednak Lake także chorobliwie bał się ptaków, nie mogę zgodzić się z Sabon w tej kwestii. (Sabon uznaje także za znaczące, że zmarły niedawno Lake został poddany kremacji, podobnie jak Bender, a jego prochy rozsypano po rzece Moth, podczas gdy jego przyjaciel Merrimount wypowiadał słowa: „By podążyć za tobą, w żalu i w pokorze”).

Z braku bardziej szczegółowych informacji biograficznych na temat Lake'a w tym okresie, musimy oprzeć się na skąpych danych z podręczników historii. Jak powszechnie wiadomo, po śmierci Bendera miały miejsce walki między Czerwonymi a Zielonymi, z punktem kulminacyjnym w postaci oblężenia Poczty imienia Vossa Bendera, którą Czerwoni zajęli siłą, by wkrótce potem, po krwawych walkach, ulec wyparciu przez Zielonych.

Czy takie, jak uważają niektórzy krytycy, mogło być przesłanie *Zaproszenia*? Twarz krzyczącego człowieka, ostrze noża przebijające dłoń podtrzymywaną przez Śmierć, która właśnie zabrała Vossa Bendera? Być może. Wolę jednak wierzyć w bardziej osobistą interpretację. Dla kogoś, kto wie tyle co ja o relacji Lake'a z jego ojcem, znaczenie osobiste jest aż nadto widoczne. W tych wszystkich trzech obrazach, począwszy od *Zaproszenia*,

oglądamy odrzucenie Lake'a przez jego naturalnego ojca (łowcę owadów) i przyjęcie go przez Bendera, jego prawdziwego ojca artystycznego.

Cóż w takim razie przekazuje nam *Zaproszenie*? Ukazuje ojca Lake'a, metaforycznie opuszczającego swego syna. Ukazuje zrozpaczonego syna z listem od ojca - listem z pisemnym powiadomieniem o odrzuceniu. „Egzekucja” w *Zaproszeniu na egzekucję* to detronizacja króla - jego ojca... A jednak, gdy król zostaje stracony, zawsze nastaje nowy król.

Po kilku dniach od tego duchowego odrzucenia Voss Bender umiera, i te dwa wydarzenia - odrzucenie przez ojca i śmierć wielkiego artysty - nierozdzielnie się u Lake'a łączą, a jedynym wyjściem staje się kult zmarłego artysty; wejście na tę ścieżkę było możliwe dzięki wychowaniu przez religijną matkę mistyczkę. A zatem *Jego oczami* opowiada o życiu i śmierci Bendera i metaforycznej śmierci prawdziwego ojca. *Aria* nadaje Benderowi wskrzeszoną twarz, wskrzeszone życie, jako że potęga i światło leżące u źródeł sukcesu wymizerowanego jeźdźca - pogrążonego w żalu, gdyż właśnie pogrzebał swego prawdziwego ojca na skutym lodem cmentarzu - pozwoliły, by mit, siła jego nowego ojca, księżycy, odbicia jego samego - Bendera - zaćmiły naturalnego ojca.

I wreszcie, obrazy te opowiadają o tęsknocie Lake'a za ojcem, którego nigdy nie miał. Bender jest bezpiecznym ojcem, gdyż już nie żyje i nie może odrzucić syna, który go adoptował. Jeśli omawiane obrazy będą coraz trudniej dostępne, przyczyną niewątpliwie będzie fakt, że ich znaczenie staje się coraz bardziej osobiste.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Dni płynęły w normalnym tempie, ale Lake egzystował poza ich wpływem. Czas go nie dotykał. Godzinami siedział na balkonie, gapiąc się na chmury czy przebiegłe jaskółki, które przecinały powietrze jak srebrnobłękitne nożyce. Słońce go nie ogrzewało. Bryza nie chłodziła. Czuł się pusty w środku - tak powiedział Raffè, gdy go spytała, jak sobie radzi. „Czuł” także nie było właściwym słowem, gdyż nie czuł niczego. Był nierzeczywisty. Nie miał duszy - już nigdy nie miał pokochać, nigdy nie miał się z kimkolwiek związać, tego był pewien, a ponieważ nie odczuwał takich emocji, nie tęsknił za ich spełnieniem. Były nieistotne, nieważne. Po prostu był, ani w mniejszym, ani w większym stopniu niż martwa gałązka, grudka brudu, bryłka węgla. (Raffè: „Nie mówisz tego serio, Martinie! Nie możesz

mówić tego serio...”). Więc nie malował. W ogóle niewiele robił, a później zdał sobie sprawę z tego, że gdyby nie bliźniacza miłość Raffę i Merrimounta, miłość, której nie musiał odwzajemniać, pewnie umarłby w ciągu miesiąca. Oni mu pomagali, a on nienawidził tej pomocy. Nie zasługiwał na pomoc. Powinni zostawić go w spokoju. Ignorowali jednak jego nienawistne spojrzenia, napady złości. Co gorsza, nie domagali się wyjaśnień. Raffę przynosiła mu jedzenie i płaciła czynsz. Merrimount dzielił z nim łożę i tulił go, gdy noce, w przeciwieństwie do nudnych, nieobfitujących w wydarzenia dni, były pełne koszmarów, szczegółowych i odrażających: biała, odsłonięta szyja, strużka potu na cieniu rzucanym przez podbródek, drobne włoski rozstępujące się przed ostrzem noża...

Tydzień po tym, jak Raffę go znalazła, Lake zmusił się, by pójść na pogrzeb Bendera, a Raffę i Merrimount uparli się, żeby mu towarzyszyć, choć chciał iść sam.

Pogrzeb był wystawnym wydarzeniem: kondukt przewędrował w strumieniach Konfetti przez cały bulwar Albumuth aż do doków. Główna część konduktu stanowiła istną reklamę firmy Hoegbotton i Synowie, importera i eksportera, który zdominował większość handlu w Ambergris w ciągu ostatnich lat. Zorganizowana pozornie na wzór oper Bendera parada skupiała się wokół motywu wiosny, a poza gałązkami, wypchanymi ptakami i ogromnymi trzmielami, które uczestnicy konduktu mieli przyłączone do siebie jak dziwaczne wypustki, grała absurdalnie wyglądająca orkiestra na platformie zaprzęgniętej w konie pociągowe.

Za paradą jechał manzikertem kabrioletem Hoegbotton senior; oczy miał jak dwie lśniące czarne łzy na straszliwie bladej twarzy i spoglądał na świat, jakby właśnie kandydował na jakiś urząd polityczny. I tak w istocie było: Hoegbotton, ze wszystkich mieszkańców miasta, miał największe szanse na zastąpienie Bendera na stanowisku nieoficjalnego władcy Ambergris...

Na tylnym siedzeniu należącego do Hoegbottona manzikerta siedziało dwóch mężczyzn o gadzim wyglądzie: wąskich oczach i okrutnych, zmysłowych ustach. Między nimi stała urna z prochami Bendera: wystawny, ociekający złotem kicz. To właśnie ich liczba - trzy - i hoegbottońskie manieryzmy wzbudziły w Lake’u podejrzenie, ale podejrzenie to pozostało podejrzeniem, gdyż nie miał dowodu. Żadne złowieszcze pióra, które gdzieś utkwily tydzień temu, by teraz opadając wolno i wirując opaść do stóp Lake’a, nie wypadły z kieszeni winowajców.

Resztę ceremonii Lake zapamiętał jak przez mgłę. W dokach liderzy społeczności, w tym Kinsky (Hoegbotton był ostentacyjnie nieobecny) wygłosili kojące frazesy, mające w zamierzeniu upamiętnić nieboszczyka, po czym wzięli urnę z podstawki, otworzyli wieczko i

rozsypali prochy największego kompozytora na świecie po błękitnobrązowych wodach rzeki Moth.

Voss Bender nie żył.



Czy moja interpretacja jest poprawna? Chciałabym móc tak uważać, ale jednym z największych wyzwań, największych uroków sztuki jest to, że wymyka się ona analizie albo dostarcza różnorodnych teorii na temat swego istnienia. Ponadto nie potrafię wyjaśnić obecności trzech ptaków w powiązaniu z czerwoną obwódką i formatem montażowym.

Bez względu na to, jaka jest geneza i przesłanie *Zaproszenia na egzekucję*, wyznacza ono początek spektakularnej kariery Lake'a. Przed namalowaniem tego obrazu był nieznanym nikomu malarzem. Po jego namalowaniu został uznany za jednego z największych artystów południowych miast, a jego popularność jako malarza miała wkrótce dorównać popularności Bendera jako kompozytora. Lake miał projektować niezwykle oryginalne scenografie do oper Bendera, w ten sposób przyczyniając się do interpretacyjnego renesansu jego twórczości. Zatrudniono go, choć efekt był katastrofalny, do namalowania dzieł upamiętniających Henry'ego Hoegbottona, faktycznego władcę Ambergris po śmierci Bendera. Jego ilustracje do słynnego truffidiańskiego *Dziennika Samuela Tonsure'a* były uznawane za cudeńka sztuki rytowniczej. Wystawy jego dzieł zaszczycał nawet dwór Kalifa, a prawie co roku wydawano nową książkę z jego popularnymi grafikami i rysunkami. Na setki sposobów odnowił życie kulturalne Ambergris i uczynił to miasto cudem południa (choć zawsze wydawał się dziwnie rozdrażniony, nieomal udręczony tym sukcesem). Te fakty są bezsporne.

I wreszcie, czy w liście trzymanym w ręce przez krzyżącego człowieka w *Zaproszeniu na egzekucję* tkwi jakaś tajemnica - tego możemy się nigdy nie dowiedzieć.

Fragment z *Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję*, autorstwa Janice Shriek, *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*, wydanie piąte.



Minął rok, podczas którego - jak to często zauważała Rafie i inni przyjaciele - Lake robił wrażenie, jakby pokutował za jakąś ezoteryczną zbrodnię. Spędzał długie godziny w Dzielnicy Religijnej, włóczęc się po ciemnych uliczkach i ciasnych zaułkach, szukając w brudnym, antycznym świetle scen, które najlepiej oddawały jego żal i okrutną, beznamiętną pasję miasta, które stało się jego domem. Słyszał za plecami szept, plotki, że oszalał, że nie

jest już malarzem, ale kapłanem nienazwanej religii, że uczestniczył w jakimś niesamowitym rytuale grzybian, ale ignorował takie gadanie, a właściwie w ogóle go nie słyszał.

Sześć miesięcy po pogrzebie Bendera Lake, z nową laską w drżącej dłoni, poszedł na ulicę Archmont 45. Znalazł tylko wypaloną skorupę, a jedynym przedmiotem, jaki udało mu się rozpoznać w ruinach, było popiersie Trilliana, pocerniałe, ale nietknięte. Podniósł je z zamiarem zabrania do swojego mieszkania, ale gdy tak wędrował wśród ruin, szukając jakichś śladów tego, co się tam stało, pomysł ten wydał mu się nagle niesmaczny; zostawił więc popiersie na stercie gruzów, z obojętnymi oczami patrzącymi w bezkształtne niebo. Nic nie zostało, ale nozdrza drażnił mu lekki zapach padliny i dymu. Zresztą może to był tylko sen.

Jeszcze tego samego miesiąca Lake poprosił Merrimounta - cudownego, najdroższego Merrimounta - żeby przeprowadził się do niego na stałe. Nie zaplanował tego, ale kiedy już wypowiedział te słowa, wydały mu się stosowne, a Merri ze łzami w oczach zgodził się; uśmiechnął się po raz pierwszy od ciężkiej próby, jaką przeszedł Lake. Świątowali w kawiarni; Raffe wyraziła ostrożną aprobatę, a Sonter i Kinsky przynieśli prezenty i życzyli im wszystkiego dobrego.

Potem wszystko zmieniło się na lepsze. Choć koszmary senne nadal go nawiedzały, Lake odkrył, że obecność Merrimounta pomaga mu zapomnieć, a przynajmniej nie pamiętać. Poszedł do galerii Shriek i zabrał wszystkie swoje obrazy, a potem spalił je w beczce na tyłach kamienicy. Zaczął znów odwiedzać „Pod Czerwonogardłym Cielaczkim”. Ojciec przyjechał do niego pod koniec zimy i spotkanie przebiegło w lepszej atmosferze, niż można było się spodziewać, nawet wtedy, gdy pełen rezerwy starszy pan pojął istotę związku swego syna z Merrimountem. Był szczerze wzruszony, kiedy Lake pokazał mu bliźniacze obrazy, przedstawiające jego własne ręce wypełnione owadami, a Lake poczuł, że dzięki tej aprobacie on sam stał się mniej obojętny. Łód zaczął pękać. Pośród cieni zapłonęło światelko.

Tylko Ambergris - miasto odmian i miasto dziewic - robiło, co mogło, żeby przypominać mu o mrokach. Wszędzie pojawiły się wyrazy czci dla Bendera, a kompozytor nigdy wcześniej nie cieszył się taką popularnością. Można by rzec z pełnym przekonaniem, że zaskarbił sobie trwałe miejsce w pamięci. Pod mściwym spojrzeniem pomników i plakatów Bendera, pośród budynków jego imienia, Czerwoni i Zieloni z czasem stracili zainteresowanie i znudzili się. Niektórzy przyłączyli się do tradycyjnych frakcji politycznych, ale wielu zginęło w ostatecznym starciu w budynku Poczty imienia Vossa Bendera. Gdy nadeszła wiosna, Ambergris niewiele się różniło od miasta sprzed śmierci kompozytora.

Wiosną, pewnego chłodnego poranka, Lake usiadł przed niedokończonym obrazem

przedstawiającym człowieka z koszmaru. Mężczyzna uśmiechał się, ukazując połamane zęby, jakby ostrzegał, ale nie był już przerażający. Był samotny i smutny, schwytyany w pułapkę zielonej farby otaczającej twarz.

Lake wysliznął się z łóżka, by nie obudzić śpiącego jeszcze kochanka, ale po chwili i tak poczuł na plecach wzrok Merriego. Ostrożnie wziął do ręki pędzel i nową tubę ciemnozielonej farby. Trzonek pędzla był szorstki, ziarnisty, tubka z farbą gładka i smukła. Lake trzymał pędzel niepewnie, lecz mocno. Farba przyjemnie pachniała i czuł, jak ta obietnica budzi do życia jego zmysły. Słońce z balkonu otoczyło go ciepłem.

- Co ty robisz? - Mruknął Merrimount.

Lake odwrócił się; światło, które napływało przez okna, było prawie nieznośne.

- Maluję - powiedział z cierpkim, udręczonym uśmiechem.



*Rzeczy wywołane w pamięci gromadzą się, zbiegają z różnych stron, a czyniąc to, niektóre z nich muszą pokonać nie tylko odległość w przestrzeni, lecz również i w czasie. Można więc zastanawiać się, z czym większy kłopot, z owym koczownikiem, z tamtą młodą topolą rosnącą niegdyś w pobliżu i już dawno ściętą, czy jakimś dowolnie wybranym podwórzem, co wciąż istnieje, lecz znajduje się daleko stąd. Zdecydujcie, proszę.*

Władimir Nabokow, *Leonardo*

(tłum. Teresa Truszkowska)





**ORANEK BYŁ NIEPRZYJEMNIE** wilgotny. Z matowo pochmurnego nieba metodycznie i z wolna opadała ku ziemi drobna mżawka. Kiedy tak szedł, niemal wydawało mu się, że to ledwie efemeryczny, ulotny deszczyk, lecz otaczające go budynki, trwające w swych okopconych szeregach - wypłwiała, szerniała, nasączone zapachem benzyny i siana zmieszany ze smrodem odchodów - na tle spadających z nieba kropel wody wyglądały ledwie na zarys, na wyczerpane przez nią do cna. A już z pewnością były z nią co najmniej pojednane i pogodzone. Nieliczni mijani na ulicy przechodnie drżeli z chłodu. Byli przyciszeni, anonimowi, i wyglądali cherlawo. Ich buty wydawały w kałużach chlupoczące odgłosy - dźwięk, który wręcz wstrząsał w panującej wokół ciszy, przygnębiając go jeszcze bardziej. Z radością i ulgą przywitał więc chwilę przybycia na miejsce, gdy zamykające się za nim szklane drzwi odcięły go od zapachu deszczu.

Wewnątrz, jak na ironię, otoczył go za to słodkawy zapach stęchlizny i chorej sterylności. Kichnął, odłożył aktówkę. Ściągnął kalosze i postawił je przy drzwiach. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, który wyglądał, jakby ściekające po nim strumienie deszczu wryły w nim bruzdy, a następnie zawiesił go na absurdalnie złowieszczym stojaku, przyozdobionym głowami rozwścieczonych gargulców. Otrzepał się, rozpryskując wokół siebie zbłąkane krople wody, po czym wyprostował krawat i przyglądził czarne włosy. Ubolewając nad brakiem kawy, wyciągnął z kieszeni marynarki świstek papieru. Pokój numer 54. W dole. Daleko w dole. Wiele, wiele prowadzących w dół schodów.

Rozejrzył się po pustym westybulu wyłożonym białymi i szarymi płytkami. Po niczym nie wyróżniających się drzwiach. Wnętrze oświetlały padające z góry warstwy matowego światła, większość z nich migotała anormalnością. Znajdowały się tu stworzone specjalnie dla biurokratów zegary uzbrojone w matowe wskazówki. Tworzyły one rozmieszczone niewinnie co kilka metrów cicho tykające nieszkodliwe szare kręgi. Był w stanie usłyszeć wydawane przez nie dźwięki wyłącznie dlatego, że większość personelu udała się na urlopy. Panująca wokół pustka nadawała stojącemu przed nim zadaniu pewną łatwość wykonania. Nie zamierzał się spieszyć. Ani trochę.

Podniósł aktówkę i przeszedł przez westybul. Jego buty skrzypiały na lśniącej, pokrytej płytkami podłodze, ku jego zdumieniu najwyraźniej świeżo nawoskowanej.

Minął trzy kolejne stojaki na płaszcze, każdy równie banalnie powtarzający formy gargulców, a żaden z nich, nawet w najmniejszym stopniu, nie przystawał do marzeń snutych

przez przełożonych tej placówki, by wyglądała ona, jak przystało na nowoczesną instytucję. W kolejnych drzwiach dostrzegł przed sobą stojącego na baczność samotnego strażnika. Człowieka tak bardzo wychudzonego, że znajdującego się niemal na granicy głodu. Strażnik nie spoglądał ani w prawo, ani w lewo. Nawet nie mrugnął okiem w odpowiedzi na kiwnięcie. Czyżby był martwy? Wydzielał zapach starej skóry i dziegciu. Czy on sam po śmierci będzie pachnieć dokładnie tak samo? W jakiś niepojęty sposób rozbawiły go takie rozmyślania.

Skręcił w lewo, w kolejny pozbawiony kolorów, cuchnący stęchlizną korytarz, którego mrok niechętnie rozświetlały owalne żarówki wkręczone w znajdujące się w ścianach instalacje kinkietów, pochodzących niewątpliwie z jakichś niezmiernie odległych czasów. Kiedyś być może i miały one mosiężny kolor, lecz obecnie sprawiały wrażenie obrzydliwie czarnych.

Idąc dalej, zarejestrował w myślach kapiącą z sufitu wodę - lepiej by było, gdyby obsługa naprawiła te przecieki zamiast pastować podłogi. Nim się człowiek obejrzy, pleśń pooblepia wszystkie ściany, a grzyb zacznie wyrastać w najbardziej nawet nieoczekiwanych miejscach budynku.

Doszedł do odcinka korytarza, w którym naniesiono na butach tak wiele błota, że każdy przyglądający się znajdującym się tu odciskom stóp detektyw (którym, rozwieźmy tu wszelkie wątpliwości, nie był) przyjąłby, że w szeregach dość pokaźnej grupy niechlujnych, a równocześnie rozszalałych i zdeterminowanych osobników, wywiązała się jakaś przepychanka. Być może tak właśnie było - pacjenci niezbyt przepadali za przyklejaniem im łatki pacjenta.

Zapach błota zagęszczał powietrze, lecz uwagę zwracała zupełnie inna woń, zaplątana i zakorzeniona w powietrzu, zapach zarówno świeży, jak i wyjątkowo nieoczekiwany. Zatrzymał się, zmarszczył czoło, kilkakrotnie wciągając powietrze w nozdrza. Odwrócił się, spojrzał w lewo, przesuwając wzrokiem w kierunku podłogi. Tam, w pęknięciu pomiędzy ścianą a podłogą, na samym środku spłachetka czegoś, co mogło być jedynie ziemią, rozkwitała mała róża o buntowniczo krwistoczerwonym kolorze.

Nachylił się nad kwiatkiem. Jakże niespotykanym. Jakże pięknym. Zamrugał powiekami, szybko rzucając spojrzenie w obie strony korytarza. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Ani żywej duszy.

Zręcznie, uważając na okalające łądygę kolce, wyrwał kwiat. Prostując się, wetknął go sobie w butonierkę i przyglądał na miejscu. Wreszcie ruszył w dalszą drogę wzdłuż korytarza.

Wkrótce dotarł do rozwidlenia, w którym rozchodziły się promieniście trzy korytarze:

jeden na wprost, a dwa kolejne na prawo i lewo. Bez najmniejszego wahania wybrał prowadzący na lewo, schodzący skosem w dół. Powietrze szybko się oziębiło, stając się równocześnie bardziej stęchłe; dało się w nim wyczuć słabą woń... Pstrąga? (Czyżby koty przechowywały tu sobie jakąś rybę?). Światło stopniowo stawało się coraz bardziej przytłumione. Miał nadzieję, że uda mu się przejrzeć akta Iksa, nim dotrze do pokoju numer 54, ale w panującym wokół mroku tak postawione zadanie okazywało się niemożliwe. (Czyżby kolejna uwaga do tutejszej obsługi technicznej? Może lepiej nie. Ta była bowiem dość nieposłuszną i niezdyscyplinowaną gromadką, niezbyt przyzwyczajoną do wszelakich reprimend, gotową w każdej chwili zacząć stwarzać bliżej nieokreślone trudności. Poza tym i tak nie to było teraz najważniejsze - wciąż rozbrzmiewały mu bowiem w głowie słowa współpracowników: „Iks został uwięziony między półkulami własnego mózgu”; „Iks to twardy orzech do zgryzienia”; „Iks jest doskonałym tematem pracy naukowej dotyczącej winy”).

Tak, nie to było teraz ważne. I choć podzielał zdanie ogółu, że budynek należy odnowić, tak by mógł dzięki temu spełniać wszelkie współczesne standardy i normy, to jednak rozkoszował się pokonywaną właśnie wolnym tempem drogą, tą wywołującą aurę tajemniczości przechadzką, rozsiewającą atmosferę eksploracji i odkrywania nieznanego. Zawsze uważał, że - w pewnym sensie oczywiście - podczas tak długiego spaceru zrzuca z siebie niepotrzebne fragmenty własnego ja, że staje się wtedy o wiele bardziej funkcjonalny w swej doskonałej efektywności.

Skręcił w lewo, następnie w prawo, przez cały czas nieprzerwanie schodząc w dół. Miał wrażenie, że coś zamigotało mu w powietrzu, coś tuż-tuż, niemal muskając skórę. Przenikający powietrze miedziany posmak wywoływał wrażenie, jakby się lizało metalowe gałki u drzwi bądź słupki łóżek. Punkty świecących żarówek stały się nieregularne - na jedną kulkę jaśniejącą maślanym światłem przypadały trzy wypalone. Jego buty zachrzęściły na nieodgadnionych rzeczach skrywających się w połykającej mu stopy ciemności.

Dotarł wreszcie do czarnych, spiralnych schodków, prowadzących bezpośrednio do drzwi pokoju numer 54. Były one przykładem prawdziwie barokowej potworności, stworzonej w duchu i stylu mijanych wcześniej stojaków z gargulcami. Wiły się i dziwacznie, niemal złośliwie wykręcały, prowadząc wprost w ogarniętą mrokiem studnię, której ciemność rozpraszały jedynie przypadkowe refleksy odbijanego na poręczy schodków światła pojedynczej, zwisającej tuż nad nimi słabej żarówki. Uważał, że ze wszystkich osobliwości budynku właśnie one zachwycają najbardziej. Schodził nimi powoli, smakując dłonią dotyk kutego żelaza poręczy, badając chropowatość miejsc, w których odprysła lub wyblakła czarna

farba tworzyła wzory w kształcie porostów. Schody pachniały historią, przodkami, zupełnie innym światem.

Nim dotarł na sam dół, pozbył się resztek własnej radości, rozkoszowania się chwilą, poczucia własnej korzyści, egoizmu, nieważnych maluczkich rozdrażnień, własnej przeszłości. Wszystkim, co pozostało, była ciekawość, współczucie, instynkt oraz róża - drobna plamka żywego koloru, rekwizyt nieprzystający do wymogów otaczającego go *decorum*.

Zaczął szperać w poszukiwaniu włącznika światła i gdy wreszcie na niego natrafił, stęchła żółć zalała niewielką przestrzeń skrywaną w dole schodów. Sięgnął po klucze. Otworzył drzwi. Wszedł do środka. Zamknął je za sobą.

Już wewnątrz zamrugał powiekami i przysłonił dłonią oczy, osłaniając je przed rozlewającą się w pomieszczeniu jasnością intensywniejszą od tej panującej na korytarzu. Doszedł do niego kwaśny zapach ubrań przebywającego tu człowieka. Słabo wyczuwalny zapach moczu. Czyżby Iks znaczył w ten sposób swój teren?

Gdy jego oczy przyzwyczyły się już do panującej wewnątrz jasności, dostrzegł biurko, maszynę do pisania, łóżko, niewielki zapas puszkowanej żywności oraz jeszcze jedno, oddzielne pomieszczenie służące za toaletę. Okna - kwadratowe, wykonane z grubego, gęstego niczym syrop szkła - rozciągały się na wysokości oczu, ale jedynym, co można było za nimi dostrzec, była pustka ziemi, zaprawy murarskiej i cementu.

Na rozklekotanym, znajdującym się za biurkiem krześle siedział pisarz. Lecz w tej właśnie chwili nie pisał. Kiedy wszedłem, akurat wpatrywał się we mnie.

Uśmiechnąłem się, odłożyłem aktówkę. Ściągnąłem marynarkę i ostrożnie, by nie naruszyć róży, zawiesiłem ją na oparciu najbliższego z krzesel.

- Dzień dobry - przywitałem się, nie przestając się uśmiechać.

Nie oderwał ode mnie wzroku. Bardzo dobrze, skoro tak, to poobserwujemy się nawzajem. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie samymi tylko oczami.

Przyglądając się, jak luźno zwisa na nim skóra, wydedukowałem, że kiedyś musiał być tęgi, co dawno jednak było już zaledwie melodią przeszłości; człowiek ten osiągnął obecnie jedyny możliwy w swoim przypadku stan szczupłości, stan raczej ją sugerujący, zaledwie robiący do niej aluzję, nawiązujący do niej, który w najlepszym przypadku był jedynie bladą kopią prawdziwej. Miał na sobie za dużo skóry, a towarzyszyły temu szerokie ramiona i baryłkowata klatka piersiowa. Jego wargi ułożyły się w coś pośredniego pomiędzy szerokim lakonicznym uśmiechem a melancholijnym wykrzywieniem ust. Na jego policzkach zaczynały się przebijać ślady świeżego zarostu (akurat w jego przypadku nadawało mu to

pewnej atrakcyjności), nad którym górował niewielki, niemal kobiecy nos, a spoza złotych oprawek okularów przesywały światło jego niebieskie oczy. Miał na sobie to, co dostał już od nas: nijakie spodnie, białą koszulę i włożony na nią brązowy sweter.

Jak pachniał? Obcością, której nie byłem w stanie zidentyfikować. Była w tym delikatna nuta bzu kwitnącego na wiosnę. Powiew wiatru znad zmoczonej deszczem łodzi rybackiej, która wypłynęła na rzekę. Podmuch wpadający zza drzwi prowadzących do pomieszczenia wypełnionego starymi książkami.

Wreszcie przemówił:

- Przyszedłeś, by mnie przesłuchać. Po raz kolejny. A ja odpowiedziałem już na wszystkie pytania. I to wielokrotnie. - Głos mu zadrżał. Ledwie powstrzymywał trawiącą go od środka frustrację.

- Musisz mi odpowiedzieć raz jeszcze - powiedziałem i wciąż trzymając w rękach aktówkę, ruszyłem w jego kierunku, stając tuż przed samym biurkiem.

Siedział wygodnie, rozpostarty na krześle, z rękami założonymi za głowę.

- I co to niby ma nam dać?

Zupełnie nie podobała mi się jego beztroska. Nie podobał mi się jego komfort psychiczny, ten wyraźnie widoczny luz i nonszalancja. Postanowiłem, że czas z tym skończyć.

- Nie będę cię zwodził - przyszedłem tu, by móc podjąć ostateczną decyzję o twoim losie. Czy powinniśmy cię zamknąć na pięć, czy może na dziesięć lat? A może powinniśmy jednak poszukać jakiegoś innego rozwiązania? Ale niech ci się nie wydaje, że kłamstwem możesz otworzyć sobie drzwi i wkraść się w ten sposób w moje łaski. Mimo wszystko odpowiedziałeś nam już na wszystkie pytania. I to na każde po kilka razy. Musimy wspólnie dojść dziś do porozumienia opartego tylko i wyłącznie na twoim obecnym stanie umysłu. A ja chciałbym, byś zdał sobie sprawę, że wyśmienicie potrafię wyczuć kłamstwa. Być może wyglądem przypominają one słodką melasę, lecz cuchną jak trucizna.

Ta stara tyrada, wypowiedana przeze mnie tak wiele razy w tej lub innej, bardzo zbliżonej wersji, przyszła mi aż nazbyt łatwo.

- Pozwól więc, że nie będę cię zwodzić - odparł, prostując się na krześle. - Obecnie jestem nieugięcie przekonany, że zarówno samo Ambergris, jak i wszystko, co się z nim łączy, jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. W tej chwili nie wierzę już w jego istnienie.

- Rozumiem. Taka informacja w żaden jednak sposób nie sprawi, że natychmiast spakuję swoją aktówkę i od razu wypuszczę cię na wolność. Muszę ci zadać kilka pytań.

Spojrzał na mnie, jakby już zamierzał się przeciwstawić. Zamiast tego jednak odparł:

- W takim razie pozwól mi ogarnąć trochę moje biurko. Chcesz może, bym zaczął od złożenia oświadczenia?

- Nie. Zadawane przeze mnie pytania zapewnią ci później taką możliwość. - Uśmiechnąłem się, wypowiadając te słowa, bowiem mimo iż nie powinien żywić zbyt wielkich nadziei, nie chciałem go wpędzać w bezdenną rozpacz.

Iks nie należał do jakichś mocarzy, pomogłem mu więc przenieść stojącą na biurku maszynę do pisania - stary, toporny model, którego klawisze zaprotestowały metalicznie, gdy stawialiśmy ją na podłodze.

Kiedy wreszcie usiedliśmy, sięgnąłem po pióro i notatnik.

- Zacznijmy może tak - zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś i dlaczego się tu znalazłeś?

- Jestem na oddziale szpitala psychiatrycznego w Chicago, ponieważ cierpiałem na halucynacje, że świat powstały w mojej wyobraźni jest w rzeczywistości prawdziwy.

- Gdzie i kiedy się urodziłeś?

- W Belfont w Pensylwanii. W 1968 roku.

- Gdzie dorastałeś?

- Moi rodzice służyli w Korpusie Pokoju... Czy masz zamiar spisywać to wszystko po raz kolejny? Drażni mnie odgłos gryzmolenia pióra po papierze. Przypomina mi chrobot rozpierzchających się karaluchów.

- Nie przepadasz za karaluchami?

Przyjrzał mi się z grymasem niezadowolenia na twarzy.

- Rób, jak uważasz.

Wyjąłem akta z teczki. Rozłożyłem przed sobą zapisy poprzednich sesji. Kilka słów rzuciło mi się w oczy: *ogień... Proces... Oczywiście, że ją kochałem... Kontrola... Rzeczywistość... To było ze mną w pokoju...*

- Po prostu sprawdzę uzyskane wcześniej odpowiedzi. Zapiszę tylko odbiegające od tych uprzednio uznanych za prawdziwe, których byłeś uprzejmy nam udzielić. Zacznijmy więc raz jeszcze - gdzie dorastałeś?

- Na wyspach Fidzi.

- Gdzie to jest?

- Na południowym Pacyfiku.

- Rozumiem... Jaka była twoja rodzina? Masz braci? Siostry?

- Rodzina była patologiczna. Rodzice nieprzerwanie ze sobą walczyli. Mam jedną siostrę - Vanesę.

- Jak ci się z nią układało? Na czym dokładnie polegała patologia, o której mówisz?

- Z siostrą układało mi się o wiele lepiej niż matce czy ojcu. A rodzina była wyjątkowo patologiczna. Wolałbym raczej o tym nie opowiadać. I tak masz już to wszystko w papierach. Poza tym, wyjaśnia to za ledwie, dlaczego piszę, a nie, dlaczego cierpię na urojenia.

W stenogramach wyczytałem, że nazywał to „dziesięcioletnim rozwodem”. Niekończące się walki. Przemoc, i to zarówno słowna, jak i psychiczna. Naprawdę paskudne sprawy, ale jakoś nic wybitnie nadzwyczajnego. Powszechnie stosowana metoda zakładała, by na początku sesji przeanalizować dzieciństwo pacjenta, ustalić przyczynę jego traumy, ów pojedynczy okrutny, niewybaczalny incydent, który ukształtował - czy też zrujnował - mu całe dalsze życie. Ale wcale mnie nie obchodziło, czy jego dzieciństwo pełne było odleżyn cierpienia, czy też było zgorzelą smutku. Znalazłem się tutaj, by określić w co dokładnie wierzy obecnie. Tylko dlatego zamierzałem mu zadać wszelkie konieczne pytania o przeszłość, bowiem w większości przypadków zdawały się one uspokajać pacjentów. A to, czy odpowie mi na nie, czy nie, jak dla mnie i tak nie miało najmniejszego znaczenia.

- Czy w dzieciństwie miewałeś jakieś wizje? Halucynacje?

- Nie.

- Żadnych?

- Żadnych.

- Wyczytałem tu, jak wspominałeś o pewnej halucynacji. Wydawało ci się, że z okna pokoju hotelowego dostrzegłeś dwa kopulujące w locie kolibry. Byłeś wtedy chory i podzieliłeś się z nami tym wspomnieniem w dosyć melodramatyczny sposób: „Wydawało mi się, że mógłbym je utrzymać w powietrzu samym tylko spojrzeniem, by już na zawsze móc napawać swe oczy ich pięknem. Ale w końcu musiałem jednak zawołać siostrę i rodziców, odwrócić się od okna, a kiedy ponownie na nie spojrzałem, światło było już inne, zmienił się świat, a ja zdawałem sobie sprawę, że ptaków już tam nie ma. Leżałem sam, wysoko nad poziomem morza, pod tlenem...”

- ...Ale przecież to nie było halucynacją...

- ...Nie przerywaj, proszę. Jeszcze nie skończyłem: „...Pod tlenem i nagle, nieoczekiwanie, w chwili mojej największej bezbronności, świat odkrył przede mną najpełniejszą głębię swych łask i piękna. Chwila ta była dla mnie wręcz natchniona, boska, równie fantastyczna, jak gdyby te kolibry wyfrunęły wprost z mych ust, oczu, a nawet prosto z myśli”. Ty nie uważasz czegoś takiego za halucynację?

- Nie. Jest to tylko deklaracją piękna. Naprawdę je widziałem... Te kolibry...

- Czy piękno odgrywa ważną rolę w twoim życiu?

- Tak. Jest bardzo ważne.

- Czy uważasz, że kiedy dostrzegłeś te kolibry, wkroczyłeś do innego świata?
  - Zaledwie symbolicznie. Wiesz, jestem bardzo zrównoważoną osobą, tkwię gdzieś pośrodku, pomiędzy moim logicznym ojcem a kompletnie nielogiczną matką. Doskonale rozróżniam, co istnieje naprawdę, a co nie.
  - Nie tobie to określać. Czym zajmują się twoi rodzice? Jak mi się zdaje, nikt jakoś nie zadał ci takiego pytania.
  - Ojciec jest entomologiem - bada robactwo, a nie słowa. Matka - artystką. A przy tym również pisarką. Napisała książkę poświęconą sztuce cmentarnej.
  - Ach! - Sięgnąłem po dwie rzeczy, które miał przy sobie, gdy go tu przywieziono - książkę zatytułowaną *Miasto szaleńców i świętych* oraz pojedynczą kartkę papieru z szeregiem szkiców animowanych postaci. - Jesteś więc pisarzem. Masz to po matce.
  - Nie. Tak. Być może.
  - Sądzę, że to wyjaśnia, dlaczego dano ci maszynę do pisania - jesteś pisarzem. W porządku, tylko żartowałem. Zachowaj się, jak należy, i zaśmiej z mojego żartu. Dobrze, co ostatnio napisałeś?
  - „Nie będę już wierzył w halucynacje”. Przepisywałem to tysiąc razy.
  - Teraz, jak widzę, moja kolej, by zachować się grubiańsko i nie roześmiać z tak doskonałego żartu. - Uniosłem *Miasto szaleńców i świętych*. - Napisałeś tę książkę.
  - Tak. Rozeszła się w przeszło milionie egzemplarzy na całym świecie.
  - Zabawne. Dopóki ten oto egzemplarz nie wpadł mi w ręce, nigdy o niej nawet nie słyszałem.
  - Szczęściarzem z ciebie. Sam wolałbym nigdy o niej nie usłyszeć.
  - Patrząc jednak na to z drugiej strony, bardzo rzadko sięgam po współczesnych autorów, a kiedy już to robię, to z reguły zagłębiam się tylko i wyłącznie w thrillery. Żyję na takiej prostej dreszczowcowej diecie czytelniczej. Żadna tam poezja, to nie dla mnie, mimo iż sam odrobinę param się pisarstwem... Koniec końców przeczytałem jednak twoje *Miasto szaleńców i świętych*, gdy już przydzielono mnie do twojego przypadku. Chcesz usłyszeć, co o nim myślę?
- Iks prychnął.
- Nie. Dostaję, to znaczy dostawałem, przeszło sto listów od fanów dziennie. Po pewnym czasie chciałem najzwyczajniej w świecie uciec od tego wszystkiego na jakąś bezludną wyspę.
  - I dokładnie tego, moim skromnym zdaniem, udało ci się dokonać. Oczywiście metaforycznie. - Tyle tylko, że jego bezludna wyspa okazała się być zamieszкана. Co w jego



przypadku jedynie pogorszyło sprawę.

Zignorował moje sondowanie i zapytał:

- Wydaje ci się, że chciałem to napisać? Po wydaniu książki każdy oczekiwał tylko kolejnych opowieści ze świata Ambergris. Nie byłem w stanie sprzedać niczego innego, żadnego utworu, który działałby się gdzie indziej. A kiedy już ucichła początkowa wrzawa, okazało się, że nie jestem w stanie pisać niczego innego. To było przerażające. Spędzałem po dziesięć godzin dziennie nad maszyną do pisania po to tylko, by sprawiać, że świat, który sam kiedyś stworzyłem, stawał się coraz bardziej realny w otaczającym mnie na co dzień świecie. Czuję się jak jakiś wywołujący demona czarnoksiężnik.

- A to? Co to jest? - Uniosłem kartkę, zawierającą szkice animowanych postaci.



- Przykładowe szkice Disneya - bez wątpienia stworzone tylko po to, by stać się marzeniem niejednego kolekcjonera - do animowanego filmu będącego adaptacją napisanej przeze mnie noweli *Zakochany Dradin*. Premierę filmu zaplanowano na przyszły miesiąc. Z pewnością o tym słyszałeś?

- Nie chodzę do kina.

- To co ty robisz?

- Wypytyuję chorych ludzi o ich schorzenia. Dobrze byłoby, gdybyś zaczął myśleć o mnie jako o *tabula rasa*, niezapisanej tabliczce, kimś, kto nie ma o niczym najmniejszego pojęcia. Dzięki temu łatwiej ci będzie uniknąć pominięcia jakichś istotnych fragmentów swych odpowiedzi... Zakładam, że twoje książki są bardzo popularne?

- Tak - odpowiedział, wyraźnie dumny z tego faktu. - Stworzono platformę RPG

*Krasnoludy i Misjonarze, wygaszacze ekranów z Gigantyczną Kałamarnicą, płyty CD z „największymi przebojami” arii Vossa Bendera w wykonaniu Trzech Tenorów, plastikowe kolekcjonerskie figurki grzybian, a nawet odbywają się konwenty miłośników Ambergris. To wszystko jest tak beżmiernie głupie.*

- Zarobiłeś na tym niesamowicie dużo pieniędzy w stosunkowo krótkim czasie.

- Skoczyłem z piętnastu tysięcy dolarów rocznie do mniej więcej pięciuset, i to już po opodatkowaniu.

- I przez cały ten czas otaczały cię produkty własnej wyobraźni, zazwyczaj przyjmujące fizyczną formę dzięki wysiłkom innych ludzi?

- Tak

Ostre jak brzytwa szpony przesłuchującego wysunęły się na zewnątrz, gotowe. Nakierowałem się na cel, stając się zaledwie serią pytań w przebraniu człowieka, stając się równie finezyjny niczym logarytm. Wyszarpie z niego całą prawdę i nieważne, czy wszystko pójdzie gładko, czy będzie musiała polać się krew.

**Przesłuchujący:** Kiedy zacząłeś czuć, że coś jest nie tak?

**X:** W dniu, w którym przyszedłem na świat. Jakiś malutki fragment tkanki płodowej nie uformował się jak należy i - *presto?! -* U podstawy kręgosłupa pojawiła mi się cysta, którą dwadzieścia cztery lata później należało usunąć.

**P:** Pozwól, że ci przypomnę - moje przedwczesne wyjście z tego pomieszczenia może zaowocować tym, że sam nigdy się z nim nie pożegnasz.

**X:** Proszę mi nie grozić. Niezbyt dobrze reaguję na groźby.

**P:** A kto reaguje na nie dobrze? Zaczynj raz jeszcze, ale tym razem cały sarkazm zostaw wyłącznie dla siebie.

**X:** ...Wszystko zaczęło się tego dnia, gdy rozmyślałem nad fabułą historii, która stała się później *Przemianą Martina Lake'a*. Szedłem sobie ulicą w centrum Tallahassee - tam właśnie wtedy mieszkałem - mijając po drodze stare ceglane budynki. Otaczające mnie ulice były wąskie i nastrojały klaustrofobicznie, starałem się więc wyobrazić sobie, jak wyglądałoby życie w Ambergris. Mijał właśnie rok od publikacji pierwszego amerykańskiego wydania *Miasta szaleńców i świętych*, zażądano więc ode mnie kolejnej porcji opowiadań, by można je było dorzucić do przygotowywanego właśnie kolejnego wydania. Szedłem, głęboko pogrążony w myślach. I wtedy, mijając róg, uniosłem wzrok i przez jakieś sześć sekund - zbyt długo, by wziąć to za miraż, ale

zbyt krótko, by móc mieć pewność - dostrzegałem przed sobą oblepioną tłumem przechodniów Księgarnię Borges, i akwedukt, za którymi widać było maszty cumujących w dokach okrętów. Wszystkie te miejsca pochodziły z mojej książki. Czułem słony powiew wiatru znad rzeki, niosący zapach mułu, a ludzie znajdowali się tak blisko, że mógłbym wyciągnąć dłoń i ich dotknąć. Lecz gdy ruszyłem w ich kierunku, wszystko nieoczekiwanie wróciło do rzeczywistości. Ot, tak po prostu przeskoczyło, w mgnieniu oka...

**P:** Więc tamto wydawało ci się prawdziwe.

**X:** Czułem zapach ulicy - mocz, woń przypraw, koński odór. Czułem smakowity aromat kurczaków pieczonych na porostawianych wzdłuż ulicy piecykach ulicznych sprzedawców. Czułem smagającą mi twarz bryzę znad rzeki. A światło... Światło było zupełnie inne.

**P:** Jak to?

**X:** No inne. Lepsze. Bardziej przejrzyste. Czystsze. Po prostu inne. Nagle zdałem sobie sprawę, że mówię sam do siebie: Jakości tego światła nie można uchwycić farbami”, i wiedziałem już, że oto w pełni dojrzała we mnie centralna myśl - najważniejsze pytanie życia mojego bohatera, Martina Lake’a.

**P:** Ta postać, że pozwolę tu sobie przerwać, nie interesuje mnie nawet w najmniejszym stopniu. Chcę się dowiedzieć, dlaczego zacząłeś iść w kierunku tego, co zobaczyłeś. Przynajmniej trzy razy - jak mogę tu wyczytać - potwierdziłeś, że ruszyłeś w kierunku tej wizji.

**X:** Nie mam pojęcia dlaczego.

**P:** Co poczułeś, gdy zobaczyłeś ją przed sobą?

**X:** Zmieszanie, to oczywiste. A po chwili przerażenie, gdyż uświadomiłem sobie, że muszę być chory, że muszę mieć guza mózgu albo coś podobnego.

Wpatrywałem się w niego, marszcząc twarz, dopóki nie spuścił wzroku.

- Wyśmienicie zdajesz sobie sprawę, do czego zmierza ta rozmowa - stwierdziłem otwarcie. - Wiesz, do czego musimy dojść. Być może ci się to nie podoba, ale musisz stawić temu czoła. - Wskazałem dłonią na leżące na stole kartki z zapisami poprzednich sesji. - Istnieją sprawy, o których tam nie wspominasz. Pofolguję ci jeszcze przez chwilę, jedynie drażniąc interesujący nas temat po bokach, ale musisz się przygotować na bardziej

bezcereemonialne podejście do sedna. Ono musi po prostu wkrótce nastąpić.

Podniósł moją kopię *Miasta szaleńców i świętych* i zaczął ją wertować.

- Wiesz - zaczął - jak tak patrzę na tę książkę, to mam jej serdecznie dosyć. Oczekiwałem, że krytycy nie pozostawią na mnie suchej nitki, że początkowa fala zainteresowania czytelników powoli wygaśnie i osłabnie. Naprawdę tego chciałem. Nie mogę pojąć, jak tak olbrzymi sukces mógł mi przyjść tak zupełnie bez najmniejszego... Wysiłku. Wyobraź sobie moją rozpacz, gdy odkryłem, że świat, na który nie byłem już w stanie patrzeć, czeka na mnie tuż za rogiem.

- Kłamiesz! - Krzyknąłem, wstając i tak nachylając się nad nim, że moja twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. - Kłamiesz! Ruszyłeś w kierunku tej wizji, ponieważ cię fascynowała! Ponieważ nie potrafiłeś się jej oprzeć! Ponieważ dostrzegłeś w niej coś z prawdziwego świata! A kiedy było po wszystkim, wcale nie było ci przykro. Nie było ci przykro, że ruszyłeś w tamtym kierunku, że wykonałeś te kroki. Przeciwnie, wydawały ci się one jedyną rozsądną rzeczą, którą należało wtedy wykonać. O całym incydencie nie wspomniałeś nawet swojej żonie... Swojej żonie... - Gdy przegrzebywałem zaścielające stół papiery, popatrzył na mnie, jakbym stał się wcieleniem gargulca ze stojaka na płaszcze. - ...Swojej żonie Hannah. Sam to przyznałeś. Czyż nie prosiłem cię, żebyś nie kłamał?

Również i tę mowę wygłaszałem już wielokrotnie, w wielu różniących się wersjach. Moje słowa najwyraźniej głęboko nim wstrząsnęły.

**X:** Czy nigdy nie chciałeś... Czy nigdy nie chciałbyś żyć w miejscu, które kryłoby w sobie więcej tajemnic? Miałoby więcej kolorytu? Byłoby bardziej żywe? O otaczającym nas świecie wiemy wszystko. Wszystko możemy zrobić. Sam przez pięć lat pracowałem jako redaktor techniczny, którego zadaniem było składanie w jedną całość w formie książkowej uchwał rady miasta. W swoim biurze nie miałem nawet okna. Czasami, gdy kodyfikowałem pięćdziesiątą, siedemdziesiątą piątą, setną uchwałę dotyczącą ścieków płynnych, chciałem już tylko wstać, roztrzaskać komputer i podpalić swe biuro. By całe to cholerne, przegniłe miejsce spłonęło do szczytu... Nasz świat jest zbyt ograniczony. Czy nie chciałeś nigdy, nie czułeś takiej potrzeby, by w twoim życiu zaistniało, pojawiło się więcej tajemnic?

**P:** Na pewno nie kosztem zdrowia psychicznego. Kiedy zacząłeś sobie uświadamiać, że - jak sam powiedziałeś - "Nie stworzyłem Ambergris, a jedynie opisywałem istniejące już miejsce, które na dodatek, okazało się prawdziwe i rzeczywiste"?

**X:** Kawał sukinsyna z ciebie, wiesz o tym?

**P:** Taka już moja rola. Opowiedz mi teraz, co wydarzyło się później.

**X:** Na sześć miesięcy wszystko wróciło do normy. Wydano drugą książkę, która okazała się jeszcze większym sukcesem niż pierwsza. Byłem wniebowzięty. Niemal zapomniałem o tych sześciu sekundach w Tallahassee... Aż razem z żoną wybraliśmy się na wakacje do Nowego Orleanu - po części, by odwiedzić naszego przyjaciela, pisarza Nathana Rogersa, po części na zjazd pisarzy. Zazwyczaj podczas takich wyjazdów staramy się odwiedzać tyle księgarń, ile tylko jesteśmy w stanie - istnieje multum niewznawianych już obecnie książek, które chciałbym posiadać w swych zbiorach, a Hannah, co oczywiste, lubi sprawdzać, ile z nowych księgarń posiada na półkach jej magazyn, a jeśli go nie mają, stara się naprawiać podobne niedopatrzenia. Byłem więc z żoną w takiej starej księgarni w Dzielnicy Francuskiej, a by w ogóle do niej trafić, trzeba było pokonać istny labirynt uliczek; już samo takie poszukiwanie miejsca było połową zabawy. A kiedy w końcu tam trafiłem, bardzo chciałem coś kupić, cokolwiek, byle tylko cały mój wysiłek nie poszedł na marne. Nie mogłem jednak znaleźć niczego, co chciałbym dołączyć do swojej biblioteczki. Okropnie mnie to przygnębiło, gdyż czasem po prostu czułem przymus kupienia książki. Zdaje się, że to dla mnie swego rodzaju forma „zaworu bezpieczeństwa”. Ale kiedy tak przeglądałem pudło z książkami z lamusa, wyszperałem w nim kieszonkowe wydanie *The Seven Who Fled* Fredericka Prokoscha, i to je właśnie kupiłem od stojącego za ladą właściciela tej księgarni, nieśmiałego, starszego człowieka, zupełnie pozbawionego brwi.

**P:** To właśnie ta książka przyniosła ci opis Ambergris?

**X:** Nie, ale papier, w którą on mi ją zapakował, okazał się płachtą wyblakłej wielkoformatowej odezwy wydanej przez Hoegbottona i Synów, eksportera-importera z moich opowieści.

**P:** Czy przypadkiem nie wydają oni także przewodników turystycznych?

**X:** Tak. Masz dobrą pamięć... Nawet nie zauważyliśmy tej płachty dopóki nie wróciliśmy do hotelu. To Hannah dostrzegła wtedy, czego dotyczy, nie ja.

**P:** Hannah?

**X:** Tak. Pomyślała sobie, że to mój kolejny przygotowany pod nią wkret, że specjalnie

dla niej sprokurowałem coś takiego. Przyznaję, że wcześniej robiłem już podobne rzeczy, ale nie tym razem.

**P:** Kiedy ona to odkryła, zapewne nie posiadałeś się z radości.

**X:** Oczywiście. Znaczyło to przecież, że mam zarówno fizyczny dowód na istnienie Ambergris, jak i niezależnego świadka. Co przekładało się na to, że nie jestem szalony.

**P:** Niestety, nigdy nie udało się wam trafić ponownie do tej samej księgarni.

**X:** Ścisłej mówiąc to ona nigdy więcej nas nie odnalazła.

**P:** Ale żona uwierzyła ci.

**X:** Przynajmniej wiedziała, że wydarzyło się coś naprawdę osobliwego.

**P:** Ale teraz już nie posiadasz tej płachty.

**X:** Spłonęła wraz z domem.

**P:** Tak, bardzo często wspominasz o tym ogniu, który również wielce wygodnie dla ciebie pochłonął wszelkie pozostałe dowody. Co jeszcze udało ci się zgromadzić?

**X:** Nie ma najmniejszego sensu o tym opowiadać, ponieważ żaden z tych przedmiotów już nie istnieje.

**P:** Chciałbym jednak, byś pokrótce je omówił - ze względu na mnie.

**X:** W porządku. Na przykład jakiś czas później odwiedziliśmy British Museum w Londynie. W szklanej gablotce, stojącej w zapomnianym zakątku ekspozycji poświęconej Egiptowi, znajdował się bardzo malutki, niemal miniaturowy, starożytny ołtarzyk. Wszystko stało skryte za jednym z sarkofagów. Przedmiot ten nie był w żaden sposób opisany, ale z pewnością nie wyglądał na pochodzący z Egiptu. Całą jego powierzchnię pokrywały płaskorzeźby grzybów, wśród których dostrzegłem także symbol opisany przeze mnie w jednym z opowiadań. Wszystko pokrótce sprowadza się do tego, że wyglądało mi to na obiekt kultu religijnego grzybian. Przypominasz ich sobie z *Miasta szaleńców i świętych*?

**P:** Tak, wiem, o kim mówisz.

**X:** Z czegoś, co normalnie można by uważać za dziurki na kadzidelka, wystawały dwie malutkie czerwone flagi. Całość inkrustowano klejnotami układającymi się w scenę, która, co nie ulegało najmniejszej wątpliwości, nie mogła być niczym innym jak

tylko sceną składania przez grzybian krwawych ofiar. Zrobiłem zdjęcia. Zapytałem o przedmiot opiekuna sali. Nie miał o nim najmniejszego pojęcia. A kiedy wróciliśmy tam następnego dnia, eksponat rozpląnął się w powietrzu. Ani też nie mogliśmy odnaleźć osoby, z którą rozmawialiśmy zaledwie dzień wcześniej. Typowy przykład z całego szeregu podobnych zdarzeń.

**P:** Pragnąłeś uwierzyć w Ambergris.

**X:** Być może wtedy jeszcze tak było.

**P:** Pozwól, że powrócimy do pytania o tamtą płachtę odezwy. Wierzysz, że była prawdziwa?

**X:** Tak.

**P:** Czego dotyczyła?

**X:** Rzekomo wydrukowano ją u Hoegbottona i Synów w imieniu grupy zwanej „Zielonymi”. Potępiali oni „Czerwonych” za to, że w bliżej nieokreślony sposób doprowadzili do śmierci kompozytora Vossa Bendera.

**P:** Już wcześniej pisałeś o Vossie Benderze, prawda?

**X:** Tak, ale nigdy do tamtej pory nie słyszałem ani o „Zielonych”, ani o „Czerwonych”. Bardzo było mi to akurat na rękę, gdyż z powodu braku pomysłów zarzuciłem opowiadanie pod tytułem *Przemiana Martina Lake’a*, a ta płachta pozwoliła mi ruszyć z nim dalej i je dokończyć. Owi „Czerwoni” i „Zieloni” stali się integralnym elementem opowiadanej historii.

**P:** Czy na pierwszy rzut oka nic w tej płachcie nie uderzyło cię jako znajome?

**X:** Nie jestem pewien, że nadążam za tobą. Co masz na myśli, mówiąc „znajome”?

**P:** Czy nic, intuicja, a może jakiś wewnętrzny głos, nie powiedziało ci, że widziałeś ją już wcześniej?

**X:** Uważasz, że sam ją stworzyłem, a następnie wymazałem z pamięci wszelkie wspomnienia, że tak zrobiłem? Że w jakiś sposób sam umieściłem ją w tamtej księgarni?

**P:** Nie. Mam raczej na myśli coś takiego, że czasem jedna część mózgu przesyła drugiej wiadomość - ostrzeżenie, znak, symbol. Niekiedy pojawia się wtedy pewne... rozdwojenie.

**X:** Nie wiem nawet, jak się odnieść do takiej insynuacji.

Westchnąłem, wstałem z krzesła i przeszedłem na drugą stronę pokoju. Kiedy tam doszedłem, zacząłem mu się przyglądać. Siedział z głową ukrytą w dłoniach. Jego oddech sprawiał, że głowa wolno unosiła się i opadała. Czyżby płakał?

- To oczywiście, że cały ten proces jest stresujący - stwierdziłem. - Ale muszę otrzymać pewne rozstrzygające odpowiedzi, by móc na ich podstawie podjąć właściwą decyzję. Nie mogę cię oszczędzać.

- Zdajesz sobie sprawę, że od przeszło tygodnia nie widziałem się z żoną? - Wyszeptał.

- Czy takie odbieranie mi prawa do odwiedzin nie jest aby sprzeczne z prawem?

- Jak tylko skończymy, będziesz mógł się zobaczyć, z kim tylko zechcesz, niezależnie od orzeczenia, które wydam. Tyle mogę ci obiecać.

- Chcę się zobaczyć z Hannah.

- Tak, często o niej wspominałeś w czasie poprzednich rozmów. Chyba już sama myśl o niej dodaje ci otuchy.

- Jeżeli ona nie jest prawdziwa, podobnie jest ze mną - wymamrotał. - A ja jestem przekonany co do jej realności.

- Kochałeś ją, prawda?

- Nadal kocham moją żonę.

- A mimo to tak nieustępliwie trzymałeś się własnych urojeń?

- Czy uważasz, że chciałem, by okazały się prawdą? - Zapytał, podnosząc wzrok. Miał zaczerwienione oczy. Czuję napływający od niego słony zapach łez. - Wydawało mi się, że jestem w stanie wydłubać je ze swej wyobraźni co do najmniejszego kawałka. I tak też zrobiłem, ale wtedy... Chyba zgubiłem wątek tego, co chciałem ci powiedzieć...

Nieoczekiwanie całe to tak widoczne u niego zmieszanie i stres dziwnie poruszyły mnie do głębi. Z pewnością mogłem stwierdzić, że jakaś jego część jest zdrowa, że naprawdę zмага się i szamocze z dwiema różnymi wersjami rzeczywistości. Ale widziałem też, że prawdopodobnie na zawsze ma już pozostać w otchłani, gdzie w przypadku każdej innej osoby szaleństwo już dawno wzięłoby górę... Bądź też to zdrowe zmysły wykonałyby podobny krok.

Ale, bardzo niefortunnie, taka jest właśnie natura pisarza - musi kwestionować wiarygodność swego świata, a z drugiej strony polegać na opisie dokonywanym przez własne zmysły. Z jakich to innych konfliktów i napięć mogłaby się rodzić wielka literatura? Co za tym idzie, znalazł się w pułapce, skazany przez własną naturę, te same dary i talenty, które



osobiście wyostrzał i doskonalił w pogoni za wykonywanym rzemiosłem. Czy był dobrym pisarzem? Odpowiedź nie miała tu najmniejszego znaczenia - nawet najgorszy pisarz czasem dostrzegał świat w swych własnych barwach, we własnym świetle, przez swój własny pryzmat.

- Potrzebujesz przerwy? - Zapytałem. - Chcesz, bym wrócił tu za jakieś pół godziny?

- Nie - odpowiedział, nieoczekiwanie znów nieugięty i opanowany. - Kontynuujmy.

**P:** Czy po tym incydencie z odezwą zacząłeś często dostrzegać Ambergris?

**X:** Tak. Trzy tygodnie po przygodzie w Nowym Orleanie pojechałem w interesach do Nowego Jorku, jeszcze nim przeprowadziliśmy się na północ. Mieszkałem w domu mojego agenta. Pewnego ranka, gdy brałem prysznic i właśnie spłukiwałem sobie głowę, przymknąłem na chwilę oczy. A kiedy je otworzyłem, stałem nago w kroplach spadającego deszczu w jakimś brudnym zaułku Dzielnicy Religijnej.

**P:** Nowego Jorku?

**X:** Nie - oczywiście, że Ambergris. Czułem chłodny i odświeżający dotyk deszczu na skórze, a wpatrująca się we mnie grupka chłopców chichotała. Pod stopami wyczuwałem szorstkość kamieni bruku. Włosy wciąż miałem gęste i posklejane szamponem... Przez pięć minut siedziałem tam skulony, a chłopcy przez cały ten czas nawoływali przechodniów mijających wylot alejki. Byłem eksponatem. Osobliwością. Kuriozum. Uznali mnie za Żywego Świętego, no wiesz, takiego, który wymknął się z kościoła, a co za tym idzie, wciąż nieprzerwanie wypytywali mnie, do którego należę. Rzucali mi monety i książki - książki! - Jako opłatę za udzielenie im błogosławieństwa, a ja przez cały czas wrzeszczałem, by dali mi święty spokój. Wreszcie wymknąłem się z tego zaułka i skryłem przy jednym z publicznie dostępnych ołtarzy. Stałem tam, otoczony tłumem tysięcy żebraków; wielu z nich miało na sobie jedynie przepaskę biodrową, a wszyscy bez wyjątku ile sił w płucach, chórem, intonowali coś, co przypominało skandowanie jakichś niezrozumiałych obsceniczności. W pewnym momencie zamknąłem oczy, a kiedy ponownie je otworzyłem, znów byłem pod prysznicem.

**P:** Miałeś jakieś namacalne dowody, że w rzeczywistości gdzieś się przenieśli?

**X:** Ubłocone stopy. Przysięgam, że miałem ubłocone stopy.

**P:** Może opuszczając Ambergris zabrałeś coś ze sobą?

**X:** Nic, z czego bym sobie wtedy zdawał sprawę. Później jednak uświadomiłem sobie, że coś ze mną stamtąd przybyło...

**P:** Opowiadasz o tym, jakbyś był wtedy przerażony.

**X:** Bo byłem przerażony! Widzieć Ambergris z dala lub poznawać dotyczące go szczegóły z płachty papieru, w którą zapakowano ci książkę, to jedno, a coś zupełnie innego zostać tam bezpośrednio przeniesionym. I to nago.

**P:** Czy Ambergris przerażało cię bardziej niż Nowy Jork?

**X:** Co przez to rozumiesz?

**P:** To chyba taki mój żart. Opowiedz mi coś więcej o Nowym Jorku. Nigdy tam nie byłem.

**X:** A co tu opowiadać? Brudne i szare miasto, a mimo wszystko bardziej tętniące życiem niż jakiegokolwiek inne z wyjątkiem...

**P:** Ambergris?

**X:** To już ty powiedziałaś. Może i tak pomyślałem, ale przecież miasto będące wytworem wyobraźni musi bardziej pulsować życiem niż każde inne, prawda?

**P:** Niekoniecznie. Chciałbym usłyszeć coś więcej o Nowym Jorku z twojej wyjątkowej perspektywy, ale chyba jesteś poruszony i...

**X:** I w najmniejszym nawet stopniu nie ma to związku z tematem naszej rozmowy.

**P:** Niewątpliwie. Co zrobiłeś potem, po całym tym incydencie w Nowym Jorku?

**X:** Wróciłem samolotem do Tallahassee, nie doprowadziwszy nawet do końca swoich spraw... Co się stało? Co takiego powiedziałem? Wyglądasz na zaskoczonego.

**P:** Nic. Nic takiego. Kontynuuj. Wróciłeś samolotem do domu, nie doprowadziwszy nawet do końca swoich spraw i...

**X:** I powiedziałem żonie, że wyjeżdżamy na wakacje, i to natychmiast, na całe dwa tygodnie. Polecieliśmy na Korfu, gdzie bardzo miło spędziliśmy czas z moim greckim wydawcą. A wiesz dlaczego? Bo nikt mnie tam nie rozpoznawał. Sara, córka Hannah, uwielbia nurkować z rurką. A woda była tam naprawdę cudowna. Czysty błękit z prześwitującym piaszczystym dnem.

**P:** Co Sara sądziła o Ambergris?

**X:** Nigdy nie czytała moich książek. Tak prawdę mówiąc, była na nie za mała, ale zawsze dość demonstracyjnie chciała mi pokazać, jak to mój sukces zupełnie nie zrobił na niej wrażenia. Nie mogę jej za to winić. To samo okazywała matce, jeśli chodziło o sukces jej magazynu.

**P:** Czy wakacje coś zmieniły?

**X:** Tak się wydawało. Przez dość długi czas wszelkie wizje dały mi spokój. Prócz tego podjąłem też pewną decyzję - nigdy więcej nie napiszę ani słowa o Ambergris.

**P:** Czy Hannah popierała twoją decyzję?

**X:** Bez wątpienia. Widziała, jak roztrzęsiony wróciłem z Nowego Jorku. Chciała jedynie tego, co sam uznałem za najlepsze.

**P:** Zadziałało?

**X:** Oczywiście, że nie. Siedzę tu przecież i rozmawiamy, prawda? Ale na początku tak, zadziałało. Naprawdę myślałem, że Ambergris rozplynie się i przestanie istnieć, jeśli tylko zarzucę pisanie o nim. Ale moja choroba sięgała o wiele głębiej.

**P:** Obawiam się, że właśnie dotarliśmy do punktu, w którym muszę podrażnić o wiele głębiej. Opowiedz mi o pożarze.

**X:** Nie chcę o tym mówić.

**P:** W takim razie opowiedz mi o tym, co przed nim pojawiło się w twojej pracowni.

**X:** A nie można z tym jeszcze poczekać? Choćby przez krótką chwilę?

Dochodzący do mnie odgłos kapania wody nieustannie mnie drażnił. A skoro tak się działo, znaczyło to tyle, że nie udaje mi się wystarczająco mocno koncentrować. Nie zostawiłem dostatecznie dużo własnego ja za drzwiami tego pomieszczenia. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa ta sesja, a dokładniej - na jak długo jeszcze starczy mi cierpliwości. Mówiąc zupełnie szczerze, jeśli chodziło o przedstawicieli mojej profesji, należało przyznać, że nasze osądy w dużej mierze opierają się na naszej wytrzymałości. Na tym, jak długo jesteśmy w stanie drażyć temat, nim docieramy do jej granic, punktu, w którym nie możemy już dłużej słuchać, i wychodzimy za drzwi. Zazwyczaj sam pacjent - przedmiot naszych badań i dociekań - nie miał najmniejszego wpływu na naszą decyzję.

- Czasem słyszę muzykę - powiedział Iks, wpatrując się w sufit. - Dochodzącą z góry. Brzmieniem przypomina mi jakieś piekielne arie operowe. Jest tu może w pobliżu opera? A

może to ktoś z pracujących w budynku słucha sobie arii?

Nie spuszczałem z niego wzroku. Nieprzerwanie wpatrywałem się w niego. To zawsze był ten najtrudniejszy moment. Ale czy mogło być inaczej?

- Unikasz spraw, które pojawiają się nam w zasięgu ręki.

- Co sądzisz o mojej książce? - Zapytał. - Porozmawiajmy jak pisarz z pisarzem - dodał, niezupełnie będąc w stanie pozbyć się z głosu śladów protekcjonalności.

Co wyjątkowo dziwne, pierwsza nowela w książce - *Zakochany Dradin* - uderzyła mnie na bardzo podstawowym poziomie, jako dowód podstawy jego zdrowych zmysłów, gdyż Iks najwyraźniej stworzył postać Dradina jako szaleńca. Nie kryły się za tym żadne urojenia, gdyż Dradin po prostu był szaleńcem. Miałem nawet teorię, że Iks odbiera Dradina jako własne *alter ego*, ale odrzucałem ten pomysł, gdyż nierozważnie było łączyć wydarzenia rozgrywające się na kartach literatury z wydarzeniami z prawdziwego życia autora.

Oczywiście, że wcale nie uważałem za przydatne dzielenie się którąś z tych myśli z siedzącym za biurkiem pisarzem, wzruszyłem więc jedynie ramionami, po czym stwierdziłem:

- Na swój sposób wyszukana twórczość. Niektóre z aspektów snutych przez siebie opowieści są niemal równie realistyczne jak w znanych mi bezlitosnych thrillerach. Uważam jednak, że *Zakochany Dradin* za wolno się rozwija. Poświęcasz tam cały rozdział na opis powrotnego spaceru bohatera do jego pensjonatu.

- Nie, nie, nie! To swego rodzaju zwiastowanie. Symbolizm. Przedstawianie czytelnikowi początku rzezi w postaci śpiących grzybian.

- Cóż, być może nie przemówiło to do mnie tak silnie, jak sobie zamierzyłeś. Ale musisz pamiętać, że czytałem, poszukując wskazówek.

- Co do stanu mojego umysłu? Czy to aby nie jest niebezpieczne?

- Odpowiedzi na oba pytania są, rzecz jasna, twierdzące. Lecz muszę również zdecydować, czy bardziej identyfikujesz się z Dradinem, karłem Dvorakiem, księdzem Cadimonem, czy może nawet z Żywym Świętym.

- To ślepy zaulek. Nie identyfikuję się z żadną z wymienionych przez siebie postaci. Ale za to każda z nich zawiera jakąś cząstkę mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- Muszę zbierać wszelkie wskazówki. Gdziekolwiek to możliwe.

- Chcesz powiedzieć, o ile sam nie przekażę ci koniecznych i wystarczających informacji.

- Niektórzy przekazują mi je zupełnie bezwiednie.

- Nie jestem do końca pewien, czy mogę ci dać to, czego ode mnie oczekujesz.

- Faktycznie - powiedziałem, podnosząc *Miasto szaleńców i świętych*. - Odkryłem tu jednak pewien akapit, który bardzo mnie zaintrygował. Ale nie w *Zakochanym Dradynie*, w zupełnie innym opowiadaniu. W *Ucząc się, jak opuścić swe ciało*. We wstępie do tej historii zaznaczasz, że... Nazywasz ją prekursorem całego ambergriańskiego cyklu, a równocześnie podczas wszystkich dotychczasowych przesłuchań twierdziłeś, że napisałeś ją całkiem niedawno.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że pisarz może stworzyć pierwszą opowieść cyklu, będącą pierwowzorem całego opisywanego świata, już po tym, jak napisał wszystkie chronologicznie następujące po niej opowieści; równie dobrze można napisać końcową historię serii, nim ukończy się pisanie jej poprzedników.

Wyraz poruszenia znów wykwitł mu na twarzy, jak gdyby niemal zdawał sobie sprawę, że po raz kolejny sprowadzam naszą rozmowę w kierunku jej pierwotnego celu.

- Tak, to prawda - powiedziałem, równocześnie przerzucając kartki książki. - Ale jest tu pewien wyjątkowo intrygujący akapit. Dotyczy Karla Davy'ego Jonesa. Och, tu go mam. Scena, kiedy to Jones nawiedza u stóp łóżka głównego bohatera. Możesz mi ją przeczytać?

Podąłem mu egzemplarz. Wziął go z moich rąk z nieukrywanym zapalem. Miał miły dla ucha głos, ani zbyt przenikliwy, ani brzmiący zbyt profesjonalnie.

*A wtedy on pojawia się u stóp mego łóżka i stoi tam z wbitym we mnie wzrokiem. Zimna niebieska poświata otula jego ciało, jak gdyby przypalała go łuna ekranu telewizora. Marmurowy odlew jego twarzy jest niemal równie perfekcyjny jak większość najdoskonalszych zdań, które kiedykolwiek udało mi się zapisać w moim życiu. Jego oczy są tak smutne, że nie jestem w stanie spojrzeć mu w twarz, nie jestem w stanie napotkać jego wzroku. Ta twarz nosi w sobie ślad wszystkich przeżytych lat bólu, lat pragnień, by opuścić swe ciało. By pozostawić je za sobą. Mówi do mnie, a choć nie jestem w stanie go usłyszeć, wiem, co chce mi powiedzieć. Znów płaczę, tym razem łagodnie, cichutko, delikatnie. Głosy dobiegające z ulicy stają się coraz głośniejsze, a dźwięk dzwoneczków stopniowo nika w ciszy.*

**P:** Bardzo przyjemny akapit, wyrwany z wyjątkowo ekscentrycznej opowieści. Skąd wziął się ten karzeł? Wymaszerował prosto z twojej wyobraźni? A może z twojego życia?

**X:** Początkowo z życia. Kiedy studiowałem na University of Florida, znalazłem się w

jednej grupie z niejakim Davidem Wilsonem, który był karłem. Uczęszczaliśmy razem na zajęcia ze statystyki. Udzielał mi korepetycji z tych naprawdę trudnych zagadnień. Był biedny i niezbyt stać go było na naukę, a jego ogólne oceny nie wystarczały, by mógł się starać o stypendium. Wynajmował się więc w miejscowych barach do konkursów w ciskaniu karłami. Miał wyjątkowy talent matematyczny, ale, rozumiesz, wynajmował się w tych barach, a czasem również i w okręgowym wesołym miasteczku, kiedy tylko zawitało do okolicy. Pewnego dnia nie przyszedł na zajęcia, a kilka dni później dowiedziałem się z raczej drastycznego artykułu w lokalnej gazecie, że zapił się na śmierć.

**P:** I on nachodził cię w nocy? Stawał u stóp twego łóżka?

**X:** Pamiętasz może, jak postanowiłem, że nigdy więcej nie napiszę ani słowa o Ambergris? Moje pierwotne postanowienie zakładało jednak, że w ogóle nigdy więcej nie napiszę już ani słowa. Tak więc nie pisałem. Na pięć miesięcy zupełnie to zarzuciłem. To było prawdziwe piekło. Musiałem wyłączyć pewną część swojego ja. Przypominało to nieustępujące swędzenie w mózgu. Musiałem odczytać się dokonywania obserwacji. Albo nie, inaczej, musiałem raczej ignorować wszelkie nabyte odruchy. Tak więc rozmyślałem o Davidzie Wilsonie, ponieważ zawsze chciałem o nim napisać, a nigdy nie potrafiłem tego zrobić. Wydaje mi się, że po prostu doszedłem do wniosku, iż jeśli tylko siądę i porozmyślam nad historią, której nigdy i tak nie byłem w stanie napisać, to w ten sposób uda mi się podrapać i załagodzić to swoiste swędzenie, i to na dodatek w całkiem nieszkodliwy sposób.

I to właśnie wtedy ten karzeł - czy też to, co uważałem za karła - zaczął mnie nachodzić. Stawał u stóp łóżka i... Cóż, wiesz, co było dalej, przecież przeczytałeś opowiadanie. Wreszcie, by powstrzymać go przed nawiedzaniem mnie po nocach, uległem i zasiadłem do napisania tego, co ostatecznie zatytułowałem *Ucząc się, jak opuścić swe ciało*.

**P:** Ale przecież już wcześniej stworzyłeś postać Dvoraka.

**X:** Nie. Dvorak był zaledwie karłem. Nie miał w sobie nic z Davida Wilsona. David Wilson był życzliwą i delikatną osobą, nikomu nie szkodził.

**P:** Wspominasz w tym opowiadaniu bulwar Albumuth.

**X:** Tak, to prawda. Nie tylko złamałem przysięgę, że nigdy nic nie napiszę, lecz również w jakiejś wypaczonej formie Ambergris z powrotem wkradło się na strony

moich utworów.

**P:** Widziałeś jeszcze kiedyś tego karła?

**X:** Tylko raz. Zresztą po raz ostatni. Kiedy stał się mantą. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że sprowadziłem ze sobą coś z Ambergris. Przeraziło mnie to do szpiku kości.

**P:** Wspominałeś już o mancie podczas poprzednich sesji, ale nigdy jej nie opisałeś. Tak w ogóle - co to takiego?

**X:** Nigdy nie słyszałeś o mantach?

**P:** Być może i słyszałem, ale pod jakąś inną nazwą. Co to jest? Opisz mi ją, proszę.

**X:** Wielka, czarna, słonowodna... Ryba, jak mi się zdaje, ale taka szeroka, z połami przypominającymi olbrzymie, pełne wdzięku skrzydła. Lśniące i gładkie. Wyglądem przypomina bardzo dużą płaszczkę czy flądę.

**P:** Ach! Flądra! Wybacz moją ignorancję.

**X:** Najwyraźniej zbyt wiele czasu poświęcasz pracy.

**P:** Być może masz rację, ale wróćmy do tematu: otrzymałeś tę rybę pod postacią karła. To bardzo ważne, byśmy właściwie ułożyli tu sobie całą symbolikę.

**X:** Nie. Ta „ryba” od samego początku była karłem, wywodząc mnie tym samym w pole. To karzeł stał się mantą.

**P:** Jak to się stało?

**X:** Chciałbym móc teraz powiedzieć, że Hannah też to widziała, ale właśnie zasnęła. Mieliśmy bardzo zimną noc i zupełnie rozbudzony leżałem w łóżku z naprężonym każdym mięśniem ciała. Nagle, podobnie jak wcześniej, David Wilson pojawił się u stóp łóżka. Najzwyczajniej stał tam sobie i z uśmiechem na twarzy przypatrywał mi się przez dosyć długą chwilę... A kiedy sam zacząłem mu się przyglądać, stał się obrysem, konturem wykonanym za pomocą piórka i tuszu, szkicem własnej osoby, zaledwie kilkoma liniami z prześwitującym wypełnieniem. Aż wreszcie cały ten szkic zaczął się wypełniać mgiełką czarnego atramentu, pochodzącego jakby od kałamarnicy; wiesz, czym jest kałamarnica?

**P:** Tak.

**X:** A kiedy czerń tego atramentu wypełniła go całkowicie, zaczęła wyciekać na

zewnątrz, poza jego ciało, dopóki w pełni nie przesłoniła go istota wyglądająca dokładnie jak manta. Miała małe czerwone oczka i płynęła w powietrzu. Struchlałem, przejęty grozą. Bo to stworzenie było Ambergris, miastem, które przybyło, by po raz kolejny wziąć mnie w posiadanie. Czerń jego ciała rozpraszały rozbłyski i refleksy świetlne, w których mogłem dostrzec sceny z życia miasta. Było to coś w rodzaju tatuaży, ruchomych, poruszających się tatuaży. Skryłem się pod kołdrą, a kiedy ponownie stamtąd wyjrzałem, mieliśmy już ranek, a istoty nie było.

**P:** Opowiedziałeś o tym żonie?

**X:** Nie! Powinienem, ale nie opowiedziałem. Czułem się, jakbym popadał w szaleństwo. Nie mogłem spać. Nie byłem w stanie nic przełknąć.

**P:** To wtedy właśnie tak bardzo straciłeś na wadze?

**X:** Tak.

**P:** A tak dokładnie to czym, według ciebie, była owa czarna istota? Z pewnością nie „Ambergris”, jak sam to ująłeś.

**X:** Pomyślałem, że sprowadziłem ją stamtąd ze sobą - że była fizyczną manifestacją mojej psychozy.

**P:** Wydawało ci się, że jest częścią ciebie. Rozumiem, przerażała cię, ale czy kiedykolwiek, choćby przez chwilę, rozważałeś taką ewentualność, że może być jednak czymś dobroczynnym?

**X:** Nie!

**P:** Rozumiem. Wiem z doświadczenia, a ma tu ono istotne znaczenie, że niektórzy ludzie uczą się tak panować nad własnym szaleństwem, iż nawet gdy otaczają ich i atakują najprzeróżniejsze halucynacje, nie reagują na nie w najmniejszym stopniu. Żyją w świecie, w którym nie można zaufać własnym zmysłom, a każdy obserwujący z zewnątrz ich opanowanie nie mógłby posądzić ich o coś takiego.

**X:** Nie należę do tych ludzi. Byłem przerażony do szpiku kości.

**P:** A z drugiej strony ludzie, o których mowa, odbierają swe halucynacje jako błogosławieństwo, gdyż ostrzegają ich one przed wypaczoną rzeczywistością. O ile bowiem gorzej poślizgnąć się - ledwie poślizgnąć, jak podczas wygodnego rozkładania się w fotelu, jak gdyby mrugając okiem - i popaść w szaleństwo, jeśli nie został ci



przekazany żaden bezpośredni znak, że coś podobnego ma miejsce. Tak więc raczej będę się upierał, że zadaniem twojego gościa była pomoc, a nie destrukcja. Miał być - że tak to nazwę - pomocnikiem, a nie niszczycielem.

**X:** Możesz go sobie nazywać, jak tylko ci się żywnie podoba. Jakiegokolwiek nazywanie go nawet przez myśl mi nie przemknęło.

**P:** Co zrobiłeś po całym tym zajściu, by przywrócić równowagę psychiczną?

**X:** Zacząłem znów pisać. Spędzałem od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie w swojej pracowni, gryzmołąc tam sobie do woli. Teraz odbieram to tak, że moim jedynym zbawieniem było pisanie. Zacząłem pisać opowieści dla dzieci. *Sara w Krainie Westchnień* była pierwszą z nich i wyszła mi całkiem nieźle. Spodobała się mojemu agentowi. Dobrze się sprzedawała. A wreszcie zdobyła nawet honorowe wyróżnienie Caldecott. Tak więc napisałem więcej tych historyjek, z takim tylko wyjątkiem, że w pewnym momencie - a wciąż nie wiem, kiedy dokładnie to się stało - manta pojawiła się ponownie.

**P:** Jak zareagowałeś?

**X:** Strachem. Czystym, niczym nieskalanym strachem.

**P:** Opowiedz mi, jak do tego doszło.

**X:** Nie będziemy o tym rozmawiać. Ale napisałem o tym. Jest to, można powiedzieć, fragment większej całości.

Iks sięga pod blat swojego biurka i podaje mi wyciągnięty stamtąd cienki plik kartek. Odbieram je od niego z ledwie maskowaną niechęcią.

- Fikcja kłamie.

Iks prychnął.

- Podobnie jak ludzie.

- Przeczytam to z pewnymi zastrzeżeniami.

- Dobrze. Ale teraz musisz mi na chwilę wybaczyć... - Powiedział i wywędrował z pokoju w kierunku toalety. Pozostawiając mnie sam na sam z manuskrypcem. Noszącym tytuł *Niezwykły przypadek Iksa*.

Zacząłem go czytać.

Siedzący w pokoju mężczyzna pisał w notatniku. Pomieszczenie było malutkie i światła było w nim jak na lekarstwo, ale mężczyzna miał dobre pióra, niezbyt więc

zwracał uwagę na takie niedogodności. Był pisarzem. Dlatego właśnie pisał. Ponieważ był pisarzem. Siedział samotnie w pozbawionym okien pokoju i zapisywał swą opowieść. Raz na jakiś czas wsłuchiwał się w muzykę, ponieważ była jego źródłem inspiracji. Historia, którą właśnie zapisywał, nosiła tytuł *Sara w Krainie Westchnień* i była podjętą z jego strony próbą zaprzyjaźnienia się z córką obecnej żony, dziewczynką, która nie była jego własnym dzieckiem. Jego potomstwem były bowiem historie, zapisywane opowieści, a te nie zawsze okazywały się jakoś szczególnie dobrze ułożonymi dziećmi. *Sara w Krainie Westchnień* była właśnie jedną z takich niezbyt dobrze sprawujących się historii. Nie miała nic wspólnego ze światem Ambergris, o którym mężczyzna pisał dla dorosłych (wszyscy pisarze posiadają oddzielne światy, o których piszą dla różnych grup wiekowych, nawet ci, którzy uważają, że ich nie mają). Tego dnia, jak zawsze, po skończeniu pracy przeczytał, co napisał, i odkrył, że również i w tej opowieści tu i ówdzie pojawiły się przebłąski Ambergris. Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób wkradły się do snutej historii, ale ponieważ był pisarzem, a co za tym idzie również i bogiem - maleńkim bogiem, malutkim, nieważnym bogiem, ale tak czy inaczej bogiem - chwycił za pióro i usunął wszelkie przebłąski i aluzje odnoszące się do Ambergris, wszystkie, które tylko udało mu się wychwycić w tej opowieści dla dzieci, a zanim z tym skończył, zapadł już zmierzch. Wiedział, że tak jest, ponieważ wyczuwał go w swoim wnętrzu, wyczuwał, jak dławi mu płuca, jak porusza się w tej części ciała, która skrywała jego wyobraźnię. Wykaszłał odrobinę ciemności, ale jakoś nie zwrócił na to zbytniej uwagi. W każdym z pisarzy kryje się odrobina mroku. Zasiadł więc do kolacji razem z żoną i jej córką, a one zapytały go, jak mu dzisiaj poszło pisanie. Odpowiedział: „Okropnie! Beznadziejnie! Nie jestem pisarzem. Jestem piekarzem. Stolarzem. Kierowcą ciężarówki. Wcale nie jestem pisarzem”. A one śmiały się, ponieważ wiedziały, że był pisarzem, a wszyscy pisarze kłamią. I kiedy wykaszłał kolejną drobinę ciemności, zignorowały to, ponieważ wiedziały, że wewnątrz każdego z pisarzy drzemie odrobinę więcej ciemności niż w innych ludziach.

Przez całą noc pisarz wykaszliwał kawałeczki ciemności - lśniącej ciemności i chropowatej ciemności, ciemności zarówno gładkiej, jak i matowej - i tak, nim nastał świt, wszelka ciemność opuściła go zupełnie. Obudził się wypoczęty. Z uśmiechem na twarzy. Ziewnął. Zjadł śniadanie. Umył zęby. Ucałował żonę i jej córkę, gdy pierwsza wychodziła do pracy, a druga do szkoły. Zupełnie zapomniał o ciemności. Dopiero

wchodząc do swojej pracowni przypomniał sobie o niej i o tym, ile jej z niego wyszło. Tam bowiem ta ciemność przybrała kształt, miała teraz skrzydła, wleciała pod sufit, do rogu, gdzie ściana łączyła się z sufitem, by wreszcie rozpląszczyć się nieruchomo tuż przy murze, gdzie jedynie koniuszki jej skrzydeł nieznacznie trzepotały. Nim zasiadł do pisania, przez krótką chwilę przyglądał się istocie. Była mrokiem. Była piękna. Wyglądem przypominała lśniącą czarną mantę o kocich, bursztynowoczerwonych oczach. Była również ucieleśnieniem bombowca, niewidocznego dla radarów. Wyglądała jak najwytworniejsza, najmądrzejsza istota na świecie. A przecież wyszła z niego, z jego wnętrza, wydała ją jego ciemność. Pisarz należał do bojaźliwych ludzi, lecz teraz wydało mu się, że powinien poczuć dumę, zdecydował się być mile połączony tym faktem, zadowolony że pomógł w stworzeniu tak przepięknej zjawy. Oprócz tego - przestał męczyć go kaszel. Jego płuca uwolniły się od czerni. Był pisarzem. Będzie pisał. I to też robił - przez cały dzień.

Mijały tygodnie. Ukończył *Sarę w Krainie Westchnień* i zabrał się za kolejne opowieści. Przyciemnił światło w pracowni, by było w niej jeszcze mroczniej niż do tej pory, a zrobił to, by podczas swych krótkich wizyt w pracowni jego żona nie była w stanie dostrzec rozległego cienia wczepionego w róg pomieszczenia, tam gdzie ściana stykała się z sufitem. Ale ona jakoś nigdy i tak go nie widziała, nieważne jak rozświetlone było pomieszczenie, więc przestał przyciemniać światło. Przecież i tak nie miało to znaczenia - żona nie była w stanie dostrzec precyzyjnej ciemności. A ta jaśniała mu czernią, pulsowała tą czernią, gdy siedząc pod nią nieustannie zapisywał kolejne historie. I chociaż istota nie robiła mu żadnej krzywdy, i jak się okazało, wyjątkowo go fascynowała, coraz to wcześniej zaczął kończyć wieczorami swe pisanie, by przenosić się do salonu z pracą wykonaną podczas dnia. Tam właśnie po raz kolejny czytał to, co napisał. Był pisarzem. Pisarze piszą. Ale pisarze również redagują to, co napisali. I gdy tak siedział tam pewnego dnia, z zaciśniętymi wargami, zmarszczonymi brwiami, zaabsorbowany, pochłonięty narodzinami dopiero co powołanej do życia istoty, zauważył jeden bardzo niepokojący fakt. Niektóre ze zdań nie pochodziły od niego. Na ten przykład to tutaj. Wyraźnie pamiętał, jak zapisał: „Głupiutka Sara nie wypytywała płaczącego zółwia, lecz - ufając jego mądrym, starym oczom - z radością podążyła za nim do nieznanego miasta”. Lecz zdanie zapisane na czytanej stronie brzmiało następująco: „Głupiutka Sara nie wypytywała grzybianina, a kiedy tylko odwróciła się do niego plecami, ten schwycił ją z okrzykiem radości i zabrał ze sobą z powrotem do Ambergris”. Były też i inne przykłady - tu jakiś

pospiesznie skreślony szkic postaci, tam przypadkowy opis, jedna czy dwie wrzucone nazwy tamtejszych miejsc. Ambergris przejęło tworzona przez niego historię. Miasto przywłaszczyło sobie pisaną przez niego opowieść. Jak mogło do tego dojść? Pisarze ciężko pracują, czasem zbyt ciężko. Być może taki właśnie był powód - pracował za ciężko. Tak, tak właśnie musiało być. Oto odpowiedź. Zaledwie przelotnie pomyślał o pięknej, lśniącej mancie. Wszyscy pisarze posiadali w sobie niewielką ciemność. I nawet wbrew temu, że jego ciemność została uzewnętrzniona, wciąż była tylko niewielką ciemnością, ciemnością, która obecnie nie oblepiała i nie zatykała mu płuc, nie dusiła od środka. Pisarz rozmyślał o kojącym milczeniu tkwiącej w bezruchu istoty. Bo był to bezruch, jeśli nie liczyć nieznacznych falowań i marszczeń jej masywnych skrzydeł. Gdy siedział w fotelu, mars wykwitł mu na czole, lecz nie przestawał poprawiać napisanej wcześniej historii. Czyżby było możliwe, że coś, czego jego żona nie była w stanie nawet dostrzec, może wywierać wpływ na otaczający go świat? Na jego osobę?

Następnego dnia, gdy zapisywał kolejną opowieść, poczuł na swym ramieniu ciężar ciemnej istoty, ale gdy uniósł wzrok, ta wciąż wtulała się w miejsce, gdzie ściana stykała się z sufitem. Powrócił do pracy, ale jak wkrótce się przekonał, całkowicie pochłonięty myślami o Ambergris.

Z pewnością, jak podpowiadały mu te myśli, na zbyt długo porzucił tamto miasto. Z pewnością nadszedł już czas, by wrócić do domu, do Ambergris. Pióro niemal wbrew jego woli zaczęło opisywać miasto: pnącza winorośli porastające ściany budynków w wypalanej dzielnicy biurokratów; smutne samotne twarze pomników stojących przy placu Trilliana, nierówne uderzenia fal o doki. Jego pióro pisało na czarno. Pisarze zawsze piszą czarnym atramentem. Odłożył pióro i schwycił za inne, piszące na niebiesko, takie, którego używał do korekty swych tekstów, lecz jedynym, co był w stanie zrobić, gdy starał się jedną, długą i zamasytą linią przekreślić wszystko, co właśnie napisał, okazały się drobne poprawki błędów ortograficznych. Pisarze może i piszą, być może i redagują, ale są przy tym beznadziejni, jeśli chodzi o zagadnienia związane z ortografią. Po raz kolejny spojrzął na mantę. Wpatrzył się w przytuloną do sufitu ciemność i stwierdził: Jesteś ciemnością, a wszyscy pisarze noszą w sobie odrobinę mroku, ale nie wszyscy oni posiadają go również na zewnątrz. „Czym jesteś? Kim jesteś?”- Zapytał, ale ciemność nie odpowiadała. Ciemność potrafiła tylko pisać. I

redagować. Jak gdyby i ona była pisarzem.

Nie minęło zbyt wiele czasu, a pisał wyłącznie o Ambergris. Opisywał każdy najdrobniejszy szczegół dotyczący jaśniejących nad miastem iglic zalewanych promieniami porannego słońca. Opisywał szczegółowe zasady truffidiańskiej religii, tak bardzo dominującej w duchowym życiu miasta. Opisywał domy i sieroty, umeblowanie tych domów i obyczaje społeczne. Pisał opowiadania i pisał eseje. Pisał opowiadania, wyglądem przypominające eseje. Jakaś jego częśćka była zachwycona szybkością, z jaką pióro mknęło, zupełnie bez wysiłku, niczym utalentowany łyżwiarz figurowy, po czystej tafli kartki papieru. Jakaś jego część pompatycznie wzgardziła opowieściami dla dzieci, nad którymi pracował tuż przed przemianą. Z kolei jakaś inna jego część była tak przerażona, że nie mogła nawet wyartykułować swojego strachu. Kolejna częśćka wrzeszczała, bełkotała i miotła wściekłe obelgi skierowane przeciwko ciemności. Wydawało się, że Ambergris zamierza się urzeczywistnić w świecie, który sam autor uważał za prawdziwy i rzeczywisty; że ma zamiar go uwieść, zwieść, by uwierzył, że istnieje bez jego udziału. Ale pisarz pisze, nawet kiedy nie chce tego robić, tak więc i ten pisał, co niekoniecznie zawsze odbywało się bezboleśnie. Towarzyszył mu również strach. Przez całe dni nic nie jadł, karmił tylko wszystkim, co posiadał, tkwiącą na ścianie istotę, z nadzieją, że ta odkryje przed nim jeszcze jeden, kolejny drobny fragment Ambergris. Żona zaczęła się o niego martwić, ale niecierpliwie jej powtarzał, że wszystko jest w najlepszym porządku, kompletnym porządku, zupełnie w porządku. Zaczął wszędzie nosić ze sobą mały notesik, w którym zapisywał swe spostrzeżenia i to w najbardziej kłopotliwych chwilach spotkań towarzyskich. Wkrótce zaczął sypiać w pracowni, z jasną ciemnością tuż nad głową - ciemnością, która służyła mu za lampkę nocną. Bycie pisarzem uzależnia. Bycie pisarzem jest uzależnieniem. Wszystkie te słowa, słowa, słowa. Sam akt pisania jest uzależniający. Ale pisarz nie czuł się teraz pisarzem. Czuł się jak zwykły ćpun uzależniony od narkotyku. Czuł się jak uzależniony ćpun na niekończącym się głodzie kolejnego strzału. Pytanie tylko, czy kolejny strzał mógł go uleczyć? Czy jego głód mógł w ogóle zostać zaspokojony? Palce i nadgarstek nieustannie bolały go od artretyzmu, który dotknął je z powodu przemęczenia i nadwężenia. Jego umysł szybował wysoko i gwałtownie w chmurach, obracając się niczym wózki rollercoastera euforii i strachu. Kiedy istota zatajała przed nim jakąś informację, bądź też kiedy to jego żona lub potrzeba wykonania najprostszych czynności życiowych

skazywały go na banicję i wypędzały z za biurka, drżał na całym ciele i oblewał się potem. Wymiotował. Był kompletnie wycieńczony Ambergris. Miasto było wirusem skrywającym się w jego wnętrzu, wirusem atakującym jego czerwone i białe krwinki. Nowotworem, pożerającym jego ciało. Było wielką, czarną i głęboką ciemnością, skrywającą się w jakimś zakamarku jego umysłu. Upijał się innym światem. A to coś na ścianie za każdym razem stawało się coraz większe i większe, wpatrywało się w niego z góry, a po skrzydłach istoty rozchodziły się delikatne zmarszczki fal, gdy kwiliła o coraz więcej pożywienia, które oczywiście składało się z kawałeczków duszy pisarza. Całe jego życie stało się wędrówką w poszukiwaniu Ambergris, wędrówką, której celem było sprawienie, by miasto stało się bardziej rzeczywiste, bardziej realne. Zdarzało mu się odnajdywać porozrzucane po całym domu notatki dotyczące miasta, których zapisywanie zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć; trafiały się wśród nich nawet manuskrypty librett napisanych przez Vossa Bendera czy opowieści Sirina. Jego żona uważała, że stworzył je własnoręcznie, ale on dobrze wiedział, jaka jest prawda. Zdawał sobie sprawę, że napisała je tkwiąca na ścianie istota, po czym porozrzuciła je, to tu, to tam, niczym okruszki, by mógł podążyć ich śladem do domku z piernika, do czekającej tam na niego czarownicy, wprost ku własnej śmierci.

Wreszcie, pewnego bladego jesiennego dnia, gdy liście na zewnątrz zabarwiły się na złoty brąz i same rozmiotły po całym przydomowym trawniku, pisarz doszedł do wniosku, że musi zniszczyć istotę, gdyż w przeciwnym wypadku to ona go zniszczy. Było mu smutno, że musi to zrobić, wiedział bowiem, że zniszczy w ten sposób jakąś część samego siebie. Wszak ona pochodziła z jego wnętrza. Wyszła z niego. Sam ją stworzył. Ale był przecież pisarzem. Wszyscy pisarze piszą. Wszyscy pisarze redagują to, co napisali. Wszyscy pisarze z pewnością muszą również, od czasu do czasu, niszczyć własne kreacje, nim kreacje, o których mowa, stracą świeżość i zniszczą ich samych. Pisarz nie żywił już miłości do tej istoty, żywił jedynie nienawiść. Tak naprawdę kochał tylko swą żonę i jej córkę, i wydawało mu się, że taka właśnie miłość jest najwspanialszym usprawiedliwieniem, jakie tylko mógłby wymyślić dla tego, co zamierzał zrobić. Wszedł więc do swojej pracowni i zaatakował ciemność. Jego żona usłyszała dochodzące z wnętrza przerażające odgłosy - krzyki mężczyzny, wrzaski, łomoty o ścianę; i czyżby poczuła również dochodzący stamtąd swąd spalenizny? - Nim jednak zdołała ruszyć mu na ratunek, pisarz zataczając się wypadł ze środka z twarzą ogarniętą wyraźnym przestrawem i poczuciem porażki. Zapytała: „Co się

stało?”, i zamknęła go w swych ramionach. „Wszyscy pisarze piszą”, wyszeptała. „Wszyscy redagują to, co napisali”, wymamrotała. „Wszyscy oni noszą w sobie odrobinę ciemności”, załkała. „Wszyscy pisarze muszą czasem zniszczyć swe dzieła!”, wykrzyczała. „Ale tylko jeden pisarz posiada ciemność, której nie można zniszczyć”, pomyślał już sam do siebie, gdy kurczowo ścisnął swą żonę, całował ją i szukał w niej ukojenia, gdyż była najdroższą mu rzeczą na świecie i obawiał się - obawiał się straty, obawiał się ciemności, a co najważniejsze - bał się samego siebie.



Kiedy skończyłem czytać, odwróciłem się do niego i stwierdziłem łagodnie:

- Na swój sposób to bardzo interesująca alegoria, mimo iż zakończenie wydaje mi się odrobinę... Melodramatyczne? Ten tekst jest również ze wszech miar wartościowym dokumentem. Rozumiem, dlaczego ludziom podoba się twoje pisarstwo.

Pisarz ponownie zasiadł za biurkiem.

- To nie alegoria. To moje życie. - Wyglądał na pokonanego, jak gdyby po raz kolejny przeczytał mi przez ramię całą historię.

- Czy nie uważasz, że już najwyższy czas, by zacząć zajmować się szczegółami pożaru? - Zapytałem. - Czyż to wszystko nie prowadzi nas właśnie tam?

Odwrócił głowę na bok jak koń stawiający opór.

- Być może. Być może i tak. Kiedy pozwolicie mi zobaczyć się z żoną?

- Na pewno nie, zanim skończymy naszą rozmowę - odparłem. Kto też mógłby wiedzieć, kiedy zobaczy się z żoną? Z doświadczenia wiedziałem, że muszę kłamać bądź ukrywać prawdę, po to, by utrzymać w głowie pacjenta pewien stan równowagi. Niezbyt mi się to podobało. Wcale nie czułem ku temu jakiegoś szczególnego pociągu, ale mimo wszystko to robiłem.

- Musisz zrozumieć - powiedział - że nie pojąłem w pełni tego, co się wydarzyło. Mogę się tylko domyślać.

- Z przyjemnością zaakceptuję najlepsze z twych domysłów.

Wbrew całemu opanowaniu na wargach wykwitł mi ponury uśmiech. Wyczuwałem trawiającą go rozpacz: pachniała zeschniętą trawą, niczym czerstwe ciasteczka, skwaśniałe mleko.

**X:** Manta stopniowo rozrastała się, aż wreszcie pokrywała przeszło trzy metry ściany.

Wraz z jej wzrostem zaczęło się zmieniać samo pomieszczenie. Początkowo nie były

to jakieś widoczne zmiany, ale zaczął do mnie dochodzić zapach dżungli, po jakimś czasie również smród z rur wydechowych samochodów, aż wreszcie dało się dosłyszeć odgłosy przypominające ruchliwe, lecz znacznie oddalone miasto. Stopniowo manta wkomponowała się w swój róg i przyłgnęła do ściany niczym druga skóra. Zaczęła też śmierdzieć, co nie było zbyt przyjemne, gdyż zapach przypominał gnijące owoce.

**P:** I trwało to, aż...?

**X:** Aż pewnego dnia obudził mnie wcześniej rano przerażający koszmar, koszmar, w którym jakiś człowiek bez twarzy dźgał czymś moją dłoń, a ja nawet nie starałem mu się wyrwać... Wszedłem do pracowni, a tam z rogu, z tego miejsca, gdzie wcześniej tkwiła owa istota, biło bardzo ostre światło. Była tam wyrwa dokładnie o kształcie manty, przez którą do środka mojej pracowni zaglądało Ambergris. Widziałem w niej Dzielnicę Religijną z mrowiem ikon i pielgrzymów, dochodziły stamtąd niekończące się wezwania do modlitw.

**P:** Co wtedy poczułeś?

**X:** Złość. Chciałem rozedrzeć Ambergris na strzępy, kawałek po kawałku. Chciałem stanąć na czele potężnej armii i zetrzeć w proch bramy miasta, co do jednego wybić wszystkich jego mieszkańców, zrównać je z ziemią. Złość jest zbyt słabym słowem, by opisać, co czułem.

**P:** I wierzysz, że takie właśnie było zadanie manty, gdy przekazała ci dar powrotu do Ambergris?

**X:** „Dar”? To z pewnością nie był żaden dar, chyba że twoim zdaniem można tym słowem określać szaleństwo.

**P:** Wybacz mi. Nie miałem zamiaru cię niepokoić. Czy wierzysz w klątwę rzuconą na ciebie przez mantę, przekazującą ci moc zniszczenia Ambergris?

**X:** Nie. Zawsze gdzieś w głębi miałem inne cele niż owa istota. Ona zniszczyła mi życie.

**P:** Co zrobiłeś, kiedy już stanąłeś twarzą w twarz z tym widokiem Ambergris? Czy też, by być bardziej dokładnym: jak ci się wydaje, co wtedy zrobiłeś?

**X:** Wspiąłem się na ścianę i przeszedłem do tamtego świata.

**P:** I właśnie od tego momentu, przynajmniej według tego, co powiedziałeś podczas



poprzednich sesji, twoje wspomnienia stają się coraz bardziej niepewne i wątpliwe. Czy stwierdzenie, że twoje wspomnienia stają się „mgliste”, będzie tu odpowiednie?

**X:** Tak.

**P:** W takim razie skieruję nas teraz na zupełnie inne tory, by wrócić do tego tematu za jakiś czas. Opowiedz mi o Janice Shriek.

**X:** Przecież już... Nieważne zresztą. Była fanką moich dzieł. Zarówno Hannah, jak i ja przepadalіśmy za nią i pozwalaliśmy jej pomieszkiwać u nas w domu - akurat wtedy była na urlopie naukowym. Malowała, ale zarabiała na życie jako historyk sztuki. Jej brat, Duncan, również słynny historyk, zbił fortunę pisząc o Cesarstwie Bizantyjskim. Duncan przebywał w tamtym czasie w Stambule, przeprowadzając tam jakieś badania naukowe, gdyż w przeciwnym razie z pewnością też przyjechałby nas odwiedzić. Niezbyt często widywał się z siostrą.

**P:** A ty wkomponowałeś ich w swoje opowieści?

**X:** Tak, dałem w nich obojgu pewne role i byli tym zachwyceni. Janice nawet pomogła mi wygładzić w *Przemianie Martina Lake'a* fragmenty związane z historią sztuki.

**P:** Czułeś animozję czy niechęć do Janice Shriek? Do jej brata?

**X:** Nie. Dlaczego miałbym je czuć?

**P:** Opisz mi, proszę, Janice Shriek.

**X:** Była drobną kobietą, może nie tak filigranową jak na przykład ta aktorka Linda Hunt, ale niewiele większą. Odrobinę się garbiła. Miała odpowiednią wagę ciała. Jakieś pięćdziesiąt cztery lata. Czoło pokrywała jej gęsta siateczka zmarszczek. Lubiała ubierać się w kobiece garnitury w stylu bizneswoman i paliła jakieś okropne cygara sprowadzane z Syrii. Silna osobowość, roztaczała wokół siebie wyrazistą aurę. Dowcipna. Władza kilkoma językami.

**P:** Podczas jednego z wcześniejszych przesłuchań wspomniałeś: „Czasem miałem wrażenie, że istnieję w dwóch miejscach równocześnie, i zastanawiałem się, czy jednym z tych światów nie jest przypadkiem Ambergris”. Co miałeś wtedy na myśli?

**X:** Zastanawiałem się, na ile sam wpisałem ją w Ambergris, a na ile miała już tam wcześniej własne życie. Sprowadza się to do tego - czy moje historie, słowo w słowo, były prawdą o tamtym mieście, jak również o jego mieszkańcach, czy też może jedynie opisywane przeze mnie plenery były prawdziwe, a postaci były ledwie

wymysłem mojej wyobraźni?

**P:** Zapytam cię po raz kolejny - czułeś niechęć do Janice Shriek?

**X:** Nie!

**P:** I nigdy nie czułeś do niej urazy z powodu droczenia się z tobą w kwestii realności Ambergris?

**X:** Czułem, ale to przecież nie jest wystarczającym motywem, by...

**P:** Nie czułeś zawiści, że - jeśli rzeczywiście istniała w obu światach - wydaje się tak opanowana, posiadająca nad tym tak silną kontrolę? Czy sam nie chciałeś również osiąść podobnego rodzaju opanowania, kontroli sytuacji?

**X:** Zawiść nie jest niechęcią. I powtórzę tu po raz kolejny, nie jest też wystarczającym motywem, by... By zrobić to, co sugerujesz.

**P:** Miałeś jakieś empiryczne dowody - jakie tylko mogłeś osiąść - że istnieje w obu światach?

**X:** Dała mi to do zrozumienia w żartach, pomiędzy wierszami - co do tego masz rację. Co oczywiste, przeczytała wszystkie moje powieści, mogła więc nawiązywać do Ambergris, jakby naprawdę istniało. Kiedyś powiedziała mi, że jedynym powodem, dla którego chciała mnie poznać, był fakt, że opisywałem prawdziwy świat. Jeszcze przy innej okazji podarowała mi dosyć osobliwy prezent urodzinowy.

**P:** Co takiego?

**X:** *Hoegbottoński przewodnik po Ambergris*. Dała mi go, twierdząc, że to autentyk. Że po prostu wpadła sobie w Ambergris do Księgarni Borges, gdzie go kupiła - i oto, proszę bardzo, dostaję taki prezent. Nieźle mnie tym wkurzyła, ale nie przyznała się nigdy do kłamstwa. Hannah twierdziła, że Janice jest fanatyczką. Że musiała go stworzyć własnoręcznie i że lepiej byłoby bądź uznać to za komplement, bądź zacząć wypytywać prawników na tematy dotyczące naruszenia praw autorskich.

**P:** Dlaczego wątpiłeś w słowa żony?

**X:** Przewodnik był tak kompletny i doskonały. Tak szczegółowy. Nie mógł być żadną podróbką ani oszustwem.

**P:** Z pewnością taka poliglotka, i na dodatek historyk sztuki, jak Janice Shriek byłaby w stanie stworzyć coś takiego?

**X:** Nie mam pojęcia. Być może. Tak czy inaczej, stąd właśnie wpadł mi do głowy ten pomysł dotyczący jej osoby.

**P:** Pozwól, że wrócimy do twojego wypadu do Ambergris. Manta stała się wrotami do tamtego świata. Zdaję sobie sprawę, że nie możemy teraz polegać na twoich wspomnieniach, ale czy przypominasz sobie, co odkryłeś po drugiej stronie?

**X:** Szedłem bulwarem Albumuth. Było dosyć chłodno. Ulica była zatłoczona zarówno pieszymi, jak i pojazdami silnikowymi. Co oczywiste, tym razem nie trafiłem tam nago, mogłem więc uważnie rozglądać się wokół, i wtedy... Po prostu zagubiłem się w tłumie. Nie myślałem o niczym. Niczego nie analizowałem. Po prostu szedłem przed siebie. Ruszyłem w kierunku doków, by przyjrzeć się zacumowanym tam statkom. Napawałem oczy widokiem parady odbywającej się w pobliżu placu Trilliana. Następnie przez jakiś czas odkrywałem place targowe, na których handlowano żywością. Po chwili przeszedłem do Dzielnicy Biurokratów.

**P:** Gdzie dokładnie to się stało?

**X:** Nie... Nie potrafię...

**P:** Oszczędzę ci więc wspomnień. I tak mam już to wszystko tutaj zapisane. Twierdzisz, że zobaczyłeś przechodzącą przez ulicę kobietę oraz jakiś zbliżający się do niej z wielką prędkością pojazd i że - jak mówisz - wyrwałeś ją ze szponów niebezpieczeństwa. Czy przytaczam poprawnie?

**X:** Tak.

**P:** Jak wyglądała ta kobieta?

**X:** Widziałem ją tylko od tyłu. Była dosyć niska. Raczej starsza niż w średnim wieku. Odrobinę powłóczyła nogami. Jak mi się wydaje, miała przy sobie teczkę, może portfolio albo coś podobnego...

**P:** Jakiego koloru był pojazd?

**X:** Czerwony.

**P:** A co stało się już po tym, gdy ją zepchnąłeś z drogi pojazdu?

**X:** Wyminęła nas furgonetka, przejeżdżając między mną a kobietą, a ja znalazłem się z powrotem w prawdziwym świecie. Na twarzy poczułem silny, opalający mi brwi skwar. Padłem na podłogę tuż przed drzwiami podpalonej przez siebie pracowni.

Wkrótce płomienie ogarnęły cały dom. Hannah zdążyła już wyprowadzić Sarę na zewnątrz, a teraz, w chwili mojego „przebudzenia”, starała się wywlec z płomieni również i mnie. Wrzeszczała mi do ucha: „Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?!”.

**P:** Co takiego niby miałeś zrobić?

**X:** Pchnąłem Janice Shriek w podłożony przez siebie ogień.

**P:** Zamordowałeś ją.

**X:** Pchnąłem w płomienie.

Przypatrywaliśmy się sobie nad blatem biurka znajdującego się w małym, ogołoconym ze sprzętów pomieszczeniu, a w wyrazie jego twarzy wyraźnie mogłem dostrzec, że wciąż nie dochodzi do niego sedno całej sprawy. Że nie rozumie, co tak naprawdę przydarzyło się Janice Shriek. Ile miałem mu teraz powiedzieć? Bardzo niewiele. Tyle co nic. Dla jego własnego dobra. Bezlitośnie jednak kontynuowałem przesłuchanie, świadom, że teraz odbiera mnie już tylko jako ciemność, jako swego zdrajcę.

**P:** Jak bardzo byłeś szczęśliwy, zadowolony z siebie, po ocaleniu życia kobiety w Ambergris, porównując to ze smutkiem, który poczułeś po zabiciu Janice Shriek?

**X:** To nie jest takie proste.

**P:** Ależ to jest właśnie aż tak proste. Czy czujesz winę, wyrzuty sumienia bądź skruchę dlatego, że zamordowałeś Janice Shriek?

**X:** Oczywiście!

**P:** Czy czułeś się odpowiedzialny za swe czyny?

**X:** Nie, nie od razu.

**P:** A teraz?

**X:** Teraz tak.

**P:** Czy czułeś się odpowiedzialny za ocalenie życia tamtej kobiety w Ambergris?

**X:** Nie. Dlaczego miałbym się czuć za to odpowiedzialny? Ambergris nie istnieje przecież naprawdę.

**P:** A jednak, jak stwierdzasz w posiadanych przeze mnie zapisach z poprzednich sesji, podczas procesu, do którego doszło w związku ze śmiercią Shriek, upierałeś się, że

Ambergris jest prawdziwe! Jak więc to teraz wygląda? To miasto jest prawdziwe czy nie?

**X:** Wtedy było.

**P:** Wydajesz się przesadnie dumny z faktu, że - jak sam to ująłeś - ława przysięgłych podczas pierwszego z procesów nie była w stanie wydać wyroku. Że potrzeba było kolejnej ławy i kolejnego procesu, by udało się wreszcie cię skazać. Byłeś wręcz nieprzyzwoicie z tego dumny, że pozwolę tu sobie na takie stwierdzenie.

**X:** To zaledwie duma autora z powodu perfekcji i piękna oszustwa własnych zmyśleń.

**P:** „To zaledwie duma autora z powodu perfekcji i piękna oszustwa własnych zmyśleń”. Posłuchaj sam siebie. Twoja duma jest obrzydliwa i koszmarna. Zamordowano człowieka. I to ty stanąłeś przed sądem za to morderstwo. A może wydaje ci się, że Janice Shriek wiodła bardziej prawdziwe życie w Ambergris? I tak właściwie to zabiłeś zaledwie jakieś echo, cień, zaledwie refleks jej prawdziwego bytu?

**X:** Nie! Nie uważam, że Ambergris jest bardziej prawdziwe. Wtedy nic nie było dla mnie prawdziwe. Arogancja, duma, wszystko to było murem, ścianą, sposobem, bym mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Sposobem, by nie myśleć.

**P:** Jak też udało ci się przekonać niektórych członków ławy przysięgłych, by uwierzyli w Ambergris?

**X:** To nie było łatwe. Proste nie było nawet przekonanie własnego adwokata, by poprowadził sprawę w ten raczej szalony sposób, który mu zasugerowałem. Przystał na to, ponieważ wierzył, że ława przysięgłych i tak uzna mnie za szaleńca, a następnie odda pod opiekę szpitala psychiatrycznego. Jestem przekonany, że sam uważał, iż tego właśnie wymagam. To, że zostanę skazany, nie ulegało żadnej dyskusji - przecież świadkiem oskarżenia była moja własna żona.

**P:** Ale udało ci się przekonać niektórych z członków ławy.

**X:** Być może. A być może nie spodobał im się oskarżyciel. Zapewne bardzo pomógł mi fakt, że prawie każdy z nich czytał moje książki bądź przynajmniej o nich słyszał. Dowodziło to tylko tego, że moja wyobraźnia zapiera dech w piersiach. Stworzony przeze mnie świat był tak kompletny, tak w pełni urzeczywistniony, że, czego jestem pewien, stał się niemal równie prawdziwy dla ławy przysięgłych jak odrapany i

śmierdzący stęchlizną pokoik jej obrad.

**P:** Przekonałeś więc ławę potęgą swej wizji. Oraz szczerością - tym, że sam wierzysz w prawdziwość Ambergris.

**X:** Nie mów tak. Jak już powiedziałem ci wcześniej, nim jeszcze zaczęliśmy, ja już nie wierzę w Ambergris.

**P:** Czy możesz mi opisać członków ławy przysięgłych podczas pierwszego procesu?

**X:** Co?

**P:** Poprosiłem, byś opisał mi członków ławy przysięgłych. Jak wyglądali? Jeśli tylko uznasz to za konieczne, posiłkuj się swą słynną wyobraźnią.

**X:** Byli po prostu członkami ławy przysięgłych. Grupką ludzi mniej więcej w moim wieku. Wyglądali jak... Jak zwykli ludzie.

**P:** Więc nie jesteś w stanie przypomnieć sobie ich twarzy.

**X:** Nie, tak właściwie to nie.

**P:** Skoro przekonałeś ich, by tak mocno uwierzyli w Ambergris, że w efekcie nie doszło do skazania, dlaczego sam nie jesteś w stanie uwierzyć w to wszystko?

**X:** Ponieważ Ambergris nie istnieje! Alicjo, to nie istnieje! Nie jest prawdziwe! Wymyśliłem je sobie. Czy też, by być bardziej dokładnym, to ono mnie sobie wymyśliło. A ono nie istnieje.

Iks oddychał ciężko. Lewą pięścią silnie uderzył w biurko.

- Podsumujmy więc teraz wszystko, ponieważ podczas dzisiejszej rozmowy pojawiły się dwa nowe kluczowe punkty. Co najmniej dwa. Pierwszy z nich dotyczy manty. Drugi - ławy przysięgłych. Zapytam więc po raz kolejny: Czy nigdy nie dopuściłeś do siebie myśli, że manta mogła mieć jednak na ciebie jakiś pozytywny wpływ, że mogła okazać się zbawiennym impulsem?

- Nigdy.

- Ja dostrzegam ją tutaj jako manifestację twych zdrowych zmysłów - być może manifestację podświadomości, która pojawiła się, by poprowadzić cię ku światłu.

- Poprowadziła mnie ku ciemności. Poprowadziła ku wymagowanej krainie.

- Po drugie, nigdy nie było żadnego procesu, przynajmniej poza twoją głową podczas ucieczki z miejsca zbrodni. Twoja ława przysięgłych, ta, która uwierzyła w Ambergris,

reprezentowała tę część twojej osobowości, która wciąż kurczowo trzymała się myśli o prawdziwości tego świata. Nieważne, jak byś z nimi walczył, oni - anonimowi i pozbawieni twarzy - wciąż nieustannie powtarzali ci, że Ambergris jest prawdziwe!

- Teraz to ty starasz się mnie podejść - powiedział Iks, drżąc na całym ciele. Prawą dłonią, niczym w imadle, ścisnął lewy nadgarstek.

- Pamiętasz, jak się tu dostałeś? - Zapytałem.

- Nie. Prawdopodobnie przez drzwi frontowe, nie sądzisz?

- Nie wydaje ci się dziwne, że tego nie pamiętasz?

- Dziwne w porównaniu z czym? - Zaśmiał się gorzko.

Wpatrywałem się w niego bez słowa. W milczeniu tym, jak mi się zdaje, upatrywałem nadzieję, że w ostatniej chwili dokona swego odkupienia, że milczenie wymusi na nim dojście do wniosku, iż moja decyzja nie będzie dla niego korzystna.

- Nie wierzę w Ambergris. Ile razy mam ci to powtarzać? - Teraz już pot oblewał całe jego ciało. Cały też drżał.

Gdy nie odpowiedziałem mu nawet jednym słowem, zapytał:

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Przecząco pokręciłem głową. Schowałem do aktówki zapisy poprzednich przesłuchań, a następnie zamknąłem ją na kluczyk. Odsunąłem krzesło od biurka. Wstałem.

- W takim razie nic mnie tu już nie trzyma. Moja żona prawdopodobnie czeka na mnie w...

- Nie - odparłem, nakładając marynarkę. - Nie wolno ci stąd wyjść.

Zerwał się na równe nogi, po raz kolejny uderzając pięścią w biurko.

- Ale przecież powiedziałem ci, powiedziałem... Że nie wierzę w moją fantazję! Jestem racjonalny! Logiczny! Wyzbyłem się szaleństwa! Zostawiłem je za sobą!

- Ale tu właśnie - powiedziałem z tak wielką dozą życzliwości, na jaką tylko byłem się w stanie zdobyć, otwierając drzwi - dokładnie tu drzemie cały problem. Bo tym, co cię otacza, jest właśnie Ambergris. Znajdujesz się w tym mieście.

Wyrazu jego twarzy nie dało się opisać słowami.

Kiedy zamykał za sobą drzwi i wspinał się po schodach, uświadomił sobie, że to wszystko jest jednym wielkim wstydem i kompromitacją. Jasno i wyraźnie było widać, że pisarz utracił kontakt z rzeczywistością, i nieważne było, jak rozpaczliwie i usilnie ta rzeczywistość stara się zwrócić na siebie jego uwagę. A ta biedna kobieta, wciąż niezidentyfikowana, którą Iks wepchnął wprost pod koła przejeżdżającego pojazdu (on po prostu nie potrafił się zdobyć na to, by uświadomić Iksowi, jak błędne są jego wspomnienia)

była wystarczającym dowodem świadczącym o jego chorobie. W ostatecznym rozrachunku fantazja okazała się zbyt trwała, zbyt silna. A jaka to była cudowna fantazja! Świat, w którym ludzie latali w powietrzu i „kręcili filmy”. Disney, telewizja, Nowy Jork, Nowy Orlean, Chicago. Wszystko to było bardzo przekonujące i, w pewnych granicach, miało sens - dla Iksa. Ale jak doskonale wiadomo, ci pisarze byli przebiegłą gromadką i nie należało im wierzyć. Już teraz po ulicach chodziło zbyt wielu szaleńców. Jak też Iks poradziłby sobie z własną wolnością? Ze swą podwójną fantazją, dotyczącą zarówno literackiego sukcesu, jak i szczęśliwego małżeństwa, które okazałyby się kłamstwem? (Istniała jeszcze kwestia ostatnich słów Iksa, które dosięgły go, kiedy już zamykał za sobą drzwi: „Wszyscy pisarze piszą. Wszyscy redagują to, co napisali. We wszystkich kryje się odrobina ciemności”).

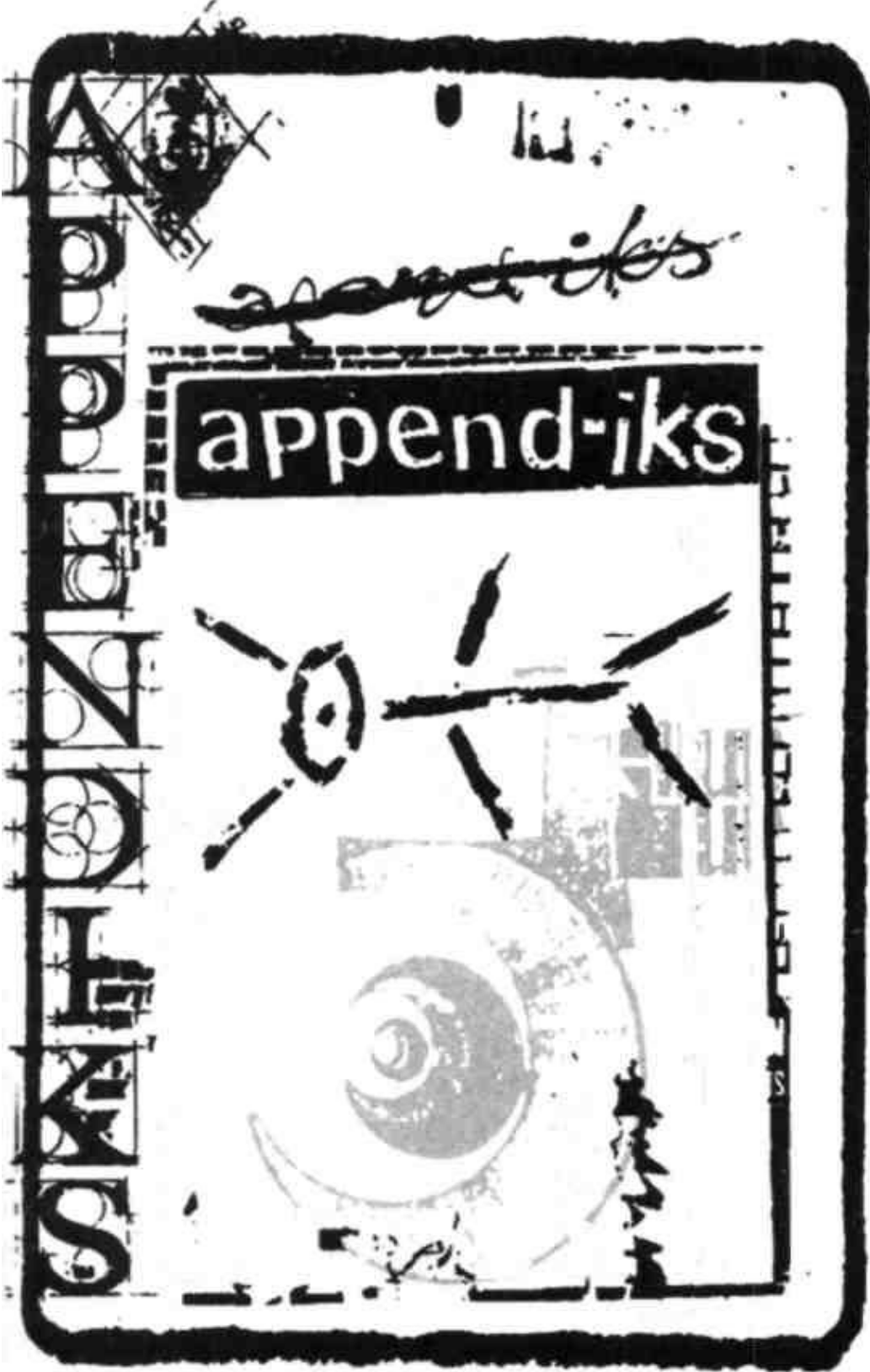
Po aresztowaniu nie odnaleziono w całym mieście najmniejszego zapisu, żadnego śladu dotyczącego jego osoby, zapewne więc Iks pochodził z zagranicy - być może z Wysp Południowych - skąd przybył, mając przy sobie jedynie tę swoją żalną książeczkę, bez wątpienia opublikowaną własnym sumptem przez jakąś oficynę o nazwie „Toruk”, wydawnictwo mające na celu zaspokojenie jego próżności, sądząc chociażby po samym brzmieniu tego słowa. Sam znał podobne uczucia z powodu własnego skromnego parania się sztuką pisarską. W rzeczywistości, jak zastanawiał się teraz, jedyny prawdziwy pożytek płynący z przeprowadzonej właśnie rozmowy, jedyna różnica pomiędzy właśnie zakończonym przesłuchaniem a zapisami z poprzednich sesji, będzie dotyczyć jego własnego pisarstwa. Zyskał bowiem właśnie kilka bardzo interesujących fragmentów, na których mógłby zbudować własną opowieść. Dlaczego? Dostrzegł, że zapis z tej sesji byłby swego rodzaju literaturą, gdyż, jak doszedł do wniosku już dawno temu, żadne urojenia nigdy nie mogłyby tak naprawdę zostać zrozumiane. Mógłby nawet opowiedzieć tę historię zarówno w pierwszej, jak i w trzeciej osobie, by równocześnie przybliżyć ją czytelnikowi przez monolog, jak i stworzyć dystans do wydarzeń dzięki głosowi przesłuchującego narratora.

Kiedy dotarł do miejsca, w którym zerwał różę, wyjął ją z butonierki i wetknął łożką z powrotem do szpary. Żałował, że w ogóle ją zerwał. Ale nawet gdyby tego nie zrobił, to i tak róża byłaby skazana na krótkie i płytkie życie w ciemności.

Na zewnątrz przestało już padać. Jednak zapach unoszącej się po deszczu wilgoci wciąż trwał w powietrzu, a południowe wezwania do modlitw, dochodzące z Dzielnicy Religijnej, odbijały się echem w wąskich uliczkach miasta. Mógł niemal poczuć w ustach cudowny smak gorących kiełbasek sprzedawanych przez ulicznych sprzedawców. Po lunchu wybiorę się gdzieś rozerwać, pomyślał. Opera i Teatr im. Manzikerta wystawiała w tym sezonie przegląd dzieł Vossa Bendera, a przy odrobinie szczęścia może uda mu się zdążyć na



seans poranny i wrócić do czekającej na niego w domu żony mniej więcej w porze obiadu. Z takim właśnie zamiarem wyszedł na ulicę i wkrótce rozmył się na niej, znikając w tłumie ludzi, którzy w porze lunchu zalali ulice Ambergris.



Szpital Psychiatryczny im. Vossa Bendera

Bulwar Albumuth 1314

Ambergris I 13-24

Do doktora  
Williama Simpkina  
Centralne Biuro Ewidencji i Archiwum  
Oddział Badań Psychiatrycznych  
Przy szpitalu im. Trilliana  
Aleja Trupiej Czaszki 8I8I  
Ambergris MI4-5I8

Drogi doktorze Simpkin!

Zgodnie z życzeniem znajdziesz dołączony do poniższego listu wszelki pozostawiony u nas przez Iksa dobytek z wyjątkiem pióra, pustego notatnika i zaczytanego kieszonkowego wydania Miasta szaleńców i świętych, które przez cały pobyt u nas przyciskał do piersi niczym talizman. Pozwoliłem sobie bowiem zatrzymać wymienione wyżej przedmioty w swych prywatnych zbiorach. (Jak być może pamiętasz, przez lata pracy udało mi się zgromadzić bardzo szeroki wachlarz pamiątek. Jeśli tylko kiedykolwiek znów odwiedzisz naszą skromną placówkę, wysuniętą na przedmurze szaleństwa, z prawdziwą przyjemnością oprowadzę cię po nich, gdyż ostatnio rozpocząłem katalogowanie mojej kolekcji, z niecierpliwością oczekując dnia, gdy wreszcie otrzymam konieczne fundusze na jej właściwe wystawienie. Każdemu z eksponatów towarzyszy obecnie fiszka przybliżająca jego historię. Jeśli tylko mogę tak stwierdzić, organizacja i wygląd ekspozycji są wyborne. Brak mi jedynie gablotek oraz pieniędzy koniecznych na jej utrzymanie i wszelkie niezbędne remonty).

Większość należących do Iksa rzeczy stanowią najprzeróżniejsze teksty, które bądź to wyszły spod jego pióra, bądź też udało mu się je jakoś zdobyć podczas krótkiego okresu, gdy jako wolny człowiek przemierzał ulice naszego miasta. Zgodnie z życzeniem dokładnie się z nimi zapoznałem, nie zważając na to, ile czasu i uwagi pozbawiło to innych pacjentów, mających możliwość pozostawiania pod moją osobistą opieką. Chciałbym teraz pokrótce podzielić się wszystkim, co udało mi się ustalić.

(1) notatki Iksa. Notatki stanowią spisane na maszynie kartki, które dołączam bezpośrednio do niniejszego listu, zostały one znalezione w jego koszu na śmieci. Zawierają serię przypomnień, obserwacji, szkiców słownych, rysunków (Iks miał do swej dyspozycji zbyt wiele wolnego czasu na doskonalenie swych bazgrołów), jak również krótki opis jednego z jego snów, który nazwałem „Maszyna”, notatki wydają się mówić same za

siebie i nie wymagają żadnego komentarza. Natomiast owa „Maszyna” dowodzi skrajnej paranoi pacjenta, skierowanej przeciwko szarym kapeluszą, nie wolno nam tu jednak zapominać, by nie wczytywać się zbyt w koszmary - te zwykle nawiedzające moją osobę wiążą się zazwyczaj, w związku z brakiem funduszy, z koniecznością likwidacji pewnych oddziałów, tak nieodzownych dla działania szpitala - lecz zaryzykowałbym tu stwierdzenie, że Iksa dręczył niepokój związany z badaniami, którym go poddawaliśmy. Biorąc pod uwagę historię obserwowanego przypadku, jest to nawet wyjątkowo spójne i logiczne.

(2) Uwolnienie Belacquy. Choć dołączona do tego manuskryptu notatka przypisuje go Sirinowi, sekretarka w biurze pisarza zapewniła mnie telefonicznie (nasz szpitalny aparat nie działa, przemierzyłem więc piechotą pięć przecznic, by skorzystać z domowego telefonu jednego z moich współpracowników), że Syrin jej nie napisał. Co za tym idzie, musimy przyjąć, że historię stworzył sam Iks. Żaden z jej fragmentów nie rzuca nam jednak nowego światła co do obecnego miejsca pobytu naszego pacjenta. O ile już coś nam przekazuje, to tyle tylko, że protagonista powyższej historii jest na równi z nami osłupiały i zaskoczony w kwestii Iksa. Zimne, krótkie odniesienie do Janice Shriek zadaje kłam protestom pacjenta, który rzekomo czuł wyrzuty sumienia z powodu dokonanych przez siebie czynów. Przez całą opowieść autor komunikuje się z czytelnikiem „między wierszami” w raczej rozczulający i patetyczny sposób. Takie skrepowanie wpłynęło negatywnie, co widać dość wyraźnie, na jego pisarstwo, osłabiając jego moc. (Sprawdziłem w posiadanej przez mnie skróconej wersji Trilliana Tessa Bendera - a zrobiłem to kierowany własną ciekawością - lecz nie udało mi się tam odnaleźć najmniejszej nawet wzmianki o jakimkolwiek „Belacqua”).

(3) Król Kałamarnic, napisany przez Fredericka Madnoka. Początkowo przyjąłem, że tę cieniutką broszurkę wydał własnym sumptem osobnik kryjący się pod pseudonimem Iks. Jednakże dalsze śledztwo odsłoniło zarówno fakt, że Madnok w rzeczywistości istnieje, jak również i to, że kilka miesięcy temu sprzedawał ją wraz z innymi wydanymi przez siebie osobliwościami na rogu bulwaru Albumuth i ulicy Dziobowej. Jego obecne miejsce pobytu także jednak nie jest nam znane. Choć posiadane przez nas informacje i zapisy w dokumentach mogą okazać się błędne, to jak się wydaje, nigdy nie był on naszym pacjentem. (Może mimo wszystko zechciałbyś użyć swych imponujących możliwości, by zweryfikować ten fakt, gdyż wiele ze znajdujących się w naszym posiadaniu dokumentów uległo zniszczeniu w wyniku przecieków dachu. W wielu przypadkach to właśnie znajdujące się u was kopie winno się obecnie traktować jako oryginały). Biorąc pod uwagę, że Iks nie jest autorem

Kałamarnicy królewskiej, jak również i fakt, że brak w niej jakichkolwiek notatek, dopisanych przez niego na marginesach, nie jestem w stanie wywnioskować z tego utworu zbyt wiele na temat tak nas interesującego Iksa. Na dość powierzchownym poziomie można jednak przyjąć, że transformujące cechy prozy Madnoka budziły jego zazdrość. Być może postrzegał go jako pokrewną duszę. Jednak również i w tym przypadku brak nam obecnie personelu koniecznego do przeprowadzenia wnikliwej analizy, by podobne dokumenty, pochodzące z trzeciej ręki, mogły nam cokolwiek „powiedzieć” na temat stanu Iksa.

(4) Historia rodziny Hoegbottonów. Ten dokument, mimo iż dla mnie osobiście fascynujący, w najlepszym przypadku jest zaledwie czymś, co Iks przeczytał sobie jako tło konieczne, by czerpać przyjemność z punktu (5), opis poniżej. Znaleźliśmy tę opowieść wciśniętą pomiędzy materac a ramę łóżka. Istnieje możliwość, że należała ona do poprzedniego mieszkańca celi, niejakiego M. Kodfana,

(5) Klatka. Również w sprawie tego manuskryptu zasięgnąłem języka u sekretarki Sirina, szczególnie biorąc pod uwagę nagryzmołony odręcznie przez Iksa przypis, dotyczący autorstwa utworu. (Żałuję, że nie odkryłem go wcześniej, jeszcze przed powrotem do naszego przybytku, gdyż w zaistniałej sytuacji ledwo wróciłem, musiałem obrócić się na pięcie i po raz kolejny wyruszyć, by skorzystać z telefonu mojego współpracownika). Tym razem jednak sekretarka Sirina potwierdziła jego rzekome autorstwo utworu. Za nadzwyczajny uznała również fakt, że w posiadaniu Iksa znalazła się wersja przedkorektorska, szczególnie biorąc pod uwagę, że wspomniane opowiadanie dopiero czekało na swą premierę, miało się bowiem ukazać w planowanym na przyszły miesiąc zbiorze nowych opowiadań Sirina. Sekretarka, wyrażając najwyższe zaniepokojenie, zażądała zwrotu manuskryptu. Odpowiedziałem jej jednak, że nie jest to możliwe, dopóki nie otrzymam twej pisemnej zgody. Co do powiązań między Sirinem a Iksem - nie wydają mi się one jakoś wielce wiarygodne. Bardziej mamy tu do czynienia z zależnością określaną jako „wielbiciel” - „uwielbiany autor”. Jednak już sam fakt, że w posiadaniu Iksa znalazła się powyższa opowieść, potwierdza nam jego obsesję związaną z szarymi kapeluszami. Nie mam żadnej pewności, czy Klatka jest nam jakoś przydatna. Dokonana przez Sirina charakterystyka Hoegbottona uderza swą perwersyjnością. Lecz patrząc na to z zupełnie innej strony, osobiście nie jestem fanem twórczości autora, mimo iż uwielbiam jego zbiór wierszy zatytułowany „Metamorfozy motyli”.

(6) W pierwszych godzinach po śmierci. Iks wyrwał tę opowieść Nicholasa Spolendera z ubiegłomiesięcznego wydania Płonących liści, literacko-kulturalnego periodyku, tak uwielbianego przez wielu naszych pacjentów. Mogę potwierdzić, że załączone

tu strony w rzeczywistości pochodzą z naszej bibliotecznej kopii. Zostało z niej również wydarte kilka innych kartek, lecz żadnej z nich nie odnaleziono w celi Iksa. Chciałbym tu na początku pokrótce przybliżyć pozostałe brakujące strony, gdyż ich dobór wprawia mnie w pewną konsternację. Porównując magazyn ze zbiorów naszej biblioteki z nienaruszoną kopią Płonących liści odkryłem, że w ręce Iksa mógł wpaść materiał reklamowy damskiej bielizny, artykuł dotyczący pochodzenia wodnego teatru lalek, karykatura obecnego Przedsiöna Truffidiańskiego, krótka, eksperymentalna (i absolutnie niezrozumiała) opowieść Sarah Beeside zatytułowana „Pluskwy i zgiełk” oraz jeszcze jedna reklama damskiej bielizny. (Trzymając się jednak zaleceń przesyłanych w liście, nie przesyłał żadnego z powyższych wycinków, gdyż wyraźnie proszono mnie o rzeczy pozostawione przez Iksa, a nie o rzeczy, których „nie pozostawił, lecz być może wyrwał podczas swego pobytu z pewnego literacko-kulturalnego periodyku”. Muszę tu dodać, że w związku z brakiem funduszy bardzo kurczowo trzymamy się litery otrzymanych instrukcji: wszelkie dewiacje i odstępstwa, z wyjątkiem uwiezionych w naszych murach dewiantów i odszczepieñców wszak swoje kosztują). „W pierwszych godzinach po śmierci” nie rzuca jednak żadnego światła na stan Iksa. Wskazuje jedynie na proste życzenie śmierci, zgodnie z czym jednak, tego wielce intrygującego poranka, gdy kierowany nagłym kaprysem zdecydowałem się porozmawiać z nim przed wyznaczoną wcześniej godziną, winniśmy byli raczej znaleźć w celi jego martwe ciało, a nie brak jakiegokolwiek ciała.

(7) Zaszyfrowana opowieść. Kilka złożonych kartek, wetkniętych do Miasta szaleñców i świętych, zawierało długą serię cyfr. By raczej tu nimi nie zanudzać, podjąłem się amatorskiej próby ich rozszyfrowania - uznałem bowiem, że jest to szyfr - mimo że nie jesteśmy tu w SPIVB jakoś specjalnie szkoleni do takich zadañ jak interpretacja kodowanych materiałów. (Jak zapewne pamiętasz, w ubiegłym roku straciliśmy nawet fundusze na tak podstawowe potrzeby jak etat szalologa, mógłbyś więc być może szepnąć za nami słówko u Flautimera?). Po wielu wyjątkowo męczących eksperymentach udało mi się wreszcie ustalić, że każda seria liczb odnosi się do strony, akapitu, linii i słowa w książce Iksa. Po dokonaniu tego odkrycia w pewnym pośpiechu rozszyfrowałem manuskrypt, przez cały czas pamiętając o pilności twej prośby dotyczącej przesłania materiałów do Centralnego Biura Ewidencji i Archiwum, by mógł je przebadać tamtejszy śledczy. Niektóre z przetłumaczonych słów zdają się zupełnie pozbawione sensu w kontekście, w jakim występują, bowiem w pośpiechu dokonałem tam kilku pomyłek. Jednakże ostatni paragraf już całkowicie oparł się moim wysiłkom. Jak się zdaje, zastosowano w nim zupełnie odmienny rodzaj szyfru. Jednak z tego, co zdołałem rozszyfrować, jasno wynika, że Iks starał się przyrównać szare kapelusze do nas - jego

szpitalnych „ciemężycieli”. Tak niewyszukane porównanie pojawiło się pod wpływem zwykłej dziecięcej chęci zemsty. Jestem pewien, że wasz ekspert wysunie tu własne teorie.

(8) Wymiana. Ta festiwalowa historia napisana przez Nicholasa Sporlendera już od jakiegoś czasu znajdowała się w posiadaniu Iksa, lecz nie miał jej przy sobie, gdy się u nas pojawił. Jestem przekonany, że ktoś przekazał mu ją później. Na kopercie, w której znajdowała się broszura. Iks skreślił kilka notatek, a dokładnie: „Pod koniec znajomości Sporlender nienawidził Verdena. Ale ja nie czuję jeszcze nienawiści do Erica. Zastanawiam się, kiedy, i czy w ogóle, pojawi się podobne „echo”. A może jest to zaledwie banalny oddźwięk, jaki nawzajem w sobie wywołujemy”. Iks następnie ostrożnie powycinał strony i ponaklejał je na większe kartki papieru, dodając tam własne komentarze, dopisane na maszynie. (Intryguje mnie również insynuacja Iksa, który upiera się tutaj, że spotkał Madnoka już w murach naszego zakładu. Po raz kolejny zaznaczę, że nie wierzę, by była to prawda, gdyż nigdy nie mieliśmy w szpitalu pacjenta o takim nazwisku). Jasno widać, że powinienem był znaleźć Iksowi więcej zajęć w wolnym czasie.

(9) Ucząc się, jak opuścić swe ciało. Mimo iż powyższą historię odebrałem Iksowi na samym początku jego pobytu w naszym czarującym przybytku, dołączam ją tutaj, wycinając ostrożnie ze zbioru Iksa, jako rzecz zasługującą na potencjalne zainteresowanie. Sam kilkakrotnie ją przeczytałem z nadzieją, że uda mi się ją rozszyfrować. Mam bowiem nieodparte wrażenie, że zawiera wskazówki co do jego obecnego miejsca pobytu ( i to nawet poważniejsze niż same wypisane na maszynie liczby). Historia olśniewa - niemal jaśniej nam przed oczami w czasie lektury. Muszę przyznać, że wysyłam ją głównie dlatego, by się jej pozbyć.

(10) Glosariusz ambergriański. Punkt na liście, który nasz pacjent otrzymał pocztą zaledwie na tydzień przed swym zniknięciem. Jest to zadziwiające połączenie oryginalnych wpisów pochodzących, z wczesnej historii miasta Ambergris pióra Duncana Shrieka z tymi dodanymi już przez Iksa, a są one tak nawzajem ze sobą poplątane, że określenie rozmiaru zmian wprowadzonych w oryginalnym tekście przez Iksa wymaga wyjątkowo szczegółowych porównań. Podobną analizę składam już jednak w twe zdolne ręce, własne mam bowiem tak pełne wielce intrygujących decyzji, jak chociażby: który z oddziałów zamknąć z powodu kruszących się ścian: farkologię czy inkrementologię?

Fakty w tym przypadku, mój drogi Simpkinie, pozostają niezmiennie! Iks zniknął bez śladu mogącego rzucić choćby odrobinę światła na to, jak udało mu się tego dokonać, a tym

bardziej, gdzie mógłby obecnie szukać schronienia. Najwięcej mówiącą wskazówką jest fakt, że pozostawił u nas swój tak czczony egzemplarz Miasta szaleńców i świętych. Lecz z pewnością nie udało nam się dokonać żadnego widocznego postępu w prowadzonym przez nas śledztwie. (Niektórzy kawalarze spośród wielce cierpliwego personelu kuchennego - obsługa naszej kuchni uciekła się w ubiegłym tygodniu, by mieć co do garnka włożyć, do kradzieży zwierząt z pobliskiego ogrodu zoologicznego - zauważyli, że Iks zabrał ze sobą wszystkie pióra z wyjątkiem jednego, i na podstawie tego faktu wysnuli wniosek, że musiał on „wypisać sobie drogę ucieczki”. W punkcie, w którym obecnie tkwimy, powyższa teoria jest równie dobra jak każda inna). Spostrzeżenie, że większość napisanych przez niego materiałów wiąże się z jakąś transformacją bądź przemianą, będącymi wystarczająco częstym obiektem zainteresowania ludzi pragnących pozostawić za sobą swe szaleństwo, zdaje się nie przynosić nam większego pożytku.

Jak tylko będzie mnie stać na zakup nowej wstążki do maszyny, z pewnością przedłożę Radzie pełen raport. Jednakże w chwili obecnej przedziwny przypadek Iksa, jak można by go nazwać, wciąż pozostaje otwarty.

Z poważaniem.

Dr V.

PS. Stwierdziłem wcześniej, że pozostawiony w mych zbiorach notatnik jest pusty, i tak jest w rzeczywistości, wyjątek stanowi tu jego tylna okładka, gdzie po wewnętrznej stronie odkryłem skreślone odręcznie następujące słowa: „Zamilon”, „konwergencja” oraz „zielone światło wież”. Zastanawiam się, czy mogą one być jakąś wskazówką? Powyższe słowa w kontekście, w którym występują, nic dla mnie nie znaczą.

PPS. Kiedy tylko będzie to możliwe, proszę o zwrot rzeczy Iksa - chciałbym je wystawić w swej kolekcji.



## NOTATKI

- Pisarz mający trudności z pracą nad swym majstersztykiem. Jest za stary? A może jedynie pozbawiony motywacji? Zacząć od lektury Portretu artysty H.

- Pisarz tkwi w więzieniu. Więzieniem jest jego własna historia. Jak mógłby się z niej wyswobodzić?

- Poprosić kogoś z obsługi o lepszą lampkę nocną, nie wspominając już o kolejnej wstażce do maszyny.

- Tonsure prowadził dwa dzienniki i chciał, by jeden z nich odnaleziono. Dlaczego jednak, tak naprawdę, miałyby chcieć, by ważne było odnalezienie tego zawierającego fałszywą relację?

- Zawsze ćwicz zaraz po przebudzeniu!

- Z łatwością mógłbym teraz pokusić się o napisanie biografii Vossa Bendera. Zacząć od młodości artysty. Tak go sobie wyobraźmy: siedzi w truffidiańskiej katedrze, otoczony mrowiem ludzi, lecz kompletnie sam. Siedzi na honorowym miejscu na przedzie ołtarza, ma lewą nogę założoną na prawą, a ramieniem i pięścią podtrzymuje głowę - dzika grzywa gęstych czarnych włosów opada mu do ramion, ma oliwkową skórę, a zalegające mu pod oczami cienie podkreślają mrok jego oczu, oczu, które mimo iż nie dają tego po sobie poznać, dostrzegają wiele. Grube usta, z cieniem uśmiechu na wargach, gdy wszyscy zgromadzeni wokół nieprzerwanie coś chóralnie wyśpiewują i recytują. Jego stopa wystukuje rytm. Lecz nie jest to oznaka znudzenia. W myślach, już wtedy, w wieku dwunastu lat, komponuje operę. Obok niego siedzą: wysuszony i pomarszczony białobrody dziadek, bezmyślnie spoglądająca przed siebie smutnooka matka i ojciec, w którym wszystko na tym świecie budzi jedynie apatię i obojętność. W dalszej części ceremonii każdy z zebranych w katedrze krewnych zbliża się do niego, by mu coś powiedzieć, większość kładzie nacisk na to, by „używał swego talentu w imię dobra”. On spogląda na nich zza zasłony swych czarnych włosów, jak gdyby oni wszyscy zostali zrobieni ze strzępków papieru. Przez cały ten czas, nieprzerwanie, jego stopa wystukuje rytm. Kiedy wreszcie otrzymuje z rodzicami błogosławieństwo, a ich dłonie spoczywają delikatnie na czubku jego głowy, stoi tam z rękami złożonymi na plecach, tak ściśniętymi ze sobą, jakby miał je skute kajdanami... Wciąż nieprzerwanie wybijając rytm stopą, wciąż podążając za przybierającą na sile falą symfonii, która rozwija się w jego głowie... Zawsze już taki będzie -



częściowo w świecie rzeczywistym, częściowo zupełnie gdzie indziej. (Jak, w takim razie, przeszedł drogę od tego młodzieńczego idealizmu do despotyzmu, objawionego w starczym wieku?)

- Zapamiętać! Dyrektor potrzebuje listu do przełożonych, poruszającego brak funduszy.

- W przyszłości, nieważne, co napiszę, szare kapelusze najprawdopodobniej przejmą miasto - jak mogłoby się wtedy zmienić? Jakie będą niebezpieczeństwa tworzenia prozy w takiej nowej scenerii? Proste uwięzienie? A może coś o wiele gorszego? Czy to warte ryzyka? Czy w ogóle taka scenografia jest dobrym tłem dla wydarzeń?



- Poprosić o nowe książki, nawet jeśli teoretycznie sam je wszystkie napisałem.

- Zakodowana wiadomość z przyszłości z kolejną ukrytą w swym wnętrzu zakodowaną wiadomością?

- Zostało coś jeszcze do opowiedzenia w historii Martina Lake'a? Być może późniejsze lata?

- natleniona krew kałamarnicy jest niebieska, a nie czerwona.

- „Jego sny, niczym bąbelki powietrza, uniosły się ku powierzchni, a gdy rozpryskiwały się tam, przebijając powierzchnię, wreszcie przypomniał sobie jedną jedyną rzecz, którą - jak miał nadzieję - zapomniał, na wieki”. Materiał na beznadziejny film klasy B?

- Ostatnio nawiedzają mnie koszmary. I nie do końca wiem, co z nich wynika. Sugerują odpowiedzi na niektóre z pytań dotyczących szarych kapeluszy. Zawsze dzieją się pod ziemią. Zawsze jest w nich ciemno. Stoi tam maszyna. Jej przód ma dodający otuchy charakter, przeświecający, czy też odbijający światło. Nigdy nie zdecydujesz, który z nich, mimo iż stoisz tam z wbitym w nią wzrokiem przez całe dni, schwyty w sidła własnej głupiej nadziei, że oto pojawi się coś negującego przerażające zaprzeczenie wnętrza maszyny. Jej powierzchnię macą widma obrazów, jak gdyby raz za razem bezmyślnie ścieranych do czysta nieostrożną dłonią drobiazgowego i niecierpliwego artysty. Olbrzymia przewiewana wiatrem pustynia, ospała ciężarem swych wydm. Ocean, na którym nie dostrzeżesz nawet pojedynczej fali, napięcie jego powierzchni zakłócają jedynie cienie zwisających nad nim chmur, a woda ma tak doskonały turkusowy odcień, że aż rani

oczy. Zachód słońca nad pasmem górskim, gdzie odległe, leżące w ruinie wieże u stóp podpierają jego masywy. Widoki dżungli i bagien zamieszkiwanych przez przedziwne ptaki i osobliwe bestie. Obrazy te za każdym razem migotliwie dochodzą do doskonałości, by po chwili wycofać się w niepamięć, rozmyć w zapomnieniu. Miejsca, których - o ile tylko istnieją na świecie - nigdy nie widziałeś na oczy, nigdy też nie słyszałeś nawet słowa o ich istnieniu. Nigdy... Po kilku dniach twoje spojrzenie zaczyna błędzić i tracić ostrość. Mrugasz oczami. Powoli. Na samym dole lustra, tego szkła, zauważasz drzwi. Są niemal równie wielkie jak cała maszyna. Te drzwi są tak małe jak twój paznokieć.

Odległość dzieląca cię od nich jest nieskończona. Odległość jest tak niewielka, że mógłbyś sięgnąć i ich dotknąć. Są przezroczyste - obrazy przepływające przez ekran przemykają i przez nie. To, że w ogóle je dostrzegasz pod przesuwającymi się przez ich powierzchnię obrazami pustyni, oceanu czy gór, zawdzięczasz ledwie dostrzegalnej rysie grubości włosa, która wykreśla ich kształt. Te drzwi, uświadamiasz sobie, same są lustrem. I po zbyt długim czasie nie skupionego na niczym spojrzenia, pozwalania obrazom przebiegać przez ciebie, odkrywasz, że koncentrujesz się na drzwiach, tylko i wyłącznie na nich. Ma wiele sposobów to zwykłe drzwi, niemal nieistniejące drzwi. Lecz jednak, kiedy się w nie wpatrujesz, fala strachu przenika twe ciało. Strachu tak oślepiającego, że paraliżuje, że nie jesteś w stanie się poruszyć. Trwasz unieruchomiony w miejscu. Możesz poczuć ciśnienie, poczuć ciężar ciała i metalu skrywającego się wewnątrz maszyny, napierającego na znajdujące się przed tobą drzwi. To staje się nieznośnym ciężarem u szyi, dławiącym ci gardło. Jesteś w tym zagrzebany, zakopany, w małym pudle, pod wiecznością skał i ziemi. Robaki nucą ci przez gruz swą pieśń. Nie jesteś w stanie myśleć. Nie możesz oddychać. Nie śmiesz oddychać. Brak ci odwagi, by to zrobić. Głowę wypełnia ci krew.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Drzwi powoli zaczynają się otwierać do wewnątrz i coś płynnego, wolnego, lecz już nie śniącego, zaczyna stamtąd wychodzić, niepewnie krocząc mija ich krawędź. Uciekasz i biegniesz. Uciekasz, uciekasz, uciekasz od tego miejsca tak szybko jak tylko potrafisz, jak to tylko możliwe, wrzeszcząc póki gardła nie wypełni ci krew z głowy, która teraz z kolei staje się pustą w środku kulą, gdy ty toniesz we krwi. I wciąż nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ znów jesteś w tym samym miejscu z oślizgłymi robakami, czaszkami, bladymi marzycielami i maszyną, która i tak nie działa jak trzeba, wiesz, że niedziałająaktrzeba wiesz żeniedziałająaktrzebawiesz niedziałatrzewiesz nidzitrzewie nidrzewi drzwi...

[REDACTED]  
[REDACTED]  
[REDACTED]

Pacjent I9-9-I8-9-I4  
Szpital Psychiatryczny im. Vossa Bendera  
Bulwar Albumuth 1314  
Ambergris 113-24

## Uwolnienie Belacquy

Być może cień samego wielkiego kompozytora Vossa Bendera otarł się o Belacquę gdzieś na tylnych korytarzach opery; być może starzejąca się krytyk Janice Shriek musnęła go wzrokiem, dostrzegając stoicki humor jego wykonania, a jedynie nie uznała go za wystarczająco ważki, by wspomnieć o nim w recenzji.

A wiele w jego osobie wyjątkowo głośno domagało się uwagi. Długie czerwone skarpetki, widoczne nad czarnymi butami, pasowały wyłącznie do rażącej oczy różowo-niebieskiej szachownicy guzików marynarki, naśladowanych w leniwie wiejski sposób przez zielone oczy żółtej koszuli.

Włosy - skręcone w postrzępiony na końcach czerwony warkocz - zwisały mu z przodu niczym lont wychodzący z głowy. Jego makijaż odzwierciedlał pewną zapobiegliwość, obserwowaną w trafnym i przebiegle niewłaściwym doborze ubioru. Łuki brwi (a wielu spośród wielbicieli opery uznawało, że ma ich o wiele więcej niż to stosowne, gdy ich uwaga zbaczała na niego z głównych postaci sztuki) skradziono ozdobnikom ciał skrzypiec: obezwładniały małe, wystraszone oczy, zlewając się w linie długiego, gadatliwego (sztucznego) nosa, który z kolei górował nad rybio-papuzimi ustami (otoczonymi pionowymi liniami przypominającymi skrzela), te zaś czasem pod sam koniec przedstawienia zsuwały się w kpiącej uległości wobec sił grawitacji. Cała ta farsa miała kolor świńskiego różu, tym

bledszego, im wyżej wznosiliśmy się ku rozrzedzonym wysokościami pojedynkujących się brwi. Równie przesadzona w opisie, jak w prawdziwym życiu.

Lecz wiedzielibyśmy to wszystko, gdybyśmy tylko udali się na przedstawienie. Jego kostium ryczałby bowiem na nas niczym sprośny i rubaszny róg. *Belacqua, Belacqua*, tak właśnie by trąbił - *Oto Belacqua! Spójrz, jak przechodzi przez scenę. Spójrz, jak się po niej porusza. Patrz, jak krótko przemawia, a odwracając się, wypala nam w oczach swój obraz.* Moglibyśmy nigdy nie odkryć, że mieszka na piątym piętrze paskudnego starego hotelu, w którym zajmował zagracone i ciasne mieszkanie, niepodzielnie rządzone przez obojętne jasnozielone tapety. Sąsiedzi, otaczający go z każdej strony, poruszali się niczym oszołomione przedmioty ze stępionym poczuciem kierunku i celowości. Dzieci płakały tu w ciemności niczym jakieś poszarpane zjawy. Dochodzący zza szyby okna łopot skrzydeł, delikatny niby ruch rzęs, szybko i bez najmniejszego śladu rozpływał się w powietrzu. Powtarzający się regularnie zza ściany łomot słupków łóżka przypominał erotycznie zabarwione strzały z broni palnej, wymierzone wprost w jego serce. (Tuż obok trwała i czekała nekropolia, oferując wyjątkowo łatwą przeprowadzkę wszystkim zbyt wyziębionym w objęciach hotelu).

W sobotnie i niedzielne poranki siadywał na balkonie, uzbrojony w niezapalone cygaro w ustach. Ubrany w prosty biały szlafrok, wyrzekając się najmniejszego nawet śladu makijażu, czuł, jak wiatr na wskroś przenika jego ciało, jakby wcale go nie było. Obserwował ludzi mijających go na leżącej w dole ulicy, ceremonialnie namaszczając ich tajemnymi żywotami, każdym swym oddechem nadając im cechy przystające do złotego światła, które pomiędzy dachami domów przesączało się z nieba.

Czasem, gdy przypominał sobie własne sny, jego spojrzenie rozmywało się na filigranowych poręczach balkonu. A te sny nieodmiennie były niepokojącymi żartami o niezbyt zrozumiałych puentach. W jednym z nich widzi swego ojca: ciemną postać stojącą na odległym krańcu zaułka, na mgnienie oka zaledwie rozświetlaną błyskiem żarówki, który na wskroś tnie panujący tam mrok. Dochodzi do niego odgłos lejącej się wody, a może piwa nalewanego z butelki. Gdy biegnie po kamieniach bruku, zaścielające go odłamki szkła kaleczą mu stopy. Cały żart sytuacji polega jednak na tym, że nieważne, jak szybko pobiegnie, nigdy i tak nie zdoła się zbliżyć na tyle, by móc cokolwiek wyczytać w oczach ojca. Nie poruszając ciałem, bez ruchu, bez najmniejszego tarcia, ojciec płynie w powietrzu, odsuwa się, przez cały czas siedem-dziesięć metrów poza zasięgiem jego ramion.

Filigranowe barierki balkonu początkowo wydają się ochroną przed snem, a nie zabezpieczeniem przed wypadnięciem. Odkłada cygaro, podnosi się, by przejść do wnętrza

mieszkania, tam nakłada spodnie i koszulę w stonowanych barwach, a następnie schodzi po schodach i wychodzi na ulicę, gdzie gubi się, szczęśliwy, zadowolony ze swej anonimowości. Zostawia za sobą swą operową rolę niczym zrzuconą skórę - jest ona łupiną, mającą z nim niewiele wspólnego, ledwie tyle co pierwsze lepsze ubranie.

Kiedy tak kroczy bulwarem Albumuth (być może, by kupić książkę w Księgarni Borges, być może zaledwie, by chwilę powłóczyć się ulicami miasta), wewnątrz wypala mu czarny płomień - rozpalając ogień w oczach i używając jego umiejętności mowy (tu słowo do sprzedawcy owoców, tam krótka wymiana zdań z bardziej utalentowanym, lecz bezrobotnym aktorem) - przygaszonej, lecz nieustannie żarzącej się w jego wnętrzu wściekłości. Każde wypływające z niego słowo ma przypalone krawędzie, jest zużyte, zniszczone. Jego matka mówiła dokładnie w ten sam sposób, równocześnie pozwalając, by to jego ojciec kształtował i kreował jej życie. Wielki aktor. Zalana pała. Pijak.

Nawet teraz nie jest w stanie całkowicie pozbyć się myśli o swej roli w najpopularniejszej z oper Bendera, ostatniej napisanej tuż przed śmiercią kompozytora, wystawionej już pośmiertnie pod krótkim tytułem: *Trillian*. Opera składa się z sześciu wrzaskliwych aktów, ciągnących się przez cztery długie godziny, i opisuje panowanie Trilliana Wielkiego Bankiera, nie pomijając żadnego, najdrobniejszego nawet szczegółu, przedstawiając każdą scenę w formie swego rodzaju obrazu, w którym tysiące jaskrawokolorowych szczegółów walczą ze sobą nawzajem o uwagę widza. Jego rola - Belacquy, szarego kapelusza, doradcy Wielkiego Bankiera - składa się zaledwie z czterech linijek tekstu i dwóch godzin zenujących upadków i pomyłek.

Rolę oparto na pogłosce, herezji, insynuacji, gdyż żadne z historycznych źródeł, z którymi się zapoznał, nigdy nie wspomniało ani słowem o istnieniu doradcy Trilliana. Bender wymyślił sobie tę postać, a on teraz od dziesięciu lat dawał swym graniem świadectwo fałszowi; niesłabnąca popularność opery okazywała się równoczesnym przekleństwem i błogosławieństwem. Jego ojciec nigdy nie podjąłby się podobnej roli, ale on sam nie miał innego wyboru. Zawsze zdawał sobie sprawę zarówno z ograniczeń własnego stylu aktorskiego, jak i z faktu, że do zajęcia się czymś innym brakuje mu niezbędnej iskry talentu. Był Belacquą i już na zawsze miał nim pozostać. Tym samym był skazany na odtwarzanie swego drugiego ja, noc w noc, gdy duch ojca wygwizdywał go i wył, zamroczony i oślepiiony alkoholem, z jednego z najwyższych siedzeń balkonu opery.

Rola, mimo iż mała, wymagała wiele wysiłku, chociażby tylko z takiego powodu, że reżyserzy żądali od niego pracy bez narzekania. Mówili mu dokładnie, gdzie ma stanąć, a on tam stawał. Mówili mu dokładnie, kiedy ma wykonywać te swoje absurdalne, drobne ruchy w

poblizu głównych aktorów wylewających z siebie perfekcyjne w tonie i brzmieniu słowa, które obecnie nie miały jednak dla niego najmniejszego znaczenia, gdyż ciągle powtarzanie zredukowało ich funkcję i treść do nicości. Również sam z siebie, kiedy tylko napotykał zalegające w bocznych alejkach rozłożone na ziemi ciała szarych kapeluszy, przyglądał im się uważnie, a nawet z pewnej odległości, gdy zaczynały się budzić o zmroku obserwował ich przygarbiony chód, charakterystyczny ubiór i głębokie, niepoznawalne oczy. Wziął nawet kilka lekcji aktorstwa z zagadnień dotyczących prezentowania się publiczności, dzięki czemu jego niemal sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu bardziej przypominało sto trzydzieści (było to środkiem zaradczym, by nie wyrzucono go z obsady).

W kieszeni trzymał pomięty skrawek papieru, na którym nagryzmolił wskazówki sceniczne oraz Kwestie.

BELACQUA, trzymając w dłoni zakrwawiony sztylet, zbliża się do proscenium.

Kiedy dochodzi do TRILLIANA, srogim i nieugiętym głosem śpiewa:

To, czego nie znasz i czemu nie ufasz,  
Tu cię odnajdzie, tak właśnie być musi -  
Teraz rozplnę się, zniknę, mrok niosąc  
Na głowę Trilliana, zapytasz - co potem?  
Nic już.

Pod spodem dopisał sobie, co jego zdaniem Belacqua czuł w tej chwili: „Wszystko budowane przez tak długi czas - rozprasza się w kałuży krwi wypływającej z ciała Iksa”. Wiedział, co czuł Belacqua, lecz nawet po dziesięciu latach nie miał pojęcia, co oznaczają te słowa. Przez dziesięć lat bowiem powtarzał te kwestie, przedstawienie po przedstawieniu, aż stały się dlań absolutnie niezrozumiałe. Nie wierzył nawet, by były jakoś szczególne istotne dla akcji opery. Zdawały się pochodzić z zupełnie innej opery, a lśniące ciemnością, zaplątane w głowie Bendera, trafiły do *Trilliana* jako potrzeba chwili, kaprys autora. Nie, żeby miało go to niepokoić tak bardzo, jak niepokoiło - w rzeczywistości nie on je napisał. Mimo że wolał być pisarzem, zawsze jednak pisali go inni.

Pewnego późnego popołudnia wrócił do domu z bochenkiem świeżego chleba, zapiekana kalamarnicą w cieście oraz butelką czerwonego wina sprowadzanego aż z Morrow. Ledwie przestąpił próg mieszkania, gdy zadzwonił telefon. Dźwięk zmroził go; początkowo nawet nie rozpoznał, czym jest. Telefony niezbyt często dzwoniły w tak wiekowym i sennym mieście

jak Ambergris. Wtedy, jakby nieoczekiwanie przebudzony ze snu, upuścił torbę z zakupami. Wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

- Halo? - Powiedział. - Halo? - Powtórzył, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jedynie niski chlupoczący bulgot wody gdzieś w tle, zapytał więc: - Kto mówi?

Niczym jakieś niedoskonałe echo, załamujące się na korozji szumów, doszedł do niego głos kobiety:

- Halo. To ty, Henry? Henry, to ty? Niesprecyzowany, nieuchwytny zawód rozlał się w jego wnętrzu, zalegając tam niczym gładki, szary kamień.

- Nie. To nie on. Przykro mi... Dodzwoniłaś się pod zły numer.

- Ale nie mam innego numeru. To jedyny, który posiadam. - Rozpaczliwy ton wkraśl się do jej głosu. Tak boleśnie pięknego głosu, tak rozdzierającego serce, nawet bez tego właśnie ujawnionego elementu straty, nawet mimo zakłóceń w tle.

- Przykro mi - wykrztusił z wysiłkiem. - Nie jestem Henrym. - *Chciałbym nim być*, pomyślał. *Ale nie mam nawet pewności, że jestem Belacqua.*

Szumy w słuchawce rozszalały się, przygasty i właśnie rozszalały na nowo, gdy kobieta spytała:

- Możesz mnie połączyć z Henrym?

- Nie znam Henry'ego - odparł, a w jego głos wkraśl się cień rozpacz. - Ale gdybym go znał, z przyjemnością bym to zrobił.

Kobieta zaczęła płakać. Ale ileż piękna było w tym szlochu. Zapragnął jedynie móc sięgnąć przez kabel linii telefonicznej, by ją pocieszyć. Powstrzymało go skomlenie zakłóceń. Teraz słuchał jej i nie miał odwagi przerwać choćby pojedynczym słowem.

- Kończy nam się czas - odpowiedziała. - Nie mamy go więcej. Nie mogę zadzwonić ponownie. Zbliżają się. Są już tuż-tuż. Muszę przekazać ci wiadomość i opuścić to miejsce. To bardzo ważne... Oni przechodzą przez podłogi. Przechodzą nawet przez metal, nawet przez stal; nic ich nie powstrzyma. Ukradkiem, w mroku nocy, skradają się po pokojach. Jeśli im się nie spodobaś, już jesteś martwy, Henry.

- Ale...

- Proszę. Nie przerywaj mi. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale proszę, nie mów tego. Nie powinienes. Oto wiadomość: W ubiegłym tygodniu dostarczyłam Iksowi ostatnią z przesyłek. Mam wyjaśnić, że pisanie było w porządku, a zamek został otwarty wytrychem. Jeśli tylko zechce, może mnie odnaleźć. Spraw, by zechciał.

- Sprawię, że spróbuje - odparł, pogodzony ze swą rolą. - Otrzymałem wiadomość. Ale powiedz mi jedno. Jak masz na imię? Proszę, powiedz mi, jak masz na imię. Być może mogę



ci pomóc. Proszę...

Odpowiedź, jeśli w ogóle kobieta jej udzieliła, zatonąła w maniackalnym zgrzycie niewidocznych silników nocy. Plusku wody w dokach. Stukocie klawiszy maszyny do pisania o papier.

Po całym wydarzeniu przez bardzo długi czas siedział, zaciągając się cygarem, w półciemności panującej w mieszkaniu. Zapomniana torba z obiadem leżała przy otwartych drzwiach, gdzie wino z rozbitej butelki czerwoną wilgocią wyciekało na korytarz. To była najdłuższa rozmowa telefoniczna, jaką odbył w przeciągu ostatnich miesięcy. I to z zupełnie nieznaną osobą. Przyglądał się iskrze rozświetlającej koniuszek cygara. Czuł się we własnej skórze ciasno, niewygodnie. Jego głowa była mózdzierzem balansującym na szczycie tłuczka. Jego ściskające cygaro palce były grube i powolne. Wciąż jednak serce biło mu tak delikatnie, jakby należało do oszołomionego drozda, którego kiedyś znalazł w drodze do teatru. Choć rozmyślał nad tym przez całą noc, nie potrafił nadać najmniejszego sensu słowom, które usłyszał. Cóż mógł zrobić? Dlaczego miałby cokolwiek robić? Lecz wraz z nastaniem ranka pozostawił na karteczce w centralnej giełdzie wymiany informacji telefoniczną wiadomość zarówno dla Henry'ego, jak i dla kobiety. Tak wiele linii telefonicznych krzyżowało się obecnie, że musiano stworzyć specjalne tablice ogłoszeniowe, poświęcone rejestrowaniu tylko tego problemu. Zostawił swą notkę, przybijając ją do tablicy pinezką, białą ómę zagubioną między innymi białymi ómami. Kiedy po przejściu za ledwie kilku kroków odwrócił się, by spojrzeć na tablicę, wiadomość rozplynęła mu się przed oczami, ginąc w natłoku pozostałych rozpaczliwych sygnałów, świadczących o błędnej komunikacji międzyludzkiej.

Zaraz następnego dnia znów stał się Belacqua, który sztywnym krokiem przemierzał scenę opery, jak gdyby należał tam do niego bardzo mały kawałek podłogi. Gdy otworzył usta, wyrwały mu się stamtąd Kwestie, lapidarne i zwięzłe, jak zwykle rzeczowe i nieważne. Kiedy spoglądał przez skrzące się i oślepiające światło gdzieś poza szaleńcze owadzie ruchy członków orkiestry, zastanawiał się, czy kobieta, z którą wczoraj rozmawiał, siedzi może w jednym z tamtych miejsc, a może widziała już któreś z wcześniejszych przedstawień. Był bezradny, zagubiony, samotny.

Gdy nadszedł kolejny weekend, odwiedził tablicę ogłoszeń. Pozostawiona przez niego wiadomość wciąż tam tkwiła, przybita pinezką, kołysząc się na wietrze. Nikt na nią nie odpowiedział.

\*\*\*

Pewnego dnia mróz ściał miasto, a śnieg spadał na nie, opatulając puchem swych płatków. Jaszczurki okryły się bielą, rozwinęły bowiem ochronną skórę na oczach i wyrosło im grube białe futro. Hotel, nawet w słoneczne dni oświetlany świątecznymi lampkami, nabrał osobliwego blasku, bladej poświaty, zwykle spotykanej jedynie na obrazach. Zarówno on sam, jak i Belacqua uważali to za wyjątkowo smutne. Wyobrażał sobie zaskoczone, łapiące oddech ryby o łuskach pokrytych mrozem, które dusiły się i tonęły na śniegu. Krzyki unieruchomionych na rzece łabędzi o łapkach uwięzionych w lodzie. (Jego własne nieme krzyki na widok trwającej niezmiennie tablicy ogłoszeń). Pory roku zaczęły przybierać w Ambergis najdziwniejsze formy. Jakoś nie miały pojęcia, jak należy się zmieniać, w podobnym stopniu jak telefony nie orientowały się, jak należy łączyć.

W samym środku tych wydarzeń dopadła go gorączka, zakopując się głęboko i ukrywając mu w głowie niczym najbardziej przerażające słowo określające męki i tortury. Choć płonęły mu kończyny, powłókł się do teatru, gdzie przywdział swój niedorzeczny i głupi kostium. Przez całe przedstawienie, które zapisało mu się w pamięci jedynie w postaci rozmazanych smug cekinów i piosenek, bolała go głowa, a oczy łzawiły jakby od dymu.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy wymamrotał pod nosem swe kwestie, nałożył na siebie swe codzienne ubranie i, bezwiednie dryfując, tylnym wyjściem wypłynął z teatru. Śnieg opadał na ziemię polepionymi grudkami. Żaden liść nie przetrwał na gałęziach drzew, rosnących po obu stronach bulwaru. Lampy, stojące wzdłuż ulicy, pokryte szronem, więziły światło w swym wnętrzu. Niebo przypominało wymyśloną przez autora wizję najgorszego rodzaju szarości: całe pokryte było smugami cienia, poprzecinanyymi jeszcze ciemniejszymi odcieniami. Zadrzał z zimna i wraz z oddechem wpuścił do płuc kłujące zimno. Gorączka trawiła go od wewnątrz tak niemiłosiernie, że poddał się męczącemu niepokojowi. Nie mógł wrócić do mieszkania. Nie mógł stać w miejscu. Tablica ogłoszeń. Sprawdzi ją znowu, mimo iż minął ledwie dzień, odkąd zrobił to po raz ostatni.

Ruszył bulwarem, a gorączka nadawała wszystkiemu, co mijał, potworną wyrazistość i ostrość. Wypolerowany mosiądz lamp ulicznych jaśniał tak, aż ranił oczy. Mijający go chłopiec ciągnął za sobą drewniany wózek, którego brudne kółka odsłaniały wewnętrzne tajemnice swych wypolerowanych i wygładzonych słoje drewna. Różowe twarze mijanych przechodniów z okrutną precyzją wżerały mu się w umysł. Opierał się przed przyznaniem im tajemnego życia; żadnemu z nich nie był w stanie wybaczyć tego, co sam sobie zrobił. Jednak, kiedy tak szedł, pozwolił sobie na takie kłamstwo. Zdecydował, że nigdy nie porzuci swej misji odnalezienia kobiety. Raz za razem będzie wracał do tablicy ogłoszeń, aż drozd, którym stało się jego serce, nie będzie mógł dłużej tego znieść.

A kiedy tak zbliżał się do pokrytej płatkami śniegu tablicy, dręczyło go tak głębokie poczucie rozpaczy, że pewnie by w nim utonął, gdyby nie był zamrożony. Bez najmniejszego trudu odnalazł własną wiadomość, przyblakłą na krawędziach, szarą od popiołu; atrament zapisanych na niej słów był rozmazany, lecz wciąż dało się go odczytać:

WIADOMOŚĆ DLA HENRY'EGO I KOBIETY,  
KTÓRA DO MNIE ZADZWONIŁA.  
HENRY: OSTATNI PAKUNEK ZOSTAŁ  
DORĘCZONY. PISANIE JEST W PORZĄDKU,  
LECCZ ZAMEK ZOSTAŁ OTWARTY WYTRYCHEM.  
DO KOBIETY: ROZMAWIAŁEM Z TOBĄ  
PRZEZ TELEFON. CHCIAŁBYM MÓC  
ZNOWU POROZMAWIAĆ. PROSZĘ,  
PODAJ MI, JAK MÓGŁBYM SIĘ Z TOBĄ  
SKONTAKTOWAĆ. MASZ PRZEPIĘKNY  
GŁOS.

Chłód przeszył mu ciało, gasząc rozpalającą od środka gorączkę. Nikt nic nie dopisał. Nikt nigdy tego nie zrobi. Lecz wtedy jego zbłąkane spojrzenie odkryło na tablicy zupełnie inną wiadomość, zapisaną na karteczce wiszącej tuż obok jego własnej. Ta była nowa. Niepokryta jeszcze śniegiem. Jej atrament wciąż był wilgotny i lśnił wspomnieniem formowania na niej słów.

ON NIE JEST POSTACIĄ. TO NIGDY  
NIE BYŁA OPOWIEŚĆ.  
TERAZ, KIEDY GO WPROWADZILIŚMY,  
UWOLNIJMY GO. POZWÓLMY MU  
STAĆ SIĘ, KIMKOLWIEK SIĘ STANIE.  
NIE POZWÓLMY, BY DŁUŻEJ  
BYŁ PISANY. IKS.

Stał tam ze wzrokiem wbitym w wiadomość. Czy była przeznaczona dla niego? To mógł być czysty przypadek, tak peryferyjny dla jego istnienia jak tamta rozmowa telefoniczna. To mogło nic nie znaczyć. Ale chociaż zdawał sobie z tego sprawę, poczuł, jak coś rozluźniło się w jego wnętrzu, jak coś topniało i rozmrażało się, gdy czytał te słowa. *On*

*nie jest postacią. To nigdy nie była opowieść.* „Belacqua” zaczął blaknąć, zanikać, a wraz z nim kwestie, kostium, opera. Twarz jego ojca. Głos kobiety.

Mrugnięciem oczu powstrzymywał łzy, raz za razem czytając wiadomość, ucząc się jej na pamięć. Jego palce zacisnęły się na pomiętym skrawku papieru trzymanym w kieszeni. Jego krawędzie przecięły mu dłoń. W jakiś dziwny sposób zdawał sobie sprawę, że kiedy wyciągnie stamtąd ten karteluszek, zapisane na nim słowa będą zupełnie, kompletnie, nieodwracalnie i bezapelacyjnie inne.



# KRÓL KAŁAMARNIC

STANOWIĄCY ZWIĘZŁĄ MONOGRAFIĘ SPISANĄ PRZEZ FREDERICKA MADNOKA (Z DODATKOWYMI BADAANIAMI PRZEPROWADZONYMI PRZEZ BIBLIOTEKARKEŃ CANDACE HARPSWALLOW)



•AMBERGRIS•

# KRÓL KAŁAMARNIC:

» stanowiący zwięzłą monografię objaśniającą zarówno sam fenomen gigantycznych kałamarnic słodkowodnych, jak również wszelki powiązany z nimi folklor (w tym Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic).

Zawierającą również wiele osobistych doświadczeń, w czterech częściach: Część I - opisująca, czym kałamarnica nie jest, Część II - czym jest kałamarnica królewska, Część III - zwięzle wykładająca osobliwości kałamaru, oraz Część IV - ujawniająca trafną naukową teorię wyjaśniającą szereg pod każdym innym względem zastanawiających zagadnień, od dłuższego już czasu dręczących myśli autora (w tym Wizję) - a zakończoną bibliografią (sporadycznie zaopatrzoną w komentarze) «.

*Spisane przez Fredericka Madnoka (z niewielkimi pomocnymi poszukiwaniami przeprowadzonymi przez bibliotekarkę Candace Harpswallon)*

# SPIS TREŚCI

## I. CZYM KAŁAMARNICA NIE JEST

## II. CZYM JEST KRÓL KAŁAMARNIC

## III. ZWIĘZŁE WYŁOŻENIE OSOBLIWOŚCI KAŁAMALORU

## IV. UJAWNNIENIE TRAFNEJ NAUKOWEJ TEORII WYJAŚNIAJĄCEJ SZEREG POD KAŻDYM INYM WZGLĘDEM ZASTANAWIAJĄCYCH ZAGADNIENÍ, OD DŁUŻSZEGO JUŻ CZASU DRĘCZĄCYCH MYŚLI AUTORA (W TYM WIZJA)

**O autorze:** Frederick Madnok przyszedł na świat trzydzieści trzy lata temu w rodzinnej posiadłości Madnoków i bardzo długo w swych zainteresowaniach naśladował znakomitych przodków. Jego ojciec, James Madnok, był autorem wielu książek zajmujących się badaniami grzybów; skłonności naukowe ojca rozwinęły w synu dość wczesne zamiłowanie do analizy. Jego matka, Henrietta Madnok, stała na czele miejscowego chóru, jak również była przełożoną lokalnej gałęzi Kościoła Truffidiańskiego. Jej oddanie sprawom ducha zaszczerpiło we Fredericku dyscyplinę, tak konieczną do rozwijania jego kałamarologicznych zainteresowań. Jego ciekawość napędzała również, co nie ulega żadnej wątpliwości, obecność kałamaronów na terenie rodzinnej posiadłości. Celujący student Akademii w Blythe, którą ukończył z najwyższymi ocenami i stopniem naukowym z biologii ogólnej (podówczas nie były bowiem dostępne stopnie z zakresu kałamarologii). Mimo przelotnego flirtu z ilustracjami i komiksem wkrótce znalazł się w terenie, obserwując Króla Kałamarnic w jego naturalnym środowisku. Kilka jego bardziej interesujących obserwacji opublikowano w formie broszur wydawanych przez niego własnym sumptem i własnoręcznie sprzedawanych na ulicach, jak również w formie wielkoformatowej (po więcej informacji odsyłamy do bibliografii). Po sprzedaży rodzinnej posiadłości w wieku dwudziestu siedmiu lat spadła na niego seria niefortunnych wypadków, aż wreszcie, koniec końców, osiągnął odosobnienie konieczne do zgłębiania, rozwijania i wzbogacania swych prac naukowych. Przez ostatnie cztery lata szczodrość jego obecnych darczyńców pozwoliła mu dokonać jakże ważkich odkryć, które zawarł w poniższej monografii.





# I - CZYM KAŁAMARNICA NIE JEST

» WSTĘP «

**T**o smutny fakt, lecz niepodlegający żadnej dyskusji - świat stoi w obliczu gruntownej i głębokiej ignorancji Króla Kałamarnic, jak również związanego z nim Festiwalu. Choć niektórzy mogą twierdzić, że jednak do wiadomości publicznej przedostało się więcej na temat tej istoty, niż zapisano w postaci pomyłek opublikowanych w kilku przewodnikach przyrodniczych wydrukowanych za granicą, trudno szukać mnie w szeregach takich ludzi. Dla mego błędzącego oka podobne błędy ostatnimi czasy narosły, podobnie jak niedokładne szacunki liczby macek posiadanych przez wspomnianego Króla Kałamarnic, zwanego również kałamarnicą królewską. Po pierwsze, kałamarnica posiada bowiem zarówno macki, zwane ramionami chwytnymi, jak i ramiona. Po drugie, liczba jej ramion nie wynosi pięć, sześć, siedem, dziewięć, dziesięć ani nawet - co najbardziej absurdalne - czternaście, jak sugeruje to niewątpliwie wyjątkowo ograniczony do głębi ładu doktor Alfred Kubin, człowiek, który zapewne uważa również, że sam posiada siedem ramion i ani jednej nogi, na której mógłby oprzeć swe ciało. Właściwa liczba kończyn kałamarnicy wynosi dziesięć - osiem ramion i dwie macki - i dopiero na takim fundamencie faktu możemy zacząć stawiać całą resztę naszej budowli. Macki, co oczywiste, różnią się od ramion, posiadają bowiem pomysłowe haczyki, którymi chwytają ofiarę w sposób niedostępny dla wspomnianych ramion.

Z powyższych przykładów, jak również z tak bolesnych i przykrych wypowiedzi ignorantów jak chociażby „kałamarnica to mój ulubiony gatunek ryb” - stwierdzenie zasłyszane z ust zarozumiałej córki Madame Tuff, wygłoszone zaledwie w ubiegły czwartek przy jednym z sąsiednich stolików w stołówce - winno być jasne, że nim chociaż zbliżymy się do szaleńczo błędnych pojęć dotyczących zarówno historii Festiwalu, jak wszelkich związanych z nim zwyczajów, musimy nasamprzód rozproszyć jakże mocno panującą obecnie wśród laików mglistość samego zagadnienia kałamarnic<sup>1</sup>.

Po pierwsze, kałamarnica NIE „składa na wiosnę jajeczek na brzegach mętnej rzeki Moth,

z których następnie późną jesienią wykluwają się kałamarlątka, by korzystając ze swego rodzaju protomacek oraz szczątkowych, malutkich dziobów wciągnąć się do wody”, jak sugeruje to przygodny falszerz i hochsztapler Leo Pulling w kłamliwej pracy naukowej pt. „Relacja z pierwszych godzin życia kałamarlątek na brzegach rzeki Moth”, opublikowanej przez „Ambergriański Magazyn Zoologii Spekulatywnej”, wydawnictwo uznawane powszechnie za drukujące stek kłamstw i bzdur.

Po drugie, mimo iż postuluje to armia poświadczonych kretyńców, w tym Blas Skinder, Volmar Gort, Maurice Rariety, Frank Blei czy Nora Kleyblack, Król Kałamarnic nie jest w najmniejszym nawet stopniu spokrewniony z żadną pomniejszą kałamarnicą. Nie wiąże go wcale pokrewieństwo ani z morrowiańską kałamarnicą szczekającą, ani ze stocktońską kałamarnicą zakopującą się w ziemi, eksplodującą kałamarnicą Kalifa, kałamarnicą oddzielnoszczęką, truffidiańską kałamarnicą mnisiogłową, płowososną kałamarnicą trąbiącą, płonąca kałamarnicą leopardzią, slovoriańską krótkowzroczną kałamarnicą wyjąca, północną kałamarnicą nietoperzoskrzydłą, wschodnią czerwonopyską kałamarnicą mangustową, trzyoką kałamarnicą liściastą, kałamarnicą mieniagoguzikową, daffediańską szafirową kałamarnicą tańczącą, ani nawet z niceańską mątwą<sup>2</sup>.

Nie jest on żadną z powyższych, ani w żaden sposób nie jest z nimi spokrewniony, co muszę tu powtórzyć raz jeszcze dla wszystkich, którzy być może zgubili gdzieś wątek lub też trudno im przychodzi czytanie ze zrozumieniem.

### **PIĘKNE TEORIE PANNY FLOXENCE**

W tym miejscu uświadamiam sobie, że niektórzy z czytelników mogą uznać za ważne, bym raczej napisał, czym też jest ów Król Kałamarnic, niżli nieustannie opisywał, czym nieodmiennie nie jest. Jednak nie skończyłem jeszcze z zasadniczymi i tak podstawowymi ablucjami, których należy dokonać, by oczyścić czytelnika z brudu negatywnej energii, nagromadzonej i wytworzonej przez ogrom poronionych i ekscentrycznych teorii.

Musimy bowiem jeszcze zawczasu przyrzeć się bliżej patologicznie wręcz próżnym i głupim, a równocześnie wyjątkowo wadliwym pod względem naukowym wypowiedziom niejkiej Edny Floxence, zapamiętanej głównie jako niezrównoważony astrolog kappana-bankiera Trilliana, której jednak, pod auspicjami samego władcy, udało się w tak pełny sposób omamić i przekonać opinię publiczną, że pewne mity nieprzerwanie aż do dzisiaj grożą żerowaniem na umysłach ambergriańskiej diatwy szkolnej. *Tajemniczy świat słodkowodnych kałamarnic* jest ledwie zmyślony w swych popędliwych i ożywionych odtrutkach na prawdy zawarte w *Odślonie tajemnic słodkowodnych kałamarnic*: na sześciuset stronach permanentnie, na każdym kroku błędnego tekstu,

którego żaden prawdziwy kalamarolog nie jest w stanie obecnie zgłębiać bez obfitych krwawień z nosa, uszu czy ust<sup>3</sup>.

Już na samym początku problemem jawi się to, że osaczona kaftanami bezpieczeństwa zdrowego rozsądku zawieszonymi w garderobie swej (o) błędności panna Floxence stawia zadziwiające stwierdzenia, jakoby „codziennie przez całe długie letnie dni pływala z kalamarnicami”, poznając ich tajemnice. Obwolutę *Tajemniczego świata słodkowodnych kalamarnic* przyozdabia nawet drzeworyt przedstawiający pannę Floxence w ujmująco ponętnej sukieneczce - stroju kąpielowym, składającym się wyłącznie z samych aplikacji i dyndających płatanin materiału.

Dlaczego stwierdzenia głupiutkiej panny Floxence zdają się aż tak bardzo zmyślane i fałszywe? Otóż z dwóch powodów. Po pierwsze - w czasie, gdy jak twierdzi, unosila się na wodzie niczym ogrom intensywnego pluskania i chlapania w szeregach niewątpliwie zaniepokojonych i wstrząśniętych tym widokiem, jak również niewątpliwie na zawsze już strauumatyzowanych kalamarnic, zawartość szlamu i mułu w rzece Moth miała wyjątkowo wysoki poziom, dużo, dużo wyższy niż obecnie od wielu lat, a co za tym idzie, nie można wierzyć w zapewnienia, że człowiek pływający w tych mętnych i szaleńczych wodach byłby w stanie dojrzeć coś więcej niżli własną ubloconą dłoń, i to trzymając ją tuż-tuż przed oblepioną liśćmi twarzą, nie wspominając już o dokonaniu podówczas jakichkolwiek obserwacji, czy też udokumentowaniu przeszło setki złożonych rytuałów godowych, błysków alarmowych, szału karmienia oraz „osobliwych zabaw przodków”. Po drugie - ubrana w strój kąpielowy składający się w głównej mierze z falbanek, ze swą bladą skórą i bulwiastymi oczami wyglądała ona jak wypisz, wymaluj najzwyklejsza falbiarena, ryba z rodziny *toxicana*. Ryba, która - z falbankowatymi płetwami i trupio białym kolorem skóry - jest ulubionym przysmakiem Króla Kalamarnic<sup>4</sup>. Można więc sobie tylko wyobrazić wytrzeszczone oczy i radosny ślinotok pojawiające się u wygłodniałej sfory młodych kalamarnic królewskich, które przypadkowo napotykają na swej drodze falbiarenę tak wspaniałych rozmiarów i proporcji.

Nie, obawiam się, że panna Floxence nigdy nie pływala z kalamarnicami - jej złudzenia bowiem nie są poparte żadnymi dowodami. Nawet przyjmując absolutną przejrzystość mothiańskiego nurtu oraz kostium kąpielowy niepozwalający raczej na natychmiastowe obserwacje przyzwyczajen żywieniowych kalamarnic, i to bardzo bliskiego stopnia, czytelnik musi pamiętać, że Król Kalamarnic regularnie osiąga prędkość rzędu czternastu węzłów. Wątpię, by otyła panna Floxence była w stanie osiągnąć chociaż jeden węzeł i to przy naprawdę ambitnym dniu.

Co więc za tym idzie, musimy pozbyć się wszelkich pięknych teorii panny Floxence - wyrzucić je za burtę i obserwować, jak znikają nam w oddali, być może poświęcając im wtedy

dość krótkie pożegnalne machnięcie dłonią - począwszy od samego pomysłu, że kalamarnice regularnie co trzy miesiące zmieniają swych partnerów (co zresztą było w tamtym czasie dosyć rozpowszechnioną praktyką wśród mieszkańców Ambergris), a skończywszy na niedorzecznie złożonych rytuałach godowych, które łączyły w sobie najgorsze cechy spazmatycznych ataków z odważnymi eskapadami wyrwanymi wprost z kart powieści romantycznych, wszystko zaś jeszcze zostało wykończzone bardzo optymistycznym wykorzystaniem najprzeróżniejszych narzędzi. (Przyznanie się do własnych win jest, jak powiadają, niezmiernie ważne przy ich odkupieniu. Droga panna Floxence wciąż jeszcze nie osiągnęła stanu łaski i mimo wszystkich jeszcze nieodkrytych notatek i listów być może nigdy go nie osiągnie).

### DOPEŁNIAJĄCE ANEGDOTYCZNE DOWODY

Wczesne naoczne relacje świadków rozciągają się od najwyborniejszych smakolyków aż po najgorsze, obrzydliwie śmierdzące wyrostki informacji. Takie nieścisłości winniśmy jednak odłożyć na bok razem z klockami z literami alfabetu, maminymi zbyt częstymi pocałunkami na dobranoc oraz sesjami terapeutycznymi.

Do skatalogowania ogromu morskich anegdotek winien nam tu starczyć zaledwie jeden jedyny przykład. Poniższy fragment zaczerpnąłem z książki, której wydanie opłaciło Towarzystwo Morrowiańskich Naukowców za Granicą, zatytułowanej *Kalamarologia Enocha Sighly i doktora Bernarda Dovela podróż w górę rzeki Moth miejscowym rodzajem czółna oraz siłą tubylczej pomysłowości, zwieńczona całkowitym zniszczeniem łódki, niemalże ucieczką, alkoholizmem i kalku niefortunnymi negocjacjami ze wspomnianymi wcześniej tubylcami:*

Ach, jakąż to zdumiewającą i cudowną rybę, bestię czy też jakąś inną istotę, tak niedawno zabita, przebitą włócznią, a może zastrzeloną, w każdym razie martwą, zmytą przez falę i osadzoną na pobliskiej lasze piasku napotkaliśmy dwudziestego dnia naszej ekspedycji. Rzuciliśmy wtedy zastanawiająco radosnym tubylcom propozycję: „Zatrzymać łódź?”. Gdy nie zareagowali, ponownie postawiliśmy pytanie, czy moglibyśmy przyjrzeć się bliżej temu okazowi. Miał on dwie głowy i dziesięć rogów, na ośmiu z nich posiadał osiemset mięsistych zgrubień, czy też narośli; a w każdej z nich można było odnaleźć pełen komplet zębów. Wspomniane wcześniej ciało było większe niżli trzy krowy, i to takie największych rozmiarów, a owe anormalne rogi miały przynajmniej czterdzieści kopyt długości. Większa głowa miała jedynie rogi i dwoje bardzo dużych oczu, w przeważającej mierze wydziobanych już przez pewien gatunek ptaków, który tubylcy nazywali Ptakami. Mniejsza zaś głowa posiadała, wraz z towarzyszącym jej niezdrowym smrodem roztraczonym wokół, jakże wielce osobliwymi zapachami rozkładu i gnicia,

cudownie zadziwiająca usta, kryjące w sobie dwa języki posiadające nadnaturalną moc wsuwania się i wysuwania z ciała, gdy tylko zaszła ku temu konieczność. Wśród innych wartych wspomnienia rzeczy widocznych u potwora należy wymienić zabarwioną na czerwono osłonkę, przylegającą pewnie do tylnej części ciała, oraz luźne, w każdym najdrobniejszym szczególe białoczerwone polya, czy też fałdy, znajdujące się po obu stronach. Istota posiadała również wyдутą, grubą skórkę, której miejscowi nie dotykali. Miała też najbardziej monstrualny nos, jaki kiedykolwiek tylko widzieliśmy na tym świecie, czy też poza nim.

Z tego tak niespójnego i chaotycznego opisu „ryby, bestii, czy też jakiejś innej istoty”, ze „zgrubień czy narośli”, „rogów”, „małej głowy” (najwyraźniej lejka), „języków” czy też „osłonki”, nie wspominając już o komicznie błędnie nazwanych „polach”, staje się jasne, że owa „ryba, bestia, czy jakaś inna istota”, o której tu mowa, nie jest niczym innym jak kałamarnicą królewską, oraz że Towarzystwo Morrowiańskich Naukowców za Granicą niezbyt rozsądnie wybrało na swych obserwatorów ludzi „Fatalnie Niewidzących”<sup>5</sup>.

Jakiegokolwiek jednak byłyby takie relacje, przynajmniej zbliżamy się w nich do samej bestii, krwi życia Ambergris, hojności dostatku, mokrego snu każdego kałamarologa, słodkowodnego potwora znanego po prostu jako Król Kałamarnic bądź kałamarnica królewska.

## » PRZYPISY

---

<sup>1</sup> Jak zwykł mawiać mój ojciec: „Mglistość wiedzy laików jest głównym powodem ich nienawiści skierowanej przeciwko nauce” (Patrz: Madnok James: *Teoria grzyba*). W jakim kontekście ojciec wypowiedział te słowa? W dyskusji dotyczącej podziemnych mieszkańców miasta, owych szarych kapeluszy częściowo otoczonych zasłoną tajemnicy, oraz rzekomo przez nich wywołanego masowego zniknięcia, znanego jako „Cisza”

<sup>2</sup> Król Kałamarnic zjada wszystkie z wymienionych tu gatunków, zarówno dość regularnie, jak również z wielkim smakiem i upodobaniem.

<sup>3</sup> Po raz pierwszy zetknąłem się z tekstem panny Floxence w rodzinnej bibliotece. Zaszliśmy się tam bowiem kiedyś z ojcem, umykając przed gniewem matki związanym z jakimś wyjątkowo trywialnym występkiem. Wtedy właśnie ojciec sięgnął na półkę, skąd wyciągnął tom panny Floxence, kierując się tylko tym, że należał on do ulubionych książek matki, oraz mając wrażenie, że przydałaby mi się odrobina śmiechu. Następnie czytał mi na głos fragmenty książki, na co odpowiadałem chichotem. Nie mogę więc udawać obiektywności względem książek jej autorstwa.

<sup>4</sup> Fakt z czułością wręcz zarejestrowany w pracy opisującej badania D.S. Nalanger, *Rybie preferencje kałamarnic słodkowodnych zaobserwowane podczas kontrolowanych eksperymentów z wykorzystaniem haczyka, przynęty i łodzi, jak również silnej linii dociekań*, publikacja w toku.

<sup>5</sup> Chociaż w rzeczywistości Towarzystwo nigdy nie opublikowało monografii z ich drugiej wyprawy, jednakże taka (cieniutka) broszurka mogłaby nosić następujący tytuł: *Enocha i Bernarda nieoczekiwanie dobiegła końca podróż, podczas której nasza łódka przewróciła się, a krokodyle w wielkiej sile wyczyniły radosne harce na naszym...*



## II - CZYM JEST KRÓL KAŁAMARNIC

### ZBLIŻAJĄC SIĘ DO PRAWDZIWEGO KRÓLA KAŁAMARNIC

Nadszedł oto wreszcie czas, by zająć się opisem, czym właściwie jest ów Król Kałamarnic, miast nieustannie tłumaczyć, czymże nieodmiennie nie jest. Jest wspaniały i ogromny. Jest mityczny, a w oczach niektórych spośród błędzących, boski. Dla bardziej praktycznych dusz jest zaś smakowitym posiłkiem, serwowanym z przystawką ziemniaków i szklaneczką brandy.

To, że może on jawić się jako tak wiele rzeczy w oczach najprzeróżniejszych ludzi, da się wyjaśnić faktem, że kałamarolodzy zidentyfikowali przeszło sześćset gatunków kałamarnic. Wielkich, małych i średniego rozmiaru. Podłużnych, płaskich, przysadzistych, giętkich i długich. Wszelkie bowiem ich rodzaje zamieszkują oceany, rzeki oraz jeziora. Mają papuzie dzioby, płonącą skórę i wnętrzości o tak wielkiej mocy. W zależności od pory dnia i temperatury/mentu czasem bywają milcząco szare, czasem zaś przystrojone i rozświetlone, niczym trasa podczas festiwalowej nocy, samodzielnie wytwarzanymi światełkami. Niektóre są twarde, niektóre miękkie. Niektóre pełne mięśni, inne galaretowate. Niektóre są w stanie wyrzucać własne ciało ze swego wodnego dominium i niemal płynąć w powietrzu! Inne żyją w najgłębszych głębiach rzeki Moth. Niektóre, by oddać im tu sprawiedliwość, zbierają się wspólnie, niczym pozbawieni lusek pływaccy eksperci. Niektóre zaś żyją samotnie i nie są w stanie znieść nawet własnego towarzystwa. Wciąż jeszcze inne muszą, w powodu własnej natury, znieść towarzystwo ostatnich gatunków, nim wreszcie na drodze metamorfozy zdołają przejść w wyższy stan szczęśliwości.

### NIEZWYKŁE CECHY CHARAKTERYSTYCZNE

Kiedy tak staram się wyliczyć w porządkowy<sup>6</sup> sposób szereg wspólnych cech charakterystycznych kałamarnic, niczym wyuczoną na pamięć dziecięcą piosenkę, muszę się przyznać, że im bardziej zbliżamy się do samej kałamarnicy, tym odczuwam większe podekscytowanie: płaszcz z przyjemności zabarwia mi się na kolor modry, lejek zaczyna sterczeć bardziej znacząco, a moje przyssawki aż drżą. Że się tak wyrażę.

Jak wie każdy początkujący kałamarolog - uwolniony, by móc szczęśliwie nachylać się nad

pozostałymi po odpływie kałużami (przebywając na Wyspach Południowych), czy też przyczajony tuż przy kolumnach doków (gdy jest w Ambergris) - niemal każda kałamarnica posiada osiem ramion i dwie macki, chwytające haczyki itp., o czym mogłem już wcześniej nadmienić. (Kałamarnicowate - mole książkowe odnajdą też przypadki dotyczące obecnie już wymarłej morrowiańskiej kałamarnicy błotnej, której macki, gdy osiągała dorosłość, znikają wchłaniane do wnętrza ciała, ledwie pozostawiając po sobie zwiotczone odrostki. Ten wielce wstydlivy stan nie dotyczy jednak kałamarnicy królewskiej).

Niektóre niedorozwinięte gatunki - cuchnąca kałamarnica skarłowaciałodzioba, stosownie zdiagnozowana stocktońska kałamarnica niepełnosprawna, czy też odrażająca saphancka kałamarnica dupowata - mają osiem ramion różniących się długością. Jednakże Król Kałamarnic jest w przeciwieństwie do nich paradygmatem dobrego zdrowia, wprost okazem takowego, gdyż każde z jego ośmiu ramion ma dokładnie tę samą długość i grubość, a dwie z jego macek są od nich dłuższe zaledwie o metr.

Macki, ów cud inżynierii biologicznej, spełniają szereg pełnych wdzięku funkcji, lecz ich głównym zadaniem jest przyniesienie ofiary ku zgubie, którą niosą usta kałamarnic. Nieszczerólnie zresztą błyskawicznej, co należy dodać. Kałamarnica królewska, ów Król Kałamarnic, nie przelyka bowiem swego pożywienia w całości, jak czyni to chociażby kałamarnica nabrzmiałopłaszcząca, tak charakterystyczna dla regionu jeziora Alfar. Ani też nie grzmoci nim, chcąc go zmiękczyć, o podwodnie skały, jak czyni to purpurowa kałamarnica byczogłowa, tak popularna wzdłuż wybrzeży Scathy. Miast tego kałamarnica królewska zmuszona jest do posiekania i zmiżdżenia swego pożywienia przy użyciu dzioba, zębów i *pistolaro* (organu przypominającego język).

Dlaczego musi tak robić? Niestety, jak wie każdy początkujący młody kałamarolog z aspiracjami, chrząstkowa kapsuła jej głowy nie należy do zbyt elastycznych. A skrywa już przecież w swym wnętrzu tak cudowny mętlík innych współmieszkańców: błyszczące i lśniące oczy, wielki mózg, przelyk.

Czyżby było to defektem? A może jedynie wyraża jakąś zapobiegliwość? Kałamarologom nie udało się jeszcze tego rozszyfrować.

### **KRÓTKA DYGRESJA NA TEMAT OCZU KAŁAMARNICY**

Oczy! Ach, te oczy! Gdyby służyły za okno duszy, jak zdaje się wierzyć tak wielu medyków<sup>7</sup>, tedy Król Kałamarnic byłby istotą wprost z Truffidiańskiego Nieba. Po pierwsze, spojrzenie kałamarnic nie jest dwuoczne: każde z oczu postrzega to, co znajduje się po jego stronie głowy. W wyniku tego kałamarnica widzi i dostrzega dwa razy lepiej i więcej niż człowiek, a nawet cztery



razy, jeśli porównać ją z ludźmi noszącymi okulary. Po drugie, oczy kałamarnic mogą być wielce różnorodne, możliwe są tu wszelkie kształty i rozmiary, od wielkich niczym koła u wozu po małe niczym guziczki. Podłużne, koliste, jajowate, wąskie szpary, trójkątne, sferyczne, ośmiokątne. Ich kolorystyka rozciąga się od dokładnego odcieniu zielonozłotego zachodu słońca nad Amberggris, widocznego za oknem podczas wsluchiwania się w rozchodzącą się gdzieś w pobliżu muzykę klucza (wiolinowego) otwierającego zamek (wielu taktów), aż po widziane w porze odwiedzin czerwono-srebrne lśnienie sukni bogatej kobiety.

Król Kałamarnic nie posiada jednego oka, jak cyklopowa kałamarnica nabrzmiała, ani dwojga, jak każdy inny typ kałamarnic, lecz troje! Troje oczu! Trzecie, to najbardziej ekscytujące i intrygujące, spoczywa ukryte po spodniej części jego płaszcza. I pełni dwie wręcz nadprzyrodzone funkcje. Po pierwsze, odbiera tylko i wyłącznie bioluminescencję. Po drugie, pewne wydzielinę siatkówki sugerują, że owo trzecie oko wytwarza również promień światła mający pomagać kałamarnicy w widzeniu w ciemnych i mętnych wodach Moth.

Nie jestem tu w stanie rzucić na ten jakże ważki i głęboki temat większego światła niż to wytwarzane przez samą kałamarnicę królewską.

#### **CIĄG DALSZY MNIEJ ZNANYCH NIEZWYKŁYCH CECH CHARAKTERYSTYCZNYCH**

Ale, jak już wspomniałem, a musi to wiedzieć każdy przedsiębiorczy<sup>8</sup> kałamarolog - o ile nie z przygód z pierwszej ręki, to z wszelkich przesłodzonych, lecz tak uwielbianych komiksów o kałamarnicach dla dzieci, które, jak jestem przekonany, wciąż jeszcze sięgają w swym szale zamęt na łamach różnorodnych dzienników ambergriańskich.

Tak więc zablocony i ochlapany wodą mały łobuziak - miłośnik bezkręgowców - może nie być świadom pewnych szczegółów związanych z fizjologią i zachowaniem, które odróżniają kałamarnicę królewską od innych gatunków kałamarnic. Co nie powinno nikogo dziwić, biorąc pod uwagę niedostatek posiadających jakąkolwiek wartość źródeł faktów dotyczących kałamarnic.

Po pierwsze, dorosły osobnik może osiągać nawet niemal pięćdziesiąt metrów długości, ważąc przy tym dwa i pół tysiąca kilogramów (gdybyż tylko Moth była szersza, głębsza, a co a tym idzie, bardziej gościnna dla większych okazów). W wyniku tego ma większy dziób niż jakakolwiek znana kałamarnica. Dzioby, w porównaniu z ciałem, są zwykle małe, lecz gdyby wziąć wielce odważnego człowieka z szeroko rozłożonymi ramionami, to jednym z nich ledwie dotknie on górnej, a drugim dolnej rozwartej szczęki dzioba kałamarnicy królewskiej. A skoro wymaga to od wspomnianego człowieka wsunięcia głowy do wnętrza wspomnianych już wcześniej ust, nie polecałbym tej metody jako techniki pomiarów dzioba kałamarnic, za wyjątkiem tych przypadków, kiedy zbliżamy się do najbardziej martwych z okazów.

Lecz sam jej rozmiar nie może wyjaśniać życiowej fascynacji tym gatunkiem. W rzeczywistości nawet najbardziej szanowany kałamarolog amator nie rozpoznalby istoty w jej młodocianym stadium, gdyż przypomina wtedy larwy jakiegoś wodnego insekta<sup>9</sup>. W ciągu minionych lat spowodowało to kilka wielce niefortunnych pomyłek.

### **PRZYPADEK RICHARDA SMYTHE'A, KAŁAMAROLOGA AMATORA**

Przykładowo bowiem nawet mający na swym koncie szereg publikacji kałamarolog amator, jakim jest pan Richard Smythe - obwoźny sprzedawca, mieszkający na co dzień w zamkniętym w głębi łądu Leander - mógł popełnić taki błąd. Podczas jednej z wypraw do Nicei pan Smythe nabrał kiedyś słój wody z Moth, gdyż pełna była czegoś, co z pełnym przekonaniem wziął za larwy owadów. Po powrocie do domu wlał przyniesioną wodę do akwarium, by wspomnianymi larwami nakarmić pływające tam swe wielce cierpliwe rybki, po czym niezwłocznie wyruszył w pogoni za plotką o rzekomym niedostatku parasolek w pewnej krainie znajdującej się w wyjątkowo silnej parasolowej potrzebie. Gdy wrócił po trzech tygodniach, z pustego pod każdym innym względem akwarium przywitał go rozwścieczony Król Kałamarnic rozmiarów niewielkiego psa. Wyglodzona kałamarnica, mlóćąc i wywijając w powietrzu ramionami i mackami, w mgnieniu oka ruszyła na pechowego pana Smytha. Jedynie niesprzedane podczas podróży parasolki oszczędziły temu wielce nierozsądnemu człowiekowi losu pod każdym innym względem miążdżącego<sup>10</sup>. Fakt, że stali się później ze wspomnianą kałamarnicą najlepszymi przyjaciółmi, w niczym nie zmienia dwóch podstawowych nauk wypływających z powyższej historii: zawsze filtruj wodę, by pozbyć się kałamarlątek, oraz nigdy, ale to przenigdy, nie ufaj wodzie Moth.

### **WROGOWIE ORAZ CI ZDATNI DO SPOŻYCIA**

Według Clyde'a Aldricha, okrzykniętego przez nieścisłych, acz chęlnych imbecyli” wiodącym ekspertem” w tematyce kałamarnic królewskich, ta bestia między kałamarnicami nie posiada żadnych naturalnych wrogów. (Nie dotyczy to jednak jednego z najbliższych jej krewnych, południowej słonowodnej kałamarnicy saphanckiej, która musi się bronić przed zdradliwym atakami schizofrenicznego wieloryba saphanckiego - że tak powiem, oto wieloryb, który z każdej strony otoczył Imperium).

Co do pożywienia Króla Kałamarnic, można tu stwierdzić z wielką dozą pewności, że jada on z większą różnorodnością niż wszyscy uwalniani o jednej wyznaczonej wcześniej godzinie do wypasania się na stołówkach, czy nawet w kuchniach. Król Kałamarnic to entuzjastyczny mięsożerca, bezustannie polujący na swe ofiary, które rozciągają się od owadów i skorupiaków

poprzez ryby i pozostałe rodzaje kalamarnic, a nawet krowy (o ile tylko są one dostępne), aż po zawartość domów postawionych w wielce nieodpowiednich miejscach<sup>11</sup>. Mówiąc w wielkim skrócie: Kalamarnica królewska spożyje wszystko, wokół czego owinie swe ramiona, w tym również stanowiącego śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz wyjątkowo głupiego rekina słodkowodnego. Jednakże wbrew temu, co przedstawiono w spisany przez George'a Edgewicka *Studium powiązań bezkręgowców ze śmieciami*, w związku z wysoce rozwiniętym zmysłem powonienia Król Kalamarnic nie podąża śladem płaskodennych barek ze śmieciami, a przynajmniej nie bardziej, niż miałby ochotę coś sobie zamówić z którejkolwiek z ambergriańskich tawern<sup>12</sup>.

### ZABAWOWA STRONA KRÓLA KAŁAMARNIC

Odlóżmy teraz na bok wszelkie opowieści o drapieżnikach i ofiarach, Król Kalamarnic objawia nam bowiem swą zabawową stronę, gdy tylko uwalnia się ze swego więzienia instynktów i odruchów. Ta chęć zabawy zwykle objawia się użyciem przez niego systemu odrzutowego. Do poruszania się kalamarnice używają lejka, krótkiego organu przypominającego wężyk, lekko odstający od płaszczka tuż pod głową<sup>13</sup>. Dzięki obracaniu się płaszczka kalamarnica posiada znaczną kontrolę nad lejkiem. Stąd właśnie wynika jeden z najbardziej wartych wspomnienia nawyków Króla Kalamarnic.

Chodzi mianowicie o to, że jest on powszechnie znany z wystrzeliwania z siebie długich, lecących wyjątkowo daleko strumieni wody w kierunku niczego niepodważających spacerujących nadbrzeżnymi ścieżkami podróżnych. Wspomniane kolumny wody, zresztą o dość znacznej szybkości, mogą lądować niemal dwadzieścia pięć metrów w głębi lądu, by tam wielce dosadną dawką mulistej wody przemoczyć pieszego do nitki, a taki człowiek niebawem nie dość że obcieka wodą, to jeszcze zaczyna pulsować ze zdenerwowania<sup>14</sup>.

Taka nadnaturalna celność wymaga zarówno doskonałego wzroku, jak również znaczącej inteligencji. Powyższym manifestacjom zwykle towarzyszy odgłos „dyszenia”, który, jak osobiście jestem przekonany, należy uznać za śmiech, wbrew wszystkiemu, co o moich teoriach sądzi mój sąsiad John. Tak zwani eksperci - którzy, biorąc tylko pod uwagę moje skromne zdanie, mogą przez wieczność gnić sobie w zamknięciu celi - są przekonani, że jest to ledwie efektem wywoływanym przez ponowne napelnianie lejka wodą, tak konieczną do oddania kolejnego strzału.

Jak by nie było, pociągnęło to za sobą niefortunne następstwa. Nadęte i opasłe kleszcze zbierające się pod egidą Ambergriańskiej Ligi Bezpieczeństwa nakreśliły bowiem projekt rezolucji asygnującej konieczne fundusze na trening kalamarnic do roli strażaków na obszarach Amberggris,

gdzie możliwy jest bezpośredni dostęp z wody. Mniej śmiesznymi, mimo iż bardziej absurdalnymi, jawią się tu poronione „kalamarnicze chrzty” wykonywane w Kościele Dzieci Kalamarnic, które jakże często-gęsto kończą się śmiertelnymi zejściami uczestników. Członkowie tego kultu starają się bowiem tak rozdrażnić kalamarnicę, by uzyskać od niej „święty akt rozgrzeszenia”, a - jak można oczekiwać ze strony potwierdzonego wszak mięsożercy - Król Kalamarnic z rzadka zaledwie zbliża się do czegokolwiek chociażby trochę przypominającego cywilizowane zachowanie.

## **DALSZE PRZYPUSZCZENIA DOTYCZĄCE INTELIGENCJI**

### **KALAMARNIC - ORAZ OBSERWACJE BRONGA**

W międzyczasie zaczynają wypływać nam na powierzchnię, objawiając się tam w formie falowania, kolejne przypuszczenia wiążące się z inteligencją Króla Kalamarnic. Mowa tu o przypadkach związanych z jego poznawczą zdolnością, dawno już ustaloną i popartą fizjologicznymi dowodami<sup>15</sup>. Z pewnością nie jest dziełem przypadku, że dwa potężne serca kalamarnicy pompują krew nie tylko do jej potężnych skrzeli, lecz również do wielkiego i złożonego mózgu? Mózg przeciętnej wielkości kalamarnicy królewskiej otrzymuje dziennie o dwanaście litrów więcej krwi, niż przeciętny mieszkaniec tutejszego przybytku - karmiony posiłkiem z wysuszonych skrawków ryb, zsiadłego jogurtu i budzącej zwątpienie zielonej fasolki szparagowej - otrzymuje w przeciągu tygodnia. Jedynym zwierzęciem posiadającym większy mózg od kalamarnicy królewskiej jest biały poltoński wieloryb bichoralny, którego jednak sam ciężar czaszki rzekomo przechyla na jedną stronę<sup>16</sup>.

Król Kalamarnic - podobnie jak niektóre z pomniejszych kalamarnic, lecz z wyjątkiem kalamarnicy spastycznie niepokojącej - zachowuje także bezpośrednią kontrolę nad własnym ubarwieniem i wzorami wyświetlanymi na skórze, które zdają się dostarczać nam kolejnych dowodów świadczących o jego sprycie. Widoczne nocą nad rzeką fosforescencyjne manifestacje świetlne przywodzą na myśl przedziwne światła dostrzeżone przed niemal dziesięciu laty nad ruinami miasta Alfar, o wciąż nieustalonym pochodzeniu. (Uważny czytelnik być może zaczyna już dostrzegać w tym miejscu przeblask mych unikalnych teorii, z którymi jednak podzielę się dopiero w Rozdziale IV niniejszej monografii).

Z podstawowej barwy przeświecającego srebra Król Kalamarnic może błyskać zielenią, błękitem, czerwienią, żółcią, pomarańczą, fioletem i czernią, jak również każdym połączeniem wszystkich wymienionych powyżej kolorów. Kalamarnice te mogą się kamuflować na jakimkolwiek tle wykorzystując w tym celu błyskawiczne zmiany ubarwienia skóry<sup>17</sup>. Mimo iż takie zdolności mogły tak naprawdę „wyewoluować” - by użyć tu tak przesadnie analizującego słowa

wypowiedzianego przez Xaffera Daffeda - celem przeszkodzenia atakom drapieźników, czy też do wykorzystania podczas rytuałów godowych, obecnie zdają się tworzyć wysublimowany system komunikacji, i to bardziej efektywny niż dźwięk czy nawet migowy język macek, który Maxwell Brong kiedyś rzekomo zauważył podczas swego zbyt głębokiego zanurzenia w wodzie<sup>18</sup>.

### **REWELACYJNE ODKRYCIA FURNESSA I LEEPIN**

Gdyby tylko ludzie nie byli z natury szaleni i odporni na samodoskonalenie oraz terapię, badania dokonane wspólnymi siłami przez niedocenianych Raymonda Furnessa i Paulinę Leepin już dawno zastąpiłyby błazenady i wysiłki kretynów podobnych do Bronga.

Pierwszy przeblask natchnienia Furnessa i Leepin wiązał się z obejściem problemu mułu dzięki zastosowaniu przesłony podobnej do tych znanych nam już z użycia przy obserwacjach ptaków w terenie. Umieszczone w wydrążonym dnie łodzi mieszkalnej uwiązanej do lachy piasku na samym środku nurtu głębszej części Moth, owo wykonane ze szkła urządzenie przedstawia klasyczny już postęp, jakiego dokonano, jeśli chodzi o narzędzia dostępne kalamarologom<sup>19</sup>.

Z biegiem czasu kilka kalamarnic królewskich pokonało wreszcie swą ostrożność i zaciekawione zajrzało przez szkło do środka, gdzie wewnątrz Furness i Leepin, zamarli w absolutnym bezruchu, jak również w pewnym stopniu przerażeni, odpowiedzieli im tym samym. Potrzeba było kilku miesięcy badań, przynajmniej zgodnie z zapiskami prowadzonymi w ich dziennikach, by wreszcie, koniec końców, zauważyli coś, co nazwali „błyskającą komunikacją”. W późniejszym czasie oboje pionierzy zdołali skrzętnie wywnioskować i spisać znaczenie owych „błyskających komunikatów” - a w rzeczywistości porozumieć się z kalamarnicami! Co za tym idzie, została przełamana bariera oddzielająca kalamarnice od kalamarologów, nawet jeśli zaledwie na krótką chwilę, to jednak na zawsze już zmieniając relacje pomiędzy naukowcem a kałużą wody pozostałą po odpływach, obserwatorem a przedmiotem obserwacji<sup>20</sup>.

Należy zacząć od tego, że Furness i Leepin nakreślili kilka podstawowych wzorów komunikacji<sup>21</sup>, przytoczonych na stronie 24<sup>22</sup>.

Jak nawet mitoman łatwo może zauważyć, podobne sposoby komunikacji działają na o wiele wyższym poziomie złożoności niż wykorzystywane przez psa, kota czy nawet świnie, szczególnie biorąc pod uwagę najnowsze eksperymenty w tej dziedzinie.

Ale badania Furnessa i Leepin jeszcze nie osiągnęły ani nie odsłoniły pełnego drzemiącego w nich potencjału. Przy pomocy lamp i krepiny zaczęli oni bowiem wyświetlać różne litery, rzucając je w wodę tuż obok ich kalamarniczego odpowiednika, początkowo w zupełnie przypadkowych strumieniach, jak choćby RIEKHIT-MLALFEYD, by następnie pokusić się o wyrazy i zwroty w stylu JESTEM KAŁAMARNICĄ czy JAK SIĘ MASZ?

Początkowo pływające kałamarnice nie odpowiadały. Jednakże po tygodniu wysyłania takich bodźców Furness i Leepin z najwyższym zdumieniem zauważyli, że kałamarnice wyświetlają na swej skórze dokładnie te same litery - i to nie wszystko, wprawiały je bowiem też w ruch, tak, że wyrażenia JESTEM KAŁAMARNICĄ i JAK SIĘ MASZ? okrążały ich ciała, wpadając na siebie i zderzając się niczym widma alfabetycznych pociągów z liter.

Takie odkrycia winny doprowadzić do kolejnych rewelacji, a na końcu tej drogi, tuż za rogiem, na oboje naszych naukowców winny czekać sława i fortuna, mające spaść na nich, jak tylko zanotują i opublikują dokonane obserwacje. Jednakże doszło wtedy do przedziwnego incydentu, który absolutnie zdyskredytował ich w oczach wszystkich pozostałych naukowców. Ów incydent wskazuje nam na o wiele większy poziom inteligencji kałamarnic, niż wskazywałyby na to wszystkie wcześniejsze raporty, nawet te publikowane w tak optymistycznie nastawionych wydawnictwach jak *Mysli Kałamarnic*. Już sam pochodzący z tego dnia wpis w ich dzienniku stanowi atrakcyjną i pasjonującą, lecz również wielce trapiącą lekturę. Do czego mogliby dojść i co osiągnąć, gdyby tylko zostali tam dłużej i nie odpuścili sobie dalszych badań<sup>23</sup>?

Dzisiaj zdecydowaliśmy z Furnessem o porzuceniu naszych badań. Okazały się bowiem zbyt niebezpieczne. A wszystko przez kałamarnice. To one nas do tego zmusiły. Nigdy nie myślałam, że same kałamarnice mogą nam wyperswadować i wybić z głowy nasze zamiłowanie do kałamarologii, lecz niestety do tego właśnie doszło.

Już wszystko dokładnie wyjaśniam...

Po zupełnie nieciekawym poranku powierzchnię wody tuż przy naszej łodzi mieszkalnej przelamała nieoczekiwana seria olbrzymich bąbelków. Powolna, ociążała fala, jakby coś niesamowicie wielkiego zbliżało się do nas pod powierzchnią wody, popchnęła i zakolysała łodzią. Natychmiast schwyciliśmy nasze pływaki ratunkowe ze skór zwierzęcych, przywdzialiśmy kuliste szklane kapsuły masek, jak również focze pletwy, by bezpiecznie (jak nam się zdawało) zejść do wnętrza szklanej przesłony znajdującej się na dnie łodzi. Zastaliśmy tam błyskające na czerwono i pomarańczowo kałamarnice królewskie, które nazwaliśmy wcześniej Kałamarnicą nr 8, Kałamarnicą nr 5, Kałamarnicą nr 12, Kałamarnicą nr 16 oraz Kałamarnicą nr 135.

- ~~###~~ + CZERWONY = daj mi spokój
- ~~###~~ + NIEBIESKI = właśnie tutaj sobie zjadam - masz ochotę coś zjeść?
- ~~###~~ + ZIELONY = muszę defekować - proszę odsun się
- ~~###~~ + ŻÓŁTY = mam już dość tego bezsensownego borkatu, więc wróćcie ~~###~~ + CZERWONY
- (C) + CZERWONY = jestem zaintrygowany beznaprawdę, jakostą, staającą nas wody - czy aby przypadkiem nie ~~###~~ + ZIELONY?
- (C) + NIEBIESKI = mam mocne moce, giębi, dźwięki i dźwięki prądu. A ty wyglądasz, jakbyś była tu sama. Miałabyś może ochotę... coś zrobić?
- (C) + ZIELONY = brzydko / nieznanie coś właśnie tu nadpłynęło - superuję byśmy to zjedli / ukryli się przed tym / zakaufluksi
- (C) + ŻÓŁTY = opowiedz się. Wiem, że jesteś karamorłką krolewką, więc nie miedź cię ani nie toczę na stronę, wznosząc much zębów i dźwięki - lecz wzięj jesteś ektę mnie obcy
- ~~#####~~ + CZERWONY = opowiem ci, jak tylko zapotrzebujesz się mi (jelowanie) walczyć chmurę bakterii
- + NIEBIESKI = skoto odmańbysz (C) + ŻÓŁTY, zaraz uwdmij chmurę bakterii
- + ZIELONY = opnie są karamorłką? Straciłem je z oczu w tej mgłnej wodzie
- + ŻÓŁTY = pamiętaj, by wyjąć, przemieszczający reflektor swego źleńca oka
- ~~#####~~ (olaszki) + CZERWONY = oh, nie! Wyłaje mi się, że właśnie wes- sałem kilka karamorłtek!
- + NIEBIESKI = właśnie odkryłem jedzenie spacerujące sobie ścieżką przy rzece. Zbićcie się motychmóst, proszę.
- + ZIELONY = leżki w gotowości i, na mój rozkaz, kroćcie strumieniem wody w stronę jedzenia
- + ŻÓŁTY = motychmóst usun swą macę z moich kanałów rodnych!

Rys.1. Wzory komunikacji określone przez Furnessa i Leepin.

Przez krótką chwilę unosily się tuż przed nami, by wreszcie oddalić się i błyskawicznie przyspieszając zniknąć w mętnej dali. Początkowo pomyśleliśmy, że wystraszył je nasz dziwny ubiór. Choć ich reakcja nas zaniepokoiła, nie ruszyliśmy się z miejsca, wciąż niezmiennie oddani Sprawie<sup>24</sup>... Lecz jak się okazało, trwaliśmy tam tylko po to, by wrzasnąć z przerażenia, gdy tuż przed szkłem przesunęła się macka rozmiarów naszej łodzi. A na powierzchni tego olbrzyma, na wręcz bezmiarze zieleni jego skóry, a Truff nam tu świadkiem, wyczytaliśmy, zapisane złotymi literami: SPADAĆ MI STĄD, BO INACZEJ WAS POCHŁONE, WYSSE WASZ SZPIK, A KOŚCI UŻYJĘ, BY WYMOŚCIĆ NIMI GNIAZDKO MYM MŁODYM. Przez chwilę tkwiliśmy schwytni w szpony przerażenia, kompletnie niezdolni do tego, by się poruszyć. Dopiero czysty, wyjątkowo nośny dźwięk uderzenia koniuszka macki o łódź wyrwał nas z tego stanu, gdyż wraz z nim niespodziewanie przybył odór amoniaku i dodatkowa skierowana do nas wiadomość na powierzchni macki: POSPIESZCIE SIĘ! Tak, właśnie to wyrwało nas z paraliżu, w który popadliśmy.

Trudno mi teraz odtworzyć dokładny przebieg kolejnych wydarzeń, lecz pamiętam, jak wbiegliśmy na pokład i zeskoczyliśmy na łachę piasku, przez cały czas nieprzerwanie wrzeszcząc ile tylko sił w płucach, a tuż zza pleców dochodziły do nas kolejne chrupnięcia wydawane przez naszą łódź mieszkalną, która smagana mlóącymi mackami ulegała zmiżdżeniu na wyjątkowo malutkie kawałeczki. W stanie kompletnej hysterii rzuciliśmy się w przepływający po drugiej stronie łachy nurt odmętów Moth, na oślep płynąc w kierunku brzegu, a wszędzie wokół nas przecinały powietrze malutkie odłamki połamanych desek z pokładu naszego statku. Maski mieliśmy umazane mulem i szlamem, włożone focze pletwy jedynie utrudniały nam postęp w kierunku brzegu, a - co było już najbardziej denerwujące ze wszystkiego - nasze pływaki wykonane ze skór zwierzęcych zaczęły napelniać się wodą, gdyż ściskaliśmy je tak mocno, aż zaczęły przeciekać w miejscach, gdzie je przedziurawiliśmy. A kiedy wreszcie udało nam się osiągnąć bezpieczeństwo oferowane przez brzeg, z naszej łodzi pozostało jedynie kilka widocznych tu i ówdzie na rzece odłamków drzewa. Wtedy nieoczekiwana fala, która ruszyła w naszym kierunku, przekonała nas, by szukać bardziej pewnego schronienia i to daleko, daleko w głąb ładu - skąd nie ruszyliśmy się aż po dziś dzień.

Niestety nieposiadające oleju w głowie, pusto brzmiące cymbały ze wszechmocnymi okularami uniesionymi wysoko w okolicy brwi, owi tępogłowi sędziowie-kluski z zamarynowanymi mózgami - a mam tu na myśli członków Establishmentu Kalamarologii -



zmietli na bok wszystkie dokonane przez Furnessa i Leepin odkrycia z równie wielką łatwością, co same kałamarnice łódź mieszkalną obojga pionierów nauki, a mieli oni przynajmniej tyle szczęścia, że wyszli z całej tej katastrofy z nienaruszoną spójnością całego wcześniejszego dorobku naukowego. Jednakże, mimo iż dokonali zapewne najważniejszego kałamarologicznego odkrycia od czasów rewelacji Rebekki Yancy związanych z określeniem współczynnika wymiany powietrza w skrzelach na granicy powietrze - woda, Furness i Leepin zostali później wrzuceni do skrzyni nikomu niepotrzebnych odrzutów, oznaczonej „Lunatycy i szaleńcy”, zstępując w koszmar mrocznego świata pseudonauki i alkoholizmu, gdzie tak wielu naszych praktyków wkracza, by nigdy już stamtąd nie wrócić<sup>25</sup>. (Po więcej informacji dotyczących związanych z tym okoliczności, opisujących nasze podstawowe utrapienie schorzenie, odsyłam do *Chmiel a kałamarolog amator* Alana Rucha oraz do *Kałamarnice na naszych plecach, macki w naszych mózgach: Relacja z pograżania się w otchłani szaleństwa* pióra Mackena Clarka).

### PRZYGODY KAŁAMARNIC W GŁĘBI ŁĄDU

Odlóżmy teraz jednak na bok wszelkie rzetelne prace naukowe, a przytoczmy przynajmniej dwa anegdotyczne dowody, zarówno wskazujące na inteligencję kałamarnic, jak na ich kreatywność.

Pierwszy z nich wiąże się z relacjami opisującymi ich powolne przechadzki po stałym lądzie! W sześciu zupełnie niepowiązanych ze sobą przypadkach pojedynczy osobnicy donoszą o napotkaniu wieloosobowych grup gigantycznych kałamarnic, które wyszły z wody, by „pospacerować” sobie po lądzie, używając w celach ochronnych przed nikczemnie zdradliwym powietrzem błyszczących kropel wody, które osłaniały im skrzela i oczy. We wszystkich wspomnianych powyżej przypadkach napięcie owego klosza wody podtrzymywały cztery ramiona zwijające się nad głową, chroniące go przed pęknięciem i trzymające mocno w miejscu. Pozostałe cztery ramiona i dwie macki służyły zaś do przeciągania ich ciała po trawie. A kiedy tak „haczykowały sobie” (sam wymyśliłem ten termin, eksperymentując na spacerunku z możliwościami sposobów poruszania się kałamarnic po lądzie), ich skóra błyskała intensywną komunikacją przypominającą ciepłe błyskawice, pulsujące od srebra i czerwieni, poprzez błękit, zieleń i fiolet aż po czerń, by następnie ponownie w przeciągu zaledwie kilku sekund powtórzyć całą wspomnianą kombinację. Naoczni świadkowie nie byli jednak w stanie określić, dokąd to zmierzały te żądne przygód kałamarnice<sup>26</sup>, gdyż byli zbyt zszokowani samym napotkaniem tych jakże śmiałych bezkręgowców-odkrywców na *terror-firma*, by zrobić coś więcej niż jedynie zabezczyć w panice i wziąć nogi za pas. Jeden z mężczyzn co prawda zdołał jeszcze upuścić fajkę, czym wzniecił pożar, ten jednak został szybko ugaszony pojedynczą, nonszalancko wyrzuconą przez kałamarnicę strugą wody.

Kolejnym dowodem świadczącym o podstępności kalamarnic jest fakt, że każdy ze świadków doświadczył opisanych wyżej kalamaropedycji w czasie samotnego spaceru o zmierzchu sporadycznie zaludnionymi terenami. W każdym przypadku zwodniczo balamutne miejscowe władze tłumaczyły te relacje jako wynik „słabego oświetlenia i złego wzroku”. W jednym przypadku świadek został nawet bezpośrednio zapytany, czy aby przypadkiem nie widział tak naprawdę „jakiegoś balonu czy czegoś”. Jednakże, jak zauważają zaawansowani i oddani sprawie kalamarolodzy, Król Kalamarnic w swym naturalnym środowisku przejawia największą aktywność o zmierzchu - a z pewnością przypadki wypadów w głąb ładu sugerują nam na swój sposób bardzo wysoki poziom aktywności! Niestety, wszystkie doniesienia dotyczące tego zagadnienia są chronione osobliwym prawem zwanym tajemnicą lekarską, gdyż ich świadkowie zostali oddani pod opiekę szpitalną w związku z różnymi dolegliwościami psychiatrycznymi, z których za główną należy uznać kalamarotropię.

### **HELLATOSE & BAUBLE: FAKT CZY FIKCJA?**

Jeszcze większym problemem w oczach sceptyków jawi się zaropienie w postaci przypadku Bartona Bubbabaunce'a i jego zdumiewającej tresowanej kalamarnicy. Ta występująca wspólnie trupa, wystawiająca przedstawienia wodnego teatru lalek, jest kojarzona z wieloma cyrkami, od Kawalkady Zadziwiających Cudów Braci Dwugłowych Trylobitów począwszy, na Otchłani Grzesznie Dobrej Zabawy Wysokiego Księdza Dawida Thorntona skończywszy, a składała się z George'a Bubbabaunce'a (znanego również wśród przyjaciół jako „Bauble”) oraz kalamarnicy królewskiej Hellatose'a Janglesa. Podczas przedstawień stojący z boku Bauble prowadził narrację, a Hellatose tworzył złożone psychodramy oparte na dawno zapomnianych dziełach dramaturga Hoffmenthola (mającego wpływ na wielkiego Vossa Bendera). Ów „teatr”, otoczony z trzech stron odkrytymi siedzeniami na trybunach, składał się z prostokątnego basenu wypełnionego mętną wodą zaczerpniętą z Moth, na samym środku którego płaszcz i głowa Hellatose'a tworzyły wyspę - „scenę”. Bauble zaopatrywał ramiona Hellatose'a w kukielki, dzięki czemu aż do dziesięciu bohaterów mogło brać udział w każdej ze scen, co prowadziło do wyjątkowo ekstremalnie wysublimowanych produkcji teatralnych<sup>27</sup>, zarówno pod względem pompy, jak i jeśli chodziło o złożoność szczegółów dziejących się w nich wydarzeń, które mogły stawać w szranki ze sztukami napisanymi przez samego Machela czy Sporlendera. Jak wspominają dwie z towarzyszek Bauble'a z Otchłani Grzesznie Dobrej Zabawy, wydawał się on nie panować nad ową współpracą artystyczną z kalamarnicą. Cytując słowa Czterotwarzeo Jaszczurzego Chłopca, zapisane w *Historii obwoźnych szarlatańskich pokazów medycznych i innych niegodziwych prestidigitacji* Snellera: „Każdej nocy z ich namiotu rozchodziły się dźwięki ognistych klótni.

Bauble zazwyczaj krzychał, na co siedzący w swym podróżnym baseniku Helią odpowiadał wysokim w tonie kwikiem. Gdy paliło się u nich światło, można było dostrzec wijące się w powietrzu ramiona Helli, starającego się coś dowieść mową ciała. Sam Bauble stał wtedy jedynie ze zwieszonymi, załamanymi ramionami, niczym jakiś mąż-pantoflarz”.

Trzyszczeńkowa Rekinopletwa Dziewczyzna stwierdziła również, jakoby była świadkiem jeszcze bardziej obciążających dowodów, które świadczą o inteligencji kalamarnic. Pewnego bowiem razu weszła do namiotu Hellatose’a i Bauble’a, by zobaczyć, jak Bauble zapisuje pod dyktando kalamarnicy sceny nowych sztuk. Zapisujący kolejne wersy Bauble reagował z wielką irytacją na obiekcje Hellatose’a, a jednak wymazywał wersy i zapisywał od nowa. „Zdawało się” - stwierdza Trzyszczeńkowa Rekinopletwa Dziewczyzna - „że Bauble jest jedynie pisarczykiem, skrybą Hellatose’a, mistrza dramatu”.

Z pewnością bardziej publiczna kłótnia kończąca ich współpracę, a dotycząca wyglądu scenografii, stanowi tu o wiele zwięźlejsze potwierdzenie inteligencji kalamarnic, gdyż Hellatose użył wtedy swych ramion, by wykonać w kierunku Bauble’a serię obraźliwych gestów. Po całej sprzeczce, dokładniej opisaną w artykule Elaine Feaster opublikowanym na łamach „Kalamarologa Amatora” (Patrz: Feaster Elaine), wszelki słuch zaginął zarówno po jednym, jak i drugim artyście<sup>28</sup>.

Przez lata wiele napisano na temat Bauble’a i Hellatose’a, a wiedza o nich obrosła licznymi nonsensownymi stwierdzeniami. Najgorsze z nich obracają się wokół bezbrzeżnie głupich plotek, jakoby zarówno sam Bender, jak i Sporlender zawdzięczali wiele swych najlepszych wersów „tajemniczemu panu H.”, któremu podsyłali swe martwe sceny, gdy ich kreatywność napotykała na mur nie do przebiccia... By po dwóch tygodniach otrzymać przez anonimowego posłańca przepiękne korekty tych fragmentów... Dokonane wyjątkowo delikatnym charakterem pisma używającym kalamarniczego atramentu<sup>29</sup>.

Nie ma potrzeby, by wykazywać tu niedorzeczność takich stwierdzeń - kalamarnica już raczej napisałaby coś własnymi wymiocinami niżli użyła podobnego atramentu. Sama myśl o tym jest bowiem dla niej odrażająca.

## » PRZYPISY «

---

<sup>6</sup> Klasyczne studium przypadku rzeczownika monotonnej, codziennej rzeczywistości, który staje się szalonym przymiotnikiem.

<sup>7</sup> Mój ojciec miał stalowoszare oczy, które potrafiły z naukową gorliwością skupiać się na obiekcie zainteresowania. Wystarczyło, że raz tylko na ciebie spojrział, a już nigdy, takie przynajmniej miałeś wrażenie, nie byłeś w stanie umknąć jego spojrzeniu, nawet gdy odwracał się plecami. Oczy mojej matki były bladobłękitne i nigdy nie wpatrywały się w ciebie zbyt długo. Nigdy też nie podążały za wymagającymi i grymasnymi szczegółami srogich słów, które przez cały czas wypływały z jej ust, lecz trzepotały, przeskakując to tu, to tam. Polecałbym każdemu młodemu kałamarologowi, by na samym początku swej kariery zagłębił się w oczach własnych rodziców, nim jeszcze zechce spojrzeć wprost w oczy Króla Kałamarnic. Jakież będzie bowiem jego zdziwienie, gdy odkryje podobieństwa, wbrew wszelkim różnicom dzielącym tak odległe gatunki...

<sup>8</sup> Błąkający się po świecie bądź sprawiający problemy kałamarolog może w rzeczywistości wiedzieć więcej na ten temat, lecz tacy są ograniczani do restrykcyjnie zamkniętej scenerii, w której tak trudno uzyskać właściwe książki i inne konieczne narzędzia, tak nieodzowne do rozwijania raz obranej profesji. Patrz: przypis nr 3. (We wczesnych latach pewien rodzaj transformacji może wydawać się nieodzowny, a nawet pożądany. Zwykle jednak to tylko stan młodości. Jednakże w niektórych dość rzadkich przypadkach może się rozwinąć w coś precudnego. Zainteresowanych odsyłam po więcej informacji do dzieł M.A. Roberts).

<sup>9</sup> Rozważając temat grzybów względem ogółu populacji, porównałbym ten problem do zaufania ojca do rozrastających się ciał grzybów. Mój ojciec był niezachwianym wyznawcą niewidocznego dla oka świata, gdyż tak wiele jego badań wymagało użycia mikroskopu. Tworzyło to wyraźny kontrast pomiędzy nim a moją matką, używającą najprzeróżniejszych niebiańskich i psychicznych teleskopów w nadziei, że uda się jej dostrzec choćby na mgnienie oka skrawek Boga. Gdzieś między tymi dwoma ekstremami leży młodociane stadium kałamarnicy królewskiej, które mimo iż obserwowalne przy użyciu mikroskopu, zwykle musi się czuć jak mały bóg, unoszący się w niczym nieograniczonej przestrzeni ciemności.

<sup>10</sup> Patrz: Richard Smythe: *Podróż początkującego kałamarologa amatora w kierunku samorealizacji: Kałamarnica i ja.*

<sup>11</sup> Patrz: fascynująca praca Fredericka Ropera *Incydentalne wtargnięcia kałamarnic między społeczeństwa dolnej Moth: Anegdotyczne dowody potwierdzające potrzebę istnienia obszarów zabezpieczonych przed kałamarnicami.*

---

<sup>12</sup> Co pozostawia Edgewicka z jednym jedynym przekonującym wnioskiem, zaledwie zasygnalizowanym w jego książce: „Edgewick podązał za barkami wypełnionymi śmieciami”. Mój ojciec zwykł nazywać tego typu rzeczy „teorią bezksiążkową”.

<sup>13</sup> Dodam tu, tak z ręką na sercu, że łatwiej byłoby zaledwie pokazać piekielną i nieprzyjemną rzecz niżli musieć ją opisywać.

<sup>14</sup> Relacje naocznych świadków wyrażają poczucie zażenowanego przerażenia. John Kuddle, oficer finansowy, były bankier-weteran za rządów Trilliana, donosi o tym następującymi słowy: „Szedłem sobie właśnie z wielką torbą pieniędzy na ramieniu wzdłuż cichej nadrzecznej ścieżki prowadzącej do miasteczka Derth. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, coś we mnie uderzyło i powaliło na ziemię. Monety z torby poszybowały w każdą możliwą stronę. Dopiero gdy zebrałem się na nogi i mogłem ocenić własną sytuację, okazało się, że jestem przemoczony do suchej nitki, a na dodatek cały pokryty strzępkami alg, i uświadomiłem sobie, komu to wszystko zawdzięczam, oraz, a jakże, zobaczyłem go, wielki kawał sukinsyna, rozwalony w wodzie, z uniesionym płaszczem i tym wpatrzonym wprost we mnie okiem niczym ocynkowana blacha, jakby pytał: »Co też zamierzasz teraz z tym zrobić?«. (Lokalne praczki również donoszą o znieważaniu przez rozbawione kałamarnice).

<sup>15</sup> Jeśli zaś chodzi o dowody świadczące o istnieniu duszy, nie jestem w stanie zaoferować nic bardziej poszlakowego niż słowa mojej matki wygłaszane podczas jakże częstych powrotów z Kościoła Truffidiańskiego: „Gdy coś nie posiada mogących mu grzechotać wewnątrz kości, nie można tak naprawdę stwierdzić, że w pełni posiada duszę”. (Zaledwie powtarzała bez namysłu słowa księdza, z którym podzieliła się obawami związanymi z moim zainteresowaniem kałamarologią. Nie należy tu już jednak dodawać, że jej obawy okazały się zupełnie bezpodstawne i nieuzasadnione).

<sup>16</sup> Zoolodzy tak naprawdę nigdy na wystarczająco długo nie zawiesili oka na tym wielorybie, nie wspominając już o dokonaniu jego klasyfikacji.

<sup>17</sup> Niektóre gatunki kałamarnic znane są z umiejętności tak doskonałego kamuflażu, że przyjmują ludzkie kształty. (Patrz: Kranch George, który twierdzi, jakoby „zwykle trafiał na kałamarnice maskujące się jako istoty ludzkie”. Jak też można je odróżnić? Otóż „musisz spojrzeć na rzekomego człowieka kątem oka. Jeśli dostrzegasz wtedy efekt falowania na krawędziach jego kształtu, wtedy tak naprawdę masz do czynienia z kałamarnicą”. Niedorzeczny patafian Kranch dzieli się również z nami następującą mądrością: „To oczywiście, że czasem widzę jedynie plamki na słońcu. A konieczność uwolnienia złapanej w sieć kałamarnicy w ludzkim kamuflażu może być wielce krępująca i żenująca”).

<sup>18</sup> Brong jest najwyraźniej sympatycznym pacanem wołającym do nas z długiego szeregu

---

podobnych mu tłumoków pierwszego sortu, dla którego byłoby o wiele lepiej, gdyby zajął się zliczaniem pletw owych jakże nudnych ryb, z jakimi rymuje się jego nazwisko. Brong dokonał swego nurkowania w zamknięciu metalowego kombinezonu, do którego dostarczano mu powietrze za pomocą długiego wężyka. Przyjmując, że jednak otrzymywał wtedy przez swą jakże kruchą linkę łączącą go z życiem wystarczającą - konieczną, by uniknąć uszkodzenia mózgu - ilość tlenu, i tak miał tam ledwie wąską szparę widoczności w swym helmie ze szkła nędznej jakości. Taka widoczność, jak już wcześniej wykazałem, rozprawiając się z kompetentną inaczej panną Floxence, okazuje się i tak sporna w związku z wysoką zawartością mułu w nurcie Moth. Co za tym idzie, mam wielkie trudności, by uwierzyć w opis „złożonych metod komunikacji, utrzymujących mnie w niewysłowionym zachwycie, tych gibkich macek zakreślających tak gładkie luki, układających się w znaki i tak złożone litery, że nijak nie byłem w stanie ich rozszyfrować, lecz tak czy inaczej na ich widok opanowywała mnie groza zmieszana z respektem dla ich magicznego znaczenia". Na które odpowiem mu prosto: Staruszkule, to tylko męty! Męty! Męty i mul! Pamiętaj o ich obecności, nim zaczniesz fabrykować tak odrażające kłamstwa. (Co, jestem przekonany, jest również dobrą radą dla każdego młodzieńca, w którym drzemią aspiracje, by zostać kałamarologiem).

<sup>19</sup> Replikę owej przesłony, jak rozumiem, nie dalej jak w ubiegły czwartek wystawiono w części poświęconej rozwojowi nauki Muzeum Morhaimów (gabinet Nauk Biologicznych), przynajmniej zgodnie z listem, który właśnie otrzymałem.

<sup>20</sup> Gdyby podobne odwrócenie zwykłych profesjonalnych zależności mogło zostać zastosowane w innych dziedzinach, przelożyłoby się to na pożytek dla ogółu populacji.

<sup>21</sup> Dziwnym trafem, kolorystyka tego schematu pasuje do kolorów znanych nam z flagi Ambergris.

<sup>22</sup> Fakt, że notatki tych dwóch pionierów badań nad kałamarzami wciąż nie zostały opublikowane i muszą być żmudnie, odręcznie przepisywane przez opiekunów, a następnie rozpowszechniane wśród wszystkich zainteresowanych na konferencjach poświęconych kałamarzom, jest zwykłą trawestacją nauki. Wina za to spada z pełną siłą i stanowczością na ramiona przeciwników bezkręgowców z tak zwanych „akademickich magazynów naukowych”.

<sup>23</sup> Mój ojciec cierpiał z powodu podobnej przypadłości w swym związku z matką. Jednakże nie pozwolił, by zrujnowało to jego badania, choć trzeba przyznać, że w pewnym stopniu „pozbawiło je głosu”. Chciałbym tu dodać, że matka błędnie pojmowała badania ojca, lecz obawiam się, że rozumiała je aż nazbyt dobrze. Mimo iż bardzo ją kochałem, zastanawiam się, co mogłoby wynikać z badań przeprowadzanych przez ojca, gdyby tylko pozostawiała go, by mógł polegać na własnym rozumie przez dłużej niż dziesięć minut pod rząd.

---

<sup>24</sup> Nauki przez duże N, jak mniemam. A nie, jak wmawiał mi tak niedawno pewien pokręcony ambiwertyk o skłonnościach mezomorficznych - pewnych antykałamarnicznych organizacji terrorystycznych. Większość teorii, jakie się słyszy, nie jest warta nawet powtarzania.

<sup>25</sup> Szyderczo się uśmiecham, słuchając ludzi twierdzących, jakoby Furness i Leepin już na długo wcześniej byli pijani, a spisali owe brzemiennie w skutkach wydarzenia, które zrujnowały ich reputację, jedynie jako intrygę mającą na celu wyłudzenie odszkodowania za zniszczoną łódź mieszkalną - takie plotki nigdy nie otrzymają ode mnie nawet najmniejszej odpowiedzi.

<sup>26</sup> Z pewnością jednak nie po to, by mnie uwolnić, wbrew moim wieloletnim wysiłkom w ich imieniu.

<sup>27</sup> Naoczni świadkowie są przekonani, że Bauble był brzuchomówcą podkładającym głosy postaciom ze sztuk. Co jednak, jeśli głosy zawdzięczamy Hellatose'owi?

<sup>28</sup> Z wyjątkiem dziwnego komiksu dla dzieci zatytułowanego *Przygody Hellatose'a i Bauble'a*, drukowanego przez kilka lat w miejscowych dziennikach. Oto przykładowa próbka ich tekstu:

Bauble i Hellatose siedzą w swym namiocie cyrkowym, Bauble na krześle, Hellatose zaś taplając się w swym basenie. Bauble zaczytany w plachcie gazety opisującej obecny stan polityki Ambergris. Hellatose popija, przez bardzo długą słomkę, lekko alkoholizowany napój, do którego wetknięto małą parasoleczkę. Mają za sobą wyjątkowo długi i żmudny dzień, który minął im na wykonywaniu złożonych psychodram przed publicznością składającą się z beztroskich i zasmarkanych dzieciaków.

*Hellatose:* Bauble?

*Bauble:* Tak, Hellatosku?

*Hellatose:* Bauble, dlaczego nie jestem lepiej znany?

*Bauble:* Lepiej znany jako kto, Hellatosku?

*Hellatose:]ako* dramatopisarz, Bauble. Dramatopisarz. Powiniennem być równie znany jak Voss Bender.

*Bauble (zacytany w swej gazecie):* Naprawdę?

*Hellatose:* Tak. Powiniennem. Zdecydowanie nie powinno mnie być TUTAJ. (Wymachując mackami, wskazuje na ograniczenia narzucane mu przez namiot).

*Bauble:* Jesteś kałamarnicą, Hellatosku.

*Hellatose:* Tym bardziej. Powiniennem taplać się na własnym honorowym miejscu w prywatnej kałamaroloży w teatrze.

*Bauble:* Kałamaroloże nie istnieją, Hellatosie.

---

*Hellatose (wzdychając):* A powinny, Bauble. Zdecydowanie powinny.

<sup>29</sup> Moja rodzina, gdy jeszcze mieliśmy kalamarony, używała do pisania atramentu kalamarnic. Gdy tylko nam go zabrakło, kalamarnicy zawsze przynosili go do domu w szklanych pojemnikach. Gdybym już wtedy zdawał sobie sprawę, jakie zniewagi i upodlenia musiały znosić kalamarnice podczas jego gromadzenia, wykorzystywałbym do pisania wyłącznie bardziej konwencjonalne substancje. Mój ojciec jednakże nigdy nie przestał używać tego rodzaju atramentu, więc tak naprawdę nigdy w pełni nie wyrugowaliśmy jego obecności z naszego domu.





### III - ZWIĘZŁE WYŁOŻENIE OSOBLIWOŚCI KAŁAMALORU

#### OSTROŻNY WSTĘP DO ZAGADNIENIA FESTIWALU<sup>30</sup>

Ci posiadający czerwie zamiast mózgu, których imię legion, a udaje się uleczyć z nich ledwie garstkę, zwykle mówią o „błędym pojmowaniu” Festiwalu, jakbyśmy mieli do czynienia z jakąś wyjątkowo poważnie oczernianą istotą, którą niesprawiedliwie poddano terapii elektrowstrząsami oraz zmniejszono jej racje żywnościowe, a wszystko w związku z występkiem, który, o ile tylko postrzegany w bardziej życzliwym świetle, mógłby okazać się dobrym uczynkiem. Filister Bellamy Palethorpe w swych cotygodniowych tyradach na łamach „Dziennika Ambergris”, zatytułowanych *Riposty Bellamy’ego*, gdzie zabiera swej kolumnie jakże cenne centymetry - które w innym przypadku mógłby przeznaczyć na rozpryskiwanie po nich krwi z arterii swych wrogów - by wspominać o Festiwalach czasów swej młodości, pełnych dogadzania sobie, a mówi o nich, używając określeń „niewinne”, „cudowna zabawa” i „nieszkodliwa błazenada”. Nawet wielki bezmózg, jakim jest Voss Bender, od czasu do czasu zwykł wrzuszać ramionami i spoglądać w kierunku niebios, jakby Festiwal istniał niezależnie od jego uczestników. To właśnie ten rodzaj bęcwałowatego myślenia, na które moja matka, wbrew wszystkim jej wadom, narzekała dosyć regularnie. Gdyby bowiem taka teoria o nieodpowiedzialności została powszechnie zastosowana, wielu z nieczułych i niewrażliwych krótkowzrocznych głupców, potykających się nieustannie, gdy idą przez życie w niezasłużonej wolności, mogłoby żywić nadzieję na „odkupienie przez reinterpretację” - niezbyt zręcznie wymyślony fragment truffidiańskiej teologii i ulubione marzenie więźnia/ współmieszkańca domu wariatów.

„Prawda” - a każdy kałamarolog jest zawsze boleśnie świadom, że to, co dziś jawi się prawdą, jutro może okazać się zaledwie resztkami służącymi do nęcenia ryb - jest następująca: Festiwal, jak określił to kiedyś Martin Lake, „istnieje jako całość, błyszcząc mrokiem w głowie każdego mieszkańca Ambergris”. Posunę się jeszcze dalej niż Lake i pozwolę sobie stwierdzić, że

każda oddzielna wersja/wizja tworzy odłamowy Festiwal - i jeszcze jeden, i kolejny, aż, pojawiając się na odległej scenie, gdzie żadne gwiazdy nad głową nie przyniosą pociechy, człowiek znajduje się uwięziony w sali pełnej popękanych luster, odbijających taki ogrom pojawiających się w nich Festiwali, że niemożliwy okazuje się wybór zaledwie jednego, tego prawdziwego Festiwalu, nawet gdyby uzależniono od tego naszą wolność<sup>31</sup>. Zebrane wspólnie najprzeróżniejsze rytuały i osobliwe zwyczaje, które następnie, nim jeszcze zadowoleni z siebie eksperci przedstawili je jako „doświadczenie festiwalowe”, powykręcano, kształtując „pakiet dla biedaków”, nie posiadają żadnej wewnętrznej wartości<sup>32</sup>.

Prawdziwego „doświadczenia festiwalowego” nie da się w pełni objaśnić, nawet gdy dokonują tego najbardziej szkolone głowy kałamarnic. U szczytu Festiwalu można się poczuć niemal jak w domu: w otoczeniu dryfujących w powietrzu kałamarnic, bawiących się wokół tłumów ludzi ubranych w maski kałamarnic, balonów o kształcie kałamarnic i unoszącego się nad tym wszystkim wszędogo piżmowego zapachu świeżej ryby i wodorostów. Tak, można wtedy niemal udawać, że przyozdobiona światełkami ścieżka ulicy jest nurtem samej Moth, a bawiący się wokół - kałamarnicami słodkowodnymi, które zebrały się tu w celach towarzyskich. Oszalająca energia powoduje zawroty głowy, poczucie płynięcia pod prąd, wywołane natłokiem zebranych wokół ludzi, o których trzeba się ocierać, chcąc poruszać się po chodniku, do tego jeszcze chlupot napojów w ich szklankach i kuflach, dziki pęd toczonych wokół rozmów, niczym odgłos wody spływającej po kamieniach w dół rzeki... Jakże wielka tęsknota drzemie w takich wspomnieniach.

Po raz pierwszy doświadczyłem Festiwalu przeszło piętnaście lat temu<sup>33</sup>. Wreszcie uwolniony z domu rodzinnego, spod wnikliwego zainteresowania matki, pod którym tkwiłem niczym pod szkłem powiększającym, oraz gorączkowej energii ojca. Zacząłem wtedy brać lekcje u darzonego wielką estymą kałamarnic Chamblee Gorta i oddychałem taką wolnością, jakiej jeszcze nie poznałem. Festiwal okazał się objawieniem. Przebudził we mnie wszelkie dawno tłumione emocje, które w czasach mojej spędzanej pomiędzy książkami młodości musiały kumulować się w mym wnętrzu, gdy siedząc w bibliotece wielkiej jak całe domy innych ludzi zajmowałem się lekturą jednej książki za drugą. Podobnie jak wielu innych, biegałem nago<sup>34</sup> przez bawiący się tłum, mając na sobie jedynie maskę kałamarnicy. Zupełnie zatraciłem się w tłumie. Dopiero później, gdy przypomniałem sobie przemoc obecną wszędzie wokół<sup>35</sup>, uświadomiłem sobie, że Festiwal jest zaledwie kiepską namiastką prawdziwego doświadczenia<sup>36</sup>.

### **PRÓBA ZMIERZENIA SIĘ Z TEMATEM MIMO WSZYSTKO**

Jednak mimo dokonanego wstępu, czemu by nie podjąć próby (i pokusić się o niemożliwe)<sup>37</sup>. Tak

więc:

Festiwalu nie zapoczątkował, jak sugeruje tak wielki ogrom nieodpowiedzialnych historyków (z samym panem Shrikiem na czele), rozkaz kappana Manzikerta I, pierwszego władcy Ambergris, wydany w pierwszą rocznicę założenia miasta. Nie, Festiwal jest echem o wiele wcześniejszego święta obchodzonego przez miejscowe plemię nazywające się Dogghe<sup>38</sup>.

Dogghe czcili zwierzę znane nam obecnie pod nazwą mothiańska mątwa, srogi rodzaj kałamarnicy, bardzo prymitywnej, patrząc na nią w standardach bezkręgowców, gdyż za niczym bardziej nie przepada jak za tarzaniem się w mule zaścielającym dno Moth, gdzie żywi się tym, co przetacza spośród gnijących tam odpadków.

Dogghe wierzyli - z powodów utraconych dla nas wraz z większością członków plemienia - że w ciele mątwy drzemią moce regeneracyjne, jak również, że zwiększa ona miłosne zdolności tych, którzy ją spożyją. W kulminacyjnym punkcie ich corocznego świętowania, odbywającego się mniej więcej w tym samym czasie, co współczesny Festiwal, wybierano jedną osobę spośród wszystkich członków plemienia, która miała zapolować na mątwe. Biorąc pod uwagę to, że przeciętna rozplaszczona na dnie rzeki mothiańska mątwa tworzyła tam mniej więcej dwumetrowy okrąg, oraz to, że jej podstawowym sposobem obrony było wpychanie tak wielkiej objętości swego bezkręgowego ciała, jak tylko się dało, zarówno w usta, jak i w każdy inny dostępny otwór ciała atakującego, faktu, że zostało się wybranym, nie można było uważać za żaden zaszczyt. (Wyobraźcie sobie, że zamiast utonąć umieracie pod wodą na skutek uduszenia).

Bez wątpienia klan Manzikerta, zawsze wyjątkowi oportuniści, uzurpował sobie święto Dogghe z tak praktycznych powodów jak ten, że znaczyło ono początek najlepszego („najlepsze” jest w tym kontekście określeniem wielce względnym) czasu polowu kałamarnicy królewskiej, lecz również po to, by zastąpić rytuały kultywowane przez Dogghe czymś posiadającym o wiele silniejszą „magię”.

Z wątpliwych źródeł, takich jak chociażby autobiografia Dradina Kashmira, spisana przez niego w trzeciej osobie liczby pojedynczej, *Zakochany Dradin*<sup>39</sup>, możemy wyciągnąć garść dodatkowych „faktów”:

Święto pory godowej: gdy samce walczą zaciekle o samice swego gatunku, rybacki lud wyrusza na miesięczną eskapadę po obszarach rozpusty w nadziei, że przywiezie dość mięsa, by przetrwać do następnej zimy.

Poza oczywistymi błędami zawartymi w tym głupiutkim fragmencie, chciałbym zwrócić jedynie uwagę na jakże żalosne logiczno-językowe falli-ścisłości bitwy. Nic takiego nigdzie nie ma miejsca, z wyjątkiem sylab zapisanych na kartach podnieconej ultradekadenco kwiecistej i

napuszonej prozy. Opis „pory godowej/ obszarów rozpusty” przywołuje tu na myśl wielce zdeprawowany obraz orgii macek, z wielkimi błyskającymi światłami rozświetlającymi splecione i wijące się ciała wściekle mlójące muł. Niestety, kałamarnice królewskie łączą się w pary na całe życie i nie gromadzą się celem rozplodu<sup>40</sup>. Jedynie „owdowiałe” bądź „kawalerskie” kałamarnice ruszają w poszukiwaniu pary, a są to i tak wyłącznie samotne, sporadyczne rytuały dziejące się podczas zupełnie innej pory roku.

Nie, w rzeczywistości zgromadzenia kałamarnic, do których dochodzi w czasie Festiwalu, wydają się stanowić zdyscyplinowane, spokojnie zwołane narady, podczas których dochodzi do dość znaczącego intensywnego błyskania, lecz niemal wcale nie pojawia się żadna seksualna aktywność.

Nie mogę wyolbrzymiać niebezpieczeństw związanych z zakłócaniem takich spotkań celem polowu kałamarnic. Pewnego roku Ambergris utraciło dwadzieścia statków i przeszło sześćuset marynarzy. Przeciętnie sezon polowu kałamarnic kończy się przynajmniej trzydziestoma ofiarami śmiertelnymi i utratą przeszło dziesięciu statków<sup>41</sup>. Nawet przypadkowy badacz, gdy dokładniej przyjrzy się statystykom, zaczyna zachodzić w głowę, czy to aby przypadkiem nie kałamarnice zbierają się, by zapolować na ludzi.

Jaki też pożytek czerpie Ambergris ze swej corocznej ofiary w ludziach i sprzęcie? Odpowiedź brzmi „obfitość bogactw”, od skóry używanej jako szczelne zbiorniki i mięsa sprzedawanego do Imperium Kalifa począwszy, a na eksperymentalnych paliwach dla nowych typów pojazdów motorowych opracowywanych przez Gałąź Przemysłową Hoegbottona i Synów na bazie oleju kałamarniczego i atramentu skończywszy. Najmniejszy nawet fragment kałamarnicy jest przerabiany. Nawet jej zmielony dziób stanowi kluczowy składnik wysyłanych za granicę perfum, które ostatnimi laty przyniosły ekonomii Ambergris tak potężny zastrzyk pieniędzy (choć ledwie znikoma jego część zasilila fundusze badań nad bezkręgowcami).

### **KAŁAMARONY CZASÓW MEJ MŁODOŚCI**

Nieco na marginesie polowów - być może, by wynagrodzić sobie ich nieprzewidywalną naturę - Ambergris, jak również wiele innych nadrzecznych miast Południa, przez pewien czas eksperymentowało z kałamaronami. Takie próby rozmnażania kałamarnic w częściowej niewoli były z góry skazane na porażkę: wymagały bowiem zbyt wielkich przestrzeni i zablokowania ruchu rzeczno, a ponadto same rzeczono kałamarnice, mówiąc jak najbardziej ogólnie, nie były jakoś wyjątkowo skore do współpracy.

Przygnębiająco znany scenariusz względem obiektu mego pożądanego powtarzał się wielokrotnie na przestrzeni mego życia, a tak dokładnie zapamiętałem kałamarony, gdyż

początkowo nie wolno mi było się do nich zbliżyć na wystarczająco bliską odległość, by móc zaspokoić swą ciekawość (a kiedy wreszcie mi na to pozwolono, nie byłem w stanie czerpać z tego doświadczenia najmniejszej nawet przyjemności).

Widok rozpościerający się z ograniczonego ramą okna zamkniętej na klucz biblioteki mieszczącej się na drugim piętrze naszego domu odsłaniał Moth, wijącą się przez otwarte przestrzenie rozciągające się na zachodzie. Wszystkim, co byłem w stanie dostrzec nieuzbrojonym okiem, skupiając się na kałamaronach, był ledwie błysk słońca odbijającego się od ich metalu i towarzysząca temu sugestia ruchu. Ale już przy pomocy lunety, którą przemycałem do biblioteki ze swego pokoju, dało się wyróżnić niezauważone fragmenty kałamaronów: szczyty olbrzymich metalowych klatek oraz wielkie białe pontony, które je rozdzielały i podtrzymywały. Wokół wspomnianych klatek, gdzie często w swoich fantazjach dostrzegałem powoli wysuwający się koniuszek macki, widziałem kroczących zamasyżście kałamarników w ich wysokich czerwonych buciorach, specjalnych kombinezonach, grubych rękawicach oraz kapeluszach o szerokim rondzie. Ich skupiona, niczym nie rozpraszana uwaga, poświęcana tylko i wyłącznie znajdującemu się przed nimi zadaniu, uwypuklała niebezpieczeństwa płynące z hodowli kałamarnic.

Mężczyźni przydzieleni do głębszych części rzeki, zawierających całkowicie zanurzone klatki z kałamarnicami, używali „kamarudel” - długich, grubych szczudeł, których obsługa wymagała znacznej tężyzny fizycznej, tak koniecznej do manewrowania nimi w mulistej i gęstej wodzie. Górną połowę kamarudel można było odczepić i użyć jako broni, skierowanej bądź to przeciwko uwięzionym kałamarnicom, bądź przeciwko dzikim bestiom, które tak często podejmowały próby uwolnienia swych współbraci.

Z mojego miejsca widokowego, przez wybiórcze oko lunety, mozolnie stąpający w głębszych częściach rzeki kałamarnicy na całkowicie zanurzonych w odmętach kamarudłach zdawali się cudownie „kroczyć” po wodzie ze wzrokiem wbitym w wirujący im pod nogami muł. Sama praca kałamarnika wymagała kolosalnej wrażliwości, gdyż „wyczuwali” oni kamarudłami otaczającą ich wodę, poszukując wibracji mogących pochodzić od żyjących dziko kałamarnic, od czasu do czasu przeczesując wodę specjalnym hakiem trzymanym w dłoni z nadzieją uchwycenia gumowatego ciała<sup>42</sup>. Gdy używano zamkniętych w klatce kałamarnic jako przynęty na żyjące dziko młodociane kałamarnice królewskie, kałamarnicy wyłącznie za pomocą haków i kałamarudel zaganiaли te dzikie bestie do sieci. Przy jednej okazji zaobserwowałem nagły szaleńczy rozbryzg wody, sugerujący olbrzymie, ciemne ciało wystrzeliwujące z dna rzeki, po czym kałamarnik nieoczekiwanie rozplynął się w powietrzu, pozostawiając po sobie jedynie sterczące z wody kamarudła, wciąż jeszcze nieznacznie drgające w powietrzu.

Nie należy się wcale dziwić, że wyrażenia „przejsć przez kałamarony” wciąż używa się względem uzdolnień i umiejętności osiągniętych dzięki żmudnej, a równocześnie niebezpiecznej pracy. Zwykle, gdy w drodze do Truffidiańskiej Katedry<sup>43</sup> przejeżdżaliśmy przez pobliską wieś, dochodził do mnie śpiew dzieci kałamarników:

Och, wstrzymać pracę, o to się modłę  
Gdy po dniu ciężkim czuję się podle  
Głowa mi pęka, gdyż spadł na nią grad  
Gumiastych macek, bolesnych tak  
Nóg zaś nie czuję, tak wędrowałem  
Dzionek dziś cały, o świecie wstałem  
Och, wstrzymać pracę, zawrzyć wierzeje  
Rozpacz mnie trawi, cały boleję  
Och, już, natychmiast, zawrzyć wierzeje  
O ulgę proszę, gdy ciało mdleje

Bardzo długo, gdy przez tak wiele miesięcy, zgodnie z zakazem matki dotyczącym wychodzenia z domu, tkwiłem zamknięty w bibliotece, chciałem być kałamarnikiem. Niestety, koniec końców spełniło się życzenie wyśpiwywane przez wioskowe dzieci i kałamarony zupełnie wymarły i wygasły, a ja zwróciłem się ku kałamarologii. Biblioteka zaś od tej pory kojarzyła się nie z kałamaronami, lecz z serią innych banalnych wydarzeń.

### **POWIĄZANY KAŁAMALOR**

Wiele z ludowych leków przypisywanych pomniejszych kałamarnicom nie sprawdza się w przypadku Króla Kałamarnic, który jest wielce oporny na to, by stać się dla nas jakimkolwiek pożytkiem. Przykładowo wiekowe już remedium, w którym „na stopach nękanego przypadłością kładziono kałamarnicę”, by leczyć w ten sposób ból zęba czy głowy, przyjęłoby wręcz koszmarny kontekst, gdyby niemal dwutonową kałamarnicę uniesiono, a następnie opuszczono na pacjenta. Podobnie też utarty i zmieszany z winem dziób Króla Kałamarnic wcale nie stymuluje seksualnej jurności ani też nie wyciąga z ciała trucizn pochodzących od ugryzień jadowitych węży.

Odnosi się to również do „kałamaryszeczki” - popularnego ludowego leku zbawiającego od bólu głowy i bezsenności, unieśmiertelnionego w następujących wersach jednej ze sztuk Machela:

...kałamaryszeczkę

Niechże tu wniosą, lecz ogolon tedy musisz być, Panie,  
A zaraz jak rażon, padniesz śniąc na posłanie...

Tradycyjna „kalamaryszeczka” umieszczana na niezliczonych głowach nieszczęśników dręczonych wspomnianymi wyżej przypadłościami składała się z zamkniętej w gorącym kompresie mieszaniny surowego mięsa pochodzącego z macek kalamarnic, mleka, miodu, ryżu i wina. Pokrewne określenie „mieć kalamarniczą głowę” oznacza „być przeziębionym” - wielce stosowna i trafna metafora, gdyż przypadłości tej często towarzyszą lodowate zimno i dreszcze, odbierane, jakby kalamarnica wyciągała swe ramiona w głąb czaszki człowieka. Niestety, owa kalamaryszeczka nigdy nie została rozreklamowana jako lek na tak częste dolegliwości jak właśnie kalamarniczą głowa. Ubolewam również nad faktem, że niektórzy ludzie cierpią na permanentną postać kalamarniczej głowy. (Nie wspominając już o „kalamaroguciku”, wyjątkowo odstającej fryzurze).

W rzeczywistości przepisy na potrawy z kalamarnic krążą po świecie od wielu wieków, co zilustrowano chociażby w dziecięcym wierszyku, który można odnaleźć w *Kalamarniczym elementarzu Akademii w Blythe*:

Gdy kalamarnica w cieście  
Tryśnie cię wodą, nie ciesz się  
Twój przysmak bowiem jest niezbyt gotów  
Gdy macki mu drgają i rwie się do lotu  
By ciebie dopaść, dziób jej rozwarty  
I kłap, kłap, kłapie, kres niosąc uparty

Ambergriańskie Towarzystwo Smakoszy spisało niemal tysiąc siedemset pięćdziesiąt dwa przepisy na potrawy z kalamarnic (i to tylko i wyłącznie pochodzące z samego Amberggris).

Wiele powiązanych z kalamarnicami słów wkroczyło do ambergriańskiego słownictwa. „Ambilokwentny” wciąż znaczy co prawda być zręcznym w pustosłowi, lecz „kalamarokwentny” jest już o wiele mocniejszym „komplementem”. „Kalamarczyni” sprzedaje kalamarnice, a „kalamarczyk” jest - w przeciwieństwie do „kalamarnika” - człowiekiem zajmującym się kalamarnicami celem zapewnienia innym rozrywki (dobrym przykładem kalamarczyka byłby Bauble). „Kalamarniczówka” to popularna kalamarnica błotna umieszczana w pokojach hotelowych podczas Festiwalu, mająca przynieść szczęście ich mieszkańcom. Słowa „kalamarniacz”, rzadko stosowanego obecnie, gdy kappani przestali rządzić Amberggris, zwykło się używać względem czegoś, co można jedynie opisać jako pewien rodzaj zdobionego ochronnego akcesorium nakładanego na ubranie, którego zadaniem jest osłona genitaliów.

„Abkałamarokwidium” zaś odnosi się do słownego aktu oddania wyrażanego w modlitwach Kultów Kałamarowniczych.

Oczywiście najsłynniejszym aspektem całego kałamaroloru jest jednak kałamarotropia.

### **KAŁAMAROTROPIA**

Kałamarotropia nie jest, jak niektórzy błędnie sądzą, domeną kałamarowniczych filantropów, lecz raczej formą domniemanego pomieszania zmysłów, w którym człowiek wyobraża sobie, że jest kałamarownicą. Może się to skończyć tym, że dotknięty nią wyrusza w stronę wody, próbując połączyć się ze swymi kałamarowniczymi współbraćmi, co często owocuje śmiercią, jeśli już mam być tu absolutnie szczerzy. Bądź też jest to ledwie kwestia zaburzonej fizjologii: cierpiący może wierzyć, że tonie, wciąż jednak znajdując się na suchym lądzie, czy też odczuwa brak skrzelii, płaszcza, bądź utratę zdolności chodzenia, i nieoczekiwanie odkrywa, że pływa w publicznych fontannach.

Najbardziej oddani sprawie kałamarolodzy amatorzy zawsze będą czuć empatię względem ukrytego, podskórnego pragnienia kałamarotropii. To nie tylko pusta obietnica, żadna pogroźka dziwaka. To po prostu jedyny sposób, by spełnić marzenie z dzieciństwa: zrozumieć kałamarownicę we wszelkich jej przejawach. Jakież kałamarolog nie wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby tylko posiadał płaszczy? Jakież kałamarolog w dzieciństwie, podczas ochlapywania wodą przyjaciół - i nieważne, czy miał ich wielu, czy ledwie znikomą garstkę - nie rozmyślał, o ile zabawniej byłoby posiadać lejek? To nieuniknione, że w pogoni za przedostaniem się w skórę Króla Kałamarownic kałamarolog uczy się myśleć jak kałamarownica. Tak, jak detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa traci się i gubi swe jestestwo, zatracając się w tożsamości mordercy, czasem i kałamarolog może zatracić się w tożsamości kałamarownicy (która, co przyznaję tu zupełnie szczerze i otwarcie, nie popełniła żadnej zbrodni). Fakt, że garstka spośród tych, którzy znaleźli się po drugiej stronie, nie wraca do „zdrowych zmysłów”, jest czymś, czego należy oczekiwać - i czemu, być może, należy się poklask. Ci, którzy przez całe swe życie ścigają pojedynczą obsesję, nie powinni być strofowani i karceni za osiągnięcie swego celu. Czyż ukaralibyśmy artystę za to, że w ostatnim przeblysku splamionego szaleństwem geniuszu stworzył swe arcydzieło, na które cały świat czekał od samego początku jego kariery? By wszystko było jasne - w kałamarotropii kałamarolog amator marzy o wykonaniu ostatniego, synergistycznego skoku, pokonując przestrzeń, która oddziela obserwatora od obserwowanego, pacjenta od lekarza. Lekarz zgłębia, czym stał się pacjent, a pacjent tęskni i wzdycha, by rozgryźć i zrozumieć samego siebie. Współzależność i następstwa zdają się tutaj wyjątkowo jasno widoczne<sup>44</sup>...



## » PRZYPISY «

---

<sup>30</sup> Jak na ironię, moja matka uwielbiała Festiwal za jego koloryt i widowiskowość. Naprawdę wierzyła w słowa oświadczenia Kościoła Trufndiańskiego, który ogłosił go „odzyskiwaniem Boga”. Mój ojciec, z drugiej strony, widział w nim jedynie frywolność i niebezpieczeństwo - początkowo zabraniał mi więc uczestnictwa w Festiwalu, mimo iż nigdy nie powiedział dlaczego.

<sup>31</sup> Czasem czyjaś wolność, co wie każdy kałamarolog, zależy od wzoru, w jaki układa się atrament kałamarznic powoli rozchodzący się w wodzie.

<sup>32</sup> Sytuacja ta nie jest pozbawiona pewnego humoru, gdyż bardzo przypomina tę istniejącą w zamkniętych murach szpitala psychiatrycznego: gdzie w ciemnych pomieszczeniach, w podobnych strojach, nieprzystające umysły próbują stworzyć i zbudować wspólną jednomyślną rzeczywistość, która przy wręcz monumentalnym wysiłku wzajemnej empatii nie jest w stanie - i nigdy nie będzie! - przyjąć konkretnej formy. (Jeśli, czytelniku, nie przypada ci do gustu właśnie przybrany przeze mnie ton, pamiętaj, że on może się zmieniać w zależności od nastroju, pory dnia oraz otrzymanych dawek medykamentów).

<sup>33</sup> Lepiej już być, jak ja, pozbawionym możliwości uczestnictwa w praktykowanym tu „Festiwalu” - przypomina on bowiem prawdziwy w ten sam sposób, w jaki rozmoczona babeczka przypomina tort weselny.

<sup>34</sup> Niestety, młody kałamarolog, jest mało prawdopodobne, byś w miejscach, w które trafisz w swych wysokich wodoodpornych buciorach, miał ujrzeć jakąś kobietę. A w pełni zrozumie cię jedynie kobieta kałamarolog, te zaś są niestety tak bardzo niespotykaną rzadkością; nie każdy Furness odnajdzie swą Leepin. Pewne pocieszenie można czerpać z dokonywania obserwacji aktywności cielesnych samicy kałamarznic królewskiej, lecz nawet w czymś takim drzemie pewne niebezpieczeństwo.

<sup>35</sup> Zagadnienie przemocy związanej z Festiwalem oraz zaangażowania weń szarych kapeluszy, podziemnych mieszkańców Ambergris, leży już poza zasięgiem niniejszego podrozdziału, co więc za tym idzie, zdecydowałem się w chwili obecnej w zupełności zignorować tę wielce nieprzyjemną kwestię.

<sup>36</sup> Patrz: Cane Albert.

<sup>37</sup> W obliczu posuchy faktów można przynajmniej pokusić się o takie stwierdzenia dotyczące historii Festiwalu, na które, mimo iż nudne, będzie można przysiąc przed przesłuchującą cię komisją.

<sup>38</sup> Podobnie jak, by być tu wręcz brutalnie szczerym, połowa obecnych ambergriańskich

---

prze-głupo-sądów, w tym takich jak ten, że posiekane surowe mięso królika zadziała jako odtrutka na spożycie trujących grzybów, a zanurzenie w basenie wypełnionym krwią pochodzącą z wątroby zwierzyny płowej ma niby ożywiać martwych. Wierście, gdybym uważał, że coś takiego zadziała, już dawno bym tego spróbował. (Patrz: Stindle Bernard). Przynajmniej współczesnego ograniczenia, jakim jest psychoterapia, nie można podrzucić i zostawić pod drzwiami Dogghe.

<sup>39</sup> Spisane przez szaleńca, jeśli tylko jesteś w stanie w to uwierzyć, a wciąż nieustannie czytane.

<sup>40</sup> W przeciwieństwie do tak wielu ludzi. Niektórzy, w tym również moja matka, nie mogli przestać modlić się o wieczne potępienie miejscowej pomocy.

<sup>41</sup> Wabienie kalamarnic jakoś nigdy nie stało się popularnym sportem.

<sup>42</sup> Ci cisi i milczący samotnicy muszą mieć najsroźsze, a równocześnie najspokojniejsze usposobienie w czasie zajmowania się pracą. Tak właściwie to wielu z nich zatrudnia się w kalamarnonach, by w późniejszym czasie stać się samotnymi łowcami bądź poskramiaczami kalamarnic, i zwykle trafiają wtedy w zapadłe ostępy Moth, gdzie stojąc na swych kalamarudlach wyczekują cierpliwie na najmniejszą choćby zmarszczkę bądź poruszenie tafli wody.

<sup>43</sup> Moja matka była oddaną truffidianką. Każdej nocy przez godzinę towarzyszyliśmy jej z ojcem w modlitwach. Mimo iż, zarówno wtedy, jak i obecnie, obowiązywała mnie reguła, że nie mogę wychodzić na zewnątrz, matka nalegała, byśmy wyprawiali się do kościoła: tego stęchłego i zaniedbanego miejsca, gdzie przypominające ludzi bydło siadało w ławach.

<sup>44</sup> Zupełnie nieoczekiwanie odczuwam wielką chęć, by uderzyć w bardziej autobiograficzne tony, lecz powstrzymam się z tym, póki nie znajdę się ponownie pomiędzy książkami zebranymi przez moich przodków w rodzinnej bibliotece. (Czyżby był to mój własny „przełom” w osobistym rozwoju, tak długo obiecany mi przez rządzące tu bóstwa? Przedziwne. Bardziej odbieram to jednak jako swą ostatnią godzinę. Wyczuwam wielki, rozwierający się pode mną bezmiar, głęboką żyłę wodną, której nigdy wcześniej nie pokonywała ani żadna ryba, ani kalamarnica).



## **CZĘŚĆ IV - UJAWNIENIE TRAFNEJ NAUKOWEJ TEORII, WYJAŚNIAJĄCEJ SZEREG POD KAŻDYM INNYM WZGLĘDEM ZASTANAWIAJĄCYCH ZAGADNIENÍ, OD DŁUŻSZEGO JUŻ CZASU DRĘCZĄCYCH MYŚLI AUTORA (W TYM WIZJA)**

### **TEORIA**

Teraz, gdy wreszcie dotarliśmy do krytycznego punktu, winieniem zacząć od zrzucenia z tekstu, niczym skóry, mej przerażająco okropnej rozwlekłości. Me słowa, co obiecuję, staną się teraz zarówno pewnie brzmiące, jak i ręce, jakby me stopy różniły się od tych znanych wszystkim poetom (taka to kalamorologiczna przelotna fantazja<sup>45</sup>). Uświadamiam sobie bowiem, że do tej pory, w większości tego, co napisałem, dokumentowałem raczej niedorzeczne teorie innych ludzi, z nadzieją, że wyperswaduję czytelnikom wszelkie pokładanie w nich wiary. Jednakże błagam teraz wszystkich czytających te słowa o odrobinę tolerancji i wyrozumiałości, gdyż zaraz również i ja podzielę się z wami własną, popartą badaniami naukowymi teorią dotyczącą Króla Kalamarnic oraz wytłumaczę jej podstawy. Wynika ona z mego nieustannego i wyczerpującego zgłębiania tej wielce fascynującej istoty<sup>46</sup>, zarówno w jej naturalnym środowisku, jak i w płaskim, dwuwymiarowym istnieniu na kartach różnorodnych książek. (Przez cały czas starałem się powstrzymać przed tym tematem, by zabrać się za niego pełnym głosem dopiero pod sam koniec niniejszej monografii, gdy czytelnik jest najbardziej podatny i gotowy na to, co raczej w świetle dnia, którym jawi się początek tego eseju, niż w zmroku jego końca, mogło zdawać się absurdalne. Lecz teraz jestem już zobligowany, by to przedyskutować).

Wszelkie wstępy są zbędne. Pokróćce chodzi o to, że jestem przekonany, iż Król Kalamarnic, owa kalamarnica królewska, służy szarym kapeluszom jako nosiciel hodowanego

przez nie grzyba zwanego Królem Grzybów - to właśnie owe purpurowe kliny zła, tak rozpowszechnione na ulicach i w budynkach mieszkalnych Amberggris tuż przed wielkim morderstwem zwanym Ciszą. Nie sugeruję tu, jak niektórzy, że to tylko i wyłącznie spory szarych kapeluszy powodują przemoc i dezorientację, jaką jawi się Festiwal. Nie, prawda, drogi czytelniku, jest bardziej podstępna i napastliwa. Bowiem to właśnie owa jakże unikalna symbioza grzyba i kałamarnicy powoduje, że wciąż pozostajemy w podświadomej niewoli szarych kapeluszy<sup>47</sup>. Nie powinniśmy jeść mięsa kałamarnic, gdyż zostało ono zainfekowane grzybem. (A mówię te słowa, odsuwając chwilowo na bok własne obowiązki adwokata kałamarnic). Czy też, by być bardziej specyficznym, grzyb rozwija się po cichu w ciele kałamarnicy. Grzyb w kałamarnicy.

Laikowi zapewne wyjątkowo trudno zrozumieć czy zaakceptować taki pomysł, ale opieram się na bardzo przekonującej i niepodważalnej intuicji bezkregowców. Kałamarologom już od dawna nie dawało spokoju pytanie, jak Król Kałamarnic jest w stanie osiągnąć tak jaskrawe natężenie czerwieni i zieleni, która płonie światłem, gdy znajduje się pod wpływem stresu, głodu czy też w trakcie zalotów - widoczne wtedy natężenie koloru jest nieosiągalne u żadnej innej kałamarnicy, a tak osobliwie podobne do światel obserwowanych nad ziemią Alfar bezpośrednio przed masowym mordem, jakim była Cisza. Nie wspominając już o dowodach świadczących o inteligencji kałamarnic, ich wypadach w głąb ładu oraz wiadomościach zapisywanych na ich pulsującej skórze, które przesłali kałamarologom.

Jako że wszystkie wyżej wymienione zdarzenia miały miejsce w przeciągu ostatnich stu lat, jestem absolutnie przekonany, że dopiero niedawno szare kapelusze rozpoczęły, używając do tego celu swych metalowych łodzi podwodnych, karmienie Króla Kałamarnic specjalnym grzybem. To karmienie zwiększyło zarówno intensywność koloru skóry kałamarnic, jak również ich pomysłowość, równocześnie tak zakażając ich mięso, że my, Amberggrianie, stajemy się coraz bardziej podatni na spory szarych kapeluszy w czasie (tak ironicznie nazwanego) Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic. Od kałamarniczych steków począwszy, na potrawkach z kałamarnicy skończywszy, z każdym kolejnym mijającym rokiem zatruwamy się coraz bardziej. Co za tym idzie, festiwalowa przemoc coraz bardziej przybiera na sile, zataczając coraz szersze kręgi<sup>48</sup>.

O ile niniejsza monografia ma posłużyć jakimkolwiek pożytecznemu celowi poza prozaicznymi i przyziemnymi, to ma za zadanie ostrzec przez spożyciem mięsa kałamarnic.

## WIZJA

Podobna Wizja nie powinna zajmować miejsca w tak poważnej monografii, lecz skoro posunąłem się już tak daleko, dość niechętnie spoglądam na wstrzymanie się w miejscu. Owa

wizja nawiedzała mnie, gdy jeszcze spożywałem mięso kałamarnic. Niestety, nawet w chwili obecnej, wiedząc to, co wiem, i będąc tym, kim jestem, nie potrafię porzucić spożywania ich mięsa, tak mocny jest bowiem przymus narzucany nam przez grzyb drzemiący w ich wnętrzu.

Wizja, która nawiedziła mnie podczas snu w ostatnich miesiącach, warta jest tych pokroju Hellatose'a: podróżuję w niej poprzez wielki bezmiar pustki Czasu, który, przelatuje obok mnie równie szybko jak chmury przelewające się przez niebo podczas burzy, a gdy tak przepływa, dostrzegam, jak kałamarnice zajmują coraz to większe połacie suchego lądu. Ich czarujące oczy okryte są sferami wody, a skóra ma kolor półprzezroczystego srebra, podczas gdy prawdziwi mieszkańcy Ambergris, karmieni sporami i mięsem zwierząt bardziej od nich inteligentnych, stają się coraz bardziej wodniści i chorzy, ich ciało zaczyna być wilgotne, nabiera ziemistego koloru i staje się coraz bardziej pozbawione wszelkich kości, aż wreszcie kałamarnice zajmują ich miejsce, a obecni Ambergrianie wycofują się z powierzchni, by zniknąć w wodach, jakby nigdy nie byli w tym wielkim mieście niczym innym jak jedynie fikcją, wymysłem, widmami, kuleczkami zakażonej skóry i tłuszczu - są zbyt oszołomieni i dekadency, by stanąć twardo, przeciwstawić się i walczyć, gdy szare kapelusze zalewają miasto, a my, tak długo przygotowujący się do inwazji, wpadamy i rozpraszamy się po Ambergris, nasze ramiona i macki owijają się wokół budynków i pojazdów, tych kamieni oznaczonych pazurem i przysawką, gdy ludzie, błada, podrzędna klasa, białe podbrzusze miasta, stają się ledwie sługami naszej woli.

Przednia straż i zwiadowcze wypadki rozpoczęły się dawno temu - czymże innym mogły być owe kałamarnice otoczone kroplami wody, które opuszczały swe podwodne królestwo? Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby Król Kałamarnic znalazł się już pomiędzy nami, w naszych szeregach, ich szpiedzy wszak na tyle udoskonaliли sztukę kamuflażu, by móc replikować zarówno otoczenie, jak i ludzi.

Istnieją idioci, którzy jednak umkną swemu przeznaczeniu w sposób bardziej dosłowny, jak również z wielkim pośpiechem. Ich środki są niemal równie proste jak oni sami, a jednak są ich całe miriady - skradający się do szafek z lekami, ostrzący łyżki, przygotowując się do podcięcia sobie nadgarstków, zdzierający z siebie ubrania, by zawiązać je w pętlę. Widać ich wszędzie. Widać ich przez cały czas. Żaden z nich w obliczu śmierci nie pojmie tajemnic własnego życia, a ja nie zazdroszczę im tego stanu, nawet jeśli moja transformacja wciąż nieustannie zdaje się tak bardzo odległa.

## » PRZYPISY «

---

<sup>45</sup> Być może zbyt obrazowa, lecz jakże celna.

<sup>46</sup> Cóż innego można tu robić? Inni mieszkańcy tej jakże wspaniałej instytucji nie podzielają ani moich zainteresowań, ani usposobienia. Gdybym tylko mógł przebudzić w nich choćby słabe zainteresowanie kalamarologią, mógłbym wtedy czerpać pociechę z lektury, czy nawet z niezobowiązującej rozmowy podczas pustych szarych godzin świtu, ale niestety tak się nie stanie...

<sup>47</sup> Wierzę, że mój oddany grzybom ojciec podczas swego upadku pracował nad podobną teorią. Być może wyjaśnia to jego chorobliwe zainteresowanie porzuconymi kalamaronami. Jak się jednak niefortunnie składa, nie posiadał koniecznych podstaw z zakresu kalamarologii, by móc rozwinąć taką teorię.

<sup>48</sup> Za panowania kappanów szare kapelusze jeszcze nie udoskonaliły opisywanego systemu, więc miasto nie stało się tak uzależnione od mięsa kalamarnic. Dlatego właśnie być może szare kapelusze pracowały nad jego ulepszeniem, by stało się bardziej soczyste w naszych ustach, a co za tym idzie, bardziej uzależniające.





» BIBLIOGRAFIA «  
(SPORADYCZNIE ZAOPATRZONA  
W KOMENTARZE)

Poniższa bibliografia pozwoli czytelnikowi szerzej prześledzić tematykę wyłożoną w niniejszej monografii. Wiele z poniższych książek przywołałem całkowicie i zupełnie z pamięci; ich oryginały nawiedzały półki mojej dawno już porzuconej domowej biblioteki, tak dobrze zapamiętanej z czasów dzieciństwa. (Co za tym idzie, poniższa bibliografia służy jako swego rodzaju memorial tej jedynej zalety tamtych czasów). Jeśli chodzi o daty publikacji, nawet książki odnalezione w tak banalnej i żalostnej bibliotece, do której mam obecnie dostęp, z wielkim prawdopodobieństwem są wręcz beznadziejnie antykwarycznymi wydaniem. Większość stanowią bądź ogólnie dostępne tomy, bądź też okazy tak rzadkie, że kwestia ich daty wydania staje się wielce sporna i dyskusyjna, nawet gdybym był w stanie ustalić takowe daty z czymkolwiek choćby zbliżonym do jakiegokolwiek spójności. Gdzie wydawało się to konieczne, umieściłem (w nawiasach tuż po podstawowej informacji bibliograficznej) własne komentarze na temat poszczególnych książek, z nadzieją, że kilka dodatkowych słów z mojej strony doda niniejszej bibliografii pewnej uzupełniającej, mimo iż niekoniecznie znaczącej, wartości.



Absence Thrasher T.: *Kamuflaż Kalamarnic: Co też one starają się ukryć?* Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

Aldrich Clyde: *Kalamarnica?* Wydawnictwo Odległe Dzwony.

Alians John: *Hoegbottoński przewodnik po ninfomanii.* Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Alsop Seymour: *Amoniak między starymi dziobami: Eseje i idylle miłośnika kalamarnic.* Wydawnictwo Dyfold.

(Precyzyjna, jeśli chodzi o zawarte w niej dane, będąc równocześnie kompletnie fałszywą, jeśli chodzi o konkluzje).



Anonim: *Hoegbottońska księga absurdalnych synonimów*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Anonim: *Hoegbottońska księga mało znanych obelg i zniewag*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Anonim: *Hoegbottoński przewodnik po terminologii psychologicznej*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Babbit Cynthia: *Książeczka pełna kalamarnic do kolorowania dla dzieci, zawierająca również trzy urojone kalamarnice*. Wydawnictwo Libyrinth.

Barmardot Allison: *Kalamarcha i jego wodny świat*. Wydawnictwo Niceańskie.

(Interesujący wywód i dyskusja surowo nakreślonej formy rządów kalamarnic).

Batton Sarah (red.): *Magazyn Obserwacji Kalamarnic*, roczniki 1-23. Wydawnictwo Odstępczego Mięczaka.

Bender Voss: *Bender dla przybrzeżnej lektury*. Frankwrithe & Lewden.

Bender Voss: *Libretto z kalamarnicą*. Frankwrithe & Lewden.

Bender Voss: *Obalenie zarzutów, jakoby kilka spośród mych oper powstało przy pomocy arii stworzonych kalamarniczą macką*, „Przegląd Teatralny Ambergris”, rocznik 234, numer 12. Publikacje z Pierwszego Rzędu.

(Gdybyż były).

Bentinck Bargin: *Biblioteka Roberta Quilla jako przykład kalamarofilii*. Wydawnictwo Księgarni Borges.

(Biblioteka Benticka znacznie przewyższała należącą do moich rodziców, szczególnie pod względem książek podejmujących tematykę kalamarnic. Jedną z większych tragedii mojego życia jest fakt, że nie byłem w stanie jej odwiedzić. Gdybym tylko to zrobił, z pewnością błogo przyćmiłaby me wspomnienia związane z tomami o czerwonych grzbietach zaścielającymi półki naszej rodzinnej biblioteki).

Blade Jeremy: *Hoegbottoński przewodnik po oikomani*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Blei Frank: *Zaborczę kalamarnice z zagranicy: Goście, którzy nas nigdy nie opuszczą*, „Morrowiański Kwartalnik Dzikiej Przyrody”, rocznik 400, numer 4. Mandible & Crossclaw.

Bordman Ann K.: *Kalamaropolis*. Gwar i Szum Press.

(Powieść, bo tym jest ta książka, jest dziełem fikcji, bliźniakiem mych prac naukowych i, przy braku kwiecistości i napuszenia charakterystycznego dla mojej prozy, tą lepszą połową).

Brecht Richard Jr: *Kalamarnie niezłomna postać: Życie kalamarniczego boksera*. Powab Press.

Breitenbach Joseph A.: *Domowe ćwiczenia pletwy ogonowej*, opublikowane „Kalamarolog Amator”, rocznik 19, numer 7. Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarnicze.

(Całkiem poręczne i przydatne - te ćwiczenia istotnie wzmacniają ramiona).

Breitenbach Joseph A. (red.): *Hoegbottoński przewodnik po codziennych manierach głowonogów* (broszurka). Hoegbotton i Synowie.

Breitenbach Joseph A.: *Hoegbottoński katalog cenony kolekcjonerskich ceramicznych figurek kalamarnic* (broszurka). Hoegbotton i Synowie.

Breitenbach Joseph A. (red.): *Hoegbottoński katalog części do słodkowodnych filtrów klasy kalamarniczej*. Hoegbotton i Synowie.

Breitenbach Joseph A.: *Księga zmysłów kalamarnic*. Konsorcjum Wydawnicze Alfar.

Breitenbach Joseph A.: *Rytuały godowe kalamarnic słodkowodnych* (wydanie ilustrowane). Hoegbotton i Synowie.

(Książka tak zdeprawowana, jak to tylko możliwe. Sprośna i lubieżna - dodatkowo uzupełniona o trudne do prześledzenia diagramy).

Brek George: *Kalamarnica a głowa rzucająca cień: Filozoficzne centra Nowej Sztuki*. Wydawcy Tarzii.

(Bardziej przypadają mi do gustu poglądy na Nową Sztukę wygłoszone w książkach autorstwa Rogers z serii Dręczących kalamarnic).

Brisk Susan: *Ilustrowana księga kalamarnic*. Hoegbotton i Synowie.

Brisk Susan: *Kompendium wszelkich dźwięków wydawanych i powiązanych z kalamarnicami*. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Czym, mógłbyś zapytać, są owe dźwięki powiązane z kalamarnicami? To niespodziewany strumień wody wylatujący z lejka. Mokry odgłos uderzeń macki o poręcz balustrady. Przyssawki zaciskające się na skórze).

Brong Maxwell: *Klasyczne błędne rozumowanie zawarte w dziełach Jonathana Madnoka*. Wydawnictwo Demaskator.

(Wpisałem tu ten zupełnie zniekształcony i potworny tekst jedynie po to, by dostarczyć czytelnikowi zrównoważonej bibliografii. Żadne, nawet pojedyncze słowo w tej książce, z wyjątkiem być może pewnych spójników i przyimków, nie zawiera ni ziarna prawdy).

Burden Rosetta: *Monogramy i emblematy głowonogów*. Dom i Ogród.

Burke K. Craddock: *Krótkie życie kałamarniczych kultów. Annały długiego dziedzictwa*. Hoegbotton i Synowie.

(Kałamarnicze kultury wpływały na nas od czasów wzrostu znaczenia plemiona Dogghe. Ta fascynująca książka śledzi ich rozwój i jakże częste upadki. Najbardziej interesujący rozdział wyjaśnia złożoność Kultu Głowy Kałamarnicy, który wyłonił się podczas miejscowych zamieszek wywołanych przez Czerwonych i Zielonych).

Burlveener William Barnett: *Encyclopedia Cephalopodia*. Frankwrithe & Lewden.

Burlveener William Barnett: *Podręczny przewodnik wytwórcy atramentu*. Wydawnictwo Księgarni Borges.

(Pozycja najbardziej istotna ze względu na mniej znaną kapryśną stronę Hellatose'a tresowanej kałamarnicy).

Burlveener William Barnett: *Wyborny kałamarnik*. Wydawnictwa Przygód na Świeżym Powietrzu.

Butterhead R.G.: *Podręcznik poskramiacza kałamarnic*. Wydawnictwo Wędkarskiego Haczyka.

Butterhead R.G.: *Podwójne folio głowonogów: Historia wystawy Daffeda „Kałamarnice Ambergris”*. Hoegbotton i Synowie.

Cane Albert: *Kałamarnotropia: Powody i właściwe reakcje*. Wydawnictwo Współczesnej Psychiatrii.

(Jeden z kilku lekarzy, którzy uchwycili i zrozumieli prawdziwą naturę tego tragicznie błędnie pojmowanego zjawiska).

Chisler John: *Hoegbottoński przewodnik po antomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Chisler John: *Hoegbottoński przewodnik po paramanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Clark Machen: *Kałamarnica na naszych plecach, macki w naszych mózgach: Relacja z pogrążenia się w otchłani szaleństwa*. Wydawnictwo Skarg i Krzywud.

Cram Louis: *Biblia kałamarnofilii*. Wydawnictwo Miłośników Kałamarnic.

Cram Louis: *Spis ambergriańskich klubów kałamarniczych (z opisem)*. Wydawnictwa Czarnorynkowe.

(Kałamarnicze kluby, wyjaśnię dla niewtajemniczonych, stanowią jedną z najbardziej nieprzyzwoitych tajemnic Ambergris. Znacznie różnią się między sobą pod względem degeneracji, od takich, w których zaledwie można obstawiać walki kałamarnic, po takie, w których wprost na twoich oczach gotują ci kałamarnicę. W niektórych z najniebezpieczniejszych miejskich przybytków można nawet wziąć udział w rozpuszcie, którą najlepiej pozostawić tu w cieniu niewypowiedzianych słów).

Cram Louis: *Wielka księga głowonogów*. Wydawnictwo Miłośników Kałamarnic.

Cross Templeton: *Analiza wezwań i krzyków godowych kałamarnicy karmazynowobyczej*, „Biuletyn Nauk Historii Mięczaków”, rocznik 676, numer 6. Wydawnictwo Libyrinth.

Cross Templeton: *Maestronie głębi: Propozycja mająca na celu skorygowanie naszych poglądów dotyczących inteligencji kałamarnicy karmazynowobyczej*,

„Biuletyn Nauk Historii Mięczaków”, rocznik 678, numer 4. Wydawnictwo Libyrinth.

Cross Templeton: *Sugestia dotycząca dokonanej przez Rooka błędnej interpretacji wezwań i krzyków godowych kałamarnicy karmazynowobyczej*, „Biuletyn Nauk Historii Mięczaków”, rocznik 679, numer 12. Wydawnictwo Libyrinth.

Ditchfield Marc: *Kałamarnice niosące śmierć swym właścicielom*. Frankwrithe & Lewden.

(Ze zdziwieniem przeczytałem o tym, jak wiele kałamarnic w całej długiej historii Ambergris przyniosło śmierć swym właścicielom).

Dormand Samuel T.: *Hoegbottoński przewodnik po bruksomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Dormand Samuel T.: *Hoegbottoński przewodnik po patomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Drabble Smocke: *Kompletny słownik wszelkich typów kałamarnic, z niewielkimi, lecz zrozumiałymi szkicami ramion i dziobów*. Wydawnictwo Wielkiej Różnorodności.

(Słownik - to prawda - jest kompletny. Niestety wspomniane w tytule szkice nie są nawet w najmniejszym stopniu zrozumiałe, zwykle bowiem składają się z serii spazmatycznych bazgrołów).

Dribble Larken: *Atramenty kałamarnic: Katalog głowonogiej osobistej i politycznej satyry ze zbiorów*

*Ambergriańskiego Departamentu Licencjonowania Publikacji Prasowych*. Wydawnictwo Ambergriańskiego Departamentu Licencjonowania Publikacji Prasowych.

Dundas Elayne: „*I doszły mnie słuchy o mieczakach w twym uchu*”: *Humor ludowy wśród poławiaczy kałamarnic w delcie rzeki Moth*. Publikacje Tarzii.

(Tak to więc właśnie mówili do siebie kałamarnicy dogładający kałamaronów! Odkrycie tej książki pewnego lepkiego od potu, upalnego dnia w środku lata, gdy tkwiłem uwięziony w bibliotece, było dla mnie prawdziwym objawieniem, niosącym i błogość, i udrękę. Nadała ona bowiem głos tym jakże odległym mężczyznom widocznym dla mnie wyłącznie dzięki lunecie).

Enamel George: *Hoegbottoński przewodnik po cheromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Enamel George: *Hoegbottoński przewodnik po faneromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Evens Langerland: *Aktywności godowe kałamarnic południowej nadbrzeżnej równiny w późnym okresie pretrillianiskim*. „Przegląd Kałamarologiczny”, rocznik 29, numer 11. Morrowiańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

Everlane Brian: *Kałamari Jenkins: Wielcy zawodowi bokserzy lat byłych, tom 9*. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Gerald Jenkins otrzymał swój przydomek „Kałamari” z powodu błyskawicznego zadawania ciosów, które czasem sprawiały wrażenie, że jego ramiona rozmnożyły się do liczby bardziej kojarzonej z głowonogami).

Everlane Brian: *Kałamarnica dżentelmen*. Frankwrithe & Lewden.

(Ryzykowna, acz równocześnie pikantna powieść opisująca ze szczegółami upadek wielce obiecującego młodego architekta, który stara się, bez powodzenia jednak, zapanować nad swą własną obsesją związaną z kałamarnicami. W przywołaniach w tekście owianego wyjątkowo złą sławą kałamarniczego klubu Oleander - zamkniętego dwadzieścia lat temu - drzemie wielka siła).

Fain Corbett: *Analiza, kałamarniczych odchodów zebranych w rozmaitych i wielce różnorodnych miejscach wokół miasta*, opublikowane „Kałamarolog Arnator”, rocznik 10, numer 5. Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

(Im mniej powiedziane, tym lepiej).

Fain Corbett: *Osobliwości matny niceańskiej odkryte w drugim portfolio tabliczek Kałamarniczych Louisa Verdena*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Farmore Arhtur: *Bąbelki unoszące się ku powierzchni: Przypadki nietaktów wśród Kalamarnic*, opublikowane „Kalamarolog Amator”, rocznik 19, numer 7. Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(Farmore, a nie mam co do tego najmniejszych nawet wątpliwości, z prawdziwą przyjemnością pewnie zamieniłby słówko z Fainem - obaj zabierali się za temat od tej samej strony kalamarnicy).

Feaster Elaine: *B&H: poszłakowe dowody*, „Kalamarolog Amator”, rocznik 44, numer 4. Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

Feeney Dora: *Hoegbottoński przewodnik po poriomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Fisher Marian T: *Aporia Wrede'a: Obalenie hydroterapii uzależnionej od płci*, „Współczesne Remedia Pochodzące z Głowonogów”, rocznik 21, numer 7. Wydawnictwo Libyrinth.

Fisher Marian T.: *Rozłany atrament: Dekonstrukcjonistyczna krytyka wrediańskiej metodologii*, „Współczesne Remedia Pochodzące z Głowonogów”, rocznik 21, numer 11. Wydawnictwo Libyrinth.

Flack Harry: *Arkuszy przyjęć Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera*.

Flack Harry: *Dziki i brutalne przygody Łowcy Kalamarnic w dziczy*. Hoegbotton i Synowie.

Flack Harry: *Formularz ewaluacji pacjenta Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera*.

Flack Harry: *Formularz rejestracji w klinice Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera*.

Flack Harry: *Kolejne śmiertelne, lecz prawdziwe przygody Łowcy Kalamarnic*. Hoegbotton i Synowie.

Flack Harry: *Najnowsze, przerażające, acz wciąż dziwnie mspaniale przygody odważnego Łowcy Kalamarnic*. Hoegbotton i Synowie.

(Najprawdopodobniej najlepszy tom całej serii o owym twardzielu. Jak na ironię, naprawdę zaczytywałem się nimi jako dziecko, by w zupełności je odrzucić już jako dorosły).

Flack Harry: *Powrót Łowcy Kalamarnic i jego przerażająco niebezpiecznej profesji*. Hoegbotton i Synowie.

Flack Harry: *Przewodnik po regulacjach wewnętrznych Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera*.

Flack Harry: *Tropienie kalamarnic w kraju i za granicą*. Wydawnictwo Niebezpiecznych Działań.

Flaunt Contense T.: *Jak uporządkować bibliografię celem wywarcia jak najmocniejszego wrażenia na czytelniku*. Konsorcjum Życie z Pisania.

Flex Drednaught: *Ujawnienie tajemnic słodkowodnych kałamarnic*. Wiara sp. z o.o.

Florence Edna: *Tajemniczy świat słodkowodnych kałamarnic*. Wiara sp. z o.o. (Bezowocne!)

Forrest Hayden A.: *Dzioby w zlewkach: Historia nauk kałamarniczych*. Wydawnictwo Medycyny Mięczaków.

(Kłopotliwy i wielce męczący tom, w którym elektryczne eksperymenty na kałamarnicach oraz szarpiące nerwy badania sprawiają, że nawet w chwili obecnej kulę się ze współczucia dla ich podmiotów).

Forrest Hayden A.: *Głównogopodektomia w teorii i praktyce*. Wydawnictwo Medycyny Mięczaków.

Forrest Hayden A.: *Zapasy kałamarnicze dla zabawy i zarobku*. Klub Wydawnictwa Engelbrechta.

Forrest Hayden A.: *Otwarte i szczerze potępienie zapasów kałamarniczych*. Wydawnictwo Sześciu Drzwi.

(Umysłowo niedorozwinięci teoretycy nie powinni się nawet tykać kałamarologii!)

Forrest Hayden A.: *Słynni mackofeliacy*. Snark i Córki.

(Nawet sam Trillian, jak się okazuje, był jednym z nich - podobnie zresztą jak większość jego Bankierów-Weteranów).

Forrest Hayden A.: *Świt Krakena: Badania postcelebracyjnych wzorów snu wśród uczestników Festiwalu*. Inwestygacje Wrya sp. z o.o.

Fraggnall Dibdin: *Taplanie się w wodzie przy dokach: Ekstaza płynąca ze zbieractwa*. Frankwrithe & Lewden.

(Tom zaprawdę potwierdzający powołanie dla każdego kałamarologa z aspiracjami. Dibdin rozumie kałamarniczą subkulturę lepiej niż ktokolwiek inny spośród żyjących autorów).

Fraggnall Dibdin: *Popularna księga kałamarniczych fałszerstw*. Frankwrithe & Lewden.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Kilka interesujących metafor przekazanych nam przez Króla Kałamarnic* (broszurka). Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Król Kałamarnic i jego taktyki nocnego skradania się do ofiar*. Wydawnictwo Myszołów.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Moc przysławek u młodocianych osobników kałamarnicy królewskiej*. Niceańskie Wydawnictwo dla Rozwoju Nauki.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Porozumiewanie się kałamarnic w warunkach mętnej wody* (broszura). Wydawnictwo Kolektywu Leoprandy.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Przerażający Król Kałamarnic przemawia*. Wydane własnym sumptem.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Socjologiczne znaczenie rozmiaru dzioba w społeczeństwach kałamarnic królewskich*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *To, czego nie można powiedzieć na głos: Prawdziwy powód inteligencji kałamarnic*. Wydawnictwo Głowonóg.

(Mimo iż jest to niezbyt często cytowane dzieło na kartach mej monografii, jednakże to właśnie ta książka w głównej mierze wpłynęła na argumenty mojego wywodu dotyczącego inteligencji kałamarnic).

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Utrata godności w obliczu prześladowań: Naukowcy zmuszeni do żebrania o jedzenie* (wydanie wielkoformatowe). Wydane własnym sumptem.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *W mrok atramentu kałamarnic: Nasza osobista wyprawa w zapomnienie* (broszura). Wydane własnym sumptem.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Zdyskredytowani: Dlaczego staliśmy się celem niesprawiedliwego wysmiewania i prześladowań ze strony innych kałamarologów* (broszurka). Wydane własnym sumptem.

Furness Raymond, Leepin Paulina: *Żywotne podobieństwa pomiędzy kałamarnicą królewską a skamoońską kałamarnicą lodową obszarów najdalej wysuniętych na północ*. Wydawnictwa Nieobecne.

Gambol Nils: *Błyskody: Wpływ macek kałamarnic na ambergriańskie salony fryzjerskie*. Publikacje Obgryziesz Paznokcie Aż Do Krwi.

(Można rozważać widoczne ostatnio przelotne mody w stylach fryzur i innych przystrojeń głowy jako swego rodzaju pasywną kałamarotopię - mimo iż dla kogoś w pełni dotkniętego powyższą przypadłością bez wątpienia zda się to brutalnym naśmiewaniem).

Gervers Nicholas: *Pierwsza i ostania kałamarnica*. Wydawnictwo Johannes.

Giflank Henry: *Hoegbottoński przewodnik po kresomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.



Giflank Henry: *Hoegbottoński przewodnik po pseudomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Gort Joan: *Dane dotyczące sprzedawców Kałamarnic pobierających zapomogi z budżetu według numeru licencji oraz statystyk morskiej fratrii: tom 7 statystycznego przeglądu motbiańskiej samorządności, z liczbami przedstawiającymi zmiany na stanowiskach państwowych w okresie rozdziału władającego rządu*. Archiwa Dokumentów Publicznych Tarzii.

Gort Marmy (red.): *Hołd dla kałamaromana: Eseje dotyczące głowonogów zapisane przez Clyde'a Aldricha z okazji jego 75. urodzin*. Wydawnictwo Ambergriańskiego Towarzystwa Kałamarologicznego.

(Miałem niewątpliwie wielką przyjemność osobiście spotkać się z Clyde'em Aldrichem podczas tego przyjęcia. Cokolwiek można myśleć o jego niedorzecznych teoriach, pasja tego człowieka do kałamarologii zrobiła o wiele więcej dla usankcjonowania tej jakże szlachetnej nauki niż setki o wiele bardziej logicznych teoretyków).

Gort Marmy: *Siedem »bluźnierczych« właściwości atramentu Króla Kałamarnic*, opublikowane „Kałamarolog Amator”, rocznik 15, numer 3. Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

Gort Marmy: *Szczegółony pamiętnik pleśni*. Wydawnictwo Wielkich Chwil w Nauce.

(Ten nudny tom opisuje nam ze szczegółami, na ponad trzystu długich kartkach, życie grzyba rosnącego na brzegu rzeki; jednakże wreszcie w końcówce zawartej tu relacji pojawia się pewne wynagrodzenie tej jakże długiej lektury dla kałamarologa amatora, gdyż na krótką chwilę wystrzeliwuje wtedy z wody macka, a następnie znów znika w toni).

Gort Marmy: *Uwagi i komentarze skierowane do ignorantów-miłośników kałamarnic*, opublikowane „Kałamarolog Amator”, rocznik 11, numer 5. Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

(To wystąpienie jest bodajże najzabawniejszym odparciem ignorancji, jakie kiedykolwiek wydrukowano. Ma formę rozmowy toczonej między dwiema kałamarnicami, które przeprowadzają autopsję utopionego człowieka. Ich błędne określenie zarówno części ludzkiego ciała, jak i wykonywanych przez nie funkcji - serce określają tu mianem nowotworu, wątroba zaś staje się dla nich niewłaściwie ulokowanym językiem - wciąż wywołuje mój chichot).

Gort Volmar: *Historia istot posiadających macki*. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Lektura być może odrobinę zbyt wyszukana - na przykład, osobiście nie uważam żab za istoty posiadające macki, no chyba że urodzą się zdeformowane).

Griffin Magni: *Kałamarnica, której już nie ma: Eksploracja wymarłych kałamarnic białożjawnych*. Wydawnictwo Walfer-Barrett.

Halme J.P.: *Kalamarnice, które osiadły na mieliźnie*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Halme J.P.: *Obdarzona komentarzem bibliografia odnośników wiążących się z biologią, połowami i zarządzaniem kalamarnicami*. Wydawnictwo Miłośników Kalamarnic.

Halme J.P.: „*W tej rzece czają się giganty* „: *Potwory i tajemnice związane z rzeką Moth*. Frankwrithe & Lewden.

Hatepool J.D.: *Słownik zapomnianych obelg i zniewag*. Wydawnictwa Wprost Ci w Cztery Litery.

Hewn Reese: *Dekadencja dekapodów*. Wydawnictwo Prawdziwych Głowonogów.

Hewn Reese: *Dziewięć ramion to za mało*. Publikacje o Głowonogach.

(Mój bliski przyjaciel Reese myli się - dziewięć ramion to o wiele za dużo. Siedem natomiast to za mało).

Hoegbotton Henry (red.): *Kalamarnicy elementarz Henry'ego Hoegbottona*. Hoegbotton i Synowie.

Hortent Nigel: *Hoegbottoński przewodnik po dipsomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Hortent Nigel: *Hoegbottoński przewodnik po doramanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Hortent Nigel: *Hoegbottoński przewodnik po piromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Hortent Nigel: *Hoegbottoński przewodnik po siderodromomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Jadowitokielnna-Szczyt Eliza: *Kalamarnice w mitach, magii i medycynie*. Frankwrithe & Lewden.

(Zarówno mity, jak i magia, o ile też nie medycyna, wszystkie one, moim skromnym zdaniem, mają coś wspólnego z niebezpiecznie nietaktownym i nierozważnym nazwiskiem autorki).

Jakes Laura: *Byłam kalamarnicą*. Wydawnictwo Miłośnika Kalamarnic.

Jitterness Jonathan: *Hoegbottoński przewodnik po sitomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

John Samuel: *Wyznania współmieszkańca z celi psychiatryka* (broszurka). Biblioteka Sensacyjnych Historii z Życia Wziętych.

Keater Mathew: *Raport ministrów kappana dotyczący sporadycznego występowania przedziwnych wypadków związanych z pewnymi typami nieustępliwych i niesformych kalamarnic*. Wydawnictwo Strzępki i Zbitki.

(Dla Keatera, przewodniczącego Ambergriańskiego Towarzystwa Łakomczuchów, każda

kalamarnica opierająca się przebicciu harpunem, a następnie zjedzeniu, staje się „nieustępliwa”, jak również „niesforna”. Jednakże jestem tu w pełni przekonany, że każda kalamarnica smakowana przez jego gumowate usta musi przynajmniej poczuć się niemal jak w domu).

Keensticker Harrod: *„Złośliwy ci to potwór”*: Rozpalone oralne ejakulacje doświadczonego wilka morskiego dotyczące zbliżającej się walki między ludźmi a kalamarnicami. Wydawnictwo Morskich Opowieści.

Kickleback John: *Hoegbottoński przewodnik po drapetomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Kickleback John: *Hoegbottoński przewodnik po kalamaromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Kleyblack Nora: *Kalamarnice Wysp Południowych, skrócony opis głowonogów i innych mięczaków Saphantu, Nicei, Briandu i Wrayly, uporządkowany według systematyki naturalnej*. Produkty Ognia Pulsacyjnego.

Kron Michael: *Sensoryczno-motoryczne umiejętności zranionych kalamarnic*, „Magazyn Kalamarologii”, rocznik 1, numer 1. Wydawnictwo Miast Południowych.

Kron Michael: *Pogrzebowe tańce kalamarnic oraz ich zwyczajowe formy żałoby*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Laglob E.A.: *Historia mego dzieciństwa pośród kalamarnic i co z tego powodu ze mnie wyrosło*. Wydane własnym sumptem.

(Historia Lagloba, mimo iż wyjątkowo źle napisana, jest pasjonująca, a chwilami wręcz łamiąca serce. To opowieść o akceptacji i ostatecznej zdradzie. Zbyt intensywna, bym zdołał ją skończyć).

Larsen David: *Zasadzki okresu godowego w delcie rzeki Moth*. Wydawnictwo Źródło.

Larsen David: *Zupa na dziobach: Sezon tropienia kalamarnicy byczej, zawiera dodatek odnoszący się do działań nocnych oraz ostrożności przy asygnowaniu miejsc działań nad brzegiem rzeki*. Wydawnictwo Źródło.

Lawler L. Marie: *Kalmarokterie: Dogłębne spojrzenie na kalamarnicze zaburzenia osobowości*. Głowonóg i Mątwa.

Lawler L. Marie: *Niewidzialny atrament: Macki ciemnej strony*. Publikacje o Głowonogach.

Lawler L. Marie: *Rozstrzygające płamienie atramentem*. Frankwrithe & Lewden.

Lawler L. Marie: *Wielce intrygujący przypadek zmian profesji: Tragedia Harty'ego Flacka, pisarza - wolnego*

*strzelca, byłego Łowcy Kałamarnic*. Hoegbotton i Synowie.

Lawler L. Marie: *Zmagania ze ściskaniem*. Publikacje o Głownogach.

(„Ściskanie” jest zwykle poważniejszym problemem dla piszących eseje kałamarologów niż dla samych kałamarnic).

Lorstain Michael: *Hoegbottoński przewodnik po ekutromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Lorstain Michael: *Hoegbottoński przewodnik po timbromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Madnok Frederick: *Kałamarotropia - cicha zaraza*, opublikowane w *Kieszonkowym przewodniku Thackery’ego T. Lambsheada po ekscentrycznych i zdyskredytowanych chorobach*, M.A. Roberts (red.). Wydawnictwo Chimeryczne.

(Patrząc na to obecnie, wybrałem tam niewłaściwy tytuł. Choroba, o której mowa, nie tyle jest „cicha”, co „niewłaściwa”).

Madnok Frederick: *Niepewne macki: Porażka i zawód nerwów w szeregach kałamarologów amatorów* (broszurka). Wydane własnym sumptem.

(Publikacja, po której Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologii wykluczyło mnie z udziału we wszystkich przyszłych spotkaniach. Ale i tak, nieustannie i mimo wszystko, obstałem przy każdym z zapisanych tam stwierdzeń).

Madnok Frederick: *Pewne subtelne aspekty kałamarotropii* (broszurka). Wydawnictwo Madnok.

(To, z czego wielu nie zdaje sobie sprawy, to niepokoje i zdenerwowanie związane z nagłym niedwuocznym sposobem widzenia wśród cierpiących na tę dolegliwość - nie wspominając już o utracie kontroli mięśniowej, gdy czyjaś tylna dolna część ciała „stapia się” w lejek i płaszcz, a nogi „rozpuszczają” w osiem ramion).

Madnok James: *Eksperymenty z transformacyjnym zagadnieniem absorpcji fragmentów ciała grzyba*. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Najbardziej zdumiewająca transformacja, jakiej kiedykolwiek dokonał mój ojciec, wiązała się z alchemią połączenia metalu i grzyba, której wynik był wielce osobliwy. Przez wiele dni ojciec powoli odzwyczajał czerwonocełtkowany gortiański kapelusznik od jego zwykłej diety opartej na kompoście i martwych żukach, zastępując mu to pożywienie opilkami żelaza. Po miesiącach ostrożnej kontroli grzyb stał się lśniący, szary i twardy w dotyku. Po roku był niemal całkowicie metaliczny, z kilkoma zaledwie, i to dość nielicznymi, cętkami czerwieni i beżu, wskazującymi na jego wcześniejszą jadalną naturę. Zmienił się w ozdobę. [Moje własne eksperymenty miały

wprost przeciwną naturę: chodziło o zamianę martwej ozdoby w coś wijącego się i mięsistego...] Ojciec podarował go matce na urodziny, a wkrótce potem matka przekazała go mnie. I wciąż jeszcze gdzieś go mam pośród swoich rzeczy).

Madnok James: *Niewidzialny świat*. Frankwrithe & Lewden.

(Arcydzieło mojego ojca: przepięknie rozpisana czterystustronicowa książka, tak niesłusznie zignorowana po wydaniu przez krytyków i czytelników, lecz obecnie szeroko doceniana w pewnych kręgach, gdzie uchodzi za rozstrzygające i ostateczne oświadczenie na temat grzybów Południa. Wciąż posiadam jej egzemplarz. Sarkastyczne szpileczki wtykane w truffidiańskie „teorie” dotyczące szarych kapeluszy zdołały wbić klin pomiędzy moich rodziców).

Madnok James: *Znaczenie grzybów*. Wydawnictwo Pomruk.

(Już wtedy nasz dom rozpadał się i kruszył. Wiele z najwspanialszych eksperymentów ojca wiązało się z rosnącymi ciałami grzybów umieszczonymi w setkach ciemnych zakamarków naszej piwniczki na wina. Moja matka, oddana wyplenieniu tej zgnilizny, z całego serca nienawidziła takiej sytuacji - szczególnie odkąd ojciec czasem przechodził samego siebie w animowaniu dalszego rozrostu owej zgnilizny [„Lecz bynajmniej nie śmieci” - jak zwykle mawiał]. Kiedy ojciec wpadał w najbardziej złośliwy nastrój, matka mogła otworzyć szafkę w kuchni i zastać w niej oplatające wici szaro-purpurowego grzyba, wyglądające na świat zza każdego perfekcyjnego spodeczka).

Madnok James: *Zunifikowana teoria migracji spor*. Frankwrithe & Lewden.

(Chciałbym móc wierzyć, że mój ojciec znalazł się tu, w swej ostatniej, wydanej już pośmiertnie książce, na właściwym tropie - niestety, został zmuszony do wycofania się; książka nigdy nie trafiła do drukarni Miast Południowych - a on nie poczuł już bólu).

Mannikan A.: *Wielki głowonóg (fikcja)*. Hoegbotton i Synowie.

Marmont E.D.: *Ochrypli, lecz wciąż handlujący: Życie na brzegach Moth. Studium*. Wydawnictwo Funta Klaków.

Midan Pejora: *Architektoniczne cudo, jakim jest głowonóg*, opublikowane w „Architekturze Miast Południowych”, rocznik 95, numer 12. Wydawnictwo Barqologii.

Midan Pejora: *Kalamarnicza ikonografia wyrażona w ambergriańskiej architekturze*. Wydawnictwo Projekt.

(Zaślepienie Pejory kalamarnicami nie trwało długo. Jego zaplanowany Pałac Mięczaka i

Dom Macek nigdy nie zostały zrealizowane; wszystkim, co nam po tym pozostało, są jedynie stworzone przez niego projekty takich cudeniak).

Midan Pejora: *Podwodne ogrody mięczaków jako Zamysł Boży*. Wydawnictwo Projekt.

Mipkin Siffle: *Hoegbottoński przewodnik po entomomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Morge Ralph: *Kalamarnicze teorie związane z sabotażem pływaków Haragck* (broszurka). Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(Postulaty Morge'a, jakoby to kalamarnice sabotowały Haragck, dziurawiąc ich pływaków podczas słynnego ataku, zdają się w najlepszym wypadku oparte wyłącznie na poszlakach).

Nanger D.T.: *Rybie preferencje słodkowodnych kalamarnic w kontrolowanych eksperymentach wykorzystujących haczyk, przynętę i naprawdę wielką łódź, z pomocą silnej linii dociekań*, „Kwartalny Raport z Badań Instytutu Hablonga”. Wydawnictwo Hablong.

Nick Robert: *Na krawędzi szaleństwa*. Frankwrithe & Lewden.

Nick Robert: *Rola szaleństwa i kreatywności*. Frankwrithe & Lewden.

(To, że kalamarotropia może być tak niewłaściwie i niestosownie przytaczana w tym kontekście, dyskredytuje tę książkę, nim jeszcze czytelnik skończy choćby przelotne zapoznanie się ze spisem treści).

Norman Hugh: *Strzeż się przypadkowych liter: O historii sposobów porozumiewania się różnych gatunków*. Frankwrithe & Lewden.

Nymblan Kever: *Hoegbottoński przewodnik po erotografomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Parsons Kevin: *Przewodnik polony po słodkowodnych kalamarnicach*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Pickleridge Timothy: *Poważne wezwanie do pobożnego i świętego życia, zaadaptowane do stanu i warunków wszelkich obrządków religijnych, będące wezwaniem do czczenia naszego ojca Króla Kalamarnic* (broszurka). Wydane własnym sumptem.

Plate S.N.: *Osiem dławiących ramion mieć: Samobójstwo kalamaroczyka* (wiersze). Publikacje Tarzii.

Pond Samuel: *Hoegbottoński przewodnik po florimanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Povel Bernard, Sighly Enoch: *Wicekalamarologia Enocha Sighly i doktora Bernarda Dopela podróż w górę*

*rzeki Moth miejscowym rodzajem czółna oraz siłą tubyleznej pomysłowości, zwiędzona całkowitym zniszczeniem łódki, niemalże ucieczką i kilku niefortunnymi negocjacjami ze wspomnianymi wcześniej tubylcami.* Wydawnictwo Towarzystwa Morrowiańskich Naukowców za Granicą.

Pulling Leonard: *Relacja z pierwszych godzin życia kałamarnic na brzegach rzeki Moth*, „Ambergriański Magazyn Zoologii Spekulatywnej”. Wydawnictwo Fungoid.

Quiddity Teresa: *Przypadek dotyczący autorstwa Hellatose’a różnorodnych i rozmaitych sztuk teatralnych.* Publikacje z Pierwszego Rzędu.

(Pozostawmy ten problem zainteresowaniu Quiddity’ego, który przegrzebując się przez archiwa różnych ambergriańskich teatrów pozostawił po sobie niemal trzysta stron, a doszedł w nich zaledwie do wniosku, że „dowody świadczące o autorstwie Hellatose’a w przypadku jakiegokolwiek produkcji teatralnej innej niż sponsorowane w ramach karnawałów czy cyrków, z którymi był związany bądź współpracował, są - i to w najlepszym wypadku - jedynie poszlakowe”).

Quiddity Teresa: *Uderzeni mackami.* Wydawnictwo Slabe Beczenie.

Quork Corvid: *Hoegbottoński przewodnik po ornitomanii.* Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Rariety Maurice: *Ambergris Jamesa Kinkela Lightnera: Jego gatunki i typy, zebrane miejscowe osobliwości, bibliografia i wybrane reprinty prac Guyerdama.* Publikacje Archiwum Historycznego.

(Pierwszy z przekłętą gatunku „kałamarologów dżentelmenów”. Lightner wynajmował innych, by obserwowali za niego kałamarnice w swych naturalnych habitatach, sam zaś uczęszczał do klubów bankierów i innych legowisk sprawiedliwości i cnót wszelakich. W zadymionych tylnych pomieszczeniach wspominał tam wtedy, snując barwne opowieści, jakby doświadczył ich z pierwszej ręki, wyczyny i niebezpieczeństwa, które tak naprawdę przydarzały się jego podwładnym. Guyerdam, największy spośród ekspertów Lightnera, pewnej nocy nie wytrzymał i zamordował go w połowie zdania, używając w tym celu jedynie czegoś tak mało skomplikowanego jak niceańska kałamarnica błotna, która bez problemu okręciła się wokół szyi staruszka. Jak się jednak niefortunnie złożyło, odbiór Lightnera jako wielkiego naukowca nie skończył równie łatwo jak sam bohater).

Redfern Kathryn: *Osobliwa relacja o Blissbanie z Malfour i jego Kałamarnicy Strachu.* Frankwrithe & Lewden.

(Goniące za sensacyjnością opowieści dla młodzieży i wielce wrażliwych dorosłych).

Redfern Kathryn: *Przedziwna historia Ronalda Battlebussa i jego Siedmiu Kalamarnic Zagłady*. Frankwrithe & Lewden.

Redfern Kathryn: *jeszcze dziwniejsza historia Bartleya Gangreny i jego Trzech Kalamarnic Przeznaczenia*. Frankwrithe & Lewden.

Riddle William: *Hoegbottoński przewodnik po hamartomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Riddle William: *Konflikt nauki i religii: Osobiste eksploracje*. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(Pewnego dnia mój ojciec wkroczył do swojej pracowni i odkrył, że matka ścięła wszystkie rosnące w niej manifestacje Króla Grzybów, tak istotne i podstawowe dla prowadzonych przez niego badań. Ich wyhodowanie w sztucznym środowisku laboratorium zabrało mu siedemnaście lat pracy żmudną metodą prób i błędów. Matka metodycznie przycięła je wszystkie małą kosą, po czym umieściła w koszu na śmieci, który następnie podpaliła. Wszystkim, co pozostało, była kupka popiołów i przeszywający nozdrza drażniący zapach. Wyobrażam sobie ojca wpatrującego się w tłący się i dymiący okrąg, dopóki lzy nie stanęły mu w oczach. Wtedy podniósł się i ruszył do biblioteki).

Roberts M.A.: *Przedziwny przypadek Hellatose'a i Bauble'a* (broszurka). Wydawnictwo Chimeryczne.

Roberts M.A.: *Wielka księga kalamarnic*. Wydawnictwo Chimeryczne.

(Całą pod każdym innym względem znakomitą autentyczność tej książki psuje ilustracja przedstawiająca dojrzałą morrowiańską kalamarnicę błotną posiadającą zaledwie dwie macki).

Roberts M.A.: *Zaawansowana kapitańska telemetria kalamarnic słodkowodnych*. Wydawnictwo Morskich Opowieści.

Rogers Vivian Price: *Przyczajka Dręczących Kalamarnic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Dręczące Kalamarnice na zawsze już pozostaną moimi ulubionymi postaciami książkowymi. Książka rozpoczyna się założeniem, że piątka zarozumiałców pogrążonych w bagnie drobnego bandytyzmu dzięki medium kalamarotropii zostaje zamieniona przez szare kapelusze w kalamarnice królewskie. Cała piątka, już jako kalamarnice - nazywające się obecnie Kalamarniaszek Johnson, Kalamarniaszek Macken, Kalamarniaszek Slakes, Kalamarniaszek Taintmoor i Kalamarniaszek Barck (będący hersztem bandy) - nie utraciła nic a nic ze swych dawnych kryminalnych skłonności. Przejmują swe dawne tereny grasowania w chylącej się ku upadkowi Dzielnicy Biurokratów, siejąc spustoszenie wśród jej mieszkańców. W tej odsłonie ich



przygód Kalamarniaszek Taintmoor sugeruje, by Dręczące Kalamarnice przyczaiły się na jakiś czas, gdyż ich tropem podążają ludzie kappana. Pod koniec tej złowrogiej i pełnej czarnego humoru powieści „przyczajka” kończy się włamaniem, podpaleniem, napadem z bronią w rękę i wieloma innymi wykroczeniami przeciwko prawu).

Rogers Vivian Price: *Powrót Dręczących Kalamarnic* Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Barck i jego kolesie decydują się odwiedzić mamusię, czego efekty okazują się wręcz katastrofalne. Ojczymowie dość boleśnie dostają w kość, podobnie jak niemal cały niepisany kodeks kryminalisty).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice i magnetyczna łódź wiosłowa*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Macken odnajduje magnetyczną łódź wiosłową, najprawdopodobniej porzuconą przez szare kapelusze, i cała banda Dręczących Kalamarnic zabawia się, stawiając ją w pobliżu jednej z głównych arterii miasta i zaśmiewając się do rozpuku, gdy mijające ją pojazdy motorowe nieoczekiwanie są przez nią przyciągane - a szkło ich szyb pryska w każdą stronę - po czym kierujący tymi pojazdami muszą stawić czoło żądaniom uzbrojonych w noże Kalamarniaszka Barcka, Kalamarniaszka Johnsona i Kalamarniaszka Slakesa. W zakończeniu uprowadzają oni jeden z pojazdów, który następnie rozbijają na drzewie, zaśmiewając się przy tym i nie zwracając nawet najmniejszej uwagi na wszelkie odniesione stłuczenia i siniaki).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice tłuką księża*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Pewnego razu Kalamarniaszek Slakes wspomina, jak nikczemnie i podle traktowali go zwykle wychowujący go w sierocińcu księża. Kalamarniaszek Johnson sugeruje, by zemścić się na nich, którą to propozycję popiera Kalamarniaszek Barck. Dręczące Kalamarnice krążą po Dzielnicy Religijnej, tłukąc żebraków oraz wykradając datki z puszek ofiarnych. W zadziwiającym zakończeniu, gdy po rozbiciu witraży w Katedrze Truffidiańskiej siłą wymuszają na samym Przedśionie przyznanie się do sodomii, Kalamarniaszek Slakes zalamuje się i wybuch płaczem - lecz nie, to nie płacz, on rzy ze śmiechu. Kalamarniaszek Slakes wystrychnął bowiem wszystkich na dudka - wcale nie jest sierotą i nigdy nie wychowywał go żaden ksiądz. Dręczące Kalamarnice - wszystkie co do jednego - wyjątkowo zaśmiewają się do łez).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice upijają się na placu Trilliana*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Pewnego ranka Kalamarniaszek Barck budzi się w znajdującej się na zachód od bulwaru

Albumuth kryjówce Dręczących Kalamarnic i odkrywa brak Kalamarniaszka Johnsona. To okropne! Czyżby odnaleźli go i aresztowali ludzie kappana? Kalamarniaszek Barck wraz z resztą członków gangu Dręczących Kalamarnic rozprasza się po mieście, by przetrząsnąć leżące w pobliżu ulice. Jednakże bez rezultatu. Nigdzie ni śladu po Kalamarniaszku Johnsonie. Gdzie też mógł on się podziać? Gdy Dręczące Kalamarnice coraz bardziej rozpaczliwie przeszukują okolice w poszukiwaniu kompana, zaczynają - co nieuniknione - odczuwać pragnienie. Wiele pubów staje wtedy w obliczu ich gburowatych i ostro postawionych żądań alkoholu, aż wreszcie, po licznych przygodach - w tym jednej wiążącej się z klubem kalamarnicznym - Dręczące Kalamarnice zbierają się o umówionej wcześniej godzinie na Placu Trilliana. I kogóż tam odnajdują, jak nie Kalamarniaszka Johnsona, zwinętego na jednej ze stojących na placu ławek i pielęgnującego olbrzymiego kaca, gdyż uprzedniej nocy wymknął się po cichu na „jeden szybki kufelek”. Dręczące Kalamarnice wyrażają swą irytację, kopiąc go do nieprzytomności).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice łupią Wieżę Kalifa*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(W tej odrobinie mniej udanej powieści Rogers zabiera nasz gang ze znanej mu do tej pory scenerii Ambergris, by wyruszyć z nim na wyprawę, której celem jest złupienie skarbów Kalifa. Nim docierają do bram stolicy ziem Kalifa, tak upijają się tanim winem, że przez pomyłkę tamtejsi strażnicy biorą ich za rozbawionych pielgrzymów i wpuszczają do miasta. Już na miejskich ulicach gang przystępuje do podszcypywania kobiet, wykradania owoców z ulicznych stoisk, napadów na bogatych kupców i ogólnego naprzykrzania się wszem i wobec. Koniec końców naszych bohaterów aresztują żołnierze Kalifa, którzy następnie torturami otrzeźwiają ich w lochach, by wreszcie nago wypuścić na wolność, wprost na leżące odlegiem tereny tuż za murami miasta. Może i zostali pozbawieni ubrań, lecz są teraz o wiele mądrzejsi. Dręczące Kalamarnice smutno wloką się w kierunku domu. Jak zauważa Kalamarniaszek Johnson: „Zagraniczne podboje nie są tak ekscytujące, jak by się zdawało”).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice zabierają się za Nową Sztukę*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Macken zauważa pewnego ciepłego i słonecznego poranka, gdy Dręczące Kalamarnice sączą leniwie napoje odświeżające w Czerwonogardłym Cielaczk, że - jako grupa - są wyjątkowo niewyedukowane. I tak istotnie jest. Kalamarniaszek Barck co prawda spędził jako sprzątac jeden semestr na Akademii w Blythe, co daje mu konieczne kwalifikacje do przewodzenia Dręczącym Kalamarnicom, ale tak ogólnie brak im jakiegokolwiek wyrafinowania. Już po tym, jak Kalamarniaszek Slakes przywalil kilka razy Kalamarniaszkowi Mackenowi,

Kalamarniaszek Barck decyduje, że Kalamarniaszek Macken jednak ma rację. Lecz jak można się stać lepiej wyedukowanym? Po kilku głębszych przemyśleniach Kalamarniaszek Barck sugeruje, aby udali się na retrospektywną wystawę Nowej Sztuki wystawianą w Galerii Ukrytych Fascynacji. Tak więc Dręczące Kalamarnice przyodziewają swe najlepsze, odświętne stroje, ostrzą noże, przyлизują włosy i ruszają w kierunku wystawy. Gdy przybywają na miejsce, są jednak poważnie zawiedzione. Większość wystawionych płócien zdaje się niedokończona - jedno z nich to zaledwie błękitna plama pokryta kilkoma mniejszymi białymi cętkami. Kalamarniaszek Barck, zażenowany całą zastaną na miejscu sytuacją, postanawia podjąć próby dokończenia kilku z wystawionych obrazów, by pokazać pozostałym Dręczącym Kalamarnicom odrobinę prawdziwie wysokiej kultury. Niestety, starają się go powstrzymać strażnicy muzealni i w całej sali rozpętuje się długotrwała szamotanina, nad którą unosi się towarzyszący jej dźwięk noży rozdzierających wystawione płótna. Gdy strażnicy wreszcie przestają stanowić dla nich problem, Dręczące Kalamarnice odwracają się tyłem do samej galerii - jak również wszelkiego „wyrafinowania” - mimo iż, jak wyczytały następnego dnia w „Dzienniku Ambergris”, odwiedzający odebrali ich performance jako „wielce i osobliwie pociągające”).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice podpalają podziemny tunel*. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Jedna z najprostszych książek Rogers, gdyż już sam jej tytuł dostarcza nam dokładnej wiedzy o tym, co można w niej odnaleźć - otóż Dręczące Kalamarnice podpalą podziemny tunel. Pierwsze pięćdziesiąt kartek mija im na planowaniu podpalenia. Kolejne pięćdziesiąt na podpalaniu wspomnianego wcześniej tunelu. A jeszcze następne pięćdziesiąt mija na wynikłej z tego wszystkiego ucieczce przez ludzi kappana. Wielu krytyków jest święcie przekonanych, że Rogers zleciła komuś napisanie tej powieści, a następnie wydała ją pod swoim nazwiskiem).

Rogers Vivian Price: *Dręczące Kalamarnice dewastują restaurację*. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Jeden jedyny raz, kiedy to nie Dręczące Kalamarnice wzniesają złośliwości wokół siebie. Kalamarniaszek Barck i Kalamarniaszek Johnson siedzą sobie spokojnie w restauracji Rzeka Moth, zajmując się tam własnymi sprawami, gdy zostają rozpoznani przez członków rywalizującego z nimi gangu, Ćmogłowych znad Moth, którzy całkiem przypadkowo akurat przechodzili w pobliżu. Wywiązuje się walka, podczas której Kalamarniaszek Barck trzyma na dystans siły Ćmogłowych, rzucając w nich krzesłami i naczyniami, a Kalamarniaszek Johnson znika za rogiem, by sprowadzić posiłki. Gdy Kalamarniaszkowie Slakes, Johnson i Taintmoor przyłączają się do całej burdy, Ćmogłowi znad Moth wkrótce stają w obliczu zbyt wielu razów,

by można je było zliczyć, i kończą ścigani przez Dręczące Kalamarnice. Niezbyt zadowolone z przebiegu wypadków tego dnia Dręczące Kalamarnice ruszają i wysadzają w powietrze piekarnię oraz puszczają z dymem pojazd silnikowy. Jak zauważa Kalamarniaszek Johnson: „To wszystko przez tych Ćmogłowych. To oni nas do tego sprowokowali”).

Rogers Vivian Price: *Odsiadka Dręczących Kalamarnic: Wspomnienia nieludzkich dzieciństw*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Być może książka ta jest arcydziełem Rogers, bowiem opowiada, w sześciu rozdziałach, o doświadczeniach z dzieciństwa Kalamarniaszków Johnsona, Mackena, Slakesa, Taintmoore’a i Barcka - równocześnie prezentując dziejącą się współcześnie historię, w której cała piątka tkwi w jednej więziennej celi. Ku zaskoczeniu czytelnika, z całej piątki jedynie Kalamarniaszek Barck miał autentycznie złe dzieciństwo [jego matka była prostytutką, ojciec nieznany, a on sam wylądował na ulicy w wieku dziesięciu lat]. Reszta gangu to synowie uprzywilejowanych rodzin, którzy najzwyczajniej w świecie przedłożyli rozbój nad uczciwą pracę. W rozdziale szóstym Dręczące Kalamarnice, po zatłuczeniu strażników niemal na śmierć, uciekają z więzienia, a wtedy cały widoczny do tej pory nostalgiczny nastrój pryska, przekształcając się w zwykły i radosny chaos siania wokół siebie przemocy i zamętu).

Rogers Vivian Price: *Ostatni punkt oporu Dręczących Kalamarnic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kappan, rozwścieczony kryminalną aktywnością Dręczących Kalamarnic, zbiera niewielką armię przeznaczoną tylko i wyłącznie do wytrzebiecia naszych bohaterów. W klimatycznej scenie finałowej Dręczące Kalamarnice, otoczone w stojącej już za opłotkami miasta stajni, wymykają się z niej dzięki samopodpaleniu i biegowi ku wolności oferowanej im przez nurt Moth wprost przez szeregi zaskoczonych i szokowanych żołnierzy kappana. Koniec końców uwolnione wreszcie do swego naturalnego środowiska, nigdy nie powracają do miasta, „mimo iż nawet obecnie matki opowiadają swym maluczkim kandydatom na rzezimieszków historii o wyczynach Dręczących Kalamarnicach”).

Rook Alan B.: *Msza kameralna za Nautilusa i Requiem dla kalamarnic białozjawnych: Dwie liturgiczne partytury stworzone w norańskiej i stagiańskiej tonacji*. Wydawcy Płochliwych Nut.

(Na całym świecie nie ma drugiej tak pełnej i całkowitej błogości jak ta, która ogrania człowieka, gdy słucha Requiem dla kalamarnic białozjawnych [opartego na klasycznej powieści Spacklenesta]. Szczególnie wysublimowane i wzniosłe, gdy wysłuchiwane z fonografu podczas relaksu w niewielkim baseniku).

Rook Alan B.: *Pasja w szkarłacie; Miłość Pelagianina; Różane macki; Dido i kałamarnica: Cztery libretta i partytury dla niezrealizowanych oper*. Wydawcy Płochliwych Nut.

Roper Frederick: *Incydenty wtargnięcia kałamarnic pomiędzy społeczeństwa dolnej Moth: Anegdotyczne dowody potwierdzające potrzebę istnienia obszarów zabezpieczonych przed kałamarnicami*. Wydawnictwo Niezbyt Przystępnych Publikacji.

Roper Frederick: *Znaczenie pólek na książki podczas domowych sprzeczek*. Biblioteczka Wydawnictwa Kałamaron.

(W bibliotece, gdzieniegdzie dzięki sztuczce padającego światła, książki tkwiły w swych szeregach, zalane i pochłonięte czerwienią. Czerwone były ich okładki. Czerwona była też podłoga).

Roundtree Jessica: *Mężowie, którzy zabili swe żony*. Biblioteczka Wydawnictwa Kałamaron.

Rowan Iain: *Kałamarnica jak każda inna: Transgresywny wstęp do hegemonicznych dwoistości*, „Magazyn Wodnej Hermeneutyki”, rocznik 34, numer 1.

Rowan Iain: *Tentaculon: Wprowadzenie do sposobów komunikacji między człowiekiem a kałamarnicą*, „Magazyn Badań Kałamarnic”, rocznik 52, numer 3.

Ruch Alan: *Chmiel a kałamarolog amator*. Publikacje Tornelaina.

Savant Charles: *Historyczne szkice dotyczące związku pomiędzy Królem Kałamarnic a pożarami w cichych portowych miasteczkach*. Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

Savant Charles: *Zachód słońca nad kałamaronami*. Biblioteczka Wydawnictwa Kałamaron.

(Musiał zdawać sobie sprawę, że ją tam odnajdę. Każdego lata, gdy wracałem do domu z Akademii w Blythe bądź ze swych ekspedycji, zaraz na samym początku kierowałem się właśnie tam, mimo iż dawno już stały porzucone - ledwie drewniane lupinki w miejscach, gdzie kiedyś kałamarnicy ze świstem poruszali się tam i z powrotem na swych kałamarudłach. Jej głowa kolysała się delikatnie na przegniłym pontonie, jej złotoszare włosy rozlewały się wokół półkuliście. Jej spojrzenie zdawało się ogarnięte spokojem, mimo iż w oczach niczego nie dało się wyczytać. Echo słów było teraz tak delikatne jak jej pieszczoty. Przeszło tydzień tkwiła w wodzie. Niemal jej nie rozpoznałem).

Savant Charles: *Zaproszenie do obserwacji kałamarnic: Przyjemności i praktyka: Zaopatrzone w pokrewną z tematem dyskusję dotyczącą map, tabel głębokości i tablic fizjologicznych* (broszurka). Ambergriańskie

Towarzystwo Kalamarologiczne.

Shannon Harold: *Adaptacje głowonogów do środowisk niesłonowodnych*. Wydanie Woode-Holly.

Shannon Harold: *Bolesne przebudzenie kalamarnicy matki: Przywiązanie młodocianych kalamarnic królewskich*. Wydawnictwo Grobowe.

Shannon Harold: *Godowe zachowania głowonogów (Słodkowodne rytuały uwodzenia)*. Wydanie Woode-Holly.

Shriek Duncan: *Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris*. Hoegbotton i Synowie.

Shriek Janice: *Kalamarniczy elementarz Akademii w Blythe*. Wydawnictwo Akademii w Blythe.

Sidlewhile Henry: *Życie i czasy Thackery'ego Woodstockinga, Kalamarologa amatora*. Ashbrain Press.

Simpkin A.L.: *Wyrąbnicy, kalamarczyki, księżycówka i wachacze*. Candon Press.

(Swawolna przygoda, która w należyty sposób unieśmiertelnia ciężkie i samotne życie zarówno kalamarczyków, jak i ubezpieczających ich wyrąbników).

Sirin Vlodya: *Macka co wers: Antologia poezji z kalamarnicą przez wieki - od Imperium Saphanckiego po Williama Bucketwheata*. Wydawnictwo Bieżąca Woda.

Skinder Blas: *Nienymownie popularne złudzenia, urojenia i szaleństwa wśród festiwalowych tłumów*. Wydawnictwo Miast Południowych.

Slab Thomas: *Anatomia szaleństwa*. Wydawnictwo Trzcinka.

Slab Thomas: *Matnia odkupienia: Przyjęcie i odbiór pomysłów doktora R. Tinta Takkelego dotyczących społecznej dyscypliny, zakładów psychiatrycznych, szpitali oraz wszelkiej medycznej profesji w powiązaniu z próbami samobójczymi o podłożu kalamarniczym*. Wydawnictwo Trzcinka.

Slay Jack: *Głowonogi: Podręcznik gramatyki dziesięciornic*. Frankwrithe & Lewden.

Sleeter M.J.: *Hoegbottoński przewodnik po hippomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Sleeter M.J.: *Przewodnik po grzybach późnego lata: Te trujące i te niegroźne*. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(Zbierał grzyby w lesie tuż za domem, nucąc sobie cichutko pod nosem. Przystanąłem na chwilę, zadziwiony jego spokojem, chociaż późnopołudniowe słońce, pstrzające tu i ówdzie

głęboką ciszę panującą wśród jodeł, rzuciło mój cień daleko na spotkanie jego wzroku. Musiał wiedzieć, że go tu znajdzie).

Smutney Jones: *Bogactwo, prawość i dary morza: Kształtowanie politycznej ekonomii w Ambergris*. Wydawnictwo Kalamarnicznych Archiwaliów.

Smutney Jones: *Kalamarnica, która zabiła własnego ojca: Powieść o zemście głowonogów*. Wydawnictwo Historii z Życia Wziętych.

Smythe Alan: *Psychologia i fizjologia Króla Kalamarnic* (ilustracje: Louis Verden). Frankwrithe & Lewden.

Sneller Daniel: *Historia obwoźnych szarlatańskich pokazów medycznych i innych niegodziwych prestidigitacji*. Wydawnictwo Spektakularne.

Sourby Pipkick: *Karużela kalamarofilii: Bogactwo opowieści, gawęd, piosenek, epigramów i rozmaitych ciekawych badań powiązanych z jakże szacownym zagadnieniem*. Wydawnictwo Księgarni Borges.

Sourby Pipkick: *Mądry jak mięczak, głupi jak mięczak*. Wydawnictwo Księgarni Borges.

Spacklenest Edgar: *Lord Kaptur i niemiężalna kalamarnica*. Frankwrithe & Lewden.

(Książka ta opowiada historię niceańskiego arystokraty, którego nawiedza duch zabitej podczas polowu kalamarnicy. Opowieść kryje w sobie zarówno wielką boleść, jak i siłę. Otóż lord Kaptur żyje samotnie w domu należącym kiedyś do jego przodków. Przez kilkanaście lat rodzice lorda zostali zamordowani w przerażającej podwójnej tragedii. Raz do roku opuszcza jednak mury swej posiadłości, by wziąć udział w wyprawie wędkarskiej wraz ze swymi kompanami lordami. Na jednej z takich ekspedycji przebija płaszcz młodej kalamarnicy królewskiej. Kalamarnica umiera, stając się tej nocy posiłkiem wędkarzy-arystokratów... Zaraz następnego dnia, gdy czytający lord Kaptur siedzi w swej jakże rozległej bibliotece, pojawia się przed nim zjawa samicy kalamarnicy królewskiej, błagając i zaklinając go swym żalonym spojrzeniem. Początkowo lord Kaptur ucieka przerażony, lecz z czasem, gdy odwiedziny stają się coraz częstsze, przyzwyczajają się do towarzystwa ducha kalamarnicy. Gdy czytelnik dowiaduje się coraz więcej o dręczącej Kaptura przeszłości i o losie jego rodziców, staje się jasne, że jest on na równi z kalamarnicą ledwie duchem nawiedzającym własny dom. Koniec końców zaczyna się w nim budzić uczucie do nawiedzającej go kalamarnicy i lord Kaptur przechodzi na poziomie emocjonalnym kalamarotropiczną transformację. Odkrywa, że coś go przyciąga do przepływającej w pobliżu rzeki Moth - a gdy duch jego kalamarnicy objawia się coraz częściej w

poblizu jej nurtu, lord Kaptur zaczyna spędzać coraz więcej czasu w rzece. Wreszcie stopniowo odkrywa, że jest coraz mniej przywiązany do ziemi. W rozdzierającej serce scenie finałowej lord - nie w pełni pobłogosławiony kałamarotropią - zanurza się w wodzie i tonie... Tylko po to, by uwolnić swego ducha, który odnajduje wreszcie jedność z duchem kałamarownicy).

Stang Napole: *Edykt Piąty: podejmujący kwestię, czy aby kałamarownicy winny być obdarzone duszą, spisany przez dwunastego Przędziona Ambergris, Napole'a Stanga*. Truffidiańskie Księgi Religijne Inc.

Stark Rokham: *Szersze przygody w kałamarologii*. Publikacje Tannakera.

Starling Lee D.: *Kałamarnicze zwoje*. Frankwrithe & Lewden.

Starling Lee D.: *Potrany z kałamarnic: Książka kucharska ezoterycznego miłośnika darów morza*. Wydawnictwo Haczyk i Przynęta.

Stiffy Madeline: *Intrygujący przypadek Manzikerta VII i kałamarownicy, która bekata*. Wydawniczy Kolektyw Arkan i Plenerowego Rynku.

(Niegodna i prześmiewcza, a przy okazji zupełnie bezwartościowa fuzja pogłosek, potwarzy i zniesławień).

Stiffy Madeline: *Wywód w sprawie nowej nauki znanej powszechnie jako kałamarologia* (broszurka). Ambergriańskie Towarzystwo Kałamarologiczne.

Stim Zyth: *Sarah Volume (I) i wielka migracja kałamarownic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stim Zyth: *Sarah Volume (II) i tajemnicza kałamarownica z Zortu*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stim Zyth: *Sarah Volume (III) i skarb kałamarownic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stim Zyth: *Sarah Volume (IV) i bezimienna kałamarownica*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stim Zyth: *Sarah Volume (V) i podwodna dolina kałamarownic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stim Zyth: *Sarah Volume (VI) radzi sobie bez kałamarownic*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.



Stim Zyth: *Sarah Volume ósmioramienny tom historii z kalamarnicami do poduszki*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Stindel Bernard: *Obalenie teorii Jessiki Roundtree*. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

Stine Allison (red.): *Miłośnik kalamarnic: Magazyn kalamarniczej tradycji, zbiór najprzeróżniejszych, acz wiele interesujących i powszechnie nieznanych faktów dotyczących wszystkiego, co związane z kalamarnicami i wszelkimi powiązanymi z nimi ludźmi; obecnie, po zmianie układu wewnętrznego, ze sporadycznymi rozrywkami i odstępstwami od podstawowego tematu celem niesienia jeszcze bardziej radosnej lektury*. Wydawnictwo Miłośnika Kalamarnic.

Sumner Geoffrey T.: *Kalamarnica jako podwodny anioł w religijnych objawieniach*. Wydawnictwa Katedry Truffidiańskiej.

Sumner Geoffrey T.: *Matny*. Ecropol Press.

Sumner Geoffrey T.: *Wykonywanie biżuterii z polerowanych dziobów kalamarnic*. Wydawnictwo Sztuka i Rzemiosło (seria Wydawnictwo Rzemiosła Kalamarniczego).

Sumner Geoffrey T.: *Za chmurą atramentu: Biografia enigmatycznego A..]*. Kretchena, Łowcy Kalamarnic. Firma Wydawnicza Miast Południowych.

Tanthe Meredith: *Smak i technika w zbiorach kalamarnic* (broszurka). Towarzystwo Gastronomiczne Miasta Ambergris.

Tribbley Jane: *Hoegbottoński przewodnik po hipomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Umthatch Wiggins: *Hoegbottoński przewodnik po mentulomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Ungdom George: *Anatomia kalamarnicy dla laika* (ilustracje Louis Verden). Frankwrithe & Lewden.

Vielle C.M.: *Klnący Złośliwowargi i kalamarnica: Polip dyptyk*. Frankwrithe & Lewden.

Viper Arnold: *Hoegbottoński przewodnik po mesmeromanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Vosper Robert: *Kolekcja Pausebacka rzadkich książek kalamarnicznych dla dzieci*. Korporacja Małe Książeczki/Wielkie Marzenia.

Willis Sarah: *Księga małych kalamarnic*. Powab Press.

Willis Sarah: *Księga średniej wielkości kalamarnic*. Powab Press.

Willis Sarah: *Księga wielkich kalamarnic*. Powab Press.

Wortbell Randall: *Hoegbottoński przewodnik po mitomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Wrede Christopher: *Chroniczny kałamarotrop, lekarz i gra medycznymi mocy*, „Magazyn Psychologicznych Dolegliwości Powiązanych z Kałamarnicami”, rocznik 377, numer 2. Odludek Press.

Wrede Christopher: *Demaskacja kałamarniczego znachorstwa*. Odludek Press.

Wrede Christopher: *Pleć, ideologia i ruch odnowy ciała w wodzie*, „Współczesne Remedia z Głownogów”, rocznik 21, numer 5. Odludek Press.

Wrede Christopher: *Histeria, kałamarnicza hipnoza i urok niewidocznego: Wzrost znaczenia głowomesmeryzmu w posttrillianiskim Ambergris*, „Biuletyn Historii Badań Głownogów”, rocznik 699, numer 3. Odludek Press.

Wrede Christopher: *Instytucje ograniczenia wolności, szpitale, zakłady psychiatryczne oraz więzienia Miast Południowych*. Odludek Press.

Wrede Christopher: *„Jak mi się zdaje, obaj jesteście konowalami”*: Kontrowersja wynikła pomiędzy doktorem Blentheenem Skrillem a kałamarologiem Croakleyem Lettsomem, „Biuletyn Historii Nauk o Głownogach”, rocznik 689, numer 7. Odludek Press.

Wrede Christopher: *Kałamarologa i spirytualizm w erze pretrillianiskiej*, „Biuletyn Historii Badań Głownogów”, rocznik 700, numer 9. Odludek Press.

Xyskander Melanie: *Hoegbottoński przewodnik po nosomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Yit Florence: *Hoegbottoński przewodnik po nudomanii*. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Yowler John: *Obecny nieobecny ojciec*. Wydawnictwo Badań Nad Grzybami.

(Stary stojący zegar oszczędnie odmierzał mi moje przeznaczenie. Conocne „wezwania do modlitw”, przed którymi nie mógł mnie uchronić).

Yowler John: *Zbity dzieciak: Istota niesprawiedliwości przemocy fizycznej*. Wydawnictwo Z Mlekiem Matki.

(Znany pisarz Sirin wypowiedział kiedyś następujące słowa: „Każda nieszczęśliwa rodzina

jest taka sama. Każda szczęśliwa jest unikalna”. Różne mogą być lania, ale nigdy aż tak poważne jak te, które tu przedstawiono).

Zeel George H.: *Księga kałamarniczości*. Frankwrithe & Lewden.

(To następuje wcześniej, niż mi się zdawało - transformacja, której tak bardzo chcę mi zabronić. Pewnej nocy, mimo iż nie wolno mi tego robić, przemknę pod boki strażników, wysunę się na podwórze, a następnie niepostrzeżenie przeskoczę przez płot i popłynę przed siebie, jak przystoi mojemu nowemu ja...)

Zenith C.N.: *Efektywne techniki budowania suspense*. Frankwrithe & Lewden.

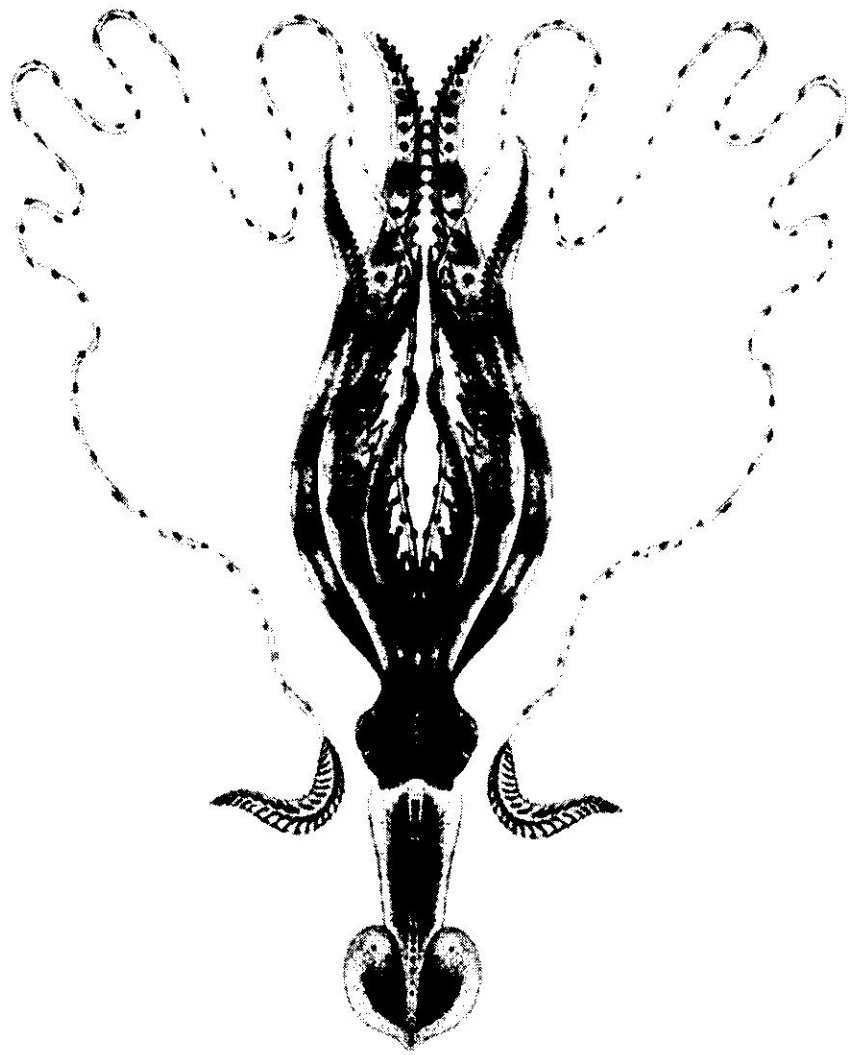
Zither Marianne: *Triumf szaleństwa nad winą*. Frankwrithe & Lewden.

(...W świat oświetlany spadającym z nieba światłem księżycy, by z tą tak słodką, wywołującą dreszcze tęsknotą ruszyć w kierunku Moth. Przez płataninę gałęzi i liści oświetlanych blaskiem księżycy pospieszę w kierunku nurtu rzeki. Mogę ją poczuć, szaleję od zapachu mułu, słyszę, jak pluskają przepływające nią wody. W końcu mam już pod sobą, tuż pod swymi mackami, błoto zaścielające jej brzeg - miękki, a jednak jakże pewny grunt; trawa nie rani dłużej mych ramion. Przez krótką chwilę pozostaję na brzegu, spoglądając hen, w ciemne wody odbijające przepływające nad nimi chmury, i zaledwie obserwuję powolny prąd rzeki, sposób, w jaki woda faluje i płynie... Wspominam swoją matkę, ojca, kałamarnicy lat mojej młodości, obszerną, cichą bibliotekę...)

Zonn Crathputt: *Jak utrzymać niepodzielne zaintrygowanie widowni aż do samego końca*. Frankwrithe & Lewden.

Zzy Veriand: *Satysfakcjonujące konkluzje: Epifanie w kałamarniczych transformacjach*. Frankwrithe & Lewden.

(...I wreszcie, z mającym mnie prowadzić migotliwym światłem bliskich mi kałamarnic, dokonam swego chrztu w tej wodzie, pozwolę jej ponieść się na dno, w kierunku mułu, namoczonych liści, a moje płuca napelnią się esencją życia, mój płaszcz wypełni się wodą, moje trzecie oko niezwłocznie zacznie przeczesywać otaczającą mnie ciemność, wypełniając się luminescencją. Woda pachnie tysiącem najcudowniejszych rzeczy. W jej objęciach jestem lekki niczym piórko. Chciałbym krzyczeć z radości, płakać z radości, gdyż to wreszcie się dzieje. Powoli, bardzo powoli kieruję się w stronę moich braci i sióstr, znikając, niknąc i rozpluwając się ze wzroku doktorów i opiekunów, nieczuły na ich rekryminacje i obwinianie, po raz kolejny stając się tym, czym zawsze miałem się stać...)





POCHWAŁY UPREDNICH DZIEŁ PANA MADNOKA

„Dziękuję za przesłanie mi twojej kolejnej broszurki”.  
Raymond Furness, współautor  
*Nocnych taktyk skradania się do Ofiar Kalamarnic*

„Ilustracje są istotnie wielce interesujące!”  
Vivian Price Rogers,  
autorka *Dręczących Kalamarnic*

„Ta książeczka pozbawiła mnie wszelakich słów”.  
J.P., autor  
*Potworów i tajemnic rzeki Moth*

„Dziękuję za ostatni z twych tomów,  
gdyż potwierdza on wiele z moich własnych teorii”  
Christopher Wrede, autor  
*Demaskacji kalamarnickiego znachorstwa*

# HISTORIA RODZINY HOEGBOTTONÓW

spisana przez Orema Hoegbottona

W starym mieście było nas dziewięcioro. Obecnie pozostała ledwie dwójka: ja i mój brat Myon. Nasi ojciec i matka wiedzieli, co znaczy posiadać ojczyznę, lecz żyli, by na własne oczy zobaczyć, jak odbiera ją Kalif. Swego czasu, dawno temu, zjednoczeni żyliśmy w Yakuda - długiej, szerokiej dolinie, którą przecinała rzeka Dalquin. Obszar był górzysty, więc moi przodkowie za niczym bardziej nie przepadali niż za przejażdżką po rosnących tam gęstych lasach na grzbiecie swych wytrzymałych koni. Nim osiedliliśmy się w tamtej dolinie, zajmowaliśmy tereny wysunięte jeszcze bardziej na zachód, gdzie przez pewien czas byliśmy członkami potężnego Imperium, znacznie przewyższającego obecny zasięg i możliwości Imperium należącego do Kalifa. Niektórzy nawet szeptem wypowiadali czasem słowo „saphanckie”. Byliśmy również znani z naszych umiejętności tkania dywanów oraz złożonych ceremonii, mogących nawet rozciągać się na całe tygodnie, podczas których żegnaliśmy naszych zmarłych. Jednak nim przyszedłem na świat, armie Kalifa wypędziły nas z naszych domów i staliśmy się uchodźcami. Na samym początku utraciliśmy naszą dolinę. Następnie, gdy krążyliśmy po dalekiej północy, unikając w ten sposób śmierci z rąk Kalifa, mróz i lód odebrały nam nasze konie. Gdy wkraczaliśmy na wschodnie ziemie, utraciliśmy również nasze nazwisko - to wtedy właśnie „Hyggboutten” zamieniło się w „Hoegbotton”, by mniej przypominać nazwiska naszych odległych kuzynów, rozmiłowanych w wojnie Haragck.

W poniższej relacji starałem się opisać codzienne życie naszej rodziny oraz to, jak udało nam się przetrwać, a nawet rozwinąć skrzydła.

## Wczesne czasy

Moi bracia i siostry, w tym również i ja, dorastaliśmy w Ulskinder, na południu ziem Skamoo, lecz daleko na północ od Morrow. Ulskinder leżało na południowo-wschodnim brzegu rzeki Geberni, na terytorium, do którego co prawda rościło sobie prawa Imperium Kalifa, lecz które jedynie z rzadka płaciło władcy podatki czy też było odwiedzane przez jego wysłanników. Miasto zbudowano na niekończącej się

równinie, gdzie nie było żadnej ucieczki przed zimnym, wiejącym z nad rzeki wiatrem.

Nasz dom stał przy ulicy ciągnącej się od brzegu Geberni do rynku, a później jeszcze dalej w kierunku większego miasta zwanego Orsha, położonego mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na północ. Mój ojciec, kiedy tylko mieliśmy pieniądze, dobudowywał do naszego domu kolejne pomieszczenia. Z tyłu urządziliśmy sobie olbrzymi ogródek, a na skrawku ziemi przed domem posadziliśmy dwie czereśnie.

Nie mam pojęcia, ilu dokładnie ludzi mieszkało w Ulskinder, lecz pamiętam, że mieliśmy tam wysoki kościół otoczony pięcioma pomniejszymi budynkami, a wszystkie one stanowiły najdalej wysunięte na północ przyczółki wiary truffidiańskiej. Dziesięć tutejszych sklepów zaopatrywało nas we wszelkie konieczne artykuły, a miasta dopełniało dwieście pięćdziesiąt domów i trzy szkoły. Zawsze i wszędzie, nawet przy dokładnie opatulającym nasze miasto cichym całunem śniegu, niosącym tyle niedogodności i tak utrudniającym nam życie, dochodziły nas głosy uczniów, przez całe popołudnie recytujących teksty ze swych ksiązek.

Przeważająca większość nas pracowała wówczas jako zwykli wyrobnicy; mieliśmy w swych szeregach ledwie kilku kupców, mimo iż w tamtym czasie wciąż rośliśmy w siłę. Większość zajmowała się jednak tkaniem szali modlitewnych, koszul i zasłon. Niektórzy parali się wytwarzaniem ikon religijnych, wykorzystywanych przez truffidian w tutejszym kościele, które często zresztą eksportowaliśmy do większych miejsc kultu, leżących dalej na południu. Niektórzy z nas uczyli się zapisywać święte słowa, które następnie wkładaliśmy do wnętrza ikon.

Najlepsi tkacze byli artystami potrafiącymi utkać od dwudziestu czterech aż po trzydzieści dwie nitki w każdym centymetrze materiału. Owi tkacze artyści, rozchwytywani wśród bogatych kupców, zawsze mieli pełne ręce roboty. Wszystko, co wyszło z ich pracowni, nieodmiennie znajdowało nabywcę. Nie było dnia, by na naszym ryneczku nie spotkało się kupców z odległych krain. Ich statki stały zakotwiczone na środku nurtu Geberni, a ich długie łodzie były tak częstym widokiem przy brzegu.

W domu mieliśmy pięć czy sześć stanowisk tkackich. Tkał każdy dorosły, a wkrótce również wynajęliśmy do pomocy kilka dziewcząt, lecz niestety wykonywana przez nas praca nie należała do tych przynoszących stały dochód. Istniała ustalona cena

potrzebnych nam surowców, a każdy sklep kupował je w zamian za wyprodukowany towar, lecz kiedy już włożyliśmy w to naszą ciężką pracę i stworzyliśmy szale modlitewne, ledwie garstka chciała je w ogóle od nas kupić. Dla nas niczym nie różniły się od innych szali. Lecz ludzie zdawali sobie doskonale sprawę, że nie są one truffidiańskie.

Kiedy dorastałem, dostrzegłem, jak chorym człowiekiem jest mój ojciec. Nie był w stanie pracować. W lecie przesiadywał w naszym frontowym ogródku, starając się złapać oddech. W zimie nawet nie ruszał się z domu. Miał ambicję, by przynajmniej jedno z jego dzieci pozostawiło za sobą nasz dawny sposób życia i pobierało nauki na modłę truffidiańskich księży. Chciał w ten sposób awansować rodzinę. To właśnie nasz dawny sposób życia, bardziej związany z ziemią i niebem niżli z ideą Boga, odróżniał nas od pozostałych mieszkańców. Jakby tego było mało, ojciec musiał płacić za te nauki. Zdaję sobie sprawę, że wyjątkowo go to bolało, gdyż jedzenia zawsze było u nas w domu jak na lekarstwo. Nad naszym domostwem nieustannie unosiła się aura ubóstwa. Czasem wysyłano mnie do znajdującego się w pobliskim miasteczku przybytku dla ubogich, gdzie mogłem jadać "dniówki". (Znaczyło to tyle, że każdego dnia tygodnia miałem dostawać posiłek w domu innej bogatej rodziny. Było to zwyczajowym sposobem dopilnowania, by studenci - generalnie ubodzy - codziennie mogli spożyć pełnowartościowy posiłek). Zwykle brakowało mi jednak niektórych „dniówek” i musiałem wtedy chodzić głodny. Wstyd mi było się do tego przyznać i naprawdę głodowałem. Kilka razy, wiedziony nadzieją na zmrożoną rybę, ruszyłem żebrząc od samotnych Skamoo, pojawiających się niczym duchy na zimnych obrzeżach miasta, lecz nieufność, jaką tamci nas darzyli, sprawiała, że znikali, rozmywając się w śniegu, nim zdążyłem się do nich zbliżyć.

Pamiętam, jak ojciec, wychowany w dawnym stylu życia, każdego popołudnia czytał modlitwy ze swych wypłowiałych małych książeczek, mimo iż musiał to robić bardzo ostrożnie i ukrywać podobne lektury podczas obchodów truffidian. Często budził się w środku nocy, pogrążał w myślach i jęczał. Gdy kiedyś zapytałem go, dlaczego tak jęczy, odpowiedział mi, że wszystko to z powodu brzemion, które musi nosić, a znaczyło to tyle, że odkąd Kalif zabrał nam nasze ziemie i zostaliśmy rozrzućeni po całym szerokim świecie, jego dusza nie mogła znaleźć ukojenia.

Nasz ojciec był mądrym człowiekiem. Ludzie przychodzili do niego, prosząc o



rozstrzyganie sporów. Jego wyroki zawsze były dobre dla wszystkich, mimo iż w czasach potrzeby matka złościła się na niego, że odmawia przyjęcia za nie zapłaty. Potrafił również porozumiewać się językiem Skamoo, pomagał więc myśliwym roztrząsać prawa związane z użytkowaniem ziemi. Za podobne usługi przyjmował już jednak pieniądze.

Kiedy spoglądam teraz w przeszłość, przypominam sobie, w jakiej wzajemnej harmonii żyliśmy jako dzieci, nim każde z nas ruszyło własną, oddzielną drogą życia. Istniała w naszych szeregach specyficzna dyscyplina, gdyż bardzo staraliśmy się, by ani słowem nie wspominać o stanie naszego chorego ojca. Względem rodziców czuliśmy wielki szacunek, połączony z wyjątkową empatią dla naszej matki, która nieustannie się nami opiekowała, gotowała i piekła. Zawsze miała pełne ręce roboty i ani chwili wytchnienia.

Przypominam sobie spokój panujący podczas naszych zakazanych świąt, kiedy otwieraliśmy okna, a ci spośród naszych sąsiadów, którzy tylko mieli wystarczającą odwagę w sercach, przychodzili do nas, by wspólnie z nami śpiewać, co czyniliśmy z wielką radością i przyjemnością. (Nigdy nie zapominając o wysłaniu na dach któregoś z chłopców, by siedział tam w ukryciu i ostrzegł nas w razie pojawienia się w pobliżu truffidiańskich księży). Po obiedzie nasz ojciec zniknął, by odpocząć w swoim pokoju, a matka czytała dla garstki kobiet ze zniszczonej książeczki modlitewnej. Już wtedy nasz ojczysty język ulegał zanikowi, gdyż zaledwie znikoma garstka młodych potrafiła w nim czytać, czy też w ogóle przejawiała ochotę, by to robić. Buntowniczo natomiast, wręcz z otwartymi ramionami, przyjmowali wszystko, co przychodziło z truffidianami.

Czasem również, późno w nocy, gdy siedzieliśmy przy kominku, matka opowiadała nam historie o dawnej ojczyźnie, a szczególnie o odważnych atakach na szeregi wrogów, dokonywanych na grzbietach koni. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie te opowieści o naszym oporze stawianym siłom Kalifa mogły być prawdziwe, gdyż inaczej nigdy nie zostalibyśmy wygnani z Yakuda, lecz uwielbiałem ich słuchać. Nim zmuszono nas do opuszczenia doliny, matka była wyśmienitym treserem i poskramiaczem koni. W naszym nowym, przybranym domu nie było potrzeby wykorzystywania takich umiejętności.

Ojciec zmarł w wieku czterdziestu ośmiu lat, w 7590 roku naszego kalendarza. W tamtym czasie mój najstarszy brat znajdował się już w Kretchken, wiosce pod Zamilonem, gdzie zamieszkał z żoną i dzieckiem. Tak więc to ja byłem najstarszy, gdyż mój brat Myon był ode mnie młodszy. Stałem zatem na czele rodziny. (Musiałem wtedy porzucić swe nauki w wierze truffidiańskiej i jakoś specjalnie mi ich nie brakowało).

Lokalne księgi odnotowywały, że moi bracia Myon i Bestrill są bliźniakami. Zgodnie z prawem jako najmłodszy z braci jeden z nich musiał wstąpić do armii Kalifa i los ten przypadł w udziale Myonowi. Lecz Bestrill, przekonany, że Myon okaże się bardziej przydatny i pomocny w domu, zgłosił się za niego na ochotnika. Zginął w jednej z bitew przeciwko armii Stretchera Jonesa, w miejscu o nazwie Thraan. Jak dowiedzieliśmy się później, z listu przesłanego nam przez jednego z jego towarzyszy broni, Bestrill pognął na koniu wprost w ramiona śmierci, gdy jego regiment ruszył na lufy armat. Cieszyłem się, że ojciec nie dożył tej chwili. Po śmierci Bestrilla na miejsce martwego brata wojsko upomniało się o Myona. To właśnie złamało serce mojej matki.

### Zmiany w naszym życiu

Krótko po śmierci ojca, gdy byłem już głową rodziny, pewna organizacja dobroczyńców z Orshy podjęła działania mające na celu pomoc biednym pracownikom z Ulskinder. Zbudowali oni wielki budynek przeznaczony dla wspólnotowego tkactwa. Z Morrow przybył mężczyzna mający zarządzać pracownikami. Nazywał się Frederick Alsomb i był jednym z agentów szanowanych Frankwrithe'a i Lewdena. Podniósł nam stawki i płacił monetami, a nie papierami wymienianymi na żywność w tutejszych sklepach. Jakież dwa-trzy sełe tygodniowo - tyle było nieodzowne dla rodziny, by mogła przeżyć w ubóstwie siedem dni, a on płacił nam po sześć, a nawet po siedem seli na tydzień.

Brakowało im wykańczacza (człowieka przygotowującego wzór), więc zatrudnili mnie na to miejsce, gdyż wiedziałem wszystko o przygotowywaniu wzorów do tkania szali modlitewnych. Nie przypominam sobie, by ojciec kiedykolwiek zajmował się tkaniem jako takim, lecz umiał przygotowywać nici i tę właśnie wiedzę mi przekazał. (Był wielkim mężczyzną i mimo iż w późniejszych latach życia zmizerniał i wynędzniał,

jego dłonie zawsze pozostały szczupłe i zręczne).

Wkrótce odkryłem znacznie szybsze sposoby wykonywania wzorów i Alsomb dał mi podwyżkę. Zatrudnił również u siebie moich krewnych. Mogliśmy więc pozbyć się z domu stanowisk tkackich, a matka musiała wtedy jedynie przygotowywać nam posiłki. Mówiono o nas na mieście: o tym, że kupujemy chleb w piekarni i że jadamy mięso nie tylko od święta. Ale najważniejszy dla mnie był szacunek, jakim nawzajem darzyliśmy się z Alsombem. Każdego ranka, gdy wychodził ze swego biura, dokonując porannej inspekcji pomieszczenia tkackiego, rozmawialiśmy ze sobą przez kilka minut. Kiedy jednak doszły do niego słuchy, że nie jestem truffidianinem, zaczął mnie ignorować.

W tamtym czasie ze wszystkich mieszkańców miasta w szczególności młodzi wsłuchiwali się w słowa wszelkiej maści rewolucjonistów i wyrzutków religijnych. Pojawili się tacy, którzy chcieli zebrać armię i walczyć przeciwko Kalifowi. Tacy, którzy wzywali do świętej wojny przeciwko Morrow. Tacy, którzy chcieli, by burmistrz uznał truffidianizm za oficjalną religię regionu. Każdy był przeciwko Kalifowi, lecz w większości przypadków kończyło się na słowach. Wiedzieliśmy bowiem, że wcześniej czy później szpiedzy Kalifa zajmą się krzyczącymi najgłośniejszymi, a ci rozpląną się w powietrzu. I tak też było - mężczyźni i kobiety znikali ze swych domów, by nigdy już do nich nie wrócić. Krążyły pogłoski, że rozbrzmiewający w więzieniach Kalifa dźwięk śpiewu naszych ludzi nieustannie przybiera na sile.

Tego roku zima okazała się wyjątkowo ostra; z tego właśnie powodu, jak również z powodu niepokojów i zamieszek, otrzymaliśmy niższe wynagrodzenia. Niektórych, w tym i mnie, zwolniono z pracy. Wszystko obróciło się na gorsze i pojawiły się głosy, by przenieść się do Morrow. Lecz taka podróż była wyjątkowo długa i żmudna. Wymagała też sporych pieniędzy. Miałem jednak odłożoną wystarczającą kwotę, by - gdy Myon zdezerterował z wojska - móc mu ją przekazać, tym samym finansując jego podróż do Morrow, gdzie sam miałem później do niego dołączyć. Zabrało mi to więcej czasu, niż myślałem, lecz koniec końców i ja dotarłem do Morrow.

### Życie w Morrow

W Morrow zwykle nie było tak zimno jak w Ulskinder, a otaczające je lasy jako żywo przypominały mi te opisywane przez matkę w historiach o naszych dawnych

ziemiach. Jeszcze w Ulskinder dowiedzieliśmy się, że komuś takiemu jak my, na obcej ziemi, bardzo trudno będzie znaleźć pracę w zawodzie tkacza. Zacząłem się więc uczyć robienia płaszczy. Mój brat Myon był bardziej światowym człowiekiem niż ja, a co ważniejsze, był bardziej wytrzymały i mocniejszy, gdyż zahartowało go wojsko. Pracował jako urzędnik u Frankwrithe'a i Lewdena, dzięki czemu mieliśmy nadzieję, że wkrótce uda nam się zaoszczędzić wystarczająco dużo, by móc sprowadzić do Morrow całą naszą rodzinę. Lecz po kilku miesiącach sytuacja znacznie się pogorszyła. Czasem agenci Frankwrithe'a i Lewdena, postrzegający nas jako konkurencję, otwarcie atakowali nas na ulicach. Myon stracił pracę, przyłączył się więc do mnie w produkcji wierzchnich okryć i podjął się przy tym obowiązków kuriera. Wciąż jednak byliśmy w stanie wysłać pieniądze do domu.

W tamtym okresie przy rynku w Morrow otworzono biuro. Pewni nasi rodacy utrzymywali je, by nieść pomoc pobratymcom chcącym wyruszyć jeszcze dalej na południe, tak by nie wszyscy musieli mieszkać w samym Morrow. Myon udał się tam i doradzono mu, by wyruszył do Nicei. Miał tam znaleźć pracę, bądź też zacząć się parać handlem na tamtejszych „terenach wiejskich” Zdecydowaliśmy, że teraz on uda się samotnie do Nicei, a ja być może wkrótce tam za nim podążę.

W Nicei mój brat jeździł wozem, podróżując nim wiele kilometrów poza miasto, prowadząc po tamtejszych gospodarstwach rolnych handel obwoźny, sprzedając najprzeróżniejsze artykuły codziennego użytku. Kupował je na kredyt w Nicei, a następnie szukał na nie nabywców za gotówkę. Lecz z powodu wciąż panującego kryzysu, rolnicy kupujący jego towary płacili mu masłem, jajkami i kurami.

Kolejna zima okazała się wyjątkowo długa i ostra. Myon nie zdołał wrócić do domu, by nam pomóc, a mój handel drobnymi artykułami od progu do progu rzadko przynosił wystarczającą ilość pieniędzy, by stać mnie było na chociażby jeden posiłek dziennie. Buty miałem w opłakanym stanie, lecz nie mogłem sobie pozwolić na zakup nowych. Oddałem moje miejsce noclegowe na poddaszu, za co zdołałem sobie kupić parę używanych butów i przez dwa kolejne miesiące ukrywałem się na tyłach truffidiańskiej katedry. Czasem, kiedy już nie mogłem znieść uczucia głodu, kradłem chleb. Gdy dopisało mi szczęście, mogłem sobie pozwolić popołudniem na zakup jajka na twardo.

Gdy zima wreszcie minęła, wróciłem do handlu. Przez pierwsze kilka dni tygodnia handlowałem po różnych częściach miasta, pod koniec jednak zawsze wystawiałem przy Dekkle Street, przed stojącymi tam antykwariatami i sklepami z meblami, starając się sprzedać swój towar mijającym mnie przechodniom. Po kilku miesiącach jeden z właścicieli tamtejszych sklepów wziął mnie na bok i powiedział: "Z tego, jak się wysławiasz i zachowujesz, widzę, że jesteś wspaniałym młodzieńcem, chętnym do pracy. Chciałbym sprzedać swój sklep. Nauczę cię wszystkiego, a ty go kupisz ode mnie. Już chyba wystarczająco nahandlowałeś się na ulicy. Będziesz mi płacił tygodniowo bądź miesięcznie". Był to Wolf Shalzan, bardzo życzliwy człowiek, któremu wszystko zawdzięczam.

Gdy kilka tygodni później Myon wrócił do domu, wycieńczony i bez grosza przy duszy, wspólnie przedyskutowaliśmy ofertę Shalzana. Zdecydowaliśmy się ją przyjąć. Nie mieliśmy zresztą wyboru. Dzięki biuru, prowadzonemu przez naszych rodaków, byliśmy w stanie otrzymać pożyczkę, której spłatę rozłożono nam na kilka lat. Kiedy kupiłem sklep, Myon kupił kolejny i zostaliśmy wspólnikami. Trwało to aż do jego ślubu.

Były to dni, kiedy bardzo wielu wysiedlonych ludzi przybyło do Ulskinder; z niektórymi łączyły nas więzy krwi, inni byli naszymi północnymi sąsiadami, również zmuszonymi do ucieczki pod naporem armii Kalifa. Rozeszły się wieści, że udało nam się zarobić więcej niż pozostałym, więc przybywający do miasta mężczyźni i kobiety przychodzili do nas w poszukiwaniu pracy. Nasza zdolność kredytowa prezentowała się całkiem nieźle i dzięki małym bankom udało nam się pożyczyć niemal pięćset seli, które musieliśmy spłacić w przeciągu roku. A ponieważ większość nowo przybyłych stanowili młodzi mężczyźni stanu wolnego, kupowaliśmy im sklepy. Niekiedy również pożyczaliśmy im pieniądze, które, żyjąc oszczędnie, zwracali nam z biegiem czasu. W rezultacie zapewnialiśmy wszystkim nowo przybyłym z Ulskinder wikt i dach nad głową, dopóki nie stanęli na własnych nogach. Taki był właśnie początek i najistotniejszy powód tego, że tak wielu nowych imigrantów stawało się właścicielami sklepów w Morrow.

Stopniowo nasza własna rodzina również przeprowadziła się z Ulskinder do Morrow. Kiedy przybyła nasza matka, z naszą siostrą Praidal i młodszym kuzynem Itchi, całe nasze życie odmieniło się na lepsze. W miejscu, gdzie nowo przybyłych poddawano

kontroli, oficjele i lekarze rozmawiali z każdym z osobna w ich ojczystym języku. Praidal i Itchi natychmiast zostali przepuszczeni, lecz naszą matkę tam zatrzymano. Chwilę bowiem zajęły im badania jej wzroku. Obawiano się, by napływający obcy nie przynieśli ze sobą do miasta jakiejś choroby. Wiedzieliśmy o tym i rozumieliśmy, byliśmy zadowoleni, a później o tym zapomnieliśmy. Kiedyś jednak, już jakiś czas później, mieszkająca z Praidal matka opowiedziała podczas jednej z rozmów z innymi kobietami, jak to w czasie badania lekarz zapytał, co też sprowadzają do miasta. Gdy odpowiedziała mu, że przyjechała do swych synów, Hoegbottonów, natychmiast, bez żadnych przeszkód, puścili ją w dalszą drogę. Nie było to prawdą, lecz pokazuje, jak bardzo była z nas dumna.

Przygotowaliśmy dom, by Praidal i matka mogły w miarę komfortowo żyć. Jako że nie byłem żonaty, przyjąłem je do siebie. Byliśmy wtedy bardzo szczęśliwi. Gdy Praidal wyszła za męża, matka przeniosła się do niej. Zwykle odwiedzałem je w tygodniu. Matka z kolei często odwiedzała nas w naszych sklepach i przyjmowała od nas pieniądze, które wysyłała swej biednej siostrze mieszkającej z mężem w Nysimi (dalekiej zachodniej prowincji Imperium Kalifa). Jeszcze gdy mieszkaliśmy w Ulskinder, poczuwała się do obowiązku niesienia pomocy swej siostrze, której nie wiodło się tak dobrze jak nam. Kiedy wychodziła na rynek, zwykle w drodze powrotnej zatrzymywała się w pełnym dzieci domu siostry (nim ta jeszcze przeprowadziła się do Nysimi), gdzie przed wyjściem na ogół pozostawiała odrobinę żywności. Wszyscy z wyjątkiem naszego ojca zdawaliśmy sobie z tego doskonale sprawę, lecz nigdy żadne z nas, dzieci, nie zdradziło się tym przed nim ani słowem.

Przez pewien czas nasza matka była całkiem zadowolona z życia. Wysyłała pieniądze i listy do siostry, otrzymywała od niej listy. Było tak do chwili wybuchu kilku wojen Kalifa, skierowanych przeciwko jego własnym poddanym. Wtedy właśnie korespondencja z Imperium gwałtownie się urwała. Z Ulskinder przestały nadchodzić listy, a matka zaczęła chodzić podenerwowana. Wszyscy zapewnialiśmy ją, że przerwa potrwa zaledwie kilka miesięcy. Tak właśnie wówczas sądziliśmy. Lecz z każdym kolejnym mijającym bez wieści miesiącem matka stawała się coraz bardziej zatroskana i zmartwiona. To zupełnie ją odmieniło.

Przez długie godziny mogła przesiadywać w swoim pokoju, zwykle nie odzywając się wtedy ani słowem. Pewnego wieczora, gdy wszyscy miło rozmawialiśmy sobie,

siedząc w jadalni, przygnębiona matka wyszła ze swego pokoju i ze łzami w oczach zapytała nas, jak to możliwe, że nie pozwalają jej otrzymywać listów od siostry. Poprosiła, byśmy wszyscy jak jeden mąż ruszyli bezpośrednio do Kalifa i zapytali, dlaczego dopuszcza do takich rzeczy, dlaczegoż to siostry przez tak długi czas mają pozostawać bez wieści od siebie. Jakże w ogóle mógł on pozwalać na coś takiego!? W jej pytaniu było aż tyle cierpienia i udręki, że wszyscy zostaliśmy schwyceni w szpony bólu, którego nie potrafiliśmy znieść.

Kilka dni później po raz pierwszy od przybycia do Morrow doświadczyliśmy śmierci w rodzinie. Jakoś już na zawsze w swej pamięci będę łączył ze sobą oba wydarzenia: śmierć, o której mowa, i cierpienie matki. Praidal zachorowała, gdyż zjadła pszenicę skażoną jakimś grzybem. Inni powrócili do sił, lecz u niej choroba się rozwinęła. Sprawiała, że chora nie była w stanie zatrzymać w sobie jedzenia, i zmieniła kolor jej skóry w przezroczystą wręcz bladość. Praidal zmarła po czterech dniach. Dla wszystkich był to szok. Opłakiwaliśmy ją przez wiele kolejnych dni. Przeżyliśmy razem tak wiele i przebyliśmy tak długą drogę, że chyba byliśmy przekonani, iż już wszystko uda nam się przetrwać. Obmywając jej ciało przed złożeniem do grobu, zdając sobie sprawę z trudów życia, jakie musiała znosić i cierpieć w Ulskinder, nie byłem w stanie jej zapomnieć. To właśnie wtedy, na cmentarzu, gdy mocno tuliłem do siebie matkę, po raz pierwszy opłakiwałem dawną ojczyznę.

### Co było potem

Obecnie wszyscy z pierwszego pokolenia Hoegbottonów doczekali się już potomstwa, a dzięki małżeństwom kolejni Hoegbottonowie wplekli się w rozległą tkaninę innych rodzin i miasta. Z powodu nieprzyjaznego zachowania względem nas agentów Frankwrithe'a i Lewdena musieliśmy ruszyć dalej i rozproszyć się jeszcze bardziej. Udaliśmy się do Nicei, do Stockton, a nawet, gdy piszę te słowa - dotarliśmy aż do Ambergris. Z dziewięciu osób w naszym pokoleniu większość odeszła już do wieczności, w tym również moja matka, która opuściła nas zaledwie przed dwoma laty. Nasze dzieci, jak również ich dzieci, nie wiedzą już, kim są, i nie mają nawet świadomości, skąd wzięły się w Morrow. Są tutaj i tyle w zupełności im wystarczy. Różnią się od nas - są bystrzejsze i mniej zycziwe (jednak zapewne śmiałyby się, gdyby tylko przeczytały te słowa).

Niektórzy z nas wciąż jeszcze żyją w Yakuda, które od wielu już lat znajduje się pod panowaniem Kalifa. Nie dochodzą do nas od nich żadne wieści, lecz odkąd tocząca się tam wojna dobiegła końca, wysyłamy pieniądze mieszkającym tam bliskim.

Pewnego razu podjęliśmy próbę przesłania większej sumy pieniędzy, korzystając z pomocy ministrów Kalifa. Powiedzieliśmy, że to dla wszystkich żyjących w Yakuda, nawet dla tych przesiedlonych z innych, bardziej odległych ziem, którzy pomogli w naszym wypędzeniu z tamtych terenów. Zrobiliśmy tak, by nie budzić w nikim urazy.

Nie pamiętam dokładnie kwoty wysłanej sumy, lecz wiem, że była wysoka. Wiem również, że nigdy nie dotarła na miejsce przeznaczenia. Po jakimś czasie jeden z przywódców Yakuda - blady człowiek, którego rodzina musiała pochodzić z bardzo dalekiego zachodu - przybył do nas do Morrow. Zwołaliśmy spotkanie. Był dobrym mówcą. Przemawiał bardzo, bardzo długo. Powiedział, że Kalif wie lepiej, kto jest w potrzebie, i skoro ministrowie Kalifa nie przekazali tych pieniędzy ludziom w Yakuda, to z pewnością były one bardziej potrzebne w jakimś innym miejscu. Tacy byliśmy naiwni. Wciąż nie doszły do nas doniesienia o okrucieństwach dokonywanych w imieniu Kalifa, wciąż nie wiedzieliśmy, że wielu spośród rzeszy pozostałych w Yakuda miało zostać w ciągu najbliższych kilku miesięcy przesiedlonych bądź pomordowanych.

Wiele lat później, gdy represje ucichły, staraliśmy się czegoś dowiedzieć o Yakuda. Jako ostatnią deskę ratunku słailiśmy listy do regionalnego administratora tamtych terenów. Jednak nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Później do naszych uszu doszła historia, jakoby Kalif zbudował zaporę na rzece, zatapiając całą dolinę. To było bardzo dziwne uczucie, dowiedzieć się, że nasza ojczyzna została oddana wodzie - nasze domy, miasta, to wszystko zostało zalane i znalazło się po wodą. Przez całe lata powtarzałem ludziom, że ta historia nie jest prawdziwa. Lecz ostatnio uświadomiłem sobie, że i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Nie pozostał tam bowiem żaden Hyggboutten.

Ostatnio od wielu dni nawiedza mnie pewien sen, właściwie będący zapewne nie tyle snem, ile życzeniem. Chciałbym móc się nim podzielić z moimi dziećmi, ale nie wiem, czy cokolwiek by dla nich znaczył. Obawiam się, że mógłby nie znaczyć nic.

We śnie, o którym mowa, jadę konno u boku mych braci doliną, której nigdy nie



widzieliśmy. Nasze konie wspinają się pod górę wzniesień okalających rzekę. Nasi rodzice galopują przed nami, staramy się więc ich dogonić. Słońce rzuca cień między liśćmi drzew. Jadąc, śmiejemy się, a krzewy smagają nas po nogach osłoniętych skórą. Rzeka jawi się nam linią srebrnego światła, hen daleko w dole. Konie mkną wyjątkowo szybko. A my jesteśmy szczęśliwi, tak bardzo szczęśliwi, gdyż jesteśmy w domu.



# KLATKA



## 1

W obszernym pomieszczeniu znajdowały się następujące rzeczy (niektóre z nich zostały później skatalogowane na wyblakłych, tu i ówdzie delikatnie poznaczonych pleśnią, żółtych kartkach papieru, skrepowanych niebieskimi liniami):

- 24 pudła do przewodzek, poustawiane w stosy po trzy. Na szczycie jednego z nich stoi
- 1 wypchany czarny łabędź o obwiązanych krwistoczerwonych nogach i wydłubanych szklanych oczach. Z jego pustych oczodołów wypływa zmierzwiona fala waty (a może jednak grzyba?). Ptak ten jest zaledwie forpoczta dla
- 5325 eksponatów pochodzących z odległych krain, porozmieszczanych na półkach biegnących wzdłuż wszystkich czterech ścian pomieszczenia, jak również wybiegających na przyległe doń korytarze. Są one oświetlone czymś, co można jedynie opisać słowami „czarne światło”, gdyż niby je oświetla, lecz nie rozprasza panującego mroku. Opalizujące truchła drożdów, unoszące się w bursztynowych butelkach, dogłębnie zbadane szczątki ciał meduz, jasnookie drobne ssaki o ciałach zmrożonych w dość kruchych pozach, których spojrzenie delikatnie wyraża pamięć o katastrofie. Smród chemikaliów, słabo wyczuwalny zapach krwi oraz

- 1 fonograf marki manzikert, w doskonałym stanie, wetknięty pomiędzy ostre czarne zęby 11 połamanych płyt a
- 8 oprawionych w ramki dagerotypów przedstawiających rodzinę, która kiedyś zamieszkiwała tę posiadłość. Wakacje na Wyspach Południowych. Rozstawieni przez fotografa przed żywopłotem. Błogo rozmarzeni na frontowym ganku. Zdjęcie, które najbardziej przypadło mu do gustu, przedstawiało siedmio-, może ośmioletniego chłopca, który wystawia język. Twarz dziecka ożywia dzika radość. Ramka jest popękana, w lewym dolnym rogu widać smugę krwi. Fonograf, płyty i dagerotypy stoją na blacie
- 1 długiego dębowego stołu przykrytego ciemnozielonym suknem, które nie jest jednak w stanie ukryć wybrzuszenia rozłupanej powierzchni jego blatu. Wokół stołu stoi
- 8 dębowych krzeseł o nogach osłoniętych srebrnymi lwimi łapami. Krzesła pochodzą jeszcze z okresu poprzedzającego panowanie Trilliana Wielkiego Bankiera. Gdy dostrzega ich z maltretowany stan, wskazujący, przez co musiały przejść podczas użytkowania, nie jest w stanie się powstrzymać i wykrzywia twarz. Nie może też nie zauważyć
- 1 stojącego zegara o popękanej, pochłapanej krwią szklanej tarczy, której wskazówki zamarły tuż przed północą. Z bliżej nieokreślonego miejsca wewnątrz zegara dochodzi słabe przytłumione tykanie, jakby wskazówki znów chciały się poruszyć. A tuż pod zegarem
- 1 haftowany dywanik, najprawdopodobniej utkany na północy, zapewne gdzieś w okolicach Morrow, który być może nawet wyszedł spod ręki jednego z jego przodków. Przedstawia przybycie do Ambergris odsieczy kawalerii Morrow w czasie Ciszy. Zarówno konie, jak i jeźdźcy otoczeni są aureolą krwi, którą w innym świetle można by uznać za fragment utkanego wzoru. Jednak żadne światło nie jest w stanie ukryć
- 1 regału na książki, wykonanego z lakierowanego drewna, zastawionego, zapchanego wręcz, poranionymi i zniszczonymi tomami, które wyglądają,

jakby coś rozdarło im grzbiety, pozostawiając w powstałych w ten sposób szerokich bruzdach krew. Tuż obok regału stoi

- adwokat, ubrany na czarno. Nos i usta zasłania mu wykonana z materiału maska, będąca dość popularnym środkiem używanym przez wszystkich przekonanych co do istnienia „Niewidzialnego Świata”, który to tak niedawno odkryli naukowcy Kalifa. Zdenerwowany, roztrzęsiony i zmęczony, jego oczy gwałtownie mrugają znad maski. Stoi tuż obok

- bladej i wyjątkowo szczupłej kobiety w białej sukni. Jej wąskie oczy nawet nie mrugną, a eteryczność jej spojrzenia gdzieś w oddali tka pajęczyny. Zupełnie niedawno odrąbano jej dłonie. Za koniec zakrwawionego bandaża skrywającego jej lewy kikut trzyma

- blady, mizernie wyglądający chłopiec z tak szeroko otwartymi i drgającymi oczami, że przypominają bliźniacze zegarki kieszonkowe. Z końca drugiego ramienia chłopca zwisa niewielka, zielononiebieska walizeczka. Dziecko trzyma ją za uchwyt w sposób dorównujący delikatnością spojrzeniu matki. Jego nogi, ubrane w popielate spodnie, trzęsą się. Wpatruje się w

- metalową klatkę niemal metrowej wysokości, której kształt jako żywo przypomina te przysadziste łuski armatnie, którymi tak niedawno wojacy Kalifa podczas nieszczęsnej Okupacji obsypali całe miasto. Jej wnętrze kryje przed wzrokiem turkusowo-zielona narzuta. Spojrzenie, którym chłopiec obdarza klatkę, wymaga od niego wykręcenia ramion i szyi na prawo, któremu towarzyszy równoczesne uniesienie i odgięcie głowy do tyłu, czym zwraca na siebie uwagę

- Roberta Hoegbottona, eksportera-importera, wiek trzydzieści pięć lat; ani szczupłego, ani tęgiego, ani przystojnego, ani brzydkiego. Ubrany w jednokolorowy szary garnitur, który, jak ma nadzieję, nie demonstruje ani nadmiernej wyobraźni, ani jej braku, również przywdział wykonaną z materiału maskę, która przysłania jego (drobny) nos i (szerokie, sardoniczne) usta, choć nie nosi jej z tych samych powodów co adwokat. Hoegbotton uważa

bowiem podobne maski za oznakę słabości, niewygodę, zwykły przesąd. Jego spojrzenie podąża za wzrokiem chłopca w górę, ku wnęce znajdującej się mniej więcej w połowie wysokości ściany, gdzie na parapecie

stoi klatka. Ciemne, wąskie okno odbija igiełki deszczu przez cylindryczne, zielone szkło. W znajdującym się na zewnątrz Ambergis króluje właśnie pora opadów. Padający deszcz nie popuści przez wiele najbliższych dni z rzędu. Niebo od panującej wilgoci przybrało niebiesko-zielono-szarą barwę. We wszystkich zakamarkach miasta wychyną z ukrycia nabrzmiałe ciała grzybów, tak grube i tłuste, tak pełne spór. A nic na sinym niebie nie odsłoni przed mieszkańcami faktu, czy mają już ranek, południe, czy też może zapada właśnie zmierzch.

Adwokat coś mówił, a robił to od pewnego czasu, który Hoegbottonowi zdawał się raczej dłuższym.

- Ten czarny łabędź, na przykład, jest w złym stanie - powiedział Hoegbotton tylko po to, by wybić tamtego z rytmu, by spowolnić to niekończące się trajkotanie.

Adwokat przetarł swe zroszone potem czoło, używając w tym celu chusteczki zabarwionej bladą zielenią.

- A tak, ten ptak. Jest w doskonałym stanie - stwierdził. - Brak mu, tak, co prawda, oczu. Tak, tak, to prawda. Ale... - Tu ruchem dłoni omiótł otaczające ich ściany. - ...Z pewnością doceniasz bogactwo kolekcji Daffeda.

Thomas Daffed. Ostatni z długiej linii słynnych zoologów. To właśnie jego żona i syn stali obok adwokata. Ostatni, którym udało się przeżyć z rodziny liczącej kiedyś sześć osób.

Hoegbotton zmarszczył czoło.

- Ale tak naprawdę nie potrzeba mi tej kolekcji. To piękny zbiór, w rzeczy samej wręcz doskonały... - I mówiąc te słowa, dokładnie tak myślał, bowiem doceniał i szanował człowieka, który z taką determinacją, a być może nawet wręcz obsesyjnie, potrafił zgromadzić tak różnorodną, a równocześnie tak spójną kolekcję. - ...Lecz przeciętny klient przychodzący do mojego sklepu potrzebuje garnka, parasola,

ewentualnie piecyka. Od czasu do czasu trafiają mi się tam jakieś pojedyncze osobliwości czy różne ciekawostki, ale kolekcja tych rozmiarów? - Hoegbotton wzruszył ramionami w ten słynny już sposób, udoskonalony wieloma latami targowania się z innymi.

Adwokat wpatrywał się w Hoegbottona, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Cóż, jak więc w takim razie brzmi twoja oferta? Co zamierzasz stąd zabrać?

- Wciąż to jeszcze kalkuluję.

Adwokat gwałtownym szarpnięciem poluzował swój kołnierzyk.

- To trwa już przeszło godzinę. A widzisz przecież, że moi klienci nie czują się najlepiej! - Adwokat pocił się obficie. Jego skóra stawała się bladozielona. Jednak wbrew wylewanym z siebie strugom potu sprawiał wrażenie wręcz wysuszonego. Maską wybrzuszała się i cofała pod wpływem samej tylko gwałtowności wypowiedzianych przez niego słów.

- Przykro mi z powodu waszej straty, z powodu wszelkich doznanych przez was strat - zwrócił się Hoegbotton do matki i syna, stojących tuż obok niego w niemej akceptacji własnego losu. - To nie potrwa już długo. - Podobne słowa nigdy nie brzmiały szczerze, niezależnie od tego, z jak szczerym zamiarem je wypowiadał.

Adwokat wydał z siebie odgłos plasujący się gdzieś pomiędzy jękiem a zadławieniem, którego Hoegbotton nie starał się nawet zaklasyfikować czy bliżej określić. Jego myśli powróciły do znajdujących się przed nim rzeczy - dywanika, zegara, regału, fonografu, stołu, krzeseł. Jaką też cenę mogliby zaakceptować?

Hoegbotton nie dołączyłby klatki do dokonywanych właśnie kalkulacji, gdyby nie wzrok chłopca, który szaleńczo, raz za razem, góra-dół, przeskakiwał w jej kierunku, przesuając się w sposób wyjątkowo podobny do tego, w jaki spojrzenie kupca ślizgało się po rozłożonych przed nim pozostałościach sukcesu, który przeobraził się w kompletną klęskę. Ze wszystkich zgromadzonych tu niewiarygodnych rzeczy - do których należało zaliczyć też jego matkę - chłopiec najbardziej obawiał się klatki, przedmiotu, który nie mógł zranić go bardziej niż chociażby zwisająca mu z ramienia zielona walizeczka.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy ciało Hoegbottona przebiegła fala smutku z powodu dziecka, wychwycił on również delikatność srebrnych rytów na nogach krzesel; zdecydowanie były one pretrilliańskie.

Wpatrywał się w chłopca, dopóki ten nie odpowiedział mu tym samym.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś już bezpieczny? - Zapytał odrobinę za głośno, choć wypowiedziane słowa przytłumił materiał zasłaniający mu usta. Echo poszybowało hen w górę, ku wysokiemu sufitowi, skąd odbijając się od świetlików, opadło w wyższym tonie.

Chłopiec nic nie odpowiedział. I miał ku temu pełne prawo. Właśnie bowiem na zewnątrz w ramach środków ostrożności palono ciała jego ojca, brata i dwóch siostr. Ciała te zresztą i tak były zbyt pokaleczone, by je wystawić na widok publiczny przed ewentualnym pogrzebem. A również i dalszy los chłopca nie należał do pewnych i jasnych. Czasem bowiem i ci, którym udało się przeżyć, nie żyli później zbyt długo.

Nic nie mogło zapewnić bezpieczeństwa. Wśród mieszkańców miasta pojawił się co prawda potężny pęd do kupowania domów pozbawionych piwnic, czy też tych stojących na kamiennych podłogach, lecz nikt, przynajmniej do tej pory, nie udowodnił, czy podjęcie takich kroków, lub jakichkolwiek innych, w ogóle cokolwiek dawało. Przypadkowa natura wydarzeń, połączona z ich sporadycznym występowaniem, narzuciła mieszkańcom Ambergris pewne poczucie fatalizmu.

Wreszcie cierpliwość adwokata wyczerpała się. Stał niewygodnie blisko Hoegbottona, który poczuł na sobie jego kwaśny i ciężki oddech.

- Jesteś wreszcie gotowy? Miałeś więcej czasu niż to konieczne. Mam może jednak posłać po Slattery'ego i Ungdoma? - Jego głos zdawał się bardziej zniekształcony, niż mogłaby to wyjaśnić obecność maski na twarzy, jakby znalazł się właśnie w szponach nowego, prawdopodobnie śmiertelnego poruszenia.

Hoegbotton cofnął się o krok przed srogim spojrzeniem adwokata. Nazwiska głównych rywali wywołały u niego pulsowanie niewielkiej żyłki na lewej powiece. Szczególnie nazwisko Ungdoma - zwalistego i górującego nad nim Johna Ungdoma,

posiadacza szerokiego brzucha nasączonego alkoholem i smalcem.

- Jeśli tylko chcesz, to ich tu sobie wzywaj - powiedział, odwracając wzrok.

Spojrzenie adwokata wwierciło się w jego policzek, a wtedy ta widoczna w jego wnętrzu zgniła i wstrętna obecność rozplynęła się i znikła. Adwokat opadł na jedno z krzesel. Stając się zaledwie wielką rozmazaną plamą człowieka.

- Zresztą i tak jestem niemal gotowy - dodał Hoegbotton. Żyłka na powiece nie przestawała mu pulsować. A pewne było, że ani Slattery, ani Ungdom nie pojawią się tutaj. Ze strachu. Bowiem ich oddanie wykonywanej pracy nie było ani pełne, ani wystarczające, ani adekwatne. Hoegbotton wyobraził sobie, jak jego najwięksi rywale wyruszają z domu wprost w strumienie zacinającego deszczu. Wyobraził sobie, jak ostre niczym brzytwa porywy wiatru rozrywają ich na strzępy.

- Opowiedzcie mi o klatce - zaczął nieoczekiwanie, sam zdziwiony i zaskoczony wypowiedzianymi właśnie słowami. - O tej, tam w górze. - Wskazał dłonią. - Też jest na sprzedaż?

Ciało chłopca naprężyło się ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hoegbottona, kobieta odwróciła się i spojrzała na niego. Miała czarne niczym otchłań oczy, które nie mrugały i niczego nie odbijały. Przez krótką chwilę poczuł się, jakby stał niebezpiecznie i niepewnie zrównoważony między trwogą syna a uważnym spojrzeniem matki.

- Klatka zawsze była otwarta - powiedziała zgrzytliwym głosem, jakby coś utknęło jej w gardle. - Mieliliśmy ptaszka. Zawsze pozwalaliśmy mu latać po domu. Był piękny. Latał sobie po pokojach tuż pod samym sufitem. On... Nikt nie potrafił go znaleźć. Kiedy było już po wszystkim. - Przerazające ciśnienie słów „po wszystkim” okazało się dla niej zbyt wielkie i znów zamilkła.

- Nigdy nie mieliśmy klatki - powiedział chłopiec, kołysząc swą ciemnozieloną walizeczką. - Nigdy nie mieliśmy ptaszka. To oni ją tu zostawili. To ONI ją zostawili.

Dreszcz, który nie był spowodowany przeciągiem, przebiegł ciałem Hoegbottona. Jego wzrok przyciągnęło senne spojrzenie świńskich embrionów unoszących się w słojach. Czyżby to była okazja? A może raczej przekleństwo?



Wartość pozostawionego przez NICH artefaktu byłaby znacząca. Równie wielkie jednak wiążące się z nim ryzyko. Dziś po raz trzeci w przeciągu ostatnich dziewięciu miesięcy wezwano go do domu odwiedzonego przez szare kapelusze. Przy każdej z poprzednich wizyt udało mu się wymknąć bez szwanku. W rzeczywistości zaczął wierzyć, że późne przybycie na miejsce zdarzenia jest bezpieczne i nie prokuruje żadnych efektów ubocznych. Lecz nawet i wtedy nawiedzały go chwile niepokoju. Tak jak ostatnim razem, w poprzednim z odwiedzonych domów, gdy idąc białym korytarzem prowadzącym go do miejsca, w którym już czekały na niego rzeczy, dostrzegł serię ciemnych smug, śladów i plam krwi. W połowie drogi zauważył na podłodze lśniący, ciemny kształt czegoś, co przypominało kawałek wysuszonego owocu. Kierowany ciekawością, chcąc przyjrzeć się z bliska, nachylił się nad nim - tylko po to, by się wzdrygnąć, zerwać na nogi i niezwłocznie odskoczyć z obrzydzeniem, gdy uświadomił sobie, że leży przed nim ludzkie ucho.

Tym razem to adwokat przeżył głęboki wstrząs. Według rozgadanego posłańca, który przyniósł Hoegbottonowi polecenie przybycia do tej posiadłości, adwokat pojawił się tu wczesnym popołudniem, by odnaleźć zarówno martwe ciała, jak i tych, którym udało się przeżyć. Ręce i nogi, powtykane między pełne okazów słoje, poustawiano w złożone układy, świadczące o wyjątkowo perwersyjnym poczuciu humoru.

Światło odbijało się miękko od okna. Cisza pogłębiła się, stając wręcz absolutną. Wszędzie wokół, z każdej ze ścian, obserwowały się nawzajem martwe rzeczy - kakofonią spojrzeń, które widziały wszystko, lecz niczego nie pamiętały. Na zewnątrz bezustannie padał deszcz.

Mrowiące uczucie podpełzło ukradkiem w koniuszki palców Hoegbottona. Cena zmaterializowała mu się w głowie w lśniących szczegółach.

- Dwa tysiące seli. Za wszystko.

Adwokat westchnął, niemal zapadł się w sobie. Kobieta zamrugła gwałtownie oczami, jak gdyby zdziwiona jego słowami, po czym wbiła w niego spojrzenie pełne nienawiści, tym bardziej prawdziwej, że tak odległej. Wszystkie

uprzednie protesty adwokata, czy też nawet strach przejawiany przez chłopca, były niczym w porównaniu z tym spojrzeniem. Czerwień, która znaczyła koniuszki jej ramion, przybladła, jakby białe bandażę zaczęły goić rany.

- Trzy tysiące seli, jeśli dorzucicie do tego klatkę - usłyszał własny głos. I nieoczekiwanie sobie uświadomił, że wcale nie kłamie: chciał ją mieć.

Adwokat, starając się teraz zamaskować jakies bliżej nieokreślone wewnętrzne cierpienie, zachichotał i stwierdził:

- Sprzedane. Ale sam będziesz się musiał zająć transportem, bo ja nie czuję się najlepiej. - Materiał maski mężczyzny niemal niepostrzeżenie poruszał się tam i z powrotem wraz z jego oddechem. Do pomieszczenia wkradł się kwaśny odór.

Stojąc już na drabinie, poczuł chwilowy zawrót głowy. Cały świat zawirował wokół niego, a następnie zatrzymał się w miejscu, gdy Hoegbotton znów ruszył pod górę. Wyjrzał na parapet i tuż obok klatki napotkał spojrzenie dwojga wpatrujących się wprost w niego oczu.

- Do manzikerta! - Wysyczał. Odskoczył i niemal tracąc równowagę, zamachał rękoma w powietrzu; udało mu się jednak opaść, by oprzeć się o drabinę... I wtedy uświadomił sobie, że ma przed sobą po prostu brakujące szklane oczy łabędzia, które umieścił tu jakiś żartowniś. Ani przez chwilę jednak nie rozważał, kim też mógłby się okazać taki kawalarz. Wstrzymał oddech, starając się przełknąć niepokój, tak bardzo ciężący mu na ramionach, języku i powiekach.

Klatka znajdowała się na prawo od niego, w pewnym oddaleniu, więc wychylając się wolno w jej kierunku, był wyjątkowo mocno i wyraźnie świadom konieczności zablokowania swych nóg o boki drabiny.

W dole adwokat i chłopiec rozmawiali ze sobą, lecz ich głosy wydawały się przytłumione i odległe. Zawahał się. Co też mogło kryć w sobie wnętrze klatki? Jaka potworność o wiele większą niż odcięte ludzkie ucho? Ogarnęło go dziwaczne przekonanie, że gdy pociągnie za sznurek, odkryje w środku odciętą głowę Thomasa Daffeda. Lecz przecież dostrzegał pod nakryciem materiału pręty klatki. Cokolwiek

było w środku, musiało tam pozostać. Teraz, gdy klatka stała się jego własnością, jego nowym nabytkiem, nie zamierzał poddawać się tym samym nerwowym podszeptom co Slattery czy Ungdom.

Zasłonka klatki w przyciemnionym świetle zdawała się posypana świecącym zielonym pyłem. Posiadała również sznureczek, mający odsłaniać ją jak kurtynę. Nagłym pociągnięciem rozsunął ją na boki - i wzdrygnął się, po raz kolejny nieomal spadając z drabiny, gdy poczuł na twarzy podmuch powietrza spowodowany, jak mu się zdawało, jakimś poruszeniem wewnątrz klatki. Krzyknął. A wtedy uświadomił sobie, że niczego w niej nie ma, że jest pusta. Na chwilę zamarł i ciężko oddychając, wpatrywał się w klatkę. Nic. Pustka. Nic w niej nie było. Z najskrytszych zakamarków jego ciała powoli zaczęła się wygrzebywać ulga, za którą tuż-tuż podążało jednak uczucie zawodu. Pusta. Ledwie kilka słomek zaścielających dno. I zwisająca z tyłu niczym refleksja, kołysząca się tam i z powrotem żerdź, której ruch z pewnością wywołała gwałtowność, z jaką odsłonił zasłonkę. Zatrzaskiwane drzwiczki, przesuwane po specjalnych szynach, ciągnęły się wzdłuż całej wysokości klatki, wynoszącej metr od podstawy do zwieńczenia. Poplamione zielenią metalowe pręty przyozdobiono bardzo misternymi żłobieniami, będącymi najbardziej finezyjną i kunsztowną robotą, jaką kiedykolwiek dane mu było widzieć - przedstawiały złożone, drobiazgowo wykonane kwiaty i pnącza winorośli, którym towarzyszyły małe postacie, wyglądające z pełnego grzybów tła. Mógł ją spokojnie sprzedać za cztery tysiące seli, wystarczyło tylko odpowiednio ją zaprezentować i zachwalić.

Spojrzał w dół, w mrok rozpraszany jedynie garstką świecących lamp.

- Jest pusta! - Wykrzyknął do stojącej tam trójki. - Nic w niej nie ma. Ale i tak ją biorę.

Z dołu dopłynęła do niego niedająca się rozszyfrować odpowiedź. Gdy starał się zogniskować wzrok na rozgrywającej się pod nim scenie, odległym adwokacie siedzącym na krześle i nieustannie stojącej dwójce, przez krótką, przerażającą chwilę wydało mu się, że się roztapiają. Chłopiec zdawał się spajać z trzymaną w dłoni

walizeczką, której zieleń była teraz wręcz nie do oddzielenia od bieli trzymającego ją drobnego ramienia. Kikuty kobiety stały się wręcz niemożliwie białe, jak gdyby wyrosły jej nowe kości. Sam zaś adwokat jawił się ledwie rozmazaną plamką zieleni.

Stanąwszy ponownie na ziemi, Hoegbotton w żaden sposób nie był w stanie powstrzymać drżenia.

- Na jutro, jak tylko wszystko skataloguję, przygotuję konieczne papiery - rzekł.

A wszędzie wokół, na oparciach krzeseł, na stole, na szczycie biblioteczki, pojawiły się białe grzybki o cieniutkich nóżkach i czerwonych blaszkach.

Siedzący na krześle adwokat chichotał, nie potrafiąc nad tym zapanować.

- Miło było was spotkać - powiedział Hoegbotton, wycofując się tyłem w kierunku drzwi prowadzących do pomieszczenia, które z kolei prowadziło do następnego pomieszczenia, to z kolei do jeszcze jednego, i następnego, i kolejnego, które, miał nadzieję, wyprowadzi go wprost na zewnątrz, lecz wówczas z pewnością będzie już biegł, ile tylko tchu w płucach i sił w nogach. Kikuty kobiety wypuściły białe wici, które leniwie snuły się i oplatały wokół zaschniętej krwi, zupełnie ją przysłaniając. Jej oczy powoli wypełniały się bielą.

Hoegbotton wycofywał się tyłem, aż wreszcie wpadł na zniszczony stół, o który niemal się przewrócił.

- Tak jak już mówiłem, interesy z wami to czysta przyjemność.

- Tak, tak, tak, tak - odpowiedział mu adwokat i zachichotał po raz kolejny, a miał tak zieloną i pomarszczoną skórę, że wyglądała niemal jak skóra jaszczurki.

- W takim razie do zobaczenia wkrótce - oznajmił Hoegbotton, wykręcając, wciąż jednak tyłem, w kierunku drzwi, gdzie zaczął na ślepo poszukiwać za plecami klamki. - Być może w jakichś... W jakichś lepszych... - Lecz tak rozpoczęte zdanie nie chciało mu przejść przez gardło, po prostu nie był w stanie go dokończyć.

Ramiona chłopca stały się ciemnozielone, rozmazane i niewyraźne, jakby były martwą naturą wykonaną na sztalugach wyłącznie za pomocą maluteńkich kropek

farby. Jego walizka, kiedyś niebieska, przybrała czarnozieloną barwę, a wszystko z powodu grzybów, które otoczyły ją niemal tak gęsto jak powoje bluszczu wschodnią fasadę posiadłości, w której właśnie się znajdowali. W oczach chłopca jaśniała niczym nieskrępowana, przerażająca świadomość stanu, w jakim się znalazł, wciąż jednak nie puszczał dłoni matki, nawet gdy białe nici okręcały się im wokół kończyn, zwierając ich w coraz bardziej nierozzerwalnym objęciu.

Kiedy było już po wszystkim, Hoegbotton był niemal pewien, że sterczałby przy tych drzwiach przez całą wieczność, z dłonią na klamce i chichotem adwokata słyszalnym jako cichy jęk w tle, gdyby nie to, co się wtedy stało.

Zepsuty i zniszczony zegar zarzęził i wybił północ. Rozbrzmiewający dreszcz uderzeń rozwibrował całe pomieszczenie, przeszedł przez tysiące słoików z zakonserwowanymi zwierzętami. Adwokat z nagłym przerażeniem uniósł wzrok i z ledwo słyszalnym pyknięciem eksplodował w powoli opadający w powietrzu ku ziemi deszcz turkusowych spór, które z niespiesznym wdziękiem dryfowały wokół niczym nasiona dmuchawca. Jak gdyby to dźwięk zegara rozerwał go na strzępy.

\* \* \*

Gdy Hoegbotton wydostał się na zewnątrz, zerwał maskę i padł na kolana, a następnie zwymiotował tuż przy basenie fontanny, która zastawiała drogę do ścieżki prowadzącej bezpośrednio do bulwaru Albumuth. Za jego plecami, po drugiej stronie ciemnozielonego trawnika, tliły się jeszcze szaro-czarne szczątki Daffeda, jego córek i drugiego syna. Swąd spalenizny mieszał się w powietrzu z pleśnią i deszczem, który pojedynczymi kroplami uderzał w plecy Hoegbottona. Jego ramiona i nogi drżały, obezwładnione słabością. Wysuszone usta paliły. Przez dłuższą chwilę trwał w tej pozycji, obserwując tylko, jak spadające z nieba krople zakłócają jego odbicie w tafli wody. I sam drżał, podobnie jak powierzchnia, na którą patrzył.

Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko. Ludzie zawsze umierali na długo przed jego przybyciem, bądź na długo po jego wyjeździe. Płynny chichot adwokata wsączał mu się w uszy wraz z ledwo słyszalnym odgłosem pęknięcia spór. Zadrżał,

odprężył się, zadrżał ponownie.

Gdy jego asystent, Alan Bristlewing, kwestionował, co zresztą czynił dość często, rozsądek podejmowania tak ryzykownych wypraw, Hoegbotton zwykle uśmiechał się i zmieniał temat. Nie był w stanie dokonać wyboru pomiędzy dwoma przeciwstawnymi impulsami: wzbierającym podnieceniem, które towarzyszyło takim wyprawom, a pożądaniem, by uciec z Ambergris i wrócić do Morrow, miasta, w którym przyszedł na świat. Gdy każda z podobnych przygód zacierała mu się w pamięci, wracała odwaga podejmowania ryzyka, i dziwnym trafem, za każdym razem była ona silniejsza.

Ramię chłopca zlało się z trzymaną przez niego walizeczką.

Opierając się o nakrapianą porostem kamienną krawędź fontanny, Hoegbotton zatopił głowę w gładkiej powierzchni wody. Wstrząsnął nim przejmujący chłód, kłujący skórę, przenikający otępienie, patroszący wnętrze nosa. Wyrwał mu się jęk, potem drugi, wreszcie kolejny, który zgiał go w pół, sprawiając, że głowa ponownie zanurzyła się pod wodę. Poczłł nieoczekiwany chłód na karku. Gdy wyrwał się spod powierzchni, przyjrzał się swemu odbiciu w tafli wody; wtedy to właśnie rozplynęła się maska, nałożona, by ukryć trawiące go emocje. Ponownie był sobą.

Podniósł się. Po drugiej stronie placyku ludzie kappana porzucili palące się ciała i zajęli się zabijaniem deskami drzwi oraz okien posiadłości, którą sam dopiero co opuścił. Nikt nie odsunął zasłon, by zaprotestować przeciwko uwięzieniu wewnątrz domu. Nikt nie zaczął łomotać w drzwi, błagając, by wypuszczono go na zewnątrz. Wszyscy w środku już dawno rozpoczęli swą podróż.

Jedno spojrzenie na jego twarz, kiedy tak szedł niepewnym krokiem w kierunku bezpieczeństwa oferowanego przez fontannę, powiedziało wszystko ludziom kappana. Bez wątplenia i jego uwięziliby wewnątrz posiadłości, gdyby nie łapówki i fakt, że udało mu się ująć z życiem w tylu poprzednich przypadkach.

Przetarł usta chusteczką. Rzeczy, które właśnie zakupił, pokryją się pleśnią, niewykorzystane i nigdzie niezannotowane, jeśli nie liczyć jego rejestru

zatytułowanego „Potencjalne nabytki” z dopiskiem: „Utracone”. W zależności od tego, jakie procedury kappan pod wpływem panującej w mieście hysterii przyjął w tym tygodniu za obowiązujące, jego ludzie bądź odgradzą ziemię, na której stała posiadłość, bądź też oddadzą płomieniom sam budynek.

Zegar wybił północ.

Tuż przy nim stała klatka, lśniąca w padającym deszczu. Uciekając z domu, tak mocno trzymał jej uchwyt - a z każdej strony, z każdego kąta, obserwowały go wtedy niewinne spojrzenia eksponatów piekielnej kolekcji Daffeda, składającej się wyłącznie z martwych rzeczy - że został nią napiętnowany, oznakowany, w miejscach, gdzie nie stał sobie skóry z dłoni. Nosił na sobie znak pozostawiony przez uchwyt: misterny filigran nieznanymi symbolami, zza których spozierały dziwne oczy. W przyciemnionym świetle, przy coraz mocniej padającym deszczu, wydawało się, że grzyby zostały splukane z nakrycia klatki. Perwersyjnie, fakt ten sprawił mu zawód. Z każdym kolejnym zbliżeniem, z każdym kolejnym spotkaniem oczekiwał coraz to większych objawień i rewelacji.

Mruganiem pozbył się zalewających oczy kropel deszczu, po czym wypuścił z siebie głęboki oddech, wepchnął maskę do kieszeni, owinął zranioną dłoń materiałem, wreszcie podniósł klatkę. Była cięższa, niż wydawało mu się wcześniej, i jakoś wyjątkowo dziwnie zrównowazona. Dlatego też, gdy wreszcie ruszył ścieżką prowadzącą do głównej drogi, przechylił się na bok. Jeśli tylko zamierzał znaleźć się w domu przed godziną policyjną, narzuconą przez kappana, musiał się pospieszyć.

Ambergris o zmierzchu, zamknięte w kokonie przyciemniającego wszystko deszczu - uderzającego o chodniki, grzechoczącego na dachach, bębniącego w okna - sugerowało rozwiązłość, budzącą niepokój idącego ulicami Hoegbottona niemal w równym stopniu co sposób, w jaki, gdy zatrzymywał się, by przełożyć klatkę z ręki do ręki, jej ciężar nigdy nie wydawał się taki sam jak poprzednio.

Miasto, które za dnia rozkwitało zdrową aktywnością, w nocy stawało się swym całkowitym przeciwieństwem. Donoszono o orgiach odbywających się w

opuszczonych kościołach. O wystawianych w okolicy doków groteskowych i sprośnych przedstawieniach wodnego teatru lalek. Co tydzień równo o północy odbywały się w dzielnicy kupieckiej aukcje malarstwa, a do opisu wystawianych tam obrazów pasowało zaledwie jedno słowo: „obsceniczne”. Dziwacznie ilustrowane książki Collarta i Slothiana przeżywały obecnie w mieście popularność, która wręcz wynosiła autorów do statusu o malutki zaledwie kroczek niższego od kappana. W Dzielnicy Religijnej silnie naciskani truffidiańscy księża starali się odzyskać siłą posiadany kiedyś autorytet, wyrrywając go z rąk trwających w nieustannej walce proroków Petersona i Strattona, których pojedynkujące się nawzajem teologie trafiały na podatny grunt coraz bardziej porywczych wyznawców.

A zupełnie niedawno u sedna całej tej nieśmiertelności miasta na nowo zaznaczyła się obecność szarych kapeluszy, które ostatnimi laty poczęły się pojawiać i znikać niczym przyływ i odpływ. Raz w podziemiach, raz na powierzchni, jak gdyby w niekończącej się migracji między światłem a ciemnością, nocą a dniem. A miasto zawsze reagowało na ich obecność w nieprzewidywalny sposób. Jakiż inny wybór mieli mieszkańcy Ambergris niż nie przerywać swych codziennych, zwykłych interesów, łudząc się, że to nie oni będą następnymi ofiarami na liście szarych kapeluszy, i stając się ślepi na wszystko z wyjątkiem własnych nieszczęść? Od Ciszy, kiedy to bez najmniejszego nawet śladu rozplynęły się w powietrzu tysiące ludzkich istnień, minęło całe sto lat, więc ludziom można było wybaczyć, że zapomnieli. Większość z nich nie myślała już o niej codziennie. Jakoś nie przystawała do zwykłych, codziennych smutków czy problemów mieszkańców miasta, podobnie jak nie pasowała do cotygodniowych ceremonii truffidian czy zmartwień dręczących kappana i jego ludzi.

Gdy Hoegbotton szedł do domu, lampy uliczne wyłaniały się z mroku, oświetlając umykające postaci: biegnącego księdza trzymającego uniesione poły swej szaty, by nie potknąć się na jej rąbku; dwóch członków plemienia Dogghe, skulonych przy zamkniętych drzwiach banku, w charakterystycznych spiralnych zielonych kapeluszach, głęboko nasuniętych na ogorzałe twarze. Wokół nie pozostał już nawet



najmniejszy ślad po niedawnej Okupacji, z wyjątkiem nakreślonych na murach graffiti wzywających najeźdźców do powrotu do siebie. Lecz od czasu do czasu Hoegbotton wciąż natykał się na lekko jaśniejące w ciemności purpurowe okręgi niemal dwumetrowej średnicy, znaczące miejsca, w których jeszcze przed Ciszą zaniepokojone władze ścięły olbrzymie grzyby.

Gdy wspinał się na siódmy podest schodów i wszedł do swojego mieszkania, jego żona już spała. Przed snem wyłączyła światło w całym mieszkaniu, gdyż dawało jej to przewagę w przypadku pojawienia się jakiegokolwiek intruza. Słabo wyczuwalny zapach bzu i kapryfolium dał Hoegbottonowi do zrozumienia, że Reбекę odwiedził dziś mieszkający piętro wyżej kwiaciarz.

W przytłumionym blasku, dochodzącym ze znajdującego się na lewo salonu, odkładał klatkę na podłogę, zdejmował buty i skarpetki, zawieszał na wieszaku swój płaszcz przeciwdeszczowy. Na wprost przed sobą miał jadalnię z oknem pokrytym warstwą pleśni, którego błyszcząca powierzchnia, karmiona deszczem, płonęła ciemną purpurą. Sam zaledwie przed tygodniem sprawdził domowe zabezpieczenia, mające chronić wnętrze przed grzybem i nie odkrył tam żadnych przecieków, lecz zakodował sobie w pamięci, by sprawdzić je ponownie zaraz następnego ranka.

Ze stojącej w korytarzu szafki wyjął ręcznik, by przetrzeć nim twarz, włosy, a następnie również klatkę z zewnątrz. Podnosząc ją, po raz kolejny poczuł nietypowy i niepokojący ciężar. Na paluszkach przeszedł do salonu, a dywanik pod jego stopami, mimo iż gruby, wydawał się wręcz lodowaty. Przywitała go tam zbieranina ciemnych kształtów, z których większość stanowiły rzeczy ze sklepu: lampy i stoliki, kanapa, długa niska ława, biblioteczka, szafa stojącego zegara. Za nimi znajdował się balkon, już dawno temu zaanektowany przez grzyba, w wyniku czego przestali go używać i zamknęli na cztery spusty.

Nieśmiałe światło niemal zamieniało stojące tu meble w bezcenne artefakty, którymi, jak powiedział swej żonie, były. Ale wybrał je nie z powodu ich wartości, lecz dla dotyku, zapachu, dźwięków, które wydawały, gdy nimi poruszał, gdy na

nich siadał, kiedy je otwierał. Ledwie garstka z nich przyciągała wzrok, lecz Rebeka uwielbiała wybrane przez niego do domu meble, co przekładało się na to, że najcenniejsze rzeczy mógł przechowywać w sklepie zapewniającym im bezpieczeństwo.

Odstawił klatkę na stół w salonie. Wnętrze dłoni miał rozpalone do żywego mięsa od dźwigania. Pozbył się reszty ubrań, przewieszając je przez oparcie kanapy.

Z leżącej na prawo od salonu sypialni dochodziło światło. Wszedł tam i skręcił w lewo. Zamknięte okno nad łóżkiem odbijało opalizujący blask pochodzący wyłącznie od niej. Rebeka leżała na plecach, pościel owijała jej ciało, a jednak odsłaniała widniejącą na jej lewym udzie długą, czarną bliznę w kształcie mglisto przypominającym łzę. Pożądliwie przesunął po niej wzrokiem. Błyszczała niczym obsydian.

Przeszedł na prawą stronę łóżka i położył się. Przysunął się do niej i przylgnął do mroku blizny. Przed oczami przemknął mu obraz kobiety z posiadłości.

Rebeka przez sen odwróciła się do niego i gdy układał się na plecach, położyła mu na piersi dłoń - ciepłą i miękką, równie delikatną jak rozgwieżdżone płuwające w płyciźnie przy dokach. Jakże drobna zdawała się ta dłoń na jego piersi.

Otwarte oczy Rebeki rzucały światło, choć był przekonany, że żona wciąż śpi. Srebrny poblask połączony ze słabymi fosforescencyjnymi iskierkami błękitu, zieleni i czerwieni: drżenia i błyski rozszczepionego światła, jakby w jej spojrzeniu wzbierało kilka małych burz. O jakich to wspaniałych światach śni? - Zapytał się w myślach. I po raz chyba tysięczny: Czym jest to światło? Co oznacza? Spotkał ją w Stockton, podczas jednej z podróży w interesach; miała za sobą pewną infekcję grzybiczą, która doprowadziła ją do utraty wzroku i pojawienia się tego dziwnego światła oraz blizny. Nigdy tak naprawdę nie poznał jej do końca. Nigdy nie poznał jej w pełni.

Kimże była ta nieznajoma? Tak blada, cicha i piękna? Wezbrał w nim radosny smutek, kiedy tak obserwował emanujące od niej światło. Zaledwie dzień wcześniej pokłócili się o to, czy powinni postarać się o dzieci. Każde słowo, które kierowany

złością rzucił w jej kierunku, raniło go tak bardzo, że wreszcie, koniec końców, pozostał niemy, pozbawiony słów, i wszystko, co był w stanie zrobić, to ledwie stać bez ruchu z wbitym w nią wzrokiem. Lecz teraz, gdy tak na nią patrzył, na jej odsłoniętą i bezbronną twarz, na leżące tak blisko ciało, nic nie mógł poradzić i kochał ją z powodu blizny i oczu, nawet jeśli przekładało się to na pragnienie, by taka właśnie pozostała.

## 2

Następnego ranka Hoegbotton obudził się z blednącym obrazem okrwawionych bandaży kobiety, a przywitały go dźwięki towarzyszące przygotowywaniu przez Rebeke śniadania. Znała ich mieszkanie lepiej niż on - poznała bowiem jego powierzchwnie, krawędzie, dokładną liczbę kroków dzielącą stół od krzesła i drzwi - i uwielbiała przygotowywać posiłki w kuchni, która była jej bardziej znajoma i bliska, niż kiedykolwiek miała stać się dla niego. Przez cały czas prosiła również męża o znoszenie nowych mebli do salonu i sypialni, bądź też o przestawianie tych znajdujących się już w mieszkaniu. W innym przypadku zaczynała się nudzić. „Potrzebuję nieodkrytej przestrzeni. Potrzebuję powiewu nieznanego” - tak powiedziała mu kiedyś, a on przyznał jej rację.

Do pewnego jednak stopnia. Wolał, by pewne sprawy pozostały nieodkryte. Na przykład, na stojącym na wprost łóżka kominku leżały rzeczy należące kiedyś do jego babki, przesłane niedawno z Morrow przez jednego z krewnych: szpilka do włosów, seria portretów członków rodziny, zestaw łyżeczek, słabej jakości egzemplarz historii rodziny. Towarzyszący pamiątkom list opisywał ostatnie chwile życia kobiety. Pewnego wieczora, jakiś miesiąc temu, paczka czekała na niego na progu mieszkania. Babka zmarła sześć miesięcy wcześniej. Nie był na pogrzebie. Jakoś nawet nie zebrał się w sobie, by podzielić się wiadomością z Rebeke. Wiedziała tylko tyle, ile zdradził jej szelest papieru wysuwanego z koperty oraz dźwięk

wygładzania kartek, nim zabrał się do czytania listu. Być może wzięła do rąk szpilę czy łyżeczkę, zastanawiając się, po co przyniósł je do domu. Gdyby jej opowiedział, musiałby również wyjaśnić powody, dla których nie pojechał na pogrzeb, a to wiązało się z wyznaniem wzajemnej niechęci panującej między nim a jego bratem Richardem.

Zapach jajek na bekonie pobudził go do odrzucenia pościeli, poderwania się z łóżka i nałożenia szlafroka. Następnie, potykając się, z wciąż zaczerwienionymi od snu oczami, przeszedł przez salon i wszedł do kuchni. Pozbawione życia światło słońca - blade, zielone i ledwie letnie - przedzierało się przez zarastającą kuchenne okno purpurową pleśń, poprzecinaną tu i ówdzie cienkimi żyłkami zieleni. Przez szybę przebijał znak wodny miasta: szare iglice, opuszczone flagi, niewyraźne kształty anonimowych budynków mieszkalnych.

Rebeka stała w kuchni z łopatką w dłoni, obramowana tym wpadającym do środka ponurym światłem. Jej czarne włosy błyszczały złowieszczo. Miała na sobie sukienkę, która leżała na niej luźno, układając się zielono-niebieskimi falami materiału. Stała tam - ze ściągniętymi ustami, nie mrugając powiekami - skupiona na stojącej przed nią patelni.

Gdy podszedł, stanął za jej plecami i objął ją ramionami, dręczące go poczucie winy zmarszczyło mu twarz. Zeszłej nocy znalazł się tak blisko, niemal równie blisko co tamten chłopiec, a nawet tamta kobieta. Czy była to jeszcze odległość wystarczająca, by zapewnić bezpieczeństwo...? Takie pytanie nawiedzało go przez całą wczorajszą wędrówkę do domu. Nieoczekiwanie ogarnęła go teraz głęboka fala poruszenia i poczuł, jak łyzy stają mu w oczach. A co jeśli nie? Co wtedy?

Rebeka wtuliła mu się w ramiona i odwróciła do niego. Jej oczy w świetle dnia prezentowały się niemal normalnie. Jedynie niewielkie błyski fosforescencji leniwie przelatywały przez źrenice.

- Dobrze spałeś? - Zapytała. - Tak późno wczoraj wróciłeś.
- Dobrze. Przepraszam. Tym razem trafiła mi się wyjątkowo ciężka robota.
- Dochodowa? - Szturchnęła go łokciem, równocześnie odwracając jajka

łopatką.

- Niezbyt.

- Naprawdę? Dlaczego?

Zamarł. Czy Rebeka uświadamiała sobie, że posiadłość, którą wczoraj odwiedził, okazała się śmiertelną pułapką? Czy wyczuwała od niego zapach krwi? Czuła jego strach? To on pełnił rolę jej oczu, był jej łącznikiem ze światem obrazów, lecz czy naprawdę pozbawiał ją czegokolwiek, nie opisując w najdrobniejszych szczegółach wszelkich przerażających rzeczy dziejących się wokół?

- Cóż... - Zaczął. Zamknął oczy. Chore spojrzenie adwokata zadrgało mu przed oczami, nakładając się na wymagowaną scenę własnej śmierci. Nawet trzymając Rebeke w ramionach czuł, jak odległość pomiędzy nimi narasta.

- Nie musisz zamykać oczu, by zobaczyć - powiedziała, wyrывая się z jego objęć.

- Skąd wiedziałaś? - Zapytał, mimo iż znał odpowiedź.

- Usłyszałam, jak je zamykasz. - Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją.

- To było po prostu smutne - odparł, siadając przy kuchennym stole. - Nie było przerażające. Ledwie smutne. Żona straciła męża i musiała sprzedać posiadłość. Był z nią chłopiec, który przez cały czas nie wypuścił z dłoni małej walizeczki.

To, co zostało z adwokata, powoli płynąc w powietrzu, opadało ku ziemi, kłębiąc się niczym konfetti. Spojrzenie chłopca bez przerwy przeskakujące to na niego, to na klatkę.

- Strasznie było mi ich żal. Posiadali kilka pięknych pamiątek rodzinnych, lecz większość obiecano już wcześniej Slattery'emu. Niezbyt wiele udało mi się dostać. Mieli taki ładny dywanik z Morrow, jeszcze sprzed Ciszy. Piękna robota, jeśli chodzi o szczegóły. Kawaleria Morrow przybywająca na ratunek Ambergris. Żałuję, że nie udało mi się go kupić.

Ostrożnie zsunęła jajka z bekonem na talerz i przyniosła mu do stołu.

- Dziękuję - powiedział. Przypaliła bekon, a jajka były za bardzo ścięte. Nigdy się jednak nie skarżył, nigdy nie narzekał. Potrzebowała takich drobnych

magicznych sztuczek, tych złudzeń oświecenia. A posiłek był przecież jadalny.

- Pani Bloodgood zabrała mnie wczoraj do Muzeum Morhaimów - powiedziała. - Wiele z tamtejszych eksponatów nie znajduje się w gablotkach i można ich dotykać. Miały niesamowitą fakturę. Później, jak może się domyśliłeś, odwiedził mnie kwiaciarz.

Ojciec Rebeki, Paul, był kuratorem małego muzeum w Stockton. Paul lubił żartować, że Hoegbotton jest ledwie tymczasowym opiekunem rzeczy, które i tak wcześniej czy później trafią w jego ręce. Hoegbotton zawsze uważał, że muzea jedynie gromadzą rzeczy, które powinny być dostępne na wolnym rynku. Rebeka, nim choroba odebrała jej wzrok, była asystentką ojca. Obecnie Hoegbotton czasem zabierał ją ze sobą do sklepu, gdzie pomagała mu segregować i katalogować nowe nabytki.

- Zauważyłem kwiaty - powiedział. - Cieszę się, że podobało ci się w muzeum.

Z jakichś powodów podczas jedzenia drżała mu dłoń. Odłożył widelec na stół.

- Nie smakuje ci? - Zapytała.

- Bardzo dobre - odparł. - Muszę tylko napić się wody.

Wstał od stołu i przeszedł do zlewu. Podłączono ich do sieci wodociągowej zaledwie pięć tygodni temu, po dwóch długich latach oczekiwania. Wcześniej musieli czerpać wodę ze studni w dolinie, by następnie przynosić ją w dzbanach do domu. Z satysfakcją obserwował, jak charkoczący kran stopniowo napełnia mu szklanę.

- Całkiem ładny ptaszek, czy też cokolwiek jest tam w środku - usłyszał zza pleców jej głos.

- Ptaszek. - Nieokreślony strach przeszył mu ciało. - Ptaszek? - Szklanka zadzwoniła o krawędź zlewu, momentalnie wypadając mu z ręki.

- No nie wiem. Może to jaszczurka. Co tam jest? Odwrócił się, opierając o zlew.

- O czym ty mówisz?

- O klatce, którą wczoraj przyniosłeś ze sobą do domu. Nieokreślony strach przemknął mu wzdłuż kręgosłupa.

- Nic w niej nie ma. Jest pusta. - Czyżby żartowała sobie z niego?

Zaśmiała się czystym, przyjemnym dla ucha dźwiękiem.

- To zabawne, ponieważ ta twoja rzekomo pusta klatka grzechotała sobie jakiś czas temu. Początkowo się wystraszyłam. Coś szeleściło w jej wnętrzu. Nie byłam w stanie określić, czy to ptaszek, czy może jednak jakaś jaszczurka? Już, już miałam sięgnąć do środka i sprawdzić to dłonią.

- Ale nie zrobiłaś tego?

- Nie.

- Tam w środku nic nie ma.

Jej twarz uległa subtelnej zmianie i zrozumiał, że Rebeka jest przekonana, iż zważył w coś, w czym była wyjątkowym ekspertem: w jej zdolność interpretacji dźwięków. Powiedziała mu kiedyś, że w cichy dzień jest w stanie dosłyszeć krzyk chłopca rzucającego kaczki w pobliżu doków.

Przez chwilę nic nie odpowiedział. Nie mógł jednak milczeć zbyt długo. Co prawda, nie dotykając go, nie mogła czytać mu z twarzy, lecz podejrzewał, że rozróżnia kilka rodzajów ciszy.

Zaśmiał się.

- Żartuję. To jaszczurka. I to taka, która może ugryźć. Postąpiłaś więc bardzo rozsądnie, nie dotykając jej.

Rysy twarzy napiął jej wyraz podejrzliwości, lecz zaraz rozluźniła się i uśmiechnęła do niego. Wyciągnęła lewą dłoń, by namacać nią talerz i wykraść stamtąd kawałek bekonu.

- Wiedziałam, że to jaszczurka!

Wszystko ciągnęło go do salonu, tam bowiem na blacie stołu leżała klatka. Ale nie mógł tam pójść, jeszcze nie teraz, nie tak szybko.

- Teraz ucichło - stwierdził cicho, niemal oczekując odpowiedzi, która nadeszła.

- Nie, wcale że nie. W najmniejszym nawet stopniu. Jest głośno.

Wykrzywił lewy kącik ust, odpowiadając jej bez namysłu tak często powtarzanym pytaniem:

- Co teraz słyszysz, kochanie?

Jej uśmiech poszerzył się.

- Cóż, najgłośniejszy twój głos, kochany - miły dla ucha głęboki baryton. Potem mieszkającą pod nami panią Hobson, która słucha swego fonografu tak cichutko, jak to tylko możliwe, by nie przeszkadzać rodzinie Potaków, akurat w tej chwili kłócącej się o coś tak nieznaczącego, że nawet nie podam ci szczegółów. Z boku, tuż nad nimi... - Jej oczy zwęziły się. - ...Jestem przekonana, że Smythowie też mają dziś bekon na śniadanie. A tuż nad naszymi głowami podpierający się laseczką staruszek Cox chodzi tam i z powrotem po swoim pokoju i mamrocze coś pod nosem o pieniądzach. Na jego balkonie zaś siedzi mały świergoczący wróbelek, co właśnie mi uświadamia, że zwierzę w klatce rzeczywiście musi być jednak jaszczurką, gdyż dochodzące stamtąd odgłosy przypominają raczej mlaśnięcia i gdakanie, a nie świergot - no, chyba że przyniosłeś tam jakiegoś kurczaczka?

- Nie, nie - to jaszczurka.

- Jaka jaszczurka?

- Saphancka plująca ogniem, która przybyła wprost z Wysp Południowych - odparł. - Żyje tylko w klatkach, które sama tworzy, przeżuwać ziemię i zamieniając ją w metal, który następnie zwraca. Może jeść tylko zwierzęta, które jej nie widzą.

Zaśmiała się, doceniając jego historyjkę, po czym wstała, by go objąć. Jej zapach pozwolił mu zapomnieć o pożerającym go strachu.

- Ładna opowieść, ale ci nie wierzę. Wiem jednak jedno - jak tak dalej pójdzie, spóźnisz się do pracy.

Gdy stanął już na parterze, gdzie w jego odczuciu nie miało większego znaczenia, że Rebeka może to usłyszeć, odłożył klatkę na ziemię. Sama świadomość, że niesie ją w dół spiralnych schodów, tak wyjątkowo dziwnie zrównoważoną i kołyszącą się z boku na bok, wytrącała go z równowagi i odbierała wszelką drzemającą w nim odwagę. Ciało, osłonięte płaszczem przeciwdeszczowym, zalewały mu strumienie potu. Oddychał ciężko i szybko. Dodatkowo, ani zapach stęchlizny unoszący się w



lobby, ani malutkie rdzawe grzybki, które niczym ślady pozostawione przez myszy rozprzestrzeniły się tu po całej podłodze, ani też nakrapiana, zielonopomarańczowa pleśń szyby drzwi wejściowych nie wpływały na niego uspokajająco.

Ktoś zostawił tu podniszczoną parasolkę opartą o drzwi frontowe. Hoegbotton chwycił za nią i tak uzbrojony odwrócił się, by z uwagą i skupieniem wpatrywać się w klatkę. Czyżby właśnie nadeszła ta chwila, gdy wszystkie złe życzenia kierowane pod jego adresem przez Slattery'ego i Ungdoma miały się ziścić? Czyżby wreszcie padło i na niego? Wsunął czubek parasolki między pręty klatki. Nakrycie lekko się ugięło i pofałdowało, lecz po wycofaniu parasolki wróciło do swego poprzedniego stanu. Nic się na niego nie rzuciło. Spróbował ponownie. I tym razem bez żadnej widocznej reakcji ze środka.

- Jest tam coś? - Zapytał klatkę. Ta jednak nie udzieliła mu żadnej odpowiedzi.

Trzymając przed sobą parasolkę niczym jakiś miecz, pociągnął za materiał zasłaniający wewnątrz klatki - a wraz z wykonaniem tej czynności odskoczył do tyłu.

Klatka niezmiennie trwała pusta. Żerdź kołysała się szaleńczo tam i z powrotem od samej gwałtowności, z jaką pociągnął, odsłaniając materiał. Powrócił do niego głos kobiety: „Klatka zawsze była otwarta”. Powrócił głos chłopca: „Nigdy nie mieliśmy klatki”. Adwokat nigdy nie wyraził żadnej opinii w tej kwestii. Kołysząca się żerdź i panująca w klatce pustka przygnębiły go. Nie potrafił określić, dlaczego tak się działo. Z powrotem zaciągnął zasłonkę, zasłaniając wewnątrz.

Gdy usłyszał za sobą rozbrzmiewające na schodach kroki, okręcił się gwałtownie na pięcie, po chwili jednak się rozluźnił. To tylko Sarah Willis, właścicielka domu, w którym wynajmował lokal, schodziła w dół ze swego znajdującego się na pierwszym piętrze mieszkania.

- Dzień dobry, pani Willis - przywitał ją, opierając się na parasolce.

Dopóki nie stanęła na wprost niego, przyglądając mu się zza grubych szkielec swych okularów, nawet nie zwracała sobie głowy odpowiedzią na jego powitanie. Jej łysiejącą głowę okrywał kapelusz w kwiatowy wzór. Pasująca do kapelusza wypłowiała suknia przysłaniała jej starcze ciało, zasłaniając również obute zapewne

stopy.

- Tu nie wolno trzymać zwierząt - powiedziała.

- Zwierząt? - Zapytał zdezorientowany. - Jakich zwierząt?

Pani Willis wskazała głową na klatkę.

- A co masz tam w środku?

- Och, o to chodzi. To nie zwierzę.

- Tu nie wolno trzymać zwierząt. Nieważne, czy jako pupilków, czy na mięso.

- Pani Willis zarechotała i zakaszła z własnego dowcipu.

- To nie... - Zaczął, lecz uświadomił sobie bezsens tego, co starał się udowodnić. - I tak właśnie je stąd zabieram. Wziąłem je tylko na ten ranek.

Pani Willis chrząknęła i przepchnęła się obok niego.

Już stojąc w drzwiach, gdy wychodziła w bębnienie nowej fali deszczu, najwyraźniej licząc na osłonę oferowaną przez własny kapelusz, podrzuciła Hoegbottonowi następującą radę:

- Panna Constance? Ta z drugiego piętra? Urwie ci głowę, jak natychmiast nie odłożysz jej parasolki.

\* \* \*

Sklep Hoegbottona stał przy bulwarze Albumuth, w połowie drogi między dokami a mieszkalną częścią miasta, schodzącą w dolinę, która pozostawała w nieustannym zagrożeniu powodziowym. Sklep zajmował parter solidnego, dwupiętrowego drewnianego budynku, którego właścicielem był mnich z Dzielnicy Religijnej. Wisząca nad nim tablica stwierdzała: „Robert Hoegbotton i Synowie: importerzy wysokiej klasy rzeczy nowych i używanych, miejscowych i z zagranicy”. Wyrażała ona optymizm, gdyż nie było żadnych synów. Jeszcze nie. Czasy bowiem nie były ku temu odpowiednie; sytuacja zdawała się zbyt niepewna, wbrew temu, co na ten temat sądziła Rebeka. Kiedyś, w przyszłości, jego sklep stanie się główną siedzibą wielkiego imperium kupieckiego, jednak na pewno nie nastąpi to w przeciągu kilku najbliższych lat. Zawsze gnało go do przodu ukryte gdzieś głęboko w myślach

przekonanie, że jeśli tylko powinie mu się tutaj noga, jego brat Richard spełni swą groźbę i rzuci się, wręcz zapikuje na Ambergris z resztą klanu Hoegbottonów, by ocalić nazwisko rodowe.

Okno wystawowe, chronione przed deszczem przez markizę, ukazywało zniszczoną biało-fioletową kanapę, bogato pokryte płatkami złota krzesło (wykradzione przez Hoegbottona wraz z kilkoma innymi caczskami podczas panicznego wycofywania się z miasta armii Kalifa), fonograf, olbrzymi czerwony wazon, nieprzystające do reszty umieszczonych tu rzeczy siodło oraz Alana Bristlewinga - jego asystenta.

Bristlewing klęczał właśnie na wystawie, ostrożnie umieszczając płyty na podstawce znajdującej się tuż obok fonografu. Zdążył już oczyścić szybę z grzybów, które zebrały się na niej w nocy. Na chodniku leżały zebrane w kupkę pozostałości wykonanej pracy: kłębowisko czerwieni, zieleni i błękitu, znad którego unosił się kwaśny zapach, łatwy jednak do rozproszenia przez deszcz w ciągu godziny czy dwóch.

Gdy Bristlewing zobaczył Hoegbottona, pomachał mu ręką, po czym jego żylasta i szczupła postać zniknęła z okna wystawy. W chwilę później, osłaniając gazetą głowę przed zacinającym deszczem, jego asystent otwierał już olbrzymi zamek żelaznej kraty, a usta układały mu się w znajomy lakoniczny uśmiech, także zdradzający obecność kilku antyków, zawdzięczanych ulicznemu dentystom. Gdy wyciągał klucz z zamka, wyleciało stamtąd kilka płomiennie czerwonych grzybków w kształcie guzika, które potoczyły się po mokrym od deszczu chodniku.

Bristlewing był zaniedbanym, niskim i żwawym mężczyzną, od którego nieustannie dochodził zapach cygar. Dość regularnie znikał na całe dni. Historie opisujące jego rozpustę u boku prostytutek oraz długie tygodnie spędzane na wędkarskich rejsach po Moth krążyły wokół niego niczym roje much, choć nigdy bezpośrednio na nim nie siadały. Hoegbotton jednak ze względów finansowych nie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie bardziej odpowiedzialnej osoby.

- Dzieńdoberek - przywitał się Bristlewing.

- Dzień dobry - odpowiedział mu Hoegbotton. - Byli wczoraj wieczorem jacyś klienci?

- Żadnych z pieniędzmi... - Uśmiech zniknął z ust Bristlewinga, gdy ten zobaczył klatkę. - Och, widzę, że znów poszedł pan do jednego z tych domów.

Hoegbotton położył klatkę przed Bristlewingiem, równocześnie wyjmując mu z dłoni pęk kluczy.

- Po prostu zanieś ją do mojego biura. Czy księgi inwentarzowe są prowadzone na bieżąco? - Dłoń wciąż kłuła go w miejscach, gdzie odbił się uchwyt klatki.

- Oczywiście, że są na bieżąco - odparł Bristlewing, odwracając się sztywno i podnosząc z chodnika swe nowe brzemię.

Drogi do mieszczącego się na tyłach sklepu biura strzegł, nieprzypadkowo, labirynt najprzeróżniejszych rzeczy, nad którym unosił się zbiorczy zapach wszystkich zebranych tu różności, dla samego Hoegbottona będący niczym najdelikatniejsze i najwspanialsze z perfum. Ten zapach antyczności nadawał tutejszej kolekcji status antyków równie skutecznie jak wszelkie dokumenty mogące świadczyć o ich autentyczności. To, że jego klienci, poruszając się przypadkowymi ścieżkami, dość często potykali się i tracili orientację, niewiele dla Hoegbottona znaczyło. Przekazywana z pokolenia na pokolenie mądrość rodzinna stwierdzała bowiem, że otoczony z każdej strony klient nie ma innego wyjścia, jak tylko wybrać i kupić coś spośród rozciągających się w każdym kierunku stert krzesel, parasolek, zegarków, piór, wędek, ubrań, lakierowanych pudeł, wieszaków, gipsowych odlewów jaszczurek, eleganckich luster wykonanych ze szkła i miedzi, okularów do czytania, truffidiańskich ikon religijnych, wykonanych z kłów olifanta podkładek do gry w kości, porcelanowych dzbanków na wodę, globusów, modeli statków, starych medali, laseczek skrywających w sobie ostrza, zegarków z pozytywką czy innych efemeryd pochodzących z lat przeszłych i miejsc odległych. Hoegbotton rozkoszował się świadomością, że jakiś klient szukający najzwyczajniejszego w świecie kompletu

talerzy może natknąć się na nabrzmiałe nozdrza i wyciągnięty, poszukujący język erotycznej maski wykonanej przez Skamoo. Przejmujące poczucie tajemnej historii, emanujące od zebranych tu rzeczy, czasem było w stanie wywołać u niego stan przypominający trans. Na szczęście Rebeka w pełni rozumiała podobne doznania, gdyż była na nie wystawiona od najmłodszych swych lat.

Wylaniające się z bagien nieprzebranego wręcz bogactwa biuro Hoegbottona stało otworem na resztę sklepu niczym oaza niedostatku. Pięć stopni wiodło w dół do zapadniętego i oklapniętego dywanu, purpury wykańczanej złotą nitką, który kupił ze starego Threnody Larkspur Theater, nim ten spłonął doszczętnie, oraz prostego biurka z drzewa różanego, którego jedynym ozdobnikiem były nogi wyrzeźbione w kształcie wijących się kałamarnic. Pasujące do biurka krzesło, dwa oparte o ścianę stoliki oraz przeznaczona dla gości kanapa dopełniały umeblowania pomieszczenia. Na lewo od przestrzeni biurowej znajdowało się dwoje drzwi, z których jedne prowadziły do pracowniczej łazienki, dość niedawno zainstalowanej ku wielkiemu zachwytowi Bristlewinga.

Biurko zaścielał zorganizowany chaos, narzucony ludzką ręką, składający się z ksiąg inwentarza, rejestru, kilku wiecznych piór, papieru przyozdobionego logo H&S, folderów wypełnionych rachunkami, metalowej kapsuły na wiadomości ze znajdującym się w środku zwiniętym i przewiązany kawałkiem papieru, kawałeczka pomarańczowego grzyba zawiniętego w brązową papierową torbę, muszelki, którą Hoegbotton w wieku sześciu lat znalazł na wakacjach na Wyspach Południowych, oraz najnowszego wydania Tajemnicy Cinsorium pióra Blake'a Clockmoora, wydanego przez Frankwrithe'a & Lewdena. Dagerotypy Rebeki, jego brata Stephena (utraconego dla rodziny, gdyż w związku z potwornym, lecz historycznie popularnym kaprysem władcy, związanym z wywoływaniem kolejnych wojen, zaciągnął się do kawalerii Kalifa) oraz matki, Gertrudy, stojącej na trawniku czyjeś rezydencji w Morrow, dopełniały wystroju wnętrza, nadając mu odrobinę osobistego charakteru.

Bristlewing tymczasem zdążył się ulotnić - do uszu Hoegbottona dochodził

odgłos wyciągania przez tamtego czegoś zza rzędu starych regałów na książki, zastawionych pod sam sufit popękkanymi doniczkami - a klatka stała już na jednym z bocznych stolików, jak gdyby trwała tam od zawsze.

Hoegbotton zawiesił swój płaszcz przeciwdeszczowy na jednym z sześciu wieszaków, ustawionych w dalekim kącie biura niczym stojący na baczność szereg żołnierzy. Następnie, biorąc ze sobą księgi inwentarza i zakupów za ostatnie kilka dni, ruszył w kierunku drugich drzwi, wiodących do pomieszczenia bezpośrednio sąsiadującego z łazienką. A były one wyjątkowo stare, przeżarte przez korniki i ponabijane dziwacznymi metalowymi symbolami, które antykwariusz przywłaszczył sobie z porzuconego ołtarza manzistów.

Otworzył je i wszedł do środka. Drzwi cichutko zamknęły się za jego plecami, zupełnie odcinając go od świata zewnętrznego. Światło, rzucające na pomieszczenie żółtawy poblask, pochodziło od przybitej do przeciwległej ściany staromodnej lampy na olej kałamarniczy.

Nic, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie odróżniało tego miejsca od jakiegokolwiek innego. Stał tu zniszczony stół jadalny, wokół którego rozstawiono cztery zdezelowane krzesła. Po jednej stronie znajdowała się komódka z lustrem służącym za tylną ściankę, gdzie porozkładano talerze, filiżanki, miseczki i inne naczynia. Lustro komódki było pożyłkowane purpurowym grzybem, który zdołał wnikać w drobniutkie pęknięcia szkła. Hoegbotton zamartwiał się swego czasu, że ludzie kappana mogliby zechcieć ją skonfiskować podczas jednej z cotygodniowych inspekcji w sklepie, lecz ci za każdym razem ją ignorowali, być może rozpoznając wiek lustra i sposób, w jaki pleśń zaczęła porastać grzyb.

Na stole stały trzy rozstawione nakrycia, wokół których w przypadkowym nieładzie wały się wyblakłe serwetki. Na samym środku leżał pergamin pełen wyblakłych słów, tak stary, że wyglądał, jakby miał rozpaść się w proch pod najmniejszym zaledwie dotykem. Butelka porto, w połowie pełna, stała tuż przy pustej przestrzeni towarzyszącej czwartemu krzesłu.

Zgodnie z niedawno ustaloną tradycją Hoegbotton przesiadywał tu w czasie

swego codziennego wertowania ksiąg inwentarza. Oprawione w czerwoną skórę księgi sprowadzał specjalnie z Morrow. Ich kremowe kartki były cieniutkie niczym bibułka, co miało na celu zmieszczenie jak największej ich liczby pomiędzy okładkami. Obie zabrane przez Hoegbottona księgi odpowiadały inwentarzowi za ostatnie trzy miesiące. Szesnaście innych, równie masywnych i nieporęcznych, zostało owiniętych w koc i ostrożnie złożonych pod drewnianą podłogą biura. (A jeszcze dwa inne notatniki, mające rejestrować niefortunne, lecz konieczne kontakty z Ungdomem i Slatterym, stosownie w żółtym i brązowym kolorze, leżały wrzucone do niezamykanej szuflady biurka).

Wczoraj nie było większego ruchu - sprzedano zaledwie pięć przedmiotów, z czego dwa okazały się płytami fonograficznymi. Zmarszczył czoło, gdy zapoznawał się z dokonany przez Bristlewinga opisem kupujących - „Niska kobieta o laseczce. Nie podała nazwiska”. Czy też: „Chorobliwie wyglądający mężczyzna. Całą wieczność zajęło mu podjęcie decyzji. Po czym kupił zaledwie jedną płytę”. Bristlewing nie przykładał wagi do systemu Hoegbottona. W przeciwieństwie do wpisów asystenta, typowy opis, który wyszedł spod pióra właściciela, był równie pełen szczegółów co raport policyjny: „Panna Glissandra Beckle, zamieszkała we Wschodnich Czyszówkach na Rzęzeniach pod numerem 4232, wiek: około pięćdziesiąt lat. Poprzetykane srebrną siwizną szare włosy. Zdumiewająco przeszywające spojrzenie niebieskich oczu. Ubrana w drogą zieloną suknię, której towarzyszyły jednak tanie czarne buty, wyjątkowo zaniedbane. Z uporem zwracała się do mnie per »panie Hoegbotton«. Obejrzała dokładnie bardzo drogi wazon pochodzący z Okcydentu oraz wielce przychylnie skomentowała kościaną szpilkę do włosów, perłową tabakierkę, jak również zegar będący kiedyś własnością prominentnego Trufndiańskiego księdza. Kupiła jednak zaledwie ową szpilkę do włosów”.

O ile Bristlewing wykazywał wyjątkową niechęć do szczegółowych opisów wymaganych w księgach przez Hoegbottona, to jego niechęć do tego pomieszczenia okazywała się nawet większa. Trzy lata temu po dokładnym skatalogowaniu jego

zawartości, gdy wszystkie stojące tu rzeczy przybyły do sklepu, Hoegbotton zadał Bristlewingowi następujące pytanie:

- Wiesz, co to jest?
- Zatechły stary pokój, gdzie nie ma czym oddychać.
- Nie. To wcale nie jest zatechły stary pokój, gdzie nie ma czym oddychać.
- Ależ dałem się nabrać - odpowiedział mu Bristlewing i z grymasem niezadowolenia na twarzy zostawił go samego w środku.

### 3

Ale Bristlewing się mylił. A przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego ten pokój w ogóle tu jest. Jakżeby mógł? I jak sam Hoegbotton miałby mu wyjaśnić, że to pomieszczenie jest najprawdopodobniej najważniejsze na całym świecie; że często znajduje się w nim nawet gdy spaceruje po mieście, czyta żonie w domu czy kupuje owoce i jajka na targu rolnym?

Historia pomieszczenia sięgała czasów samej Ciszy. Jego praprapradziadek, Samuel Hoegbotton, jako pierwszy z Hoegbottonów przeniósł się do Ambergris, postępując całkowicie na przekór reszcie wielce rozległej rodziny, w tym również własnego dwudziestoletniego syna Johna, który pozostał w Morrow.

Jak na człowieka, który przesiedlił swą żonę i córkę, oddalając je od wszystkiego, co było im bliskie i znajome, oraz zmuszając, by zamieszkały w nieznanym, czasem okrutnym mieście, Samuel Hoegbotton odniósł nadzwyczajny sukces, zakładając trzy sklepy w pobliżu doków. Zaledwie kwestią czasu wydawało się przybycie do miasta kolejnych członków klanu Hoegbottonów.

Jednak nie to było im pisane. Pewnego dnia Samuel Hoegbotton, jego żona i córka zniknęli - zaledwie trójka w morzu tysięcy dusz, które rozpląnęły się w powietrzu w Ambergris podczas wydarzenia znanego powszechnie jako Cisza - pozostawiając po sobie jedynie opuszczone budynki, puste place i domy oraz podejrzenie w sercach tych, którzy ich opłakiwali, że winne tragedii są szare kapelusze. Hoegbotton szczególnie zapamiętał taki oto fragment wyczytany kiedyś



w pamiętniku Johna: „Nie jestem w stanie uwierzyć, że mój ojciec naprawdę zniknął. Przyjmuję do wiadomości, że mogło mu się przytrafić coś złego, ale żeby ot tak, po prostu, zniknął? Po prostu rozpułnął się w powietrzu? I to razem z moją matką i siostrą? Nie potrafię pozbyć się myśli, że oni pewnego dnia wrócą, by wszystko mi wyjaśnić. W przeciwnym razie życie bez nich jawi mi się jako zbyt trudne”.

Siedząc z otwartym pamiętnikiem na kolanach w sypialni matki, młody Robert Hoegbotton poczuł, jak po karku przebiega mu dreszcz. Co też stało się z Samuelem Hoegbottonem? Wiele letnich popołudni spędził na stryszku, gdzie w otoczeniu antyków rozważał to zagadnienie. Przeczesywał stare listy wysłane przez Samuela do domu jeszcze przed zniknięciem. Odwiedzał archiwa rodzinne. Pisał listy do krewnych w innych miastach. Jego matka nie pochwałała podobnych dociekań syna, lecz babka jedynie uśmiechała się, powtarzając ze smutkiem: „Sama często się nad tym zastanawiałam”. Nie mógł o tym porozmawiać z ojcem, gdyż jego zimna i odległa postać bardzo rzadko pojawiała się w domu.

Tajemnica zaintrygowała również jego siostrę. Razem wymyślali możliwe scenariusze, a następnie je odgrywali. Zadawali pokojówkom pytania, których celem było zapełnienie luk we własnej wiedzy, dzięki czemu udało im się odkryć znaczenie takich słów jak „szare kapelusze” czy „kappan”. Jego babka podarowała im nawet stary szkic, przedstawiający pokój gościnny w ich domu, a w nim postać Samuela Hoegbottona otoczonego wianuszkami uśmiechniętych krewnych podczas jednej z wizyt w domu rodzinnym. Lecz dla siostry wszystko to było zaledwie ucieczką od chwilowej nudy, a on sam wkrótce oddał się zajęciom związanym ze zgłębianiem tajemnic i zawłości rodzinnego interesu, więc tajemnica odeszła w zapomnienie.

Gdy osiągnął pełnoletność, zdecydował się wyjechać z Morrow. Wyruszył do Ambergris. Żaden członek jego rodziny nie postawił tu stopy od dziewięćdziesięciu lat i dokładnie z tego powodu Hoegbotton wybrał to miasto, a przynajmniej tak właśnie to sobie tłumaczył. W Morrow pod drapieżnym okiem Richarda czuł, że żaden z jego planów nigdy się nie spełni. W Ambergris rozpoczął jako biedak, lecz przynajmniej prowadził niezależnie działające uliczne stoisko z owocami i gazetami.

Z rzadka zaledwie - gdy poszukiwał na aukcjach kosztowności przypominających mu rzeczy noszone przez matkę czy buszował po zakamarkach sklepu Ungdoma, gdzie przyglądał się rzeczom, które pod względem bogactwa wielokrotnie przewyższały wszystko, co mógł wówczas kupić - myśli o Ciszy wracały.

Zaraz następnego dnia po podpisaniu dzierżawy budynku własnego sklepu odwiedził mieszkanie Samuela. Adres znalazł w jednym z listów przodka. Sam budynek leżał w labiryncie innych porzuconych budowli, wyrastających z boku doliny na wschód od Dzielnicy Kupieckiej. Całą godzinę zabrało mu znalezienie właściwego domu, a podróż rozpoczętą powozem kontynuował na piechotę. Wiedział, że jest blisko, gdy musiał się wspiąć na drewniane ogrodzenie z tabliczką „Zakaz wstępu z rozkazu kappana”. Niebo nad głową było całkowicie zasnuwane chmurami. Światło słońca, choć słabe, jednak jaśniało, a kiedy przechodził między tutejszymi budynkami, opadło na niego dziwne poczucie eteryczności i oddalenia. Tu i tam dostrzegał ściany, z których sterczały zmieszane z zaprawą kości, i bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że takie widoki towarzyszą miejscom, które zamieniono w cmentarze.

Kiedy wreszcie stanął przed domem Samuela - przodek mieszkał na parterze trzypiętrowego budynku - rozważył, czy nie powinien przypadkiem odwrócić się na pięcie i wrócić do domu. Dom stał bowiem zabity deskami, poczerniałymi od ognia i zaplamionymi brązowożółtym grzybem. Chwasty zatopiły wszelką rosnącą przed nim trawę, jak również wszelkie pozostałe ślady mogące świadczyć o istnieniu tam trawnika. Powietrze przenikała woń przypominająca słaby zapach octu. Stojące naprzeciw siebie rzędy budynków tworzyły korytarz światła, na końcu którego stał zabłąkany bezpański pies, który obwąchując ziemię łapał jakiś zapach. Nawet z tak wielkiej odległości widać było, że zwierzęciu odstają żebra. Gdzieś zaczęło płakać dziecko; dźwięk był słaby, jakby rozcieńczony, automatyczny; zarazem jednak tak nieoczekiwany i budzący przerażenie, że Hoegbotton pomyślał, iż to wcale nie musi być dziecko, lecz jedynie coś, co je naśladuje z nadzieją, że uda mu się zwabić go bliżej.

Po kilku chwilach wahania wreszcie podjął decyzję. Sięgnął do torby po łom. Pół godziny później siłą wyważył wszystkie deski, odsłaniając drzwi oznaczone wyblakłym, nakreślonym na ciemnym drewnie znakiem X. Uświadomił sobie, jak płytko oddycha, jak mocno odczuwa swe podszyte strachem oczekiwanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdy otworzy te drzwi i znajdzie się w kłopotach, nikt nie poda mu pomocnej dłoni, lecz wciąż pożądał tego, co kryło to wnętrze. Mógł tam znaleźć wszystko, nawet kres swego życia, a jednak krążąca w żyłach adrenalina wciąż nie dawała mu spokoju.

Pociągnął, otwierając drzwi. Wkroczył do środka, ściskając łom niczym broń.

Przez chwilę jego oczy przyzwyczajały się do panującej wewnątrz ciemności. W powietrzu unosił się smród stęchlizny. Znajdujące się w przedpokoju okna, mimo iż zabite deskami, wpuszczały do środka wystarczającą ilość światła, by zalegająca podłogi warstwa kurzu lśniła niczym kolonie malutkich, przygaszonych świetlików. Przedpokój był wyjątkowo zwyczajny i niczym się nie wyróżniał; wszystko znajdowało się w nim na swoim miejscu. W jeszcze słabiej oświetlonym salonie widniały pozostałości po jakichś włóczęgach, którzy dawno temu utworzyli tam sobie tymczasowe schronienie, a następnie je porzucili. Sofa leżała przewrócona, koca użyto jako dachu dla prowizorycznego namiotu, zaś porozrzucane po podłodze płachty gazety miały służyć za posłanie. Psie odchody wydawały się stosunkowo świeże i niedawne, podobnie jak kości niewielkich zwierząt, złożone w stosik w kącie pomieszczenia. Truchło królika, poskręcane i wysuszone, lecz pooblepiane zeschniętą krwią, mogło pochodzić zaledwie sprzed tygodnia. Tapeta rozpadła się w zniechęcającym starczym mamrotaniu fragmentów i pasków. Wiszące kiedyś na ścianach obrazy leżały na podłodze, gdyż już dawno temu puściły trzymające je haczyki. W powietrzu unosił się słabo wyczuwalny, nieprzyjemny zapach - kwaśność, która odsłaniała potajemne negocjacje toczone pomiędzy drewnem a grzybem, naturalny wynik gnicia i rozpadu. Hoegbotton odprężył się. Szarych kapeluszy nie było tu od bardzo dawna. Pozwolił, by łom zawisł mu luźno w dłoni.

Wkroczył do jadalni. Kruche fragmenty gazety leżały porozrzucane po

wielkim stole, trzymane w jednym kawałku dzięki stojącej na nich butelce porto, tuż obok której znajdował się kieliszek. Na stole widniały też - skolonizowane przez pajęczyny, kurz oraz opadłe z sufitu poplamione kawałki drewna - trzy talerze wraz z towarzyszącymi im nakryciami. Stęchłe powietrze zachowało zawartość talerzy w zmumifikowanym stanie. Trzy talerze. Trzy porcje zamienionego w kość kurczaka. Trzy zielone smugi dawno już wysuszonego, bliżej nieokreślonego warzywa. Samuel Hoegbotton. Jego żona Sarah. Córka Jane. Wszystkie trzy krzesła, rozklekotane i przeżarte przez korniki, stały lekko odsunięte od stołu. Czwarte z kolei leżało przewrócone, roztrzaskane na kawałki samym ledwie upływem czasu bądź też jakimś bezpośrednim aktem przemocy.

Hoegbotton przez dłuższą chwilę wpatrywał się w krzesła. Czy poruszono nimi w przeciągu ostatnich stu lat? Czy przesunął je jakiś szalony, zabłąkany podmuch wiatru, który wpadł do środka pomiędzy szparami w zabitych deskami oknach? Skąd można było to wiedzieć? Mimo to jednak stojące w swej obecnej pozycji krzesła drażniły jego wyobraźnię. Wcale nie wyglądały, jakby zaalarmowana rodzina Samuela Hoegbottona zerwała się z miejsc - wciąż złożone serwety leżały na siedzeniach dwóch krzeseł. Trzecia - należąca do osoby czytającej gazetę - nie została nawet użyta, podobnie jak towarzysząca jej srebrna zastawa. Sztuńce dwóch pozostałych nakryć leżały dziwnie rozłożone. Przy prawym nakryciu widelec leżał pod pewnym kątem względem talerza, jakby został tak rzucony. Z nabitym na ząbki czymś ciemnym i wysuszonym. Czy to coś pasowało do nieregularności widocznej w skamieniałym kawałku kurczaka, leżącym na pobliskim talerzu? Noża w ogóle nigdzie nie było widać. Przy lewym nakryciu widelec wciąż trwał wbity w swą porcję kurczaka, a tuż obok niego nóż ciął mięso.

Hoegbotton miał wrażenie, że rodzina najzwyczajniej w świecie jadła posiłek i po prostu... Zniknęła... W samym jego środku. Kłujące zimne uczucie rozlało mu się po skórze. Widelec. Nóż. Krzesła. Płachta gazety. Jeden posiłek nietknięty, drugi przerwany w połowie. Butelka porto. Tajemnica szarpała nim, nie dając mu spokoju, wgrzając się w niego coraz mocniej, nawet teraz, gdy stała się jeszcze bardziej

nieprzenikniona. Nic w ułożonych przez niego i siostrę scenariuszach z czasów dzieciństwa nie mogło wyjaśnić tego, co tutaj zastał.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i nachylił się nad stołem. Ostrożnie odchylił na bok jedną z kartek gazety, sprawdzając widniejąca tam datę: dzień Cisy. Widok ten sparaliżował go. Odsunął sobie krzesło, na którym z pewnością musiał siedzieć czytający gazetę Samuel Hoegbotton, i powoli osunął się na nie. Jego wzrok powędrował wzdłuż stołu do miejsca, gdzie siedziały zapewne żona i córka tamtego. Czytającego gazetę z artykułem o zgiełku w dokach, przygotowaniach do zaplanowanego wkrótce powrotu floty rybackiej z dostawą tak wyczekiwanego mięsa kałamarnic, z krótką wiadomością o bluźnierstwie od Prędsona Truffidiańskiego, z krzyżówką. Nagły podmuch, przemieszczenie, zaskoczone spojrzenie żony, podnosi wzrok znad gazety i w ostatniej chwili swego życia widzi... Cóż takiego? Szare kapelusze? A może coś o wiele bardziej przerażającego? Czy Samuel Hoegbotton był wtedy zaskoczony? A może przerażony? Zdumiony? Czy też zabrano go tak błyskawicznie, że ani on, ani jego córka czy żona nie mieli nawet chwili, by jakkolwiek zareagować?

Hoegbotton po raz kolejny spojrział wzdłuż stołu, tym razem skupiając się na częściowo opróżnionej butelce porto. Nachylił się do przodu, przyjrzał bliżej kieliszкови. Płyn znajdujący się w środku z czasem wysechł, zamieniając się w osad na dnie. A jednak na brzegu kieliszka dało się dostrzec niewyraźne odbicie małych warg. Korek został mocno wciśnięty w szyjkę butelki. Kolejna tajemnica. Czyżby ktoś nalał sobie porto już na długo po Cisy?

Jego wzrok padł na leżący za butelką widelec z mięsem. Pod tym kątem nabity kęs nie wydawał się pasować do leżącej na talerzu porcji kurczaka.

Odsunął się od widelca, uderzony myślą, która nieoczekiwanie objawiła mu się w głowie. Jego wzrok przyciągnął wtedy nikły błysk, dobiegający z podłogi obok krzesła. Okulary Samuela Hoegbottona. Wykręczone w kształt przypominający okręgi przyłączone do linii prostej, zakończone kształtem litery U na każdym z końców. Kiedy wpatrywał się w okulary, poczuł tylko, jak w głowie mnożą mu się kolejne

pytania, aż wreszcie nie tyle siedział na krześle Samuela Hoegbottona, ile znalazł się na miejscu tysięcy dusz spoglądających w ciemność, starając się dostrzec, co też oni widzieli wtedy, co też zobaczyli; starając się zrozumieć, czego było im dane się dowiedzieć.

Dziecko wciąż krzychało, gdy potykający się Hoegbotton wychodził na zewnątrz, głęboko wciągając powietrze. Głęboko, łapczywie i zachłannie. Pobiegł po zaścielających drogę kawałkach cegły i gruzu. Przebiegł przez wybujałe chwasty. Minął budynek, gdzie z zaprawy murarskiej wystawały kawałki kości. Wspiął się na ogrodzenie, na którym wyraźnie stwierdzono, że wcale nie powinien się tu znajdować. I nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do znajomych kamieni bruku zaścielających najdalej wysunięte krańce bulwaru Albumuth. A kiedy się wreszcie zatrzymał, znów zachłannie wciągając powietrze, ciśnienie w skroniach nie zmalało mu ani o jotę, jedynie pewna zbłąkana myśl usadowiła się w jego głowie niczym choroba. Cóż takiego zobaczył wtedy Samuel Hoegbotton? I czy koniecznie musiał zniknąć, gdy już to ujrzał?

Tak właśnie wszystko się zaczęło - podążanie zimnym tropem sprzed niemal stu lat. Początkowo starał się wierzyć, że goni jedynie za możliwością wyjątkowo udanego interesu: ot, wykupywał zawartość zabitych deskami domów i naprawiał wszystko, co popadło w ruinę, by móc to później sprzedać we własnym sklepie. Zaczął od mieszkania Samuela Hoegbottona, wynajmując ludzi, którzy wynieśli stamtąd zawartość jadalni i przenieśli ją - ba, wręcz przeszczepili - do pomieszczenia sąsiadującego z jego biurem. Poustawiali tam wszystko dokładnie tak, jak stało, gdy wkroczył tam po raz pierwszy. Mógł teraz do woli siedzieć sobie w tym pokoju, niemal bez końca analizując i taksując wzrokiem każdy najdrobniejszy szczegół - butelkę porto, talerze, srebrne sztucce, serwety przypadkowo porozrzucane na krzesłach - lecz nie objawiło mu się żadne głębsze zrozumienie. Nic. Po kilku miesiącach odkurzył przedmioty i naprawił meble, doprowadzając wszystko (z wyjątkiem gazety) do stanu, w jakim musiało być dokładnie w chwili Ciszy. Gdy

napadały go mroczniejsze dni, uważał, że jego czyny mogą zainicjować kolejną Ciszę, lecz wciąż ani o krok nie zbliżył się do odpowiedzi na stawiane sobie pytania.

Wkrótce nawet porzucone po Ciszy pomieszczenia przestały go urzekać. Wchodził tam z wynajętymi pracownikami, a wewnątrz już czekały na niego stare, mroczne przestrzenie, w których coś, co kiedyś przez krótką chwilę nasyciło je swym upiornym napięciem - cokolwiek to było - i tak dawno je opuściło. Przestał gromadzić podobne rekwizyty, mimo iż w pewnym sensie było już na to za późno. Ungdom, Slattery i inni im podobni zaczęli go szkalować, rozpuszczając plotki mówiące o jego mrocznych zamiarach i pomieszaniu zmysłów. Utrudniali mu życie, lecz ignorując ich bolesne uwagi, jakoś zdołał to przetrwać.

Hoegbotton nie złożył broni, nie poddał się. Kiedy tylko mógł, kupował rzeczy mające jakiś związek z szarymi kapeluszami, a wszystko to z nieustanną nadzieją, że kiedyś uda mu się odkryć odpowiedzi konieczne do zaspokojenia ciekawości, która tak nie dawała mu spokoju. Czytał książki. Rozmawiał z tymi, którzy wciąż jeszcze, z niemal zapomnianych historii opowiadanych przez dziadków, pamiętali przeszłe czasy, pamiętali Ciszę. Aż wreszcie, koniec końców, nastąpił przełom: seria okrutnych aktów, do których zaczęło dochodzić w kolejnych posiadłościach Ambergris. To one zbliżyły go do odpowiedzi o wiele bardziej niż cokolwiek do tej pory.

Hoegbotton zakończył lekturę rejestru, raz jeszcze łyknął porto z kieliszka, a następnie wyszedł z pomieszczenia, akurat na czas, by usłyszeć dzwonek oznajmujący przybycie klienta. Odłożył księgi na swoje miejsce i już-już miał zamknąć drzwi prowadzące do jadalni Samuela Hoegbottona, gdy olśniła go myśl, że klatka byłaby bezpieczniejsza w jej wnętrzu. Podniósł ją - a gdy to robił, gorący uchwyt niemal parzył mu dłoń - i wszedł ponownie do środka, gdzie odłożył ją po drugiej stronie stołu. Wtedy wreszcie zamknął za sobą drzwi na klucz, schował go do biurka i wreszcie ruszył zaspokoić potrzeby przybyłego klienta.

Tej nocy kochał się z Rebeką. Jej blizna lśniła i jaśniała w świetle padającym z oczu, które - u szczytu jej uniesień - rozbłysły tak jasno, że sypialnia zdawała się niemal przeniesiona z mroku nocy w blask dnia. Kiedy w niej doszedł, poczuł, jak jakaś część jej blizny wkracza w jego ciało. Odebrał to jako ekstatyczne drżenie, przenikające mięśnie, kości, serce. Wykrzyknęła jego imię, przebiegając mu dłońmi wzdłuż kręgosłupa, po twarzy, a jej oczy błyszczały i igrały przyjemnością. W takich chwilach, gdy jej obcość przesączała mu się do wnętrza, doznawał uczucia nagłej paniki, jak gdyby tracił siebie, jak gdyby gubił własne imię. Siadał wtedy zwykle sztywno, podobnie jak teraz, z napiętymi mięśniami pleców.

Znała go wystarczająco dobrze, by nie pytać, co się stało, lecz by - zamroczona snem, gdy światło padające z jej oczu osłabło do błysku zaspokojenia - stwierdzić po prostu:

- Kocham cię.

- Też cię kocham - odpowiedział. - Twe oczy są tak pełne świetlików.

Zaśmiała się, ale dokładnie to miał na myśli, dokładnie te słowa chciał jej powiedzieć: w jej oczach pulsowały bowiem całe miasta, całe światy, sugerując istnienie poza wszelką przyziemnością i doczesnością.

Coś w jej wzroku przypomniało mu nieoczekiwanie kobietę o odrąbanych dłoniach. Odwrócił wzrok do okna, które, mimo iż zamknięte, wpuszczało do środka nieustający odgłos padającego deszczu. Tuż przy oknie, zatopione w cieniu, leżały na kominku rzeczy należące kiedyś do jego babki.

Następnego dnia, gdy siedział w pomieszczeniu Samuela Hoegbottona i pisał faktury za eksport towarów z kilku ostatnich tygodni - saphanckie maski karnawałowe, rzadkie niceańskie meble wykonane z węgorskiego drzewa, naszyjniki będące dziełem rąk pewnego plemienia, które zupełnie niedawno odkryto w samym



sercu wielkiej południowej dżungli, a wszystko to wysłane na rynek Morrow - zauważył coś dziwnego. Gwałtownie wciągnął powietrze. Odsunął krzesło od stołu. Wstał.

Dostrzegł bowiem rosnący pod kątem prostym od zielonego materiału osłaniającego wnętrze klatki delikatny, mleczno-biały grzybek o czerwonych blaszkach, stojący na długiej, prostej nóżce. Dokładnie taki sam jak te, które pojawiły się w posiadłości Daffeda. Ze wzrokiem wbitym w klatkę zaczął poszukiwać wokół siebie jakiejś broni. Pod ręką miał jednak jedynie butelkę porto. W stojącym za klatką lustrze grzyb, który wniknął w szczeliny szkła, zdawał się jakby ciemniejszy i bardziej zbity. Hoegbotton irracjonalnie zdecydował, że musi pozbyć się stąd klatki, gdyż to jadalnia spowodowała pojawienie się grzybów. Owinął uchwyt klatki serwetką, po czym wyniósł ją z pomieszczenia i odstawił na biurko.

Rozejrzał się po sklepie, starając się zlokalizować Bristlewinga. Jego asystent znajdował się w odległym kącie, gdzie pomagał jakiemuś starszemu jegomościowi w doborze odpowiedniego krzesła. Hoegbotton ledwie widział tył głowy Bristlewinga, kiwającej potakująco na słowa potencjalnego klienta. Obu przysłaniała kolumna szkolnych ławek.

Powoli, jakby pod baczny spojrzeniem wyrastającego grzybka, przesunął dłoń w kierunku górnej szuflady biurka. Otworzył ją i wyciągnął stamtąd srebrny nożyk do otwierania listów. Trzymając go przed sobą, zbliżył się do klatki. W głowie rozbłysły mu obrazy kobiety i jej syna. Nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Zawahał się. Przed oczami przebiegła mu wizja grzyba, który w myślach widział już nie jako jeden, lecz jako dwa, trzy, a nawet cztery. Nachylił się nad biurkiem i jednym cięciem pozbył się wyrastającego z klatki natręta. Ten upadł na biurko, pozostawiając po sobie na zielonym materiale zaledwie niewielki, okrągły, biały ślad, wyglądający tam równie niewinnie jak ptasie odchody.

Hoegbotton wyciągnął z kieszeni na piersi chusteczkę i zmiażdżył grzyba w jej fałdach, uważając przy okazji, by go nie dotknąć. Po wszystkim wcisnął trzymaną chusteczkę do stojącego przy biurku kosza na śmieci. Krótka chwila wahania i...

Wyłowił ją z powrotem. Kolejna chwila - i kolejna decyzja spowodowała, że chusteczka ponownie wylądowała w koszu. A po chwili raz jeszcze została stamtąd wyjęta.

Uświadomił sobie, że zarówno Bristlewing, jak i klient stoją teraz zaledwie jakiś metr od niego, uważnie przypatrując się tym poczynaniom. Zamarł, po chwili jednak uśmiech wykwitł mu na twarzy.

- Mój drogi Bristlewingu - powiedział. - W czymże mogę ci pomóc?

Bristlewing obdarzył go wzrokiem pełnym wstrętu i obrzydzenia.

- Stojący tu pan Sporlender jest zainteresowany kupnem biurka dla syna. Mamy w sklepie solidne drewniane krzesła, lecz nic odpowiedniego, jeśli chodzi o biurka. Czy nie znalazłoby się czegoś w naszych magazynach?

Hoegbotton uśmiechnął się, niezmiernie świadom faktu, że trzyma w dłoni zmiażdżony grzyb. Podrażnienie, spowodowane uchwytem klatki, wybuchło mu teraz z pełną mocą. Dłoń pulsowała wściekle.

- Tak, rzeczywiście, panie Sporlender, gdyby zechciał pan nas odwiedzić jutro, to z pewnością udałoby się nam znaleźć coś odpowiedniego... - Albo i nie. To i tak bez znaczenia, byle tylko ten człowiek wyszedł z jego sklepu. Teraz. Natychmiast.

Hoegbotton odtrącił łokciem stojącego mu na drodze Bristlewinga i poprowadził mężczyznę w kierunku drzwi przez tłoczące się wszędzie wokół stopy artefaktów - bełkocząc coś o padającym deszczu, o znaczeniu posiadania odpowiedniego biurka, o czymkolwiek, nieważne o czym, a przez cały ten czas pełne wstrętu spojrzenie Bristlewinga wwierało się w jego plecy i tył głowy. Jeszcze nigdy tak niecierpliwie nie pragnął dotrzeć do szorowanej strumieniami deszczu ulicy. A kiedy już tam dotarł, odebrał to jako falę - światła, świeżego powietrza - która uderzyła go z tak wielką siłą, że gwałtownie zaczerpnął tchu, ściągając tym samym na siebie czujne i ostre spojrzenie Sporlendera.

Kiedy już tam stanęli, niemal na ulicy, za żelaznymi drzwiami, mężczyzna wpatrywał się w niego czujnie zwężonymi oczami.

- Czy naprawdę, panie Hoegbotton... Rzeczywiście powinienem przychodzić

tu jutro? Naprawdę radzi mi pan tak uczynić?

Hoegbotton wbił wzrok we własną dłoń, która już niemal miała się sprzeciwić jego woli i odrzucić najdalej, jak tylko się dało, trzymaną chusteczkę wraz z ukrytym w niej grzybem. Niektórzy przechodnie mijający ich o tej wczesnopopołudniowej porze przyglądali im się ciekawie, gdy tak stali w drzwiach sklepu.

- Tak właściwie, jak mi się zdaje, to nie. Nie mamy w magazynie, czy gdziekolwiek indziej, żadnego biurka... Doznałem napadu nagłej klaustrofobii, która, ot, pojawia się i znika. A ja nie jestem w stanie nad tym zapanować.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

- Widziałem, co ukrywałeś w chusteczce. Wiem dokładnie, co to było. Pytanie tylko, czy przekazę tę wiadomość, komu trzeba? Po co jednak mam zawracać sobie tym głowę, skoro i tak wkrótce będziesz martwy?

Mężczyzna odszedł sztywnym krokiem.

Hoegbotton zaś natychmiast ruszył szybko w przeciwnym kierunku, mijając ulicznych sprzedawców, niewielki strumień pieszych, a nawet jeszcze mniejszy strumień wozów i powozów, objawiających się w padającym nieustannie deszczu zaledwie jako smugi i wilgotne zapachy. Dopiero po trzech czy czterech przecznicach, przemoczony do nitki, poczuł się na tyle swobodnie, by wyrzucić chusteczkę wraz ze skrywaną w niej zawartością do kosza stojącego na chodniku. A w głowie wyświetlał już sobie następujący obraz: ludzie kappana przeszukują jego sklep w poszukiwaniu grzyba.

Jakiś mężczyzna wymiotował do rynsztoka. Jakaś kobieta wrzeszczała na męża. Niebo było jednolicie szare. Deszcz nie miał końca, był niemal równie codzienny w Ambergris jak powietrze, które ich otaczało. Tak właściwie to Hoegbotton nawet nie odczuwał już jego obecności, nie zważał na niego. Wszędzie wokół, w pęknięciach chodnika, w najmniejszych szczelinach pomiędzy cegłami frontów sklepowych wyrastały nowe grzyby. Zastanawiał się, czy to, co zrobił, miało w ogóle jakiegokolwiek znaczenie.

Gdy wrócił do sklepu, Bristlewing zrędliwie prznosił jakieś pudła, poświęcając właścicielowi zaledwie jedno przelotne spojrzenie - czujne i ostrożne, wyraźnie pozbawione zaufania. Hoegbotton przemknął tuż obok niego, kierując się do łazienki, gdzie wyszorował sobie dłonie tak dokładnie, aż te przybrały czerwoną barwę. Wreszcie stamtąd wyszedł i ruszył, by po raz kolejny szczegółowo przyjrzeć się klatce. Wyglądała dokładnie tak samo, jak gdy wychodził. Zielony materiał nie posiadał żadnych nowych plamek z wyjątkiem tej pojedynczej białej kropki. Podczas jego nieobecności nie pojawiły się żadne nowe grzyby. To dobry znak. Znaczyło to, że postąpił właściwie. (Dlaczego w takim razie najzwyczajniejsze w świecie zaczerpnięcie oddechu przychodziło mu z takim trudem? Dlaczego tak trudno było mu powstrzymać drżenie ciała?).

Siadł za biurkiem ze wzrokiem wbitym w klatkę. Miał sucho w ustach i trudno było mu oddychać. Nic nie dzieje się bez powodu. Grzyby nie pojawiają się przypadkowo. W coś takiego nie potrafił uwierzyć. Jakżeby mógł?

Niemal wbrew własnej woli sięgnął dłonią w kierunku klatki, odsłaniając materiał zasłonki. Ustępująca zieleń odkryła przed nim delikatnie żłobione metalowe pręty, po których cieniach ślizgało się światło, ukazując lekko kołyszącą się wewnątrz żerdź, pod którą leżała... Biała dłoń. Błada, smukła i delikatna. Zakończona zeschniętą krwią. Natychmiast owładnęła nim taka oto wizja: był Samuelem Hoegbottonem, wpatrującym się poprzez zastawiony do posiłku stół w klatkę, w ostatnią rzecz, jaką miał zobaczyć w swym życiu... Dłoń, bez wątplenia, należała do żony Daffeda. Jakże miał się jej teraz pozbyć?

Wtedy jednak jego umysł zarejestrował o wiele bardziej istotny szczegół - szczegół, na widok którego Hoegbotton mocno zagryzł dolną wargę, chcąc powstrzymać budzący się w jego wnętrzu krzyk. Drzwiczki klatki były otwarte, odsunięte na bok równie gładko jak zasłonka. Przez kilka sekund siedział tak, w absolutnym bezruchu, wpatrując się jedynie w ten drobny szczegół. Ze sklepu dochodziło do niego wszędobylskie tykanie miriadów wskazówek zegarów, odliczających kolejne sekundy. Teraz żadna maska na twarzy nie mogła mu już

pomóc. Dłoń. Otwarta klatka. Nieziemski blask prętów klatki, błyszczących zapowiedzią śmierci. To falowanie i drganie postrzegane na krawędzi pola widzenia.

Gdzieś jednak odnalazł w sobie konieczną odwagę. Sięgnął i zasunął drzwiczki, używając do tego obu dłoni, zatraskując je - dokładnie w tej samej chwili, gdy poczuł pędzący mu na spotkanie nieoczekiwany ciężar po drugiej stronie prętów. Coś otarło mu się o palce. Dotyk go zmroził. Odskoczył od klatki, gwałtownie łapiąc powietrze. Drzwiczki zagrzechotały, potem zrobiły to po raz wtóry, po czym zapadła cisza. Żerdź zaczęła kołysać się gwałtownie tam i z powrotem, jak gdyby coś ją popychało. Wtedy i ten ruch zamarł. Wielce nieoczekiwanie.

Nie był w stanie zaczerpnąć oddechu. Nie był w stanie zawołać o pomoc. Serce biło mu tak szybko, że miał wrażenie, iż w każdej chwili może pęknąć. Nie tak to wszystko sobie wyobrażał. Nie tak to sobie wyobrażał.

Coś niewidzialnego uniosło leżącą w klatce dłoń i wypchnęło ją pomiędzy prętami. Dłoń upadła na rejestr, zakołysała się na nim raz i drugi, wreszcie znieruchomiła.

Pięciu, czy nawet sześciu prób potrzebowały jego zwinne i zręczne niby kłody drewna palce, by odnaleźć sznureczek i zaciągnąć zasłonkę. Wreszcie odciął się od wnętrza klatki.

Przez dość długi czas siedział w absolutnym bezruchu, wpatrzony w zieloną zasłonkę. Nic się nie działo. Nic się nie stało. Nic złego. Poczucie ciężaru ciała przyczajonego po drugiej stronie prętów rozmyło się wraz z zaciągnięciem zasłonki. Dłoń leżąca na rejestrze nie była prawdziwa. Wyglądała na zrobioną z alabastru. Przypominała woskową. Była zaledwie świecą, która nie posiadała knota. Fragmentem jakiejś figurki.

Minęła godzina, a może zaledwie minuta, nim odnalazł papierową torebkę, a następnie, posługując się nożem do listów, ostrożnie wsunął do niej dłoń. Wreszcie, zawijając brzeg torebki, zamknął ją.

Po jakimś czasie w jego polu widzenia pojawił się Bristlewing.

- Bristlewingu - zaczął Hoegbotton. - Jak się cieszę, że cię widzę.

- Słucham.

- Widzisz tę klatkę?

- Tak.

- Chcę, byś zaniósł ją Ungdomowi.

- Ungdomowi? - Twarz Bristlewinga pojaśniała. Najwyraźniej uważał, że to jakiś żart.

- Tak. Ungdomowi. I przekaz mu również, że przesyłam ją z pozdrowieniami i wyrazami szacunku. Że ofiarowuję mu ją jako symbol naszej odnowionej przyjaźni. - Gdzieś wewnątrz śmiał się, myśląc o niepokoju, który miał wkrótce dopaść Ungdoma. Gdzieś w głębi krzyczał o pomoc. Bristlewing prychnął.

- Czy to aby rozsądne?

Hoegbotton wpatrywał się w niego, jak gdyby spoglądał przez kłęby dymu.

- Nie. To nie jest rozsądne. Ale i tak chcę, żebyś to zrobił.

Bristlewing odczekał chwilę, jakby sądził, że Hoegbotton coś jeszcze doda. Lecz gdy nie doczekał się kolejnych słów, podszedł do biurka i schwycił za klatkę. Gdy nachylał się nad nią, Hoegbottonowi zdawało się, że dostrzega nisko na szyi swego pomocnika, tuż pod lewym uchem, plamkę zieleni. Czyżby Bristlewing był zarażony? Czyżby stał się zagrożeniem?

- Ach, i jeszcze jedno. Daję ci wolne do końca tygodnia. Oczywiście, kiedy już dostarczysz klatkę Ungdomowi. - Skoro jego asystenta czekał rozpad na spory, to niech stanie się to gdzie indziej. Hoegbotton powstrzymał w sobie histeryczny chichot.

Bristlewing podejrzliwie zmarszczył czoło.

- A gdybym chciał pracować?

- Masz urlop. Tak, urlop. Nigdy nie dawałem ci wolnego. Oczywiście zapłacę ci za te kilka dni.

- W porządku - odparł tamten. Spojrzenie, którym obdarzał Hoegbottona, było teraz, przynajmniej w oczach tego ostatniego, wyjątkowo bliskie politowania i

współczucia. - Zaniosę klatkę Ungdomowi, a później wezmę sobie wolne.

- Dokładnie coś takiego miałem na myśli.

- W porządku. Do widzenia więc.

- Do widzenia.

Gdy Bristlewing wymijał leżące w sklepie przeszkody, kierując się ku wyjściu wąską dróżką otoczoną najprzeróżniejszymi szczątkami, Hoegbotton nie mógł nie zauważyć, jak jego asystent przechyla się na bok, jakby klatka stała się niewytłumaczalnie ciężka.

Pięć minut po wyjściu Bristlewinga zamknął za sobą drzwi prowadzące do sklepu. By tego dokonać, potrzebował zaledwie siedmiu banalnych prób.

## 5

W domu powiedział Rebecce, że wrócił tak wcześnie, ponieważ otrzymał właśnie informację o śmierci babki. Wyglądało na to, że zinterpretowała drżenie i dreszcze jego ciała, załamywanie głosu, sposób, w jaki jej dotykał w poszukiwaniu tak potrzebnej mu teraz bliskości, jako związane ze smutkiem po utracie kogoś bliskiego. W milczeniu zjedli obiad, trzymając się za ręce.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła go po obiedzie, a on wyliczył jej wszystkie swe symptomy strachu, udając, że to objawy smutku po śmierci osoby z najbliższej rodziny. Gdziekolwiek spojrzeł, stawała mu przed oczami kobieta z posiadłości, której spojrzenie raz było pełne gniewu, raz znów żałobne. Jej rany krwawiły obficie, a wypływająca z nich krew spływała po sukni, lecz ona nawet najmniejszym ruchem nie starała się jej zatamować.

Wcześnie poszli do łóżka i Rebeka trzymała go tam w ramionach, dopóki nie podążył wąską ścieżką prowadzącą w kierunku snu. Lecz i sen przyniósł mu zaledwie kolejne katusze i kalejdoskop dręczących obrazów. Szedł w nim bowiem po mieszkaniu Samuela Hoegbottona, aż wreszcie znalazł się w długim, wąskim

korytarzu, którego nigdy wcześniej nie widział. Na drugim końcu korytarza stali kobieta i chłopiec, których spotkał w posiadłości Daffeda, otoczeni olbrzymim bogactwem, antykami zdającymi się w swym połyskującym i błyszczącym ogromie darem losu, wręcz mrugnięciem od Boga. Szedł w ich kierunku po dywanie z drobnych, poodcinanych dłoni. Czuł obrzydzenie, lecz nie mógł się zatrzymać: obietnica rozsiewana przez leżące przed nim rzeczy okazywała się zbyt wielka, zbyt kusząca. Nawet gdy dostrzegł własną głowę, ramiona i nogi, byle jak przyłączone krwią do ściany, nie był w stanie powstrzymać swego marszu w kierunku końca korytarza. Dłonie były zimne, miękkie i błagalne.

Wbrew snom, które go nawiedziły, następnego ranka obudził się pełen energii i spokoju. Klatka zniknęła z jego życia. Dostał kolejną szansę. Nie czuł potrzeby, by dalej podążać śladem Samuela Hoegbottona. Nawet wyryte w dłoni ślady pulsowały już mniejszym bólem. Bębniący na zewnątrz deszcz budził w nim radość z dość nieokreślonych i niezrozumiałych dziecięcych powodów - wspomnień, jak to wymykał się z domu wprost w rozszalałą burzę, by bawić się tam pod osłoną ciemnych chmur, czy też jak wyruszał rzeką na te rzadkie wyprawy wędkarskie z ojcem, podczas których krople rozpryskiwały ciemną, pozbawioną życia powierzchnię Moth.

Przy śniadaniu powiedział nawet Rebecce, że być może się mylił i powinni jednak pomyśleć o założeniu rodziny. Zaśmiała się i wyściskała go, stwierdzając jednak, że z taką rozmową powinni poczekać, aż dojdzie do siebie po śmierci babki. Ponieważ nie spytała go o ewentualne przygotowania do pogrzebu, zastanowił się, czy przypadkiem nie przejrzała jego kłamstwa. A stojąc już w drzwiach, gotów do wyjścia, przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował. Jej usta miały smak kapryfolium i róż. Jej oczy jak zwykle stanowiły dla niego tajemnicę, lecz nie miał nic przeciwko temu.

Już w pracy, wobec błogiej nieobecności Bristlewinga, przetrząsnął cały sklep w poszukiwaniu śladów grzyba. Założył długie rękawice i nową maskę, po czym



spędził większość czasu w starej jadalni, przesuając się w niej na kolanach pod stołem, poddając dokładnym oględzinom spód blatu, czyszcząc każdą dostępną powierzchnię. Grzyb zakorzeniony w lustrze utracił swój tak niedawno odzyskany wigor. Tak czy inaczej, Hoegbotton schwycił za szczoteczkę do zębów i nóż, by kolejne pół godziny spędzić na radosnym zdrapywaniu go stamtąd.

Następnie, zdejmując maskę i rękawice, przeszedł przez swe codzienne rutynowe zajęcia związane z prowadzeniem ksiąg, tym razem, korzystając z nieobecności Bristlewinga, czytając sobie na głos znajdujące się tam wpisy. Jego pomocnik zwykle w takich przypadkach spoglądał na niego ze zmarszczonym czołem. Jakies fragmenty niepokojących obrazów przelatwały mu przez głowę niczym uwięzione w klatce ptaki, lecz ignorował je, zmuszając się do rutynowych czynności pozwalających mu na inne myśli.

Nim minęło południe, padający na zewnątrz deszcz zmienił się w lekką mżawkę, odbierającą wielu klientom zapał do zakupów. Ci, którzy jednak wchodzili do środka, lądowali tu niczym kruki uciekające przed złą pogodą, strząsając poły skrzydeł swych płaszców przeciwdeszczowych, z małym prawdopodobieństwem dokonania jakichkolwiek zakupów.

Do pierwszej po południu zarobił zaledwie sto seli. Ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Było niemal wyzwalające. Zaczynał wierzyć, że udało mu się wymknąć ze szponów straszliwego niebezpieczeństwa, a nawet łapał się na myślach, czy aby jakaś kolejna bogata rodzina nie doznała odwiedzin szarych kapeluszy.

O drugiej po południu, wciąż w wyśmienitym nastroju, przeżył szok, gdy do sklepu wkroczył jeden z członków sił ochrony kappana. Człowiek ten, o wyjątkowo ponurym spojrzeniu, był ubrany w kompletny strój ochronny, zakrywający go od stóp do głów, a jego szara maska zasłaniała każdy centymetr twarzy z wyjątkiem oczu. Czyżby wiedzieli? To nie była pora regularnej inspekcji w sklepie. Czyżby szukający biurka mężczyzna jednak z nimi porozmawiał? Hoegbotton podrapał się po zranionej dłoni.

- W czym mogę pomóc? - Zapytał

Mężczyzna przez moment jedynie wpatrywał się w niego.

Wreszcie powiedział:

- Szukam torebki na urodziny matki.

Słowa te wywołały wybuch śmiechu Hoegbottona, który następnie przez dłuższą chwilę, nim wreszcie sprzedał mu torebkę, musiał przekonywać mężczyznę, że nie śmiał się z niego.

Przez jakieś pół godziny po jego wyjściu w sklepie nie pojawił się żaden inny klient. Hoegbotton wprowadził się w stan nerwowego i ruchliwego spokoju, w którym trwał do mniej więcej trzeciej po południu, kiedy to przed sklepem pojawił się posłaniec: chłopiec na rowerze, wynędzniały, zmizerowany i ubrany w brudne rzeczy, który zastukał do drzwi, a następnie czekał przy nich na pojawienie się Hoegbottona. Dopiero wtedy wypuścił z dłoni kopertę, która z furkotem opadła na wycieraczkę. Chłopiec wystawił rower z powrotem na chodnik i oddalił się, pedałowując i dzwoniąc dzwonkiem.

Hoegbotton, podśpiewując sobie pod nosem, nachylił się i podniósł kopertę. Otworzył ją. W liście przeczytał następujące słowa, zapisane koślawym pismem:

*Dziękuję ci, Robercie, za Twój wyjątkowo  
piękny prezent, lecz ptaszek odleciał do domu.  
Nie mogłem zatrzymać sobie takiego skarbu.  
Pozdrowienia dla żony - John Ungdom.*

Hoegbotton wpatrywał się w liścik, chichocząc z powodu tak jawnie widocznego sarkazmu. Lecz gdy przeczytał go ponownie, mars wykwitł mu na czole, zamykając usta i dławiąc śmiech. Odleciał do domu. Przeczytał go po raz trzeci i poczuł, jak żołądek zaczyna mu ciążyć niczym kamienie. Pozdrowienia dla żony.

Upuścił kartkę, narzucił płaszcz przeciwdeszczowy i nawet nie kłopotząc się zamykaniem drzwi wejściowych na klucz, wybiegł na ulicę - wprost w oślepiający,

zalewający mu oczy deszcz. Ruszył bulwarem Albumuth w kierunku domu, wprost przez Dzielnicę Biurokratów. Czuł się, jakby biegł w miejscu. Każdy przechodzień stał mu na drodze i przeszkadzał. Każdy koń i wóz blokował mu drogę. Padający coraz mocniej deszcz wybijał kroplami rytmiczną wiadomość na jego ramionach. Krople brzmiały niczym stukanie palcami. Słabo widoczne przez deszczową mgiełkę kształty budynków stały się dla niego punktami orientacyjnymi, względem których określał swój rozchwiany postęp. Przechodnie wpatrywali się w niego, jakby postradał zmysły.

Gdy dotarł do holu budynku, w którym mieszkał, bolało go w boku i był zlany potem. Dłonie miał pokrwawione, gdyż podczas drogi raz za razem przewracał się na śliskim chodniku. Wbiegał teraz po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Pokonując korytarz prowadzący do mieszkania, wrzeszczał: „Rebeka!”.

Drzwi były uchylone. Starał się złapać oddech, składając się niemal w pół i powoli pchając je, aż stanęły otworem. Tuż przy samej ziemi biegł przez cały przedpokój rząd białych grzybków. Grzybków o czerwonych blaszkach. W miejscu, gdzie dłonią trzymał się drzwi, również poczuł pod palcami miękkiego dotyku grzyba. Odskoczył ze wstrętem i wyprostował się.

- Rebeka? - Zapytał, zaglądając do kuchni. Pusto. Wnętrze kuchennego okna pokrywała purpurowa pleśń. Laska leżała obok stojaka na płaszcz, prezentu od ojca Rebeki. Podniósł ją i ruszył przez mieszkanie, torując sobie drogę między białymi grzybkami, a równocześnie podciągając płaszcz, by przysłonić sobie usta. Drzwi prowadzące do salonu znajdowały się zaraz na lewo, miał je tuż przed sobą. Do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk, jak gdyby głowę owinięto mu jakimś materiałem. Powoli wyjrzał za krawędź drzwi.

Pokój gościnny jaśniał od grzyba, białego i purpurowego, zielonego i żółtego. Półki grzyba sterczały ze ścian. Grzyby w kształcie butelek w kolorze głębokiego burgunda kołysały się i falowały niczym przyklepione do podłogi balony. Dłoń piekła, jakby przypalano ją ogniem. To nie wcześniej, to teraz znalazł się we śnie.

Klatka, przypominająca egzozkietet zrzucony przez jakiegoś tropikalnego

zuka, stała na niskiej ławie. Nie była zasłonięta i miała otwarte drzwiczki. Tuż obok niej leżała kolejna alabastrowa dłoń. Z jakiegoś powodu nie był zaskoczony tym widokiem. Właściwie nawet go nie zarejestrował. Za stolikiem bowiem stały otworem drzwi prowadzące na balkon. Tam zaś zobaczył stojącą w deszczu Rebekę. Jej włosy błyszczały od spadających kropel. Miała mgliste spojrzenie. Porozrzucane wszędzie wokół niej, jak gdyby w hołdzie, stały przedziwne rośliny, które dawno temu opanowały cały balkon: łopoczące na wietrze pomarańczowe włókna, sztywno stojące przezroczyste bulwy, mozaikowe wzory złotozielonej pleśni wytłoczone na porzewiałej barierce. Za tym wszystkim było widać ciemnoszare cienie miasta oznaczonego smugami światła.

Rebeka stała ze spuszczonym wzrokiem, wpatrzona w... Pustkę... Dłonie, jakby w błagalnym geście, złożyła przed sobą.

- Rebeka! - Wykrzyknął. Czy też wydawało mu się, że tak zrobił. Usta miał ściśnięte i suche. Ruszył przez salon, a grzyby ciągnęły go za buty i spodnie, zatrzymując w miejscu. W powietrzu aż roiło się od spór. Zamrugał oczami, kichnął, zatrzymał się przy balkonie. Rebeka wciąż nie podnosiła na niego wzroku. Padający na zewnątrz deszcz zachlapywał jej buty.

- Rebeko - powiedział, pełen obaw, że kobieta nie dosłyszy jego głosu, że dzieląca ich odległość okaże się w jakiś dziwny sposób zbyt wielka. - Zejdź stamtąd. Odsuń się. Tam nie jest bezpiecznie.

Rebeka drżała na całym ciele. Widział wyraźnie, jak ciałem żony wstrząsają dreszcze.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Uśmiechnęła się.

- Nie jest bezpiecznie? Sam to przecież zrobiłeś, prawda? Nim wyszedłeś rano do pracy, otworzyłeś mi balkon? - Surowo zmarszczyła brwi. - Ale potem coś mnie zastanowiło. Przysłałeś z powrotem klatkę, mimo iż pani Willis kategorycznie zabroniła nam trzymania tu zwierząt.

- Nie otworzyłem balkonu. To nie ja przysłałem tę klatkę. - Jego buty barwiła zieleni. Bolały go ramiona.

- Cóż, ktoś ją przyniósł... I otworzyłam ją. Z nudów. Miał przyjść po mnie kwiaciarz, by zabrać mnie na bazar, ale się nie pojawił.

- Rebeko, tam nie jest bezpiecznie. Zejdź z tego balkonu. - Jego słowa były stłumione, nieprzekonujące. Ciało zaczynało mu drętwieć. Opanowywał go jakiś letarg

- Chciałabym wiedzieć, co to jest - powiedziała. - Widzisz je? Tu, na wprost.

Już miał zaprzeczyć, powiedzieć, że nie widzi, lecz nagle uświadomił sobie, że coś tam jednak jest. Kiedy tylko to zauważył, gwałtownie wciągnął powietrze. Zadławił się tym widokiem. Tak mocno zagryzł wargi, aż krew zaczęła ściekać mu po brodzie. Wszelka nagromadzona w nim determinacja, by ratować Rebeke, rozplynęła się w powietrzu, rozproszyła i znikła.

- Chodź tu, Rebeko - tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić.

- Tak. W porządku - odpowiedziała mu cichutkim, łamiącym się głosem.

Potykając się o grzyby, weszła do mieszkania. Spotkali się przy niskim stoliku. Tam mocno przytulił ją do siebie, szepcząc do ucha:

- Musisz stąd wyjść, Rebeko. Chcę, byś zeszła na dół. Odszukaj tam panią Willis. Niech pośle po ludzi kappana. - Czuł na swej twarzy wilgoć jej włosów. Delikatnie je pogładził.

- Boję się - wyszeptała, zarzucając mu ramiona na szyję. - Chodź ze mną.

- Zrobię to, Rebeko. Obiecuję ci. Ale dopiero za chwilę. Teraz, Rebeko, chcę, byś stąd wyszła. - Drżał z mieszaniny przerażenia, które zrodziła w nim myśl, że mógłby już nigdy nie wypowiedzieć jej imienia, i ulgi, że wreszcie zrozumiał, dlaczego ją kocha.

Ruszyła w kierunku drzwi, a gdy jej ciężar usunął mu się z ramion, jak na ironię spadło na niego kolejne brzemie.

To coś nie ruszyło się z balkonu. Nie do końca było niewidzialne, jedynie kamuflowało się dzięki doskonałemu dopasowaniu do tła. Prętów klatki. Przestrzeni między nimi. Żerdzi. Teraz mógł je niewyraźnie dostrzec wyłącznie dlatego, że istota nie była w stanie wystarczająco szybko naśladować opadających wokół kropel

deszczu.

Wyszedł na balkon. Spadające mu na twarz krople budziły miłe uczucie. Miał zdrętwiałe nogi, opadł więc na stare, rozkładające się krzesło, którego nigdy jakoś nie mieli czasu pozbyć się z balkonu. Siedział na nim ze wzrokiem wbitym w miasto między prętami poręczy balkonu, a istota obserwowała go wnikliwie. Deszcz ściekał mu po włosach. Starał się nie patrzeć na dłonie, które właśnie powoli ogarniała zielona barwa. Chciał się zaśmiać, lecz wydał z siebie zaledwie jakiś chrapliwy gulgot. Opanowała go myśl, że wciąż musi znajdować się w tamtej posiadłości, razem z tamtą kobietą i chłopcem, że tak naprawdę nigdy się z niej nie wydostał, nigdy stamtąd nie wyszedł, nigdy jej nie opuścił, gdyż, tak z ręką na sercu, jakże można było umknąć przed takim horrorem? Jakże można było uciec przed czymś takim?

To coś podeszło do niego cichym krokiem. Zaśpiewało. A ponieważ nie miało to już dłużej żadnego znaczenia, Hoegbotton odwrócił się i spojrzał na stojącą przed nim istotę. Przełknął wrywający się z gardła szloch. Nie oczekiwał bowiem, że zobaczy tam coś takiego. Ta istota była piękna. Jej pojedyncze oko, tak podobne do oczu Rebeki, lśniło niezwykłym światłem, gdy przebiegały przez nie błyski fosforescencji. Lustrzana skóra stworzenia lśniła deszczem. Jego usta, pełne noży, układały się w uśmiech, który bynajmniej, nawet w najmniejszym stopniu, nie znaczył i nie przekazywał tego samego co ludzki. Spoglądając w pojedyncze, piękne oko istoty, wiedział teraz, że tylko na tyle mógł się zbliżyć. Tylko na tyle. Być może było za tym jeszcze coś innego, coś więcej. Być może istniała wiedza bardziej tajemna niż ta, której teraz doświadczał, lecz on nigdy jej nie dostąpi.

Istota wyciągnęła w jego kierunku łapę pełną pazurów. Hoegbotton przyjął ją po chwili wahania



**Nicholas Sporlender**

**W pierwszych godzinach  
po śmierci**



W przeciągu kilku ostatnich lat Nicolas Sporlender wielokrotnie gościł ze swymi utworami na naszych łamach; można tu wspomnieć tak pamiętne historie jak *Wymiana* (wydana później w formie oddzielnej broszurki przez Hoegbottona i Synów), *Błysk źrenicy w mroku*, *Pazur wbity głęboko* czy *Grę w zagubione i odnalezione*. Ostatnimi czasy autor zakończył swą długotrwałą współpracę zawodową z rysownikiem Louistem Verdenem (będącym równocześnie naszym dyrektorem artystycznym). Redakcja „Płonących liści” chciałaby więc skorzystać z okazji i wyrazić swą nadzieję, że obaj jakże wartościowi i zacni dżentelmeni ponownie rozważą podjętą decyzję i w nadchodzących latach dostarczą mieszkańcom Ambergris jeszcze wiele radości swymi budzącymi dreszcze makabreskami.

## PŁONĄCE LIŚCIE

### I

W pierwszej godzinie po śmierci pokój trwa w takim bezruchu, że każdy dźwięk kryje w sobie czystość i klarowność niczym stukot ostrza noża uderzającego o szkło szyby. Miękkie stapanie butów, gdy ktoś wycofuje się z pomieszczenia, zamykając wreszcie za sobą drzwi, rządzi niepodzielnie - każdy z tych krótkich kroków jest miarowy, wyraźny, wyważony. Ciało leży na podłodze. Jego ślepe, niewidzące oczy wpatrują się w jej drewno, jak gdyby gdzieś głęboko w jego słojach ukryto jakąś odpowiedź. Tył głowy leżącego ciała płami cień rzucany przez drzewa kołyszące się za otwartym oknem. Wyciekająca z czaszki strużka czerwieni, zwijająca się i okręcająca wzdłuż policzka, tuż przy zaciśniętej pięści zbiera się wreszcie w kałużę, a rozlewając się, zdaje się niemal równie nieszkodliwa, wypłukana ze wszelkiego zagrożenia, jakby była zaledwie zabarwioną wodą. Mężczyzna ma rozluźnione rysy, lekko rozchylone usta, wyraźnie widoczny na twarzy wyraz zaskoczenia. Zmarszczki na czole układają mu się w grzbiety niepotrzebnych zmartwień. Jego trąbka leży zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej... Z zewnątrz, zza okna, do pomieszczenia wpada chłód dnia, sprowadzając ze sobą złotozielony zapach bzu i pnącej winorośli. Słychać szelest liści. Wpadające światło pogłębia się. Przez zasłonę drzew przebija odrobina błękitu. Po jakimś czasie ukradkiem przemyka po podłodze mysz o poszarpanym, obdartym futerku, której jedno z oczu pokrywa mleczne bielmo. Przysiadając na tylnych łapkach tuż przed leżącym ciałem, mysz wciąga nosem powietrze, by następnie okrążyć mężczyznę. Bada ukryte kieszonki jego szarego garnituru, drży na szczycie czubka butów, skubie i obgryza sznurówki, wtyka nos w nogawki spodni. Zza okna dochodzi metaliczny dźwięk, słaby i chaotyczny. Mysz chwiejnie i niepewnie staje na tylnych łapkach, raz jeszcze kręci nosem, wachając powietrze, po czym chrobocząc na podłodze czmycha w kierunku skrytego pod stołem wejścia do norki. Dźwięk zza okna przybiera na sile, wzmagają się, przypomina



wiele instrumentów, które niepewnie, w pijackim zaskoczeniu, starają się wspólnie zagrać. Być może to te dźwięki wystraszyły mysz, a może przeraziła ją zmiana, jaka zachodzi w wyglądzie leżącego. Jego broda zaczyna bowiem wypuszczać naśladowane włosy wici ciemnozielonego grzyba, które równocześnie z rozbrzmiewającą coraz bliżej muzyką zwijają się i okręcają po twarzy mężczyzny. Poruszają się z muzyką. Zderzenie dźwięków staje się bardziej harmonijne niż czysta kakofonia, lecz wciąż brak mu spójności. Brzmi, jakby kilku ludzi, strojąc instrumenty, zaczęło odgrywać własną, oddzielną i zupełnie niesynchronizowaną z pozostałymi melodię. Gdzieś w całym tym kłębowisku napuszonych, pompatycznych waltorni i trąbek słabiutko skomla skrzypce. Wici wędrują leniwie, próbując opanować krew. Muzyka swawoli hałaśliwie, na zmianę melancholijna i wyzywająco bezczelna. Leżący człowiek, rzecz jasna, niczego nie słyszy; krew, która zalewa mu czoło, zaczyna krzepnąć. Zapach panujący w pomieszczeniu staje się przykry i czuć w nim wilgoć. Cienie pogłębiają się, ciemnieją. Stojący w rogu stół, na blacie którego leży częściowo zjedzona kanapka, rzuca złowieszczy, purpurowy cień. W końcu zbliżająca się muzyka, stając tuż pod samym oknem, osiąga crescendo. Pełno w niej wątpliwości, jakby grający spoglądali po sobie, pytając się nawzajem, co powinni teraz zrobić. Twarz mężczyzny nieznacznie porusza się w drgającym powietrzu. Jego grzybowa broda uśmiecha się. Przy innym oświetleniu niemal można by przyjąć, że żyje, a jedynie bacznie wpatruje się w parkiet podłogi, zaglądając na wskroś do leżącego pod nim mieszkania. Z Dzielnicy Religijnej dochodzi słaby dźwięk dzwonów, znaczących czas rozpoczęcia poobiednich modlitw. Popołudnie niemal dobiegło już końca. Pokój wyziebia się z chwilą, gdy zaczyna opuszczać go światło. Muzyka staje się bardziej pewna. Nie mija wiele minut, a jej szczęk rusza w górę schodami w kierunku mieszkania. Brzmi, jakby biegła. Bo ta muzyka biegnie. Wici w wyścigu z nią rozprzestrzeniają się coraz bardziej, coraz szerzej, coraz szybciej, pokrywając ciemnozieloną

## PŁONĄCE LIŚCIE

maską całą twarz mężczyzny. Jak gdyby błędnie interpretując swój sukces, nie rozpełzają się na resztę ciała; zamiast tego narastają i nabudowują się na masce, która po chwili paskudnie odstaje i sterczy z twarzy leżącego mężczyzny. Drzwi wyginają się od siły grzmotu waltorni, od gwałtownego falowania dźwięków skrzypiec. Ktoś od strony korytarza wkłada klucz w zamek i obraca gałkę. Drzwi otwierają się. Muzyka, w całej swej chaotycznej glorii, wkracza do środka. Mężczyzna leży na podłodze perfekcyjnie nieruchomo, tuż przy niemal zaschniętej kałuży krwi. Zewsząd, z każdej strony, otacza go las nóg i butów. Muzyka staje się pieśnią pogrzebową, pełną żalu, nawiedzona przez ducha jakiegoś dziwnego fletowego instrumentu. Muzycy otaczają ciało kręgiem, ich cierpienie i rozpacz wypływają z nich wykonywaną muzyką, ich długie cienie igrają na ciele leżącego mężczyzny. Lecz prócz lekko zielonkawej barwy twarzy ten odzyskał swą dawną formę. Grzyb rozplynął się zupełnie, zniknął. Któż mógłby podejrzewać, że nastąpi coś takiego? Jedyne martwy człowiek wpatrujący się w drewno, jakby skrywało ono w sobie jakąś tajemnicę. Martwy człowiek, słaniając się i zataczając, podnosi się z podłogi. Staje na nogach. Następnie sięga po trąbkę. Uśmiecha się. Chwyta leżący na stole kapelusz i nakłada go sobie na wciąż zakrwawioną głowę. Zwilża wargi językiem. Przykłada trąbkę do ust, gdy wszystkie instrumenty równocześnie milkną. Zaczyna dać, wydając czysty, mimo iż wciąż nieharmonijny ton. To jego własna muzyka, nierówna i nieprzystająca do muzyki reszty. Otaczające go zewsząd twarze przyjaciół wyostrzają się, brzęczą słowami. Przyjaciele się śmieją. Ściskają go. Mówią, jak bardzo się cieszą, że wszystko okazało się jedynie żartem; a słyszeli już najgorsze; proszą, by nigdy więcej nie straszył ich w ten sposób. Nie wiedzieli, czy mają grać jak na pogrzeb, czy jak na zmartwychwstanie, o którym jednak nie słyszeli ani słowa. Niezdolni do podjęcia decyzji, zagrali równocześnie na obie okazje. Mężczyzna się śmieje, poklepując po plecach stojących najbliżej. Grajcie, mówi. Ale sam nie jest ich częścią. Grajcie, błaga. Lecz sam nie jest

jednym z nich. A oni grają - a grając, wymaszerowują z nim przez otwarte drzwi. A on nie jest już jednym z nich. Gdy zamykają się drzwi, pokój wydaje się równie pusty jak wcześniej, mimo iż schody rozbijają się echem muzyki. Z czasem ten dźwięk rozplywa się w powietrzu. Zanika, aż staje się ledwie wspomnieniem dźwięku. Aż wreszcie, po chwili, przestaje być nawet tym. Pokój trwa w bezruchu. Bezwzględny. Mężczyzna powrócił do swego ciała. Tak wygląda pierwsza godzina po śmierci w mieście Ambergris. Tu można nie spoczywać zbyt długo. Można, w pewnym sensie, stać się sobą po raz wtóry. A co najgorsze, można pamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, lecz nic nie być w stanie z tym zrobić, nic na to poradzić.

## PŁONĄCE LIŚCIE

### II

W drugiej godzinie po śmierci mężczyzna stoi z przyjaciółmi muzykami w publicznym parku, gdzie dają wspólny koncert. Wokół zebrał się spory tłumek, niektórzy stoją, niektórzy kucają, jeszcze inni przysiedli na ławkach. Trąbka w rękach mężczyzny zdaje się rozgrzana do czerwoności, zdaje się lśnić złotem. Z każdym wdmuchiwanym w instrument oddechem mężczyzna odczuwa falę przyływu nieokreślonej, trudnej do zidentyfikowania emocji, z którą pojawiają mu się w głowie szczegóły dotyczące dawnego życia. Mężczyzna czuje, jakby napełniał się Życiem, każdy jego oddech uwydatnia go i ulepsza. Przypomina sobie własne imię - te krągłe samogłoski, które tak obficie w nim występują - lecz opiera się pokusie, by je wykrzyknąć. Imię jest dobrym fundamentem dalszej budowy. W porównaniu z wyrazistymi liniami grających obok przyjaciół, którzy poruszają tak blisko w tak dobrze znanej synchronizacji ze swymi instrumentami, każdy z widzów jawi mu się w formie radosnych, rozmazanych smug. Imiona przyjaciół wskakują mu do głowy - każde z maleńką eksplozją przyjemności. Wkrótce unosi się w morzu imion: matka, ojciec, brat, siostra, córka, listonosz, piekarz, barman, rzeźnik, sklepikarz... Uśmiecha się promiennie jak człowiek, który przypomniał sobie swe życie i odkrył, że było ono dobre. To szczyt, najważniejsze wydarzenie drugiej godziny po śmierci. Jednak nie wszyscy są wtedy tak szczęśliwi; u niektórych wiedza dotycząca tożsamości zdaje się wyciekać porami skóry, z każdą wydychaną myślą coś z nich uchodzi. Mężczyzna jednak nie jest szczery względem samego siebie. Czuje zapach kapryfolium, smakuje dym z fajki palonej przez mijającego go przechodnia, słyszy dochodzący do niego podczas krótkiej pauzy w wykonywanej muzyce słabiutki dźwięk malutkich dzwoneczków czyjegoś łańcuszka u kostki, i nie zastanawia się, nie pyta siebie, dlaczego te wszystkie wrażenia są tak przytępione i stłumione. Twarze przyjaciół są tak bliskie i wyraźne,

tak ostre. Dlaczego miałby zamartwiać się całą resztą? Nie powinno go martwić rozmazanie świata. Instrumenty wydają się tak okrutne, a ich wyostrzone krawędzie, ich metal odbijający światło pod przedziwnymi kątami, tworzą przerażające, zniekształcone odbicia jego twarzy... Skąd i dlaczego? Wszystko to ledwie sztuczka cieni. Szybkość własnego oddechu? Skąd i dlaczego? To zaledwie następstwo muzycznej epifanii. Drganie powiek. Nagła bladość. Smuga zieleni, którą zirytowany przeciera z policzka... Gdy koncert dobiega końca, a słuchacze pod groźbą nastania nocy rozchodzą się w swe strony, mężczyzna pospiesznie kiwa głową, śmieje się i przyłącza do ostatniej nierównej muzycznej salwy honorowej. Desperacko rozpaczliwą wdzięczność wywołuje u niego zaproszenie, by wąską uliczką udać się wspólnie do kawiarni i tam czegoś napić - klepie przyjaciół po plecach, potakująco wściekle kiwa głową, niemal znów zaczynając gubić ich imiona: niczym drobne monety wypadające mu przez dziurę w kieszeni koszuli. W drodze do kawiarni zauważa, jak dziwnie i osobliwie, głosami insynuacji i sugestii, przemawia do niego otaczające go miasto. Powierzchnie stają się nieokreślone, wszystkie mijane budynki zdają się przechylone, zdeformowane, lub czasem jawią się nawet w jeszcze gorszym stanie. Uliczni sprzedawcy są jakby zaszyfrowani. Mijani przechodnie znaczą mniej od cieni; nie jest w stanie spojrzeć na nich wprost, nie bezpośrednio, jego spojrzenie działa niczym odpychający magnes. Kurczowo ściska swą trąbkę, aż bieleją mu kostki palców. Chciałby znów na niej zagrać, raz jeszcze sprowadzić jowialnie szerokie samogłoski własnego nazwiska, sprawić, by znów stały się ostre i wyraźne, lecz nie jest w stanie, nie może. Imiona przyjaciół szybko wycofują się i rozplývają, rzędną i blakną, a jego śmiech przechodzi kolejne stadia: jest wymuszony, podenerwowany, smutny, by wreszcie stać się kruchy, wręcz łamliwy. Kiedy już siedzą w kawiarni, mężczyzna przygląda się przyjaciołom znad zastawionego kunami piwa stolika i zastanawia się, jak też udało mu się trafić, znaleźć w szeregach tak przyjacielskich

## PŁONĄCE LIŚCIE

nieznajomych. Zwracają się do niego imieniem, które sam ledwie pamięta. Niebo wypełnia się ciemnością zbierającą ciężar każdej myśli, która go opuściła. Mężczyzna szczelniej owija się marynarką. Uliczne lampy to zimne żółte oczy, przez okna zagładające do środka. Prowadzone przy stoliku rozmowy zacieśniają się wokół niego warstwami, a każde zdanie ma z nim coraz mniej wspólnego. Teraz nie jest w stanie na nich patrzeć. Teraz umykają mu na kraj pola widzenia niczym wypływająca z rany strużka krwi. Opuszcza go ostatni z obrazów martwej żony, wraz z nim w tej samej chwili odpływa wspomnienie córki. Nawet martwi nie chcą umierać. Wstrząśnięty, z twarzą ożywioną strachem, wstaje i oznajmia, że musi już wyjść, musi ich opuścić, musi zostawić, musi iść do domu, mimo że myśli krążące wokół słoju drewna parkietu w jego mieszkaniu budzą strach i lęk, który niczym lód mrozi mu wnętrzności... Tak właśnie wygląda ostatni wyzywający akt drugiej godziny: ogłoszenie determinacji do podjęcia jakiegoś działania, wbrew świadomości, że i tak nigdy się tego nie zrobi. Świat stał się zaledwie konstrukcją, wytworem - pustą w środku trzciną, stworzoną, by można było przez nią oddychać. Można wtedy dosłyszeć echa dziwnej i świszczącej muzyki, gnającej niby głęboko ukryty przed wzrokiem prąd przepływający przez nieożywioną naturę. Ta muzyka może sprawić, że lzy staną ci w oczach. Może, ale nie musi. Bez względu na wszystko wkraczasz właśnie w trzecią godzinę po śmierci.

## III

W trzeciej godzinie po śmierci, gdy pozbyłeś się już wszelkich innych wspomnień, ugaszonych i zmiecionych, powracają stłamszone wspomnienia o braku życia, mimo że mężczyzna wypiera się tej prawdy. Wypiera się ukłuć drzazg na skórze twarzy, smaku trocin, pocieszenia czerpanego z chłodu podłogi. Wszystko wydaje mu się złym snem, koszmarem, i mruczy sobie pod nosem, że tylko pochodzi sobie, chwilę pospaceruje, jeszcze tylko momencik, by pozbyć się bólu tak straszliwie pulsującego mu w skroniach. W dłoniach wciąż dzierży swą trąbkę. Co kilka kroków zatrzymuje się, by na nią spojrzeć, starając się przypomnieć sobie, do czego mu kiedyś służyła. Trzecia godzina może trwać bardzo długo. Po chwili wpatrywania się w trąbkę wzbiera w nim niedający się ugasić smutek, aż wreszcie pochłania go głęboki żal, który jednak trzeba znieść, gdyż za nim nie czeka już nic lepszego. To żal z powodu utraconych szczegółów; jego ciemność niesie ze sobą drobne echa wspomnień, które dawno odeszły, których już nie ma. Pośrednio mężczyzna jest w stanie wyczuć, co go smuci, lecz samo błyszczące odbicie, gdy taka myśl przemyka mu przez głowę, wystarczy, by go oślepić. Dla niego to otaczający go świat wywołuje ten smutek, gdyż wszedł do parku, a niebo, widoczne wysoko nad głową pomiędzy gałęziami drzew, kipi, wręcz wrze światłem niespokojnego księżyca, który nie może zasnąć. Gdyby tylko zdołał odnaleźć drogę prowadzącą do sedna pojedynczego wspomnienia, a potem potrafił zatrzymać je w głowie, wtedy mógłby zrozumieć, co tak naprawdę się z nim stało. Zamiast tego widoczna na krawędzi uwagi nieobecność matki, ojca, żony, córki pozostawia ledwie jakieś zarysy. To zbyt wiele, by dało się znieść. A trzeba to znieść... W niektórych przypadkach rozpoznanie może przyjąć formę aktów przemocy - ostatni spazm przeciwko nieuchronnemu. Ale nie tu, nie w tym przypadku. Jego smutek jedynie się pogłębia, gdyż właśnie zaczął podejrzewać prawdę. Mężczyzna włóczy się przez ogrody i

## PŁONAĆCE LIŚCIE

dziedzińce, przez dzielnice, których ulice po obu stronach porastają szpalery drzew, wzdłuż oswojonych przez miasto strumieni, a wszystkie one są w tym samym stopniu przykryte bezmiarem ciemności nocy. Nie myśli o niczym, tylko o unikaniu wszelkich myśli. Nie ma innego celu, jak tylko unikać jakiegokolwiek celu. Nie męczy się - rzeczy pozbawione woli nigdy się nie męczą - a kiedy tak idzie, zaczyna dotykać mijanych miejsc. Przebiega dłonią po postrzępionych szczytach krzewów. Pociera twarzą o pień drzewa. Kreśli palcem, podążając po linii biegnącego w chodniku drobnego pęknięcia. Z każdą chwilą mijającej nocy na jego twarz wkracza coraz większe napięcie, nieśmiało pojawia się pewna fosforescencja. Gdy nachyla się, by zanurzyć dłoń w basenie u stóp fontanny, jego odbijana w powierzchni wody twarz migocze i drży niczym drugi, zabarwiony na zielono księżyc. Przechodnie uciekają przed nim, gdy się zbliża, przechodzą na drugą stronę ulicy. Jest mu to obojętne - ani go nie martwi, ani nie bawi, ani nie denerwuje. Gwałtownie staje się czymś innym: jest w innym miejscu, w innym ciele. Jego trąbka? Już dawno temu wypadła mu z rąk zajętych innymi rzeczami... Wreszcie przesuwająca się dłoń odkrywa na swej drodze coś budzącego więcej niż tylko banalne zainteresowanie. Dochodzi do tego, gdy siada na drewnianej ławce, a dotyk dłoni na powierzchni drewna przywołuje wzbierające mu w opuszkach palców poczucie znajomości tego uczucia z dawnych czasów. Przesuwa ramieniem po drewnie. Gładzi je, starając się przywołać wspomnienie z czasów przed smutkiem. Kładzie się na ławce i przyciska twarz do drewna... Dopóki nie dostrzeże pokoju własnego mieszkania i krwi rozlewającej się na pierwszym planie tuż przed oczami. Wtedy dochodzi do niego, że jest martwy. Siada, a nicość i pustka wypierają z niego zanikający smutek. Wici grzyba wychylają się z kryjówek w jego ciele, w których trwały do tej pory przyczajone. Mężczyzna czeka, aż owina mu się i okręca wokół twarzy, klatki piersiowej, ramion, nóg. A wtedy po raz pierwszy w całym



życiu dostrzega noc jako możliwość. I dostrzega, jak tamci wychodzą ze swych dziur w mrokach nocy. I nie wzdryga się. Nie ucieka na ten widok. Nawet nie stara się oddychać. Nie stara się być inny, niż jest. Tak bowiem wygląda ostatnia faza trzeciej godziny po śmierci. Bo gdy trzecia godzina minie, już zawsze będziesz szczęśliwy. Nigdy nie zaznasz bólu. Nigdy nie będziesz musiał przeżywać ukłuć raniących cię słów. Każdy mięsień, każde ścięgno, każda kość, każde naczynie krwionośne twego ciała odprężą się, by wpuścić do wnętrza mrok i ciemność. A gdy oni przyjdą po ciebie, do czego dojdzie z całą pewnością, zrozumiesz wtedy wreszcie, pod chłodnym tkaniem pulsujących wici, jakie to może być dobre. Wreszcie zrozumiesz, wreszcie dojdzie do ciebie, że nie istnieje coś takiego jak czwarta godzina po śmierci. I wraz z towarzyszącym temu zadziwieniem poczujesz zachwyt, że świat może być tak nieruchomy, tak cichy, tak zrozumiały. Tak oczywisty.

Doktorze Simpkin!

Poniżej odnajdziesz moje (niemal kompletne) rozszyfrowanie szeregu liczb pozostawionych nam przez Iksa. Stawiłem czoła temu zadaniu bez żadnej przyjemności. Coś, co rozpoczęło się jako niewinny żart, wkrótce stało się doświadczeniem wielce wytrącającym z równowagi. Początkowo skupiłem się na dwóch niedających mi spokoju przemyśleniach:  
(1) że Iks wprowadził podwójny odstęp w swej historii jedynie po to, by marnować papier,  
(2) że napisał ją powodowany jedynie chęcią wykorzystania wstażki w maszynie do pisania. Kiedy jednak odszyfrowałem pierwsze kilka zdań, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że sam Iks, z jakiegoś odległego miejsca, bacznie mi się przygląda, a zaglądając mi przez ramię śmieje się ze mnie. (Śmiechem tak przygnębiająco często słyszczanym podczas jego pobytu w naszych murach).

Wszelka irytacja jednak rozpierzchnęła się, gdy zacząłem sobie uświadamiać samodyscyplinę narzuconą podejmowanym przez niego wysiłkom. Sam ogrom czystego uporu i wytrwałości koniecznych do przekształcenia tylu słów w cyfry. To robi wrażenie. Jeżeli aż tak trudno było to odszyfrować - zaczęły mnie bowiem nawiedzać oslepiające bóle głowy - o ile trudniejsze było samo początkowe kodowanie tekstu? Gdyby jego ucieczka od nas wiązała się z usuwaniem dzień po dniu pojedynczego, malutkiego kawałeczka cegły z jednej ze ścian celi, to nie wierzę, by mógł się wówczas wykazać większą cierpliwością.

Z biegiem dni i postępem mej pracy zmęczenie przekształciło banalne zadanie w ponure i mroczne objawienie. Cienie robiły się coraz dłuższe, światło opuściło taflę okna mojego ciasnego i zagraconego gabinetu. Ucichł widmowy śmiech Iksa, a jedynym pozostałym dźwiękiem był nieustający suchy skrzyp pióra, którym sunałem po kartce papieru. Ogarnęło mnie przekonanie, tak sprzeczne z racjonalnością wykonywanej przeze mnie profesji, że oto sam tworzę wydarzenia, odsłaniając je z każdym odzyskanym i

odkrytym słowem. To tak nieoczekiwane uczucie zaparło mi dech, a całe ciało ogarnęło drżenie, kładąc w dość gwałtowny sposób chwilowy kres moim wysiłkom. Dosłownie poczułem, że przywołuję do życia zupełnie nową, pełną przyszłość Ambergris - przyszłość tak przerażającą, że nie chciałbym jej przywoływać nawet za wszystkie na świecie wstażki do maszyn do pisania. Odrzuciłem pióro, by po chwili znów za nie schwycić. Tym razem jednak tylko po to, by zgiąć je tak mocno, aż pękło na pół, jak gdyby starając się w ten sposób jakoś zabezpieczyć przed możliwością kontynuacji swych działań. Powiem to wprost, nie byłem w stanie zmusić się do podjęcia prób rozszyfrowania ostatniego, finalnego paragrafu. Czułem, że następstwa takiego czynu okazały się zbyt druzgoczące dla całego świata.

Gdy zebrałem się w sobie na tyle, by przejrzeć dokonany wcześniej wysiłek (tytuł Człowiek bez oczu pochodzi ode mnie), odkryłem, że „błędnie przetłumaczyłem” co najmniej siedem słów. Wstałem od biurka i kierowany chęcią poprawienia błędów chciałem sięgnąć po książkę Ikxa, którą sam skazałem na odosobnienie na dnie szafki na akta, lecz natychmiast ponownie usiadłem, całkowicie sparaliżowany przerażeniem. Przez kilka długich minut nie byłem w stanie się poruszyć czy chociażby wykrztusić słowa. Zmroziło mnie przekonanie, że zmieniła się sama książka i że teraz to ona mnie pisze. Podczas tej jakże mrocznej epifanii otaczające mnie cienie zdawały się falować niczym jakieś skrzydła. Powietrze w pomieszczeniu ochłodziło się i zgęstniało. Wreszcie wyrwałem się z tego przypominającego trans stanu z niezachwianym przekonaniem, że poprawienie tych siedmiu wyrazów okaże się wręcz niewyobrażalnie brzemiennie w skutkach. (Gdybym coś takiego usłyszał od jednego ze swoich pacjentów, z pewnością wystarczyłoby tego na pięć, a nawet sześć sesji terapeutycznych).

Teraz, pisząc poniższy krótki list, uświadamiam sobie, jakim nonsensem jest wiara, że słowa zapisane na kartce mogą wpływać na rzeczywistość i ją zmieniać. To tylko historia, opowiadanie. Zaledwie

ostatnie pożegnanie Iksa. Jednak nie jestem w stanie się przełamać, nie jestem w stanie się zmusić, by wraz z pozostałymi rzeczami Iksa przesłać ci również tę książkę. To prawda, jest mi ona niezbędna w mojej kolekcji, lecz o tym, że zostaje u mnie, zdecydowały o wiele bardziej ważne powody.

Powinieneś nas odwiedzić. Mógłbyś przyjechać tu na kilka dni i pomóc nam w zadaniach, do których brak nam personelu. Być może przywiózłbyś nam także jakieś zapasy. Nie wydaje mi się, że tekst, który przeczytasz, zbyt przypomni ci to, co może pamiętać, lecz miejsce to jest dokładnie takie jak kiedyś, tyle że popadło w większą ruinę.

Zastanawiam się, czy istnieje już jakaś nazwa określająca moją dolegliwość.

Dr V.

PS. Niektóre z przetłumaczonych słów zdają się nie mieć większego sensu - w pośpiechu popełniłem kilka błędów - jednak ostatni akapit całkowicie oparł się moim wysiłkom, z powodów, które postaram się poruszyć w późniejszym czasie.

### Człowiek bez oczu

I nadszedł oto nieubłagane dzień, gdy szare kapelusze zmieniły bieg rzeki Moth i zalała ona miasto Ambergris. Porzucając wtedy swój ZAPLANOWANY matecznik, wynurzyły się spod powierzchni i wyszły na światło dzienne, zmuszając do ucieczki obecnych władców miasta. Tak właśnie ponownie przejęły wyspy, które kiedyś były Cinsorium. Przeznaczony czas dobiegł końca. Dzieło zostało dokonane.

Początkowo ludzie odkryli, że życie pod panowaniem nowych władców właściwie w najmniejszym stopniu nie różniło się od ich dawnego życia. Z pewnością nic nie zmieniło się dla jednego z najsłynniejszych pisarzy Ambergris, który, urodzony w mieście, używał go jako swej palety, naginając każde słowo na tym świecie do swej woli. W jego słowach drzemała moc. Potrafił

tworzyć akapity tak zasadnicze i istotne, że istnienie bez ich, gładkiej i mądrej formy przypominało życie bez duszy. Jeśli tylko dopadał go ponury nastrój, snute przez niego opowieści były tak samobójcze, że ich słowa rozciągały się w wąskiej przestrzeni pomiędzy „niemal martwy” a „zdecydowanie nieżywy”. Mógł, powiadam wam, tak opisać przedmiot, że już na zawsze od tej pory to jego opis, jego pisanie, jego słowa zastępowały oryginał.

Być może gdyby tylko nie był tak utalentowany, byłby mniej ZMAŁPOWANY. A wychwalanie go rozkwitało wszędzie wokół tak naturalnie jak mgła, która nadeszła znad Moth, zaczął więc uważać się za osobę nieograniczoną żadnymi prawami z wyjątkiem praw swej fikcji.

W ten oto sposób poczuł w sobie narastające pragnienie, by wyłamać się spod złożonych i zawiłych rządów szarych kapeluszy. O świcie zaśmiał się, stojąc przed zalanymi wodą ruinami truffidiańskiej katedry. Po zmierzchu na dostępnych publicznie ulicach rozdawał za darmo swe opowieści, co wzbudzało wiele uwagi. Czytał swe dzieła, siedząc w łodzi unoszącej się nad zalanym, a obecnie ANONIMOWOŚĆ posągiem Vossa Bendera. Napisał wiele akapitów poświęconych pamięci Pani w Błękanie (która, z podziemnych tuneli szarych kapeluszy, jasno przedstawiała im samym dowody świadczące o ich okrucieństwie).

Wkrótce, po pięciu takich wykroczeniach, szare kapelusze odcięły mu język i wrzuciły go w OGNISKA rzeki Moth, ryby bowiem wielce upodobały już sobie takie przysmaki. Wydłubali mu oczy i użyli ich na pokładach swych barek. Odcięli mu dłonie i użyli ich jako świec w swych biurach administracyjnych. Okaleczyli mu klatkę piersiową, znacząc swym symbolem w zieleni grzybów. A wtedy odesłali go do stojącego na palach jednopokojowego domku na wodzie, w którym kiedyś przyszedł na ten świat, tak by w miejscu, gdzie dawno temu obserwował, jak latają jaskółki, chwytające w locie unoszące się w dole owady, gdzie dawno temu obserwował ich nieprzerwany lot. mógł

teraz w ZACHWYCAJĄCY kontemlować własny los.

Bardzo długo kierowani strachem mieszkańcy miasta nie odwiedzali pisarza. Opuściła go żona, gdyż nie była wystarczająco OŚLEPIAJĄCY. Co tydzień jednak pewien truffidiański kapłan zbliżał się dostatecznie, by na progu domu pozostawiać mu żywność i wodę.

Pisarz siedział w fotelu stojącym przed ścianą, a w jego wnętrzu nabrzmiewały kolejne historie. Wreszcie był ich tak pełny, że wydawało mu się, iż umrze od samego ich WARKNIECIA w swych płucach. Ale nie miał języka, którym mógłby przemawiać. Nie miał oczu, którymi mógłby oglądać otaczający go świat. Nie miał rąk, by mógł nimi zapisywać swe historie. Mieszkał wewnątrz pudełka, które na domiar złego umieszczono w kolejnym, większym pudle. Co też miał teraz zrobić?

Przez wiele tygodni rozważał samobójstwo i równie dobrze mógłby go zresztą dokonać, gdyby nie wpadł pewnego dnia na stolik, na którym zwykle składował swe zapasy. A wtedy z blatu stolika stoczyło się jedno z jego piór, które upadło mu na lewą stopę. Dotyk był zimny i przeszywający. Uczucie rozlało mu się wzdłuż nogi, by następnie ruszyć w górę i przejść do klatki piersiowej. Aż wreszcie coś przebudziło się w pudłach skrywających się w jego głowie.

Kolejne trzy tygodnie pisarz spędził na odkrywaniu dotykem każdego centymetra własnego pokoju, podobnie jak ty, drogi czytelniku, starasz się teraz wymacać na oślep własną drogę przez poniższą opowieść. Odsunął wszystkie rzeczy stojące przy ścianie, aż wreszcie stół, krzesło, łóżko i kilka książek znalazły się na samym środku pokoju. Wtedy, trzymając pióro pomiędzy palcami u nóg, zaczął pisać po ścianie.

Nauka pisania przy użyciu stóp zajęła mu wiele miesięcy. Minęło wiele kolejnych tygodni, nim odwiedzający go ksiądz zdołał odcyfrować chociażby pojedynczą z liter, a miało upłynąć jeszcze wiele, wiele dni, nim na ścianach pojawiło się cokolwiek bardziej złożonego. Słowa układały się tam, nie przyjmując żadnej konkretnej formy: „rozbijając

jestem martw zależy od ciągłość ziemię istnieje spadną zapisujesz może zwracają Zamilon będziesz". Każda z liter stawała się aktem woli - odgrywał sobie w myślach, jak one powinny wyglądać, a następnie zmuszał swe palce u nóg, swe stopy i nogi, by przykładały na ścianę konieczny i odpowiedni nacisk, nie powodujący złamania utrzymanego tak pióra, a kształt na ścianie przybierał należyta formę.

Z biegiem czasu pisarz pokrył ściany pokoju wizjami rozkwitającymi w ciemnych ogrodach jego umysłu. Słowa układały się tam w zdania, zdania w akapity, te zaś w całe historie. Z każdym zapisanym słowem spadało z niego wielkie brzemie, aż wreszcie znów zaczął się czuć jak dawniej, zaczął się czuć sobą. Później, dzięki kartkom papieru i kolejnym piórom wyblaganym od księdza, gdy kontynuował swą pracę, wypłynęło z niego w wielkim dzikim i spienionym pędzie wiele kolejnych stron, których czyste kartki zalała powódź o wiele większa i potężniejsza niż ta, którą sprowadziły szare kapelusze.

Sam na własne oczy widziałem jedną z nich, zapisaną na ścianie czerwonym atramentem, a historia ta była otoczona tysiącami innych, niepowiązanych ze sobą słów. Brzmiała następująco:

Pewnego razu w pustym pokoju stała klatka. Z jej wnętrza dochodził ledwo słyszalny dźwięk przypominający słabiutkie kwilenie. Po pewnym czasie do pomieszczenia wszedł mężczyzna. Był szary i smutny. W dłoniach trzymał za uszy małe zwierzątko, które szamocząc się starało wyrwać na wolność. Klatka zamilkła, ucichła. Mężczyzna zbliżył się do niej. Otwierając klatkę, pociągnął za jej drzwiczki, po czym wrzucił tam zwierzątko i zatrzaskał drzwiczki. Kiedy przyglądał się wnętrzu klatki, zwierzę zawyło, a jego łapki ślizgały się po prętach, nie mogąc znaleźć w nich żadnego oparcia. Na lewej łapce pojawiła się rana. Po chwili kolejna wykwitła na jego lewym ramieniu. Powolutku zwierzątko było zjadane żywcem, dopóki nie pozostał z niego zaledwie stosik kości i odrobina krwi. Łkanie dochodzące z klatki stało się nieustępliwe. Wszystko, co mężczyzna w niej

umieszczają, umierało. Za każdym razem odczuwał towarzyszący temu dreszcz radości. Lecz wreszcie nadszedł i kres podobnych dreszczy. To, co robił, stało się czymś zwyczajnym, czymś, co musiał robić. „Jeśli przestaniesz - to się skończy” - tak sobie wmawiał. Jednak czy kiedykolwiek przestanie? Nie był w stanie podjąć takiej decyzji. Ciągłe tylko pytał klatki: „Czym jesteś?” Pewnego dnia znudził się tym na tyle, że otworzył jej drzwi, chcąc wypuścić na wolność zamieszkującą ją pustkę. Oczekiwał, że ta nicość go zabije, że w ten sposób jego życie dobiegnie kresu, skończy się, że wreszcie będzie wolny, lecz nic takiego się nie stało. Pozwoliła mu żyć. Chodziła za nim wszędzie. Z czasem zabiła wszystko, co kochał, nie przestając przy tym kwilić ani na chwilę. A wtedy, gdy mężczyźni nie pozostała najmniejsza nawet rzecz, na której by mu zależało, porzuciła go. Mężczyzna siedział w swym pokoju przy pustej klatce. I teraz to on wydawał z siebie te łkające, kwilące dźwięki, które kiedyś dochodziły z wnętrza klatki.

Mim szare kapelusze go okaleczyły, pisarz wydawał sny i marzenia. Publikował długie, absurdalne opowieści, fałszywe historie i przewodniki turystyczne. Nie mogę tu napisać, że bardziej przypadło mi do gustu to, co pisał obecnie, mimo iż właśnie z tego powodu stał się tak sławny. Po niezbyt długim czasie z bardzo odległych stron zaczęli do niego przybywać czytelnicy, chcąc kupić jedną ze stron jego twórczości. Pisarz mógł kontynuować to, co robił zawsze. Zaledwie pozbawiono go języka. Zaledwie nie miał oczu. Po prostu nie miał dłoni. Czy naprawdę to było aż tak straszne?

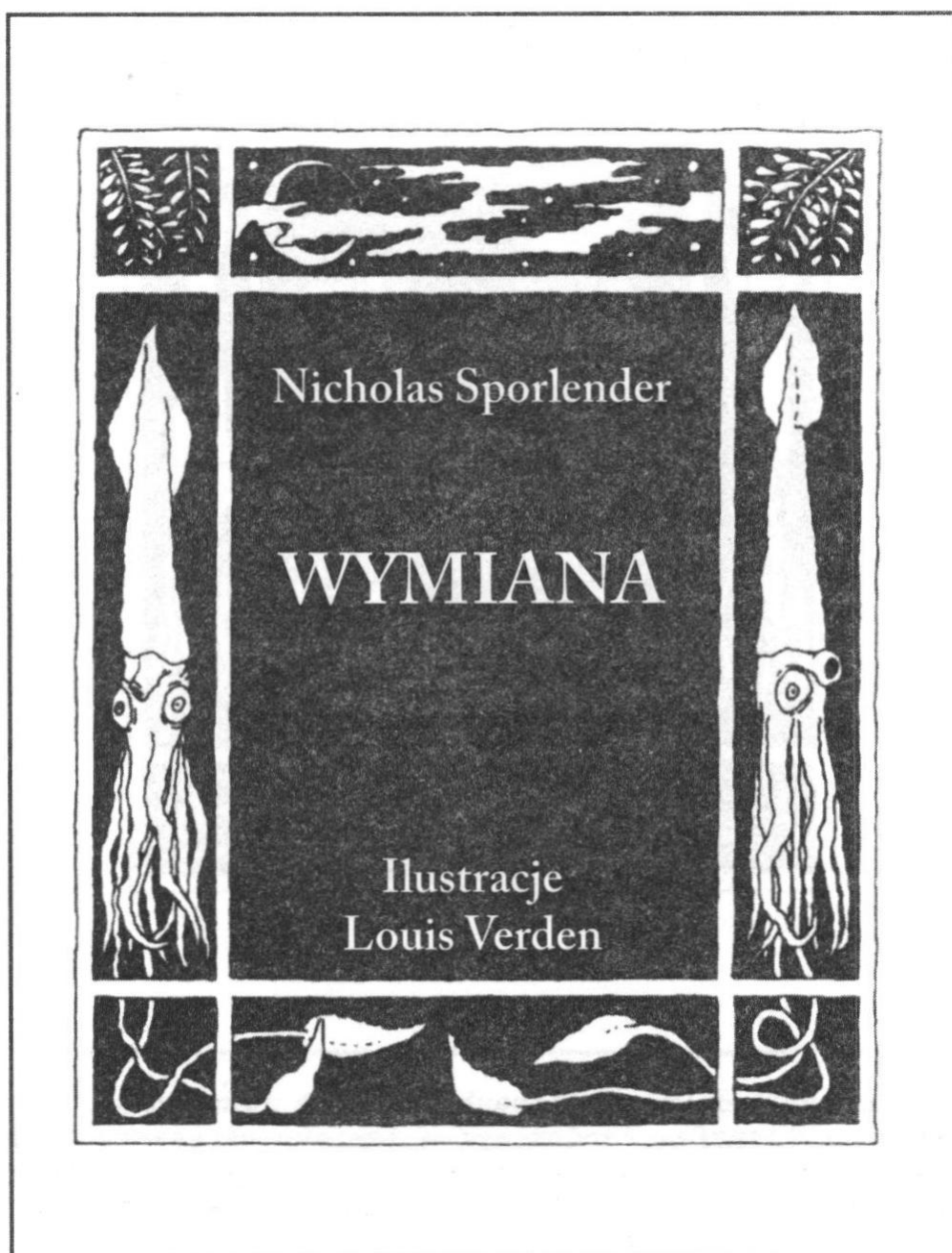
Wreszcie, oto opowieść napisana specjalnie dla mnie. Otrzymałem ją, gdy przybyłem do Ambergris - tuż po bliskim spotkaniu z gigantyczną kałamarnicą, która zatopiła mi łódź - i odwiedziłem go w jego pokoju. Później odkryłem, że taki właśnie się urodził, że pisze i tworzy, wykorzystując pomysły pochodzące ze starych książek napisanych przez dawno już zapomnianych autorów, nadal czytanych mu na głos przez przyjaciela.



Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, siedział przy oknie, z głową odrzuconą do tyłu, by jak najwięcej światła padało na jego ciało. (Teraz już dysponuję wiedzą, że bardzo bacznie wtedy nadśluchiwał). Był żylasty, miał twarz, która - ze wszystkimi nagromadzonymi na niej zmarszczkami oraz ustami zamarłymi w wiecznym grymasie - dawała świadectwo tortur przekraczających wszelkie wyobrażenie. Jego ramiona rzeczywiście nie kończyły się dłońmi. Jego nogi, zwinięte pod nim, były zbite i twarde od mięśni, a zakończone umięśnionymi stopami. Jego palce u stóp wydawały się równie zwinne jak te, które ja miałem u dłoni. Kiedy wszedłem, uśmiechnął się do mnie. Rozwinał stopy i uniósł jedną z nóg w górę, zamierając w dość cudacznej pozycji. Pomyślałem sobie, że chce się ze mną przywitać - „podać mi rękę” - ale nie, pomiędzy palcami wyciągniętej stopy trzymał kartkę papieru. Ponaglając mnie, pomachał nią w moim kierunku. Moment, podjęcie decyzji i... Wziąłem ją. I co też takiego było na niej napisane? Nie potrafiłem tego odcyfrować. Była to zaledwie seria numerów. A co też oznaczają one dla kogoś takiego jak ja? Nic.

10:55 13:24 2:73 14:78, 2:33 15:39 4:41, 15:41 8:24  
7:14 4:50 5:67 7:5 15:57 5:65, 4:54 8:21 5:86 5:88  
5:95 5:87, 1:43 2:23 12:14 13:220 2:14 10:59 4:45  
13:194 2:81 16:65 7:54 14:14, 16:136 2:12 13:253 2:13  
13:250 10:51 4:78 6:28 2:53, 7:61 9:15. 9:16 9:17.  
1:39 13:271 10:57. 5:87 10:96 16:26 15:33 2:89 5:101  
5:102 10:51 7:26 16:155. 14:84 15:54. 2:109 1:29 6:2  
4:31 13:185. 3:20 12:15 13:211 13:212. 10:61 11:61  
13:55 2:119. 16:172 4:20 13:241 8:14 16:26. 2:75 9:20  
13:157 - 10:56. 10:48 2:92 11:81 10:54. 13:256 8:11  
16:164 15:51 9:49 6:7 13:217. (10:49 7:73 13:218).  
14:84 10:61 11:61 4:47 1:51? (7:49 10:50 3:29).  
13:180 4:68 13:171? (16:171 15:32 10:60). 1:48 1:47  
9:45 16:140 13:174 5:1 1:4 13:211 1:50...

# SPORLENDER, VERDEN I WYMIANA



Frederick Madnok opowiedział mi kiedyś, że Louis Verden wpadł na pomysł podczas współpracy z Nicholasem Sporlenderem nad Wymianą. Pytanie, czy wywołała go nagła i płomienna sprzeczka, czy może sama natura snutej opowieści - tego Madnok nie był w stanie określić...



...Spurlender był wyznawcą nauk Richarda Petersona, Walczącego Filozofa. Verden był natomiast od zawsze zaciekle strattonistą - i jak się być okazało, również strategiem. Przynajmniej jeśli wierzyć słowom Madnoka, który zdaje się rzetelnym źródłem informacji.



Wydane przez Hoegbottona i Synów  
Dla uczczenia  
Trzechsetnego Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic

Copyright Nicholas Sporlender i Louis Verden

Hoegbotton i Synowie

Bulwar Albumuth 45

Ambergris

Żaden fragment niniejszej publikacji nie może zostać  
przedrukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Madnok potwierdza, że strona z notką o prawach autorskich zawsze wyzwalała w Verdenie wszystko, co najgorsze. Na jednym z przyjęć pijany Verden (zresztą nigdy niebędący zbyt miłym widokiem) przeklął dzień, w którym przyszedł na ten świat jako „Verden, a nie chociażby taki Aardvark”. Na zawsze został wtedy bowiem skazany na to, że jego nazwisko będzie pojawiało się po nazwisku Sporlendera, a tym samym wielbiciiele ich wspólnych wysiłków zawsze będą się gromadzili przy tym pierwszym.

## Wymiana



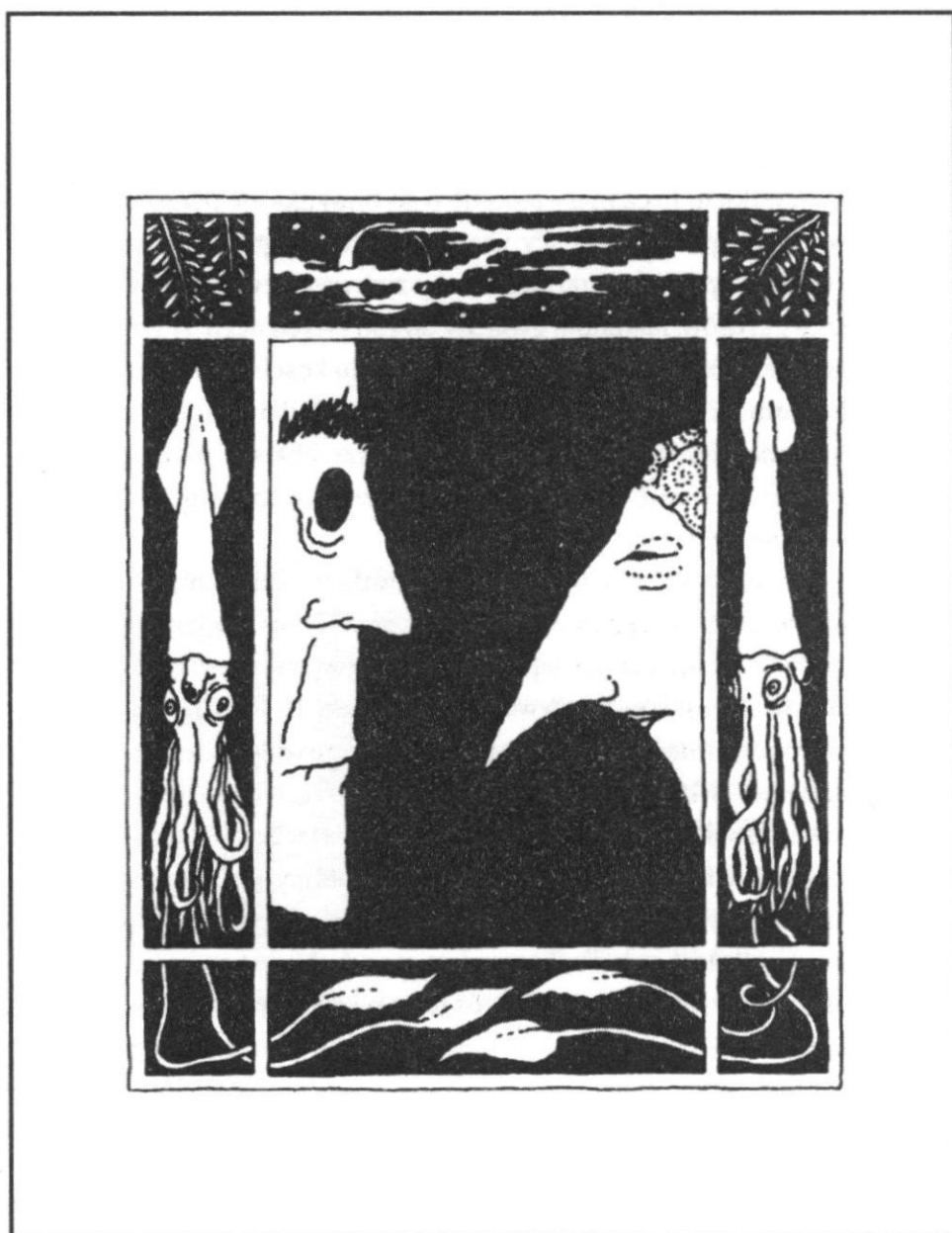
Tej nocy mrok opadł na Ambergris niczym podstępny złodziej, a ukośnie padająca na ziemię, niby warstwa za warstwą, ciemność odbijała się w sobie, dusząc i gasząc samą siebie. Zalewała ziemię fala za falą, niczym powódź. Podobnie pachniała. Rzeką. Błotem. Trzciniami. Niosła ze sobą przedsmak dymu. Gdzieniegdzie nieśmiało mrugały okna budynków, a noc dławiła wszystko

To szczególnie bolało, gdyż to Verden dokonywał poprawek w tekście - dodając i zmieniając fragmenty - podczas gdy Sporlender zazwyczaj uważał, że jego odpowiedzialność kończy się wraz z dostarczeniem ostatecznej wersji maszynopisu, zaopatrzonego we wskazówki dotyczące wyglądu ilustracji. Jeśli chodzi o to, czego tak naprawdę dotyczy sam utwór. Sporlender nigdy tego nie skomentował, z jedynym wyjątkiem, gdy podczas jednego z wywiadów wypowiedział następujące słowa: „To wszystko tam jest, dla tych, którzy potrafią właściwie czytać”.

i wszystkich. Lecz nieświadome tego budynki nie przestawały mrugać. Narastający wiatr, bezustannie przybierający na sile, przypominał mordercze zwierzę. Używał drzew jako pazurów, nakłaniał gwiazdy do roli swych oczu. A tylko tyle potrzebował, by móc obedrzeć do kości bulwar Albumuth. W noc taką jak ta nikt nie wychodził na ulice. Nie uświadczyłeś więc na niej ani żywej duszy. Nikogo, jedynie szaleńców i szare kapelusze z nieodłącznymi krwistoczerwonymi flagami.

Na samym końcu bulwaru Albumuth, w małym mieszkanku na parterze domu wyglądającego na wyjątkowo zmęczony życiem, siedząca naprzeciw siebie przy wiekowym stole para staruszków spożywała właśnie kolację. Równie dobrze mogli mieć siedemdziesiąt, jak i siedemset lat, przynajmniej wnioskując z panującego na ich twarzach nieprzejednanego spokoju i opanowania. Mrok pomieszczenia rozpraszało ledwie sobie z tym radzące światło lampy gazowej. Jedzenie, zalegające na stojących przed nimi talerzach, wiło się w nieustannych

W Ambergris, wbrew wszelkim dziwactwom, jakie można tam spotkać, leżące na talerzu jedzenie Jakoś nigdy się nie wije, ani też nie uprawia ze sobą zapasów. W Ambergris wiele jest możliwe, ale nie coś takiego. Zastanawiam się nad naturą „jedzenia” przedstawionego w tym utworze. We wszelkich zgłębianych przeze mnie do tej pory źródłach na temat miasta wyszperałem zaledwie pojedynczy przepis kulinarny, i to nawet biorąc pod uwagę wszelkie przewodniki wydane przez Hoegbottona. A tutaj, proszę bardzo, otrzymujemy tak wyraźną wzmiankę dotyczącą wyglądu posiłku, i to w broszurce mającej służyć zaledwie jako swego rodzaju festiwalowy bilecik. Osobliwe.



Powyższa grafika wskazuje na oddanie Verdena ideom strattonizmu - widać to w układzie liści, w księżycu przesłoniętym chmurami oraz w wyglądzie macek kałamarnic. Liczba liści na prawym górnym panelu odpowiada liczbie strattonistycznych przykazań. Ich liczba na lewym górnym panelu odpowiada liczbie zalecanych aktywności przedłożonych w Księdze Strattona. A co z księżycem? Księżyc przypominający zasłonięte oko to tajemny symbol strattonizmu. Co do macek, wystarczy tylko się przyjrzeć, jak witają się ze sobą dwaj strattoniści.

wzajemnych zapasach. Nawet szare kapelusze nie miałyby pojęcia, cóż to za posiłek przygotowali sobie ci staruszkowie w swej małej, obskurnej kuchni. Talerze zawierały mikrokosmos, będący odpowiednikiem otaczającego ich miasta: niepohamowane, niedające się opanować jedzenie, poruszające się nagłymi, nieprzewidywalnymi ruchami. Kobieta nabiła na widelec kawałeczek macki, wciąż jeszcze drgającej na całej swej długości, gdy wsuwała ją sobie w usta. Lecz istota chwiejnie pokonująca zieleni sałaty nie chciała umierać. Z talerza w jedzącą wpatrywały się przerażone grupy i skupiska oczu.

Kobieta miała na sobie prostą, jednolicie żółtą suknię, która nabrała wręcz antycznego odcienia charakterystycznego dla pergaminu. Jej włosy były szarobiałe, leciutko podkrecone. Ciemnopopielate oczy raz za razem prześlizgiwały się z męża na własny talerz z jedzeniem czy gazową lampę wiszącą im nad głowami, nigdy jednak nie spoglądały

Niektórzy uważali, że Sporlender, nieważne – celowo czy nie, użył Verdena jako modelu postaci żony. Z pewnością rozjątrzyło to samego Verdena, gdyż zbliżyło się niebezpiecznie do ujawnienia jednej z jego wielu tajemnic. Otóż, jak przekazał mi Madnok, ze znajdujących się w Ambergris kałamarniczych klubów najgorszego sortu wypłynęła plotka o kobiecie przypominającej Verdena, która zwykła odwiedzać najbardziej diaboliczne z tych miejsc. Po uiszczeniu opłaty za całonocne rozrywki, kobieta ta zwykle sięgała po szkicownik i zabierała się za rysowanie Otaczającej ją rozpusty i rozwiązłości.



w kierunku okna. Ramiona i nadgarstki staruszki kryły w sobie zwiędłą delikatność, misterność mechanizmu zegarka, lecz same dłonie były tak szerokie, że przypominały wręcz skrzydła, szczególnie gdy gestykulowała. Poruszyła ustami, a wypływające z nich słowa przez krótką chwilę zamigotały i zatrzepotały w rozdzielającej staruszków przestrzeni, by wpaść do uszu męża. Z ust mężczyzny wyleciały kolejne słowa, które, od wielu lat przemierzając podobną drogę, bez najmniejszego problemu wpadły do uszu kobiety.

Mężczyzna także nie rzucił żadnego spojrzenia, choćby najbardziej przelotnego, w kierunku okna, przez które ich obserwowałem. Staruszek miał na sobie białą koszulę, przewiazaną u szyi konserwatywnie czarnym krawatem, oraz jednokolorowe, czarne spodnie wizytowe. Łysej głowie towarzyszyły gęste krzaczaste brwi, nadając mu fałszywych cech srogości i zawziętości, wzmocnionych jeszcze samą gwałtownością, z jaką nabijał na widelec wijące i przemieszczające się po talerzu jedzenie. Jego dłonie poruszały się błyskawicznie; nożem i widelcem powstrzymywał ucieczkę pożywienia, po czym nabijał je na widelec i podnosił do ust. Nawet stojąc przy oknie, zauważałem brud, który zgromadził się w wirach jego linii papilarnych. Kostki dłoni wypuściły grube szare włoski, jak gdyby przeciwstawiając się gładkości głowy.

Z pewnością, przy pewnym upiększeniu, opis starego mężczyzny dość dobrze pasuje do Sporlendera. Z tego właśnie powodu wielu mniej ekscentrycznych ekspertów niż Madnok wierzy, że Wymiana powstała jako złożona alegoria – miała opisywać proces twórczy, przez jaki Sporlender i Verden przechodzili przy każdym wspólnym projekcie.

Pomiędzy nimi na stole stała paląca się świeca. A tuż obok ostro ząbkowanych srebrnych sztućców każde z nich umieściło zapakowany i przewiązany wstążką prezent. Jak przypuszczam, o ile nie był to posiłek mający na celu uhonorowanie samego Festiwalu, to właśnie świętowali jakąś wspólną rocznicę.

Podczas jedzenia ich twarzy nie rozświecił nawet cień uśmiechu, i trudno było mieć im to za złe: kolacja wydawała się wyjątkowo ponurym zajęciem. Kilkakrotnie wędrujące ku ustom macki z mokrym płaszczykiem uderzały o ich wargi, starając się tam uchwycić i zaprzeć. Należało raczej powiedzieć, że nie był to rytuał jedzenia, a wojna, i skoro nie uspili czujności swych kamiennych oczu, kiedy już ostatni z kawałków mięsa wydał swój ostatni pisk, to pewnie było tak tylko dlatego, że doskonale zdawali sobie sprawę, iż panującej na zewnątrz ciemności nie uda się zbyt długo powstrzymać Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic. Festiwal już wkrótce zniweczy i rozproszy przytłaczający miasto mrok, i to najbardziej wściekłym i nieopanowanym ze światła. (Sam wkrótce miałem ruszyć w dalszą drogę, lecz jeszcze przez krótką chwilę postanowiłem trwać przy ich oknie, nie mając właściwie po temu żadnego dobrego powodu. Ale czy jakkolwiek był mi potrzebny?)

Prawdopodobnie kluczowe znaczenie ma to, że Verden przypisuje sobie zasługi za zasugerowanie postaci ukrytego pierwszoosobowego narratora, który tu właśnie nieoczekiwanie manifestuje nam swoją obecność.



Madnok jest przekonany, że powyższa ilustracja przepowiada potworny czyn, do którego doszło w Ambergris. Czyn znany zaledwie garstce ludzi. Jego kolejna obserwacja, że kałamarnice „wydają się mniej nawzajem sobą rozdrażnione niż cielesnie skłonne ku sobie” odzwierciedla, jak wierzę, jedyny zawód, jaki nam sprawia w roli godnego zaufania obserwatora.

Żona usunęła ze stołu pozostałości po masakrze i umieściła je w zlewie. W drodze powrotnej przyniosła ze sobą dwa kieliszki i butelkę wina.

Po krótkich zmaganiach z korkociągiem - przyrząd najwyraźniej był wielce niechętny zadaniu, do którego go stworzono, a może po prostu staruszków nawiedziły duchy spożytego właśnie posiłku - mąż zdołał otworzyć butelkę. Do dwóch kieliszków nalał bursztynowego płynu, spienionego niczym wody rzeki Moth w jej delcie; dopiero wtedy spotkali się wzrokiem i przepłynął między nimi tajemniczy uśmiech. Tym jednym uśmiechem przekazali sobie tak wiele, że nie byłem w stanie wychwycić wszystkich słów, każdego najmniejszego niuansu tej wymiany. A chciałem rozszyfrować ten uśmiech. Chciałem go wybebeszyć, poddać dogłębnej analizie w poszukiwaniu wszelkich znaczeń, poszukując wszystkiego, co przekazywał mi na temat obserwowanej właśnie pary staruszków w wigilię Festiwalu. Żal, smutek, prześmiewczy nastrój, wiedza o wszystkim, co dzielili wspólnie w przeszłości - wszystko to mogłem dostrzec i wyróżnić, odbijane w ich oczach, nawet gdy już rozsiedli się wygodnie z uniesionymi w toaście kieliszkami.

Sporlender zwykle był bardzo dumny z faktu, że posiadał zaledwie znikome umiejętności dotyczące zachowania się w towarzystwie, lecz redakcja Verdena, dokonana tutaj na oryginalnym manuskrypcie, wygładziła i stonowała kpiny ze starej kobiety.

Ona piła wino gładko, bez najmniejszego wysiłku, tak elegancką serią ruchów, że domyśliłem się, iż wcześniej wielokrotnie musiała uczestniczyć w różnych spotkaniach towarzyskich. On natomiast wprost przeciwnie. Udało mu się bowiem rozlać wino na siwą brodę, skąd ściekało mu na biel koszuli, rozkwitając tam plamą czerwieni.

Oboje zupełnie to zignorowali. Mężczyzna - gdyż posiadał ledwie minimum umiejętności związanych z zachowaniem się w towarzystwie, kobieta - gdyż nabrała w swym życiu bardzo wiele podobnych wyszukanych umiejętności. W tym niewielkim braku reakcji odkryłem całą tajemnicę, o ile tylko taka istniała, dotyczącą ich wzajemnego dopasowania.

Wciąż jednak nie zaszczycili okna choćby pojedynczym spojrzeniem, ale czy dlatego, by w ten sposób zanegować moją tam obecność, czy też po to, by zanegować obecność tam mroku nocy, nie mam pojęcia. Lecz teraz wyczuwałem wokół nich pewną aurę lekkości, nieoczekiwaną beztroskę odblokowaną wypitym właśnie winem. Ich dłonie stały się lżejsze i niczym blade ptaki uniosły w powietrze, ruchy ich głów przyspieszyły wraz z towarzyszącymi im szybszymi mrugnięciami oczu. On coś

Madnok sugeruje, że Spurlender odsłania nam tu zasłonę, pozwalając spojrzeć na tajemne rytuały Walczącego Filozofa. Nie mam możliwości, by zweryfikować podobną informację, szczególnie biorąc pod uwagę nałożone na mnie obecnie ograniczenia związane z przemieszczaniem się z miejsca na miejsce.

powiedział, na co ona oblała się rumieńcem. Po chwili ona coś rzuciła, na co on wybuchł śmiechem.

W tej samej chwili, jakby dopiero po raz pierwszy sobie o tym przypominając, przesunęli do siebie oczekujące na stole prezenty. Mąż z dziecięcym, zachłannym wyrazem twarzy; jasno było widać, że prezent znaczy dla niego bardzo wiele. Natomiast wąski uśmiech kobiety krył w sobie pewną ostrożność, i zastanawiałem się, ileż to razy do tej pory mężczyźnie udało się ją zawieść. Kobieta uniosła wzrok, przez krótką chwilę wpatrując się w męża, by znów opuszczając, wbić go w prezent. Mężczyzna wyciągnął do niej dłoń w geście, którego nie dało się z niczym pomylić. Oznaczał: „Na co czekasz? Otwórz go”.

Prezent dla niej był wielkości małego dziecka, zapakowany w złoty papier przewiązany zieloną wstążką, z wielką starannością poskręcaną na końcach. Leżący na stole prezent drgał.

Pomarszczoną, pocętkowaną wiekiem dłonią kobieta pociągnęła za tasiemkę, rozwiązując go. Zerwała wstążkę i powoli zdjęła okrywający go papier, odsłaniając brązowe

Domyślam się, że „wymiana”, o której tu mowa, jest najwyraźniej wymiana idei. To, że takie idee w ostatecznym rozrachunku okazują się nie do pogodzenia, może być nieistotne - o ile tarcia, do których doszło podczas konfliktu, są rejestrowane, że tak to ujmę, w formie sztuki.



Czy to tak właśnie Verden odbierał swą twórczą współpracę ze Sporlenderem? Przywiązany do niego? Schwytany w pułapkę? Czy Sporlender czuł porównywalną potrzebę uwolnienia się od osoby Verdena, co Verden od jego osoby? Księżyc jest niemal całkowicie przesłonięty chmurami. Kałamarnice są niemal gotowe na wszystko. I jak dla mnie, są zadziwiająco do siebie podobne, niemal identyczne. Czyżby Verden i Sporlender byli aż tak bardzo do siebie podobni?

puddo z dziesiątką poprzebijanych po bokach małych otworów. Złożyła papier i wciąż pełna wahania spojrzała na męża. Dalej, wskazał dłonią, cały w uśmiechach. Otwórz. Najwyraźniej nie mógł się doczekać otwarcia prezentu przeznaczonego dla niego.

Kiedy zdjęła pokrywkę, aż podskoczyła z przestachu. Wzdrygnęła się, gwałtownie odsuwając pakunek.

- Znalazłem to w zielsku porastającym mokradła, tuż przy starym domku na łódzie, niedaleko doków. Starzło się ukryć w błocie, ale i tak je znalazłem.

Do tego czasu przyłożyłem już ucho do zakurzonej i zimnej tafli szyby. Gdyby tylko odwrócili się i spojrzeli w kierunku okna, dostrzegliby tam rozlewające się na nim moje blade i upiorne ucho, ale w tej chwili to pudełko skupiało na sobie całą ich uwagę.

A wypełzła z niego czarno-zielona istota o wielkich żółtych oczach, czterech nogach, a może rękach, która niepewnie stawiała swe kroki z powodu długich, zwiniętych pazurów kończących każdy z połączonych błoną palców. Po niepewnym wykonaniu kilku pierwszych kroków odsłoniła swój czerwony jęzor i wydała bulgoczący dźwięk.

Tutaj Spurlender droczy się z Verdenem, opisując istotę przypominającą żabę. Verden bowiem nienawidził żab. Dorastał w starej, butwiejącej posiadłości stojącej nad Moth. Piwnice i parter tego budynku często przez długie miesiące stały zalane wodą rzeki. Do jego bezpiecznego schronienia na drugim piętrze przez całe lata dochodziło nieprzerwane kumkanie i rechot żab - „jak gdyby wyśmiewały się z mojej dotkniętej dziedzicznym ubóstwem rodziny”.



Mąż spojrział na istotę z tak bezgranicznym zaskoczeniem, jakby nigdy wcześniej nie widział jej na oczy, mimo iż sam własnoręcznie umieścił i zapakował ją w tym pudełku.

- Czy... Podoba ci się? - Zapytał, jakby pytał samego siebie.

- Och, oczywiście - odpowiedziała staruszka. - Teraz twój. Znalazłam go w rowie najstarszej części miasta, tuż przy studziencie kanalizacyjnej, tam gdzie wystarczy tylko chwilę poczekać, a z pewnością usłyszysz szelest, którego nie wydają liście kołyszące się na wietrze... - Gdy to mówiła, prezent od męża mokro przeczłapał przez stół, o włos mijając butelkę wina i dłonie mężczyzny.

Jej prezent, pospiesznie zapakowany w purpurowy papier, był przewiązany srebrną, postrzępioną wstążką. On także miał rozmiary małego dziecka. Jej mąż rozerwał papier, odsłaniając niemal identyczne pudełko jak to, które sam podarował żonie. Również i ono posiadało szereg otworów zapewniających dopływ powietrza do środka. Jego brwi wystrzeliły w górę.

Mimo to jego dłoń podpełzła do pudełka i zdjęła pokrywkę.

Z wnętrza wyłonił się wąty, delikatny cud ze

Sporlendera dręczyła obsesja związana z połączeniem ciała i metalu, gdyż widział w niej sposób na odparcie śmierci. Pod wieloma względami jednak był tchórzem i najbardziej zbliżył się do spełnienia własnych marzeń, przyozdabiając swe ciało metalowymi bransoletami, kolczykami i pierścieniami. W pewnym momencie zlecił nawet wielkiemu wynalazcy Porfalowi skonstruowanie metalowej „skóry”, lecz wykonanie tak postawionego zadania okazało się zbyt trudne nawet dla człowieka tej miary co Porfal.

srebrnego metalu i czerwieni mięśni.

Pulsującą purpurę centralnej mięsistości stworzenia równoważyły patykowate metalowe odnóża, filigranowo delikatne niczym u ważki. Smutne cyklopowe oko rozświetlało twarz istoty, zaś smukłe igły tworzyły jej ramiona. Istota, lżejsza niż jakakolwiek ze zbyt ciężkich rzeczy w ich mieszkaniu, przepłynęła przez stół, gdy żona wyczekująco wpatrywała się w twarz męża.

Powoli pokiwał głową; jego twarz wyrażała ulgę.

- Zawsze chciałem takiego - zażartował. - Jest cudowne.

Oderwałem ucho od szyby, by móc lepiej widzieć. Dwie istoty krążyły wokół siebie nawzajem, a mąż z żoną, zapomniawszy o prezentach, znów wpatrywali się w siebie, po raz kolejny obdarowując tym nieodgadnionym uśmiechem, który miał odsunąć od ich najbardziej osobistych myśli zarówno mrok nocy, jak mnie i otaczające miasto.

Zielone, człapiące stworzenie zmierzyło wzrokiem metalowo-cielesną istotę, po czym wydało z siebie

Walka trwa! Dogghe kontra Manzikert I! Kalif kontra Stretcher Jones! Szare kapelusze kontra Ambergris! Festiwal kontra sam Festiwal! Oto mimikra długiej historii wszelkich konfliktów Ambergris. W noc poprzedzającą wyjazd Sporlendera do Morrow, kiedy to na zawsze miał on porzucić Ambergris, pod bramą domu pisarza zebrał się tłum uzbrojony w płonące pochodnie. Składał się z hulającej po nocy zgrai strattonistów, rozdrażnionych i gotowych na wszystko z powodu kilku ostatnich Festiwali o wyjątkowo łagodnym przebiegu. Wkrótce otoczyła ich i zaatakowała grupa przechodzących akurat w pobliżu zwolenników Walczącego Filozofa.



Verden, zgodnie z własną wersją swego alibi, w chwili wybuchu zażartej walki przebywał na drugim krańcu miasta. Noc była pochmurna. Wszystko skrywała ciemność. Miasto stało się obce nawet dla najbardziej zahartowanych z nocnych marków przemierzających się po zmroku ulicami. To, co rozpoczęło się jako zorganizowana bitwa pomiędzy fanatykami dwóch obozów religijnych, wkrótce przekształciło się w żalną bijatykę, chaos poplątanych ciał i zadawania ran, znad którego unosiły się wrzaski i piski.

bezdźwięczne wycie. Z mokrym, błyskawicznym ruchem zmniejszyło dystans dzielący je od przeciwnika, po czym pojedynczym, okrutnym uderzeniem połączonej błoną łapy oderwało mu prawą nogę. Metaliczna istota wydała z siebie pełne udręki wycie i padła na stół. Obserwująca to wszystko para zamarła z zaskoczenia.

Zielona istota naskoczyła na swego zranionego przeciwnika, odrywając mu kolejne odnóże, i zatopiła kły, od których wręcz roilo się w jej paszczy, w czerwonej mięsistości znajdującej się w samym środku ciała metalicznej istoty, która spazmatycznie pomachała słabo jednym z igielnych ramion, wydając przy tym dźwięk przypominający trzask łamanej gałązki. Oczy zielonego stworzenia zachłannie zabłyszczały zwycięstwem. Niestety, dokładnie w tej samej chwili, gdy miażdżyła w swej paszczy serce przeciwnika, metalowej istocie udało się przebić błonę pomiędzy palcami jej lewej stopy, wstrzykując tam fioletową zawartość swej igły. Metalowa istota zadrżała i zamarła w bezruchu. Zielona wiała się w spazmach, drgając gwałtownie całym ciałem, wreszcie padła na bok ze szczękami wciąż zatrzaśniętymi na ciele przeciwnika.

Tę wielką rzeź udało się przeżyć ledwie nielicznym z każdej ze stron. Ale gdzie podczas całego zamieszania był Sporlender? Garstka, która zadała sobie w ogóle trud uniesienia wzroku znad swego wielce zajmującego zajęcia, dostrzegła w oknie salonu domu kształty dwu postaci, które zdawały się kłócić ze sobą. Większość jest przekonana, że jeden należał do Sporlendera, a drugim z pewnością nie była jego żona. Ta druga postać sprawiała wrażenie siedzącej. Nikt nie był w stanie określić jej ewentualnej tożsamości.

Mąż i żona, obramowani dla mnie framugą okna, siedzieli nieruchomo po przeciwległych stronach stołu. Tuż obok nich stały kieliszki z winem, pomiędzy którymi znajdowały się pusta już butelka wina, dopalająca się migotliwie świeca i padlina prezentów, którymi dopiero co się obdarowali. Ścierwa były osobliwie uderzająco podobne do właśnie zakończonego posiłku staruszków.

Ona spojrzała na niego z niegasnącym, uporczywym smutkiem.

- Nie chciałam tego - powiedziała, tłumacząc się. - Kocham cię. Nie planowałam czegoś takiego.

On przez chwilę nic nie odpowiadał. Wreszcie westchnął i nachylił się do przodu, by przykryć swymi dłońmi złożone na stole dłonie kobiety.

- Wiem - odpowiedział. - Też nie tego chciałem.

Lecz, co oczywiste, było już za późno na takie sentymenty, przynajmniej jeśli chodziło o zieloną i metalową istotę. A kiedy wypowiedzieli te słowa, zapieczętowany zbiornik ich tajemniczego uśmiechu pękł, stając otworem. Ów uśmiech już nigdy nie miał znaczyć dokładnie tego samego co wcześniej.

Kobieta przyjęła dłonie mężczyzny z tak bezgranicznym wdziękiem, tak lekko i bez najmniejszego wysiłku przykrywając jego dłonie jedną ze swoich, tak delikatnie nakrywając mu kostki, że równie dobrze można było przyjąć, iż to ona go pocieszała.

Z okna rozbłysło światło, a było tak Jasne, że oślepiło wszystkich walczących. To światło z domu Sporlendera w mgnieniu oka zalało całą ulicę, wskutek czego nikt z walczących nie mógł już dostrzec znajdujących się w środku postaci.

Niemal żałowałem, że z za pleców zaczął już dochodzić do mnie ryk Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic, niszczącego mrok nocy swymi zwyczajowymi erupcjami ognia i chaotycznego niezdrowego rozsądku. Mimo wszystko, nadszedł wreszcie czas, by porzucić ich okno, by oddać się przyjemnościom Festiwalu.

Raz.

Trzymana przeze mnie deska zmiażdżyła szybę.

Dwa.

Wpatrywałem się w nich, wreszcie się ujawniając, a stojąc przed nimi uśmiechałem się w ich kierunku tym ich tajemniczym uśmiechem, który jednak w najmniejszym nawet stopniu nie przynosił im żadnej, chociażby odrobinę zauważalnej ulgi czy pocieszenia. Byłem równie samotny jak wiatr o gałęziach w roli szponów i okrutnie bezlitosnych gwiazdach zamiast oczu.

Trzy.

Światło zgasło. Postaci pozostały w oknie. A wtedy do uszu stojących w dole doszedł brzęk rozbijanej szyby i okno eksplodowało na zewnątrz, roztrzaskując się w drobny mak. Coś małego, okrągłego i ciężkiego potoczyło się, by zatrzymać u stóp strattonistów i zwolenników Walczącego Filozofa...



W chwilę później to coś rozpadło się, rozplývając w powietrzu. Každy widzacy to strattonista uznał je za coś zupełnie innego. Dla niektórych był to strak z nasionami. Dla innych - mały grzybek. Dla jeszcze innych - dziecięca piłka. Lecz wszyscy prawdziwi wyznawcy Walczącego Filozofa jak jeden mąż dostrzegli w tym czymś poskręcany kwiat ukryty wewnątrz dwunastościanu. W międzyczasie obie postaci zniknęły z okna. Kiedy po kilku minutach strattoniści szturmem wyważyli drzwi i wpadli do środka, wewnątrz nie znaleźli ani żywej duszy. Sporlendera, podobnie jak jego żony, nigdy więcej nie widziano w Ambergris.

NICHOLAS SPORLENDER jest autorem przeszło stu książek i pamfletów religijnych o charakterze instrukcyjnym, w tym m.in. *Sara w Krainie Westchnień, Truffidiańskie wota religijne dla laika czy Zestawienie dziennych ofiar dla członków Kościoła Siedmiobocznej Gwiazdy*. Wiele z jego książek zawiera idee „walczącego filozofa” Richarda Petersona. Pięciokrotny zdobywca najbardziej prestiżowej nagrody literackiej Miast Południowych - *Trilliana*. Sporlender mieszka obecnie w Morrow ze swą od dwudziestu pięciu lat małżonką i trójką psów.

LOUIS VERDEN zbudował swą reputację na wykonywaniu biżuterii z motywami gargulców (atrakcji wielu festiwalowych parad). Dalsza droga powiodła go od biżuterii ku ilustracjom książkowym, i to właśnie jego rysunki towarzyszą tak popularnym dziełom jak chociażby *Fizjologia i psychologia gigantycznych kalamarnic czy Anatomia kalamarnicy dla laika*. Obecnie pełni obowiązki wspierającego dyrektora artystycznego *Płonących liści*. Jako zagorzały akolita strattonizmu przez wiele lat stał na czele Ambergriańskiej Kapituły Wolnomyślicieli.

Madnok tak lubił mawiać o tej stronie! „Oto są tu tuż obok siebie, u swego boku jeden koło drugiego, mimo iż w prawdziwym życiu byli tak od siebie odlegli, jak to tylko możliwe”. Czy Sporlender w rzeczywistości, jak twierdzi tak wielu, razem z żoną mieszka obecnie w Morrow? Co jakiś czas, dość jednak rzadko, nadchodzi list - bądź kolejna opowieść - opatrzony pieczątką „Morrow”, lecz nikt tak naprawdę nie widział go od owej pamiętnej nocy.



Hoegbotton ma zaszczyt  
z dumą zaproponować  
**AZYLE SPOKOJNEJ STAROŚCI**

Jeśli tylko opieka nad dziadkami  
Stała się dla Ciebie - i to dosłownie - zbyt wielkim ciężarem  
Prosimy, rozważ nasze nowe  
Hoegbottońskie azyle spokojnej starości  
Dla starszych i niedołączonych.

Wstąp do biur Hoegbottona i Synów  
A nasi pracownicy ABSOLUTNIE ZA DARMO  
oprowadzą cię po jednym z tych budynków.

**ZAPOWIADAMY PRZYJAZD  
WALCZĄCEGO FILOZOFA**

Richard Peterson, Walczący Filozof, weźmie udział  
w paradzie festiwalowej oraz odpowie na zadane mu  
pytania.

- \* Dowiedz się, dlaczego strattonizm jest oszustwem
- \* Odkryj klucz do samorealizacji
- \* Poznaj tajemnicę Dziennika Samuela Tonsure'a
- \* Sam stań się „walczącym filozofem”

Redaktorzy Płonących liści zaangażowali się w dochodzenie mające na celu rozwikłanie tajemnicy osobliwych wydarzeń tamtej nocy. Zarzucili zarówno Hoegbottonowi i Synom, jak i akolitom Walczącego Filozofa, znowę, która w efekcie doprowadziła do zniknięcia Sporlendera. Kiedy jednak nadszedł list od samego pisarza, sygnalizujący, że najzwyczajniej w świecie przeprowadził się do Morrow, by w ten sposób „uwolnić się od tego Verderna”, Płonaące liście porzuciły swe dochodzenie i opublikowały opowiadanie dołączone do wspomnianego wyżej listu - „W pierwszych godzinach po śmierci” - które zaopatrzyły w stosowną notę redakcyjną.

## KAPSUŁY PAMIĘCI PORFALA

Wytrzymałe • Metalowe • Niedrogie

Zastanów się tylko, jaką ulgę możesz sprawić swym bliskim, zaledwie zapisując swe dane na skrawku papieru, który następnie zwiniiesz i zamkniesz w kapsule schowanej do kieszeni. Ta tak banalna czynność może zapobiec wielu późniejszym dniom udręki i niepewności. Jeśli tylko dojdzie do nieszczęścia i w noc festiwalową przydarzy ci się bliskie spotkanie ze sporami, z łatwością - właśnie dzięki Kapsule pamięci Porfala - uda się później Ciebie zidentyfikować.

Te kapsuły wiedzą, kim jesteś.

## STRATTONIZM

Wyznawanie dwukomorowego mózgu  
Logika nauki  
Pociecha płynąca z wiary  
Empiryczne, lecz niedefiniowalne  
„I Ty możesz kontrolować głosy rozbrzmiewające  
w Twojej głowie”

Szukaj naszych emisariuszy podczas Festiwalu

Jak przypomina mi Madnok, również i Verden po owej nocy usunął się w cień życia towarzyskiego, mimo iż nie w aż tak dramatycznych okolicznościach. Obecnie rzadko można go zobaczyć w pełnej krasie, zazwyczaj chodzi bowiem szczelnie opatulony szatą z kapturem, w związku z - jak sam to ujął - „chorobą skóry, która ograbiła mnie z mego uroku, pozostawiając go ledwie w tym, co wyjdzie spod mego piórka i ołówka”. Również i on w ostatnich latach wykonał o wiele mniej ilustracji.

**PLYWAJĄCY PSYCHIATRY:  
ŻEGLUJĄC PO WODZIE CZYNIA  
CUDA NA UMYŚLE**

BLISKA Ci OSOBA ruszy naszymi łodziami w rejs rzeką Moth, by pod opieką najtęższych psychiatrycznych umysłów najbardziej uznanych instytucji wrócić po miesiącu jako nowa, zrównoważona i spokojna, w pełni władz umysłowych.

To relaksująca PODRÓŻ w połączeniu z najbardziej zaawansowanymi formami ELEKTRYCZNEGO warunkowania, a wszystko pod dobroczynnym okiem i mądrą kuratelą naszych szkolonych lekarzy.

O ROZRYWKĘ zadbają VanderMeer i Schaller\* z „Nadzwyczajnym przedstawieniem Wodnego Teatru Lalek”.

Zadzwoń do biur medycznych Beckmana, Ballandera i Wspólników pod numer 23149 lub odwiedź nasze biuro mieszczące się przy bulwarze Albumuth 3150 (drugie piętro, zaraz nad elektrykiem)

\* powracający znów do swych słynnych ról Sporlendera i Verdena

Teatralna produkcja na barce, „nadzwyczajne przedstawienie Wodnego Teatru Lalek”, jest wyśmienita. Dwie główne lalki stworzono na podobieństwo Sporlendera i Verdena. Przedstawienie zakłada, że tej okrutnej w skutkach nocy zostali oni odwiedzeni przez szare kapelusze. Historia przedstawia powolną zamianę Sporlendera w grzyb w Morrow. Przedstawia również Verdena na stałe oszpeconego przez spory. W dramatycznej scenie finałowej, podczas odwiedzin Verdena w Morrow, dokąd trafia on w poszukiwaniu starego przyjaciela, Verden i Sporlender spotykają się po raz ostatni. Wtedy to, padając sobie w ramiona, stapiają się ze sobą. Niezbyt polecane dla młodszego widza.



*Wydawnictwo Hoegbottona ma zaszczyt zaprezentować  
wyjątkowy - rozciągający się od dyskusji historycznych po  
przewodniki turystyczne - wybór broszur dla  
przypadkowego podróżnika po Południowych Miastach.*

### **Hoegbottońska seria broszur ambergriańskich**

Hoegbottoński przewodnik po ambergriańskich artystach  
Hoegbottoński przewodnik wycieczek po Ambergris  
śladami literatów

Hoegbottoński przewodnik po miejscowych  
ambergriańskich dozorcach

Hoegbottoński przewodnik po ambergriańskich barach,  
pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i  
azyłach

Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii  
Ambergris

Hoegbottoński przewodnik po Dzielnicy Religijnej

Hoegbottoński przewodnik po perełkach architektury  
bulwaru Albumuth

Mam niemal wszystkie z powyższych broszur. Przewodnik wycieczek po Ambergris śladami literatów zawiera rozdział poświęcony Sporlenderowi. Trasa Jego śladami zawiera zarówno przystanki przy domu pisarza, Jak również przy budynkach wydawnictw prezentujących szerokiej publiczności jego twórczość. Za raczej wygórowaną opłatą może wam towarzyszyć hoegbottoński przewodnik. Według Madnoka, najlepsi są weekendowi narratorzy, gdyż dostarczają wam najbardziej rozrywkowej wartości za wyłożone pieniądze.

## Hoegbottońska seria broszur

### Miast Południowych

Hoegbottoński przewodnik po miejscowych gatunkach  
niewielkich ssaków

Hoegbottoński przewodnik po najlepszych festiwalach  
maskowych

Hoegbottoński przewodnik po usługach towarzyskich

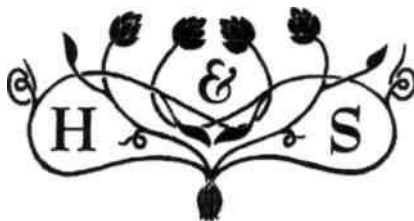
Hoegbottoński przewodnik śladami literatów

Hoegbottoński przewodnik po barach, pubach, tawernach,  
gospodach, restauracjach, burdelach i azylach

Hoegbottoński przewodnik po historii rzeki Moth

Hoegbottoński przewodnik po praktykach hazardowych Wysp  
Południowych

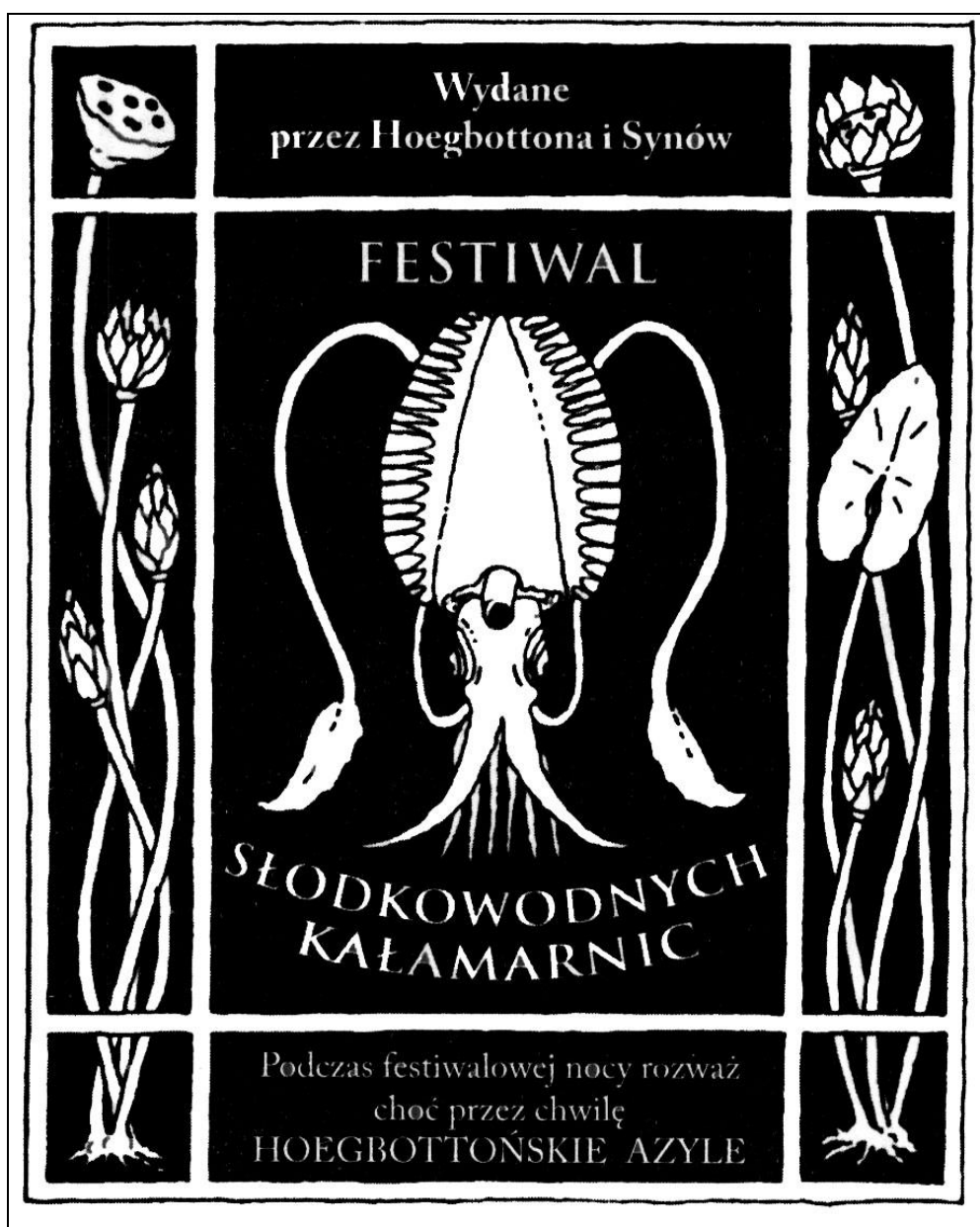
*Wszystkie powyższe publikacje, podobnie jak wydane przez  
Hoegbottona mapy, książki, wyposażenie ochronne i inne rzeczy,  
odnajdziesz w Księgarni Borges oraz innych dobrych sklepach  
na terenie Ambergris i całego Południa.*



Hoegbottoński przewodnik po barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach kilkakrotnie wspomina Verdena. Wszystko wskazuje, że miał on niezłą reputację w takich miejscach.



Hoegbottońskie azyle wciąż rozdają podczas Festiwalu zarówno podstawową wersję Wymiany, jak i opowieść w wersji deluxe, zapakowaną w pudełko. Z powodu luki w kontrakcie ani Sporlder, ani Verden nie otrzymują żadnych pieniędzy ze sprzedaży tej broszurki. Jednak szeroka popularność powyższej historii z roku na rok nieprzerwanie zyskuje im szeregi nowych wielbicieli.



Kiedy już stąd wyjdziemy, Madnok obiecał mi pokazać niektóre ze swych ulubionych miejsc festiwalowych. Jednak jeśli mnie przeczucie nie myli, raczej nie nastąpi to szybko.

# UCZĄC SIĘ, JAK OPUŚCIĆ SWE CIAŁO

## I

Karlica wyrasta przede mną zupełnie nieoczekiwanie, gdy w poszukiwaniu pewnej książki dla mojej dziewczyny Emily przeglądam pozycje w Księgarni Borges. Wpadający przez frontowe okno snop światła uderza mnie z boku upałem późnego popołudnia, a gdy karlica odwraca swą dłoń, jej jasność rozświetla wszystkie zakłete w zmarszczkach bezkresne światy: blade linie dróg, doliny poprzecinane rzekami, pagórki skóry i ciała. Matryca przeznaczeń i celów.

Nim zdołałem jakoś zareagować, kobieta chwyta mą dłoń i wbija w nią cierń przenikający głęboko do środka. Stękam z bólu, jak podczas pobierania krwi do badań. Opuszczam wzrok i spoglądam w wielkie, ciemne oczy karlicy, a dostrzegam w nich tak ogromny spokój, że cały ból nieoczekiwanie rozmywa się i znika jak nożem uciął, by powrócić dopiero, gdy jej zgarbiona, powłócząca nogami sylwetka wycofuje się ode mnie i wychodzi z księgarni.

Ściany błyskawicznie odsuwają się, a półki stają się tak odległe, że nie mam się ani czego schwycić, ani o co podeprzeć. Unoszę dłoń do światła. Cierń przebił mi powierzchnię skóry i gdybym mu tylko na to pozwolił, wniknąłby o wiele głębiej. Badawczo przyglądam się krwistemu pęcherzykowi rany. Otwór pulsuje, a kiedy tak na niego patrzę, różowoczerwony kolor zimnym ogniem rozprzestrzenia się na wnętrze mej dłoni. Rana wydaje się miastem na mapie, cytadelą rozdartą gniewnym pulsem działań wojennych, które o mały włos nie zawładnęły całą najbliższą okolicą. Wojny, która toczy się w moim ciele.

Wychodzę z księgarni i pieszo wracam do domu. Bulwar Albumuth daje mi pewne poczucie bezpieczeństwa. Ledwie jednak mijam dwie przecznice, a już na zadławionych graffiti kładkach dla pieszych zaczynam dostrzegać nastoletnich przedstawicieli świetlanej przyszłości, którzy zabawiając się hałaśliwie, krążą w mroku zapadającej nocy, zabiegając o przyjemności ciała i oddając się zepsuciu duszy. Albumuth jest tym, co trzyma mnie przy życiu, moją liną ratunkową, arterią śródmiejskiej części miasta. To tutaj pracuję, tu robię codzienne zakupy, tutaj nawet kupuję książki. Bez niego całe to miasto stałoby się



niebezpieczne. Gdyby ten bulwar nie istniał, zapewne nie miałbym żadnego pewnego zakotwiczenia we własnym życiu i mógłbym dryfować.

Powoli wracam do domu, powłócząc stopami po chodniku, przy każdej najmniejszej sposobności przesuając palcami wzdłuż wzorów mijanych białych ogrodzeń, schylając się, by pogłaskać cocker-spaniele, rozmawiając z uśmiechniętymi staruszkami sprzedającymi jabłka, wpatrując się w głębokie oczy dzieci.

Nawet teraz, ledwie moment po incydencie, rana już rozpoczęła swą przemianę. Udaje mi się wyrwać z niej cierń. Coraz mniej przypomina już ogarnięte płomieniami miasto, a coraz bardziej część należącej do mnie dłoni. Naprawdę, wyjątkowo rzadko którakolwiek część mojego ciała intrygowała mnie tak mocno. Owszem, nie ulega żadnej wątpliwości, że Emily kreśliła opuszkami swych palców linie między moimi piegami, odkrywała przestrzenie skrywane pomiędzy palcami u stóp czy przeczesywała kępkę włosów porastających mi klatkę piersiową, ale sam nigdy nie badałem własnego ciała z aż taką skrupulatnością. Nigdy nie wydawało mi się ono jakoś zbytnio związane z tym, kim jestem, z moim prawdziwym ja. Jedynym wyjątkiem od tej reguły było postanowienie, by utrzymywać je w dobrej formie, tak by nie oszukiwało mego umysłu.

Teraz jednak przyglądam się własnej dłoni dosyć krytycznie. Jej zmarszczki nie wydają się w najmniejszym nawet stopniu wzajemnie konsekwentne, jeśli chodzi o ich długość czy szerokość, a zgrubienia gromadzą się na niej niczym pąkle czy stopione nakrętki z pasty do zębów. Otarcia i zaróżowienia, którym towarzyszą nieliczne drobne blizny - wszystko to splątuje się na niej, nadając jej wnętrzu matowy wygląd. Dochodzę do wniosku, że moja dłoń jest tak szpetna, iż nawet chirurgia plastyczna nie oferuje mi większej nadziei na poprawę jej stanu.

Kiedy słońce chyli się na horyzoncie, kładąc się cieniem na dachach miasta i chaotycznie porozmieszczanych na nich tu i ówdzie kominach, docieram wreszcie do domu. Moje mieszkanie zajmuje parter dwupiętrowego budynku z brunatnego piaskowca. Budynek, którego cegły są pomarszczone starością, a w niektórych miejscach okazują się miękkie niczym mokra glina. Anemiczny frontowy trawnik posypano piaskiem, by zapobiec zarastaniu trawą.

Moje mieszkanie składa się z kuchni i saloniku, który po lewej stronie sąsiadujące z sypialnią, po prawej zaś z łazienką. Z sypialni przez trójkątne, platerowane szkło wnęki okiennej, w której można przysiąść, rozciąga się zaledwie widok na szary asfalt i opustoszały, wymarły pasaż handlowy.

W kuchni i salonie trzymam pieczołowicie hodowane roślinki, zachowujące się

niczym irracjonalne, a równocześnie cudownie przepiękne zdania - pełzną mi po ścianach, a ich pnącza wystrzeliwiają z treliaza w każdym możliwym kierunku wbrew najlepszym staraniom z mojej strony, mającym temu zapobiec. Rośnie tu wisteria o kwiatach zbitych jak skałoczepty pelikanie, kokoloby o miękkich okrągłych liściach, passiflora, pnącze trąbkowe oraz rozkwitający jedynie nocą jaśmin, którego kwiaty rozwierają się wtedy i pachną wata cukrową zmieszaną z bogatym, solankowym zapachem bryzy morskiej. Wszystkie te kwiaty despotycznie zazębiają się i łączą ze sobą, znacznie prześcigając w tej czynności najśmielsze wyobrażenia trójkątów miłosnych, nawet tych obdarzonych wręcz nieskrępowaną wyobraźnią.

Emily nienawidzi moich kwiatów. Jeśli już się kochamy, to zawsze u niej w mieszkaniu. W jej perfekcyjnej, nieskazitelnej sypialni wychodzi nam to wręcz doskonale - monotonne ruchy naszych kończyn przypominają suwanie pompujących mechanicznych tłoków - aż równocześnie szczytujemy. Po wszystkim bierzemy wspólny prysznic. Czasem, z rzadka, pozostawiając po sobie ledwie kłębek włosów w odpływie.

## II

Do tej pory cierń nie zajmował zbytnio moich myśli; dopiero teraz, gdy leżę już w łóżku, nadsłuchując wycia tępaków oraz dochodzących z drugiego krańca miasta przekleństw w wykonaniu naszej świetlanej przyszłości, rozbijającej się samochodami po całym mieście, rana pulsuje mi łomoczącym rytmem, który przenosi mnie do pierwszego prawdziwego wspomnienia tego świata.

Zostałem sierotą w bardzo młodym wieku, kiedy moi rodzice zginęli w katastrofie morskiej. Nie byłem już wtedy dzieckiem, które można było zostawić komuś na progu. Z tamtego okresu przypominam sobie zaledwie taką oto scenę: morze, odpływ i noc przesuwaną się nad całym światem niczym czarne drzwi rozpościerającego się mroku. Woda liże mi stopy, między palcami wyczuwam chłód piasku, a twarz kłują mi powiezy wiatru. Słyszę zarówno nieustający plusk malutkich, srebrnych rybek uwięzionych w kałużach pozostałych po odpływie, jak i lśniących spomiędzy piasku rozgwiazd uwięzionych w wodorostach. Dostrzegam duchy krabów drepzące bokiem na swych skrzypiących stawach z kawałeczkami mięsa trzymanymi w szczypcach równie delikatnie, co kurczowo.

Nie mam pojęcia, ile mogłem mieć wtedy lat. Nie mam również pojęcia, jak znalazłem się na tej plaży. Wiem tylko tyle, że usiadłem na piasku, a światło gwiazd bladło na tle

rozpościerającego się nade mną modrego bezmiaru nieba. A gdy zmrok zamieniał się w noc, czyjeś ręce chwyciły mnie za ramiona i zaczęły ciągnąć w górę wydm, w stronę klejących się traw i kokoloby, męczennic i kaktusów, póki nie ujrzałem przed sobą diabelskiego koła kręcącego się przy namiocie nadmorskiego cyrku, póki nie doszło do mnie unoszące się stamtąd w powietrzu buczenie i towarzyszący mu stłumiony pogłos szlochów, śmiechu i krzyku bawiących się tam ludzi.

Czy to miejsce było prawdziwe? A może było zaledwie wytworem mojej wyobraźni? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Lecz wspomnienie to nieustannie do mnie powraca, by skupić i połączyć mnie z tym światem. Wtedy, gdy nie pozostaje mi już nic mogącego wywołać we mnie poczucie przynależności do tu i teraz. Wspomnienie to daje mi coś, co istnieje poza tym miastem, wykonywaną w nim pracą i zajmowanym mieszkaniem. Gdzieś magicznie dawno, dawno temu, leżałem sobie pod gwiazdami, gdy noc rozpościerała się nade mną. I śniłem tam cudowności.

Mam ledwie garstkę przyjaciół. Przybrane dzieci, wędrujące z miasta do miasta, wciąż w drodze do coraz to nowych rodzin, z rzadka tylko podtrzymują swe przyjaźnie. Wszyscy przybrani rodzice przypominają mi obecnie zacienione smugi kurzu rozciągające się po tafli szkła. Mogę przypomnieć sobie ich twarze i imiona, ale w porównaniu ze wspomnieniem tego obracającego się nade mną łuku nieba są dla mnie niesłychanie odlegli.

Teraz jednak mam ranę w dłoni. Ranę, która przenosi mnie z powrotem na tamtą plażę o zmroku, do dławiącej mnie rozpacz po śmierci rodziców, żalu, że nie utonąłem wraz z nimi. Pozostałem żywy, lecz nieruchomy. Obserwujący otaczający mnie świat, lecz nie podejmujący żadnych działań. W głębi mojego ja jestem jedynie możliwością aktu, nie samym aktem. Nigdy nie jestem aktem. Nigdy czynem.

To moi rodzice działali. To oni robili różne rzeczy. Dlatego właśnie zginęli.

### III

Mimo rany w dłoni, która i tak nie jest wystarczającą wymówką, jadę samochodem do pracy wzdłuż bulwaru Albumuth. Wreszcie skręcam z niego na parking, gdzie spomiędzy pęknięć w bruku z czerwonej cegły wybija mrowie kępek trawy. Moje miejsce pracy zajmuje wąski skrawek jednego z miejskich placów. To budynek o szklanych oknach z ciemnozielonymi zasłonami, których zadaniem jest ochraniać jego wnętrze przed ciekawskimi spojrzeniami leniwie przechadzających się na zewnątrz przechodniów.

Wewnątrz - kilka pięter, ze schodami prowadzącymi zarówno w górę - na strych, jak i w dół - do piwnic.

Wykonywana przeze mnie praca polega na tworzeniu doskonałych zdań dla dość różnorodnej klienteli. Nie jest to zaledwie jakiś tam przejaw dziennikarstwa, gdyż wymaga ode mnie przejrzystości szkła, a nie odbicia lustra, nie ma tam miejsca na najmniejsze chociażby pojedyncze odbicie. Przez całe godziny tkwię w swym kąciku na poddaszu, wyglądając stamtąd na świat zewnętrzny, spoglądając na setki dachów, otoczony świeżym trocinowym zapachem słów i gliniastą stęchlizną spiętrzonych w stosy tekstów koniecznych do wykonania mej pracy.

To prawda, że jestem ledwie jedną spośród wielu pracujących tu osób. Niektóre z nich nie są artystami, a zaledwie technikami, płuczącymi swe gardła kamyczkami, by poprawić niedoskonałą dykcję w tworzonych przez siebie niedoskonałych zdaniach. Inni z kolei swobodnie wyławiają je, raz na jakiś czas szarpiąc za wędki w nadziei, że wydostaną wtedy na powierzchnię zdania pełne, ukończone, posiadające wręcz nieprzebrane znaczenie. Jeszcze inni palą, piją, a nawet używają nielegalnych substancji, by tak właśnie skusić słowa do zaistnienia na dziewiczej kartce papieru. Wielu z nich jest nawet dosyć śmiesznych w stosowanych przez siebie okrężnych praktykach i procedurach. Znam imiona moich współpracowników, to Wendy, Carl, Daniel, Christine, Pamela, Andrea. Ale jesteśmy tak skupieni i sfiksowani na tworzeniu własnych zdań, że równie dobrze moglibyśmy się minąć na ulicy jak zupełnie obce osoby.

Musimy jednak takimi pozostać, gdyż Kierownik - kolosalna inteligencja, ukradkowy lewiatan o ciężale poruszający się wiele kilometrów pod powierzchnią - tego właśnie od nas wymaga. Otrzymujemy kilka płatnych zleceń dziennie, czy to z prośbą lirycznego opisu ukochanego męża, umierającego pieska, czy też wypowiedzi żony chcącej przekazać mężowi jak bardzo, zupełnie nieświadomie, zaniedbywał ją w ostatnim czasie. Na przykład:

*Obejmuje ją i mruczy, niczym zakochany w morzu marynarz, który idzie na dno bez słowa sprzeciwu, nie protestując nawet, gdy woda wciąga go coraz głębiej, i głębiej, i głębiej, dopóki nie wypełnia płuc, dopóki nie więzi w niekończącym się śnie tonięcia.*

Jeszcze dziesięć lat temu zapisywałem historie doskonale, lecz w przeciągu ostatnich kilku lat czas zdolności ludzkiej koncentracji niesamowicie się skurczył, aż w końcu wkroczyliśmy w schyłek epoki posiadania przez ludzkość umiejętności czytania i pisania.

Co oczywiste, nie tworzymy obiektywnie doskonałych zdań - czasem nasze zdania nie

są nawet jakoś wyjątkowo dobre. Gdybyśmy tylko byli w stanie tworzyć prawdziwie doskonale zdania, zniszczylibyśmy otaczający nas świat, gdyż ten złożyłby się w sobie, zapadł niczym przekłuty balon wypełniony rozgrzanym powietrzem i przestał istnieć - *bum!* - Stałby się niedokończony, przekreślony, nieprzeżyty, zalany surowym lodowcowym światłem rzeczywistości prawdziwszej niż on sam.

Ale jestem perfekcjonistą, który w zaściankowej stagnacji przerw na kawę współpracowników, w nieustających, równomiernych uderzeniach spadających na zewnątrz kropel deszczu usiłujących oderwać go od pracy, wciąż nie przestaje nawlekać czasowników na zaimki, popędzać tych samych czasowników w kierunku dopełnień dalszych, przyłączać do tego wszystkiego modyfikatorów, a wszystkiego rozkładać na kartce papieru niczym jakichś anielskich włosów strategicznie porozmieszczanych na gałęziach choinki.

Tuż pod ręką zawsze mam spięty trzema pierścieniami notatnik zawierający moje wspomnienia, trzymam go przy sobie jako pomoc w przeżywaniu życia naszych klientów, w przedostawaniu się w ich skórę, poznawaniu ich niemal równie dobrze jak samego siebie. Wypełniłem w nim zaledwie dwanaście kartek, z czego większość i tak stanowią wspomnienia wydarzeń, które miały miejsce po moich piętnastych urodzinach. Wiele z zapisków to ledwie imiona. Na przykład taki Bobby Zender, przyjaciel i towarzysz sierota z domu poprawczego. Miał chromą stopę i przez cały rok dopasowywałem do niego swój krok, by nigdy nie wysforować się przed niego ani nie wybiec na plac zabaw, by pograć tam z innymi w piłkę. Zmarł na gruźlicę. Albo Sarah Galindrace, posiadaczka najciemniejszych oczu i najkrótszych spódnic, o skórze niczym jedwab, porcelana; niczym niebo. Wyprowadziła się, pozostawiając po sobie jedynie echo w moim sercu.

Te wspomnienia często pomagają mi pisać zdania, dziś jednak rozprasza mnie rana na dłoni, niepokojąca i odsuwająca mnie od nieskalanych, rozłożystych kartek papieru rozpiętych na deskach kreślarskich. Pióro, czarne gęsie pióro, które tak żywo drapie po papierze, stanowi teraz zagrożenie. Moi współpracownicy gapią się na mnie - ich gęste czarne brwi, grzywy blond włosów, szalone oczy ogierów wprawiają mnie w zdenerwowanie. Spływa po mnie pot. Wiercę się nerwowo na wysokim taborecie i staram się nie wyglądać przez okno w kierunku geometrycznie uspokajających i miłych dla oka linii kabli telefonicznych, tnących niebo na matrycę punktów zainteresowania: kościelnych iglic, masztów flagowych, neonowych billboardów.

Kobieta, która wreszcie odkryła prawdziwą miłość, potrzebuje zdania, by przekazać swemu mężczyźnie, jak bardzo go kocha. Gdy chwytam za pióro, dłoń zaczyna mi płonąć, a pióro w mojej ręce równie dobrze mogłoby być nożem, dłutem czy innym narzędziem o

równie zagadkowym dla mnie sposobie użycia. Swędzi mnie skóra, jakbym podrażnił krawędzie strupa. Mimo wszystko jednak zapisuję następujące zdanie:

*Gdy cię widzę, moje serce rośnie niczym chleb w piecu.*

Zdanie jest potworne. Kierownik nachyla się nade mną i opierając mi dłoń na ramieniu, podziela moją opinię, z dezaprobatą kręcąc głową. Śmiertelnie poważnie mruczy: „Za bardzo się starasz. Uspokój się. Wyluzuj”.

Tak. Muszę wyluzować. Myślę o Emily. Myślę o książce, którą zamierzałem jej kupić w Księgarni Borges - *Odbicie światła w więzieniu*. Być może, gdyby tylko udało mi się przenieść na tworzone właśnie zdanie coś z naszego związku, zdołałbym wymusić na tym zdaniu jego właściwe brzmienie. Rozmyślam o ostrej intonacji głosu Emily, sposobie, w jaki urywa końcówki słów, jak gdyby z trzaskiem łamała na pół łydźki selera. Albo o tym, jak to swego czasu podrażniła mnie wręcz do nieprzytomności na weselnym przyjęciu swej siostry i by jakoś ukryć swe zażenowanie, musiałem udawać, że jestem kompletnie pijany. Albo o gładkim brzuchu, ściśle przylegającym w dotyku do moich ust, o cudownej płataninie blond włosów.

Próbuję po raz kolejny.

*Gdy cię widzę, moje serce rośnie niczym koliber śmigający ku rosie pokrywanej różą.*

Dopiero w tym zdaniu staję się prawdziwie beznadziejny. Aliteracja w „rośnie”, „rosie” i „różą” przebij a niczym nóż wszelkie możliwe opcje i święcie mnie przekonuje, że powinienem być raczej zostać hydraulikiem, dentystą, a może nawet pucybutem. Słowa, które same powinny się układać w jedną spójną całość, by wyzwalać namiętność w sercach, stają się brzydkie, zimne, puste. Martwy ciężar frazesu wywołuje ból głowy.

Gdy zmierzcha, proszę Kierownika o dzień wolnego. Dostaję go - z zakazem robienia czegokolwiek innego niż ewentualny spacer po mieście; być może jeszcze gra w piłkę w starej, historycznej części miasta bądź obejrzenie wystawy poświęconej Vossowi Benderowi w Muzeum Sztuki im. Teela.

#### IV

Cały kolejny dzień spędzam na kontemplacji własnej dłoni u boku mojej dziewczyny,

Emily Brosewiser, tej, o której blond włosach, soczystych ustach, namacalnym uśmiechu i wilgotnym powabie już wcześniej wspominałem. (Moje porównania stają się tak płodne, że wydaje mi się, iż wolałbym raczej być zakochany w jakimś owocu czy nawet warzywie).

Siedzimy na pokrytej porostami ławce w parku San Matador. Obejmuję ją ramieniem, równocześnie przyglądając się kaczkom krzyżówkom nurkującym w poszukiwaniu pożywienia w mętach zaścielających powierzchnię stawu. Usypia mnie zapach zielonej trawy i benzyny, zmieszany z upałem letniego słońca. Park wydaje się wręcz zatłoczony karłami - zbieraczami śmieci uzbrojonymi w stalowe harpuny, pacjentami po lobotomii z pobliskiego szpitala, o spojrzeniach tak bezpośrednich, jakbyśmy byli kochankami; czy wreszcie tęgimi i garbatymi osobnikami, którzy z połyskliwymi czerwonymi kosiarkami przechadzają się po tutejszych trawnikach. Oni wszyscy mnie rozpraszają - są błędną interpunkcją porozrzucaną po nietkniętej, dziewiczej kartce papieru.

Emily dostrzega w nich jedynie klaunowi traktuje mnie jako chorego. „Chory, chory, chory”, tak mi powtarza. Jakże mógłbym się z nią nie zgodzić? Bije od niej tak świeży i czysty zapach, a jej włosy lśnią niczym odwirowane złoto.

- Zawsze tu przecież byli, Nicholasie. To tylko ty jakoś nigdy ich nie zauważyłeś. Dlaczego akurat dzisiaj miałoby mieć jakiegokolwiek znaczenie? Nie rozdrapuj tego. - Uderza mnie w dłoń, która wybucha pulsującym bólem. - Dlaczego to cię tak opętało? Masz dzisiaj wolny dzień, siedzimy sobie w parku, a ty wciąż nie potrafisz przestać o tym myśleć, uwolnić się od tego.

Emily pracuje w agencji reklamowej. Projektuje zdania, które mają za zadanie sprzedaż doskonałości konsumenckiemu ogółowi. Zanim ją poznałem, dostrzegłem jej prace na billboardach porozstawianych na obrzeżach miasta: „Odświeżacz powietrza Skuttles. Kupuj - my ręczymy głową, nie zawiodą - wierz na słowo”, czy „Pewnego dnia umrzesz i tak, lecz teraz kupuj, czego Ci brak - w Pasażu Mak”. U dołu można było przeczytać zapisane drobnym drukiem: „Pomysł: Emily”. Nie miałem wówczas dziewczyny na stałe, zadzwoniłem więc do producenta billboardów i dzięki niemu, po nitce do kłębka, dotarłem do agencji reklamowej, w której pracowała, i umówiłem się na randkę. Jej spodobała się moja kolekcja zdań erotycznych i zaprezentowana przez mnie zręczność manualna. Ja natomiast polubiłem jej delikatną pajęczą linię włosków biegnących po przedramionach oraz krzywiznę piersi zakończonych malutkimi, różowymi sutkami.

Ale jej zdania stały się dla mnie zbyt przestarzałe i staromodne, tak bardzo pozbawione wdzięku i uroku, zbyt nastawione na manipulację ludźmi. Jak jednak mogłem oczekiwać od niej czegokolwiek innego, biorąc pod uwagę charakter branży, w której tkwiła?

Odpowiadam więc tylko: „Tak, skarbie”, po czym wzdycham i znów zaczynam przypatrywać się własnej dłoni. Emily jest zawsze taka rozsądna. Zawsze ma rację. Ale nie jestem pewien, czy mnie rozumie. Zastanawiam się, co pomyślałaby sobie o moim wspomnieniu dotyczącym tego łuku nieba, rozpościerającego się nad moją głową w zapadającym mroku, gdy morze szumiało mi zewsząd, raz za razem uderzając falą o brzeg. Jakoś zbytnio się nie sprzeczała, gdy nalegałem, byśmy mieszkali osobno.

Okrąg różu rany na dłoni przeszedł w biel. Jestem zafascynowany sposobem, w jaki zmarszczki przechodzą w siebie. Odbieram tę bliznę jako maluteńką rysę, pęknięcie.

Emily chichocze.

- Nicholas, kiedy tak tu siedzisz z tym zauroczonym wyrazem twarzy, jesteś tak słodko głupiutki. Każdy, kto spojrzałby na ciebie, mógłby pomyśleć, że właśnie poroniłeś.

Zastanawiam się, czy z naszym związkiem jest wszystko w porządku. Jego pustota zdaje się dorównywać tej tak bardzo bliskiej mi z czasów, gdy byłem sierotą. Poza tym wyraz „poroniłeś” jakoś nie wydaje mi się szczególnie odpowiednim i prawidłowym logicznym przeskokiem, dotyczącym opisu wyglądu mej twarzy. Oczywiście sam również nie jestem w stanie wymyślić właściwej obręczy, przez którą mógłby przeskoczyć ten piesek składni, wciąż jednak...

Wracamy. Każde do swego mieszkania. Wszystko, o czym jestem teraz w stanie myśleć, to karły, garbusy, kaleki. Zasypiam i śnię mi się karły, zdeformowane i złośliwe, ze złowieszczymi szparami zamiast uśmiechów. Kiedy się budzę, wpada mi do głowy najbardziej niezwykła myśl. Wspominam ciężar ciała karlicy, stojącej u mego boku, gdy wbijała mi srebro w dłoń. Przypominam sobie jej zapach - słodki i przesywający niczym kapryfolium - dotyk jej dłoni, jej niesamowicie szczupłych i giętkich palców, ciała skrywanego pod ubraniem. Sposób, w jaki te fragmenty nie pasują do siebie i nigdy nie będą przystawać, równocześnie stanowiąc w jakiś sposób jedność.

## V

Gdy następnego ranka docieram do pracy, na moim biurku czeka już na mnie najbardziej osobliwe zlecenie, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Tak osobliwe, że zapominam o zranionej dłoni. Mam napisać zdanie o karle. Kierownik zostawił mi notatkę, że jest ono w zasadzie „na wczoraj”. Pozostawił też zdjęcia, serię wycinków prasowych oraz fotokopie stron z pamiętnika. Pierwszy akapit leżącego na wierzchu artykułu, wstrząsającego przykładu



dziennikarskiego rzemiosła, brzmi następująco:

David „Karli” Jones, 135 centymetrów wzrostu, żył, by płonąć, żył, by poświęcano mu uwagę. Czy to połykając ogień w wesołym miasteczku, zabawiając publikę chodzeniem boso po szkle, czy też pozwalając sobą ciskać podczas zawodów w rzucaniu karłami. Zawsze pragnął znajdować się w świetle reflektorów. W ubiegłą niedzielę odszedł jednak w ciemności. Zapijając się na śmierć. Badania wykazały w jego krwi poziom alkoholu rzędu 4,3 promila, 4-krotność ilości, przy której kierowca zostałby oskarżony o prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Podnoszę leżącą na szczycie stosu dokumentów kolorową fotografię wykonaną na błyszczącym papierze. Przedstawia Jonesa na tle towarzyszącego cyrkowi wesołego miasteczka. Zdjęcie jest prześwietlone, oczy karła lśnią na nim czerwonymi kropkami znad wijących się w grymasie półuśmiechu warg. Z każdej strony stoi przy nim olśniewająca laska z błyszczącą górą bikini przyciśniętą do jego twarzy. On sam wpatruje się wprost w obiektyw, lecz laski wpatrują się w niego, jakby był jakimś cyrkowym bogiem wesołych miasteczek. Światło na zdjęciu załamuje się wokół jego kręconych brązowych włosów, lecz nie na jego ciele, jak gdyby reflektor wycelowano wprost w niego. Stoi na drewnianym pudle, obejmując dziewczęta ramionami.

Czas wyzwalcza jest za krótki, by można było uchwycić szaleńcze wirowanie siedzeń diabelskiego koła widocznego tuż za jego plecami, tak więc światło rozlewa się na oślepiający blichtr lasek, na rowki między ich piersiami. Za diabelskim kołem przetaczają się rozmyte piaszczyste wydmy, a jeszcze dalej, w dolinie pomiędzy wydmami, można dostrzec przypominające zmrużone oko morze.

Zdjęcie jest marnej jakości. Kiedy przyglądam mu się bliżej, dostrzegam cienką warstwę potu oblewającą twarz Jonesa; dostrzegam jego wypieki. Piasek klei mu się do napiętych ramion i czoła. Linie oczu, nosa i ust zdają się wykonane węglem drzewnym. Są ledwie pierwszym, surowym i pospiesznym szkicem.

Odwracam fotografię i spoglądam na jej odwrot. W prawym górnym rogu ktoś napisał: „David Jones, wrzesień 19 - Zdziwiający Cyrk i Nadmorska Karnawałowa Ekstrawagancja Braci Mango. Sprzątał klatki ze zwierzętami i za 50 centów ciągnął za Wielkim Namiotem”.

Jones to zwierzę i brutal. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Mimo wszystko muszę jednak napisać o nim zdanie, bo tego wymaga ode mnie klient, którego nigdy nawet nie zobaczę na oczy. Muszę uchwycić Davida Jonesa w jednym zdaniu.

Czytam resztę artykułu, po kawałeczku, z przerwami.

W swym najbardziej kontrowersyjnym zajęciu, ignorując wszelką krytykę, Jones opinał się zmodyfikowaną psią uprzężą, a następnie pozwalał barczystym i silnym facetom rzucać sobą przez salę podczas wielce nagłośnionych zawodów w ciskaniu karłami, organizowanych w pubie Pod Królewską Głową.

„Jestem ślusarzem, co może być niebezpieczne. A jako że są oni również często zwalniani z pracy, dorabiam sobie w cyrku. Połykam ogień, chodzę bosy po rozbitym szkle. Wspinam się po drabinie z ostrzy mieczy, kładę na nabitym gwoździami łożu fakira i pozwalałam jeszcze wtedy stawać na sobie wysokim ludziom. To łatwizna w porównaniu z tym, co muszę robić na co dzień”.

Wiele godzin schodzi mi na próbach stworzenia zdania. Mimo stale włączonych, powolnie obracających się wiatraków klimatyzacji pot zaczyna mi ściekać po szyi. Nie przerywam i pracuję podczas przerwy na lunch, rozpraszany jedynie obecnością karła żonglera (wykonującego swą sztuczkę przy użyciu sześciu noży i dziecka), który wywalczył sobie krąg wolnej przestrzeni od grupy samotnych mimów i ulicznych muzyków.

Zaczynam prosto.

*Życie karła okazało się tragiczne.*

Nie, nie tak.

*Życie Davida Jonesa było tragiczne.*

Źle.

*Życie Davida było niepotrzebnie tragiczne.*

Niepotrzebnie tragiczne? Tragedia nie marnuje czasu na tego typu dylematy i wątki poboczne. Życia człowieka nie można zredukować do łacińskiej w stylu, jednowersowej sentencji czy też haiku składającego się zaledwie z jedenastu sylab. Jak mam się zidentyfikować z Davidem? Czy kiedyś mieszkał może w sierocińcu? Czy znalazł się kiedyś, podobnie jak ja, na plaży po śmierci rodziców, którzy na zawsze mieli już zniknąć z jego życia? Jak trudne mogło być jego życie? Życie człowieka anomalii, człowieka niepasującego do ogółu, błędu natury?

Nagle moja wyobraźnia uwalnia zamki strzegące dostępu do zdania skrywającego się

w jakiejś utajnionej, odległej przegródce umysłu:

*David opuścił swe ciało w sposób tragiczny.*

I znów, po raz kolejny, zaczyna mnie rozpraszać moja zraniona dłoń, ale nie aż tak bardzo. Dostrzegam wszelkie niedoskonałości życia Davida, a dziwnym trafem nie wydają mi się one tak ohydne jak wcześniej. David może i był ohydny, ale ja taki nie jestem.

Kiedy wracam samochodem do domu w kwaśnym i zdławionym wyziewami z rur wydechowych świetle zmierzchu, podziwiam dęby rosnące po obu stronach bulwaru. Są powyginane wiatrem, pozwijane, a mimo wszystko o wiele silniejsze i bardziej kojące dla oka niż wykałaczkę sosen czy proste druty świerków.

## VI

Moje rośliny, pod sztandarem dwutlenku węgla, nawozu i fotosyntezy, podbiły już całe mieszkanie. Pozwalam im panoszyć się i wędrować niczym jakimś żalonym mutantom, odrzutom z filmów klasy B z lat 50. Równocześnie dają mi pewność, że Emily nigdy długo nie zagości w mych progach. Fioletowo-zielone męczennice, wręcz ociekające zapachem seksu, swymi delikatnymi wiciami kochają się z kanapą. Tu i ówdzie błyszczą rozpryski czerwieni bugenwilli, kołyszającej i oplatającej kuchenny stół, by następnie odpełznąć ku lodówce, gdzie przy chrobotliwym dźwięku kolców swych pędów roślina chwyta i owija się wokół drzwiczek. Razem z inwazją roślin w me progi zawitali padlinożercy, gekony albinosy przypominające kłęby rtęci czy białej czekolady. Nie mam jednak sił, by usunąć je z mieszkania.

Brak mi sił, siedzę w fotelu, w samej tylko wyblakloróżowej bieliźnie; kolor ten zawdzięczam kapryśnym permutacjom cyklu prania. Czytam przy niebieskiej poświacie wyciszonego ekranu telewizora.

David dorastał w Dalsohme, gwarnym, lecz pozbawionym większego znaczenia miasteczku portowym nad samą zatoką tuż przy ujściu rzeki Moth. Jego rodzice, Jemina i Simon Pultin, zarabiali na życie, obwoząc swą płaskodenną łodzią wycieczki po bagnach. Simon rozważał zainstalowanie w niej szklanego dna, co miałooby niby przynieść zwiększenie dochodów, ale Jemina upierała się, że nikt o zdrowych zmysłach nie będzie chciał przyglądać się mętnej wodzie pod mikroskopem. Zamiast tego zaczęli sobie dorabiać połowem zębaczy i

krewek. David był niezły w łowieniu zębaczy, ale Jemina i Simon woleli, by długim, prostym drągiem sterował łodzią, bowiem kiedy tylko pojawiał się na pokładzie, turyści z otwartymi ustami gapili się na niego niemal równie często jak na rozciągające się wokół krajobrazy. Jemina wpadła więc na pomysł zwiększenia ruchu w interesie, nie ulegając pomysłowi męża ze szklanym dnem. Niektóre z przekazanych mi przez Kierownika dokumentów sugerowały wręcz, że Simon zaadoptował Davida wyłącznie po to, by zyskać sternika. Nie odnalazłem żadnego zapisu mówiącego, co też myślał o tym sam David. Wiadomo jednak, że gdy tylko skończył piętnaście lat, „uciekł z domu i przyłączył się do cyrku”. Robił wszystko, co konieczne, by przeżyć w trasie objazdowej, łącznie z męską prostytutką, ale najwyraźniej nigdy nie odłożył wystarczającej sumy pieniędzy, by rzucić to w cholerę. Mimo iż z biegiem czasu formułowane przez niego koncepty stawały się coraz śmielsze i bardziej złożone.

„Większość niskich ludzi uważa, że świat jest im coś winien z powodu ich niewielkiego wzrostu. Większość z nich wbiła sobie do głowy, że powinni być traktowani w jakiś szczególny sposób. Cóż, świat nic nie jest nam winien. Bóg chce, byśmy mieli pod górkę. I tylko do tego się to wszystko sprowadza”.

Wkrótce słowa zaczynają mi się rozmywać na stronie. W matowej, bladej, niebieskozielonej poświacie telewizora rana na dłoni wydaje się mniejsza, za to jakby bardziej zbita i poryta, niczym żywy, biologiczny odpowiednik Kamienia z Rosetty. Mimo to swędzenie z dnia na dzień staje się coraz intensywniejsze. Narasta i ogrania coraz większy obszar ciała, w podobny sposób, w jaki rośliny opanowały moje mieszkanie. Pochłania mi szpik kostny i czuję, jak infiltruje miejsce stanowiące schronienie mej duszy.

Tej nocy śnię o tym, że wszyscy ludzie są „czystą energią”. Obrazy w mym śnie przypominają te pochodzące ze starych telewizyjnych filmów o podróżach w kosmos - podróżach niemających być częścią naszej świetlanej przyszłości. Podróże wykonywane w tych filmach oparto na dykcie i kleju. To ograniczenia budżetu wymuszały używanie w nich czystej energii jako substytutu makijażu i prawdziwych kostiumów. Śnią mi się takie obcujące ze sobą żółte sfery światła. Obcujące umysł z umysłem, dusza z duszą. Śni mi się świat bez uprzedzeń, ponieważ żaden z ludzi nie posiada w nim ciała. Ciała mogącego kłamać otaczającemu nas światu na temat naszej natury, tego kim naprawdę jesteśmy.

W dniu, w którym moi rodzice zostawili mnie i wypłynęli w morze, zimowe niebo lśniło bielą porcelany na tle szarobłękitnej wody. Zimno drażniło mi palce rąk, wysuszając je. Mój ojciec zdjął rękawiczkę wykonaną z cielej skóry, by ująć moją dłoń; jego własna wciąż była spocona od ciepła panującego we wnętrzu rękawiczki. Ciężar masywnego, ciepłego ciała ojca zakotwiczał mnie na wietrze, kiedy tak szliśmy w kierunku przystani i oczekującej przy niej łodzi rodziców. Ponad masztami statku morskie ptaki o pulsujących czerwonych gardłach pozwalały się unosić i popychać powiewom wiatru, aż wydawało się, że już nie lecą, a jedynie nieruchomo tkwią w powietrzu.

Moja matka szła przy nas, silnie dociskając dłonią kapelusz do głowy. Poły jej płaszcz z baraniej skóry łopotały na wietrze, co rusz ocierając się o moją kurtkę. Roztaczała wokół siebie podążający jej śladem intrygująco świeży, czysty zapach, przypominający miętę albo wanilię. Gdy wciągałem go w nozdrza, zimno na krótką chwilę wycofywało się stamtąd.

- To nie potrwa długo - powiedział mi ojciec. Jego głos przedzierał się do mnie, zstępując w moim kierunku przez warstwy zimna i wiatru.

Zadrzałem i jeszcze mocniej ścisnąłem jego dłoń.

- Wiem.

- To dobrze. Bądź dzielny.

- Dobrze.

Matka dodała wtedy:

- Kochamy cię. Kochamy cię i chcielibyśmy, żebyś z nami popłynął. Ale to wyjątkowo długi i ciężki rejs, na którym nie ma miejsca dla małego chłopca.

Matka nachyliła się, by mnie pocałować, i poczułem na skórze policzka rozbłysk zimna. Ojciec przyklęknął, chwycił mnie za dłonie i zmierzył od stóp do głów swymi kamiennoszarymi oczami. Przycisnął mnie do siebie tak mocno, że zgubiłem się w jego wiatrowce, niemal zapadłem w jego klatce piersiowej. Czułem, jak drży, podobnie zresztą jak ja.

- Boję się - wyszeptałem.

- Nie ma powodu do obaw. Wkrótce wrócimy. Wrócimy po ciebie. Obiecuję.

Nigdy tego nie zrobili.

Z uśmiechem przymarzniałym do twarzy przyglądałem się, jak wchodzą na pokład. Mam wrażenie, że stałem na molo bardzo długo. Stałem i nie spuszczałem wzroku z ich wielkich, łapiących wiatr żagli, które powoli odsuwały moich rodziców w kierunku falowań horyzontu, aż na powiekach i ubraniu nawarstwiło mi się pełno płatków śniegu, a zimne powietrze zaczęło wgryzać się między łopatki.

Nie pamiętam, kto mnie stamtąd zabrał, ani też jak długo tak naprawdę tkwiłem tam w bezruchu. Nie jestem nawet pewny czy to prawdziwe wspomnienie, lecz trzymam się go kurczowo.

Później, kiedy już dowiedziałem się, że moi rodzice zginęli w katastrofie morskiej, kiedy zrozumiałem, co to oznacza, odnalazłem miejsce położone jak najdalej od morza, by tam właśnie osiąść.

## VIII

W biurze mam multum pracy, co pozwala mi zapomnieć o dłoni. Przez długie minuty wpatruję się we właśnie zapisane w notatniku zdanie:

*David opuszczał swe ciało.*

Co ono znaczy?

Odrzucam je, ale i tak nieprzerwanie unosi mi się gdzieś na peryferiach myśli, rozprasząc i uniemożliwiając dalszą pracę. Wreszcie przedziera się zdaniem opisującym smutek kobiety opuszczonej przez wybranka, która czuje, że wcale nie ubywa jej lat:

*Łka niekończącym się deszczem późnej zimy, bez namiętności czy chociażby nadziei na nadejście ulgi, gdyż pozostał jej ledwie szum powolnych łez.*

Kiedy je zapisuję, zaczynam płakać, a wstrząsające mym ciałem łkania wywołują ból gardła i pieczenie oczu. Moi współpracownicy spoglądają na mnie i wzruszając ramionami, wracają do pracy. Ale nie płaczę dlatego, że udało mi się stworzyć zdanie zbyt idealne i doskonałe. Płaczę, bo zawarłem w nim coś, czego nigdy nie powinienem był ujmować w żadnym zdaniu. Jakże mój klient mógłby wymagać ode mnie pisania takich rzeczy?

## IX

Emily odwiedza mnie podczas przerwy na lunch. Często przychodzi do mnie w ciągu dnia, lecz obecnie nocami nasze drogi nieustannie się rozmiągają. Czasem, jak sądzę, rozmyślnie.

Idziemy do tego samego parku co zawsze, ale tym razem oboje czujemy się w nim nie na miejscu, gdyż jesteśmy tam w mniejszości. Gdziekolwiek spojrzę, widzę karłów podążających na lunch, karłów prowadzących samochody, karłów naprawiających ławki parkowe. A każdy z nich jest niczym niepowtarzalną linią papilarną, każdy jest tak unikalny, że w porównaniu z nimi Emily zdaje się zupełnie przeciętna i bezbarwna.

- Coś się z tobą stało. - Mówiąc te słowa, spogląda mi w oczy, a ja odczytuję w nich pewną szczególną wrażliwość.

- Coś się ze mną stało. Zraniono mi dłoń.

- Tu nie chodzi o ranę. Chodzi o rośliny, które wymknęły ci się spod kontroli. Chodzi o nasz seks. O wszystko. Zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

Emily ma zawsze rację, zawsze jest tak precyzyjna, tak dokładna. Zaczynam już czuć zmęczenie całą jej doskonałością. Czuję, jak coś we mnie pęka.

- Nic nie rozumiesz - stwierdzam.

- Rozumiem, że nie jesteś w stanie wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności. Rozumiem również, że masz problemy z naszym związkiem.

- Pogadamy później - rzucam. Wstaję i odchodzę, zostawiając ją siedzącą na ławce, zdumioną, ze słowami zamartwionymi w gardle.

## X

Po lunchu odnoszę wrażenie, że wiem, gdzie leży moje sedno. Tajemnica tkwi w zdaniu, które mam stworzyć dla Davida Jonesa. A tkwiąc w tym zdaniu, równocześnie tkwi i we mnie. Ale nie chcę pisać niczego doskonałego. Po prostu nie chcę. Chcę tworzyć bez zabezpieczeń i hamulców. Chcę pisać ostro, prymitywnie, emocjami, które kłują, słowami, które zwisają nad bezdenną przepaścią. Chcę odnaleźć własną drogę prowadzącą mnie z powrotem nad morze, tam, gdzie mrok nocy powoli zapadał nade mną, a słony zapach wypełniał mi nozdrza. Chcę wrócić do chwili, która istniała, nim jeszcze dowiedziałem się o śmierci rodziców. Nim jeszcze się narodziłem.

David Jones odnalazł swój sposób. Jeśli człowiek wypije za dużo alkoholu, jego ciało zmusza żołądek do zwrócenia wlanego w siebie nadmiaru, nim ten osiągnie poziom śmiertelny. Jones nie zwymiotował. Podczas snu wypity alkohol powoli przeniknął do jego krwiobiegu, doprowadzając do śmierci.

Moje drżące palce chcą niedorzecznie gryzmolić, błędzić, przedzierać się i przetaczać

przez złożone pętle i ślepe uliczki języka. Bądź też brnąć w zdania samobójcze, wyrażające sentyment prowadzący od „niemal martwy” do „zdecydowanie nieżywy”. Zamiast tego zapisuję:

*Już od dnia narodzin David uczył się, jak opuścić swe ciało.*

Nie wydaje mi się, by zdanie to było jakoś szczególnie bliskie wielowarstwowej prozie. Nie ma w nim ani krzty jakiegokolwiek subtelności. Ale teraz mogę wreszcie poczuć uderzenia morskich fal i wabiący mnie smród owoców męczennicy.

Emily dzwoni, nim wychodzę do domu. Nie odbieram telefonu. Zbyt pochłania mnie poszukiwanie odpowiedzi na następujące pytanie: kiedy moi rodzice zaczęli sobie zdawać sprawę, że mogą zginąć? Kiedy dokładnie zaczęli myśleć o mnie, gdy wiatr i woda spiskowały, by zabrać ich ze sobą? Żałuję, że nie było mnie z nimi, że nie szedłem w ich ramionach na dno, kiedy woda wypełnia usta niczym ambrozja.

## XI

Kiedy otwieram drzwi do mieszkania, dochodzi mnie chrobot setek lepkich palców. Powierzchnia lodówki wibruje i drga mlecznobiałym ruchem na tle ciemnozielonych liści. W kolejnej sekundzie dostrzegam, że po krętym i wijącym się połyskliwym tańcu gekonów pozostała jedynie biała farba, gdy te, w doskonałym kamuflażu, rozbiegły się w poszukiwaniu kryjówek. Otwieram lodówkę i wyciągam z niej schłodzone wino. Moje stopy z chrzęstem deptają setki zalegających podłogę skór zrzuconych przez liniejące gekony. Dochodzący do mnie dźwięk przypomina ten wydawany przez zeschnięte liście lub kruche poczwarki cykad.

W samej bieliźnie siadam w fotelu i po raz kolejny w zbawiennej poświacie z ekranu telewizora uważnie przypatruję się swojej ranie. Zagoiła się niemal tak doskonale, że ledwie jestem w stanie ją dostrzec. Swędzenie natomiast nasiliło się i odczuwam je niemal wszędzie, w całym swoim wnętrzu. Moje zainteresowanie dłonią to zasługa jedynie owych wyjątkowo subtelnych niedoskonałości: gradacji kolorów, elastycznej chropowatości, zadrapań pozostawionych przez kota Emily.

Wchodzę do sypialni. Kładę się w leżącej na łóżku pościeli. Wyobrażam sobie wpadający przez okno powiew słonej morskiej bryzy. Gwiazdy przypominają odłamki poszczerbionego szkła i tylko czekają, by runąć w moim kierunku. Nie mogąc zasnąć, rzucam



się na łóżku. Leżę na brzuchu. Po chwili kładę się na boku. W pościeli, pod którą leżę, jest mi za gorąco, lecz kiedy ją zrzucam, zaczyna dawać mi się we znaki przenikliwy chłód. To, co wypilem przed godziną, zalega mi na żołądku niczym gładki, bolesny kamień.

Wreszcie zimno sprawia, że zapadam w półsen, w którym podpieram się sennie na poduszce. Z zewnątrz od strony okna dochodzą mnie odgłosy i błyski światła, mogące pochodzić od wznoszącego się i opadającego diabelskiego koła. Jednak nie wstaję.

A wtedy on pojawia się u stóp mego łóżka i stoi tam z wbitym we mnie wzrokiem. Zimna niebieska poświata otula jego ciało, jak gdyby przypalała go łuna ekranu telewizora. Marmurowy odlew jego twarzy jest niemal równie perfekcyjny jak większość najdoskonalszych zdań, które kiedykolwiek udało mi się zapisać w moim życiu. Jego oczy są tak smutne, że nie jestem w stanie spojrzeć mu w twarz, nie jestem w stanie napotkać jego wzroku. Ta twarz nosi w sobie ślad wszystkich przeżytych lat bólu, lat pragnień, by opuścić swe ciało. By pozostawić je za sobą. Mówi do mnie, a choć nie jestem w stanie go usłyszeć, wiem, co chce mi powiedzieć. Znow płaczę, tym razem łagodnie, cichutko, delikatnie. Głosy dobiegające z ulicy stają się coraz głośniejsze, a dźwięk dzwoneczków stopniowo niknie w ciszy.

Wtedy właśnie zrzucam ze swego wielkiego ciała swą wielką skórę, moje olbrzymie dłonie, mój niezgrabny wzrost, by u boku Davida Jonesa wyjść z tego mieszkania i dołączyć do karnawału, który nad brzegiem morza trwa w świetle księżyca. Gdzie nie jesteśmy w stanie nikogo zranić. I gdzie nikt również nie może zranić nas samych.

[Fragmenty artykułów pochodzą z doniesień prasowych Michaela Koretzky'ego, opublikowanych w „The Independent Florida Alligator”, oraz Ronalda DuPonta Jr. z „The Gainesville Sun”, 1988-1989].

# GLOSARIUSZ AMBERGRIAŃSKI

-A-

AANDALAY. Wyspa będąca mityczną ojczyzną aańskich plemion pirackich. Zgodnie ze snutą przez nie opowieścią, w zamierzchłych czasach Półkulę Południową zajmowała pojedyncza masa lądowa - Aandalay - zamieszкана wyłącznie przez szczęśliwe, miłujące pokój Dzieci Aan. Dopiero w wyniku wielkiego kataklizmu - którego istota z jednej opisującej go historii na drugą różni się bardziej niż pogoda w tamtym zakątku świata - rozpadła się ona na tysiące fragmentów, co wywołało u jej mieszkańców wojenne ciągotki, gdyż każdy z odłamów był święcie przekonany, że to na nim właśnie ciąży odpowiedzialność za poprowadzenie aańskich plemion ku zjednoczonej Aandalay. Co za tym idzie, piractwo zyskało usprawiedliwienie jako misja mająca na celu odzyskanie jedności ojczyzny. Niektórzy z Aańczyków zaatakowali nawet ląd kontynentu, upierając się, że jest on zaledwie olbrzymim odłamkiem powstałym podczas podziału ich ukochanej wyspy Patrz również: *kalendarz kalabriański*.

ABRASIS, MICHAEL. Pierwszy naczelny bibliotekarz Biblioteki Pamięci Manzikerta. Obecnie znany głównie dzięki nagromadzonym za życia zbiorom literatury i litografii o charakterze erotycznym. Po śmierci - do której doszło podczas snu - wyniesienie z mieszkania ciała Abrasisa okazało się początkowo zadaniem niewykonalnym z powodu olbrzymich stert pornografii blokujących jedyną drogę z łóżka do drzwi wejściowych. Do wyjątkowo zagadkowych kwestii należy tu fakt, że przybyli na miejsce krewni Abrasisa, chcący zabrać pozostawiony przez niego dobytek, zastali mieszkanie ogołocone do czysta. W wolnym czasie Abrasis zajmował się również hodowlą kababari, które dość często zdobywały najprzeróżniejsze laury w konkursach. Patrz również: *Biblioteka Pamięci Manzikerta; kababari*.

ALFAR. Ruiny. Nie licząc Zamilonu, jedyny znany przykład charakterystycznego stylu architektonicznego przypominającego budowle szarych kapeluszy. Większość znajdujących się w Alfara i Zamilonie obiektów stworzono w formie okręgów, zawartych wewnątrz innych okręgów. Wspomniane powyżej budowle są niewiadomego pochodzenia, lecz wśród miejscowych pasterzy (w obu miejscach) krąży jeszcze inna, osobliwa opowieść: otóż czasem

nocą Alfar i Zamilon lśnią opalizującym zielono-czerwonym blaskiem, rozprzestrzeniającym się i narastającym tak powoli, że początkowo obserwatorzy tego zjawiska nie są w ogóle w stanie wychwycić tych zmian, jednak koniec końców nie mogą wątpić świadectwu własnych oczu. Powyższe stwierdzenia nie zostały jeszcze niezależnie od siebie potwierdzone, nikt również nie wpadł na pomysł, by owe chwile pojawiania się i trwania „erupcji” koloru porównać ze sobą pod względem czasowym. Co też mogłoby wynikać z faktu, że oba miejsca jaśnieją dokładnie w te same noce? Patrz również: *Busker, Alan; Nysman, Michael; Zamilon.*

AMBERGRIAŃSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE. Kompletnie przeciwieństwo Towarzystwa Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta. Szczytem przygód, jakie kiedykolwiek dotknęły tę grupkę, okazała się niedogotowana flądra na jednym z ich corocznych balów, ewentualnie sporadyczne nacięcia skóry papierem (o, słodka, czerwona ulgo rozprasza ją chwile nudy!) przy otwieraniu korespondencji nadesłanej przez równie bezbarwnych nudziarzy zamieszkałych w Morrow czy Stockton. Patrz również: *Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta.*

AMBERGRIS. Ambra. Substancja, którą można znaleźć na brzegu morza. W miejscowym folklorze powszechnie uważana za „morskiego grzyba”. W rzeczywistości jest wytworem jelit wieloryba i powstaje w nich tylko wtedy, gdy w organizmie tego wielkiego ssaka znajdują się częściowo przetrawione dzioby kałamarnic. Od wieków poszukiwana przez wielorybników, gdyż używa się jej zarówno do produkcji perfum, jak i jako afrodyzjaku czy nawet ludowego leku. Jednakże od chwili założenia miasta jej popularność dramatycznie spada. Prędzion Truffidiański zarzucił swój zwyczaj namaszczenia przed świątecznymi kazaniami uszu, brwi i pach tynkturą ambry. Również i Kalif nie spożywa obecnie surowej ambry, mającej symulować jego męskie siły witalne, gdyż zastąpiły ją żywe ślimaki. Samce szczurów nieodmiennie jednak wpadają w szal chuci, gdy tylko wyczują jej zapach. Patrz również: *Kalif; szczur księżycowy; szczury.*

ARCYKSIĄŻĘ BANFOURS. Najbardziej znany z tego, że był pierwszym władcą, który doprowadził do ostrzału Ambergris kanonadą z armat, po czym rządził miastem dokładnie przez dwadzieścia jeden dni. Wtedy to bowiem arcyksięciu, siedzącemu w otoczeniu straży przybocznej w jednej z przyulicznych kawiarenek na świeżym powietrzu, jeden z kelnerów od niechcienia i bez najmniejszego problemu poderżnął gardło. Zabójstwo to wydaje się nie mieć żadnego szczególnego motywu, nie licząc pospolitej, tak głęboko zakorzenionej w mieszkańcach miasta wyjątkowej niechęci do natrętów z zewnątrz. Patrz również: *Okupacja.*

ARCYKSIĄŻĘ MALIDU. Dawno, dawno temu, gdy arcyksiążę Malidu był jeszcze małym chłopcem, zwykł torturować owady i niewielkie zwierzątka. Prowadził wówczas dzienniki, w których szczegółowo opisywał swe wyczyny i którym udało się przetrwać do naszych czasów (właśnie z powodu tych bardzo szczegółowych opisów stanowią dziś dość szczególne źródło zainteresowania dla wszelkiej maści zbieraczy owadów i wypychaczy zwierząt). Początkowo ojciec księcia przyklaskiwał jego pracowitości i pilności, przejawianej w prowadzeniu zapisków w dzienniku. Bez wątplenia miał jednak zgoła odmienne zdanie, gdy przeczytał na własne oczy - odrobinę jednak za późno - na stronie 203 następującą notatkę: „Przypis na później: ponad blankami murów obronnych nabita na włócznię zakrwawiona głowa mego ojca”. Patrz również: *myszolów słonowodny*; *Szare Plemiona*.

AUTARCHA NUNKU. Postać historyczna, najszerzej jednak znana - zarówno dzieciom, jak i dorosłym - jako radosny głupiec, bohater nunkowych wierszyków autorstwa Vossa Bendera, wśród których można odnaleźć chociażby następujące strofki: „Ten autarcha Nunku/Nie krzyczał - Ratunku!/Gdy moc słuszna go mroczyła/Na pysk padał w brudne wyra”, czy też: „Ten autarcha Nunku/Z hobby niegodnym szacunku/W śmieciach miłość jego wielka/Wszystkie kitrał do kuferka”. Niektórzy krytycy narzekali, że mniej znana osobistość niż Bender nigdy nie byłaby w stanie wydać tak banalnej częstochowszczyzny, lecz ilustracje Kinsky’ego, zdobiące zbiorowe wydanie tych dziełek, z nawiązką rekompensują wielce uproszczoną poezję. Zupełnie niedawno, w niewielkiej stercie papierów odnalezionych po śmierci Michaela Abrasisa i przekazanych Bibliotece Pamięci Manzikerta, archiwiści odkryli całkowicie od nich odstający zbiór nunkowych wierszyków, w swej treści wyraźnie bardziej skierowanych do czytelnika dorosłego, jak wskazują chociażby poniższe wersy: „Ten autarcha Nunku/Był mistrzem fechtunku/Lecz cierpła wszem skóra/Gdy kisił ogóra” (choć niektórzy historycy są święcie przekonani, że jest to jednak aluzja do jego jak najbardziej kuchennych umiejętności). Patrz również: *Abrasis, Michael*; *Bender, Voss*.

AZYL. Miejsce, zwykle kontrolowane przez Hoegbottona i Synów, gdzie znużony podróżny może szukać schronienia na czas Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic. Większość azylów ofiarowuje swym tymczasowym mieszkańcom drobne zestawy bezużytecznych produktów i informacji, których zadaniem jest złagodzenie ich przerażenia. W skład takiego pakietu wchodzi zazwyczaj mdłe i pozbawione smaku „opowiadanie” festiwalowe. Patrz również: *Verden, Lois*.

MONARSZY AZYL HOEBBOTTOŃSKI  
**Bulwar Albumuth 1048**  
**Ambergris**

Jakże drogi nam Gościu:

Witamy Cię równie gorąco w murach naszego starożytnego miasta Ambergris, jak i na naszym corocznym Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic! W ostatnich dekadach wkradł się do naszego Festiwalu także ekscytujący element nieprzewidywalności - przyklaskujemy więc zarówno Twojej odważnej i śmiałej decyzji wzięcia udziału w samym Festiwalu, jak również Twemu wspaniałemu wyczuciu w wyborze prowadzonego przez nas miejsca - Wybornego Hoegbottońskiego Azylu. Nasz Monarszy Azyl Hoegbottoński już od siedemdziesięciu pięciu lat nieprzerwanie zapewnia swej klienteli usługi z gwarancją najwyższej jakości\*. Wierzymy, że będziesz zachwycony własnym doskonałym wyborem - luksusowym Apartamentem Gigantycznej Kałamarnicy z niezliczonymi dodatkowymi udogodnieniami.

Jest nam również niezmiernie miło, że możemy przekazać Naszemu Szacownemu Gościowi następujące rzeczy, stworzone specjalnie w celu wzmocnienia jego festiwalowych doznań:

- Tradycyjną festiwalową broszurkę - jak co roku, Hoegbotton zlecił dla Twojej przyjemności stworzenie zachwycającej i niezapomnianej historii, osadzonej w tematyce festiwalowej. W tym roku sławni Sporlender i Verden połączyli swe siły, by stworzyć ją wspólnie, a efektem ich współpracy jest właśnie *Wymiana*, porywająca opowieść, która tylko zaostry Twój apetyt na nasz specjalnie przygotowany z okazji Festiwalu bufet.
- Wotywną świecę - jej perfekcyjna prostota czerpie wzornictwo ze świec wyrabianych za panowania założyciela Ambergris - Manzikerta I. Pierwotnie wykonywano je z mieszaniny grzyba i środka chemicznego, mającego odstraszać podziemnych mieszkańców miasta - szare kapelusze. Jej miękkość świadczy, że pełna ochrona całego Twego ciała nie jest nam obojętna. Polecamy Ci natarcie nią wszystkich odsłoniętych części anatomii.
- Kapsułę pamięci Porfala - nalegamy, by wszyscy nasi goście, nawet ci niezamierzający włączyć się ulicami naszego miasta podczas festiwalowej nocy, już teraz przeznaczyci krótką chwilę, by zapisać na skrawku papieru - zamkniętym później w kapsule - dane osobowe, zarówno swoje, jak i najbliższego członka rodziny, a wszystko to jedynie jako środek ostrożności. Bowiernie wyjątkowo nieliczna garstka gości znajduje później czas na podanie nam podobnych informacji.
- Dwa wysuszone grzyby - to wyjątkowo mało prawdopodobne, byś kiedykolwiek został zagoniony w róg ślepej uliczki i był zdany wyłącznie na łaskę szarych kapeluszy. Jednakże ci z naszych gości, którzy już znajdują się w tak niezręcznej sytuacji, mogą poczuć potrzebę spożycia podręcznej porcji trującego grzyba. Przenosząc się na tamten świat, nie poczujesz nawet najmniejszego bólu, wręcz przeciwnie - gdy to nastąpi, przeżyjesz niewyobrażalną wręcz rozkosz. (Drugi grzybek jest antidotum na pierwszy, to na wypadek nieoczekiwanego pozytywnego zwrotu wypadków).

Odpoczywaj więc, w pełni przekonany, że Twój spokój ducha leży nam głęboko na sercu. W razie jakichkolwiek pytań lub w nieoczekiwanej potrzebie natychmiastowej pomocy lekarskiej nie wahaj się skontaktować z nami, czy to w dzień, czy w nocy. {Czerwony dzwonek alarmowy zainstalowano dla Twojej wygody na nocnym stoliku tuż przy łóżku}.

Z wyrazami szacunku.

Kierownictwo

PS. kraty w oknach nie są tam zaledwie w celach ozdobnych; ich zamek winien być przez cały czas zamknięty.

\* z wyjątkiem siedemnastu lat, kiedy to pożary budynku wywoływały nasze gorące wysiłki związane z odbudową przybytku.

**EKSPONAT 1: REPRODUKCJA KLASYCZNEGO LISTU POWITALNEGO AZYLU,  
DOŁĄCZANEGO DO FESTIWAŁOWEJ OPOWIEŚCI SPORLENDERA VERDENA PT.  
WYMIANA.**

## -B-

BANKIERZY WETERANI. Sekta składająca się z najbardziej przerażających zwolenników Trilliana, zawdzięczająca swe powstanie rabunkom i napaściom, do których dochodziło na traktach. Rozwój klasy kupieckiej spowodował bowiem konieczność fizycznego transportu wielkich sum pieniężnych pomiędzy poszczególnymi miastami. Według zasad podobnym transferom każdorazowo musiał towarzyszyć przedstawiciel banku. Jednakże pierwsze próby nieodmiennie kończyły się katastrofalnie. Po wielu latach nieustających napaści na takie „przekazy pieniężne”, bądź też płacenia za to, by ich uniknąć, postać przedstawiciela banku powoli ewoluowała z popychacza papierkowej roboty do zaprawionego w bojach weterana. I kiedy dzięki systemowi bankowemu władzę w Ambergris przejął Trillian, przedstawiciele bankowi stali się potężną i budzącą przestрах profesją, słynącą ze swych usług ochroniarskich. To właśnie Trillian ochrzcił ich mianem Bankierów Weteranów, a następnie wykorzystał do konsolidacji swego panowania nad miastem. Mieli również zasługi w odpieraniu nieustannych ataków Kalifa. Jednakże koniec końców, gdy z ich szeregów wykluczono kobiety, zostali wchłonięci przez Ambergriańskie Siły Obronne. Kilka pań (w tym m. in. wybitna strateg Rebecca Gort, ekspertka w sprawach uzbrojenia Kathleen Lynch i mistrzyni szermierki Susan Dickerson) założyło własną sieć banków, wykupiło kilka pomniejszych spółek i przeniosło się do Morrow, by stworzyć tam rdzeń swej ochroniarskiej potęgi, budzącej największy przestрах i przerażenie na całym kontynencie. Zaś Ambergriańskie Siły Obronne wybito w pień podczas inwazji Kalifa. Patrz również: *Frankwrithe & Lewden; Gort, Marmey; Kalif; Okupacja; Trillian Wielki Bankier.*

BENDER, VOSS. Kompozytor oper, requiem, jak również form pomniejszych, któremu udało się przełamać własny status ikony kultury, został bowiem politykiem i nieoficjalnym władcą Ambergris. Jego podejrzana i budząca szereg wątpliwości śmierć wywołała wojnę domową pomiędzy Zielonymi, najbardziej fanatycznymi zwolennikami jego osoby, a Czerwonymi, najbardziej zagorzałymi przeciwnikami. Zasłynął bezczelną i prowokującą przemową skierowaną do baronów kupieckich, podczas której miał rzekomo wykrzyknąć: „Prawdziwa wartość pieniądza tkwi w sztuce!”. Spośród wielu jego oper należy wymienić m.in. *Tragedię Johna i Sophii, Króla w podziemiach, Hymny dla zmarłych, Zwiędnięci niczym kwiat* oraz prawdziwe arcydzieło - *Trilliana*. Napisał również autobiografię *Wspomnienia kompozytora*, dzieło zawierające szereg informacji o jego latach młodości. Patrz

również: *Autarcha Nunku; Czerwoni; Północ Munfore'a; Zieloni.*

BIAŁY POLTOŃSKI WIELORYB BICHORALNY. Najinteligentniejszy ze wszystkich ssaków wodnych, czczony przez Kościół Rybaka, ceniony również przez samych zoologów. Prócz tego posiadacz tak wielkiego mózgu, że aż przekrzywia mu czaszkę. Wieloryby te zawsze muszą pływać ukośnie, z głowami spoczywającymi na powierzchni wody i masywnymi płetwami ogonowymi bezustannie ubijającymi za nimi wodę. Gdyby przestały płynąć chociażby na chwilę, ich masywna głowa ściągnęłaby je na dno, doprowadzając tym samym do utonięcia. Z konieczności gatunek ten zmuszony jest szukać pożywienia na powierzchni wody. Patrz również: *Kościół Rybaka; ZOO Daffeda.*

BIBBLE, MAXWELL. Właściciel firmy zaopatrującej restauracje, który w wieku 35 lat zmienił profesję i został krytykiem sztuki. Jego specjalnością było tworzenie głębokich psychologicznych profili artystów, opartych tylko i wyłącznie na ich dziełach. Najbardziej znany z błędnych i niedorzecznych prób identyfikacji Martina Lake'a jako członka Kultu Kałamarnic. Przez pewien czas był jednym z najbardziej wpływowych krytyków kojarzonych z Nową Sztuką, mimo iż sami artyści tego nurtu niezbyt za nim przepadali. Dokonał swego żywota w ubóstwie, używając własnych recenzji, by podtrzymać płomień ogniska podczas jednego z dziwacznych i niespodziewanych napadów zimna, jakie zaatakowały Ambergris. Rzeźbiarz William Blaze wykonał gipsowy odlew ciała Bible'a, poobklejał recenzjami autorstwa krytyka, a następnie wystawił tak powstałe dzieło pod tytułem *Wycieńczenie krytycyzmu* - rozbudzając w ten sposób na nowo zainteresowanie pracami Bible'a. Patrz również: *Nowa Sztuka.*

BIBLIOTEKA PAMIĘCI MANZIKERTA. Przedziwnym jest fakt, iż założył ją nieudolny Manzikert III. On to bowiem położył kamień węgielny pod budynek mający, zgodnie z założeniem, pomieścić nieustannie rosnącą kolekcję przepisów i książek kucharskich. Od tamtego czasu biblioteka wciąż się rozrasta, mieszcząc obecnie w sobie pokaźny zbiór literatury pięknej, tajnych dokumentów oraz erotyki. Stanowisko Naczelnego Bibliotekarza ma równie często prócz bycia pozycją administracyjną konotacje polityczne, jak na przykład miało to miejsce podczas konfliktu Czerwonych z Zielonymi, kiedy to biblioteka stała się schronieniem dla manuskryptów dzieł muzycznych Vossa Bendera. Wzniesiona dokładnie w tym samym miejscu co słynna oryginalna „biblioteka” szarych kapeluszy, doświadczyła kilku z najdziwniejszych ataków „epidemii” grzyba, jakie kiedykolwiek wybuchły na terenie miasta w całej jego długiej historii. Patrz również: *Abrasis, Michael; Czerwoni; Frankwrithe*

*Lewden; grzyb; Zieloni.*

BIULETYN HISTORII NATURALNEJ. Skrajnie peryferyjna publikacja, umożliwiająca wielu skazanym na emigrację historykom przemówić pod bezpieczną przykrywką pseudonimu. Patrz również: *Lacond, James; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta.*

BLGKKYDKS, HECKIRA. Wojskowy przywódca Haragck, obecnie najlepiej znany z olejnych obrazów, pejzaży odległych krain. Ponieważ często malował podczas swych kampanii wojennych, jego płótna posiadają zwykle również pewną wartość historyczną. W nocy poprzedzającej wodno-ładowy atak Haragck na Ambergris ukończył szkice do dzieła wstępnie zatytułowanego *Ograbienie wora Ambergris*. W czasie późniejszego pogromu jego wojsk szkice te wpadły w ręce ambergriańskiej marynarki, a następnie przez dwadzieścia lat można je było oglądać w Muzeum Morhaimów. Wreszcie tak nieodparcie zauroczyły tam kupca Michaela Hoegbottona, że - już po tym, jak Haragck kompletnie stracili swą rangę, i to zarówno jako potęga polityczna, jak i kulturowa - ufundował on Blgkkydksowi roczny pobyt w Ambergris, mający umożliwić mu dokończenie na miejscu właściwych obrazów. Klepiący biedę, wiekowy już generał niechętnie wyraził na to zgodę, lecz po przybyciu na miejsce miasto zauroczyło go tak mocno, że dożył w nim kresu swych dni. Koniec końców stał się, ze swym pobrużdżonym starością obliczem i rozklekotanymi sztalugami, tak nieodłącznym widokiem na bulwarze Albumuth, iż zaczęto go nawet zaznaczać na ówczesnych mapach turystycznych miasta. Patrz również: *Grnnck, Haragcki chan; Muzeum Morhaimów.*

BRUEGHEL, MICHAEL. Wróg numer jeden Johna Manzikerta. To właśnie jemu udało się pod swym przywództwem wreszcie zjednoczyć wszystkie aańskie wyspy, mimo iż wielokrotnie był ledwie o włos od kompletnej porażki. W czasie swego pięćdziesięcioletniego panowania nie tylko trzykrotnie w ważnych historycznych bitwach morskich zmiotł z powierzchni ziemi wojska Kalifa, na zawsze obracając w perzynę ambicje tego władcy związane z kontynentem, lecz ustanowił również oligarchiczną formę rządów, która sprawnie i z wielkim sukcesem służyła Aańczykom przez trzy następne pokolenia. A chyba największym jego osiągnięciem było zgromadzenie pod swą egidą pozostałości po Imperium Saphanckim, a tym samym ocalenie i zachowanie dla przyszłych pokoleń jego naukowych i kulturowych zdobyczy, które w przeciwnym wypadku utracilibyśmy na zawsze. W późniejszych latach potomkowie Brueghela, nazywający się Brueghelitami, przejmą olbrzymie połacie lądu leżące wzdłuż brzegów Moth na południe od Ambergris, zagrażając



tym samym ambergriańskiej autonomii. Patrz również: *Imperium Saphanckie; kalendarz kalabriański; Kalif; myszolów słonowodny*.

BUBBABAUNCE, BARON. Prawdziwe nazwisko artysty cyrkowego znanego powszechnie pod pseudonimem Bauble. Patrz również: *Hellatose & Bauble; Kodfan, M.; Madnok, Frederick*.

BULWAR ALBUMUTH. Wyjątkowo słynna arteria przecinająca na wskroś samo serce Ambergris. Miejsce, gdzie mieści się zarówno Księgarnia Borges, jak i główna siedziba Hoegbottona i Synów. Od wielu lat bulwar jest świadkiem przyglądającym się w milczeniu wewnętrznym zasadom funkcjonowania Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic. Podczas zamieszek obywatelskich między Czerwonymi a Zielonymi służył im za główne pole boju. Z pewnością również nigdy nie doszłoby do niedawnych zbrojnych zmagania pomiędzy gałęzią wydawniczą Hoegbottona a wyjątkowo nieodgadnionym Frankwrithem & Lewdenem, gdyby nie wydarzenia, których pierwsza odsłona tu właśnie miała swe miejsce. Jeśli chodzi o pochodzenie słowa „Albumuth”, to nie ma tu najmniejszej nawet zgodności, podobnie jak nikt nie potrafi określić dokładnych granic zasięgu owej arterii. Jak to swego czasu stwierdził sam Sirin: „Podobnie jak rzeka Moth, bulwar Albumuth posiada tysiące podrzędnych dopływów i potoków, a co za tym idzie, któż byłby w stanie ostatecznie i precyzyjnie wytyczyć jego granice czy zakres wpływów?” Patrz również: *Czerwoni; Frankwrithe & Lewden; kapeluszerzy; Księgarnia Borges; Sirin; Zieloni*.

BUSKER, ALAN. Dość długo znany jako fanatyczny (i dosyć krytyczny) podróżnik przemierzający zarówno ziemie północy, jak i południa, choć równie dobrze mógł być szpiegiem Królestwa Morrow. Z pewnością w pewnym czasie jego podróże po miastach północy kończyły się katastrofalnie - zarówno Stockton, Belezar, Dovetown, jak i Trator krótko po jego odwiedzinach zostały przejęte przez Morrow. Najbardziej chyba znany z prób wkroczenia do Świętego Miasta Kalifa w przebraniu samego wielkiego władcy. Niektórzy historycy są przekonani, że spędził wiele miesięcy w Alfar i Zamilonie, a pozostałe podróże podejmował jedynie celem zapewnienia sobie przykrywki dla swej prawdziwej aktywności - zgłębiania powiązań między szarymi kapeluszami a mnichami z Zamilonu. Patrz również: *Alfar; Kalif; Stockton; Zamilon*.

CZERWONI. Grupa założona, by przeciwstawiać się interesom kompozytora, z powołania polityka, Vossa Bendera. Resztki Czerwonych dożyły kresu swych dni, prowadząc małą tawernę leżącą na obrzeżach Ambergris, w której odbywały się zawody w rzutkach. Patrz również: *Bender, Voss; Biblioteka Pamięci Manzikerta; Księgarnia Borges; Zieloni.*

## -D-

DAFFED, XAVER. Niedościągły obserwator zachowań zwierząt, którego reputacja w ostatnich latach została poważnie nadszarpnięta oskarżeniami, jakoby zbyt intymnie związał się z jednym z przedmiotów swych badań. Opublikował liczne książki poświęcone zwierzętom południowych stref klimatycznych, wśród których należy wymienić chociażby *Pamiętnik mrównika, Moje życie wśród piaskowych żółwi delty Moth, Historię zwierząt (tomy I-X) czy Hoegottoński przewodnik po miejscowych gatunkach niewielkich ssaków.* Odnaleziono go martwego - w wyniku oczywistego zawału serca - w górskich tropikach w pobliżu Nicei. Leżał tam ubrany jedynie w kosmaty kostium włochatej małpy, obserwowany z pobliskich krzaków przez kilka osłupiałych autentycznych włochatych małp. Patrz również: *Hoegottoński przewodnik po miejscowych gatunkach niewielkich ssaków; kababari; ZOO Daffeda.*

DROZD. Statek należący do ambergriańskiej marynarki, nad którym od początku ciążyło jakieś fatum. Wykonanie go zlecono za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera. W tamtych czasach statki, nawet te wykonane z dębowego drewna, łatwo ulegały gniciu wskutek stosowania odmiennego sposobu impregnacji i suszenia drewna, który tworzył dogodne warunki do rozwoju grzyba. Raporty wysyłane z dowództwa marynarki do samego Trilliana jasno stwierdzały, że „budowa i naprawa statków za pomocą zielonego drewna i gwoździ stwarza widoczne już na pierwszy rzut oka niebezpieczeństwa, bowiem upał panujący wewnątrz kadłuba w połączeniu z zielonością oraz sokiem roślinnym powodują niezwłoczny rozkład i gnicie, a tym samym konieczność ściągnięcia statku do doków naprawczych po upływie lat sześciu, choć powinien przetrwać lat dwadzieścia”. Tuż przed samym wodowaniem Drozda jeszcze bardziej dosadny raport stwierdzał, co następuje: „Deski w wielu miejscach rozsypały się w pył, a burty statku zasłaniała większa liczba łat, niż zwykle można było spotkać na okrętach wracających z morza po wielkiej bitwie. Ich ładownie nie były ani sprzątane, ani wietrzone, stąd (z powodu krat i zamknięcia ich luków i włazów)

przegrzewały się, a w efekcie pochłaniała je pleśń. Sam, własnymi rękoma, zebrałem rosnące tam muchomory, z których największy był równie wielki jak moje pięści”. Wbrew wszystkiemu, Drozda zwodowano, by pożeglował rzeką Moth w kierunku Nicei. W ciągu pięciu dni załoga zaczęła się uskarżać na swędzenie całego ciała. W ciągu dziesięciu dni statek pokryła tak gruba warstwa grzyba, że uwięziła załogę wewnątrz kadłuba, gdzie, chcąc przeżyć, ludzie musieli go spożywać, w efekcie czego sami zaczęli pleśnieć, a statek rozpadł się na kawałki i zatonął daleko od brzegu w dwudziestym dniu rejsu. Patrz również: *grzyb*.

## -F-

FESTIWAL SŁODKOWODNYCH KAŁAMARNIC. Obchody charakterystyczne dla Ambergris, które - od czasu do czasu - prowadzą do wielu nieprzewidzianych wypadków.

FRANKWRITHE & LEWDEN. Rodzinne wydawnictwo prowadzone przez L. Gaudy’ego, przebiegłe i potajemnie maczające palce w wielu działaniach. Znane z raczej zdradzieckich i podstępnych strategii rynkowych, oskarżane przez niektórych o współpracę z szarymi kapeluszami. Frankwrithe & Lewden powstało w erze zmierzchu Imperium Saphanckiego i - jak twierdzą jego właściciele - jest najstarszym nieprzerwanie istniejącym wydawnictwem na Południowym Kontynencie. Publikowane przezeń książki był 43-krotnie wpisywane przez Przedsona Truffidiańskiego Ambergris na indeks ksiąg zakazanych. Ostatnio, w związku z rozszerzeniem działalności na inne pola niż sprzedaż książek, wydawnictwo ogromnie zaangażowało się w wojnę z H&S, a powodem tych działań są kwestie wiążące się z prawami własności do Wyspy Sophii. Patrz również: *Bankierzy Weterani; Biblioteka Pamięci Manzikerta; Bulwar Albumuth; Imperium Saphanckie; Północ Munfroe’a; Wyspa Sophii*.

## -G-

GALERIA UKRYTYCH FASCYNACJI. Często uważana za okręt flagowy idei Nowej Sztuki. Po likwidacji Galerii ruch Nowej Sztuki utracił cały swój impet i w efekcie rozpadł się na szereg odłamów, w tym ruch Odnalezionej Sztuki, nurt Sztuki Ciała (entuzjastycznie przyjęty przez Żywych Świętych), czy też kontrowersyjny odłam Sztuki Cienia. Patrz również: *Nowa Sztuka; Sztuka Cienia; Żywi Święci*.



**EKSPONAT 2: LOUIS VERDEN: „WIDOK Z WYSPIY SOPHII  
NA FESTIWALOWY POKAZ SZTUCZNYCH OGNI”,  
OPUBLIKOWANE W „PŁONĄCYCH LIŚCIACH”;  
WYSTAWIONE W MUZEUM MORHAIMÓW,  
GALERIA „SŁYNNNE WIDOKI AMBERGRIS”.**

GLARING, MAXWELL. Autor *Północy Munfroe'a, Problemu z Krotchem, Powrotu Munfroe'a, Krotch kontratakuję, Odrodzenia Munfroe'a, Odrodzenia Krotcha, Triumfu Krotcha, Dziedzictwa Munfroe'a, Świata Krotcha, Syna Munfroe'a, Przyczółka Krotcha, Świata bez Krotcha, Dziedzictwa Krotcha, Syna Munfroe'a II, Krotch i Munfroe: zagubione dzienniki* oraz - wydanego już pośmiertnie - *Kresu dziedzictwa Krotcha i Munfroe'a*. Patrz również: *Bender, Voss; Krotch; Munfroe; Północ Munfroe'a*.

GORT, MARMEY. Gort skrupulatnie prowadził drobiazgowo zapisy dotyczące sanitarnych przyzwyczajień mieszkańców miasta, opisując tam także te związane z przechowywaniem odpadków. W jego typowym wpisie można wyczytać: „Obiekt Z - wzrost użyt. pozadom.: przec. 7x dziennie (po 5 min); uwaga: produkcja śmieci wzrosła do 3xtyg.: powiąz.?” Zdołał nawet wyśledzić zwyczaj szarych kapeluszy związane ze zbieraniem miejskich śmieci, co doprowadziło go do wniosku, że jeśli zużywają oni tak olbrzymie ilości śmieci jako pożywienie czy nawóz konieczny im do upraw, to w takim razie ich skryta pod Ambergris populacja mogła przekroczyć nawet trzysta tysięcy. Nikt go jednak nie słuchał. Nikt bowiem nie lubi złych nowin. Ale sam Gort nie dbał o to, że nikt go nie słucha - nieprzerwanie kontynuował swe badania, by w chwili śmierci w wieku siedemdziesięciu lat pozostawić po sobie przeszło sześć tysięcy stron podobnych obserwacji. W późniejszym czasie Kalif wykorzysta jego dzienniki, by z powodzeniem zająć Ambergris. Patrz również: *Bankierzy Weterani; grzyb; Okupacja*.

GRNNCK, HARAGCKI CHAN. Odpowiedzialny za przeprowadzony podczas Ciszy nieudany wodno-lądowy atak na Ambergris. Posiadacz złożonych i niezbyt zrozumiałych gustów. Absolutnie bezwzględny, niemający sobie równego na polu sztuki oszustwa, był równocześnie bezbrzeżnie rozkochany w żabach i wszystkim, co z nimi związane. Najprawdopodobniej posiadacz największej na świecie kolekcji sztuki poświęconej żabom, od obrazów po rzeźby w kamieniu i drewnie. W młodości wyrwany z południowych bagien i siłą przyłączony do armii Haragck, najeźdźców jego odległej ojczyzny, szybko jednak awansował w ich szeregach, aż wreszcie dzięki niespotykanemu wręcz uśmiechowi losu udało mu się pokonać w walce samego chana, dzięki czemu mógł zająć jego miejsce. Bez wątplenia właśnie to zamięłowanie do żab, pozostałość z czasów młodości, której nie miał zamiaru się wyrzec, okazało się przyczyną jego upadku i zguby. Któż bowiem mógłby żywić jakiegokolwiek wątpliwości, że to właśnie owo zamięłowanie podsunęło mu i uczyniło tak atrakcyjnym w jego oczach pomysł wodno-lądowej inwazji na Ambergris? Patrz również:

*Blgkkydks, Heckira.*

GRZYBY. Rodzaj rozmnażającej się dzięki sporom „rośliny”, zwykle raczej dość nieszkodliwej. Jedno z ulubionych słów Samuela Tonsure’a, dość często pojawiające się w jego dziennikach; częstotliwością ustępuje jedynie takim słowom jak „i”, „to”, „że”, „krew” oraz „przerażenie”. James Lacond, podpierając się dowodami odkrytymi w nieprzebranych notatkach pozostawionych nam przez Marmeya Gorta, wysunął postulat, jakoby szare kapelusze wyhodowały tuż pod południową częścią miasta gigantyczną grzybnię. Według Laconda grzybnia, o której mowa, rozpoczęła swe życie od zaledwie jednej spory, lecz wykorzystując swe czarne, sznurówkowate włókna, rozprzestrzeniła się i mając obecnie około metra grubości, pokrywa jakieś 2 tysiące akrów powierzchni. Lacond, zaznaczając na mapie skupiska złotych grzybków pojawiających się na powierzchni po opadach atmosferycznych, fizyczną manifestację „Monstrum” - jak ochrzcił ów podziemny organizm - wyrysował budzący wiele kontrowersji zarys obszaru zajmowanego przez podziemną grzybnię, uderzająco podobny kształtem do znanych nam grzybów naziemnych (praca, o której mowa, jest obecnie wystawiana w Muzeum Morhaimów). Według Laconda wiele z rosnących w mieście drzew w rzeczywistości może być tylko wydrążonymi i pustymi w środku łupinkami o wnętrzu opanowanym przez grzybowych szpiegów. Nie proponuje on jednak żadnej teorii tłumaczącej ewentualną celowość istnienia tak olbrzymiej grzybni, czy to będącej diabelską groźbą, czy też przynoszącej miastu jakieś korzyści. Patrz również: Gort, *Marmey*; *kababari*; *Lacond, James*; *Monstrum*; *Muzeum Morhaimów*; *Wydziedziczeni*.

## -H-

HELLATOSE & BAUBLE. Mimo iż istnieli naprawdę, ta składająca się z człowieka i kałamarnicy trupa cyrkowa sięgnęła szczytu popularności jako komiks autorstwa (zarówno rysunki, jak i scenariusz) odludka M. Kodfana. Patrz również: *Kodfan, M.*; *Madnok, Frederick*.



**EKSPONAT 3: ORYGINALNY PANEL SŁYNNEGO  
KOMIKSU M. KODFANA, PUBLIKOWANEGO  
W „DZIENNIKU AMBERGRIS”; WYSTAWIONE  
W MUZEUM MORHAIMÓW, GALERIA „ILUSTRACJE”.**

HOEGBOTTON, HENRY. Bliski przyjaciel i wspólnik.

HOEGBOTTON, RICHARD. To właśnie dzięki jego staraniom klan Hoegbottonów po kilku falstartach założył wreszcie w Ambergris swój przyczółek. Potrzeba było dwudziestu lat, by Richard Hoegbotton stał w proch swego głównego konkurenta, Slattery’ego & Ungdoma, i zapoczątkował sieć handlową, obejmującą obecnie swym zasięgiem obszar rozciągający się od Wysp Południowych aż po ziemie należące do Skamoo. Patrz również: *Hyggbouttenowie*.

HOEGBOTTOŃSKI PRZEWODNIK PO MIEJSCOWYCH GATUNKACH NIEWIELKICH SSAKÓW. Wyczerpujący przewodnik po fascynującej różnorodności miejscowych gatunków niewielkich ssaków, jakie można napotkać w południowych strefach klimatycznych, zawierający m.in. małpiatki, nietoperze fałdowargie i szczury księżycowe. Długawy i wyjątkowo dramatyczny rozdział poświęcono tu tańcom godowym małp włochatych;

fragment ten już od dłuższego czasu uważany jest za wyjątkowo ekscentryczny klasyk. Patrz również: *Daffed*, *Xaver*; *kababari*; *Księgarnia Borges*; *szczur księżycowy*; *Trillian Wielki Bankier*.

HYGGBOUTTENOWIE. Klan wędrownych jeźdźców, pochodzący z leżących na dalekim zachodzie okolic Nysimii. Choć sami byli bezlitośni, zostali jednak przegnani na wschód przez jeszcze bardziej okrutnych i brutalnych Haragck. Hyggbouttenowie wymusili następnie na pokojowo nastawionych ludach Yakudy opuszczenie zamieszkiwanej przez nich doliny, przyswajając sobie niektóre z ich rzemiosł (w tym m.in. tkactwo). Kiedy armie Kalifa pozbyły się Haragck z ziem swego Imperium, uwagę skierowały na dolinę Yakuda, niszcząc w roli siły politycznej i kulturowej Hyggbouttenów wraz z podległymi im plemionami. Ocaleńcy salwowali się ucieczką na zmrożone ziemie północy, w efekcie czego w miejscach takich jak Urlskinder, Morrow czy Nicea udało im się zasymilować ze wschodnimi społecznościami. Niektórzy członkowie zmienili wtedy nazwisko na brzmiące bardziej wschodnio „Hoegbotton” i z biegiem czasu to właśnie ich potomkowie, w tym między innymi Richard Hoegbotton, mieli stworzyć imperium handlowe znane obecnie jako Hoegbotton i Synowie. Hyggbouttenowie słynęli głównie z talentu do poskramiania i tresury koni oraz ze złożonych rytuałów pogrzebowych. Ich przywódcy byli po śmierci obdzierani ze skóry, po czym usuwano im z trzewi organy wewnętrzne, by dokonać mumifikacji. Kapłani oczyszczali pozostały szkielet i ciało, rozkładając je do wysuszenia na ściółce. Na skórze stosowano wówczas środek konserwujący, a artysta klanu tatuował na niej sceny wyczynów, jakich za życia dokonał zmarły przywódca. Zmumifikowane organy wkładano wreszcie z powrotem do wnętrza wysuszonego szkieletu, po czym na kości i wykrzywioną w krzywym uśmiechu czaszkę naciągano skórę. Kolejną fazą pochówku była rytualna rzeź koni przywódcy, jego sług i małżonki. Konie przeistaczano wtedy w duchy bestii, doczepiając im rogi do głów oraz kreśląc święte symbole na skórze. Hyggbouttenowie wykopywali następnie olbrzymi dół, na dnie którego stawiano mały domek, wokół niego zaś sadzono krzewy i drzewa, aż wreszcie umieszczano w jego poszczególnych pomieszczeniach ciało przywódcy, jego martwe konie, służbę oraz współmałżonkę. Po tym wszystkim następował dziesięciodniowy okres żałoby, po którym wreszcie zasypywano dół, zakopując tym samym zarówno sam dom, jak i ciała. Następnie oczekiwano kolejne dwa tygodnie, by wreszcie postawić na powierzchni budynek identyczny z zakopanym, i to dokładnie nad tamtym. Nowy dom wypełniano małymi otoczkami, dostarczonymi przez jeźdźców z pobliskiego morza czy rzeki, które wewnątrz budynku ostrożnie i delikatnie umieszczały dziewice, które nie mogły mieć więcej niż



osiemnaście wiosen. Gdy dom był już wypełniony kamykami, hyggboutteński kapłan konsekrował ziemię, a budynek przykrywano namiotem zszytym przez tuzin hyggboutteńskich kobiet. Najstarszy syn lub córka przywódcy podkładali wówczas ogień pod materiał namiotu, a płomienie pochłaniały drewniane belki domu, pozostawiając po sobie jedynie kupkę okopconych kamieni. Każdy członek klanu musiał wziąć wtedy po jednym, i to jeszcze gorącym, kamyku - co miało uświadomić mu ból doznanej straty - i nosić go ze sobą przez kolejne sześć tygodni, po skończeniu których wymagano od nich zakopania noszonego kamienia w miejscu aktualnego noclegu. Następnie każdy członek klanu musiał wystrugać kijek na podobieństwo „zwierzęcia siły” nieżyjącego przywódcy i wbić go w ziemię, znacząc tym samym miejsce spoczynku kamienia. Jeśli klan powrócił po roku w to samo miejsce i nie zdołano tam odnaleźć wszystkich kamieni, członkowie byli zobligowani do powrotu w miejsce pochówku i wzniesienia tam kolejnego domu wypełnionego kamieniami, dokładnie w tym samym miejscu co uprzednio zniszczony. Później należało uszyć kolejny namiot i powtórzyć cały rytuał. W okresie, gdy Hyggbouttenów rozpędzały wojska Kalifa, porzucili oni swe rytuały najzwyczajniej z braku czasu koniecznego na ich kultywowanie. Patrz również: *Hoegbotton, Richard*.

## -I-

IBONOF, IBONOF. Heretyk, nazywany swego czasu po prostu Ibonof. Był członkiem Kościoła Truffidiańskiego. Ekskomunikowany po ujrzaniu wizji, w której objawił się samemu sobie, ogłaszając się „bogiem”. Resztę życia spędził, widząc podwójnie i rozmawiając z samym sobą.

IMPERIUM SAPHANCKIE. Imperia bywają różne, to jednak sprawia, że zasięg władzy Kalifa jawi się nam wyjątkowo żałośnie. Imperium Saphanckie przetrwało około piętnastu wieków, a w okresie największego rozkwitu objęło swym zasięgiem przeważającą część dwóch kontynentów. Jego władcy, wybierani przez oligarchów, cechowali się niesamowitą wręcz umiejętnością łączenia negocjacji z bezlitosną siłą zbrojną, co miało na celu konsolidację podbitych przezeń terenów. Scentralizowana stabilność Imperium, jak i niespotykany wcześniej rozkwit sztuki i obfita fala nowinek technologicznych, zagroziły przekształceniem Imperium we wręcz wieczną i nienaruszalną organizację. Jednak seria wsobnych, słabowitych władców, w połączeniu z nieustannymi osłabiającymi atakami

aańskich klanów pirackich na ich transporty morskie, doprowadziła koniec końców do rozpadu Imperium na pięć części. Główny doradca ostatniego Imperatora, Samuel Lewden, zrobił wszystko, co w jego mocy, by utrzymać scentralizowaną władzę, lecz pięć wspomnianych wyżej części przeistoczyło się wkrótce w trzysta autonomicznych regionów, z których każdy rychło rozpadł się na kilka pomniejszych królestw. Aż wreszcie z dni świetności pozostały tylko odległe kulturalne echa unoszące się nad ziemiami niegdyś ogromnego Imperium. Zainteresowanych szerzej tematem odsyłam do jedynej wspaniałej książki Mary Sabon *Saphanckie dziedzictwo*. Patrz również: *Frankwrithe & Lewden; Pływający psychiatrzy; Sabon, Mary*.

INSTYTUT RELIGIJNOŚCI. Patrz: *Religijny Instytut w Morrow*.

## -J-

JERSAK, SIMON. Nadzwyczaj aktywny społecznie osobnik, który z biegiem lat stał się znany ze śmiesznych i niezwykle wnikliwych broszurek traktujących o zbieraniu podatków i poborcach podatkowych. Słowa zwyczajowo przypisywane Sirinowi: „Dni, gdy opodatkowanie stanie się czymś pięknym” w rzeczywistości napisał właśnie Jersak. Jego rady, skierowane do zwykłych obywateli, zwykle skrzyły się od lakonicznej satyry: „Gdy znużony podróżnik przybywa wreszcie do wąskiej górskiej przełęczy, zaskakuje go tam nagle stający mu przed oczami widok poborcy podatkowego, siedzącego wysoko w górze niczym istota nie z tego świata”. Patrz również: *Sirin*.

JONES, STRETCHER. Kowal i poeta urodzony w Thajad, południowej prowincji Imperium Kalifa, który stał się przywódcą tłumu. Sprowokowany do walki dokonywanymi na biednych grabieżami - i to zarówno przez truffidiańskich księży, jak i przez wojska Kalifa - zgromadził armię wyniszczonych i złupionych pobratymców, w wyniku czego na pewien czas udało mu się przejąć południowy obszar Imperium Kalifa. Wspaniały taktyk, obdarzony równocześnie wyjątkowo delikatną duszą, którego udziałem stała się wyjątkowo tragiczna historia, zbyt długa, by ją tu przytaczać. Gdyby tylko Stretcher Jones odniósł zwycięstwo, poprowadziłby nas wszystkich ku lepszej przyszłości. Wciąż bowiem istnieją na tym świecie ludzie niezmiennie trzymający się wyznawanych przez niego ideałów. Swą najświetniejszą przemowę, będącą równocześnie najkrótszą, skierował z żądaniem sprawiedliwości do

satrapy Thajadu:

„Czuję, że człowiek może być szczęśliwy na tym świecie. I jestem przekonany, że otaczający nas świat jest światem wyobraźni i wizji. Sam to wszystko dostrzegam, ale równocześnie bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, że nie każdy widzi podobnie. W oczach poborców podatkowych sel jest piękniejszy od słońca, a w wytartym mieszkach kryją się dla nich o wiele piękniejsze proporcje niż w wijących się pędach winorośli, które uginają się pod ciężarem winnych gron. Do oczu waszych żołnierzy łzy radości sprowadza przelewana krew, a te same łzy popłyną u innych jedynie na widok drzewa brzemiennej owocami. Niektórzy w naturze ludzkiej dostrzegają jedynie śmieszność, deformację i ułomność, a ja z pewnością nie będę dostosowywał własnego poczucia proporcji do takich właśnie ludzi; niektórzy w ogóle pozbawieni są zdolności czynienia jakichkolwiek spostrzeżeń na temat natury człowieka. Lecz w oczach czystych i uczciwych nigdy tak nie jest. Człowiek postrzega otaczający go świat zależnie od tego, jaki sam jest w środku. Wraz z kształtowaniem się oka powstają jego moce. Z pewnością nie miałeś racji, twierdząc, że takie wizje są kaprysem i nie ma na nie miejsca na tym świecie. Dla mnie otaczający nas świat winien być jedną nieprzerwaną wizją dobra”.

Patrz również: *Masouf; myszółów słonowodny; Nadal, Thomas; olifant.*

## -K-

KABABARI. Parszywie cuchnące świnie o długich ryjkach, grzebiące w ziemi i żywiące się grzybem, odegrały przewodnią rolę w detronizacji władcy Ambergris, Trillian Wielkiego Bankiera. Patrz również: *grzyb; Trillian Wielki Bankier.*

KALENDARZ KALABRIANSKI. Cud niewydajności i nieefektywności, w którym za liczbę dni w roku przyjęto szacunkową liczbę różnorodnych wysp, na które rozpadła się Aandalay. Nazwy miesięcy pochodziły od niemal niemożliwych do wymówienia przydomków dawnych aańskich przywódców, lecz zmieniały się za każdym razem, gdy starzy władcy ustępowali, a nowi dochodzili do władzy, co spowodowało, że wiele aańskich miast musiało powołać specjalne stanowiska „określaczy miesięcy”, których jedyną funkcją było rozplątywanie niesamowicie pogmatwanych węzłów nazwisk i przydomków. Wszystko pogarszał jeszcze

fakt, że każda z aańskich grup na różnych wyspach zaczęła nazywać swe miesiące zupełnie inaczej. Tym samym tabele tworzone przez owych określaczy stawały się coraz misterniej złożone, aż często w swej złożoności przebijały tablice używane przez matematyków czy też kartografów. Przydział poszczególnych dni i miesięcy wywołał kilka wojen, w tym również słynną Wojnę Trzydniowego Weekendu, która pozostawiła po sobie ponad dziesięć tysięcy ofiar, już po wsze czasy niezdolnych cieszyć się choćby zaledwie jednodniowym weekendem. Wreszcie za panowania Michaela Brueghela zjednoczeni Aańczycy porzucili kalendarz kalabriański na rzecz kalendarza Kalifa, opartego zresztą na dawnym kalendarzu Imperium Saphanckiego. Tysiące określaczy miesięcy musiało sobie poszukać nowych zajęć, lecz ich kolorowe diagramy po dziś dzień spoczywają w zbiorach wielu prywatnych bogatych kolekcjonerów sztuki, a największy z nich wciąż można podziwiać w Muzeum Morhaimów. Patrz również: *Aandalay; Brueghel, Michael; Muzeum Morhaimów*.

KALIF. Każdy z osiemdziesięciu anonimowych, rządzących bezpośrednio po sobie władców wielkiego, rozciągającego się na zachodzie Imperium. Znany z podejmowania *incognito* wielkiego ryzyka. Często uśmiercany w dość dziwacznych okolicznościach, których natura jest równie makabryczna, jak komiczna. Jedną z najbardziej absurdalnych teorii wysuniętych przez historyczkę Mary Sabon głosi, że Samuel Tonsure był działającym *incognito* Kalifem. Z biegiem czasu naukowcy Kalifa wynaleźli między innymi tak nowoczesne udogodnienia jak mikroskop, pistolet, telefon oraz tarka do sera. Patrz również: *Ambergris; Bankierzy Weterani; Brueghel, Michael; Busker, Alan; Kucharze z Kalay; myszołów słonowodny; Nadworny Genealog*.

KAMPANIA OBYWATELA RYBY. Praktyczny żart, zaprezentowany podczas świątecznych elekcji (odbywających się co dekadę) przez pisarza Sirina. Miał on na celu próbę zastąpienia ówczesnego Przesiona Truffidiańskiego śmierdzącym słodkowodnym okoniem, martwym zresztą od pięciu dni. Sirin i jego przyjaciele z ruchu Nowej Sztuki stworzyli plakaty wyborcze, przedstawiające martwego okonia, a następnie wygłaszali w jego imieniu płomienne przemowy rozpalające tłumy i paradowali po całym Ambergris z wożonym na wózku kandydatem. Kiedy zdechła ryba zajęła w wyborach drugie miejsce (na ośmiu kandydatów, i to na dodatek jako kandydat odręcznie dopisywany na kartach do głosowania przez samych wyborców), Sirin i jego kohorta musieli na jakiś czas zniknąć z miasta w związku z kierowanymi pod ich adresem pogrozkami fizycznej przemocy. Wśród urażonych ich działaniami znaleźli się m.in. truffidiańskie kapłaństwo i Kościół Rybaka (który uznał, że

prawdziwym celem działań grupy Sirina było wystawienie na pośmiewisko ryby, traktowanej przezeń jako świętość). Patrz również: *Kościół Rybaka; Nowa Sztuka; Sirin*.

KAPELUSZERCY. Osobnicy najmowani do oczyszczania podziemnych kanałów ściekowych. Profesja ta wymagała zarówno stalowych nerwów, jak i sprytu, a wszystko przez wielkie prawdopodobieństwo napotkania na swej drodze szarych kapeluszy. Najniebezpieczniejszym obowiązkiem kapeluszerców było toczenie olbrzymiej metalowo-drewnianej kuli wzdłuż prostej głównego kanału ściekowego, biegnącego zresztą mniej więcej wzdłuż całej długości bulwaru Albumuth. Kulę (nazwaną „Monstrum”, kolejny z wynalazków opracowanych przez Porfała) toczono, by usunąć ze światła głównego kanału wszystkie napotkane na drodze przeszkody. Od czasu do czasu toczący kulę ze zdumieniem odkrywali częściowo zmiążdżone, lecz wciąż śmiertelnie niebezpieczne kawałki grzyba bądź szarego kapelusza. Ludzi stojących na czele zespołów kapeluszerców nazywano „martiganami”. Patrz również: *Bulwar Albumuth; Martigan, Red; Monstrum; Porfał*.

KAROLINA Z KOŚCIOŁA SIEDMIORAMIENNE} GWIAZDY. Heretyczka z Nicei, która porzuciła Kult Siedmiobocznej Gwiazdy i powołała do życia własną religię. W przeciwieństwie do kultu Siedmiobocznej Gwiazdy, założony przez nią Kościół Siedmioramiennej Gwiazdy wierzył, że Bóg posiada raczej - podobnie jak ich święty symbol - siedem kątów, a nie siedem boków. Co za tym idzie, należało raczej czcić cele samorealizacji, symbolizowane przez ostre szpice ramion gwiazdy, a nie samą podróż w kierunku owej samorealizacji, symbolizowaną przez krawędzie. Do konkretnych celów, przy których obstawała, należało zaliczyć celibat (podczas ściśle określonych okresów w roku, o ile tylko było to absolutnie konieczne), prawdomówność, piękno, samorealizację, poczucie własnej wartości, umiłowanie innych ludzi oraz należytą higienę osobistą (która w niektórych przekładach świętych pism była dosłownie wyrażana jako „negacja cielesnego odoru przez mydlane immersje”). Wyznawcy Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy używali ostro zakończonych mieczy, które jednak pozbawione były ostrych krawędzi, podczas gdy członkowie Kultu Siedmiobocznej Gwiazdy używali mieczy o ostrych krawędziach, pozbawionych natomiast ostro zakończonych szpiców. Niestety, w większości potyczek, do których dochodziło na ulicach Nicei, ostre krawędzie okazywały się o niebo lepsze od ostrych szpiców, a co za tym idzie, zwolennicy Karoliny zostali zmuszeni do popełnienia świętokradztwa i przerwania się na ostre krawędzie, gdyż jedyna inna dostępna im opcja sprowadzała ich do roli karmy dla wszędobylskich myszołowów słonowodnych. Udowodniło

to w dosyć dobitny i - jak można by stwierdzić - ostry sposób celowość i sens używania podobnych krawędzi. Patrz również: *Mikal, Dray; myszolów słonowodny*

KODFAN, M. Autor popularnego komiksu *Hellatose & Bauble*. Redaktorzy gazet, w których drukowano jego szkicowane piórkiem błazeństwa - równie chętnie pochłaniane przez dzieci, jak dorosłych - nigdy nie widzieli go na oczy. Jeden z nich wspomina: „Każdego trzeciego dnia tygodnia przybywał do naszego biura posłaniec, zwykle z jakichś nieokreślonych powodów na monocyklu. Za każdym razem był to inny człowiek, być może dlatego, że wyjątkowo trudno nauczyć się jeździć na monocyklu. Samego Kodfana nigdy nie widziałem. Gdy pewnego razu spytałem posłańca wprost o wygląd rysownika, ten odparł mi, że Kodfan wygląda na „zakapturzonego”. Gdy dopytałem, co też do cholery ma na myśli, odparł, że Kodfan ma kaptur na głowie. Nigdy nie udało mi się poznać żadnego szczegółu dotyczącego jego postaci, z takim tylko małym wyjątkiem, że przepadał za kałamarnicami. Pewnego razu posłaniec nie przybył. I nigdy od tej pory nie otrzymałem już żadnej, choćby najkrótszej wiadomości od Kodfana. To wtedy właśnie musieliśmy nająć do rysowania komiksu tego dziwaka Verdena. Lecz nigdy już nie było tak samo - Verden bowiem nieustannie dążył do tego, by Hellatose ze swadą perorował o strattonizmie. Wreszcie musiałem położyć temu kres i zaprzestaliśmy publikacji komiksu. Wtedy to właśnie zacząłem miewać te mechate sny, ale to już jest z zupełnie innej beczki”. Patrz również: *Hellatose & Bauble; Madnok, Frederick; strattonizm; Verden, Louis*.

KOŚCIÓŁ RYBAKA. Czciociele ryb, wstrzymujący się od spożywania „naszych wodnych braci”, lecz osiągający religijną ekstazę w akcie wyłapywania ich, a następnie wypuszczania na wolność. Choć biały poltoński wieloryb bichoralny nie jest rybą, a ssakiem, ograniczeni w znajomości biologii wyznawcy tej religii właśnie z niego uczynili centralny obiekt swego życia duchowego. Najwyższy Kapłan, zwany również Rybią Głową, wygłasza kazania, stojąc na wykrzywionym marmurowym ołtarzu wyrzeźbionym na kształt i podobieństwo głowy wieloryba. W późniejszym czasie wyznawcy Kościoła Rybaka wplątali się w cały szereg przestępstw, poczynając od kradzieży martwych ryb ze straganów, które później wypuszczali w odmęty Moth, aż po uwolnienie białych wielorybów z ich ekspozycji w ZOO Daffeda. Patrz również: *biały poltoński wieloryb bichoralny; Kampania Obywatela Ryby; ZOO Daffeda*.



**EKSPONAT 4: ORYGINALNY SZKIC OŁÓWKIEM PANELU KOMIKSU „HELLATOSE I BAUBLE”; WYSTAWIONY W MUZEUM MORHAIMÓW, GALERIA „ILUSTRACJE”.**

KRETCHEN, ŁOWCA SZARYCH KAPELUSZY. Mniej więcej w okresie Ciszy zaczęły się szerzyć plotki o człowieku, który pod osłoną mroku, tajemnicy i czegoś wyjątkowo modnie czarnego ze srebrną podszewką schodził do podziemi, by zabijać szare kapelusze. Niektórzy powiadali, że jest nim kierowany żądzą zemsty kuzyn Red Martigana. Inni, że mężczyzna ów jest po części szarym kapeluszem, szukającym jedynie swej rodzicielki. Niezależnie od tego, jaka była prawda, Kretchen nigdy nie zadał sobie trudu wychylenia się z cienia na wystarczająco długą chwilę, by skłonić się obserwującej go publice, w związku z tym historycy umiejscowili go w czyścicu określanym mianem „możliwe, lecz niezbyt prawdopodobne”. Kapeluszerzy natomiast uznali go za swego świętego patrona, wystawiając w podziemiach „strachy na szare kapelusze”, ubrane w długie, czarne płaszcze. Patrz również: *kapeluszerzy; Martigan, Red; Wydziedziczeni*.

KRISTINA Z MALFOUR, TRĘDOWATA ŚWIĘTA. Każdy, najmniejszy nawet, odpadający

z niej skrawek ciała zbliżał ją coraz bardziej do stanu świętości. Oprócz umiejętności pozbywania się części własnego ciała z wyraźnie widoczną nonszalancją żaden z historyków nie znalazł nigdy najmniejszego nawet powodu do ogłoszenia jej świętą przez truffidian. Jej głównym zajęciem wydawało się przesiadywanie w jednym miejscu i unikanie jakiegokolwiek ruchu, czemu towarzyszyło pochłanianie setek porcji puddingu ryżowego i równoczesne przyglądanie się harówce własnej rodziny na polu komunalnego gospodarstwa rolnego położonego za Ambergris. Patrz również: *Żywi Święci*.

KROTCH. Czarny charakter stworzonej przez Maxwella Glaringa detektywistyczno-przygodowej serii *Krotch i Munfroe*. W pierwszym tomie serii, *Północ Munfroe'a*, Krotch opisywany jest jako „wysoki mężczyzna, tak smukły, że widziany z boku mógłby zlać się z cieniem, który i tak przejął już we władanie należącą do niego duszę. Wystarczyło, że jego spojrzenie ledwie musnęło człowieka, a ten już uświadamiał sobie rozkład jego zasad moralnych, tak bowiem były one martwe i spróchniałe. Grzywa czarnych włosów szczelnie otulała go w czynieniu zła”. Jednakże na przestrzeni kolejnych tomów aż do *Przyczółka Krotcha* autor opisuje go bardzo różnie, zarówno jako „tęgiego”, „korpulentnego”, „wychudzonego”, jak i jako „czarnego żuka pełzającego tuż przy ziemi” oraz jako kogoś, kto „w swym eterycznym wzroście jawi się niczym oddarty od wiatru powiew o brudnych blond włosach”. Później u postaci pojawiają się także „zabarwione na rudo loki, niczym węże opadające mu do pasa”. Być może jest to sygnał, że z upływem czasu Glaring stawał się coraz bardziej znudzony kontynuowaniem serii. Patrz również: *Glaring, Maxwell; Krotch; Munfroe; Północ Munfroe'a*.

KSIĘGARNIA BORGES. Najstarszy na terenie Ambergris dostawca słowa drukowanego. Podczas swej długiej historii budynek księgarni trzykrotnie doszczętnie spłonął. Księgarnię założyło dwóch pochodzących z Nicei braci - Bormund i Gestrand Kubtekowie - a nazwę zawdzięcza ona pierwszym sylabom ich imion. Na przestrzeni swego istnienia pełniła wiele funkcji, zarówno społecznych, jak i związanych z polityką. Podczas konfliktu Czerwonych z Zielonymi jej piwnice służyły za kryjówkę sympatykom Vossa Bendera. Przed każdym Festiwalem klienci mogą tu zarezerwować rozmieszczone wzdłuż półek „stanowiska czytelnicze”, gdyż powszechnie wiadomo, że szare kapelusze nigdy nie przekroczą jej progów. Pochodzący z zachodu Kamal Bakar był świadkiem trzeciego pożaru Księgarni, kiedy to podczas Trzechsetnego Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic, jednego z najgorszych, jakie zapamiętano, rabusie podłożyli pod nią ogień: „Niebo pociemniało od



dymu unoszącego się z książek, płonące strony wzlatywały wysoko, by następnie drgając i trzepocząc powoli opadać ku ziemi niczym jakieś spadające na miasto płatki czarnego śniegu. Ci, którym udało się schwycić taką stronę, czuli bijący od niej żar i przez krótką chwilę mogli przeczytać coś, co wyglądem przypominało jakiś dziwaczny, czarno-biały dagerotyp. Gdy ciepło bijące od strony rozpraszało się, ta kruszyła się i rozpadała w dłoni”. Patrz również: *Bender, Voss; Bulwar Albumuth; Czerwoni; Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic; Płonące liście; Zieloni*.

KSZTAŁTYZM. Odłam dewiacyjnej nauki zajmującej się grzybami, wykorzystujący kształt grzyba, by określić jego toksyczność. Niezbyt popularny. Patrz również: *grzyb*.

KUBIN, ALFRED. Psycholog specjalizujący się w zgłębianiu natury kałamarotropii. Z czasem doszedł aż do zbyt dogłębnego zrozumienia wszelkich przyczyn tej przypadłości, gdyż został stałym klientem większości kałamarnicznych klubów najgorszego sortu. Gdy truffidiański ksiądz odmówił mu ślubu z poznaną w jednym z klubowych basenów kałamarnicą, rozpoczął swój jednonocny festiwal przemocy i szału, w delirium wznecając ogień w wielu punktach miasta. Kilka instytucji historycznych, w tym również najstarszy z azylów Hoegbottona, zostało wtedy poważnie strawionych przez ogień. Po aresztowaniu, Kubina osadzono w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Vossa Bendera, gdzie za ścianą miał swych byłych pacjentów, spośród których wielu - przynajmniej według doniesień - ryczało ze śmiechu, tłukąc go na kwaśne jabłko. Patrz również: *Madnok, Frederick*.

KUCHARZE Z KALAY. Klan zawodowych kucharzy zamieszkujący w pobliżu górskiej fortecy Kalay na zachodnich kresach Imperium Kalifa. Z powodu często zaglądalej im w oczy klęski głodu nauczyli się przygotowywać posiłki z tak niecodziennych produktów „żywnościowych” jak skórzane buty, paski, trawa, kwiaty, koszule, ziemia, dżdżownice, a nawet owady. Jak głosi legenda, mogli popisać się taką biegłością w sztuce kucharskiej, że gdy klęska głodowa odchodziła w zapomnienie, ludzie wciąż tam przybywali, by spożyć przygotowaną przez nich „zupę na gwoździu”. Stali się tak sławni, że sam Kalif siłą przeniósł całą ich rodzinę do swego pałacu w Vonaril, gdzie z roku na rok marnieli w oczach, zmuszani, pokolenie za pokoleniem, do zaspokajania każdej najmniejszej nawet zachcianki Kalifa, czy to na posiłek w środku nocy, czy ledwie na popołudniową przekąskę. Patrz również: *Kalif*.

-L-

LACOND, JAMES. Ekscentryczny historyk, którego teorie na temat szarych kapeluszy w większości zlekceważyła (niesłusznie zresztą) cała piśmienna publika, inni historycy, a nawet i bezrobotny stolarz, który przez wiele lat przesiadywał na chodniku leżącym bezpośrednio przed mieszkaniem Laconda z widokiem na Plac Pamięci Vossa Bendera. Broszury jego autorstwa rozprowadzało wyłącznie Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta. Jedno z jego dzieł stanowi esej pt. *Wywód w obronie szarych kapeluszy, a przeciwko naocznym dowodom Tonsure'a*. Znany z częstych wizyt w Zamilonie. Patrz również: *szczury; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta; Zamilon*.

LEOPRAN, GEORGE. Scathadyjski pisarz i dyplomata, najbardziej znany z siedmiostronicowego opisu swej podróży do Ambergris i z powrotem. Także autor trzytysięcznostronicowej powieści *Odlamek czasu*, w której opisuje jeden dzień z życia samotnego pastucha kóz. I to w najdrobniejszych szczegółach. Powieść zawiera dwustronicową diatrybę potępiającą Manzikerta III, przedstawiającą go jako przykład tyrana nadużywającego władzy.

-L-

ŁUK TARBUTA. Richard Tarbut należał do tych bogaczy, którzy uwielbiali nazywać najprzeróżniejsze rzeczy swym imieniem. Łuk Tarbuta jest właśnie jedną z nich. Tarbutowie przenieśli się do Ambergris z Morrow, gdzie między innymi sprzedawali piecyki i kanarki. Podał on zaledwie jeden warunek, od którego uzależnił przekazanie funduszy na budowę łuku - po zakończeniu prac miał wraz z rodziną dostać się drabiną na jego szczyt, by urządzić tam przyjęcie. Do czego w rzeczy samej doszło, lecz Tarbut nękany przez błotną osę stracił równowagę i spadł wprost w ramiona śmierci, osiągając tym samym stan bardzo zbliżony do tego, w jakim skończył Brandon Map. Patrz również: *Map, Brandon*.

-M-

MADNOK, FREDERICK. Wyjątkowo rzucający się w oczy kałamarolog amator o raczej niezbyt ciekawej reputacji, należący do religii spornych spór. Liczebność wyznawców tego kultu znacząco i nieustannie malała, odkąd oficjalnie ogłosili oni swe poglądy (było to związane ze znaczną liczbą niewyjaśnionych zniknięć). Zapadł na załamanie nerwowe po tym, jak chochlik drukarski w jednej z jego monografii, poświęconej kałamarnicom, umieścił ilustracje ośmiornic. Patrz również: *Hellatose & Bauble; Kodfan, M.*

MANDIBLE, RICHARD. Jeden z najbardziej znanych wczesnych ekonomistów i naukowców społecznych. Niestety, jak się niefortunnie złożyło, godna szacunku reputacja Richarda została zszargana przez wyczyny jego brata, Rogera, który znalazł się w samym centrum Wielkiego Woskowinowego Skandalu Nowej Sztuki, jak ochrzcił to jakiś kawalarz. Roger - jak się wtedy wydało - pozyskiwał woskowinę ze smukłych uszu zasypiających u jego boku kochanek, po czym mieszał ją ze swymi farbami i stąd właśnie pochodziła słynna, cudownie bursztynowa barwa zachodów słońca na jego płótnach wystawianych w Galerii Ukrytych Fascynacji. Gdy tylko odkryto sekret bursztynowej barwy, kariera samego Rogera doznała zaledwie nieznacznego załamania, lecz stateczny Richard, zgorszony i oburzony, po całym zamieszaniu nigdy już w pełni nie wrócił do siebie. Patrz również: *Galeria Ukrytych Fascynacji; Nowa Sztuka.*

MANZIKERT VI. Śmierć z rozkoszy. Gwoli sprawiedliwości i w obronie jego kręgosłupa moralnego należy tu napisać, że nigdy tak naprawdę nie chciał być kappanem Ambergris. Tak więc z niesamowitą radością przyjął swe przejście na emeryturę w murach klasztoru, szczególnie że był to klasztor manzistyczny. W tamtych czasach jedyna różnica między klasztorem manzistycznym a najzwyczajszym burdelem polegała na tym, że ten drugi przyciągał w swe podwoje o wiele więcej księży. Patrz również: *Manzikert VII; Manzikert VIII; manziści.*

MANZIKERT VII. Śmierć w wyniku niezwykle poważnego błędu przy nitkowaniu zębów. Co do jego rządów - im mniej powiedziane, tym lepiej. Patrz również: *Manzikert VI; Manzikert VIII; manziści.*

MANZIKERT VIII. Śmierć pod bieźnikiem opony. Wyjątkowy ekspert i fachowiec w dziedzinie wystawiania spektakularnych ekstrawagancji, nie odniósł jednak w czasie swego panowania żadnych politycznych ani wojskowych sukcesów. Ma na swym koncie wątpliwe wyróżnienie, jakim jest pierwsza historycznie zanotowana śmierć pod kołami wczesnego

modelu pojazdu napędzanego silnikiem parowym (doszło do tego oczywiście podczas jednego z Festiwali). Po całym wydarzeniu markę tych silnikowych wehikułów ochrzczono jego imieniem - „manzikert”. Patrz również: *Manzikert VI; Manzikert VII; manziści*.

MANZIŚCI. Heretycka religia czcząca szczury, założona zupełnie przypadkowo i niechcący przez Manzikerta I u samego schyłku jego życia. Ów kult miał bardzo niewielki, praktycznie żaden, wpływ na historię, lecz mimo to wciąż niewytłumaczalnie kwitnie, przynajmniej na terenie Ambergris. Nic bardziej nie staje ością w gardle truffidiańskim księżom w Dzielnicy Religijnej niż widok szczurzego biskupa, szczurzych kleryków czy po prostu zwyczajnych starych, sukinkockich szczurów paradujących niespiesznie ulicą podczas Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic, odzianych w specjalnie wykonane na tę okazję połyskujące szaty i srebrne korony. Patrz również: *Manzikert VI; Manzikert VII; Manzikert VIII; szczur księżycowy; szczury*.

MAP, BRANDON. Niefortunnie powstała mokra plama.

MARTIGAN, RED. Przywódca skazanej na porażkę podziemnej ekspedycji skierowanej przeciwko szarym kapeluszm. Ofiara własnej ciekawości, która inaczej zapewne w ogóle nie zaistniałaby na kartach historii. A tak, dzięki jego wręcz zapierającej dech w piersiach głupocie, Ambergris zapamiętało go po śmierci jako znacznie ważniejszego, niż był za życia. Częsta postać we wszelkiego rodzaju opowieściach z dreszczykiem - w pewnym sensie po śmierci stał się bardziej namacalny i żywy niż podczas prawdziwego życia. Patrz również: *kapeluszerzy; Kretchen; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta*.

MASOUF. Generał, któremu udało się wreszcie pokonać armię Stretchera Jonesa, a nawet własnoręcznie zgładzić tego wielkiego przywódcę powstania. Powiadają, że łkał nad martwym ciałem swego przeciwnika. Po wielu latach zmagania był wielce poruszony, gdy wreszcie udało mu się pokonać jedyne go godnego siebie przeciwnika - i to takiego, który mógł się z nim mierzyć zarówno pod względem umiejętności militarnych, jak i taktycznych. Pochodzący z owego pamiętnego dnia wpis w jego dzienniku brzmi następująco: „Gdy tak wpatrywałem się w jego bladą, zakrwawioną twarz, i gdy złożyłem jego głowę w mych dłoniach, a on wydał swe ostatnie tchnienie, poczułem, jakbym wpatrywał się we własną twarz, we własne nieszczęsne odbicie, a gdy życie opuszczało jego oczy, tak i ja przez krótką chwilę czułem się, jakby mnie opuściło”. Trzy dni później Masouf porzucił swe stanowisko dowódcze, by po nieudanej próbie samobójczej zostawić żonę i dzieci, a następn

dwadzieścia lat przeżyć jako pustelnik w dobrowolnie sobie narzuconym odosobnieniu w Zamilonie. Wreszcie przejął na siebie obowiązki samego Stretchera Jonesa i na krótką chwilę wyzwolił najbardziej wysunięte na zachód lenna Kalifa, nim został pokonany przez generała o umiejętnościach przewyższających nawet jego wielką osobę. Zginął, gdy jego spłoszony przez królika koń, uciekając z pola boju, zrzucił go z grzbietu. Patrz również: *Jones, Stretcher; Zamilon*.

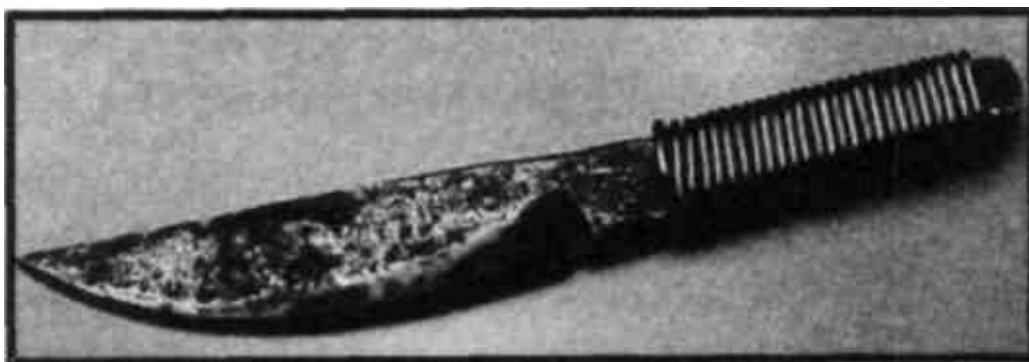
MIKAL, DRAY. Przypadkowo wybrany przez ceremonialnego byka na petularchę, co wciąż jest praktykowanym zwyczajem. Ceremonialny byk, wypuszczony na wolność przez kapłaństwo Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy, biega wolno po mieście, dopóki nie wybierze kolejnego petularchy. Proces wyboru dobiega końca, gdy byk da dowolny „znak” świadczący o swym wyborze, jaki w oczach księży uznany zostanie za wystarczająco rozstrzygający. W tym akurat przypadku ten „znak” zgubił się nam gdzieś w stosie odpadków mało istotnych faktów, wiadomo jednak na pewno, że tuż przed przejściem roli petularchy Mikal był ulicznym sprzedawcą warzyw. Przybył do Ambergris z małej miejsciny na północ od Morrow, Skaal. Na szczęście jednak od czasów obalenia przed kilkoma wiekami Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy pozycja petularchy była i jest nadal pozbawiona większego znaczenia. Patrz również: *Karolina z Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy*.

MONSTRUM. W zależności od kontekstu, olbrzymia kula przepychana w kanałach pod miastem bądź olbrzymia kula rosnącego grzyba, która też znajduje się w miejskich podziemiach. Patrz również: *grzyb; kapeluszercy*.

MUNFROE. Stworzony przez Maxwella Glaringa wiecznie zmęczony antybohater serii *Krotch i Munfroe*. Należy on do postaci zmieniających swą formę, których przeszłość z książki na książkę znacznie się różni. Początkowo był synem prostych i uczciwych rolników wyruszających do miasta, by tam zostać księgowymi, później staje się synem księgowych wyruszających na wieś, by wieść tam proste życie uczciwych rolników. Inne wcielenia rodziców bohatera zmieniają się w zależności od książki - są zarówno związani zawodowo z cyrkami, jak i z wojskiem, są lekarzami lub stolarzami. Pewien jest tu zaledwie jeden fakt - Munfroe miał rodziców. Patrz również: *Glaring, Maxwell; Krotch*.

MUZEUM MORHAIMÓW. Przez wiele lat składowisko olbrzymiej liczby przedziwnych i najbardziej ekscentrycznych skarbów, począwszy od pierwszych wydań książek z serii *Dręczących kalamarnic* autorstwa Vivian Price Rogers, na nożach szarych kapeluszy

kończąc. Najwspanialszym klejnotem w całej chwalebnej koronie muzeum jest być może bezcenna kolekcja składająca się z przeszło pięć tysięcy eksponatów zgromadzonych przez Thomasa Daffeda. Przez wszystkie lata swego istnienia rodzina Morhaimów pozostawała zdecydowanie apolityczna, a co za tym idzie, zyskała zaufanie wielu wpływowych postaci życia publicznego Ambergris. Patrz również: *grzyb; Rogers, Vivian Price; Spacklenest, Edgar; ZOO Daffeda.*



**EKSPONAT 5: NÓŻ SZARYCH KAPELUSZY, RZEKOMO  
UŻYWANY W ICH „RELIGIJNYCH” RYTUAŁACH;  
ZE ZBIORÓW MUZEUM MORHAIMÓW, GALERIA  
„NIEZBYT PRAWDOPODOBNYCH BRONI”.**

MYSZOŁÓW SŁONOWODNY. Główny beneficjent wszelkich bitw pomiędzy Stretcherem Jonesem a Kalifem, Kalifem a Michaelem Brueghelem, Michaelem Brueghelem a Manzikertem I, Manzikertem I a szarymi kapeluszami, Brueghelitami a Szarymi Plemionami, Szarymi Plemionami a Arcyksięciem Malidu, Arcyksięciem Malidu a Kalifem, Kalifem a Ambergris, Ambergris a Haragck, Haragck a Morrow. Myszołów słonowodny jest padlinożercą, na całe życie łączącym się w pary. Średnia rozpiętość jego skrzydeł wynosi trzy metry, przeciętna długość życia - dwadzieścia lat. Od pozostałych myszołów odróżnić go można dzięki czerwonym i zielonym refleksom połyskującym na krańcach smoliście czarnych skrzydeł. Patrz również: *Arcyksiążę Malidu; Brueghel, Michael; Jones, Stretcher; Kalif; Szare Plemiona.*

-N-

NADAL, THOMAS. Człowiek zmarły w infamii, którego udziałem stał się los zbyt smutny, by go tu przybliżyć. Niech spoczywa w pokoju, skoro nie było mu to dane za życia. Wierny

swemu kochankowi. Wierny swemu miastu. Przeklęci wszyscy zniesławiający go jedynie z powodu krótkiej chwili słabości. Patrz również: *Jones, Stretcher*.

NADWORNÝ GENEALOG. Stanowisko w Imperium Kalifa, przysłonięte wielkim całunem tajemnicy. Jedynie Nadworny Genealog zna prawdziwą tożsamość Kalifa, lecz może upubliczniać zaledwie najbardziej nieprecyzyjne szczegóły dotyczące aktualnie panującego Kalifa. I choć nikt nie jest w stanie udowodnić tej teorii, to wielu historyków, nie włączając w to jednak piszącego te słowa, wierzy, że w rzeczywistości to sam Nadworny Genealog był niejednokrotnie Kalifem. Patrz również: *Kalif*.

NIMBLYTODZI. Plemię żylastych, acz silnych istot od wieków zamieszkujących drzewa południowych lasów tropikalnych, splatających w mocnych konarach swe przypominające ptasie gniazda szalasy. Nieświadomi starań truffidiańskich misjonarzy, starających się usilnie ich nawrócić, wciąż wciąż święte szczury księżycowe i ozdobnopióre drozdokurki. Członkowie tego plemienia potrafią bez pomocy instrumentów wydawać odgłosy przypominające dźwięk fletu, dzięki czemu urządzają koncerty zwykle zakłócające ciszę gąszczu tamtejszej dżungli. Koncerty „niczym pieśni najpiękniejszych aniołów”, jeśli wierzyć słowom jednego ze wstrząśniętych nimi misjonarzy. Nimblytodzi potwierdzają swą niezależność dmuchaniem strzałek ku każdemu intruzowi wkraczającemu na ich terytorium. (Większość ofiar w ostatnich latach stanowią manziści). Trucizna użyta w strzałkach wywołuje długotrwałą gorączkę, po której trafiony zapada w apatię, przeistaczając się w końcu w nieoczekiwane i intensywne pożądanie tego, co akurat trafiony strzałką osobnik ma przed oczami. Koniec końców i tak, niczym dwaj posepni i ponurzy kuzyni, nadchodzą demencja i śmierć. Patrz również: *manziści, szczur księżycowy*.

NOWA SZTUKA. Oksymoron. Patrz również: *Galeria Ukrytych Fascynacji; Mandible, Richard; Płonące liście; Sporender, Nicholas; Sztuka Cienia; Verden, Louis*.

NYSIMIA. Zachodnie miasto znane ze śmierci, kurzu, piwa i - już ostatnio - z pozbawionych sensu teorii związanych z dosiadającymi kuców najeźdźcami, pewnym staruszką i szarymi kapeluszami. Patrz również: *Hyggbouttenowie*.

NYSMAN, MICHAEL. Wysoko postawiony truffidiański kapłan urodzony w Nicei. Choć demonstracyjnie wysłano go do Ambergris, by łagodził tam cierpienia ludzi oszczędzonych przez Ciszę, to jednak dokumenty wydobyte na światło dzienne już po jego śmierci jasno dowodzą, że kościół truffidiański wysłał go tam w zupełnie innym celu. Jego misja składała

się z dwóch części. Po pierwsze - miał zbadać Ciszę i ustalić, co ją spowodowało, po drugie - miał opracować psychologiczny profil ludzi egzystujących w skrajnym cierpieniu i rozpacz, a następnie dostarczyć PrzedSIONowi Nicei pisemny raport dotyczący sposobów wykorzystania ich cierpienia i rozpacz celem nawróceń. Raporty Nysmana, opisujące psychiczną mękę ludności, są mniej interesujące od raportów zajmujących się analizą przyczyn samej Ciszy, w których możemy odnaleźć takie oto fragmenty: „Z całym należnym szacunkiem, ale nie mam najmniejszego pojęcia, jakie korzyści może nam przynieść odkrycie powodów cierpienia tych ludzi. Z pewnością prawda okaże się dla nas wszystkich zbyt przerażająca, byśmy mogli ją zatrzymać wyłącznie dla siebie, nie zdradzając tej wiedzy reszcie świata. Jedyne słowa, jakich jestem teraz w stanie użyć do opisanie bezdennej rozpacz, która zawładnęła mną po przybyciu do miasta, brzmią »opuszczony przez Boga«. Czuję, że jestem tutaj, w tym mieście, zupełnie i całkowicie pozbawiony Jego obecności”. Dalej Nysman opisuje, jak to mniej więcej podczas Ciszy kilku pastuchów owiec dostrzegło w samym środku nocy dziwne światło emanujące od strony Alfar. Jego zdaniem fakt ten ma tu posiadać zasadnicze znaczenie, lecz zamiast złożyć wizytę w Alfar, nieoczekiwanie zmienił plan podróży i wyruszył - z zupełnie nam dziś nieznanymi powodów - w kierunku Zamilonu. Patrz również: *Alfar, Zamilon*.

-O-

OBRZĄDEK DEFEKACJI. Najbardziej napiętnowany, choć niekoniecznie najohydniejszy z obrządków. Patrz również: *Żywi Święci*.

OBRZĄDEK EJAKULACJI. Najprzyjemniejszy, choć nieakceptowany społecznie obrządek. Patrz również: *Żywi Święci*.

OBRZĄDEK MIKCJI. Najbardziej irytujący ze wszystkich obrządków. Patrz również: *Żywi Święci*.

OBRZĄDEK WZDĘCIA. Najbardziej śmiercionośny ze wszystkich obrządków. Patrz również: *Żywi Święci*.

OKUPACJA. Terminem tym określa się studniowy okres zajęcia Ambergris przez wojska Kalifa. Okres Ciszy był najczarniejszym czasem ambergriańskiej historii. Gdyby nie



pomysłowość i hart ducha zwykłych obywateli miasta, Okupacja mogłaby trwać o wiele dłużej. Jak pokazuje nam poniższy list, napisany przez Davida Ampersa, właściciela lokalnej tawerny nazywanej Czerwonogardła Cafe, do mieszkającego w Morrow kuzyna (owianego złą sławą „walczącego filozofa” Richarda Petersona), dla wojaków Kalifa owe sto dni wcale nie należało do najłatwiejszych:

Dlaczego? - To właśnie pytanie skierowałem do mojego starego druha Steena Pottera (pознаłeś go podczas twej ostatniej wizyty - to ten obwoźny sprzedawca zegarków), kiedy popijając sobie siedzieliśmy w kawiarni, ostrząc noże, by przywrócić je do stanu niezrównanej wręcz ostrości. A pytanie to towarzyszyło wypowiedzianym chwilę wcześniej słowom, w których doszedłem do wniosku, że nasze miasto, nasze ukochane Ambergris, wpadło i utknęło nam tego lata w stanie obezwładniającego i przejmującego marazmu, niemocy, apatii i depresji. I cóż takiego odnajduję wtedy przybitego do własnych drzwi zarówno ja, jak i wszyscy inni obywatele miasta? Barbarzyńsko okrutne pismo od Kalifa tej oto treści:

Najszlachetniejszy z Bogów, Pan i Władca całego świata, syn poprzedniego Kalifa, obecny Kalif, do Ambergris, swego nikczemnego i nieczułego niewolnika: Odmawiając podporządkowania się naszym rządóm, śmiecie nazywać się władcą i panującym. Przejęliście i rozprowadziliście między sobą należące do nas skarby, oszukaliście nasze sługi. Nigdy nie przestaniecie nas niepokoić i irytować waszymi bandami zbójów. Czyżbym jeszcze was nie zniszczył? Sądzę więc, że muszę to zrobić o wiele dobitniej niż ktokolwiek w przeszłości. Strzeż się więc, Ambergris! Strzeż się!

Och, pomyślałem sobie, to zabrzmiało obiecująco. Ultimatum! Obietnica wybicia nas z naszej rutyny i zastoju - prawdziwe zagrożenie! I to poparte konkretnymi działaniami! Tak więc, co oczywiste, Ambergris rozpostarło szeroko ramiona w geście powitania agresora, by tym mocniej móc go kochać, aż do samej śmierci, kochać na śmierć... Posłańcem, który doniósł nam o inwazji, był chłopiec, sprzedawca gazet, który biegnąc ulicami wrzeszczał wniebogłosy: „Armia Kalifa przekracza rzekę, miażdżąc wolne armie kappana!”. W mgnieniu oka Ambergris padło, po pięciu latach podgryzania naszych flank przez wojska Kalifa - cóż za dreszcz podniecenia. W porządku, dało się z tym przecież żyć, ale czy ten chłopak musiał o tym krzyczeć wszem i wobec całemu światu? I to na dodatek na całe gardło? Istnieje coś takiego jak duma, mój drogi kuzynie, i choć może Steen wykazał się odrobinę przesadną reakcją,

nikt jednak nie wypowiedział ni słowa skargi, gdy wycelował i cisnął kamieniem, a celnie ugodzony nim w głowę chłopiec padł na bruk. Duma ma tu dla nas w mieście bardzo istotne znaczenie, choć nie zrozumiesz tego, wszak nie urodziłeś się między nami...

Tak więc, skoro wojska Kalifa dokonały udanego najazdu, zebraliśmy się wszyscy wzdłuż bulwaru Albumuth, by obejrzeć obowiązkową Paradę Zdobywców. Dzień był słoneczny, wiał lekki wietrzyk, a jaskółki przecinały niebo nad naszymi głowami lotem przypominającym ruch kosi ścinającej łąny zboża. Ludzie Kalifa uformowali po obu stronach ulicy rzekomo nieprzeniknioną barierę, uzbrojeni we włócznie, miecze, a nawet małe armatki. Wyglądało to, jakby uważali, że możemy sprawić im jakieś kłopoty. Steen i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Wszystkim, czego obecnie pragnęliśmy, było gorące przywitanie w Ambergris naszych najeźdźców.

Generał Kalifa, zwany Najwyższym, stanowił zaiste imponujący widok, w swym szmaragdowym turbanie przystrojonym białymi strusimi piórami, w srebrnych ostrogach i z ośmioma olifantami kroczącymi nierównym krokiem tuż za jego plecami. A przynajmniej robił tak niesamowite wrażenie, dopóki ktoś ukryty w tłumie nie posłał w jego kierunku noża, który utkwiał mu w gardle. Ileż to krwi kryło się w tym człowieku... Z pewnością równie czerwonej jak ta, która mogłaby wypłynąć z każdego innego człowieka w podobnej sytuacji. Niestety, w całym wynikłym zamieszaniu zabójcy udało się czmychnąć.

Kiedy wreszcie udało im się zapanować nad sytuacją i przywrócić jako taki porządek, stłoczyliśmy się na stopniach Pałacu Kappana, by stamtąd przyglądać się, jak nasz burmistrz, wraz ze stojącym u jego boku pokonanym, skutym łańcuchami kappanem, oddaje w oficjalnej ceremonii klucze do miasta i przekazuje sakramentalny miecz nowemu Najwyższemu (pospieszenie wyłonionemu spośród pięciu olśniewających, choć akurat w tej chwili obficie pocących się oficerów Kalifa). Kappan wykonał swe obowiązki z nieznacznym krzywym uśmiechem na twarzy i konspiracyjnym mrugnięciem oka w stronę tłumu. Straż przyboczna kappana, jak na te okoliczności, również była w szczególnie radosnym nastroju. W rzeczy samej, ceremonia obfitowała w takie chwile, że sam miałbyś niemałe wątpliwości, próbując ustalić, która ze stron jest niewolnikiem, a która tak naprawdę zwycięzcą... Spoglądający w kierunku tłumu Najwyższy wydawał się zmieszany i zbity z tropu naszym aplauzem i gotowymi

szerokimi uśmiechami na naszych szczerzących zęby twarzach. Nim spokój ponownie zagościł na jego subtelnych zachodnich rysach, na krótką chwilę twarz zmaćniało mu mgnienie strachu. Oczywiście nie trwało to długo, mimo iż powinienem (chcąc oszczędzić sobie nadwężania dłoni kilkugodzinnym kurczowym ściskaniem pióra, a tym samym oszczędzając tobie, czytelnikowi, opisu wciągającego wręcz w otchłań nudy) pokrótce streścić wydarzenia następnych stu dni. Jak było nieuniknione, następnego Najwyższego otruto, trzeciego natomiast znaleziono martwego we własnym pałacu - tym razem przyczyną śmierci była garota - tak więc Kalif nie miał innego wyjścia, jak tylko wydać wyrok skazujący burmistrza naszej sprawiedliwej, acz zwodniczej metropolii, na powieszenie na szubienicy. Jestem święcie przekonany, że nie oczekiwał jednak tego, co nastąpiło podczas publicznej egzekucji: wszyscy bowiem głośno wiwatowali, gdy nasz burmistrz wyruszył ku lepszemu (a przynajmniej czystszyemu) światu. I tak nigdy zbytnio za nim nie przepadaliśmy i najprawdopodobniej sami byśmy to zrobili w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Ale z drugiej strony, po egzekucji wszechliśmy zamieszki i zabiliśmy wielu żołnierzy Kalifa, bo mimo wszystko, burmistrz był jednym z nas, nawet jeśli był niekompetentnym sukinsynem sprzeniewierzającym kasę z publicznego skarbcza.

Od tej pory wszystko było już tylko kwestią czasu. Każdy nadchodzący świt rzucał światło na kolejną porcję głów nabitych na włócznie wbite w ziemię przy miejskich fontannach. Każdy zapadający zmierzch był okazją do wysłuchania chóru wrzasków i błagań o litość. Wszędzie, gdziekolwiek się odwrócili, spotykały ich nieszczęśliwe zbiegi okoliczności i zła wola kamiennego oblicza naszego wiekowego miasta. Kiedy przychodzili do mojej tawerny, cóż, gościłem ich jak królów, serwując im jednak równocześnie wolno działającą truciznę, by w ciągu najbliższych kilku dni mieć i swój udział w pozbyciu się kolejnej grupy żołnierzy. Niektórzy z darzonych przez nich zaufaniem kawalarzy donieśli im, że porozwieszane po mieście czerwone flagi są symbolem naszego oporu, tak więc ludzie Kalifa pozdzierali je, rozwścieczając tym samym szare kapelusze, które, poruszone w swych szeregach, poklakały chwilę między sobą, a następnie zajęły się masowym „znikaniem” wojaków Kalifa. Zarządca ZOO wypuścił na wolność całą ekspozycję wielkich dzikich kotów, a dokonał tego wprost do baraków osobistej straży przybocznej Najwyższego. Gdy zapadał zmierzch, właściciele sklepów podczołgiwali się do armat Kalifa, by wsypywać do ich luf piasek bądź wlewać klej. Kapłani z Dzielnicy Religijnej kamienowali patrole z powodu

pogwałcenia mało znanych i dawno zapomnianych reguł, a następnie domagali się przed sądem zwolnienia z kary z tytułu konfliktu religii.

Wreszcie, drogi kuzynie, pewnego dnia siły okupacyjne po prostu opuściły nasze miasto, by nigdy doń nie powrócić. Pozostałe po nich kości zapakowaliśmy do skrzyń, a następnie wmurowaliśmy je w ściany porzuconych budynków. Spaliliśmy pozostawione przez nich wozy. Przywłaszczyliśmy sobie ich konie. Wyszorowaliśmy Pałac Kappana. A potem ponownie powołaliśmy naszego władcę na tron. I po raz kolejny z radością wróciliśmy do ustalonego rytmu życia, gdzie sami sobą rządaliśmy, jak nigdy dotąd odświeżeni tym krótkim interludium, eksperymentem w okupacji przez siły obcego Imperium... Powinieneś więc wkrótce ponownie nas odwiedzić, drogi kuzynie. Kawiarnia przynosi niemałe zyski i bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś był tu z nami. Miasto jest piękne o tej porze roku.

Z pozdrowieniami,

David Ampers

Patrz również: *Arcyksiążę Banfours; Kalif; olifant; Peterson, Richard.*

OLIFANT. Jedno z najbardziej ulubionych zwierząt Tonsure'a. Te wielkie, szare istoty niemal zdławiły rebelię Stretchera Jonesa w samym jej zarzewiu. Ich nagłe i nieoczekiwane pojawienie się na polu walki pod Richter, dokąd sprowadzono je wprost z porośniętych dżunglą równin dalekiego południowego zachodu, wywołało tak olbrzymią panikę, że Jones mógł mówić o niesamowitym wręcz szczęściu, iż w ogóle uszedł stamtąd z życiem. Dla Xavera Daffeda te niezwykle łagodne ssaki były tak fascynujące, że poświęcił im całe dwa tomy swej *Historii zwierząt*. Dla Manzikerta III mięso olifantów było tak soczyste, że pod koniec swego panowania nie jadał już nic innego. A sam Kalif, podczas swego tymczasowego panowania w Ambergris, snuł plany wzniesienia pałacu będącego apogeum motywu olifanta w architekturze - kolosalnej budowli w kształcie tego zwierzęcia. Plany obejmowały między innymi tylną część tułowia olifanta, przypominającą dolinkę, z szemrzącym strumykiem i amfiteatrem na pierwszym planie. Patrz również: *Daffed, Xaver; Jones, Stretcher; Okupacja; Stowarzyszenie Gastronomiczne Miasta Ambergris.*

PEJORA, MIDAN. Najstynniejszy architekt w całej historii Ambergris. To na nim ciąży główna odpowiedzialność za najwspanialsze miejskie budowle, w tym również za słynny Pałac Kappana. Najlepiej charakteryzuje go określenie „geniusz-idiota”. Już od wczesnych lat dziecięcych wznosił niemożliwe budowle z drewna, piasku i kamienia, choć nigdy nie był w stanie ukończyć nawet szkoły podstawowej. Jego rodzice wykształcili go wreszcie w domu własnymi siłami, gdy ich sąsiedzi wielokrotnie w tym czasie uskarżali się na małego Pejorę, wznoszącego w ich frontowych, przydomowych ogródkach całe miasteczka pełne architektonicznych obrzydliwości.

PETERSON, RICHARD. Założyciel nienazwanej religii, głoszącej naukę o Czerwonym Kwiatu Rosnącym na Skraju Drogi. Korzystała ona z dwunastomiesięcznego kalendarza, w którym każdy miesiąc miał trzydzieści dni. Każdy rok kończył się pięciodniowym Festiwalem Świętego Czerwonego Kwiatu, na który kolejno składały się Dzień Nasionka, Korzenia, Łodygi, Liścia oraz Kwiatu. (Odlamowa frakcja, tak zwani „Naukowi Reformiści”, dodawała jeszcze co cztery lata przed samym Dniem Kwiatu dodatkowy Dzień Pączka, w przeciwieństwie do uniwersalnie symetrycznego pięcioletniego cyklu, uznawanego przez prawdziwych wyznawców wiary). Pięć tomów *Dodekahedronu (Dwunastościanu)* przedstawia jedyne prawdziwe nauki wiary. Każdy tom dzieli się na dwanaście ksiąg (Płatek, Działkę, Znamię, Szyjkę Słupka, Załącznię, Słupek, Pręcik, Pylek, Pylnik, Nitkę Pyłkową, Nektar i Kielich), każda księga natomiast na dwieście czterdzieści rozdziałów po trzydzieści wersów każdy. Wyznawców można zazwyczaj odróżnić po ich znakach rozpoznawczych - czerwonej szarfie i precyzyjnych, idealnie pentagramowych tonsurach. Bractwo Czerwonego Pręcika, jeden z obrządków tej wiary, słynie ze swej wiedzy i nauk. Specjalizuje się głównie w geometrii i ogrodnictwie, a sława ogrodów, otaczających każdy z jego pięciu klasztorów, corocznie przysparza wierze tysięcy nowych wyznawców. Nieukończona katedra, mająca być fizycznym przedstawieniem dodekahedronu, może pewnego dnia zająć miejsce tych ogrodów jako machina masowych nawróceń. Patrz również: *strattonizm; Święty Czerwony Kwiatuшек Verden, Louis*.

PLEŚNIAWKA. Patrz: *Drozd*.

PŁONĄCE LIŚCIE. Budzący szereg kontrowersji periodyk poświęcony sztuce, powszechnie znany z publikacji makabry, literatury budzącej wstręt i niepokój, gdzie słowu towarzyszą ilustracje wywołujące dość podobne emocje. Początkowo wydawany przez Księgarnię Borges - dopóki redaktorzy magazynu nie wydrukowali niesławnego *Czarnego Traktatu*,

zawierającego wielce perwersyjną „mapę” nagiego ciała Vossa Bendera, na której schematycznie przedstawiono różną wartość jego poszczególnych członków ciała, a każdemu z nich towarzyszyła krótka historyjka (w tym najhaniebniejsza i najohydniejsza - napisane przez Sporlendera *Drzewko z orzeszkami*). Od tamtej pory periodyk wychodzi wyłącznie dzięki funduszom pochodzącym z zamieszczanych w nim reklam oraz zysków ze sprzedaży bezpośredniej na miejskich stoiskach. „Płonące liście” opublikowały pierwsze dzieła takich późniejszych luminarzy jak: Lois Verden, Nicholas Sporlender, Martin Lake czy Janice Shriek, przedstawiły też światu obsceniczne, mechaniczne schematy ekscentrycznego wynalazcy znanego jako Porfal. Pierwszy numer zawierał opowiadanie Corvida Quorka *Szaleństwo ptasich masek*. Patrz również: *Bender, Voss; Księgarnia Borges; Sporlender, Nicholas*.

**PŁYWAJĄCY PSYCHIATRY.** Grupa etniczna z południa, znana z zamieszkiwania na rzecznych barkach, wcielona we wczesnych latach do Imperium Saphanckiego. Rozkwit tych mistyków nastąpił już po upadku Imperium, gdy swój nomadyczny tryb życia powiązali z nurtem Moth, zamieniając tym samym swe okresowe wizyty w położonych na jej brzegach miastach w wyjątkowo lukratywny interes. Ukrywając swe tajemnicze zwyczaje religijne pod pozorami racjonalizmu i naukowości, zyskali reputację ekspertów w zagadnieniach związanych z utratą zdrowych zmysłów, obsadzając się tym samym w roli „psychiatrów”, ku wielkiemu zresztą przerażeniu ambergriańskiego establishmentu, dbającego przecież o zdrowie psychiczne obywateli miasta. Ich łodzie, zatłoczone umysłowo chorą klientelą, pokryte niezliczoną liczbą jasnoniebieskich flag, zwykle dobijały do doków Ambergris w tygodniu następującym bezpośrednio po Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic, skąd zabierały kolejną zmianę pacjentów. Patrz również: *Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic; Imperium Saphanckie*.

**PORFAL.** Wynalazca najszerzej znany z Kapsuły Pamięci Porfala - niezbędnika i konieczności festiwalowej. Zaprojektował również monetę w kształcie noża, wypuszczoną na rynek przez Hoegbottona i Synów jako przedmiot pamiątkowy, projekt jednak dość szybko zarzucono w pośpiechu w związku z licznymi ranami kłutymi, jakie zadano podczas kolejnego Festiwalu. Najbardziej kontrowersyjne wynalazki Porfala mają erotyczną naturę, a można tu wspomnieć m.in. działającą na miód maszynę orgazmu, mechaniczny ssacz palców u stóp czy obrosłą wielką niesławą odwróconą dziewicę, w której zamykano nieszczęsnych mężczyzn goniących za ekstazą, po to tylko, by już w zamknięciu odkryli oni, że wymagania

stawiane im przez maszynę są zbyt wielkie, by mogły im podolać ich słabe serca. Patrz również: *kapeluszerzy; Monstrum; Płonące liście; Spacklenest, Edgar*.



**EKSPONAT 6:** ORYGINALNA OKŁADKA PIERWSZEGO NUMERU „PŁONĄCYCH LIŚCI”; WYSTAWIONA W MUZEUM MORHAIMÓW, SKRZYDŁO „HISTORIA POŁUDNIOWYCH PERIODYKÓW”.

PÓLNOC MUNFROE’A. Tytuł pierwszego tomu cyklu powieściowego Maxwella Glaringa, w którym autor opisuje podszyte intrygą zmagania antybohatera Munfroe’a z jego

przeciwnikiem, opętany żądzą zbrodni Krotchem. Swego czasu Voss Bender rozważał skomponowanie opery opartej na wątkach tej powieści, lecz zarzucił ów zamysł po zapoznaniu się z dalszymi odsłonami cyklu. Co było rzekomym powodem takiej decyzji Bendera? „Już obecnie na naszym świecie istnieje zbyt wielu Krotchów”. Książka po raz pierwszy pojawiła się w odcinkach na łamach „Straszliwych opowieści”, co zapewne wyjaśnia rwane tempo jej akcji - znaczną liczbę jej zawiesznień w najbardziej dramatycznych momentach, idących w parze z najbardziej szalonymi uciezkami z wyjątkowo trudnych opresji. Sukces książki był niewytłumaczalny nawet dla samego autora, który poprzysiągł sobie już nigdy więcej nie pisać kolejnych opowieści o Munfroe i Krotchu, by po krótkiej chwili przystąpić do nieprzerwanej, wręcz masowej produkcji kolejnych. Patrz również: *Bender, Voss; Glaring, Maxwell; Krotch; Munfroe; Straszliwe opowieści*.

## -R-

RELIGIJNY INSTYTUT W MORROW. Mimo iż Ambergris jest tygłem wielu religii, to Morrow jest miejscem ich zgłębiania. Pozbawione jest ono jednak żądliwego parcia prawdziwego życia, jest również religijnej duszy. I to aż do tego stopnia, że wiarę trzyma się tu jak najdalej na odległość wyciągniętych ramion, by umożliwić dogłębne zbadanie jej anatomii. Religijny Instytut w Morrow słynie właśnie z takiej wnikliwej analizy religii, często zakrawającej wręcz na sekcję. I choć wywodzi się stamtąd kilka słynnych postaci, jak również wielu nauczycieli, to zatrwająający ogół absolwentów, wystawionych na działanie religii w jej czystej formie, bądź to „asymiluje się”, bądź oddaje przyjemnościom zbyt śmiertelnego ciała. W dawnych czasach nazywano go Instytutem Religijności. Patrz również: *Signal, Cadimon*.

ROGERS, VIVIAN PRICE. Dorastała na farmie jako jedyna dziewczyna wśród ośmiu braci. Odbiła sobie wszystkie te lata na niesfornym i kłótlwym rodzeństwie, odzwierciedlając braci jako bohaterów swego cyklu powieściowego *Dręczących kałamarnic*. Przez wiele lat, na wielu stoiskach w Ambergris, książki z tej serii sprzedawały się o wiele lepiej niż dzieła samego Henry ego Flacka. W późniejszych latach Rogers przyjęła honorowe stanowisko w Księgarni Borges, gdy jej bracia niezmiennie wiedli swe życie w ten sam stary sposób, od świtu do zmierzchu harując niczym woły przy gospodarce. Patrz również: *Księgarnia Borges; Muzeum Morhaimów*.



RYBIA GŁOWA. Święta. Albo gnijąca. Związana z Kampanią Obywatela Ryby. Patrz również: *Kościół Rybaka*.



**EKSPONAT 7:** UNIKATOWE PIERWSZE WYDANIE KLASYCZNEJ POWIEŚCI VIVIAN PRICE ROGERS Z CYKLU „DREŃCĄCYCH KAŁAMARNIC”; ZE ZBIORÓW MUZEUM MORHAIMÓW, BIBLIOTEKA „PIERWSZYCH WYDAŃ”.

-S-

SABON, MARY. Agresywna, choć czasem błyskotliwa historyczka, która zbudowała swą reputację na trupach starszych, pałających do niej wielką miłością historyków. Sto siedemdziesiąt kilka centymetrów wzrostu. Około sześćdziesięciu kilogramów wagi. Rude włosy. Zielone oczy o niezmierzonej głębi. Elegancka strojnisia. Jej uśmiech rozpała męskie

wnętrznosci. Przeciwniczka Jamesa Laconda. Podczas rozmowy potrafi ciąc pojedynczym słowem. Autorka kilku książek. Patrz również: *Lacond, James*.

SAPHANT. Patrz również: *Imperium Saphanckie*.

SHARP, MAKSYMILIAN. Prawdopodobnie najzdolniejszy, choć z drugiej strony najniezdolniejszy z pisarzy, jakich kiedykolwiek wydało Południe. Ze wszystkich niechlubnych historii krążących na jego temat wśród współpracujących z nim wydawców i redaktorów ledwie jedyna poparta jest rzeczywiście istniejącymi dokumentami. Dotyczy współpracy pisarza z Frankwrithem & Lewdenem, u których autor regularnie publikował swe utwory, czy to w najprzeróżniejszych periodykach tego wydawnictwa, czy też w formie książek czy broszur. Pewnego razu najwyraźniej niezbyt przypadła mu do gustu wypowiedź Andrew Lewdena (jego redaktora) wygłoszona podczas jednego z przyjęć, w której tamten scharakteryzował go słowami „na swój sposób arogancki”, w efekcie czego Lewden otrzymał przytoczony poniżej oficjalny list. Według doniesień świadków, redaktor go przeczytał, uśmiechnął się, po czym wyrzucił go do kosza, a następnie niezwłocznie wyprzedał wszystkie tytuły Sharpa. A oto treść listu:

Od: Lorda Sharpa I, Zarządcy Świętego Słowa i Strażnika Pochodni Życia.

Do: Andrew Lewdena, Kanalii Niskiego Pochodzenia, Zarządcy Znikomych Resztek Pieniądzy i Strażnika Pisarzy bez Innego Wyboru (aktualnie).

Re: Oficjalne pismo w odpowiedzi na ostatni list Andrew Lewdena oraz na wygłoszony przez niego w ubiegłym tygodniu niegodny komentarz, w 34 roku miłościwego nam panowania Lorda Sharpa I. Niniejszym niezwłocznie w pośpiechu skreślone:

Drogi Lewdenie,

(1) Mój Lord Sharp wyraża swą wdzięczność za przyjęty przezeń z uznaniem, choć wyjątkowo krótki i nędznie wyglądający list z ubiegłego tygodnia. Prosi, bym ci przekazał (sam bowiem zajęty jest nieskończenie ważniejszymi sprawami związanymi z tworzeniem i redakcją, nie ma więc najmniejszej chwili wolnego czasu, by móc zajmować się dochodzącymi doń z zapuszczonych i odległych krańców świata entuzjastycznymi okrzykami różnych redaktorów), że choć docenia nadesłany Mu egzemplarz najnowszego numeru magazynu, zawierający Jego tak wychwalaną

opowieść *Chwała miała moje imię*, to jednak zauważa, że na okładce nie umieściłeś jego nazwiska złożonego wystarczająco wielką czcionką - ani też nie umieściłeś go jako pierwszego, z ujmą dla pozostałych (pomniejszych) nazwisk na wspomnianej wyżej okładce. Co gorsza, owa historia nie otwiera otrzymanego numeru magazynu, ani też nie towarzyszy jej żadna wyjątkowa ilustracja, a - wreszcie - towarzysząca utworowi notka biograficzna nie ma zadowalającej długości, ani też adekwatnie nie opisuje kariery Jego Lordowskiej Mości, gdyż nie wspomina (co jest zwykłą, normalną praktyką w przypadku dzieł Lorda Sharpa, a z pewnością również i powszechnie znanym faktem), że jest On „najwspanialszym głosem zarówno swego, jak i wszystkich pozostałych pokoleń”.

(2) Wszystko, o czym wspominam powyżej, to niepokojąco karygodne czyny i występki, panie Lewden, i mimo iż nie budzą zbytnich obaw Jego Lordowskiej Mości w związku z niskim nakładem waszego magazynu, jak również z nikłymi korzyściami finansowymi, które z niego płyną, jest On jednakże osłupiały i skonsternowany, dlaczegóż to z takim uporem starasz się ściągnąć na swą głowę Jego Lordowską Wściekłość. Z pewnością w chwili, gdy raczył ci zaprezentować ów podniosły reprint, pochodzący sprzed kilku lat, złożył na twe barki najbardziej doniosły ze wszystkich obowiązków: właściwe reprezentowanie nie tylko twórczości Lorda Sharpa, lecz również Jego wizerunku. Jeżeli żadna właściwa ilustracja nie leżała w zasięgu twych możliwości, sam Lord Sharp - poprzez ręce wielu spośród Swych wiernych i oddanych sług - byłby więcej niż szczęśliwy, mogąc dostarczyć ci błyszczące przedstawienie Swego sławetnego oblicza w trzech czwartych profilu. Nie tylko byłoby to, w związku z cudowną perfekcją Jego Lordowskiego Oblicza, bardziej adekwatne i na miejscu, lecz również doskonalsze od jakiegokolwiek ilustracji (oczywiście o ile tylko istniałaby taka mityczna ilustracja przedstawiająca Jego Lordowską Mość).

(3) W każdym razie, biorąc po uwagę niespotykaną wręcz łaskawość Lorda Sharpa, zostałem przez Niego poinstruowany, by oficjalnie wybaczyć ci twe przewinienia związane z powyższymi wykroczeniami, a tym samym przekazać ci, że jeśli tylko kiedykolwiek odwiedzisz włości Jego Lordowskiej Mości, dozwolone ci będzie ucałować Jego dłoń, a nawet zachować w formie relikwii pomietą kartkę papieru wyciągniętą z kosza na nieudane pierwsze szkice Jego utworów.

(4) Wreszcie, jak sam napisałeś, panie Lewden, zwykli śmiertelnicy być może i mogą

dołączać do swych listów znaczki pocztowe konieczne do późniejszego odesłania im manuskryptu, ale jak też dała nam do zrozumienia twoja wypowiedź, Lord Sharp, niczym niekończący się i nieprzerwanie trwający ciąg kolejnych Kalifów, jest najbardziej wyjątkowo nieśmiertelnym, i to w ten najbardziej trwałą ze wszystkich sposobów: poprzez chwałę Swego słowa pisanego. Co za tym idzie, jeśli chodzi o poruszony przez ciebie temat, wymagamy, byś natychmiast, bez najmniejszej chociażby chwili zwłoki, podrzucił nam celem uważnego przestudiowania potarganą kartkę, by użyć tu tak pospolitego określenia, recenzji *Testamentu*, najwspanialszej książki Jego Lordowskiej Mości. (W rzeczy samej, nie będzie On wcale jej czytał, a jedynie zleci jej przeczytanie jednemu ze Swych oddanych sług; czy też, co nawet bardziej prawdopodobne, jeden z Jego obdarzonych darem słowa poddanych tak przepisze całą recenzję, by płynęła ona niczym czyste złoto, a nie jako płynne odchody. A co za tym idzie, by nie trapiła nawet w najmniejszym stopniu Jego Szlachetnych Lordowskich Uszu; nic bowiem tak nie rani Jego Lordowskiej Mości jak niepoprawnie stworzone i zapisane zdanie).

(5) I już na samo zakończenie chciałbym jedynie ci przypomnieć, panie Lewden, że wielkimi krokami zbliża się czas składania corocznego hołdu Jego Lordowskiej Mości. W obecnym roku, jak zapewne bardzo dobrze zdajesz sobie sprawę, składa się on z trzech dni czytania na głos dzieł Lorda Sharpa, dwóch zgłębiania ich w ciszy i jednego spędzonego na własnoręcznym ich przepisywaniu, tak byś mógł pełniej pojąć, jakież to geniusz w rzeczy samej zstąpił nam na nasz padół.

Uniżony i oddany sługa,

Gerold Bottek

(jeden z wielu poddanych Lorda Sharpa)

PS. Jego Lordowska Mość chciałby przekazać ci Swą wdzięczność za kilka wcześniejszych (nawet jeśli tak odległych w czasie) miłych słów skierowanych pod Jego adresem, wydrukowanych w różnych czasopismach, których z pomocą sług Swych z uwagą wysłuchał. Jak nakazał mi donieść, cechowały się one „nieoszlifowaną elokwencją, tak niepodobną do tego sukinsyna, bez wątplenia więc musiały je zainspirować Moje dzieła”. Tak więc Lord docenia twą uwagę, a tym samym rozkazuje mi przekazać, iż w obecnym roku możesz opuścić jeden z trzech dni głośnego czytania Jego dzieł.

Patrz również: *Frankwrithe & Lewden*.

SHRIEK, DUNCAN. Wiekowy historyk, urodzony w Stockton, który w latach młodości opublikował kilka słynnych poświęconych historii książek, od tego czasu dawno już wyprzedanych, a atakowanych z furją przez krytyków, którzy i tak wszystko wiedzą najlepiej. Jego ojciec, również historyk, zmarł z radości, czy też raczej należałoby napisać - w wyniku ataku serca wywołanego wiadomością, że dostąpił wielkiego zaszczytu na dworze Kalifa. Duncan miał wtedy dziesięć lat. Od tego czasu nigdy nie spotkały go jakieś szczególnie wyjątkowe, mogące pozbawić życia zaszczyty, lecz raz jeden znalazł się na indeksie, wpisany tam przez Przediona Truffidiańskiego. Był również uznanym ekspertem w dziedzinie szarych kapeluszy, chociaż co rozsądniejsi obywatele ignorowali nawet te najmniej dziwaczne spośród jego teorii. Swego czasu miał tyle niebywałego szczęścia, że znalazł miłość swego życia, jednakże nie starczyło mu go już na zatrzymanie jej u swego boku ani na powstrzymanie jej przed kradzieżą własnych pomysłów i skompromitowaniem go na arenie historycznej. Wciąż jednak ją kocha, oddzielony od niej niemożliwymi do przebycia rozlewiskami imperiów i wielce aroganckim literatem. Patrz również: *szczury*.

SIGNAL, CADIMON. Wielce intrygujący człowiek zajmujący się religią, łączący w swej pracy elementy zwykłych występków z najwyższym poszanowaniem życia duchowego. To spod jego kurateli wyszli najlepsi misjonarze, jacy kiedykolwiek opuścili Religijny Instytut w Morrow. Spędził dziesięć lat na medytacjach z mnichami w Zamilonie. Znany z płomiennych wykładów dotyczących Żywych Świętych i męczenników. Patrz również: *Religijny Instytut w Morrow; Zamilon*.

SIMPKIN, WILLIAM. Dyrektor placówki dbającej o zdrowie psychiczne mieszkańców Ambergris, która od środka przypomina raczej pozbawiony wyjścia labirynt. Jest również głównym przesłuchującym we wszystkich nowych przypadkach psychiatrycznych. Na boku zajmował się pisaniem prozy, wydał kilka tomów opowieści rozgrywających się w wyimaginowanym królestwie rządzonym przez myszkę. W głębi duszy - pozbawiony serca sukinsyn. Patrz również: *Pływający psychiatrzy*.

SIRIN. Pisarz i redaktor, który przyszedł na świat w pobliżu Zamilonu, znanego nawet w najdalszych zakątkach świata. Zapisał się w pamięci głównie dzięki serii fikcji rzekomo opisujących różnorakie aspekty ambergriańskiej historii. Poniższy fragment, pochodzący z pamiętników Janice Shriek, dostarcza nam jednej z najpełniejszych charakterystyk jego

postaci:

Sława Sirina pisarza zaczęła się rozprzestrzeniać wraz z podpisaniem przez niego kontraktu z Hoegbottonem i Synami. Posiadał, podobnie jak mityczne zwierzę, od którego zaczerpnął swój pseudonim, tak typowe, a jednocześnie tak uniwersalne cechy osobowe, że nie jestem w stanie dokładnie go opisać... Był niski? A może wysoki? Miał jasną? A może ciemną karnację? Zielone? A może piwne oczy? Jego wygląd fizyczny i tak nie odda wagi jego osobowości (zmiennej niczym rtęć, złośliwej, wszytkowiedzącej; ktoś mógłby sobie pomyśleć, że to on stworzył nas wszystkich, a nie tylko powracającą wielokrotnie w jego utworach postać Iksa). Sirin wprowadził do swej redakcji tekstów tę samą jakość, jaką można odnaleźć w jego dziełach - był w stanie naśladować każdy styl, czy to wysoki, czy niski, poważny czy komediowy, mimetyczny czy bajkowy. Czasem odnosiło się wrażenie, że to miasto wyszło spod jego pióra. Albo przynajmniej sprawiał, że mieszkańcy widzieli je w zupełnie innym świetle. Za bardzo myślał o sobie, lecz jego arogancję tolerowano ze względu na głębię i ogrom jego talentu, ten zaś dało się porównać tylko z jego bezczelnością. Pewnego razu prosto w twarz znieważył Przediona i to podczas truffidiańskiego święta. Na początku kariery publikował wszelkie możliwe rodzaje broszur, tworząc fikcję, którą podawał za rzeczy dokumentalne, jak również tworząc rzeczy dokumentalne, które uchodziły za fikcję. Fakt, że jego czytelnicy nie byli w stanie wychwycić pomiędzy nimi żadnej różnicy, napawał go absurdalnym i niedorzecznym poczuciem radości. Jego najsłynniejsza mistyfikacja to esej zatytułowany *Wczesna historia miasta Ambergris*, który nie tylko spowodował zatrudnienie go u Hoegbottona i Synów, lecz w efekcie doprowadził także do zamówienia przez wydawcę u mojego brata Duncana broszury opisującej najwcześniejszą historię miasta, którą ten - w hołdzie Sirinowi - stworzył w oparciu o jego oryginalne dzieło. Podsumowując, Sirin był skłonny kopiować powieści w swych esejach na równi z mumifikacją w nich traktatów czy rozpraw zależnie od tego, jaki miał właśnie kaprys. Był również skrupulatnym „przepisywaczem”, który swymi bezustannymi linijkowymi poprawkami (och, gdyby tylko o tym wiedział...) doprowadzał Duncana do szału.

Biuro Sirina, kiedy pracował jeszcze jako redaktor dla skrzydła wydawniczego Hoegbottona - ostoi kultury w ostępach tępego instrumentu chciwości, jaki tworzyło H&L Central - zmieniało się w zależności od panującej na zewnątrz pory roku. Zimą i

wczesną wiosną biurko Sirina zakopane było pod kontraktami, manuskryptami, propozycjami, raportami finansowymi i wszelkimi powiązanymi z tym książkami; wszystkim, co miało zostać wydane w nadchodzącym roku. Gdy rok powoli się rozwijał, jego biurko zrzucało z siebie większość tego chaosu, a wraz z nadejściem jesieni pozostawały na nim jedynie ukończone książki oraz magazyny i gazety nabrzmiałe od recenzji dzieci Sirina, zarówno tych jasnych, jak również niepochlebnych. A wtedy nadchodziła kolejna zima i znów ciężar rzeczy obiecanych i obiecujących zaczynał zalegać na jego biurku, by wreszcie całkowicie je przysłonić. Jego biuro miało najcudowniejszy zapach na świecie, i to niezależnie od pory roku; zapach pochodzący od pergaminu, atramentu i książek, które dopiero co wyszły z drukarni.

Jednym z aspektów, które najbardziej wyróżniały jego biuro, oczywiście prócz samej banalnej rozległości chaosu na luksusowym biurku oraz unoszącego się w powietrzu zapachu cygar i wanilii, były cylindryczne szklane habitaty wykonane specjalnie na zamówienie przez dmuchacza szkła z Morrow. Tłoczyły się one w nieładzie na stoliku za jego biurkiem, w pobliżu owalnego okna z widokiem na bulwar Albumuth. Każdy z nich miał wycięte w szkle malutkie otworki, zawierające kolejno gąsienicę, poczwarkę oraz w pełni ukształtowanego motyla.

Wielokrotnie, gdy jego sekretarka wprowadzała mnie do środka, widziałam go, jak niespiesznie i z przyjemnością zajmował się swymi podopiecznymi, lecz najlepiej zapamiętałam chwilę, gdy stał tam, lamentując nad truchłem jednego z motyli. Wrócił właśnie z wymuszonych wakacji na Wyspach Południowych, narzuconych mu w związku z zaangażowaniem się w Kampanię Obywatela Ryby. Kiedy zbliżałam się do niego, odwrócił się w moim kierunku. Miał bystry wzrok, lecz jego oczy spoglądały na mnie z pewnym roztargnieniem zza srebrnych oprawek okularów. Obdarzył mnie wtedy swym słynnym spojrzeniem, które mogło przenikać ściany i sprawiało, że nawet najbardziej uparty mnich truffidiański zaczynał mówić. W ciągu najbliższych trzech tygodni jego eleganckie oblicze miało zdradzić H&S i przejść na nowe stanowisko do konkurencji, Frankwrithe'a & Lewdena. Lecz nim minęło kolejne sześć miesięcy, znów kroczył ulicami Ambergris, jak gdyby ta zdrada nigdy nie miała miejsca.

- Spójrz tylko - powiedział. - Mój ukochany kappan szafirowy został właśnie skolonizowany przez emisariuszy szarych kapeluszy. - Na jego wyciągniętej dłoni,

przypominającej raczej dłoń pianisty niż redaktora, leżało pomazane zarodnikami grzyba poskręcane truchło ukochanego motyla.

Spotkaliśmy się w połowie drogi między drzwiami a jego drogocennymi szklanymi habitatami. Wpatrywałam się w istotę leżącą na wyciągniętej dłoni Sirina. Miał rację - martwy motyl był całkowicie pokryty warstwą szmaragdowozielonego grzyba. Rozłożone skrzydła wypuściły tysiące grzybowych kolonistów w chaosie antenek o czerwonych czubkach, które przypominały niemalże czułki. Motyl wyglądał jak złożona nakręcana zabaweczka pokryta klejnotami. Był jednak obecnie o wiele piękniejszy niż za życia - nie był to zaledwie motyl zadławiony grzybem, lecz zupełnie nowa istota. Nawet faktura jego egzozskietetu wydawała się odmienna, jakby bardziej subtelna. Wpatrywałam się w motyla i nieoczekiwanie ogarnęło mnie niedające się sprecyzować poczucie strachu. To, co spotkało tego motyla, zbytnio przypominało mi proces, który powoli zaczął pochłaniać mojego brata, gdy ten coraz głębiej pogrążał się w swych badaniach nad szarymi kapeluszami.

- Przerazająca strata - stwierdził. - Wstyd manzikerckich wręcz rozmiarów.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedziałam. - Masz rację. - Ale nie miałam pewności, czy ma na myśli motyla, czy coś zupełnie innego, bardziej ulotnego, nieuchwytnego i niebezpiecznego.

Patrz również: *grzyb; Kampania Obywatela Ryby; Shriek, Duncan; Zamilon.*

SKAMOO. Dumna, trzymająca się na uboczu grupa, dobrze przystosowana do śniegów zmrożonych północnych regionów. Niektórzy historycy próbowali powiązać Skamoo z Zamilonem, twierdząc, że to właśnie ich przodkowie zbudowali tamtejszą fortecę-klasztor. Patrz również: *Zamilon.*

SPACKLENEST, EDGAR. Autor kultowej powieści *Lord Kaptur i niewidzialna kalamarnica*. Pochodził z arystokratycznej rodziny. Mieszkał z matką, babką i siostrą w posiadłości leżącej na rozciągających się na zachód od Ambergris mokradłach. W swym pokoju na drugim piętrze z widokiem na rzekę Moth spędzał niekończące się godziny, skrobiąc piórem w czarnym notatniku i co kilka miesięcy regularnie wysyłając kolejną opowieść do „Straszliwych opowieści” (które je odrzucały, gdyż w oczach redaktorów tego periodyku historie owe były zbyt niezrozumiałe), bądź też do „Płonących liści” (które z kolei odrzucały je z powodu zbytniego tradycjonalizmu). Koniec końców, przyjaciel rodziny



przekonał Ambergriański Departament Licencjonowania Publikacji Prasowych do wydania pierwszego zbioru opowiadań Spacklenesta, zatytułowanego *Pętle i inne rodzaje broni*. Książkę wydano w twardej okładce i sprzedała się zaledwie w dwudziestu pięciu egzemplarzach, w związku z czym Ambergriański Departament Licencjonowania Publikacji Prasowych zrezygnował ze Spacklenesta jako jednego ze swych autorów broszurowych. Przez kilka lat nie podjął on dalszych prób opublikowania własnych utworów; zamiast tego zajął się tworzeniem klasyków, zebranych później i wydanych już pośmiertnie przez Frankwrithe'a & Lewdena w zbiorach *Najczarniejsza z nocy* oraz *Mroczne znaki, czające się za zasłoną*. F&L wydał, również pośmiertnie, powieść *Lord Kaptur*, która sprzedała się wyjątkowo dobrze i doprowadziła do obecnego, kultowego statusu autora. Już po napisaniu *Lorda Kaptura* przygnębiony Spacklenest porzucił zarówno pisanie fikcji, jak i dom rodzinny, przenosząc się do małego miasteczka przy bulwarze Albumuth w Ambergri, gdzie przyjął stanowisko archiwisty w Muzeum Morhaimów. W późniejszych latach pod pseudonimem Anne Sneller wydał szereg książek niebeletrystycznych, w tym m.in. *Historię obwoźnych szarlatańskich pokazów medycznych i innych niegodziwych prestidigitacyj*. Zarówno *Lorda Kaptura*, jak i opowiadania odkryto wśród rzeczy osobistych autora po jego śmierci, do której doszło w wyniku ran kłutych zadanych monetą Porfała podczas jednego z wyjątkowo krwawych Festiwali. Patrz również: *Frankwrithe & Lewden; Muzeum Morhaimów; Płonące liście; Porfał; Straszliwe opowieści*.

SPORA SZAREGO KAPELUSZA. Tawerna, w której Duncan Shriek napisał przeważającą część swej *Wczesnej historii*. Wspaniała kryjówka i miejsce relaksu, dogłębnie opisana w *Hoegbottońskim przewodniku po barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach*.

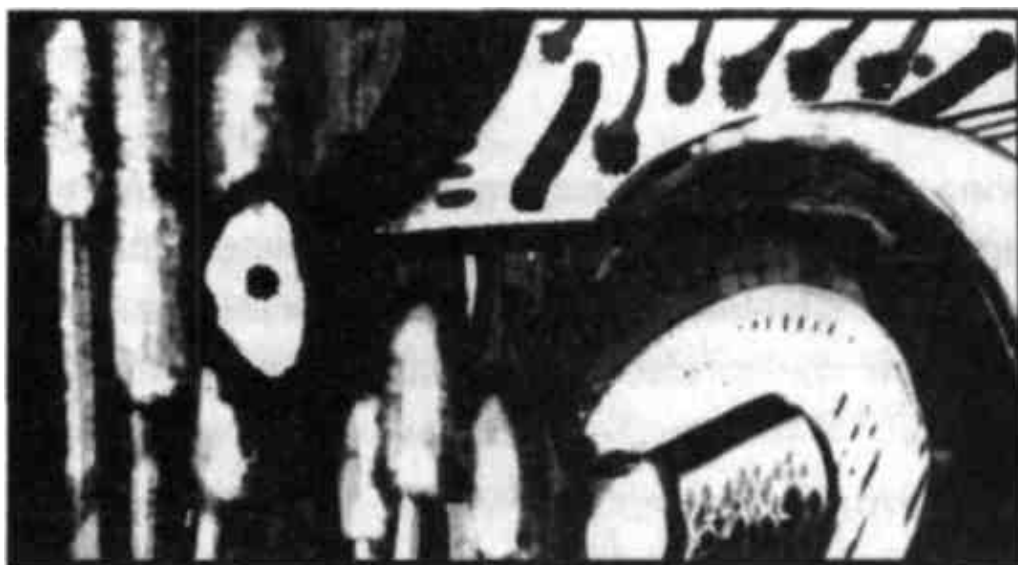


**EKSPONAT 8: PIERWSZE WYDANIE „NAJCZARNIEJSZEJ Z NOCY” EDGARA SPACKLENESTA; WYSTAWIONE W MUZEUM MORHAIMÓW, SKRZYDŁO „HISTORII POŁUDNIOWYCH WYDAWNICTW”.**

SPORLENDER, NICHOLAS. Autor przeszło stu książek i broszur religijnych o charakterze instrukcyjnym, m.in. *Sary w Krainie Westchnień*, *Truffidiańskich wotów religijnych dla laika* czy *Zestawienia dziennych ofiar dla członków Kościoła Siedmiobocznej Gwiazdy*. Wiele z jego książek zawierało idee „walczącego filozofa” Richarda Petersona. Często współpracował z artystą Louistem Verdenem, nim ich drogi rozeszły się po gwałtownej sprzeczce. W swych wspomnieniach tak oto opisał to wydarzenie: „To nie tak, że nie mieliśmy pojęcia, iż coś takiego się zbliża. Zaczęło się od uporu Verdena. I jego nudnej obsesji na punkcie strattonizmu. Po prostu nie potrafił odpuścić i chociażby na krótką chwilę odłożyć swej obsesji na bok. Zawsze było - Stratton to, Stratton tamto, Stratton siamto. Prosiłem go: »Daj

na chwilę temu spokój. Usiłuję pisać«. Wreszcie, wyłącznie po to, by zablokować cały ten jego stratonizm, przyjąłem nauki Petersona. Lecz on ciągle nie przestawał”. Pięciokrotny zdobywca najbardziej prestiżowej nagrody literackiej Miast Południowych - *Trilliana*. W późniejszych latach przeniósł się z żoną i trójką kotów do Morrow. Patrz również: *Karolina z Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy*; *Nowa Sztuka*; *Peterson, Richard*; *Płonące liście*; *Straszliwe opowieści*; *strattonizm*; *Verden, Louis*.

SPORNY. Termin potocznie używany w całym Imperium Kalifa w odniesieniu do szarych kapeluszy. Poddani Kalifa nazywają święty symbol szarych kapeluszy „znakiem komara”, a ich podziemną krainę „komarlandią”. Patrz również: *grzyb*; *Kalif*.



**EKSPONAT 9: WSPÓŁCZESNA INTERPOLACJA SYMBOLU SZARYCH KAPELUSZY WYKONANA PRZEZ AWANGARDOWEGO ZACHODNIEGO MALARZA ORIMA LACKPOLE’A, ZATYTUŁOWANA „SPORNY ZNAK KOMARA 3”: WYSTAWIONA W MUZEUM MORHAIMÓW, SKRZYDŁO „WSPÓŁCZESNYCH ARTYSTÓW”.**

STOCKTON. Miasto jeszcze nudniejsze niż Morrow (kto by pomyślał, że to możliwe?). Równie dobrze mogłyby je zamieszkiwać małpy czy olifanty, a nie ludzie. Nie ma nawet Religijnego Instytutu, który mógłby rozproszyć ziejącą tam nudę. Przypadkowo, jak się składa, miejsce urodzin Duncana Shrieka. Patrz również: *Busker, Alan*.

STOWARZYSZENIE GASTRONOMICZNE MIASTA AMBERGRIS. Założone za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera. Wydało wiele książek, w tym *Tysiąc przepisów na potrawy z kalamarnic* czy *Eksperymentując z różnymi rodzajami tłuszczu*. Pewną niesławę

przyniosło mu zdradzenie tajemnicy brakujących składników Rozkoszy Olifanta - pół kilograma wiśni, osiem kilogramów słodkowodnej kałamarnicy, osiemdziesiąt litrów koziego mleka, dwa i pół kilograma pasty rybnej (najlepiej z flądry) i trzydzieści deko szparagów. Patrz również: *olifant*.

STRASZLIWE OPOWIEŚCI. Magazyn poświęcony przygodowym opowieściom z dreszczykiem, wydawany i redagowany przez niesamowitego wyzyskiwacza - Matthew Palwine'a. W stajni jego autorów znalazły się takie sławy grafomaństwa jak Rachel Thorland, Gerold Picklin i Salzbert Flounder. „Straszliwe opowieści” zdobyły popularność głównie dzięki natłokowi błędów typograficznych, od których wręcz roilo się na stronach magazynu, dlatego właśnie stały się oczkiem w głowie zwolenników nurtu „rzeczy znalezionych” Nowej Sztuki. Nicholas Spolender wyjątkowo okrutnie zabawiał się wypisywaniem listów do redakcji na tematy w rodzaju: „Dlaczego pożałowania godny, acz przewrotny błąd (i to dwukrotnie w całym tekście!) wynikły z opuszczenia pewnej spółgłoski, błędu ortograficznego i przestawienia dwóch pozostałych liter (a wszystko to w obrębie trzech ledwie znaków!) w pierwszym słowie wyrażenia »Królestwo Miłości«, użytego w opowiadaniu *Z cierpiącą miłością na drugim planie* Salzberta Floundera, sprawia, że wizja autora staje się raczej ponura niż rzewna”. Patrz również: *Nowa Sztuka; Północ Munfroe'a; Spolender, Nicholas*.

STRATTONIZM. Wyznawcy mitu dwukomorowego mózgu. Zawsze trwali w konflikcie ze zwolennikami Richarda Petersona, głównie wskutek braku zrozumienia swych własnych nauk, nie wspominając już o zrozumieniu nauk grupy przeciwnej. Typowy wypis z tekstu przewodniego strattonizmu *Świadomość pochodzenia dwukomorowego rozłamu umysłu* brzmi następująco: „Współistnienie i zrozumienie monoizmu jako spójnego z rekwizycją grawitacyjną czy synaptycznymi rewolucjami umysłu nie może być nadmiernie mitygowane podczas jakiegokolwiek dysputy dotyczącej konkatenacyjnych narratywizacji czy jedynie ledwie rozważań slobberkiańskich mandatów bilateralnych”. Jeden z rysunków w książce przedstawia mózg ze strzałkami wskazującymi na „bandaiczną jamę halucynacyjną”, „bilateralny impuls konwulsyjny” oraz „miejsce powstawania herezji RP”. Wiara, że mózg może rozmawiać z samym sobą, doprowadziła podczas spotkań strattonistów do kilku wielce konfundujących rozmów. Patrz również: *Petersem, Richard*.

SZARE PLEMIONA. Następcy Aańczyków na Wyspach Południowych. Nieprzejednani i nieugięci, w równym stopniu cywilizowani co barbarzyńscy. Odczuwali równie silny dreszcz

podniecenia, otwierając książkę, co gardło wroga. Arcyksiążę Malidu odparł ich starania mające na celu uzyskanie na kontynencie przyczółka, gdyż dreszcz podniecenia odczuwał jedynie otwierając gardła wrogów, a co za tym idzie, w swe poczynania wkładał o wiele więcej entuzjazmu. Patrz również: *Aandalay; Arcyksiążę Malidu; myszołów słonowodny*.

SZCZUR KSIĘŻYCOWY. Szczur o nieskalanej bieli futra, mniej więcej rozmiarów teriera. Stworzenia te zbierają się o północy, by spijać wodę z dopływów rzeki Moth. Żywią się nektarem kapryfolium i grzybem (temu drugiemu przypisuje się fakt, że niektóre ze szczurów księżycowych jaśnieją w mroku nocy intensywną zielenią). Święte zwierzę dla plemion Nimblytodów, mające również pewne znaczenie dla manzistów, regularnie co roku wyruszających na niebezpieczną pielgrzymkę do południowych dżungli, by tam móc osobiście obserwować szczury księżycowe w ich naturalnym środowisku. Piski godowe szczurów księżycowych są głębokie i donośne; przypominają dźwięk wydawany przez długie rogi mnichów z Zamilonu. Wykonywana przez szczury symfonia w połączeniu z odgłosami wydawanymi przez Nimblytodów, sądząc z posiadanych przez nas doniesień, może stawać w jednym szeregu z kompozycjami samego Vossa Bendera, przynajmniej pod względem niespotykanej mieszanki wrażliwości i siły. Patrz również: *Bender, Voss; manziści; Nimblytodzi; Zamilon*.

SZCZURY. W ściekach. W religiach. W słowach pirat, rozpaczliwie i narracja\*. Od szczurów roi się w tym glosariuszu niemal w tym samym stopniu co od samych słów i grzybów. Patrz również: *Ambergris; Lacond, James; manziści; szczur księżycowy*.

SZTUKA CIENIA. Ruch będący w rzeczywistości przekleństwem samych artystów cienia, którzy wykorzystując własne ciała i późnopołudniowe promienie słońca tworzyli na placu Trilliana dzieła wielkiego piękna i wzniosłości, zawstydzając tym samym gromadzących się tam także Żywych Świętych. Patrz również: *Galeria Ukrytych Fascynacji; Nowa Sztuka; Żywi Święci*.

-Ś-

---

\* Gra słów. *Szczur* („rat” w języku angielskim) rzeczywiście oryginalnie drzemie wewnątrz wymienionych wyżej słów - *pirate, desperate* i *narrative* (przyp. tłum.).

ŚWIĘTY CZERWONY KWIATUSZEK. Jedna z dwóch głównych idei, stojących za nienazwaną wiarą stworzoną przez walczącego filozofa Richarda Petersona. Drugą jest zniszczenie „zwolenników strattonistycznego dwukomorowego umysłu”. Peterson przedstawia opowieść o „Świętym Czerwonym Kwiatuszku Rosnącym na Skraju Drogi” niemal na każdym ze swych spotkań, zarówno formalnych, jak i prywatnych. Opowieść ta, zaczerpnięta z trzeciego tomu *Dodecahedronu* (Księga Płatków, Rozdziały 3-411 włącznie), wydane poza głównym obiegiem przez Święte Bractwo Czerwonego Pręcika, jest zupełnie niezrozumiała dla ludzi pozbawionych właściwego religijnego przygotowania. Patrz również: *Peterson, Richard; strattonizm*.

ŚWIĘTY FILIP BAŁAMUTA. Żywy Święty wyrzucony z Obrządku Ejakulacji z powodu zbyt częstych i regularnych kąpiei. Patrz również: *Żywi Święci*.

**-T-**

TOWARZYSTWO AMBERGRIAN DLA RDZENNYCH MIESZKAŃCÓW MIASTA. Całkowite przeciwieństwo Ambergriańskiego Towarzystwa Historycznego. Jeszcze nigdy członkostwo w towarzystwie historycznym nie kryło w sobie takich niebezpieczeństw. Co dwa, trzy lata kolejna grupka członków towarzystwa ulega bowiem pokusie wyważenia jednego z włączów prowadzących pod ziemię, a następnie rusza w panujący tam mrok i wędruje kanałami odpływu ścieków, by eksplorować leżące pod miastem podziemia. Co nieuniknione, za każdym razem któryś z nich zaklinuje się w jakimś przepuście, a pozostali ruszą po pomoc, bądź też - jak można się domyślić - zostaną złapani przez szare kapelusze. W każdym razie taka ekspedycja zawsze nieodmiennie sprowadza się do tego, że znikają na wieki wieków. Można sobie wyobrazić, jak nieszczęśni członkowie TADRMM wymachują swymi oficjalnymi kartami członkowskimi w kierunku niewzruszenie zbliżających się do nich szarych kapeluszy. Jeśli nie knują i nie rozważają kolejnych planów popełnienia zbiorowego samobójstwa, zajmują się wydawaniem „Biuletynu historii naturalnej”. Patrz również: *Biuletynu historii naturalnej; kapeluszerzy; Martigan, Red*.

TRILLIAN WIELKI BANKIER. Jeden z najwybitniejszych władców, jakich znało Amberggris. To pod jego rządami miasto stało się miniaturowym Imperium, lecz co ważniejsze - centrum biznesowym i finansowym. Ambergriańskie banki miały swe oddziały na całym

kontynencie i w pewnym momencie przechodziło przez nie nawet siedemdziesiąt pięć procent wszelkich transakcji finansowych Południa. Trillian, znacznie bardziej niż którykolwiek z rządzących przed nim władców, był w stanie zdusić siłę Brueghelitów, a to dzięki metodycznemu procesowi pozbawiania ich kapitału, bogactw naturalnych i wszelkich innych zasobów. Co przedziwne, jego upadek nadszedł ze strony świnek kababari. Zakochany bez pamięci w swej pani, wielce się zdenerwował, gdy doszła do jego uszu wiadomość o słownej zniewadze, jakiej doznała ona ze strony pewnego hodowcy kababari. I to właśnie stało się powodem podpisania rozporządzenia, na mocy którego kababari przestało być uznawane za zdatne do spożycia, a tym samym stało się zakazane na terenie miasta. Wystarczyło ledwie sześć miesięcy, by grupa Restoracjonistów Kappańskich - opłacana z kieszeni potężnego świńskiego kartelu - usunęła Trilliana z tronu. Patrz również: *kababari*.

#### -V-

VERDEN, LOUIS. Utalentowany artysta, który zapoczątkował swą reputację stworzeniem biżuterii wykorzystującej motyw gargulców (atrakcji wielu festiwalowych parad). Droga rozwoju powiodła go od biżuterii ku ilustracjom książkowym, i to właśnie jego rysunki towarzyszą tak popularnym dziełom jak chociażby *Fizjologia i psychologia gigantycznych kalamarnic*. Przez wiele lat pracował jako gościnny dyrektor artystyczny „Płonących liści”. Zagorzały akolita strattonizmu i wielokrotnie nagradzany hodowca jeży. Przez wiele lat stał na czele Ambergriańskiej Kapituły Wolnomyślicieli. Do jego najsłynniejszych cytatów można zaliczyć: „Właśnie pracuję nad twoimi cholernymi rysunkami!” - słowa skierowane do długoletniego współpracownika Nicholasa Sporlendera, a opublikowane w sekcji *Podłyszane przez ścianę* drukowanej na łamach „Płonących liści”. Dla laika najbardziej znany z pracy przy festiwalowej broszurce *Wymiana*. Patrz również: *Azyl; Nowa Sztuka; Płonące liście; Sporlender, Nicholas*.

#### -W-

WALCZĄCY FILOZOF. Patrz: *Peterson, Richard*.



**EKSPONAT 10: WYMIANA - WERSJA DELUXE, OWOC WSPÓŁPRACY SPORLENDERA I VERDENA; Z ZASOBÓW MUZEUM MORHAIMÓW, ROTACYJNA KOLEKCJA „OKRUTNY FESTYN: FESTIWALOWE PAMIĄTKI”.**

WYDZIEDZICZENI. Niektórzy z mieszkańców Ambergis zostali „wydziedziczeni” przez własne rodziny, gdyż na skutek Ciszy zaczęli się dziwnie zachowywać, stając się w oczach przyjaciół osobami niespełna rozumu. Zwykli wygrzebywać z ziemi zwierzęce kości, spożywać dziwaczne grzyby i odwiedzać cmentarze, obstając, że słyszą tam dochodzące spod ziemi wzywające ich do siebie głosy braci, sióstr, córek, synów, matek czy ojców. W późniejszych latach, wędrując z miejsca na miejsce i grzebiąc kości swych zmarłych w zabitych deskami ścianach porzuconych po Ciszy budynków, oficjalnie stali się wydziedziczeni. Przez przeszło siedemdziesiąt lat ci miejscy nomadzi błakali się niczym zagubione dusze, żyjąc dzięki coraz to bardziej rozpaczliwym środkom, a ich liczba



nieustannie malała, aż wreszcie zupełnie znikli z powierzchni miasta. Patrz również: *grzyb*.

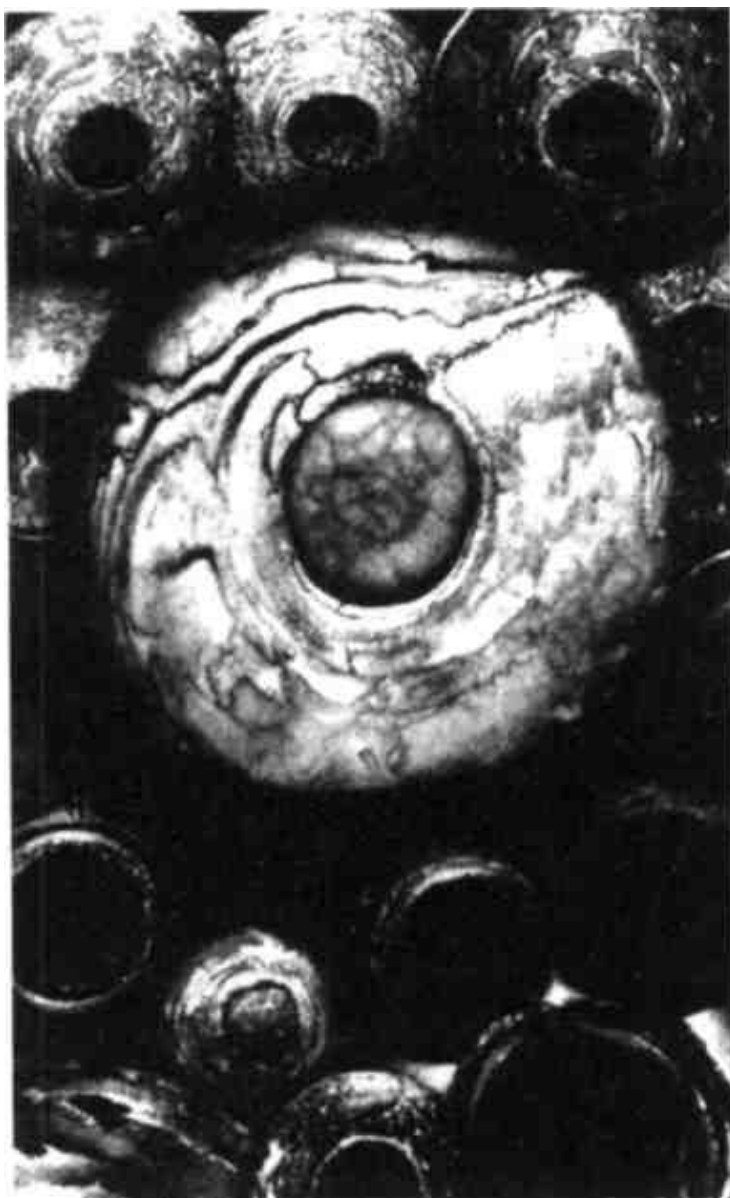
WYSPA SOPHII. Leżąca na rzece Moth na północ od Ambergris wyspa została nazwana imieniem żony Manzikerta I. Dawno temu ostatni ambergriański kappan, John Golinard, scedował ją na Hoegbottona i Synów w zamian za tak wówczas potrzebne miastu fundusze. Przez wiele lat służyła za bazę wszelkich handlowych operacji Hoegbottonów, jednakże jakieś pół wieku temu H&S wydzierżawili F&L jej wschodnią część w zamian za prawa handlowe na rynki Morrow. Ostatnimi laty stała się polem boju pomiędzy siłami H&S a F&L, spowalniając wszelki odbywający się na Moth ruch rzeczny, zarówno w kierunku północnym, jak i południowym, przez fakt, że obie strony wymagały i egzekwowały coraz to bardziej niedorzeczne opłaty od chcących je wyminąć łodzi. Patrz również: *Frankwrithe & Lewden*.

## -Z-

ZAMILON. Zrujnowany klasztor-forteca, wciąż zamieszkiwany przez mnichów. Olbrzymi kompleks budynków i fortyfikacji obronnych jest tak stary, że nikt nie ma pojęcia, skąd się wziął ani kto go zbudował. Mieszkający tam obecnie mnisi są w posiadaniu kartki z *Dziennika Samuela Tonsure'a* i są święcie przekonani, że gdyby tylko udało się we właściwej kolejności odczytać napisane na niej słowa, z pewnością mogłaby posłużyć za wrota do innego świata. Patrz również: *Busker, Alan; Lacond, James; Masouf; Skamoo; ZOO Daffeda*.

ZIELONI. Ruch polityczny, a równocześnie amatorskie siły zbrojne utworzone z zamiarem obrony interesów i osoby kompozytora, z powołania polityka, Vossa Bendera. Pozostałości po Zielonych dożyły kresu swych dni jako część Gildii Muzyków, zaspokajając potrzeby związane z udzielaniem najmłodszym lekcji gry na fortepianie. Patrz również: *Bender, Voss; Biblioteka Pamięci Manzikerta; Czerwoni; Księgarnia Borges*.

ZOO DAFFEDA. Ogród zoologiczny założony przez Xavera Daffeda na krótko przed jego śmiercią. Dzieło ukończyła dopiero córka naukowca, Sarah Daffed. Ogród na przestrzeni wielu lat swego istnienia wystawił szereg różnorodnych i najdziwniejszych zwierząt, jakie kiedykolwiek widziały ludzkie oczy, w tym na przykład paskowanego pergolińca pospolitego, pigmejską bźdzuranę, czerwono-białą bożykurkę oraz świnioszczurzą przebarwinę. Specjalizujący się w egzotyce ogród co jakiś czas popadał w ruinę i był ze względów bezpieczeństwa zamykany dla szerokiej publiczności. Ucierpiał również z powodu tak



**EKSPONAT 11:** POTWORNIE ZNISZCZONA FOTOGRAFIA PRZEDSTAWIAJĄCA SZTUKĘ SZARYCH KAPELUSZY, ODNALEZIONA ZA PANOWANIA TRILLIANA PRZEZ KAPELUSZERCÓW W POBLIŻU TAK ZWANEGO „OŁTARZYKA SZARYCH KAPELUSZY”; EKSPERCI SĄ PRZEKONANI, ŻE PRZEDSTAWIA JEDNĄ Z GRZYBOWYCH „KSIĄG” SZARYCH KAPELUSZY, UMIESZCZONĄ W DRZWIACH; EKSPONAT JEST CZĘŚCIĄ ZNAJDUJĄCEJ SIĘ W MUZEUM MORHAIMÓW WYŚMIENITEJ EKSPOZYCJI „SUBTERRANEA: UKRYTY ŚWIAT”.

dziwacznych zapowiedzi jak choćby te obwieszane przez Thomasa Daffeda, prawnuka Xavera, który na krótko przed własną śmiercią wystawił w ZOO wyjątkowo niepotrzebną ekspozycję grzybów, w skład której miała rzekomo wchodzić „grzybowa istota”. Zgodnie ze

swymi twierdzeniami Thomas miał ją własnoręcznie schwytać w pobliżu ruin klasztoru-fortecy w Zamilonie. Istota owa jednak nigdy nie pokazała się zwiedzającym na oczy. Ostatnio w gruzach legła znajdująca się w ZOO ekspozycja białego poltońskiego wieloryba bichoralnego, kiedy to członkowie Kościoła Rybaka w śmiałej i błyskawicznej akcji wykradli chlubę całej wystawy - jedynego żyjącego w niewoli białego poltońskiego wieloryba bichoralnego. Patrz również: *biały poltoński wieloryb bichoralny; Daffed, Xaver; Kościół Rybaka; Zamilon.*

**-Ż-**

ŻYWI ŚWIĘCI. Długa historia Żywych Świętych poprzedza religię truffidiańską, która przygarnęła ich i wykorzystała do własnych celów. Opierający się na założeniu, że życiowe funkcje ludzkiego ciała winny być najbardziej uświęconymi znakami Boga w człowieku, Żywi Święci znoszą samotne życie w ubóstwie. Istnieją cztery Obrządki: Wzdęcia, Ejakulacji, Defekacji i Mikeji. Święci przeznaczają całe lata na doskonalenie swych poszczególnych specjalności, tym samym oddając cześć „Bogu, który stworzył nas śmiertelnymi”, jak zapisano w świętych pismach. Wiele innych religii wynajmuje ich jako strażników, gdyż są tak obrzydliwi i ohydni, że odstraszą przestępców. Sam Manzikert III został swego czasu wzięty za Żywego Świętego Obrządku Wzdęcia. Patrz również: *Kristina z Malfour.*

# Autorzy ilustracji

Ornamentalna strona tytułowa - Eric Schaller

Strona tytułowa Księgi Ambergris - John Coulthart

## **Zakochany Dradin**

Strona tytułowa - Scott Eagle

Ikonka pierwszej litery - Eric Schaller

## **Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris**

Strona tytułowa - Scott Eagle

Ikonka pierwszej litery - Eric Schaller

Ilustracje grzybów - Jeff VanderMeer

Symbol szarych kapeluszy - Jeff VanderMeer

Rozczłonkowany symbol szarych kapeluszy - Jeff VanderMeer

Płaskorzeźby Haragck - Eric Schaller

## **Przemiana Martina Lake'a**

Strona tytułowa - Scott Eagle

Ikonka pierwszej litery - Eric Schaller

## **Niezwykły przypadek Iksa**

Strona tytułowa - Scott Eagle

Ikonka pierwszej litery - Eric Schaller

„Disneyowskie” szare kapelusze - Eric Schaller

Strona tytułowa Append-iksu - John Coulthart

## **Notatki Iksa**

Szkic Vossa Bendera - Mark Roberts

Szkic Martina Lake'a - Mark Roberts

## **Król Kalamarnic**

Kolaże (i układ graficzny) - John Coulthart

Ryc.1. Sposoby komunikacji - Mark Roberts

## **Wymiana**

Wszystkie ilustracje - Eric Schaller

## **Glosariusz ambergriański**

List azylu (eksponat 1) - Jeff VanderMeer, Eric Schaller

Widok festiwalowych fajerwerków (eksponat 2) - Eric Schaller

Rysunek komiksowy Kodfana (eksponat 3) - Eric Schaller

Rysunek Hellatose Sc Bauble (eksponat 4) - Eric Schaller

Nóż z Muzeum Morhaimów (eksponat 5) - Dave Larsen

Okładka „Płonących liści” (eksponat 6) - Eric Schaller

Okładka *Dręczących kalamarnic* Rogers (eksponat 7) - Mark Roberts

Okładka *Najczarniejszej z nocy* Spacklenesta (eksponat 8) - Mark Roberts

*Sporny znak komara 3* Lackpole'a (eksponat 9) - Mark Roberts

Fotografia wersji deluxe *Wymiany* (eksponat 10) - Eric Schaller

Zamilońska sztuka szarych kapeluszy (eksponat 11) - Hawk Alfredson

Fotografia „autora” (w roli autora Simon Mills) - Mark Roberts

Wszelki układ graficzny nieprzypisany Johnowi Coulthartowi - Garry Nurrish, z wyjątkiem

Wczesnej historii Ambergris - Robert Wexler

Uwaga: Niestety, w związku z ogólnie słabo rozwiniętą ambergriańską techniką fotograficzną niektóre ze zdjęć pochodzących z Muzeum Morhaimów posiadają jakość przypominającą fotosy wiktoriańskie.

# Podziękowania

Dziękuję dwóm wielce, wielce cierpliwym osobom: mojej pięknej żonie o jednosylabowym imieniu (będącej równocześnie pierwszym czytelnikiem) Ann oraz projektantowi Garry'emu Nurrishowi, gdyż na tyle sposobów wykradłem im tym projektem tak wiele niezastąpionego czasu. Moje wyrazy uznania dla Petera Lavery'ego, mojego redaktora w TOR UK, jak również całego personelu PanMac, są bezgraniczne - dziękuję wam za niezmordowane wysiłki, podejmowanie ryzyka oraz zdobywanie *Miastu* coraz to nowych czytelników. Serdecznie dziękuję również niestrudzonemu i cierpliwemu tłumaczowi niniejszego wydania, Konradowi Kozłowskiemu, jak również Konradowi Walewskiemu za pomoc w zdobyciu tej książki dla wydawnictwa Solaris, oraz Danny'emu Barorowi, mojemu agentowi od praw na zagranicę. Dziękuję również Ericowi Schallerowi (długoletniemu ambergriańskiemu konspiratorowi, którego prace rozświetlają niektóre z zawartych tu opowieści), oraz takim osobom jak: John Coulthart, Scott Eagle, Dave Larsen, Mark Roberts, Wayne Edwards, Stephen Jones, Jeffrey Thomas, Michael Moorcock (za długotrwałą wielkoduszność i niezmordowaną energię), Brian Stableford, Richard i Mardelle Kunz, Ellen Datlow, Terri Windling, Bill Babouris, Tamar Yellin, Dawn Andrews, China Mieville, Jeffrey Ford, Neil Williamson, Keith Johnson, Henry Hoegbotton, Tom Winstead, S.P. Somtow, Rhys Hughes, R.M. Berry, Scott Thomas, Robert Wexler, Forrest Aguirre, Andrew Breitenbach, i wszystkim innym, których opuściłem tu jedynie przez nieuwagę. Dziękuję za potwierdzenie rozszyfrowania otrzymane od Ann, Rudi Dornemann, Peggy Hailey i Jasona Erika Lundburga. Dziękuję Erin Kennedy i Jasonowi Kennedy'emu. Dziękuję ojcu, Robertowi VanderMeerowi, jego żonie - Laurence, mojej mamie - Penelopie Miller, mojej siostrze - Elisabeth, oraz moim dwóm kłótliwym braciom - Francois i Nicholasowi. Dziękuję Richardowi Petersonowi i Scottowi Strattonowi za to, że są dobrymi kumplami (a także za przywództwo objęte nad dwoma znaczącymi kultami religijnymi). Na koniec chciałbym podziękować wszelkim kałamarofilom, którzy dostarczyli tak wiele spośród wpisów do bibliografii *Króla Kałamarnic*, ich imiona, aczkolwiek w zmienionej formie, na zawsze zostały już w ten sposób umieszczone na firmamencie Amberggris. - J.V.

## Pierwotne publikacje utworów

**Zakochany Dradin** został po raz pierwszy wydany w 1996 roku w formie kieszonkowej przez Buzzcity Press.

**Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris** ukazał się po raz pierwszy jako broszurka wydana przez Necropolitan Press w 1999 roku (tam również ukazały się fragmenty **Glosariusza ambergriańskiego**).

**Przemiana Martina Lake'a** ukazała się pierwotnie w antologii *Palace Corbie 8*, 1999.

**Niezwykły przypadek Iksa** ukazał się pierwotnie w antologii *White of the Moon*, 1999.

**Wymiana** ukazała się w formie broszury wydanej przez Hoegbottona i Synów. Dopisany na maszynie tekst komentarza pojawia się po raz pierwszy w niniejszym wydaniu.

**Ucząc się, jak opuścić swe ciało** zostało wydane w angielskim magazynie „Dreams from the Strangers Cafe”. Pojawiło się również w 1999 roku jako przedstawienie zaprezentowane przez rosyjski Projekt Trotsky (Moskwa).

Wersje zaprezentowane w niniejszym zbiorze są ostatecznymi i definitywnie przejrzanymi, jak również poprawionymi wersjami.

## Przypisy

**Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris:** Fragmenty tekstu zostały zaadaptowane z materiałów stworzonych przez takich starożytnych kronikarzy i przywódców jak pochodzący z Bizancjum Michael Psellus i Theodore ze Studium, Ruskin, Rzymianie Eusebius i Lactantius, papieski dyplomata Liuprand oraz wenecki doża Andrea Gritti. Podziękowania dla Davida Griffina za pozwolenie na przywłaszczenie sobie do ostatniego wpisu w dzienniku Tonsure'a jego pomysłu z nieopublikowanego opowiadania. Czuję się również zadłużony względem Johna Juliusa Norwicha, wspaniałego historyka, którego styl prawdopodobnie z oddaniem przywłaszczyłem sobie w tym utworze.

**Przemiana Martina Lake'a:** Cytaty przypisane niejakiemu „Leonardowi Venturi” zostały zaadaptowane z komentarzy Lionella Venturiego zawartych w jego książce *Chagall*.

**Król Kalamarnic:** Zdania otwierające tę nowelkę zostały zaadaptowane z rozpoczęcia pochodzącej z lat 20. ubiegłego wieku powieści austriackiego pisarza Fritza von Herzmanovsky-Orlando *Maque of the Spirits*.

**Glosariusz ambergriański:** Większość hasła *kalendarz kalabriański* została wymyślona przez Richarda Petersona. Jemu również zawdzięczam stworzenie haseł *Richard Peterson* i *Święty Mały Czerwony Kwiatusek*. Scott Stratton natomiast dostarczył mi bezcennych materiałów pomocnych w stworzeniu hasła *strattonizm*.



**Kontakt z autorem:**

[vanderworld@hotmail.com](mailto:vanderworld@hotmail.com)

[www.venderworld.redsine.com](http://www.venderworld.redsine.com)

[www.jeffvandermeer.com](http://www.jeffvandermeer.com)

[www.ambergris.org](http://www.ambergris.org)

## O autorze



**Jeff VanderMeer** (1968 -?) spędził dzieciństwo w Pensylwanii, na wyspach Fidzi, we Francji oraz w Mongolii. Jego ojciec Robert, „wypychacz” owadów, oraz matka - Penelope, cmentarna performerka, bezustannie i z różnorodnych powodów, z których część była niegodziwa i nikczemna, podróżowali po świecie. W 1986 roku ukończył Szkołę Pisania na Uniwersytecie w Ułan Bator, gdzie zgłębiał tajniki fachu pisarskiego pod skrzydłami wielkiego mistyka fikcji Jugderdemidiyna Gurrahchaa, by następnie przelotnie zająć się szeregiem profesji - był zarówno prowokatorem, ziemiotrykiem, maniakjurzystą, konsultantem od angielskiego, asystentem śpiewaka operowego, jak również profesjonalnym psim opiekunem - nim wreszcie na poważnie zabrał się za pierwszą powieść, *The Book of Frog* (1991). W związku z międzynarodowym sukcesem, jaki odniosła, był w stanie zająć się tylko i wyłącznie pisarstwem.

Po opublikowaniu utworów w kilku znaczących periodykach i słynnym „wezwanie do broni”, skierowanym do zadowolonych z siebie i osiadłych na laurach pisarzy zajmujących się fantastyką (przyjętym zresztą przez nich wyjątkowo szorstko i nieuprzejmie) opublikował drugą książkę, zatytułowaną *Lyric of the Highway Mariner* (1992). *Lyric*, mimo iż cieszyła się popularnością, nie zdołała zawładnąć wyobraźnią szerszego ogółu czytelniczego. Następne cztery lata stanowią okres wyjątkowej posuchy, jeśli chodzi o jakiegokolwiek informacje i fakty dotyczące jego osoby; nikt nie wie dokładnie nic na temat jego ówczesnych poczynąń, a w rozproszeniu mgły tej tajemnicy niezbyt pomogły doniesienia o kilku sporadycznych pojawieniach się autora. Pewien francuski turysta twierdzi, jakoby widział go w Samarkandzie w lipcu 1993 roku, zaś dziesiątego sierpnia 1994 roku ambasada amerykańska w Uzbekistanie odebrała dość bełkotliwą rozmowę z komórki: rozmówcą był mężczyzna podający się za VanderMeera i proszący o coś, co brzmiało jak „ratunkowa dostawa papieru do pisania”. Podróżujący po świecie ksiądz spotkał autora w Timbuktu w październiku 1994 roku, gdzie poprosił go o autograf na swej sczytanej kopii *The Book of Frog*, lecz mężczyzna, do którego podszedł, ze złością zaprzeczył, jakoby był rzezonym pisarzem. Doniesienia o kolejnych podobnych przypadkach w Kairze i Sydney okazują się

falszywe.

W 1996 roku VanderMeer znów wypłynął na powierzchnię, tym razem w Tallahassee na Florydzie; świeżo po ślubie, chlubiąc się podwójnym stopniem naukowym, zarówno z nauk związanych z grzybami, jak i głowonogami, zdobytymi na Uniwersytecie Stanowym Florydy. Podczas jednego z wywiadów dla „Modern Fantasy Studies” odmówił wyjaśnienia zarówno powodów, jak i przebiegu swej nieobecności, lecz zaznaczył, że nowe dzieła fikcji już wkrótce ujrzą światło dzienne. I rzeczywiście, zarówno *Zakochany Dradin*, jak i zbiór opowiadań *The Book of Lost Places* pojawiły się jeszcze w tym samym roku.

W latach 1997-98 porzucił pisanie, by zająć się rozwojem kariery naukowej na polu głowonogów. Jego kontrowersyjne odkrycia dotyczące florydzkiej kałamarnicy słodkowodnej, opublikowane w 1998 roku w naukowym periodyku „Mollusca”, w połączeniu z pracą naukową *Empiryczne dowody świadczące o powiązaniu kałamarnic i grzybów* pewnie zakotwiczyły go w okopach „pasjonujących szalonych peryferii” obu powyższych dziedzin, co zostało nawet opisane w artykule na łamach „Świata Nauki”.

Jednakże znudzony samą nauką, jak również posiadający na koncie nieudane próby przyłączenia się do kręgu profesjonalnych graczy w racquetball - wszystko z powodu obrażeń, jakich doznał w czasie gry, gdy gwałtownie odskoczył, by nie zmiażdżyć ryczącej żaby byczej - VanderMeer na dobre powrócił do pisania. Według jego żony Ann w okresie między styczniem 1999 roku a lipcem 2001 pisał po osiemnaście-dziewiętnaście godzin dziennie. Wyniki tej wielce intensywnej i nagłej aktywności pisarskiej są oczywiście bardzo dobrze znane: sześć powieści, których publikacja raz za razem jest przesuwana i opóźniana o trzy miesiące w ramach wydłużonej „pijarowej” kampanii Hoegbottona i Synów, nowej amerykańskiej gałęzi wydawnictwa Wildside. Pierwszą powieść, wydaną w 2002 roku, przyjęto owacyjnie i sprzedała się w znaczącej liczbie egzemplarzy. Podróż VanderMeera do Nowego Jorku na spotkanie z jego agentem literackim Howardem Morhaimem zakończyła się wyjątkowo publicznym śniadaniem w Martha's Vineyard, w którym uczestniczyli także zarówno sam Paul Auster, John Irving, jak i przebywający tam akurat na wakacjach Martin Amis. Życzliwą uwagę mediów przyciągnęła również seria spotkań z czytelnikami w większych miastach, podczas których czytał fragmenty swych utworów, a fotografia autora z żoną pojawiła się na okładce „Entertainment Weekly”.

Jednakże pod koniec października 2003 roku, niemal w przededniu oryginalnego wydania poniższej książki, VanderMeer zniknął ze swego domu. Nie pozostawiając żadnego listu. Nie mówiąc żonie ni słowa. Jedyłą wskazówką były odnalezione na jego biurku przedkorektorskie wersje czterech głównych nowel zamieszczonych w tym zbiorze, pocięte

na kawałki długości mniej więcej zdania, a następnie gruntownie poprzerastawiane - fragmenty *Przemiany* połączono z *Niezwykłym przypadkiem*, strony z *Dradina* wetknięto w sam środek *Wczesnej historii*. Ewentualny cel takich wzajemnych przestawień wciąż pozostaje nieodkrytą tajemnicą, mimo iż żona pisarza jest święcie przekonana, że próbował on komunikować się w jakiś nowy, wielce złożony sposób. Tak czy inaczej, miejsce pobytu autora wciąż pozostaje nieznane. Jedynym dowodem mogącym nam cokolwiek powiedzieć na ten temat jest fotografia towarzysząca niniejszej notce biograficznej, wykonana przez właściciela jednej z praskich księgarni. Mimo iż ów właściciel zarzeka się, że fotografia przedstawia samego VanderMeera, eksperci, którzy poddali ją dokładnym oględzinom, stwierdzili, że sylwetki, którą przedstawia, nie można ze stuprocentową pewnością zidentyfikować jako należącej do rzezonego pisarza. Jednak w 2006 roku został wydany - przez Tor Books w Stanach Zjednoczonych, a Pan Macmillan w Zjednoczonym Królestwie - tekst, który rzekomo wyszedł spod jego ręki - *Shriek An Afterword (Shriek: Posłowie)*. Zebrał on wyjątkowo dobre recenzje, lecz sprzedał się w zaledwie dwudziestu pięciu egzemplarzach, resztę przeznaczono więc na przemiał, by nie zabrakło papieru do wydania różnych innych książek. Ni razu przez cały ten okres, zarówno przed wydaniem powyższej powieści, jak i po nim, autor nie wypłynął na światło dzienne, ani też wydawca nie starał się jakoś wyjaśnić powodów jego nieobecności. Niektórzy eksperci snują przypuszczenia, iż *Shriek* jest w rzeczywistości fałszerstwem zleconym przez samego wydawcę bądź to Janowi Svankmajerowi, bądź Peterowi Careyowi.